

pierwsze prawo : księga pierwsza

Sam

ostrze

Joe Abercrombie

Wspaniale wieloznaczne i diaboliczne

- THE GUARDIAN

# PIERWSZE

**PRAWO**  
**Księga pierwsza**

Samo  
ostrze  
Joe Abercrombie

ISA

**GTW**

# **SAMO OSTRZE**

Tytuł oryginału: THE BLADE ITSELF

Copyright © 2006 Joe Abercrombie.

Wszystkie postacie występujące w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób prawdziwych, żyjących lub nie, jest całkowicie przypadkowe.

Ilustracja na okładce: Laura Brett

Wydanie I

Wydawca: ISA Sp. z o.o.

Tłumaczenie: Jan Kabat

Korekta: Magdalena Górnicka

Skład: KOMPEJ

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

ISA Sp. z o.o.

Al. Krakowska 110/114

02-256 Warszawa

tel./fax (0-22) 846 27 59

e-mail: [isa@isa.pl](mailto:isa@isa.pl)

ISBN: 978-83-7418-213-3

*Zapraszamy do odwiedzenia naszej strony internetowej:*

*[www.isa.pl](http://www.isa.pl)*

# Spis treści

## STRONA TYTUŁOWA

Koniec

## CZEŚĆ I

Ocaleni

Pytania

Żadnego wyboru

Zabawa z ostrzami

Zęby i palce

Bezkresna i naga Północ

Trening szermierczy

Poranny rytuał

Pierwszy z Magów

Dobryczłek

Na liście

Oferta i dar

Król Północnych

Droga między dwoma dentystami

Płaskogłowi

Przekleństwo prawdziwej miłości

Jak szkoli się psy

Herbata i zemsta

## CZEŚĆ II

Jak wygląda wolność

Królewska sprawiedliwość

Droga ucieczki

Trzy znaki

Skład kostiumów teatralnych

Barbarzyńcy u bram

Następne zadanie

Lepsze niż śmierć

W obcym miejscu

Pytania

Szlachectwo

Ciemna robota

Słowa i kurz

Niezwykłe talenty brata Długostopego

Tacy jak ona walczą z każdym

Kocha... nie kocha

Nasienie

Nigdy nie zakładaj się z magiem

[Idealna publiczność](#)

[Dom Stwórcy](#)

[Niczyj pies](#)

[Każdy człowiek czci samego siebie](#)

[Starzy przyjaciele](#)

[Z powrotem do ziemi](#)

[Ból i cierpienie](#)

[Krwawy-dziewięć](#)

[Narzędzia, które mamy](#)

[Podziękowania](#)

**Dla czterech czytelników**

**Wiecie, o kogo chodzi**

# Koniec

Logen przedzierał się między drzewami, gołe stopy ślizgały się i sunęły po mokrej ziemi, brei, wilgotnych igłach sosnowych; w piersi świszczął mu oddech, w głowie pulsowała krew. Potknął się i runął, padając bokiem; niemal rozplątał sobie pierś własnym toporem, a potem leżał zdyszany, ze wzrokiem wbitym w leśną ciemność.

Jeszcze przed chwilą towarzyszył mu Wilczarz, był tego pewien, ale teraz nigdzie nie dostrzegął śladu towarzysza. Co do pozostałych, nie mógł powiedzieć nic konkretnego. Niezły ze mnie przywódca, pomyślał ironicznie, tak się odłączyć od swoich chłopców. Wiedział, że powinien zawrócić, ale wszędzie roiło się od szanków. Wyczuwał, jak ruszają się między drzewami, a jego nozdrza przenikała ich woń. Gdzieś z lewej strony dobiegło jakby wołanie, może toczyła się tam walka. Logen dźwignął się powoli na nogi, starając się zachowywać cicho. Za jego plecami trzasnęła gałązka. Odwrócił się gwałtownie.

W jego stronę zmierzała włócznia. Włócznia budząca grozę i szybka, a na jej drugim końcu majaczyła sylwetka szanki.

– Niech to! – rzucił Logen i uskoczył w bok, potknął się i runął na twarz, po czym przetoczył się przez krzewy, oczekując w każdej chwili, że włócznia przesyje mu plecy. Pozbierał się z ziemi, oddychając z wysiłkiem. Znów dostrzegł wymierzony w siebie jasny szpikulec, zrobił unik i wśliznął się błyskawicznie za pień dużego drzewa. Wyjrzał, a wtedy płaskogłowy zasyczał i zamierzył się włócznią. Logen wychylił się z drugiej strony, tylko na mgnienie oka, potem zniknął, wyskoczył zza drzewa i wzniosł topór, rycząc co sił w płucach. Rozległ się głośny chrzęst, gdy ostrze zagłębiło się w czaszce szanki. Miał szczęście, ale uważał, że na nie zasłużył.

Płaskogłowy stał nieruchomo, patrząc na niego ze zdumieniem. Potem zaczął się chwiać na boki, po jego twarzy spływała krew. Wreszcie osunął się bezwładnie jak kłoda, wyrywając przy tym topór z dłoni Logena, i upadł u jego stóp. Logen próbował ująć rękojeść swej broni, ale szanka wciąż jakimś cudem ścisnął włócznię, której koniec chwiał się niebezpiecznie w powietrzu.

– Ghaa! – zaskrzeczał Logen, gdy ostrze cięło go w ramię. Poczuł, jak na twarz pada mu cień. Jeszcze jeden płaskogłowy. Cholernie wielki. Szybujący w powietrzu z rozpostartymi ramionami. Logen nie zdążył sięgnąć po topór. Nie zdążył uskoczyć. Otworzył usta, ale nie zdążył nic powiedzieć. Co można wyrzec w takiej chwili?

Runęli razem na mokrą ziemię, toczyli się po błocie, kolcach, połamanych gałęziach, szarpiąc się, uderzając i warcząc na siebie. Logen walnął mocno głową o korzeń jakiegoś drzewa, zadzwoniło mu w uszach. Miał gdzieś schowany nóż, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Toczyli się bez końca, w dół zbrocza, świat wokół nich wirował, Logen zaś próbował otrząsnąć się z oszołomienia wywołanego uderzeniem i jednocześnie udusić płaskogłowego. Pęd nie ustawał ani na chwilę.

Rozbicie obozowiska niedaleko wąwozu wydawało się wcześniej mądrym posunięciem. Żadnego ryzyka, że ktoś się podkradnie od tyłu. Teraz, gdy Logen ślizgał się na brzuchu po krawędzi klifu, pomysł z obozowiskiem stracił jakikolwiek sens. Jego dłonie darły mokrą glebę. Wokół było tylko błoto i zbrązowiałe igły sosnowe. Próbował zacisnąć palce na czymkolwiek, ale chwycił tylko pustkę. Zaczął spadać. Z ust wyrwał mu się cichy skowyt.

Wreszcie jego dłonie natrafiły na coś. Korzeń drzewa, wystający z ziemi na samej krawędzi wąwozu. Logen zakołysał się w powietrzu, zdyszany, ale trzymał się mocno.



– Ha! – krzyknął. – Ha!

Wciąż żył. Trzeba było czegoś więcej niż kilku płaskogłowych, by położyć kres istnieniu Logena Dziewięciopalcego. Zaczął się podciągać ku krawędzi urwiska, ale nie dawał rady. Poczuł na nogach jakiś ogromny ciężar. Zerknął w dół.

Wąwóz był głęboki. Bardzo głęboki, o nagich i skalistych zboczach. Gdzieś do jakiejś szczeliny przylgnęło drzewo, rosnąc ku pustemu niebu i wysuwając w przestrzeń konary. Daleko w dole szumiała sykliwie rzeka, bystra i gniewna – spieniona biała woda, najeżona ostrymi czarnymi kamieniami. Nic dobrego, wiedział o tym, ale prawdziwy problem był znacznie bliżej. Wciąż towarzyszył mu wielki szanka, kołysząc się łagodnie na boki, uczepiony brudnymi łapami jego lewej kostki.

– Do diabła – mruknął Logen.

Znalazł się w niezłych tarapatach. Nie po raz pierwszy, ale zawsze udawało mu się przeżyć, by śpiewać potem pieśni, trudno było jednak sobie wyobrazić gorszą sytuację. Pomyślał bezwiednie o swoim życiu. Teraz wydawało się pozbawione sensu i gorzkie. Nikomu nie przyniosło niczego dobrego. Pełne przemocy i bólu, naznaczone rozczarowaniem i znojem. Ręce zaczynały mu się męczyć, ramiona paliły ogniem. Płaskogłowy olbrzym nie zamierzał najwyraźniej spadać. Wręcz przeciwnie, zaczął się nawet podciągać. Znieruchomiał na chwilę, patrząc gniewnie z dołu.

Gdyby to Logen był na jego miejscu, to z pewnością pomyślałby: „Moje życie zależy od tej nogi, której się trzymam – lepiej nie ryzykować”. Człowiek prędzej ratowałby siebie, niż zabijał wroga. Problem polegał na tym, że szanka nie myślał w ten sposób, i Logen o tym wiedział. Nie zaskoczyło go więc, gdy tamten rozwarł swe wielkie usta i zatopił mu kły w łydce.

– Aaa! – zawył Logen i wierzgnął z całej siły gołą piętą, kopiąc głowę szanki, na której pojawiła się krwawa pręga, ale przeciwnik nie przestawał gryźć; im bardziej Logen kopał, tym bardziej ślizgały mu się dłonie na mokrym korzeniu, którego nie pozostało już wiele, lada chwila nie byłoby się czego trzymać, a i ten kawałek wyglądał tak, jakby miał zaraz pęknąć. Próbował myśleć, zapominając o bólu w rękach, bólu w ramionach, zębach w nodze. Wiedział, że runie w dół. Jediną alternatywą był upadek na skały albo do wody, i ów wybór sam się narzucał.

Jeśli masz do wykonania trudne zadanie, lepiej je wykonać, niż żyć w wiecznym strachu. Tak powiedziałby jego ojciec. Logen oparł się więc mocno drugą stopą o skalne zbocze, wziął ostatni głęboki oddech i rzucił się w przestrzeń, dobywając z siebie resztki sił. Poczuł, jak wyrywa się zębom, a potem kurczowo zaciśniętym dłoniom; przez chwilę był wolny.

Później zaczął spadać. Szybko. Zbocza wąwozu przelatowały w pędzie – szara skała, zielony mech, łąty białego śniegu; wszystko to wirowało wokół niego.

Przekreślił się powoli w powietrzu, machając bezradnie rękami i nogami, zbyt przerażony, by krzyżeć. Wiatr chłostał go po oczach, szarpał za ubranie, wyrywał mu oddech z ust. Logen zobaczył przelatującego tuż obok szankę, który uderzył o skalne zbocze, gruchocząc sobie kości, odbił się i runął bezwładnie w dół, z pewnością martwy. Był to satysfakcjonujący widok, ale zadowolenie Logena nie trwało długo.

Pojawiła się gwałtownie woda. Czekwała na niego. Uderzyła go w bok niczym szarżujący byk, wybiła z płuc powietrze, wydarła myśl z głowy, wessała go w głąb, w lodowatą ciemność...

# CZEŚĆ I

# **„Samo ostrze nakłania**

**do okrutnych czynów”**

**Homer**

# Ocaleni

Plusk wody w uszach. To była pierwsza rzecz. Plusk wody, szum drzew, dziwny szczebiot i świergot ptaków. Logen uchylił odrobinę powieki. Światło, rozmazany blask przenikający liście. Śmierć? Więc dlaczego tak bardzo bolała? Pulsował mu cały lewy bok. Próbował odetchnąć porządnie, zakrztusił się, wykaszła trochę wody, wypluł błoto. Jęknął, przekręcił się, wsparł na dłoniach i kolanach, dźwignął z rzeki, dysząc przez zaciśnięte zęby, po czym przewrócił się na plecy w mchu, mazi i zgniłych gałązkach tuż nad brzegiem.

Leżał przez chwilę, wpatrzony w szare niebo nad czarnymi konarami; z obolałej krtani dobywał mu się świst oddechu.

– Wciąż jestem żywy – zaskrzeczał do samego siebie.

Wciąż żywy, wbrew wysiłkom natury, szanków, ludzi i bestii. Przemoczony do suchej nitki, leżąc płasko na plecach, zaczął parskać śmiechem. Piskliwym, bulgoczącym śmiechem. Jedno można było powiedzieć o Logenie Dziewięciopalcym – przeżył.

Gnijący brzeg rzeki omiotło tchnienie zimnego wiatru; śmiech Logena zamarł z wolna. Może i nie stracił życia, ale jak się przy nim utrzymać – oto było pytanie. Usiadł, mrugając z bólu, potem wstał z wysiłkiem, opierając się o najbliższe drzewo. Otarł z błota nos, oczy i uszy. Ściągnął mokrą koszulę, by rzucić okiem na obrażenia.

Bok miał pokryty sińcami, rezultat upadku. Niebieskie i fioletowe plamy aż do żeber. Wrażliwe bez wątpienia na dotyk, ale niczego sobie chyba nie złamał. Noga wyglądała koszmarnie. Porozrywana i zakrwawiona po spotkaniu z zębami szanki. Bolała jak diabli, ale stopa poruszała się całkiem sprawnie, a to było najważniejsze. Potrzebował jej, jeśli zamierzał się stąd wydostać.

Wciąż miał swój nóż w pochwie przy pasie, co stwierdził nie bez zadowolenia. Doświadczenie mówiło mu, że noży nigdy za wiele, ten zaś był dobry, ale przyszłość wciąż malowała się w ciemnych barwach. Mógł liczyć tylko na własne siły, zagubiony w lasach, gdzie roiło się od płaskogłowych. Nie miał pojęcia, gdzie się znajdował, zamierzał jednak podążać wzdłuż rzeki. Wszystkie płynęły na północ, od gór do zimnego morza. Podążać wzdłuż rzeki, na południe, w stronę przeciwną nurtowi. Podążać wzdłuż rzeki i wspinać się na Wysokie Szczyty, gdzie szankowie go nie znajdą. To była jego jedyna szansa.

Wiedział, że o tej porze roku może być tam zimno. Śmiertelnie zimno. Popatrzył na swoje bose stopy. Miał pecha, że szankowie się zjawili, gdy nie miał na nogach butów i opatrywał sobie bąble na stopach. Ani też płaszcz – siedział blisko ognia. W takim odzieniu nie przetrwałby w górach nawet dnia. Jego stopy i dłonie pokryłyby się w nocy czernią; umierałby kawałeczek po kawałeczku, nim dotarłby do przełęcz. Gdyby wcześniej nie padł z głodu.

– Do diabła – mruknął.

Musiał wrócić do obozowiska i mieć nadzieję, że płaskogłowi ruszyli dalej, zostawiając co nieco. Coś, dzięki czemu zdołałby przetrwać. Nie liczył na wiele, ale nie miał wyboru. Tak jak zawsze.

Zaczęło padać, nim Logen odszukał to miejsce. Siekące krople przyklejały mu włosy do czaszki i przenikały odzienie. Przywarł do omszałego pnia i spojrział w stronę obozu; serce waliło mu młotem, prawa dłoń zaciskała się boleśnie na śliskiej rękojeści noża.

Dojrzał poczerniały krąg w miejscu ogniska, na wpół spalone badyle i rozdeptany popiół. Dojrzał wielki kloc, na którym siedział Trójdrzewiec i Dow, gdy nadeszli płaskogłowi. Dojrzał kawałki porozrywanego i potłuczonego dobytku, walające się po całej polanie. Naliczył trzech martwych szanków, którzy leżeli bezwładnie na ziemi, jeden ze sterczącą z piersi strzałą. Trzech martwych, ale nigdzie śladu żywych. Miał szczęście. Dostatecznie dużo szczęścia, by przeżyć, jak zwykle. Mimo wszystko mogli wrócić w każdej chwili. Musiał się pospieszyć.

Logen wysunął się chyłkiem spomiędzy drzew i zaczął gorączkowo przeszukiwać obozowisko. Jego buty wciąż leżały tam, gdzie je pozostawił. Chwycił je i wciągnął na marznące stopy, skacząc w kółko i niemal się przewracając w pośpiechu. Jego płaszcz też ocalał, wetknięty pod kloc, pomięty i poznaczony latami słoty i wojen, podarty i na nowo pozszywany, bez połówki rękawa. Jego pozbawiona kształtu torba leżała w pobliskich krzewach, jej zawartość wałała się po zboczu. Przykucnął bez tchu i zaczął ją napełniać... kawałek liny, stara gliniana fajka, kilka pasków suszonego mięsa, igła i szpagat, wgięta flaszka z odrobiną jakiegoś napitku, który chlupotał w środku. Wszystko potrzebne. Wszystko użyteczne.

Wisiał tam też na gałęzi podarty koc, mokry i ze śladami zaschniętego błota. Logen ściągnął go i uśmiechnął się szeroko. Pod spodem krył się jego poobtłukiwany kociołek. Leżał na boku, być może zrzucony kopnięciem znad ognia w ferworze walki. Chwycił go obiema dłońmi. Swojski, znajomy, powyginany i poczerniały po latach ciężkiej służby. Miał ten kociołek od bardzo dawna; to żelazne naczynie podążało za nim podczas wojen, przez całą Północ i z powrotem. Wszyscy w nim gotowali na szlaku, wszyscy z niego jedli. Forley, Ponurak, Wilczarz, każdy z nich.

Logen jeszcze raz obrzucił spojrzeniem obozowisko. Trzech martwych szanków, ale żadnego z jego ludzi. Może wciąż żyli. Gdyby zaryzykował, rozejrzał się...

– Nie – powiedział cicho.

Wiedział, że nie może tego zrobić. Płaskogłowych było wielu. Bardzo wielu. Nie miał pojęcia, jak długo leżał na brzegu rzeki. Nawet gdyby ze dwóch chłopców zdołało umknąć, zostaliby wytropieni przez szanków przeczesujących lasy. Nie byli teraz niczym więcej niż tylko zwłokami porzuconymi w dolinie, to pewne. Wszystko, co Logen mógł uczynić, to ruszyć w stronę gór i walczyć o życie. Trzeba myśleć trzeźwo. Bez względu na to, jak bardzo jest to bolesne.

– Zostaliśmy tylko ty i ja – oznajmił, wciskając kociołek do torby i zrzucając ją na ramię.

Zaczął się oddalać kulejącym krokiem, najszybciej, jak tylko mógł. Pod górę, w stronę rzeki, ku szczytom. Tylko ich dwóch. On i jego kociołek. Jedyni, którzy przeżyli.

# Pytania

„Dlaczego to robię?” – pytał sam siebie inkwizytor Glokta po raz tysięczny, kuśtykając korytarzem. Ściany otynkowano kiedyś i pobielono, choć upłynęło od tamtej pory trochę czasu. Wyczuwało się tu zaniedbanie i odór wilgoci. Nie było okien, gdyż korytarz znajdował się głęboko pod ziemią, lampy zaś rzucały w każdy zakątek leniwe i rozmazane cienie.

„Dlaczego ktokolwiek chciałby to robić?”.

Jego kroki wybijały na brudnych kamiennych płytach niezmienny rytm. Najpierw zdecydowany trzask prawego obcasa, potem stukot laski, wreszcie niekończące się szuranie lewej stopy, któremu towarzyszył znajomy kłujący ból w kostce, kolanie, tyłku i plecach. Trzask, stukot, ból. Taki był rytm jego kroków.

Brudną monotonię korytarza przełamywały od czasu do czasu ciężkie drzwi, wzmocnione i nabijane powyginanym żelazem. W pewnym momencie Glokta odniósł wrażenie, że skądś dobiega stłumiony krzyk bólu.

„Zastanawiam się, jakież to nieszczęsny głupiec jest tam przesłuchiwany. Jakiej zbrodni jest winien czy też nie winien? Jakie sekrety się ujawnia, jakie kłamstwa demaskuje, jakie zdrady odsłania?”.

Nie zawracał sobie tym zbyt długo głowy. Jego rozmyślania przerwały schody.

Gdyby Glokta dostał szansę torturowania jakiegokolwiek człowieka, jakiegokolwiek z wszystkich żyjących, to z pewnością wybrałby wynalazcę schodów. Kiedy był młody i cieszył się ogólnym podziwem, nigdy ich nie dostrzegał. Zbiegał z nich po dwa stopnie naraz i ruszał beztrasko przed siebie. Ale już nie teraz.

„Są wszędzie. Nie można bez nich przechodzić z piętra na piętro. A schodzenie jest stokroć gorsze niż wchodzenie, czego ludzie nigdy sobie nie uświadamiają. Jeśli człowiek wchodzi, to nigdy nie spadnie tak daleko”.

Znał tę kondygnację bardzo dobrze. Szesnaście stopni wyciętych z gładkiego kamienia, nieco startych po środku, lekko wilgotnych, jak wszystko tutaj. Nie było poręczy, nic, czego można by się przytrzymać.

„Szesnastu wrogów”.

Upłynęło bardzo dużo czasu, nim Glokta opracował najmniej bolesną metodę schodzenia. Szedł bokiem jak krab. Najpierw laska, potem lewa stopa, następnie prawa, z nieco silniejszym niż zwykle bólem, gdy niesprawną kończyna dźwigała ciężar ciała, czemu nieodmiennie towarzyszyło klucie w szyi.

„Dlaczego boli mnie szyja, kiedy schodzę na dół? Czyżby moja szyja przejmowała ciężar ciała? Czy tak się dzieje?”.

Ból był jednak niezaprzeczalny.

Glokta przystanął, gdy od celu wędrówki dzieliły go cztery stopnie. Niemal pokonał te schody. Dłoń drżała mu na uchwycie laski, lewa noga bolała wściekle. Przesunął językiem po dziąsłach, w miejscu, gdzie kiedyś miał przednie zęby, i ruszył w dół. Jego lewa kostka, wykręciwszy się straszliwie, nie wytrzymała i Glokta runął przed siebie, w otchłań, kołysząc się bezwładnie; jego umysł zamienił się w istny kocioł przerażenia i rozpacz. Postawił niepewny krok na następnym stopniu jak pijak, drapiąc paznokciami gładką ścianę i wydając z siebie pisk strachu.

„Ty głupi, bezmyślny bydlaku!”

Jego laska uderzyła ze stukotem o posadzkę, a niezgrabna stopa zmagająca się z kamieniem. Nagle znalazł się na dole, jakimś cudem wciąż w pozycji stojącej.

„I oto jest. Ten straszny, a równocześnie piękny, przeciągły moment między uderzeniem się w palec u nogi a uczuciem bólu. Ile mi jeszcze pozostało czasu, nim go doznam? Jak straszliwy się okaże, gdy nadejdzie?”

Dyszząc, stojąc z rozwartymi ustami u podnóża schodów, Glokta czekał z mrowiącym niepokojem. Zbliża się...

Ból był nie do opisanego, przeszywający spazm, który wspinał się po jego lewym boku, do samej szczęki. Glokta zacisnął z całej siły powiekę, kryjąc pod nimi załzawione oczy, i przywarł prawą dłoń do ust tak mocno, że usłyszał trzask kłykci. Zęby, które mu pozostały, zazgrzytały o siebie, kiedy zwarł szczęki, ale wciąż dobywał mu się z krtani wysoki, urywany, świszczący jęk.

„Krzyczę czy się śmieję? Jak mam to rozróżnić?”

Oddychał chrapliwie przez nos, śluz skapywał mu na dłoń, poskręcane ciało drżało od wysiłku, jakiego wymagała pozycja wyprostowana.

W końcu spazm minął. Glokta poruszał kończynami ostrożnie, jedna za drugą, sprawdzając obrażenia. Noga go paliła, stopa była pozbawiona czucia, szyja trzeszczała przy każdym ruchu, przyprowadzając kręgosłup o złośliwe, nieznaczne ukłucia.

„Całkiem nieźle, jeśli się zastanowić”

Schylił się z wysiłkiem i ujął laskę między dwa palce, ponownie się wyprostował i wytarł wierzchem dłoni śluz i łzy.

„Prawdziwy dreszcz emocji. Podobało mi się? Dla większości ludzi schody to powszednia sprawa. Dla mnie zaś przygoda!”

Pokuśtykał korytarzem, chichocząc pod nosem. Wciąż uśmiechał się nieznacznie, gdy dotarł pod właściwe drzwi i wszedł do środka, powłócząc nogą.

Brudna biała klatka z dwojgiem drzwi naprzeciwko siebie. Sufit był za niski, a pomieszczenie oświetlone zbyt jaskrawo płonącymi lampami. Z jednego z narożników wypełzała wilgoć, tynk zaś odłaził, pokryty pęcherzami farby i upstrzony czarną pleśnią. Ktoś próbował zetrzeć z jednej ściany długą plamę krwi, ale niespecjalnie się starał.

Po drugiej stronie pomieszczenia stał praktyk Frost, z ramionami skrzyżowanymi na potężnej piersi. Skinął Glokcie głową, zdradzając tyleż emocji co kamień, a inkwizytor odpowiedział mu tym samym. Rozdzielał ich porysowany, poplamiony drewniany stół. Był przymocowany do podłogi bolcami i stały przy nim dwa krzesła. Na jednym siedział tłusty nagi mężczyzna, dłonie miał związane na plecach, głowę zakrytą burym workiem z szorstkiego sukna. Słyszał tylko jego szybki, stłumiony oddech. Tu, na dole, panował ziąb, ale człowiek ten się pociał.

„Nie dziwię się”

Zbliżył się swym chybotliwym krokiem do drugiego krzesła, oparł ostrożnie laskę o krawędź stołu, a potem wolno, ostrożnie, lecz boleśnie usiadł. Przekrzywił kark w lewo i w prawo, a następnie pozwolił, by jego ciało przyjęło pozycję, która w jakimś stopniu zapewniała wygodę. Gdyby Glokta miał szansę uścisnąć dłoń jakiegoś człowiekowi, jakimkolwiek, to byłby to wynalazca krzesła.

„Sprawił, że moje życie jest niemal znośne”

Frost wyłonił się bezgłośnie z kąta i ujął górną część worka między mięsisty blady palec a ciężki biały kciuk. Glokta skinął głową, a wtedy praktyk zerwał nakrycie z głowy mężczyzny; Salem Rews zamrugał w ostrym świetle lamp.



„Podła, świńska, paskudna mała gęba. Ty podła odrażająca świnió, Rews. Ty odrażający wieprzu. Mogę się założyć, że jesteś gotów wyznać w tej chwili wszystko, gotów gadać bez końca, bez przerwy, aż zrobi nam się niedobrze”.

Na policzku miał ciemny siniec, drugi na szczęce, dokładnie nad podwójnym podbródkiem. Gdy jego oczy przywykły do oślepiającego blasku, rozpoznał siedzącego przed nim Gloktę, a na jego twarzy zajaśniała nadzieja.

„Jakże błędnie umiejscowiona”.

– Glokta, musisz mi pomóc! – zapiszczał, wychylając się, na ile mu pozwalały więzy; słowa, które dobieły się z jego ust, brzmiały niczym rozpaczliwy, niewyraźny bełkot. – Zostałem niesłusznie oskarżony, wiesz o tym, jestem niewinny! Przyszedłeś, żeby mi pomóc, tak? Jesteś moim przyjacielem! Masz tu wpływy. Jesteśmy przyjaciółmi, przyjaciółmi! Mógłbyś wstawić się za mną! Jestem niewinnym człowiekiem, fałszywie oskarżonym! Jestem...

Glokta uciszył go gestem podniesionej dłoni. Przyglądał się przez chwilę znajomej twarzy Rewsa, jakby nigdy wcześniej nie widział jej na oczy. Potem zwrócił się do Frosta.

– Znam tego człowieka?

Albinos nie odpowiedział. Dolną część twarzy miał zakrytą przez maskę praktyka, górna zaś niczego nie zdradzała. Nie mrugnawszy nawet, obserwował więźnia na krześle, a jego różowe oczy były martwe jak nieżywy człowiek. Nie mrugnął ani razu, odkąd Glokta wszedł do tego pomieszczenia.

„Jak on to robi?”.

– To ja, Rews! – zasyczał tłusty mężczyzna; ton jego głosu osiągał z wolna nutę paniki. – Salem Rews, znasz mnie, Glokta! Byliśmy na wojnie, zanim... wiesz... Jesteśmy przyjaciółmi! Słuchaj...

Glokta znowu uniósł dłoń i oparł się o krzesło, po czym zaczął stukać paznokciem w jeden z zębów, które mu pozostały, jakby głęboko zamyślony.

– Rews. Nazwisko jest mi znane. Kupiec należący do gildii kupców bławatnych. Bogaty człowiek, jak zewsząd słyhać. Przypominam sobie teraz... – Glokta nachylił się, milcząc przez chwilę dla większego efektu. – Był zdrajcą! Został zatrzymany przez Inkwizycję, jego majątek skonfiskowano. Widzisz, spiskował w celu uniknięcia podatków królewskich.

Rews miał teraz szeroko otwarte usta.

– Tak, podatków królewskich! – wrzasnął Glokta, uderzając dłonią o stół.

Tłusty mężczyzna gapił się tylko szeroko otwartymi oczami. Po chwili przesunął językiem po którymś zębie. „Prawa górna strona, drugi od tyłu”.

– Ale gdzie się podziały nasze maniery? – spytał Glokta, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – Być może się kiedyś znaliśmy, a być może nie, ale nie wydaje mi się, byśmy wraz z moim pomocnikiem zostali ci odpowiednio przedstawieni. Praktyku Frost, przywitaj się z tym tłustym człowiekiem.

Był to cios wymierzony otwartą dłonią, ale dostatecznie silny, by zwalić Rewsa z krzesła, które zatrzęszczało, ale poza tym nie poniosło żadnego uszczerbku.

„Jak się to dzieje? Cios zrzuca człowieka na ziemię, ale krzesło stoi dalej?”.

Rews, leżał jak długi, bulgocząc, z twarzą przyciśniętą do kamiennych płyt.

– Przypomina mi wieloryba wyrzuconego na brzeg – zauważył od niechcienia Glokta.

Albinos chwycił Rewsa pod pachy, podniósł i posadził z powrotem na krześle. Z rozcięcia na policzku ciekła mężczyźnie krew, ale różowe oczka patrzyły nieustępliwie.

„Wymierzenie ciosu zmiękcza większość ludzi, ale niektórzy twardnieją. Nigdy bym nie przypuszczał, że ten tutaj też tak zareaguje, ale życie jest pełne niespodzianek”.

Rews splunął krwią na blat stołu.

– Posunąłeś się za daleko, Glokta, o tak! Kupcy bławatni to szanowana gildia; ma wpływy. Nie będzie tego tolerowała! Jestem powszechnie znanym człowiekiem! W tej chwili moja żona wnosi do króla o posłuchanie w mojej sprawie!

– Ach, twoja żona – uśmiechnął się ze smutkiem Glokta. – Twoja żona jest bardzo piękną kobietą. Piękną i młodą. Obawiam się, że być może odrobinę za młodą dla ciebie. Obawiam się, że skorzystała z okazji, by się ciebie pozbyć. Obawiam się, że pokazała nam twoje księgi. Wszystkie księgi.

Twarz Rewsa zbladła.

– Przyjrzelśmy się tym księgom – oznajmił Glokta, wskazując wyimaginowany stos papierów po swojej lewej stronie. – A potem przyjrzelśmy się księgom w skarbcu – dodał, wskazując drugi niewidoczny stos, po prawej. – Wyobraź sobie nasze zdumienie, kiedy się okazało, że nie możemy zsumować pewnych liczb. Do tego doszły nocne wizyty twoich podwładnych w magazynach w starej dzielnicy, małe łodzie, których nigdzie nie odnotowano, opłacanie się urzędnikom, sfałszowana dokumentacja. Mam wymieniać dalej? – spytał Glokta, potrząsając głową z głęboką dezaprobatą, a tłusty mężczyzna przełknął z wysiłkiem i oblizwał wargi.

Przed więźniem położono pióro i kałamarz, a także formularz wyznania, wypełniony szczegółowo pięknym, starannym pismem Frosta, czekający tylko na podpis.

„Przygwoźdź go, tu i teraz”.

– Wyznaj, Rews – wyszeptał Glokta. – I zakończ bezboleśnie tę żalną sprawę. Wyznaj i wymień swoich współników. Wiemy już, kim są. Wszystkim nam ułatwi to życie. Nie chcę cię skrzywdzić, wierz mi, nie sprawi mi to żadnej przyjemności. – „Nic mi jej nie sprawi”. – Wyznaj. Wyznaj, a zostaniesz oszczędzony. Wygnanie do Anglandu nie jest takie złe, jak by ci ktoś chciał wmówić. Tamtejsze życie ma swoje przyjemności, jest też satysfakcja jaką daje dzień uczciwej pracy w służbie twego króla. Wyznaj!

Rews wpatrywał się w podłogę, oblizując swój ząb. Glokta westchnął i oparł się o krzesło.

– Albo nie rób tego, a wrócę ze swoimi narzędziami.

Frost ruszył do przodu, a jego masywny cień padł na tłustą twarz mężczyzny.

– Ciało unoszone na fali w okolicy doków – oznajmił jednym tchem Glokta. – Wzdęte od morskiej wody i straszliwie zmasakrowane... wręcz... nie do rozpoznania. – „Jest gotów mówić. Jest tłusty, dojrzały i bliski pęknięcia”. – Czy rany zostały zadane przed czy po śmierci? – spytał pogodnie w stronę sufitu. – Czy ten tajemniczy zmarły człowiek był mężczyzną, czy może nawet kobietą? – Glokta wzruszył ramionami. – Kto to może wiedzieć?

Rozległo się ostre pukanie. Rews uniósł gwałtownie twarz, znów pełen nadziei.

„Nie teraz, do diabła!”.

Frost podszedł do drzwi i uchylił je nieco. Ktoś coś powiedział. Drzwi się zamknęły, Frost nachylił się, żeby szepnąć do ucha inkwizytorowi.

– Tho Theverar – usłyszał Glokta niewyraźne mamrotanie, z czego zrozumiał, że na korytarzu stoi Severard.

„Już?”.

Glokta uśmiechnął się i przytaknął, jakby to była dobra wiadomość. Twarz Rewsa zapadła się odrobinę.

„Jakim cudem człowiek, który miał tyle sekretów, nie potrafi ukryć swych uczuć w tym pomieszczeniu?”.

Lecz Glokta znał odpowiedź na to pytanie.

„Trudno zachować spokój, kiedy jest się przerażonym, bezradnym, samotnym, na łasce ludzi, którzy łaski nie znają. Kto mógłby wiedzieć o tym lepiej ode mnie?”.

Westchnął i posługując się swoim zmęczonym i zatroskanym tonem, spytał:

– Pragniesz wyznać?

– Nie! – W świńskich oczach więźnia znów pojawiła się hardość. Patrzył twardo, milczący i czujny, po chwili wciągnął z sykiem powietrze.

„Zdumiewające. Naprawdę zdumiewające. Z drugiej jednak strony dopiero zaczęliśmy”.

– Ząb ci dokucza, Rews? – Nie istniało nic, czego Glokta nie wiedziałby o zębach. Nad jego własnymi ustami pracowali najlepsi. „Albo najgorsi, zależnie od tego, jak się na to patrzyło”. – Wydaje się, że muszę cię teraz zostawić, ale w tym czasie będę myślał o twoim zębie. Będę się bardzo intensywnie zastanawiał, co z nim zrobić. – Ujął swoją łaskę. – Chcę, żebyś pomyślał o mnie, pomyślał o swoim zębie. I chcę też, żebyś pomyślał, bardzo uważnie, o podpisaniu wyznania.

Glokta podniósł się niezgrabnie, potrząsając obolałą nogą.

– Myślę jednak, że możesz pozytywnie zareagować na zwykłe, prostackie bicie, więc zamierzam zostawić cię na pół godziny w towarzystwie praktyka Frosta.

Usta Rewsa zamieniły się w milczący krąg zdumienia. Albinos podniósł krzesło razem z tłustym człowiekiem i obrócił je wolno.

– Jest absolutnie najlepszy w swojej dziedzinie.

Frost wyjął parę podniszczonych skórzanych rękawic i zaczął je uważnie wkładać na swoje wielkie białe dłonie, palec za palcem.

– A ty zawsze lubiłeś mieć to, co najlepsze, prawda, Rews? – Glokta ruszył w stronę drzwi.

– Czekaj, Glokta! – zawył przez ramię Rews. – Czekaj, ja...

Praktyk Frost zacisnął na jego ustach dłoń w rękawiczce i uniósł palec do swojej maski.

– Thiii – powiedział.

Drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem.

Severard opierał się o ścianę na korytarzu, zginając nogę i dotykając stopą tynku za plecami; gwizdał fałszywie pod maską i przesuwiał dłonią po swoich długich, prostych włosach. Kiedy Glokta wyszedł z pomieszczenia, wyprostował się i skłonił nisko. Widać było po jego oczach, że się uśmiecha.

„Zawsze się uśmiecha”.

– Superior Kalyne chce się z tobą widzieć, panie – oznajmił swym pospolitym, silnym akcentem. – Muszę wyznać, że nigdy nie widziałem go bardziej rozgniewanym.

– Severard, biedaku, musisz być przerażony. Masz to pudełko?

– Mam.

– I wzięłeś coś dla Frosta?

– Wziąłem.

– I coś dla swojej żony, mam nadzieję?

– O tak – odparł Severard, a jego oczy uśmiechnęły się bardziej niż kiedykolwiek. – Moja żona zostanie odpowiednio potraktowana. Jeśli będę ją miał.

– To dobrze. Spieszę na wezwanie superiora. Kiedy będę siedział u niego około pięciu minut, wejdź z pudełkiem.

– Mam po prostu wtargnąć do jego gabinetu?

– Masz wtargnąć i dźgnąć go w twarz, jeśli o mnie chodzi.

– Zrobi się, inkwizytorze. Załatwione.

Glokta przytaknął, odwrócił się, potem przystanął, i znów się odwrócił.

– Tak naprawdę, to go nie dźgaj, Severard. Rozumiesz?

Praktyk uśmiechnął się swoimi oczami i schował do pochwy groźnie wyglądający nóż. Glokta spojrział wymownie na sufit, potem pokuśtykał przed siebie, postukując laską o kamienne płyty i czując pulsowanie w nodze. Trzask, stukot, ból. To był rytm jego kroku.

\* \* \*

Gabinet superiora był wielkim i bogato urządzonym pomieszczeniem, na jednym z wyższych kondygnacji Domu Pytań – pokojem, gdzie wszystko wydawało się zbyt wielkie i zbyt wyszukane. Jedną z wykładanych drewnem ścian zajmowało niemal w całości ogromne, przemyślnie zdobione okno, wychodzące na wypielęgowany ogród w dole. Równie wielkie i zdobione biurko stało pośrodku barwnego dywanu, pochodzącego z jakiegoś ciepłego i egzotycznego miejsca, a nad wspaniałym kamiennym kominkiem, gdzie płonął maleńki i bliski wygaśnięcia ogień, umieszczono głowę jakiegoś dzikiego zwierzęcia, które dla odmiany pochodziło z zimnego egzotycznego miejsca.

Sama postać superiora Kalyne'a sprawiała, że jego gabinet wydawał się niewielki i bezbarwny. Potężny, rumiany mężczyzna po pięćdziesiątce rekompensował sobie z naddatkiem brak włosów wspaniałymi białymi bokobrodami. Nawet Inkwizycja uważała go za niezwykle onieśmielającą osobowość, ale Glokta się już go nie bał, i obaj o tym wiedzieli.

Za biurkiem stało wielkie, wyszukane krzesło, ale superior chodził tam i z powrotem, krzycząc i wymachując ramionami. Glokta usiadł na czymś, co chociaż wydawało się bez wątpienia bardzo kosztowne, zostało zaprojektowane w taki sposób, by usadowionemu na nim człowiekowi było tak niewygodnie, jak to tylko możliwe.

„Nie przeszkadza mi to zbyt. Nigdy nie jest mi wygodnie”.

Bawił się myślą, że to głowa Kalyne'a wisi nad kominkiem zamiast zwierzęcego łba, podczas gdy superior pieklił się na niego.

„Jest taki sam jak jego kominek, wielki głupiec. Wygląda imponująco, ale pod tą powierzchnią niewiele się dzieje. Ciekawe, jak reagowałby na przesłuchanie? Zacząłbym od tych śmiesznych bokobrodów”.

Pomimo takich refleksji, twarz inkwizytora była maską skupienia i szacunku.

– Tym razem przesadziłeś, Glokta, ty szalony kaleko! Kiedy gildia kupców bławatnych dowie się o tym, obedrze cię ze skóry!

– Próbowałem tego; łaskocze.

„Do diabła, siedź cicho i uśmiechaj się. Gdzie ten pogwizdujący głupiec Severard? Sam każę go obedrzeć ze skóry, kiedy stąd wyjdę”.

– O tak, dobrze, bardzo dobrze, Glokta, naprawdę mnie to bawi. Unikanie królewskich podatków? – Superior spoglądał na niego z gniewem, tarmosząc zjeżone bokobrody. – Królewskie podatki?! – wrzeszczał, obryzgując Gloktę śliną. – Wszyscy to robią! Bławatnicy, kupcy korzenni, wszyscy! Każdy cholerny głupiec, który ma łódź!

– Ale działa się to tak otwarcie, superiorze. Była to dla nas obelga. Uważałem, że musimy...

– Uważałeś? – Kalyne był czerwony na twarzy i trząsł się z wściekłości. – Powiedziano ci wyraźnie, żebyś trzymał się z dala od kupców bławatnych, z dala od kupców korzennych, z dala od wszystkich wielkich gildii!

Chodził tam i z powrotem coraz szybciej.

„Zetrzesz sobie dywan. Wielkie gildie będą musiały kupić ci nowy”.

– Uważałeś, tak? Będzie musiał wrócić! Trzeba go uwolnić, a ty znajdziesz sposób, by przeprosić ich uniżenie! To przekłeta hańba! Przez ciebie wyszedłem na głupca! Gdzie on teraz jest?

– Zostawiłem go w towarzystwie praktyka Frosta.

– Z tym mamrocącym zwierzęciem? – Superior zaczął sobie rwać włosy z głowy. – A więc wszystko przepadło! Jest już strzępem człowieka! Nie możemy go odesłać w takim stanie! Jesteś tu skończony, Glokta! Skończony! Idę od razu do arcylektora! Prosto do arcylektora!

Wielkie drzwi otworzyły się gwałtownie i do gabinetu wkroczył Severard, trzymając drewniane pudełko.

„Ani o sekundę za wcześnie”.

Superior tylko patrzył bez słowa, otworzywszy usta z gniewu, kiedy Severard postawił pudełko na biurku z głośnym trzaskiem i brzękiem.

– Co to ma u diabła znaczyć...

Severard zdjął wieko i Kalyne zobaczył pieniądze.

„Wszystkie te cudowne pieniądze”.

Urwał w połowie tyrady, usta znieruchomiały na słowie, które zamierzał wypowiedzieć. Sprawiał wrażenie najpierw zaskoczonego, potem zaintrygowanego, wreszcie ostrożnego. Zasznurował wargi i usiadł powoli za biurkiem.

– Dziękuję, praktyku Severard – powiedział Glokta. – Możesz odejść.

Superior gładził w zamyśleniu bokobrody, kiedy Severard zmierzał do drzwi, a jego twarz z wolna odzyskiwała swą zwykłą różową barwę.

– Skonfiskowane Rewsowi. Teraz to oczywiście własność Korony. Pomyślałem sobie, że powinienem ci je oddać, jako swemu przełożonemu, abys mógł je zwrócić do skarbcza. – „Albo kupić sobie większe biurko, pijawko”. Glokta wychylił się, opierając dłonie o kolana. – Mógłbyś powiedzieć na przykład, że Rews posunął się za daleko, że postawiono pewne pytania, że należało zrobić to dla przykładu. Ostatecznie, nie możemy siedzieć beczynnie. Pomoże to utrzymać gildie w stanie niepokoju, sprawować nad nimi kontrolę. – „Pomoże to utrzymać gildie w stanie niepokoju, a ty zdołasz wydusić z nich jeszcze więcej.” – Albo też możesz im powiedzieć, że jestem szalonym kaleką i zwalić całą winę na mnie.

Glokta był pewien, że superiorowi zaczyna się to podobać. Starał się tego nie okazywać, ale jego bokobrody dosłownie drżały, kiedy patrzył na te pieniądze.

– W porządku, Glokta. W porządku. Bardzo dobrze. – Wyciągnął rękę i starannie przykrył pudełko wieczkiem. – Ale jeśli jeszcze raz przyjdzie ci coś takiego do głowy... najpierw porozmawiaj ze mną, dobrze? Nie lubię niespodzianek.

Glokta podniósł się z wysiłkiem i pokuśtykał w stronę drzwi.

– Och, jeszcze jedno! – zawołał superior i inkwizytor odwrócił się sztywno. Kalyne patrzył na niego surowo spod wielkich, krzaczastych brwi. – Kiedy udam się do bławatników, będę musiał zabrać ze sobą wyznanie Rewsa.

Glokta uśmiechnął się szeroko, ukazując przy tym ziejące dziury w przednim uzębieniu.

– Nie powinno być z tym żadnego problemu, superiorze.

Kalyne się nie mylił. Rews nie mógł powrócić w takim stanie. Wargi miał rozerwane i zakrwawione, boki pokryte ciemniejącymi sińcami, głowa chwiała się na boki, twarz była spuchnięta i prawie nie do rozpoznania.

„Krótko mówiąc, wygląda jak człowiek gotów wyznać”.

– Trudno mi sobie wyobrazić, Rews, żeby ostatnie pół godziny sprawiło ci przyjemność. Jakąkolwiek przyjemność. Być może było to najgorsze pół godziny twojego życia, słowo daję. Myślę jednak o tym, co cię jeszcze czeka, i ze smutkiem muszę przyznać, że... lepiej już nie będzie. To, co jest teraz, to pełnia szczęścia. – Glokta nachylił się, jego twarz niemal dotykała krwawej miazgi, jaką był teraz nos Rewsa. – Praktyk Frost to mała dziewczynka w porównaniu ze mną – wyszeptał. – Jest kociątkiem. Kiedy przystąpię do dzieła, Rews, będziesz tęsknił do tej chwili. Będziesz błagał, bym dał ci pół godziny z praktykiem. Rozumiesz?

Rews milczał, słyhać było tylko świst powietrza dobywającego się przez złamany nos.

– Pokaż mu narzędzia – nakazał szeptem Glokta.

Frost zbliżył się i teatralnym gestem otworzył polerowaną kasetę. Było to arcydzieło rzemiosła. Wraz z podniesieniem wieka z wnętrza wysunęły się liczne tacki i rozłożyły niczym wachlarz, ukazując instrumenty Glokty w całej swej okrutnej wspaniałości. Były tam ostrza wszelkiego rodzaju i kształtu, igły, zakrzywione i proste, butelki z olejem i kwasem, obcęgi i szczypce, piły, młotki, dłuta. Metal, drewno i szkło połyskiwały w oślepiającym blasku lamp, wszystko wypolerowane do zwierciadlanej nieskazitelności i wygładzone do morderczej ostrości. Ogromny siny obrzęk pod lewym okiem Rewsa zakrył je całkowicie, ale to drugie przesunęło spojrzeniem po instrumentach, pełne grozy i fascynacji. Przeznaczenie niektórych narzędzi było straszliwie oczywiste, ale innych straszliwie niejasne.

„Zastanawiam się, które budzi w nim największy strach?”.

– Rozmawialiśmy chyba o twoich zębach – mruknął Glokta. Oko Rewsa uniosło się gwałtownie i spojrzało na niego. – Czy może wolisz wyznać?

„Mam go, jest już gotowy. Wyznaj, wyznaj, wyznaj, wyznaj, wyznaj...”.

Ktoś zapukał, gwałtownie i ostro.

„Do diabła, znowu!”.

Frost uchylił odrobinę drzwi, poszeptał z kimś przez chwilę. Rews obliznął nabrzmiałą wargę. Drzwi się zamknęły, albinos nachylił się do ucha inkwizytora.

– Tho Arcekhtor.

Glokta zamarł.

„Pieniądze to za mało, jak się okazuje. Kiedy człapałem z gabinetu Kalyne'a, ten stary drań doniósł na mnie do arcylektora. Jestem zatem skończony?”.

Poczuł na tę myśl dreszcz winy.

„No cóż, najpierw zajmę się tą tłustą świnią”.

– Powiedz Severardowi, że już idę. – Glokta odwrócił się do więźnia, żeby z nim rozmawiać, ale Frost położył mu na ramieniu dużą białą dłoń.

– Arcekhtor. – Frost wskazał drzwi. – On thu jesth.

„Tutaj?”.

Glokta poczuł, jak drga mu powieka.

„Dlaczego?”.

Dźwignął się, wspierając o blat stołu.

„Czy znajdą mnie jutro w kanale? Martwego i wzdętego, nie do... nie do rozpoznania?”.

Jedynym uczuciem, jakiego doznał na tę myśl była łagodna ulga.

„Nigdy więcej schodów”.

Na korytarzu stał arcylektor Inkwizycji Jego Królewskiej Mości. Brudna ściana za jego plecami wydawała się niemal brązowa, tak olśniewająco czysty był jego długi biały płaszcz, białe rękawiczki, burza białych włosów. Liczył już ponad sześćdziesiąt lat, ale nie zdradzał najmniejszych oznak słabości. Każda cząstka jego wysokiej, gładko ogolonej i drobnokościstej postaci wydawała się nieskazitelna.

„Wygląda jak człowiek, którego w życiu nic nigdy nie zaskoczyło”.

Spotkali się już kiedyś, sześć lat wcześniej, kiedy Glokta wstąpił do Inkwizycji; arcylektor w ogóle się nie zmienił. Arcylektor Sult. Jeden z najpotężniejszych ludzi w Unii.

„Jeden z najpotężniejszych ludzi na świecie, szczerze mówiąc”.

Za nim, niemal jak ogromne cienie, majaczyły postaci dwóch wielkich, milczących praktyków w czarnych maskach.

Arcylektor uśmiechnął się nieznacznie, kiedy ujrzał, jak Glokta wychodzi na korytarz, powłócząc nogami. Ten uśmiech wyrażał bardzo wiele.

„Łagodną pogardę, łagodne współczucie, ledwie dostrzegalny cień groźby. Wszystko z wyjątkiem rozbawienia”.

– Inkwizytorze Glokta – powiedział, wyciągając dłoń w białej rękawiczce, palcami do dołu. Na jednym z nich błysnął wielki fioletowy kamień.

– Służę i jestem posłuszny, Eminencjo.

Glokta nie mógł powstrzymać grymasu, gdy pochylał się wolno, by dotknąć ustami pierścienia. Trudny i bolesny manewr zdawał się trwać wiecznie. Gdy inkwizytor wyprostował się wreszcie, Sult obserwował go spokojnie swymi chłodnymi niebieskimi oczami. Jego spojrzenie dowodziło, że rozumie Gloktę doskonale i jest nieporuszony.

– Chodź ze mną.

Arcylektor odwrócił się i ruszył przed siebie miarowym krokiem. Glokta pokuśtykał za nim, milczący praktycy maszerowali tuż za jego plecami. Sult poruszał się z pozbawioną jakiegokolwiek wysiłku, leniwą pewnością siebie, poły jego płaszcz poruszały się z wdziękiem.

„Łajdak”.

Wkrótce dotarli do jakichś drzwi, które nie różniły się od innych. Arcylektor otworzył je i wszedł do środka, praktycy zaś zajęli miejsca na korytarzu po obu stronach, krzyżując ramiona.

„A zatem prywatne posłuchanie. Takie, z którego być może nie wyjdę”.

Glokta przekroczył próg.

Znaleźli się w pomieszczeniu o ścianach pokrytych surowym białym tynkiem, zbyt jasno oświetlonym i o zbyt niskim suficie, by można się było czuć tu dobrze. Widniała na nim rysa zamiast plamy wilgoci, ale poza tym pokój niczym się nie różnił od pokoju Glokty. Był tu porysowany stół, tanie krzesła, a nawet niezbyt starannie usunięta plama krwi.

„Ciekawe, czy została namalowana dla efektu?”.

Nagle jeden z praktyków zamknął drzwi z głośnym trzaskiem. Chodziło zapewne o to, by Glokta drgnął, ale nic po sobie nie pokazał.

Arcylektor Sult usiadł z wdziękiem na jednym z tych krzesel i podsunął inkwizytorowi gruby plik żółtych papierów. Wskazał dłonią drugie krzesło, to przeznaczone dla więźnia. Glokta dostrzegł aluzję.

– Wolę stać, Eminencjo.

Sult uśmiechnął się do niego. Miał piękne, zwięzające się zęby, bez wyjątku olśniewająco białe.

– Nie, wolisz siedzieć.

„Celnie uderza”.

Glokta osunął się niezbyt zgrabnie na miejsce dla przesłuchiwanego, podczas gdy arcylektor przewrócił pierwszą stronę w pliku dokumentów, zmarszczył czoło i potrząsnął nieznacznie głową, jakby straszliwie rozczarowany tym, co zobaczył.

„Szczegóły mojej wspaniałej kariery, być może?”

– Odwiedził mnie niedawno superior Kalyne. Był niezwykle oburzony. – Twarde niebieskie oczy Sulta uniosły się znad papierów. – Oburzony na ciebie, Glokta. Był pod tym względem niezwykle wymowny. Powiedział mi, że stanowisz zagrożenie, nad którym nikt nie panuje, że działasz bez jakiegokolwiek refleksji nad konsekwencjami, że jesteś szalonym kaleką. – Arcylektor uśmiechnął się, był to zimny, nieprzyjemny uśmiech, ten sam, jakim Glokta obdarzał swoich więźniów.

„Z tą różnicą, że widać więcej zębów”.

– Myślę, że chodziło mu o to, by cię usunąć... całkowicie. Patrzyli na siebie ponad stołem.

„Czy to odpowiednia chwila, bym błagał o litość? Czy to odpowiednia chwila, bym czołgał się po podłodze i całował jego stopy? No cóż, za mało mnie to obchodzi, bym miał błagać, i jestem zbyt zeszywniały, by się czołgać. Twój praktycy będą musieli mnie zabić, kiedy będę siedział. Poderżnąć mi gardło. Rozwalić głowę. Cokolwiek. Dopóki będą mieli na to ochotę”.

Ale Sult się nie spieszył. Dłoń w białej rękawiczce poruszała się z wdziękiem, precyzyjnie, stronice szeleściły i szeptały.

– Niewielu mamy takich ludzi w Inkwizycji, Glokta. Człowiek szlachetnego rodu, z doskonałej rodziny. Mistrz szermierki, dzielny oficer kawalerii. Człowiek sposobiony do najwyższych stanowisk.

Sult przyjrzał mu się z uwagą, jakby nie mógł w to wszystko uwierzyć.

– To było przed wojną, arcylektorze.

– Ma się rozumieć. Kiedy cię schwytano, zapanowała konsternacja; nikt nie liczył, że wrócisz żywy, nie było na to wielkiej nadziei. W miarę jak wojna się przeciągała i mijały miesiące, ta nadzieja zmalała do zera, ale gdy podpisano traktat, znalazłeś się wśród więźniów przekazanych Unii. – Spojrzał na Głoktę zmrużonymi oczami. – Mówiłeś?

Glokta nie mógł się powstrzymać i wybuchnął przenikliwym śmiechem, który zabrzmiał w tym chłodnym pomieszczeniu dziwnie. Tu, na dole, rzadko słyszano taki dźwięk.

– Czy mówiłem? Mówiłem aż do zdarcia gardła. Mówiłem im wszystko, co tylko mi przyszło do głowy. Wyznałem krzykiem każdy sekret, jaki kiedykolwiek usłyszałem. Paplałem jak dziecko. Kiedy już im wszystko powiedziałem, zacząłem zmyślać. Sikałem i płakałem jak dziewczynka. Wszyscy tak robią.

– Ale nie wszyscy potrafią przetrwać. Dwa lata w więzieniu imperatorskim. Nikt nie wytrwał choćby o połowę krócej. Lekarze byli przekonani, że nigdy nie opuścisz łóżka, ale rok później złożyłeś podanie o przyjęcie w szeregi Inkwizycji.

„Obaj o tym wiemy. Obaj przy tym byliśmy. Czego chcesz ode mnie, powiedz wreszcie. Przypuszczam, że niektórzy ludzie uwielbiają brzmienie swojego głosu”.

– Powiedziano mi, że jesteś kaleką, że zostałeś złamany, że nigdy nie wrócisz do zdrowia, że nigdy nie będzie ci można zaufać. Ale byłem skłonny dać ci szansę. Co rok w turnieju wygrywa jakiś głupiec, a wojny wydają wielu obiecujących żołnierzy, jednak twoje osiągnięcie – przetrwanie tych dwóch lat – było wyjątkowe. A więc wysłano cię na Północ i przekazano pod twój zarząd jedną z naszych kopalni. Jak ci się podobało w Anglandzie?

„Bрудny ściek przemocy i korupcji. Więzienie, gdzie w imię wolności robimy niewolników z niewinnych i winnych. Cuchnąca dziura, gdzie zsyłamy tych, których nienawidzimy i których się



wstydzimy, by umarli z głodu, chorób i wyczerpania”.

– Było tam zimno – odparł Glokta.

– Tak jak ty byłeś zimny. Nie znalazłeś wielu przyjaciół w Anglandzie. Kilku cennych w Inkwizycji i ani jednego wśród wygnańców. – Wyciągnął spośród dokumentów jakiś pomięty list i rzucił na niego krytycznym okiem. – Superior Goyle powiedział mi, że byłeś jak zimna ryba, nie miałeś w sobie ani kropli krwi. Uważał, że nic nie osiągniesz, że na nic mu się nie przydasz.

„Goyle. Ten łajdak. Ten rzeźnik. Wolę nie mieć krwi niż mózgu”.

– Lecz po trzech latach produkcja wzrosła. Prawdę powiedziawszy, podwoiła się. A więc zostałeś sprowadzony z powrotem do Aduy, by pracować pod rozkazami superiora Kalyne'a. Myślałem, że może nauczysz się przy nim dyscypliny, ale wydaje się, że popełniłem błąd. Upierasz się, by postępować po swojemu. – Arcylektor popatrzył na niego ze zmarszczonym czołem. – Jeśli mam być szczerzy, to uważam, że Kalyne boi się ciebie. Myślę, że wszyscy się boją. Nie podoba im się twoja arogancja, nie podobają im się twoje metody, nie podobają im się twoje...

– A jaka jest pańska opinia, arcylektorze?

– Szczerze? Nie jestem pewien, czy i mnie podobają się twoje metody, poza tym wątpię, czy twoja arogancja jest całkowicie usprawiedliwiona. Ale podobają mi się twoje wyniki. Bardzo mi się podobają.

Poskładał zdecydowanym ruchem papiery i położył na nich dłoń, potem nachylił się w stronę Glokty.

„Tak jak ja mógłbym nachylić się ku swoim więźniom, kiedy proszę, by wyznali”.

– Mam dla ciebie zadanie – ciągnął arcylektor. – Zadanie, które pozwoli ci lepiej wykorzystać własne talenty niż uganianie się za drobnymi przemytnikami. Zadanie, które pozwoli ci odkupić się w oczach Inkwizycji. – Arcylektor zamilkł na chwilę. – Chcę, żebyś aresztował Seppa dan Teufela.

Glokta uniósł brwi.

„Teufela?”

– Mistrza mennic, Eminencjo?

– Tego samego.

„Mistrz Mennic Królewskich. Znacząca osobistość ze znaczącego rodu. Bardzo duża ryba, którą mogę złapać na haczyk w swoim małym zbiorniku. Ryba otoczona potężnymi przyjaciółmi. To może być niebezpieczne – aresztowanie takiego człowieka. Może się okazać fatalne w skutkach”.

– Mogę spytać dlaczego?

– Nie możesz. Pozwól, że ja będę się martwił o powody. Ty skoncentruj się na tym, by uzyskać wyznanie.

– Wyznanie czego, arcylekotrze?

– Jak to? Korupcji i zdrady stanu! Wydaje się, że nasz przyjaciel, mistrz mennic, był wyjątkowo niedyskretny w swych osobistych poczynaniach. Wydaje się, że brał łapówki, konspirując z gildią bławatników, by okradać króla. Wobec tego byłoby bardzo korzystne, gdyby liczący się kupiec wymienił jego nazwisko w związku z jakąś niefortunną sprawą.

„To nie może być przypadek, że w moim pokoju siedzi akurat wysoko postawiony kupiec bławatny, podczas gdy tu rozmawiamy”. Glokta wzruszył ramionami.

– Kiedy ludzie zaczynają mówić, z ich ust padają różne nazwiska, wręcz szokujące.

– Doskonale. – Arcylektor machnął nie dbale ręką. – Możesz odejść, inkwizytorze. Przyjdę po wyznanie Teufela jutro o tej samej porze. Lepiej, żebyś je miał.

Glokta oddychał powoli, przemierzając z wysiłkiem korytarz.

„Wdech, wydech, spokojnie”.

Nie spodziewał się, że wyjdzie żywy z tamtego pokoju.

„A teraz nagle poruszam się w kręgu władzy. Osobiste zadanie dla arcylektora – zmusić do wyznania zdrady stanu wysokiego urzędnika Unii. Jeden z najpotężniejszych kręgów władzy, ale jak długo? Dlaczego ja? Z powodu moich osiągnięć? Czy dlatego, że nikt nie będzie za mną tęsknił?”.

\* \* \*

– Przepraszam za te dzisiejsze przerwy w naszej rozmowie, i to szczerze; doprawdy, istny burdel, wciąż ktoś wchodzi i wychodzi.

Rews wykrzywił spękane i spuchnięte wargi w smutnym uśmiechu. „Uśmiechać się w takiej chwili... jest doprawdy niezwykły. Ale wszystko ma swój kres”.

– Czas na szczerłość, Rews. Nikt ci nie przyjdzie z pomocą. Ani dziś, ani jutro, ani nigdy. Wyznasz. Jedyne wybory, jakie ci pozostały, to chwila, kiedy to zrobisz, i stan, w jakim się będziesz wówczas znajdował. Nic nie zyskasz, odkładając tę chwilę, nic prócz bólu. Mamy go dla ciebie w nadmiarze.

Trudno było odczytać wyraz zakrwawionej twarzy Rewsa, ale jego ramiona przygarbiły się wyraźnie. Zanurzył drżącą dłońią pióro w kałamarzu, napisał swoje imię, lekko skrzywione, u dołu kartki, na której widniało wyznanie winy.

„Znów wygrałem. Czy moja noga boli mnie choć odrobinę mniej? Czy odzyskałem jakiegokolwiek zęby? Czy pomogło mi cokolwiek, że złamałem tego człowieka, którego niegdyś nazywałem przyjacielem? Więc dlaczego to robię?”.

Jedyną odpowiedzią było skrzywienie pióra na papierze.

– Doskonale – oznajmił Głokta, a praktyk Frost odwrócił dokument. – A to jest lista twoich współników?

Przebiegł leniwym spojrzeniem nazwiska.

„Garstka młodszych kupców bławatnych, trzech kapitanów morskich, oficer straży miejskiej, dwóch pomniejszych urzędników celnych. Doprawdy, nudny przepis. Sprawdźmy, czy uda się nam dorzucić trochę przypraw”.

Głokta odwrócił kartkę i znów podsunął ją więźniowi.

– Dopisz tam Seppa dan Teufela, Rews.

Otyły mężczyzna spojrzał zdziwiony, niczego nie rozumiejąc.

– Mistrza Mennic Królewskich? – wymamrotał opuchniętymi wargami.

– Zgadza się.

– Ale ja go nigdy nie spotkałem.

– I co z tego? – warknął Głokta. – Rób, co ci mówię.

Rews zawahał się, otwierając nieznacznie usta.

– Pisz, ty tłusta świnię.

Praktyk Frost strzelił palcami. Rews oblizał wargi.

– Sepp... dan... Teufel – mamrotał pod nosem, umieszczając nazwisko na liście.

– Doskonale. – Głokta starannie zamknął wieko, ukrywając swe przerażające, piękne instrumenty. – Jestem zadowolony. To obopólna korzyść, że nie będziemy musieli dziś z tego korzystać.

Frost zatrzasnął kajdany na nadgarstkach więźnia i dźwignął go brutalnie na nogi, po czym ruszył

wraz z nim w stronę drzwi w głębi pokoju.

– Co teraz?! – krzyknął Rews przez ramię.

– Angland, Rews, Angland. Nie zapomnij zabrać ciepłego ubrania.

Drzwi zatrzasnęły się za nimi. Glokta spojrzął na listę nazwisk w swoich dłoniach. Sepp dan Teufel widniał na samym dole.

„Jedno nazwisko. Na pierwszy rzut oka jak wszystkie pozostałe. Jeszcze jedno nazwisko. Ale jakże niebezpieczne”.

Na korytarzu czekał Severard, uśmiechnięty jak zawsze.

– Mam wrzucić tłusciocha do kanału?

– Nie, Severard. Wsadź go na następny statek, który odpływa do Anglandu.

– Jest pan dziś w litościwym nastroju, inkwizytorze.

Glokta prychnął.

– Miłosierdziem byłby kanał. Ta świnia nie przetrwa nawet sześciu tygodni na Północy. Zapomnij o nim. Musimy aresztować Seppa dan Teufela.

Severard uniósł zdumiony brwi.

– Nie chodzi chyba o mistrza mennic?

– O nikogo innego. Na rozkaz jego eminencji arcylektora. Zdaje się, że brał pieniądze od kupców bławatnych.

– Och, to oburzające.

– Wyruszymy, gdy tylko się ściemni. Powiedz Frostowi, żeby był gotów.

Chudy praktyk przytaknął, jego długie włosy zafalowały. Glokta odwrócił się i pokuśtykał korytarzem, stukając laską o brudne płyty i czując ogień w lewej nodze.

„Dlaczego to robię? – znów spytał samego siebie. – Dlaczego to robię?”.

# Żadnego wyboru

Logen obudził się z bolesną gwałtownością. Leżał niezgrabnie, głowę opierał o coś twardego, kolana miał podciągnięte do piersi. Uchylił odrobinę powieki i spojrzał przekrwionym okiem. Było ciemno, ale skądś docierał słaby blask. Światło przenikające biel.

Poczuł ukłucie paniki. Wiedział, gdzie się teraz znajduje. Zgromadził wcześniej trochę śniegu u wyjścia do małej jaskini, by zatrzymać tę odrobinę ciepła. Musiało padać, kiedy był pogrążony we śnie, i zasypało go. A jeśli padało gęsto, to śniegu mogło być naprawdę dużo. Zasy py głębsze niż wzrost człowieka. Pomyślał, że być może nigdy się stąd nie wydostanie. A więc wspinał się po zboczach dolin tylko po to, by umrzeć w jakiejś skalnej dziurze, zbyt ciasnej, by dało się w niej wyciągnąć nogi.

Logen przekreślił się, na ile pozwalała niewielka przestrzeń, a potem zaczął odrzucać śnieg zgrabiałymi dłońmi, przebijać się przez jego zwały, mocować się z nim, przeciskać, kłać bezgłośnie. Nagle do środka wdarło się oślepiająco jasne światło. Usunął z drogi resztki białych brył i wygrzebał się na zewnątrz.

Niebo było cudownie niebieskie, wysoko w górze płonęło słońce. Obrócił ku niemu twarz i zamknął piekące oczy, by obmyła go fala blasku. Czuł w gardle bolesny chłód powietrza. Chłód ostry jak brzytwa. Podniebienie miał suche niczym kurz, język niczym surowo obrobiony kawałek drewna. Zgarnął trochę śniegu i wepchnął go sobie w usta. Kiedy biały puch się roztopił, połknął go, a zimno, które poczuł, przyprawiło go o ból głowy.

Wyczuwał trupi smród. Nie była to woń jego wilgotnego odzienia czy kwaśno-słodkiego potu, choć i ona była nieznośna. Uświadomił sobie, że tak cuchnie koc, który zaczął już gnić. Wcześniej owinał sobie dwoma jego kawałkami dłonie i związał na nadgarstkach sznurkiem, trzeci owinał wokół głowy, niczym brudny i śmierdzący kaptur. Buty też sobie nim wypchał. Resztę wcisnął pod płaszcz. Ten kawałek materiału śmierdzał okropnie, ale ocalił mu minionej nocy życie, co w przekonaniu Logena było warte zachodu. Wiedział, że nim będzie mógł się go pozbyć, koc zacznie śmierdzieć jeszcze gorzej.

Dźwignął się z ziemi i rozejrzał wokół. Wąska, zasypana śniegiem dolina o stromych zboczach. Otaczały ją trzy wielkie iglice – sterty szarego kamienia i białe czapy na tle błękitnego nieba. Znał je. Prawdę powiedziawszy, byli to starzy przyjaciele. Jedyni, jakich opuścił. A więc znajdował się na Wysokich Szczytach. Na dachu świata. Był bezpieczny.

„Bezpieczny”, rzucił skrzekliwie do samego siebie, ale bez szczególnej radości. Z pewnością mu nie groziło, że znajdzie tu jakiegokolwiek jedzenie. Nie mógł też bez wątplenia liczyć, że zagna tu ciepła. Wiedział, że ani jedno, ani drugie nie będzie go w tym miejscu przesładować. Może i umknął przed szankami, ale znalazł się w krainie martwych. Gdyby tu został, szybko by się do nich przyłączył.

Poczuł straszliwy głód. Jego brzuch był wielką, bolesną otchłanią, która wołała do niego przeraźliwym krzykiem. Pogrzebał w torbie, szukając ostatniego skrawka suszonego mięsa. Znalazł stary, zbrązowiały ochłap, który przypominał wyschniętą gałązkę. Zbyt mały, by wypełnić otchłan, ale to wszystko, co miał. Rozerwał go zębami – wydawał się twardy jak stara skóra z butów – i połknął ze śniegiem.

Potem przysłonił oczy ramieniem i spojrzał ku północy, tam, skąd przybył dzień wcześniej.

Grunt opadał łagodnie, śnieg i skały przechodziły w sosnowe zbocza wysokich dolin, drzewa w pomarszczone pasemka pastwisk, trawiaste pagórki w morze – migoczącą linię na horyzoncie. Dom. Jego wspomnienie przyprawiło go o bolesny skurcz.

Dom. Tam była jego rodzina. Ojciec, mądry i silny; dobry człowiek, dobry przywódca swego ludu. Żona, dzieci. To była dobra rodzina. Zasługiwała na lepszego syna, lepszego męża, lepszego ojca. Jego przyjaciele też tam byli. Dawni i nowi, pospołu. Pomyślał, że z radością by się z nimi zobaczył. Porozmawiał z ojcem w długiej sali. Pobawił się z dziećmi, usiadł z żoną nad brzegiem rzeki. Pogadał o taktyce walki z Trójdrzewcem. Zapolował z Wilczarzem w wysokich dolinach, przedzierając się z włócznią przez las i zanosząc szaleńczym śmiechem.

Logen poczuł nagle bolesną tęsknotę, niemal krztusząc się jej bólem. Problem polegał na tym, że wszyscy już nie żyli. Domostwo było jedynie kręgiem czarnych drzazg, rzeka zaś ściekiem. Nigdy nie zapomniał tej chwili, gdy przekroczywszy wzgórze, ujrzał wypalone ruiny w dolinie u swych stóp. Grzebał w popiołach, szukając śladów świadczących o tym, że ktoś zdołał uciec, podczas gdy Wilczarz ciągnął go za ramię, przekonując, by dał sobie spokój. Nic tylko zwłoki, w stanie rozkładu, nie do poznania. Przestał szukać czegokolwiek. Wszyscy byli martwi, jak ludzie, których martwymi uczynili szankowie. A to oznaczało pewność.

Splunął w śnieg śliną brązową od suszonego mięsa. Martwi, zimni i zgnili albo spaleni na popiół. Zwróceni ziemi.

Logen zwarł szczęki i zacisnął w pięści dłonie owinięte kawałkami cuchnącego koca. Mógł wrócić do zgliszczy wioski nad morzem, ten ostatni raz. Mógł ruszyć przed siebie z wojennym rykiem na ustach, tak jak robił to pod Carleonem, kiedy to stracił palec i zyskał sławę. Mógł usunąć z tego świata kilku szanków. Rozłupać ich tak, jak rozłupał Shamę Bezlitosnego – od barku do brzucha, aż wypłynęły mu wnętrzności. Mógł wziąć odwet za ojca, żonę, dzieci, przyjaciół. Byłby to odpowiedni koniec dla tego, którego zwano Krwawym-dziewięć. Umrzeć, zabijając. Byłaby to pieśń warta głosu.

Lecz pod Carleonem był jeszcze młody i silny, a przy boku miał przyjaciół. Teraz był słaby, głodny i samotny, tak jak samotny może być tylko człowiek. Zabił Shamę Bezlitosnego długim mieczem, ostrym ponad wszelkie wyobrażenie. Spojrzał na swój nóż. Może był i dobry, ale jakiej zemsty zdołałby nim dokonać? I kto by zaśpiewał pieśń? Szankowie byli kiepskimi śpiewakami, pozbawionymi wyobraźni, nawet gdyby rozpoznali cuchnącego żebraka owiniętego kocem – kiedy już by go naszpikowali strzałami. Pomyślał, że zemsta może poczekać, przynajmniej do chwili, gdy zdobyłby nieco większe ostrze. Bądź co bądź, trzeba patrzeć na rzeczy trzeźwo.

A zatem na południe, pora stać się wędrowcem. Dla człowieka o jego umiejętnościach robota zawsze się znajdzie. Ciężka być może i mroczna, ale mimo wszystko robota. Miało to w sobie jakiś urok, musiał przyznać. Nie martwić się o nikogo z wyjątkiem samego siebie, nie przejmować się wagą swych decyzji, nie dźwżyć w swych dłoniach niczyjego życia i śmierci. Miał wrogów na południu, nie można było temu zaprzeczyć. Lecz Krwawy-dziewięć radził sobie z nimi wcześniej.

Znowu splunął. Teraz, kiedy miał w ustach trochę śliny, przyszło mu do głowy, by zrobić z niej użytek. To było wszystko, co posiadał – ślinę, stary kociótek i kilka kawałków cuchnącego koca. Martwy na północy albo żywy na południu. Do tego wszystko się sprowadzało i nie był to żaden wybór.

Podążać przed siebie. Tak zawsze robił. Oto zadanie, które nieodmiennie towarzyszy przetrwaniu, czy ktoś zasługuje na życie, czy też nie. Pamiętać o zmarłych w miarę możliwości. Wypowiedzieć w ich imieniu kilka słów. A potem podążać przed siebie i liczyć na zmianę losu.

Logen zaciągnął się głęboko zimnym powietrzem i odetchnął.

– Powodzenia, moi przyjaciele – mruknął. – Powodzenia.

Potem zarzucił sobie torbę na ramię, odwrócił się i zaczął brnąć po głębokim śniegu. Ku nizinom, na południe, byle dalej od gór.

\* \* \*

Wciąż padało. Miękki deszcz, pokrywający wszystko zimną rosą, zbierał się na gałęziach, na liściach, na igłach, po czym spadał wielkimi dorodnymi kroplami, które przenikały mokre ubranie Logena i kłuły jego równie moką skórę.

Przycupnął, nieruchomy i bezgłośny, w wilgotnych zaroślach; po twarzy spływała mu woda, ostrze noża połyskiwało. Wyczuwał wielkie poruszenie lasu i słyszał wszystkie jego tysięczne odgłosy. Pełzanie niezliczonych owadów, ślepą dreptaninę kretów, płochliwy szelest jeleni, powolne pulsowanie soków w starych pniach drzew. Każda żywa istota zajmowała się poszukiwaniem jedzenia, a on robił to samo. Skupił umysł na najbliższym zwierzęciu, które poruszało się ostrożnie w zaroślach po prawej stronie. Coś smacowego. Las umilkł, słysząc było jedynie krople spływające z gałęzi. Świat się skurczył. Istniał tylko Logen i jego posiłek.

Kiedy ocenił, że zwierzę jest już dostatecznie blisko, wyskoczył z zarośli i przygwoździł zdobycz do ziemi. Młody jelen. Wierzgał nogami i walczył, ale Logen był silny i szybki; wbił rogaczowi nóż w szyję i rozciął mu gardło. Z rany trysnęła ciepła krew, rozlewając się po dłoniach Logena i mokrej ziemi.

Podniósł martwego kozła i zarzucił go sobie na ramię. Postanowił, że przyrządzi z niego smaczną potrawkę, może nawet z grzybami. Bardzo smaczną. Potem, kiedy już napełni żołądek, poprosi duchy o radę. Wiedział, że będzie ona raczej bezużyteczna, ale z ich towarzystwa bardzo by się ucieszył.

Kiedy dotarł do swojego obozowiska, zbliżał się już zachód słońca. Było to schronienie odpowiednie dla bohatera postury Logena – dwa mocne i długie kije, podtrzymujące wiązki gałęzi nad zagłębieniem w ziemi. Mimo wszystko, było tam względnie sucho, zresztą deszcz już ustał. Logen zamierzał rozpalić tego wieczoru ogień. Już dawno nie czekał go taki posiłek. Ogień, jego własny ogień.

Później, najedzony i wypoczęty, nabił swoją fajkę czagą. Znalazł ją kilka dni wcześniej, rosła u podnóża drzewa, duże i wilgotne kręgi. Oderwał spory kawałek, ale dopiero teraz wyschła na tyle, by dało się ją palić. Wyjął z ognia płonąca gałązkę i wsunął do główki, zaciągając się mocno, aż w końcu grzyby się zajęły, wydając znajomy ziemisto-słodki zapach.

Logen zakaszłał, wypuścił z ust brązowy dym i zapatrzył się w tańczące płomienie. Jego myśli powędrowały ku innym czasom i innym ogniskom. Był tam Wilczarz szczerzący w uśmiechu spiczaste zęby, na których połyskiwało światło. Naprzeciwko siedział Tul Duru, wielki jak góra, jego śmiech przypominał grzmot. Także Forley Najśłabszy, zerkający nerwowo na boki, zawsze trochę przestraszony. I Rudd Trójdrzewiec, i Harding Ponurak, który się nie odzywał. Nigdy się nie odzywał. Dlatego nazywali go Ponurakiem.

Wszyscy tam siedzieli. Tylko że ich nie było. Dawno już nie żyli, zwrócenii ziemi. Logen opróżnił fajkę do ogniska i odłożył na bok. Nie miał teraz na nią ochoty. Przypomniał sobie słowa ojca, z którym się zgadzał. Nigdy nie powinno się palić w samotności.

Odkręcił pociętą flaszkę, wziął całe usta płynu i prychnął chmurą maleńkich kropeł. W zimnym powietrzu wzniósł się gwałtownie płomień. Logen otarł wargi, rozkoszując się gorącym, gorzkim

smakiem. Potem oparł się o chropowaty pień sosny i czekał.

Upłynęła chwila, zanim się zjawili. Trzech. Wyszli bezgłośnie z cienia między drzewami i zbliżyli się wolno do ognia; wkroczywszy w krąg światła, przybrali kształt.

– Dziewięciopalcy – oznajmił pierwszy.

– Dziewięciopalcy – powiedział drugi.

– Dziewięciopalcy – wyrzekł trzeci.

Ich głosy brzmiały jak tysięczne dźwięki lasu.

– Witajcie przy moim ogniu – zwrócił się do nich Logen; duchy przycupnęły, wpatrując się w niego bez drgnienia. – Tylko trzech dzisiejszej nocy?

Ten po prawej stronie odezwał się pierwszy.

– Każdego roku, kiedy budzimy się po zimie, jest nas coraz mniej. Tylko my pozostaliśmy. Jeszcze kilka wiosen i też zaśniemy na zawsze. Nie pozostanie nikt, kto mógłby odpowiedzieć na twoje wezwanie.

Logen przytaknął ze smutkiem.

– Jakież nowiny ze świata?

– Słyszeliśmy, że pewien człowiek spadł z klifu do rzeki, ale wypłynął żywy; potem, u progu wiosny, przeszedł przez Wysokie Szczyty okryty gnijącym kocem, ale nie dajemy wiary takim plotkom.

– Bardzo mądrze.

– Bethod wszczyna wojnę – oświadczył duch pośrodku.

Logen zmarszczył czoło.

– Bethod zawsze wszczyna wojnę. Taki już jest.

– Owszem. Wygrał tyle walk z twoją pomocą, że włożył sobie na głowę złoty hełm.

– Niech diabli tego drania – zawyrokował Logen, spluwając w ogień. – Co jeszcze?

– Na północ od gór krążą szankowie i wszystko podpalają.

– Kochają ogień – zauważył duch pośrodku.

– Zgadza się – przyznał ten po lewej. – Jeszcze bardziej niż tacy jak ty, Dziewięciopalcy. Kochają go i darzą lękiem. – Duch wychylił się do przodu. – Słyszeliśmy, że szuka cię jakiś człowiek z bagien na południu.

– Potężny człowiek – dodał ten pośrodku.

– Mag Dawnego Czasu – wyjaśnił ten po lewej.

Logen uniósł zdziwiony brwi. Słyszał o tych magach. Spotkał raz czarnoksiężnika, ale zabił go bez trudu. Żadnych nadprzyrodzonych mocy, w każdym razie Logen ich nie dostrzegł. Ale mag to było coś zupełnie innego.

– Słyszeliśmy, że magowie są mądrzy i silni – oznajmił duch pośrodku. – I że ktoś taki mógłby zaprowadzić człowieka daleko i pokazać mu wiele rzeczy. Ale są też biegli i mają swoje własne cele.

– Czego chce?

– Spytaj go.

Duchy nie przejmowały się zbytnio sprawami ludzi i nigdy nie potrafiły podać konkretnych szczegółów. Mimo wszystko było to lepsze niż zwyczajowa rozmowa o drzewach.

– Co zrobisz, Dziewięciopalcy?

Logen zastanawiał się przez chwilę.

– Wyruszę na południe i odnajdę tego maga, a potem spytam go, czego ode mnie chce.

Duchy przytaknęły. Nie zdradziły niczym, czy uważają to za dobry pomysł, czy też nie. Nie

obchodziło ich to.

– Żegnaj zatem, Dziewięciopalczy – powiedział duch po prawej stronie. – Być może po raz ostatni.

– Spróbuję dać sobie radę bez was.

Duchy nie zrozumiały żartu Logena. Podniosły się i oddaliły od ognia, rozplywając się z wolna w ciemności. Wkrótce zniknęły, ale Logen musiał przyznać, że przydały mu się bardziej, niż na to liczył. Podsunęły mu cel.

Postanowił wyruszyć rankiem na południe i odszukać tego maga. Kto wie? Może będzie z niego dobry rozmówca? Lepsze to niż zostać naszpikowanym strzałami za nic. Logen zapatrzył się w płomienie, przytakując sobie bez pośpiechu.

Pamiętał inne czasy i inne ogniska, kiedy jeszcze nie był sam.



# Zabawa z ostrzami

Adua cieszyła się pięknym wiosennym dniem, słońce grzało przyjemnie przez konary aromatycznego cedru, rzucając nakrapiany cień na graczy. Po dziedzińcu przebiegał miły wietrzyk, więc trzeba było mocno trzymać karty albo kłaść na nich kielichy lub monety. Drzewa rozbrzmiewały świergotem ptaków, a nieco dalej szczękały metalicznie nożyce, którymi ogrodnik ścinał trawę; dźwięk odbijał się słabym i monotonnym echem od wysokich kwadratowych budynków dziedzińca. To natomiast, czy gracze uważali sumę pieniędzy pośrodku stolika za równie przyjemną jak dzień, zależało oczywiście od kart, które trzymali w dłoniach.

Kapitan Jezal dan Luthar z pewnością ją za taką uważał. Odkrył w sobie niezwykle talent do gry, kiedy uzyskał patent oficerski w siłach królewskich, talent, który pomagał mu wygrywać od swych towarzyszy znaczne sumy pieniędzy. Nie potrzebował ich w gruncie rzeczy, gdyż pochodził z zamożnej rodziny, ale dzięki nim zachowywał pozory oszczędności, szastając nimi na lewo i prawo. Ilekroć Jezal przebywał w domu, jego ojciec zanudzał wszystkich opowieściami o zmyśle finansowym syna i przed sześcioma miesiącami nagroził go, fundując mu stopień kapitana. Jego bracia nie wydawali się zadowoleni. Tak, pieniądze były z pewnością użyteczne, a poza tym nie ma nic zabawniejszego niż poniżanie najbliższych i przyjaciół.

Jezal siedział rozwalony na ławie, wyciągnąwszy przed siebie nogę, i błędził wzrokiem po swych przeciwnikach. Major West tak bardzo odchyłał się na swoim krześle, że na pierwszy rzut oka groził mu upadek do tyłu. Trzymał kieliszek pod światło, zachwycony grą promieni przenikających bursztynowy trunek. Na jego ustach błąkał się lekki, tajemniczy uśmiech, który zdawał się mówić: „Nie jestem szlachetnie urodzony i być może stoję niżej od ciebie, ale wygrałem turniej i zyskałem na polu bitewnym przychyłność króla, i to czyni mnie kimś lepszym, więc niech twoje dzieci lepiej mnie słuchają”. Nie mógł jedna wygrać tego rozdania, poza tym, w przekonaniu Jezala, postępował zbyt ostrożnie z pieniędzmi.

Porucznik Kaspas siedział pochylony, marszcząc brwi i drapiąc się po brodzie o barwie piasku, wpatrzony intensywnie w karty, jakby przedstawiały sobą sumy, których nie rozumiał. Był wesołym młodym człowiekiem, ale kiepskim graczem i zawsze okazywał największą wdzięczność, gdy Jezal stawiał mu drinki za jego własne pieniądze. Mimo wszystko mógł sobie na to pozwolić: jego ojciec był jednym z największych właścicieli ziemskich w Unii.

Jezal niejednokrotnie dostrzegł, że jeśli ktoś jest odrobinę głupi, to w mądrzejszym od siebie towarzystwie będzie się zachowywał w jeszcze głupszy sposób. I że utraciwszy możliwość przewagi, stara się za wszelką cenę zachować pozycję idioty, którego wszyscy lubią, unikać sporów, które i tak by przegrał, i cieszyć się dzięki temu przyjaźnią wszystkich. Widoczny na twarzy Kaspasy wyraz niepewnej koncentracji zdawał się mówić: „Nie jestem bystry, ale uczciwy i sympatyczny, co jest o wiele ważniejsze. Bystrość bywa przeceniana. Och, jestem też bardzo, bardzo bogaty, więc i tak wszyscy mnie lubią”.

– Chyba dotrzymam ci kroku – oznajmił Kaspas i rzucił na stół niewielki stos srebrnych monet, które rozsypały się i błysnęły w słońcu z radosnym brzękiem.

Jezal, mimochodem, obliczył sumę w myślach. Może nowy mundur? Kaspas zawsze robił się trochę nerwowy, kiedy miał dobre karty, a teraz nie drżał nawet odrobinę. Powiedzieć, że blefował, byłoby dla niego zaszczytem; już bardziej prawdopodobne, że był po prostu znudzony grą. Jezal nie

miał wątpliwości, że przy następnej stawce złożyłby się jak kiepski namiot.

Porucznik Jalenhorm skrzywił się i rzucił karty na stół.

– Miałem dziś tylko gówno! – zagrzmiał.

Wyprostował się na swoim krześle i przygarbił krzepkie ramiona z grymasem, który mówił: „Jestem wielki i męski i łatwo wpadam w złość, więc wszyscy powinni mnie traktować z respektem!”. Ale respekt był właśnie tym, czym Jezal nie obdarzał go przy karcianym stoliku. Wybuchowy temperament mógł być przydatny w walce, ale gdy chodziło o pieniądze, liczyła się odpowiedzialność. Fatalnie, że nie szła mu lepiej karta, bo w przeciwnym razie Jezal oskubałby go z połowy żołdu. Jalenhorm opróżnił swój kieliszek i sięgnął po butelkę.

Pozostał jeszcze Brint, najmłodszy i najbiedniejszy z całej grupy. Oblizywał wargi z ostrożnym i jednocześnie nieco zdesperowanym wyrazem twarzy, który zdawał się mówić: „Nie jestem młody ani biedny. Mogę sobie pozwolić na stratę tych pieniędzy. Jestem w każdym calu tak ważny jak wy wszyscy”. Miał dzisiaj mnóstwo pieniędzy; być może otrzymał właśnie kieszonkowe. Niewykluczone, że były to jedyne pieniądze, z których miał żyć przez następne dwa miesiące. Jezal zamierzał mu je odebrać i przepuścić wszystko na kobiety i alkohol. Z trudem powstrzymał się od chichotu. Mógł sobie na to pozwolić dopiero po wygraniu tego rozdania. Brint wyprostował się i zaczął starannie rozważać sytuację. Mogło to trochę potrwać, więc Jezal wziął ze stołu swoją fajkę.

Zapalił ją od lampy przyniesionej specjalnie w tym celu i wypuścił postrzępione kółko dymu ku konarom cedru. Niestety, palenie szło mu znacznie gorzej niż gra w karty i kółka przypominały nieładne chmury żółto-brązowej pary. Gdyby miał szczerze powiedzieć, to przyznałby, że wcale nie lubi palenia. Przyprawiało go o lekkie mdłości, ale było modne i bardzo kosztowne, a Jezal nie darowałby sobie, gdyby nie robił czegoś modnego tylko dlatego, że tego nie lubił. Poza tym ojciec kupił mu podczas ostatniego pobytu w mieście piękną fajkę z kości słoniowej i Jezalowi było z nią do twarzy. Jego bracia i z tego nie byli zadowoleni, jeśli już o tym mowa.

– Wchodzę – oznajmił Brint.

Jezal spuścił nogę z ławki.

– Więc podbijam o sto marek, mniej lub więcej.

Przesunął na środek stołu cały wzgórek monet. West wciągnął powietrze przez zęby. Ze stosu pieniędzy zsunęła się moneta, stanęła pionowo i potoczyła się po drewnie, by w końcu spaść na kamienne płyty z nieomylnym brzękiem. Ogrodnik stojący na drugim końcu trawnika poderwał instynktownie głowę, potem wrócił do ścinania murawy.

Kaspa odsunął swoje karty, jakby paliły go w dłonie, i potrząsnął głową.

– Do diabła, jestem kiepskim graczem – poskarżył się i oparł o chropowaty pień drzewa.

Jezal patrzył wprost na porucznika Brinta; na jego twarzy błąkał się nic niemówiący uśmiech.

– Błefuje – zagrzmiał Jalenhorm. – Nie daj się podejść, Brint.

– Nie rób tego, poruczniku – doradził West.

Jezal wiedział, że jego przeciwnik to zrobi. Musiał sprawiać wrażenie człowieka, którego stać na przegraną. Brint się nie wahał; przesunął niedbałym gestem wszystkie swoje monety na środek stołu.

– Sto, mniej lub więcej.

Brint starał się za wszelką cenę wyglądać w oczach starszych oficerów na pewnego siebie, ale w jego głosie pobrzmiwała urocza nutka hysterii.

– W porządku – powiedział Jezal. – Jesteśmy wśród przyjaciół. Co ty na to, poruczniku?

– Mam ziemię. – Oczy Brinta miały nieco rozgorączkowane spojrzenie, kiedy pokazał pozostałym karty.

Jezal smakował tę atmosferę napięcia. Zmarszczył czoło, wzruszył ramionami, unióśł brwi. Podrapał się w zamyśleniu po brodzie. Obserwował zmieniający się wyraz twarzy Brinta, naśladowując go jednocześnie. Nadzieja, rozpacz, nadzieja, rozpacz. W końcu rozłożył swoje karty na stole.

– O, patrzcie. Znowu mam słońca.

Twarz Brinta budziła litość. West westchnął i potrząsnął głową. Jalenhorm zmarszczył czoło.

– Byłem przekonany, że blefuje – powiedział.

– Jak on to robi? – spytał Kasper, rzucając na stół niesforną monetę. Jezal wzruszył ramionami.

– Wszystko sprowadza się do graczy i nie ma nic wspólnego z kartami.

Zaczął zgarniać górę srebra, podczas gdy Brint patrzył poblady, zaciskając zęby. Pieniądze spadały do torby z radosnym brzękiem. Radosnym dla Jezala, w każdym razie. Jedna z monet zsunęła się ze stołu i spadła obok buta Brinta.

– Czy zechciałbyś ją podnieść, poruczniku? – spytał Jezal z przesłodzonym uśmiechem.

Brint wstał szybko, wpadając przy tym na stół; monety i kieliszki podskoczyły i zadźwięczały.

– Mam coś do roboty – powiedział grubym głosem, potem precyzyjnie przesuwał się szorstko obok Jezala, wpychając go na pień drzewa, po czym ruszył ku końcowi dziedzińca i zniknął ze spuszczoną głową w kwatery oficerskie.

– Widzieliście to? – Jezal zdradzał z każdą chwilą coraz większe oburzenie. – Potrącił mnie, to niegrzeczne! Mnie, oficera wyższego stopniem! Podam go do raportu!

Słowa te powitał zgodny chór sprzeciwu.

– Nie umie przegrywać, to wszystko!

Jalenhorm spojrzał surowo spod swoich krzaczastych brwi.

– Niepotrzebnie go tak pognębiłeś. Nie jest bogaty. Nie stać go na przegrywanie.

– Jeśli go nie stać, to nie powinien grać! – warknął Jezal poirytowany.

– Kto mu mówił, że blefuje? Powinieneś trzymać swoją wielką gębę na kłódkę!

– Jest tu nowy – zauważył West. – Chce po prostu znaleźć sobie miejsce. Ty nigdy nie byłeś nowy?

– Kim jesteś, moim ojcem? – Jezal pamiętał z bolesną wyrazistością, jak sam był nowy, i teraz wzmianka o tym sprawiła, że zrobiło mu się trochę wstyd.

Kasper machnął ręką.

– Pożyczę mu trochę pieniędzy, nie martw się.

– Nie przyjmie ich – powiedział Jalenhorm.

– No cóż, to jego sprawa. – Kasper zamknął oczy i obrócił twarz ku słońcu. – Gorąco. Zima naprawdę się skończyła. Jest już pewnie po dwunastej.

– Do diabła! – wykrzyknął Jezal, zbierając w pośpiechu swoje rzeczy. Ogrodnik przerwał przycinanie trawy i spojrzał w ich kierunku. – Dlaczego nic mi nie powiedziałaś, West?

– A kim jestem, twoim ojcem? – odparował! ironicznie major, a Kasper zachichotał.

– Znowu spóźniony – skomentował Jalenhorm, wydymając policzki.

– Lord marszałek nie będzie zadowolony!

Jezal chwycił swoją broń szermierczą i popędził przez trawnik. Major West ruszył za nim wolnym krokiem.

– Prędeż! – wrzasnął Jezal.

– Już idę, kapitanie – zapewnił West. – Już idę.

– Uderzaj, uderzaj, Jezal, uderzaj, uderzaj! – warczał lord marszałek Varuz, tłukąc go po ramieniu trzcinką.

– Och – zajęczał Jazel, wymachując metalowym prętem.

– Chcę widzieć, jak porusza się prawa ręka, kapitanie! Szybko niczym wąż! Chcę, żeby ruch tych dłoni mnie oślepił!

Jezal wykonał jeszcze dwa niezgrabne pchnięcia nieporęcznym kawałkiem żelaza. Była to istna tortura. Jego palce, nadgarstek, przedramię, bark płonęły od wysiłku. Oblewał się potem, który spływał mu z twarzy grubymi kroplami. Marszałek Varuz parował te nieporadne wysiłki od niechcenia.

– Teraz tnij! Tnij lewą!

Jezal, wkładając w to całą siłę lewego ramienia, zamachnął się wielkim młotem kowalskim, mierząc w głowę starego człowieka. Ledwie mógł podnieść to przeklęte narzędzie nawet wtedy, gdy był wypoczęty. Marszałek Varuz odsunął się bez wysiłku na bok i trzasnął go kijkiem w twarz.

– Auuu! – zawył Jezal, zataczając się do tyłu. Młot wysunął mu się z palców, gdy próbował ująć go pewniej. – Ach!

Kiedy się schylił, by rozmasować sobie płonące żywym ogniem palce u stopy, żelazny pręt uderzył z brzękiem o podłogę. Poczul żądło bólu, gdy Varuz walnął go w tyłek – trzask uderzenia przebiegł echem po dziedzińcu – i runął na twarz.

– To żalosne! – wrzasnął stary człowiek. – Wprawia mnie pan w zakłopotanie, i to w obecności majora Westa!

Major kołysał się na krześle i trząsł od tłumionego śmiechu. Jezal wpatrywał się w nieskazitelnie lśniące buty marszałka, nie mając najmniejszej ochoty się podnosić.

– Wstawać, kapitanie Luthar! – zawołał Varuz. – Mój czas jest cenny! Proszę przynajmniej o nim pomyśleć.

– W porządku! W porządku!

Jezal dźwignął się z wysiłkiem na nogi i stanął, chwiejąc się w promieniach gorącego słońca. Dyszał spazmatycznie i ociekał potem.

Varuz przysunął się do niego i powąchał mu oddech.

– Już pił pan dzisiaj? – spytał głosem nieznoszącym sprzeciwu i zmarszczył wąsy. – I poprzedniej nocy, bez wątpienia!

Jezal milczał.

– Niech to wszyscy diabli! Mamy robotę do wykonania, kapitanie Luthar, a sam tego nie odwalę! Cztery miesiące do turnieju, cztery miesiące, by zrobić z pana szermierza!

Varuz czekał na odpowiedź, ale Jezalowi nic nie przychodziło do głowy. Brał w tym udział tylko po to, by sprawić przyjemność ojcu, ale jakoś nie sądził, by właśnie to chciał usłyszeć stary żołnierz, poza tym nie miał ochoty oberwać ponownie.

– Bah! – warknął marszałek w twarz Jezalowi i odwrócił się, ściskając w obu dłoniach kij za plecami.

– Marszałku Var... – zaczął Jezal i nie dokończył.

Stary żołnierz odwrócił się błyskawicznie i dźgnął go prosto w żołądek.

– Ghaaa! – wyrzucił z siebie Jezal i osunął się na kolana. Varuz stanął nad nim.

– Czeka pana mały spacerek, kapitanie.

– Ghaaa!

– Pobiegnie pan stąd do Wieży Łańcuchów i wejdzie na sam jej szczyt, aż do balustrady. Zorientujemy się, kiedy tam pan dotrze, gdyż razem z majorem zamierzamy uciąć sobie partyjkę

warcabów na tym dachu. – Wskazał sześciopiętrowy budynek za swoimi plecami. – Będzie stamtąd doskonale widać wieżę. Zobaczę pana przez swój monokl, więc nie ma tym razem mowy o oszukiwaniu! – oznajmił, po czym trzepnął Jezala po głowie.

– Au! – zawołała Jezal, masując się po ciemieniu.

– Jak już pokaże się pan na szczycie wieży, zbiegnie pan na dół, i to jak najszybciej, a ja będę wiedział, czy tak rzeczywiście jest, bo jeśli nie wróci pan, zanim skończymy grę, to pobiegnie pan znowu.

Jezal skrzywił się.

– Major West gra doskonale w warcaby, będę więc potrzebował około pół godziny, żeby go pokonać. Sugeruję, żeby ruszył pan od razu.

Jezal pochylił się nisko i pobiegł truchtem w stronę łuku na drugim końcu dziedzińca, mamrocząc pod nosem przekleństwa.

– Będzie pan musiał biec trochę szybciej, kapitanie! – krzyknął za nim Varuz.

Jezal miał wrażenie, że jego nogi to kloce z ołowiu, ale zmusił je do ruchu.

– Kolana w górę! – wrzasnął wesoło major West.

Jezal ruszył korytarzem, stukając obcasami, i minął odźwiernego przy drzwiach, który uśmiechał się z wyższością, po czym wypadł na szeroka aleję. Przebiegł wzdłuż porośniętej bluszczem ściany uniwersytetu, przeklinając zdyszczanym głosem imiona Varuza i Westa, a potem wzdłuż pozbawionej okiem bryły Domu Pytań, z jego zamkniętą na głucho ciężką bramą frontową. Minął kilku bezbarwnych urzędników, spieszących w obie strony, ale Agriont był o tej godzinie popołudnia spokojny i Jezal nie zobaczył nikogo interesującego, zanim wbiegł do parku.

W cieniu rozłożystej wierzby nad jeziorem siedziały trzy modne damy w towarzystwie starszej przyzwoitki. Jezal przyspieszył bezzwłocznie kroku i ukrył z mordowanie widoczne na jego twarzy pod maską uśmiechu. „Szanowne panie...” – rzucił, przebiegając obok. Usłyszał, jak chichocą do siebie za jego plecami, i musiał sobie pogratulować, ale zwolnił tempo o połowę, gdy tylko zniknął im z oczu.

– Niech diabli porwą Varuza – powiedział do siebie, podążając niemal spacerkiem, kiedy skręcał w Drogę Królewską, ale natychmiast musiał przyspieszyć. W odległości niespełna dwudziestu kroków pojawił się następca tronu Ladisła, perorując o czymś w otoczeniu swej wielkiej, wielobarwnej świty.

– Kapitanie Luthar! – krzyknął książę, błyskając w słońcu straszliwie złotymi guzikami. – Niech pan biegnie z całych sił! Postawiłem tysiąc marek na pańskie zwycięstwo w turnieju!

Jezal wiedział z dobrego źródła, że książę postawił na Bremera dan Gorsta dwa tysiące marek, ale mimo wszystko skłonił się tak nisko, jak pozwalał mu na to bieg. Oddalając się, usłyszał za plecami wiwaty i niezbyt entuzjastyczne okrzyki zachęty ze strony towarzyszących księciu dandysów.

– Cholerni idioci – syknął pod nosem Jezal, ale pragnąłby za wszelką cenę stać się jednym z nich.

Minął po prawej stronie wielkie kamienne wizerunki Wysokich Królów na przestrzeni sześciuset lat, a z lewej nieco mniejsze posągi ich wiernych sług. Skinął głową magowi Bayazowi, by po chwili skręcić na plac Marszałków, ale czarnoksiężnik marszczył z dezaprobatą brwi, jak zawsze; ów budzący szacunek efekt był tylko nieznacznie skażony smugą białych gołębic odchodów na kamiennym policzku.

Ponieważ odbywała się sesja Otwartej Rady, plac był niemal pusty i Jezal mógł dotrzeć niespiesznym truchtem do bramy Sali Wojskowej. Gdy przez nią przebiegał, gruby sztywny sierżant skinął mu głową, Jezal zastanawiał się, czy może być z jego kompanii – w końcu wszyscy prości

żołnierze wyglądali tak samo. Zignorował podoficera i ruszył między dwa wysokie białe budynki.

– Doskonale – mruknął ironicznie.

Przy drzwiach Wieży Łańcuchów siedzieli Jalenhorm i Kaspas, paląc fajki i śmiejąc się. Dranie musieli się domyślić, że będzie tędy przebiegał.

– Honor i chwała! – ryknął Kaspas, potrząsając swoim mieczem w pochwie, gdy Jezal ich mijał, a potem zawołał: – Nie każ lordowi marszałkowi czekać zbyt długo!

Jezal usłyszał, jak potężny mężczyzna zanosi się śmiechem.

– Cholerni idioci – sapnął, pchając ramieniem ciężkie drzwi, po czym, oddychając chrapliwie, zaczął się wspinać po stromej spiralnej kondygnacji schodów.

Była to jedna z najwyższych wież w Agrioncie: liczyła łącznie dwieście dziewięćdziesiąt jeden stopni. „Przeklęte schody”, zaklął pod nosem. Nim dotarł do setnego, paliły go nogi, a klatka piersiowa poruszała się jak miechy. Nim dotarł do dwusetnego, był wrakiem. Resztę drogi pokonał wolnym krokiem, z których każdy był torturą; w końcu wypadł przez wieżyczkę na dach i oparł się o balustradę, mrugając od nagłej jasności.

Niżej, w kierunku południowym, rozciągało się miasto, nieskończony dywan białych domów, okalający połyskliwą zatokę. Widok na Agriont z drugiej strony robił jeszcze większe wrażenie. Wielki zamęt wspaniałych budynków, jeden nad drugim, poprzecinany zielonymi trawnikami i potężnymi drzewami, otoczony szeroką fosą i niebotycznym murem, naszpikowanym setką strzelistych wież. Przez środek wiła się Droga Królewska, biegnąc ku Rotundzie Lordów, której miedziana kopuła świeciła w promieniach słońca. Dalej wznosiły się iglice uniwersytetu, a za nimi majaczył Dom Stwórcy, górując nad wszystkim niczym ciemny szczyt i rzucając swój długi cień na budynki w dole.

Jezal wyobraził sobie, że widzi w dali odbłask słońca na monoklu marszałka Varuza. Zaklął raz jeszcze i ruszył z powrotem w stronę schodów.

\* \* \*

Odczuł niekłamana ulgę, kiedy dotarł wreszcie na dach i zobaczył, że na planszy wciąż znajduje się kilka białych pionów.

Marszałek Varuz spojrział na niego ze zmarszczonym czołem.

– Ma pan dużo szczęścia. Major zastosował niezwykle skuteczną obronę – oświadczył, a rysy Westa wykrzywił uśmiech. – Pewnie zasłużył pan w jakiś sposób na jego szacunek, nawet jeśli musi pan jeszcze zdobyć mój.

Jezal schylił się, wsparty dłońmi o kolana, oddychając ciężko i ociekając potem, który skapywał na podłogę. Varuz wziął ze stolika długi futerał, podszedł do Jezala i otworzył pojemnik.

– Proszę nam pokazać pchnięcia.

Jezal wziął w lewą dłoń krótką stal, a w prawą długą. Wydawały się lekkie jak piórka w porównaniu z ciężkim żelazem. Marszałek cofnął się o krok.

– Niech pan zaczyna.

Jezal wykonał pierwsze pchnięcie, prawe ramię wyciągnięte, lewe blisko ciała. Ostrza świszczą i wirowały w powietrzu, połyskując w popołudniowym słońcu, gdy szermierz przechodził z wyćwiczoną płynnością od jednego pchnięcia do drugiego. Wreszcie skończył i opuścił ostrza wzdłuż boków.

Varuz przytaknął.

– Kapitan ma szybkie ręce, nieprawdaż?

– Doprawdy doskonale – przyznał major West, uśmiechając się szeroko. – Poszło mu o wiele lepiej niż mnie kiedykolwiek.

Lord Marszałek był pod mniejszym wrażeniem.

– Pańskie kolana za bardzo się zginają przy trzecim pchnięciu, musi pan też bardziej wyciągnąć lewą rękę przy czwartym, ale poza tym... – urwał na chwilę. – Ujdzie.

Jezal odetchnął z ulgą. Była to w gruncie rzeczy ogromna pochwała.

– Ha! – krzyknął nagle stary człowiek, dźgając go w żebra końcem futerału.

Jezal osunął się na posadzkę, ledwie mogąc złapać oddech.

– Powinien pan mimo wszystko popracować nad refleksem, kapitanie. Trzeba zawsze być przygotowanym. Zawsze. Jeśli trzyma się ostrza w dłoniach, to lepiej ich nie opuszczać.

– Tak, sir – zaskrzeczał Jezal.

– A pańska wytrzymałość to istna hańba, łapie pan powietrze jak karp. Słyszałem z pewnego źródła, że Bremer dan Gorst przebiega dziesięć mil dziennie i prawie się nie poci. – Marszałek Varuz pochylił się nad Jezalem. – Od tej pory będzie pan robił to samo. O tak. Okrążenie wokół murów Agriontu co rano o szóstej, potem godzina szermierki z majorem Westem, który był tak uprzejmy, że zgodził się przyjąć rolę pańskiego partnera. Jestem pewien, że wykaże wszystkie słabe punkty w pańskiej technice.

Jezal skrzywił się i zaczął rozcierać obolałe żebra.

– Co się tyczy hulanki, mają się skończyć. Nie mam nic przeciwko zabawie w odpowiednim dla niej miejscu, ale będzie czas na świętowanie po turnieju, zakładając, że będzie pan pracował dostatecznie ciężko, by wygrać. Tymczasem wymagamy zdrowego trybu życia. Rozumie mnie pan, kapitanie Luthar? – Varuz nachylił się jeszcze bardziej, wypowiadając każde słowo z wielką dobitnością. – Zdrowy tryb życia, kapitanie.

– Tak, marszałku Varuz – wymamrotał Jezal.

\* \* \*

Sześć godzin później był pijany jak bela. Zanosząc się szalonym śmiechem, wypadł na ulicę. Kręciło mu się w głowie. Zimne powietrze biło go po twarzy, podłe małe budynki chwiały się i kołysały, kiepsko oświetlona aleja przechylała się jak tonący statek. Jezal, zmagając się mężnie z wymiotami, zrobił niepewny krok w głąb ulicy i odwrócił się ku drzwiom tawerny. Zalała go fala rozmazanych jasnych świateł, głośnego śmiechu i krzyków. Ze środka wyleciał jakiś kształt o niewyraźnych konturach i uderzył go w pierś. Jezal borykał się z nim przez chwilę, potem upadł, uderzając o ziemię z siłą, która pozbawiła go tchu.

Świat pociemniał na moment, potem Jezal stwierdził, że leży przygnieciony przez Kaspę. „Do diabła”, zbulgotał, czując w ustach gruby i nieporadny język. Odsunął łokciem chichoczącego porucznika, przekręcił się na bok i dźwignął, rozkołysany jak ulica. Kaspę leżał na plecach, krztusząc się ze śmiechu. Cuchnął tanim trunkiem i kwaśnym dymem. Jezal podjął nieudolną próbę oczyszczenia sobie munduru. Na piersi miał wielką mokrą plamę, która śmierdziała piwem.

– Do diabła! – wymamrotał znowu. Kiedy to się stało?

Nagle uświadomił sobie, że po drugiej stronie ulicy ktoś krzyczy. W drzwiach naprzeciwko

zmagalo się dwóch ludzi. Jezal zmrużył oczy, starając się dostrzec coś więcej w tym mroku. Jakiś olbrzym trzymał dziwnie ubranego osobnika i wydawało się, że wiąże mu ręce na plecach. Po chwili zaczął mu wkładać na głowę coś w rodzaju torby. Jezal zamrugał zdumiony, nie wierząc własnym oczom. Nie była to przyzwoita okolica, ale mimo wszystko czegoś takiego nie spodziewał się tu zobaczyć.

Drzwi tawerny otworzyły się gwałtownie i ze środka wyszli West i Jalenhorm, zagłębieni w pijackiej rozmowie – mówili o czyjejs siostrze. Ostre światło przecięło ulicę i skąpało w blasku dwóch szamoczących się mężczyzn. Ten wielki był cały ubrany na czarno, dolną część twarzy zakrywała mu maska. Miał jasne włosy, jasne brwi, skórę białą jak mleko. Jezal gapił się na białego diabła po drugiej stronie ulicy, tamten zaś odwzajemnił mu pełne wściekłości spojrzenie wąskich różowych oczu.

– Pomocy! – zawołał ktoś głosem piskliwym z przerażenia. To był ten nieszczęśnik z torbą na głowie. – Pomocy, jestem...

Biały mężczyzna wymierzył mu brutalny cios w tułów, a wtedy tamten zgiął się wpół z głośnym sapnięciem.

– Hej, ty tam! – wrzasnął West. Jalenhorm już biegł przez ulicę.

– Co? – spytał Kasp, wsparty na łokciach.

Umysł Jezala był pełen grząskiego błota, ale jego stopy zdawały się same podążać za Jalenhormem, ruszył więc niepewnym krokiem przed siebie, walcząc mdłościami. West poszedł w jego ślady. Biały duch podniósł głowę i stanął między nimi a swoim więźniem. Z cienia wynurzył się szybko jeszcze jeden człowiek, wysoki i chudy, cały w czerni i z maską na twarzy, ale o długich, tłustych włosach. Uniósł dłoń w rękawicze.

– Panowie. – Jego zawodzący głos człowieka z gminu był przytłumiony przez maskę. – Panowie, proszę o spokój, jesteście tu w imieniu króla i załatwiamy jego sprawy!

– Król załatwia swoje sprawy za dnia – warknął Jalenhorm. Maskę jego rozmówcy drgnęła, gdy się uśmiechnął.

– Dlatego potrzebuje nas nocą, nieprawdaż, przyjacielu?

– Kim jest ten człowiek? – West wskazał osobnika z torbą na głowie. Więzień znów zaczął się szamotać.

– Jestem Sepp dan... ooo!

Biały potwór uciszył go potężnym ciosem w twarz. Uderzony zwał się bezwładnie na ulicę.

Jalenhorm sięgnął do rękojeści miecza, zacisnąwszy szczęki, a biały duch zamajaczył przed nim z przerażającą szybkością. Widziany z bliska, wydawał się jeszcze bardziej masywny, żywy i groźny. Jalenhorm cofnął się odruchowo o krok, potknął o nierówną nawierzchnię ulicy i runął z łoskotem na plecy. Jezal czuł, jak łupie mu w głowie.

– Cofnąć się! – zaryczał West, dobywając miecza przy akompaniamencie cichego brzęku.

– Taaah! – zasyczał potwór, zaciskając pięści jak dwa wielkie białe kamienie.

– Arghh! – zaskrzeczał człowiek z workiem na głowie.

Jezal poczuł serce w gardle. Spojrzał na chudego mężczyznę. Jego oczy uśmiechały się, ale jak ktokolwiek mógłby się w takiej chwili uśmiechać? Dostrzegł ze zdziwieniem, że tamten trzyma długi, groźnie wyglądający nóż w dłoni. Skąd go wziął? Zaczął szukać z pijacką niezgrabnością rękojeści swego miecza.

– Majorze West! – dobiegło z cienia w głębi ulicy.

Jezal znieruchomiał zaskoczony, z wyjętym do połowy mieczem w dłoni. Jalenhorm pozbierał się z ziemi. Plecy munduru miał uwalane błotem, w dłoni ścisnął swoje ostrze. Błady potwór



spoglądał na niego, nawet nie zmrużywszy powiek ani nie cofnąwszy się o palec.

– Majorze West! – odezwał się ponownie tamten głos, któremu teraz towarzyszył dźwięk stukania i szuranie.

Twarz Westa oblała się bladością. Z mroku wyłoniła się jakaś postać, kulejąc wyraźnie i postukując laską o brudną nawierzchnię ulicy. Kapelusz o szerokim rondzie zakrywał górną część twarzy, usta jednak były wykrzywione w dziwnym uśmiechu. Jezal zauważył z nagłym przypiływem mdłości, że brakuje im czterech przednich zębów. Człowiek ten ruszył w ich stronę, ignorując nagie ostrza, i wyciągnął do Westa dłoń, której nie wspierał na lace.

Major schował powolnym ruchem miecz, ujął wyciągniętą ku sobie rękę i potrząsnął nią delikatnie.

– Pułkownik Glokta? – spytał chrapliwym głosem.

– Twój uniżony sługa, choć nie jestem już w armii. Służę obecnie Inkwizycji Jego Królewskiej Mości. – Sięgnął niespiesznym ruchem do głowy i zdjął kapelusz. Twarz miał śmiertelnie bladą i poznaczoną głębokimi liniami, krótko przystrzyżone włosy były przyprószone siwizną. Żrenice spoglądały z gorączkowym blaskiem z głębi ciemnych kraterów, lewe oko, w różowej otoczce i pokryte połyskliwą wilgotnością, wydawało się węższe od prawego. – A to moi pomocnicy, praktyk Severard – ten chudy skłonił się ironicznie – i Frost.

Biały potwór postawił na nogi więźnia jednym szarpnięciem ręki.

– Chwileczkę, nie tak szybko – oznajmił Jalenhorm, postępując krok do przodu, ale inkwizytor położył mu dłoń na ramieniu.

– Ten człowiek jest więźniem Jego Królewskiej Mości, poruczniku Jalenhorm. – Potężnie zbudowany oficer przystanął, zaskoczony faktem, że tamten zna jego nazwisko. – Zdaję sobie sprawę, że kierujecie się jak najlepszymi intencjami, ale to przestępca i zdrajca. Mam nakaz jego aresztowania, podpisany przez samego arcylektora Sulta. Ten osobnik nie zasługuje na waszą pomocy, wierzcie mi.

Jalenhorm zmarszczył czoło, patrząc nienawistnie na praktyka Frosta. Błady potwór sprawiał wrażenie przerażonego. Równie przerażonego jak kamień. Przerzucił sobie więźnia przez ramię bez najmniejszego wysiłku, odwrócił się i ruszył w głąb ulicy. Ten nazywany Severardem uśmiechnął się swoimi oczami, schował nóż do pochwy, skłonił się ponownie i podążył za towarzyszem, pogwizdując przy tym fałszywie.

Powieka nad lewym okiem inkwizytora zaczęła drgać nerwowo, a po jego bladym policzku spływały łzy. Otarł je starannie wierzchem dłoni.

– Proszę, wybaczcie mi. Mówię szczerze. To o czymś świadczy, jeśli człowiek nie potrafi zapanować nad oczami, prawda? Moja żrenica to przeklęta płaczliwa galareta. Czasem myślę sobie, że powinienem się jej pozbyć i zadowolić się przepaską.

Jezal poczuł, jak przewraca się w nim żołądek.

– Ile to czasu upłynęło, West? Siedem lat? Osiem? – spytał Glokta. Mięsień na skroni majora drgnął niespokojnie.

– Dziewięć.

– Coś takiego. Dziewięć. Uwierzysz? Wydaje się, jakby to było wczoraj. Gdzie to się rozstaliśmy, na grani, prawda?

– Tak, zgadza się, na grani.

– Nie przejmuj się, West. Nie winię cię nawet w najmniejszym stopniu. – Inkwizytor klepnął majora przyjacielsko w ramię. – Nie za to, w każdym razie. Próbowaleś mi to wyperswadować, pamiętam. Miałem w końcu dość czasu w Gurkhulu, by się nad tym zastanowić. Mnóstwo czasu.

Zawsze uważałem cię za dobrego przyjaciela. A teraz młody Collem West jest majorem w gwardii królewskiej. No, no!

Jezał nie miał zielonego pojęcia, o czym mówią. Chciał tylko zwymiotować i położyć się do łóżka.

Inkwizytor Glokta zwrócił się w jego stronę z uśmiechem, ponownie odsłaniając odrażające szczeliny między zębami.

– A to jest zapewne kapitan Luthar, z którym wszyscy wiążą tak wielkie nadzieje w nadchodzącym turnieju. Marszałek Varuz to twardy mistrz, co? – Pomachał nieznacznie swoją laską na Jezala. – Uderzaj, uderzaj, co, kapitanie? Uderzaj, uderzaj.

Jezał poczuł nagle żółć w ustach. Odkaslnął i wlepił spojrzenie w swoje stopy, pragnąc rozpaczliwie, by świat choć na chwilę znieruchomiał.

Inkwizytor przyglądał się każdemu po kolei, jakby wyczekująco. West wyglądał na pobladłego. Jalenhorm był umazany błotem i nadąsany. Kaspą wciąż siedział na ulicznym bruku. Żaden z nich nie miał nic do powiedzenia.

Glokta odchrząknął.

– No cóż, obowiązki wzywają. – Skłonił się sztywno. – Mam jednak nadzieję, że niebawem znów się spotkamy. Naprawdę niebawem.

Jezał zaczął nagle żywić nadzieję, że nigdy więcej nie ujrzy tego człowieka.

– Może uda nam się któregoś dnia skrzyżować ostrza? – mruknął major West.

Glokta wybuchnął serdecznym śmiechem.

– Och, zrobiłbym to z prawdziwą przyjemnością, West, ale jestem ostatnio odrobinę kaleki. Jeśli masz ochotę na walkę, to jestem pewien, że praktyk Frost chętnie ci będzie służył. – Zerknął na Jalenhorma. – Muszę cię jednak uprzedzić, że nie walczy jak dżentelmen. Życzę panom udanego wieczoru.

Włożył kapelusz na głowę, odwrócił się z wolna i ruszył w głąb obskurnej ulicy, powłócząc kaleką nogą. Trzej oficerowie patrzyli przez nieskończenie długą i niezręczną chwilę milczenia, jak oddala się swym kuśtykającym krokiem. Kaspą podniósł się w końcu z ziemi.

– Co to było? – spytał.

– Nic – odparł West. – Najlepiej jak o tym zapomnimy.

# Zęby i palce

Jest mało czasu. Musimy działać szybko”. Glokta skinął Severardowi, ten zaś uśmiechnął się i ściągnął z głowy Seppa dan Teufela worek. Mistrz mennic był silnym człowiekiem o szlachetnym wyglądzie. Na jego twarz zaczęły pojawiać się już sińce.

– Co to ma znaczyć? – zagrzemiał, siląc się na wściekłość i brawurę. – Wiecie, kim jestem?

Glokta parsknął pogardliwie.

– Oczywiście, że wiemy, kim jesteś. Myślisz, że mamy w zwyczaju porywać ludzi z ulicy na chybił trafił?

– Jestem Mistrzem Mennic Królewskich! – wrzasnął więzień, szarpiąc się z więziami, a praktyk Frost popatrzył na niego obojętnie, skrzyżowawszy ramiona na piersi. Żelazo już czerwieniało w palniku. – Jak śmiecie...

– Nie da się pracować, kiedy człowiekowi ciągle przerywają! – ryknął Glokta, Frost zaś kopnął Teufela brutalnie w goleń; rozległ się skowyt bólu. – Jak nasz więzień może podpisać wyznanie, jeśli ma skrępowane ręce? Proszę, uwolnijcie go.

Teufel rozglądał się wkoło podejrzliwym wzrokiem, gdy albinos zdejmował sznury z jego nadgarstków. Po chwili dostrzegł tasak. Wypolerowane ostrze świeciło w oślepiającym blasku lampy niczym zwierciadło.

„Prawdziwie piękna rzecz. Chciałbyś ją trzymać w dłoni, co, Teufel? Mogę się założyć, że chętnie rozłupałbyś mi nią czaszkę”.

Glokta niemal miał nadzieję, że tak się stanie, prawa ręka więźnia zdawała się sięgać po narzędzie, okazało się jednak, że tylko odsunęła na bok papier z wyznaniem winy.

– Ach... – mruknął Glokta. – Mistrz mennic jest praworęcznym dżentelmenem.

– Praworęczny dżentelmen – syknął w ucho więźnia Severard. Teufel patrzył ponad stołem zmrużonymi oczami.

– Znam cię! Glokta, prawda? Ten, którego schwytano w Gurkhulu, ten, którego torturowano. Sand dan Glokta, nie mylę się? No cóż, tym razem się doigrałeś, zapewniam cię! Doigrałeś! Kiedy najwyższy sędzia Marovia dowie się o tym...

Glokta zerwał się z miejsca, nogi krzesła zazgrzytały o kamienne płyty. Lewa noga paliła go straszliwym bólem, ale nie zwracał na to uwagi.

– Spójrz tutaj! – syknął, po czym otworzył szeroko usta, pokazując przerażonemu więźniowi zęby w całej ich okropnej okazałości.

„Albo to, co z nich ocalało”.

– Widzisz? Widzisz? Na dole pozostawili zęby dokładnie naprzeciwko tych, które usunęli na górze. Na górze zostawili zęby dokładnie naprzeciwko tych, które usunęli na dole. Widzisz? – Glokta odciągnął policzki palcami, by Teufel mógł się lepiej przyjrzeć. – Zrobili to małym pilnikiem. Piłowali po kawałku, codziennie. Trwało to miesiącami.

Glokta usiadł sztywno, po czym uśmiechnął się szeroko.

– Doskonała robota, prawda? Cóż za ironia. Pozostawić komuś zęby, ale całkowicie bezużyteczne. Muszę przez większość dni żywić się zupą.

Mistrz mennic przełknął z wysiłkiem. Glokta czuł, jak po szyi spływa mu pot.

– A zęby to był tylko początek. Muszę siusiać, kucając jak kobieta. Mam trzydzieści pięć lat, a

potrzebuję pomocy przy wstawaniu z łóżka. – Wyprostował się na krześle i wyciągnął nogę z grymasem bólu. – Każdy dzień to dla mnie małe piekło. Każdy dzień. Słuchaj... naprawdę wierzysz, że cokolwiek powiesz, może mnie przestraszyć?

Glokta przyglądał się z uwagą więźniowi, nie spiesząc się. „Nie jest już nawet w połowie tak pewny”.

– Wyznaj – szepnął. – Wtedy będziemy mogli wysłać cię do Anglandu i jeszcze się zdrzemnąć tej nocy.

Twarz Teufela zrobiła się niemal tak blada jak twarz Frosta, ale nic nie powiedział.

„Arcylektor zjawi się tu lada chwila. Prawdopodobnie jest już w drodze. Jeśli nie będzie do tej pory wyznania... wszyscy wylądujemy w Anglandzie. W najlepszym razie”.

Glokta ujął laskę i podniósł się.

– Lubię myśleć o sobie jako o artyście, ale sztuka wymaga czasu, poza tym zmarnowaliśmy pół wieczoru, szukając cię w każdym burdelu. Na szczęście praktyk Frost ma dobrego nosa i doskonałe wyczucie kierunku. Potrafi wytropić szczura w latrynie.

– Szczura w latrynie – powtórzył jak echo Severard, którego oczy połyskiwały w pomarańczowym blasku palnika.

– Mamy bardzo mało czasu, więc pozwól, że będę szczery do bólu. Wyznasz w ciągu dziesięciu minut.

Teufel prychnął i skrzyżował ramiona.

– Nigdy.

– Przytrzymaj go.

Frost chwycił więźnia od tyłu i przytrzymał jak w imadle, przyciskając mu prawą rękę do boku. Severard złapał go za lewą i rozłożył mu palce na stole. Glokta objął dłonią gładki uchwyt tasaka, ostrze zazgrzytało o drewno, kiedy przyciągnął je do siebie. Popatrzył z góry na dłoń Teufela.

„Jakie ma piękne paznokcie. Długie i lśniące. Nie można z takimi paznokciami pracować w kopalni”.

Glokta uniósł wysoko tasak.

– Czekaj! – wrzasnął więzień.

Łup! Ciężkie ostrze wbiło się głęboko w blat stołu, obcinając zgrabnie paznokieć środkowego palca. Teufela oddychał teraz szybko, a na jego czole błyszczał pot.

„Zobaczmy, jakim naprawdę jesteś człowiekiem”.

– Myślę, że sam widzisz, do czego to zmierza – powiedział Glokta. – Wiesz, zrobili to kapralowi, którego wraz ze mną złapano, jedno cięcie każdego dnia. Był twardym człowiekiem, bardzo twardym. Doszli powyżej łokcia, zanim umarł. – Znowu uniósł tasak. – Przyznaj się.

– Nie mógłbyś...

Łup! Tasak obciął koniuszek palca środkowego. Na drewno wylała się krew. Oczy Severarda uśmiechały się w blasku lampy. Teufelowi opadła szczeka.

„Ale ból zjawi się dopiero za chwilę”.

– Wyznaj! – ryknął Glokta.

Łup! Tasak obciął czubek palca serdecznego i mały krążek środkowego, który potoczył się po stole i spadł na podłogę. Twarz Frosta była jak wykuta z marmuru.

– Wyznaj!

Łup! Czubek palca wskazującego podskoczył w górę. Środkowy był obcięty do pierwszego stawu. Glokta przerwał i otarł wierzchem dłoni pot z czoła. Pulsowało mu w nodze od wysiłku. Na kamienne płyty spadała krew, wydając monotony dźwięk: kap, kap, kap. Teufel wpatrywał się

szeroko rozwartymi oczami w swoje skrócone palce.

Severard pokręcił głową.

– Doskonała robota, inkwizytorze. – Rzucił na stół jeden z krążków ciała. – Precyzja... jestem pod wrażeniem.

– Aaa! – zawył mistrz mennic. „No, dotarło do niego”. Glokta wzniosł tasak jeszcze raz.

– Wyznam! – wrzasnął piskliwie Teufel. – Wyznam!

– Znakomicie – oświadczył wesoło Glokta.

– Znakomicie – potwierdził Severard.

– Nahomicie – dodał praktyk Frost.

# Bezkresna i naga Północ

Magowie to pradawny i tajemniczy zakon, biegły w sekretach tego świata, obeznany z magią, mądry i potężny ponad ludzkie marzenia. Tak powiadano. Ktoś taki powinien bez trudu odnaleźć człowieka, nawet człowieka zagubionego na pustkowiach rozległej i nagiej Północy. Jeśli tak było, to nie spieszył się za bardzo.

Logen drapał się po splątanej brodzie i zastanawiał, co powstrzymuje tego wielkiego mędrca. Pomyślał, że być może jest zgubiony. Znów zadawał sobie pytanie, czy nie powinien pozostać w lasach, gdzie przynajmniej nie brakowało żywności. Lecz duchy nakazały podążać na południe, a jeśli ruszyło się ze wzgórz w tamtym właśnie kierunku, to człowiek docierał do tych wyschniętych wrzosowisk. Więc czekał tu pośród cierni i błota, znosząc kaprysy pogody i straszliwy głód.

I tak już zdarł sobie buty, zatem rozbił swe żałosne obozowisko niedaleko drogi, by tym lepiej widzieć nadchodzącego czarnoksiężnika. Od czasu wojen Północ roiła się od niebezpiecznych szumowin – wojowników, którzy zdezerterowali i stali się bandytami, wieśniaków zbiegłych ze swych spalonych ziem, ludzi pozbawionych przywództwa i zrozpaczonych, którzy nie mieli już nic do stracenia, i temu podobnych. Logen się jednak nie martwił. Nikt nie miał powodu docierać do tego przeklętego zakątka świata. Nikt prócz niego i maga.

Siedział i czekał, potem zaczął szukać jedzenia, nie znalazł niczego, znów siedział i czekał jakiś czas. O tej porze roku wrzosowiska były często przesiąknięte wilgocią od gwałtownej ulewy, ale jeśli tylko mu się udało, rozpałał nocą dymiące ognisko z cierni, by podtrzymać gasnącego ducha i przyciągnąć jakiegokolwiek przechodzącego w pobliżu czarnoksiężnika. Padało wcześniej tego wieczoru, ale przestało na chwilę i było dostatecznie sucho, by mógł rozniecić ogień. Teraz zawiesił nad nim swój kociołek i ugotował potrawkę z resztek mięsa, jakie przyniósł ze sobą z lasu. Wiedział, że rankiem będzie musiał ruszyć dalej i poszukać żywności. Mag mógł spotkać się z nim później, jeśli wciąż by mu na tym zależało.

Mieszał swój nędzny posiłek i zastanawiał się, czy wrócić na północ, czy też podążyć dalej na południe, kiedy usłyszał od strony drogi stukot kopyt. Jeden koń, poruszający się wolno. Usiadł z powrotem na swoim płaszczu i czekał. Rozległo się rżenie i brzęk wodzy. Nad wzniesieniem ukazał się jeździec. Rozmyte słońce zwieszało się nisko na horyzoncie i Logen nie widział dokładnie nowo przybyłego. Tamten siedział sztywno i niezgrabnie w siodle, jak człowiek nienawykły do drogi. Ponaglił łagodnie konia w stronę ogniska, wstrzymując wierzchowca w odległości kilku kroków od płomieni.

– Dobry wieczór – powiedział.

Jego postać przeczyła wszystkiemu, czego Logen się spodziewał. Chudy, blady, chorowity na pierwszy rzut oka młodzieniec o podkrążonych oczach, długich, zlepionych przez deszcz włosach i nerwowym uśmiechu. Sprawiał wrażenie bardziej przemoczonego niż mądrego i z pewnością nie wydawał się potężny ponad ludzkie marzenia. Wyglądał przede wszystkim na głodnego, zmarzniętego i niezdrowego. Wyglądał tak, jak czuł się Logen, prawdę powiedziawszy.

– Nie powinieneś mieć czarnoksiężskiej laski?

Młody człowiek spojrzał zdziwiony.

– Nie... to znaczy... e... nie jestem magiem. – Umilkł i oblizał niespokojnie wargi.

– Duchy powiedziały mi, żebym się spodziewał maga, ale one często się mylą.

– Och... no cóż, jestem tylko uczniem. Ale mój mistrz, wielki Bayaz – tu skłonił z szacunkiem głowę – to nikt inny jak Pierwszy z Magów, mistrz Sztuki Wysokiej i posiadacz głębokiej mądrości. Wysłał mnie, bym cię znalazł. – Sprawiał teraz wrażenie kogoś pełnego wątpliwości. – I sprowadził... ty jesteś Logen Dziewięciopalcy?

Logen uniósł lewą dłoń i popatrzył na bladego młodzieńca przez szczelinę, która pozostała po środkowym palcu.

– Och, doskonale. – Uczeń westchnął z ulgą i nagle zamarł. – Och, chciałem powiedzieć... e... przykro mi z powodu twojego palca.

Logen wybuchnął śmiechem – pierwszy raz od czasu, gdy wydostał się z rzeki. Nie było to szczególnie zabawne, ale mimo wszystko roześmiał się głośno. Od razu poczuł się lepiej. Młody człowiek odpowiedział mu uśmiechem i zsunął się niezgrabnie z siodła.

– Jestem Malacus Quai.

– Malacus... jak?

– Quai – powtórzył uczeń, zbliżając się do ognia.

– Co to za imię?

– Pochodzę ze Starego Imperium.

Logen nigdy nie słyszał o czymś takim.

– Imperium, hę?

– No cóż, kiedyś istniało. Najpotężniejszy naród w Kręgu Świata. – Młodzieniec przykucnął przy ognisku. – Ale chwała przeszłości dawno już przeminęła. Teraz to niewiele więcej niż rozległe pole bitewne.

Logen przytaknął. Wiedział aż za dobrze, jak takie miejsce wygląda.

– Leży daleko stąd. Na zachodzie świata – dodał uczeń, wskazując nieznacznym ruchem kierunek.

Logen roześmiał się.

– To wschód.

Quai odpowiedział smutnym uśmiechem.

– Jestem jasnowidzem, choć, jak się wydaje, niezbyt biegłym. Mistrz Bayaz wysłał mnie, bym cię znalazł, ale gwiazdy nie były pomyślne i zgubiłem się w tej niesprzyjającej pogodzie. – Odsunął włosy sprzed oczu i rozłożył bezradnie ręce. – Miałem konia jucznego, z jedzeniem i zapasami, i jeszcze jednego, przeznaczonego dla ciebie, ale straciłem je w burzy. Obawiam się, że kiepski ze mnie wędrowiec.

– Na to wygląda.

Quai wyciągnął z kieszeni flaszkę i nachylił się w stronę Logena, który wziął ją, odkorkował i pociągnął łyk. W gardło spłynął mu gorący napój, rozgrzewając go po korzonki włosów.

– No cóż, Malacusi Quai, straciłeś żywność, ale zachowałeś to, co liczy się najbardziej. Naprawdę trzeba dużo, bym w tych dniach zdobył się na uśmiech. Jesteś mile widziany przy moim ogniu.

– Dziękuję. – Uczeń zamilkł i wyciągnął dłonie do mizernych płomieni. – Nie jadłem dwa dni. – Potrząsnął głową, kołyszając długimi włosami. – To były... trudne chwile.

Obliznął wargi i spojrzał na kociołek.

Logen podał mu łyżkę. Malacus Quai wpatrywał się w nią szeroko otwartymi i okrągłymi ze zdumienia oczami.

– Jadłeś? – spytał.

Logen przytaknął. Nie jadł, ale nieszczęsny uczeń wyglądał na wygłodzonego, zresztą stawy

było za mało. Łyknął jeszcze raz z flaszki. Na razie musiało mu to wystarczyć. Quai zaatakował potrawkę z nieskrywaną przyjemnością. Kiedy skończył, wyskrobał resztki z kociołka, oblizał łyżkę, wreszcie brzeg naczynia. Potem oparł się o wielki kamień.

– Jestem twym dozgonnym dłużnikiem, Logenie Dziewięciopalcy, ocaliłeś mi życie. Nawet mi w głowie nie powstało, że będziesz tak szczodrym gospodarzem.

– Ty też nie wyglądasz na tego, kogo się spodziewałem, jeśli mam być szczery. – Logen znów pociągnął z flaszki i oblizał wargi. – Kto to jest ten Bayaz?

– Pierwszy z Magów, mistrz Sztuki Wysokiej i posiadacz głębokiej wiedzy. Obawiam się, że będzie ze mnie nad wyraz niezadowolony.

– A więc jest groźny?

– No cóż – odparł niepewnie uczeń. – Odznacza się niejakim temperamentem.

Logen znów się napił. Po jego ciele rozlewało się teraz przyjemne gorąco; pomyślał, że jest mu ciepło po raz pierwszy od wielu tygodni. Przez chwilę panowało milczenie.

– Czego on chce ode mnie, Quai?

Nie było odpowiedzi. Z drugiej strony ogniska dobiegało ciche pochrapywanie. Logen uśmiechnął się, potem okrył płaszczem i ułożył do snu jak jego towarzysz.

\* \* \*

Uczeń obudził się, wstrząsany nagłym atakiem kaszlu. Był wczesny ranek i brudny świat tonął we mgle. Logen pomyślał, że tak jest zapewne lepiej. Nie było tu nic do oglądania prócz nieskończonych połaci błota, skał i żalonych zbrązowiałych kolcolistów. Wszystko otulała zimna rosa, Logen jednak zdołał skrzesać smutny jęczyczek ognia. Quai był blady, włosy kleiły mu się do twarzy. Przekręcił się na bok i splunął flegmą.

– Agh – zaskrzeczał. Zakaszlał i znów splunął.

Logen umocował resztki swego skromnego dobytku na niezadowolonym koniu.

– Dzień dobry – powiedział, spoglądając w białe niebo. – Choć niezbyt dobry.

– Umrę. Umrę i nie będę musiał się więcej ruszać.

– Nie ma jedzenia, więc umrzesz, jeśli tu zostaniemy. Wtedy będę mógł cię zjeść i wrócić w góry.

Uczeń uśmiechnął się słabo.

– Co robimy?

– Właśnie, co robimy? Gdzie znajdziemy Bayaza?

– W Wielkiej Bibliotece Północnej.

Logen nigdy o niej nie słyszał, ale z drugiej strony nigdy też nie interesował się książkami.

– Czyli gdzie?

– To na południe stąd, cztery dni drogi konno, niedaleko wielkiego jeziora.

– Wiesz, jak tam dotrzeć?

Uczeń podniósł się z wysiłkiem i stanął, chwiejąc się lekko. Oddychał szybko i płytko. Był trupio blady, twarz pokrywała mu warstewka potu.

– Tak mi się wydaje – mruknął, ale nie wyglądał na zbyt pewnego siebie.

Ani Quai, ani jego koń nie przetrwaliby czterech dni bez jedzenia, nawet zakładając, że nie zgubiliby się po drodze. Najważniejsza była żywność. Podążanie drogą przez las na południe



wydawało się najrozsądniejszym wyjściem z sytuacji, pomimo wielkiego ryzyka. Mogli zginąć z rąk bandytów, ale szanse zdobycia pożywienia były tam większe, a głód i tak zabiłby ich prędzej czy później.

– Lepiej dosiądź konia – poradził Logen.

– Straciłem wierzchowce, więc to ja powinienem podróżować piechotą.

Logen położył dłoń na czole Quaia. Było wilgotne i lepkie.

– Jesteś rozpalony. Radzę ci usiąść w siodle.

Uczeń nie próbował się spierać. Popatrzył na zniszczone i postrzępione buty Logena.

– Chcesz wziąć moje?

Logen potrząsnął głową.

– Za małe – odparł, ukląkł przy zamierających resztkach ogniska i wysunął wargi.

– Co robisz?

– W ogniu są duchy. Przechowam jednego pod językiem, żebyśmy mogli później rozpalic nowe ognisko.

Quai wyglądał na zbyt chorego, by się dziwić. Logen wciągnął do ust ducha, zakaszłał dymem i wstrząsnął się od gorzkiego smaku.

– Gotów wyruszać w drogę?

Uczeń uniósł bezradnym gestem ramiona.

– Jestem spakowany.

\* \* \*

Malacus Quia uwielbiał mówić. Mówił, kiedy jechali na południe przez wrzosowiska, mówił, kiedy słońce wspinało się po brudnych niebiosach, mówił, kiedy pod wieczór zagłębili się w las. Choroba nie powstrzymała w nim potoku słów, ale Logen nie miał nic przeciwko temu. Upłynęło sporo czasu, od kiedy ktoś z nim rozmawiał, zresztą pomagało mu to zapomnieć o stopach. Był głodny i zmęczony, ale to stopy męczyły go najbardziej. Jego buty przypominały strzępy starej skóry, palce u nóg miał pocięte i pokiereszowane, łydka paliła bólem od ugryzienia szanki. Każdy krok był torturą. Niegdyś nazywano go najgroźniejszym człowiekiem Północy. Teraz bał się najmniejszych patyków i kamieni na drodze. Dopatrywał się w tym jakiegoś żartu. Skrzywił się, gdy jego stopa natrafiła na mały otoczek.

– ...więc spędziłem siedem lat, studiując u mistrza Zacharusa. Jest wielkim pośród magów, piątym spośród dwunastu uczniów Juvensa, wielkim człowiekiem. – Wszystko, co wiązało się z magami, było w oczach Quaia wielkie. – Poczulem, że jestem gotów udać się do Wielkiej Biblioteki Północnej i studiować u mistrza Bayaza, by zasłużyć na łaskę czarnoksiężką. Ale nie jest mi tam łatwo. Mistrz Bayaz jest wyjątkowo wymagający i...

Koń przystanął i prychnął, potem zadrżał spłoszony i cofnął się z wahaniem o krok. Logen zmarszczył czoło i zaczął węszyć w powietrzu. Wyczuwał obecność ludzi, w dodatku brudnych. Powinien był zauważyć to wcześniej, ale zajmował się swoimi stopami. Quai spojrział na niego z siodła.

– Co się stało?

Jakby w odpowiedzi na jego pytanie, zza drzewa, które rosło mniej więcej w odległości dziesięciu kroków, wynurzył się jakiś człowiek, nieco dalej drugi. Byli bez wątpienia szumowinami.

Brudni, odziani w podarte kawałki różnych futer i skóry. Na dobrą sprawę przypominali Logena. Ten chudy po lewej stronie miał włócznię z ostrzem najeżonym kołkami. Ten wielki, po prawej stronie, trzymał ciężki, nakrapiany rdzą miecz, na głowie zaś miał stary powyginany hełm z ostrym czubem. Ruszyli do przodu, szczerząc w uśmiechu zęby. Logen posłyszał za plecami jakiś dźwięk i zerknął przez ramię; zamarło w nim serce. Trzeci mężczyzna, z wielkim czyrakiem na twarzy, szedł ostrożnie w ich kierunku, trzymając w obu rękach ciężki topór.

Quai nachylił się z siodła; oczy miał wielkie ze strachu.

– Czy to bandyci?

– Jesteś pieprzonym jasnowidzem! – syknął przez zaciśnięte zęby Logen.

Zatrzymali się dwa kroki przed nimi. Wydawało się, że dowodzi ten w hełmie.

– Ładny koń – warknął. – Może byście go pożyczyli?

Ten z włócznią uśmiechnął się, ujmując wodze.

Sprawy przybrały całkowicie niepomysłny obrót. Jeszcze przed chwilą wydawało się to prawie niemożliwe, ale los bywał uparty. Logen wątpił, czy Quai przyda się na cokolwiek w tej sytuacji. To oznaczało, że musi uzbrojony jedynie w nóż stawić czoło trzem przeciwnikom, a mogło być ich nawet więcej. Gdyby nic nie zrobił, zostałby wraz z Malacusem obrabowany, a najprawdopodobniej zabity. Trzeba patrzeć trzeźwo na takie rzeczy.

Jeszcze raz przyjrzał się trzem bandytom. Nie spodziewali się walki, w każdym razie nie ze strony bezbronnych ludzi – włócznia była trzymana przy boku, miecz wymierzony w ziemię. Nie wiedział, jak ma się sprawa z toporem, musiał więc w tym wypadku zaufać szczęściu. Jest przykrym faktem, że ten, kto uderza pierwszy, uderza też zazwyczaj ostami, więc Logen zwrócił się ku człowiekowi w hełmie i splunął mu duchem w twarz.

Zjawa zapaliła się w powietrzu i rzuciła wygłodniała na swą ofiarę. Głowa mężczyzny zaczęła płuć płomieniami; wypuścił z dłoni miecz i chwycił się gwałtownie za twarz, od czego zajęły mu się ramiona, po czym pobiegł z wrzaskiem przed siebie.

Koń Quaia wystraszył się płomieni i cofnął, rżąc niespokojnie. Chudy zatoczył się z głośnym sapnięciem, a wtedy Logen skoczył na niego, chwycił drzewce włóczni jedną ręką i walnął go głową w twarz. Rozległ się głośny chrzęst nosa zmiażdżonego czołem; mężczyzna zachwiał się do tyłu, zalany krwią, która spływała mu po brodzie. Logen pchnął go, trzymając za włócznię, wziął szeroki zamach prawą ręką i wymierzył mu potężny cios w szyję. Tamten zwałił się z przeraźliwym charkotem, Logen zaś wyrwał mu drzewce z dłoni.

Poczuł za sobą jakiś ruch. Rzucił się gwałtownie na ziemię i odtoczył na bok, w lewą stronę. Topór przeciął ze świstem powietrze nad jego głową i wyciął długą szramę w końskim boku, zraszając ziemię kroplami krwi i rozrywając popręg siodła. Bandyta z czyrakiem na twarzy zachwiał się, obracając wraz z toporem. Logen skoczył na niego, ale skręcił sobie kostkę na jakimś kamieniu i zatoczył się jak pijany, wyjąc z bólu. Koło jego twarzy śmignęła strzała, wystrzelona gdzieś spomiędzy drzew, i zniknęła w krzewach po drugiej stronie drogi. Koń rżał i wierzgał, przewracając obłąkanymi oczami, by po chwili pogalopować przed siebie w szaleńczym pędzie. Malacus Quai wydał z siebie piskliwy okrzyk przerażenia, gdy siodło zsunęło się z grzbietu wierzchowca, a on sam wylądował w zaroślach.

Logen nie miał czasu o nim myśleć. Zaszarżował z dzikim rykiem na człowieka trzymającego topór, celując włócznią w jego serce. Przeciwnik zdążył unieść broń i sparować uderzenie ostrza, ale nie dość szybko. Dzida przebiła mu bark i obróciła nim dookoła osi. Rozległ się ostry trzask pękającego drzewca, Logen zaś stracił równowagę i runął do przodu, zwalając przeciwnika na ziemię. Sterczący z jego pleców czubek włóczni rozorał mu głęboko czaszkę, kiedy padał na

leżącego. Chwycił obiema rękami skołtunione włosy przeciwnika, odciągnął mu głowę do tyłu i rąbnął jego twarzą o jakiś kamień.

Dźwignął się na nogi i poczuł, jak kręci mu się w głowie. Otarł oczy z krwi i w ostatniej chwili dostrzegł wylatującą spomiędzy drzew strzałę, która utkwiała z głuchym dźwiękiem w pniu dwa kroki dalej. Logen rzucił się w stronę łucznika. Widział go teraz, chłopca niespełna czternastoletniego, który sięgał po drugą strzałę. Logen dobył w biegu noża. Chłopiec zakładał strzałę na łuk, ale oczy miał szeroko otwarte z przerażenia. Źle naciągnął cięciwę i wypuścił grot między palcami, wielce zdumiony.

Logen dopadł go w mgnieniu oka. Chłopiec zamierzył się na niego łukiem, ale Logen uchylił się błyskawicznie i równie błyskawicznie wyprostował, uderzając nożem trzymanym w obu dłoniach. Ostrze trafiło chłopca pod brodą i uniosło go w powietrze, po czym złamało się w jego szyi. Runął na Logena, któremu wyszczerbiona stal rozorała ramię. Krew zraszała wokół ziemię – krew z rany na głowie Logena, krew z rany na jego ramieniu, krew z ziejącej dziury w gardle chłopca.

Logen odsunął trupa na bok i zatoczył się na najbliższe drzewo, łapiąc spazmatycznie powietrze. Serce mu waliło, w uszach łomotało, żołądek zaciskał się kurczowo.

– Wciąż żyję – wyszeptał. – Wciąż żyję.

Rozcięcia na jego głowie i ramieniu zaczęły pulsować boleśnie. Dwie kolejne blizny. Mogło być znacznie gorzej. Otarł oczy z krwi i pokuśtykał w stronę drogi.

Stał tam Malacus Quai, wpatrując się z poszarzałą twarzą w trzy trupy. Logen ujął go za ramiona, a potem przyjrzał mu się dokładnie.

– Jesteś ranny?

Quai tylko patrzył na zwłoki.

– Nie żyją?

Ciało tego wielkiego z hełmem wciąż dymiło, rozsnuwając wkoło wstrętne kuszącą woń. Logen zauważył, że martwy człowiek ma na nogach całkiem przyzwoite buty, znacznie lepsze niż jego własne. Ten z czyrakiem na twarzy leżał ze skrzyżowaną szyją, zbyt skrzyżowaną, by żyć, nie wspominając już o tym, że był przebity na wylot włócznią. Logen obrócił chudego stopą. Na zakrwawionej twarzy wciąż widniało zdumienie, oczy wpatrywały się w niebo, usta były szeroko otwarte.

– Pewnie mu zmiażdżyłem przełyk – mruknął Logen. Jego dłonie lepiły się od krwi. Zacisnął jedną na drugiej, by zapanować nad ich drżeniem.

– A ten w zaroślach? – spytał Quai.

Logen przytaknął i spytał:

– Co się stało z koniem?

– Uciekł – wymamrotał bezradnie Quai. – Co robimy?

– Sprawdźmy, czy nie mieli ze sobą jakiegoś jedzenia. – Logen wskazał dymiącego trupa. – I pomożesz mi ściągnąć z niego buty.

# Trening szermierczy

Nacieraj na niego, Jezal, nacieraj! Nie bój się!

Jezal nie zamierzał robić nic innego, jak tylko słuchać. Rzucił się do przodu, uderzając prawą. West już wcześniej stracił równowagę i zatoczył się do tyłu, tracąc całkowicie postawę, zdolny tylko do parowania ciosów krótką stałą. Tego dnia posługiwali się ostrzami jednostronnymi, by wzbogacić trening elementem ryzyka. Nie dało się nimi tak naprawdę ugodzić śmiertelnie przeciwnika, ale można było zadać mu jedno czy dwa bolesne cięcia, jeśli ktoś się bardzo postarał. Jezal zamierzał trafić majora w rewanżu za wczorajsze poniżenie.

– O tak, daj mu popalić! Uderzaj, uderzaj, kapitanie! Uderzaj, uderzaj!

West wykonał niezgrabne cięcie, ale Jezal dostrzegł je w porę i odbił ostrze, wciąż napierając na przeciwnika, atakując bezlitośnie. Ciął lewą, potem jeszcze raz. West zablokował desperacko ten atak i cofnął się pod ścianę. Jezal przyparł go wreszcie do muru. Zachichotał radośnie, uderzając ponownie długim ostrzem, lecz jego oponent ożył znienacka i zaskakująco. West wymknął się i sparował atak z zadziwiającym zdecydowaniem i pewnością. Jezal zachwiał się, stracił równowagę i wydał z siebie pełne zdumienia sapnięcie, gdy czubek jego miecza natrafił na szczelinę między kamieniami; wyrwało mu ze zdrętwiałej dłoni stal, która, kołysząc się, utkwiała w ścianie.

West skoczył na przeciwnika, uchylając się przed drugim ostrzem, i uderzył go ramieniem. „Ufff”, wyrzucił z siebie Jezal; zatoczył się do tyłu i upadł, szukając rozpaczliwie krótkiego ostrza. Potoczyło się po kamiennej posadzce i znieruchomiało, gdy marszałek Varuz przytrzymał je zgrabnie podeszwą buta. Stępiony czubek broni majora Westa zawisł nad krtanią Jezala.

– Niech to diabli! – zaklął, kiedy szeroko uśmiechnięty West wyciągnął do niego pomocną dłoń.

– Tak – mruknął Varuz z głębokim westchnieniem. – Rzeczywiście, niech to diabli. Jeszcze gorszy pokaz umiejętności niż wczoraj, jeśli to w ogóle możliwe! Znow pozwolił pan majorowi zrobić z siebie głupca!

Jezal odsunął szorstko dłoń Westa i krzywiąc twarz, wstał.

– Ani razu nie stracił kontroli nad pańskim atakiem! Pozwolił się pan wciągnąć, a potem rozbroić! Rozbroić! Mój wnuk nie popełniłby takiego błędu, a ma dopiero osiem lat! – Varuz uderzył wściekle swoim kijem o kamienną posadzkę. – Proszę mi wyjaśnić, kapitanie Luthar, jak chce pan wygrać turniej, leżąc na plecach, i to w dodatku bez broni?

Jezal zasępił się i potarł sobie potylicę.

– Nie potrafi pan? W przyszłości, jeśli runie pan z urwiska z ostrzami w dłoniach, to chcę zobaczyć, jak trzymaj je pan mocno w martwych rękach, słyszy mnie pan?

– Tak, marszałku Varuz – wymamrotał ponuro Jezal, pragnąc w duchu, by to sam stary drań runął z urwiska. Albo może z Wieży Łańcuchów. Tak byłoby lepiej. Może razem z majorem Westem.

– Zbytńia pewność siebie jest przekleństwem szermierza! Musi pan traktować każdego przeciwnika tak, jakby miał być ostatnim. A co się tyczy pracy nóg – tu Varuz wydał pogardliwie wargi – elegancka i fantazyjna, kiedy pan naciera, ale gdy się pan cofa, jest pan słaby jak dziecko. Wystarczyło, że major trącił pana lekko, a pan upadł jak mdlejąca dziewczyna!

West uśmiechnął się do niego szeroko. Uwielbiał to. Absolutnie, niech go diabli.

– Powiadają, że Bremer dan Gorst ma nogi jak stalowe kolumny. Stalowe kolumny, tak mówią! Łatwiej byłoby przewrócić Dom Stwórcy niż jego. – Lord marszałek wskazał zarysy ogromnej

wieży, majaczącej nad budynkami dziedzińca. – Dom Stwórcy! – krzyknął z oburzeniem.

Jezal pociągał nosem i trącał od niechcienia podłogę czubkiem buta. Po raz setny rozważał, czy nie wyrzec się szermierki i nigdy więcej nie wziąć stali do ręki. Co jednak powiedzieliby ludzie? Jego ojciec był z niego taki dumny, zawsze wychwalał synowskie umiejętności przed każdym, kto chciał tylko słuchać. Pragnął z całego serca ujrzeć, jak jego syn walczy na placu Marszałków przed rozwrzeszczanym tłumem widzów. Gdyby Jezal porzucił to teraz, to zawiódłby straszliwie ojca, mógłby też pożegnać się z awansem, z wynagrodzeniem, z ambicjami. Jego bracia przyjęliby to z radością.

– Równowaga to klucz – perorował Varuz. – Pańska siła rodzi się w nogach! Od tej pory będziemy uzupełniać pański trening o godzinę ćwiczeń na równoważni. Każdego dnia.

Jezal skrzywił się.

– A zatem: biegi, ćwiczenia z ciężką sztangą, pchnięcia, godzina sparringu, znowu pchnięcia, godzina na równoważni. – Lord marszałek przytaknął z zadowoleniem. – To na razie wystarczy. Widzę pana jutro rano o szóstej, trzeźwego jak lód. – Varuz zmarszczył czoło. – Trzeźwego jak lód.

\* \* \*

– Nie mogę robić tego bez końca, sam wiesz – powiedział Jezal, wracając zmęczonym, sztywnym krokiem do kwater oficerskich. – Jak długo można znosić to koszarne gówno?

West wyszczerzył zęby.

– To nic takiego. Nie widziałem jeszcze, by stary drań był dla kogoś taki miękki jak dla ciebie. Chyba naprawdę cię lubi. Dla mnie nie był nawet w połowie tak przyjacielski.

Jezal nie mógł w to uwierzyć.

– Był jeszcze gorszy?

– Nie miałem takiego przygotowania jak ty. Kazał mi trzymać ciężką sztangę przez całe popołudnie, aż spadała na mnie. – Major skrzywił się nieznacznie, jakby samo to wspomnienie było dla niego bolesne. – Kazał mi biegać w górę i w dół Wieży Łańcuchów w pełnym oporządzeniu. Kazał mi ćwiczyć z bronią przez cztery godziny, dzień w dzień.

– Jak to zniosłeś?

– Nie miałem wyboru. Nie pochodzę ze szlacheckiego rodu. Szermierka była dla mnie jedyną drogą, dzięki której mogłem zostać zauważony. Ale opłaciło się koniec końców. Ilu znasz ludzi z gminu, którzy uzyskali awans w gwardii królewskiej?

Jezal wzruszył ramionami.

– Rzeczywiście, niewielu – odparł. Sam będąc ze szlacheckiego rodu, uważał, że nie powinno być ich w ogóle.

– Ale ty pochodzisz z dobrej rodziny i jesteś już kapitanem. Jeśli zdołasz wygrać turniej, to bez wątplenia zajdziesz bardzo daleko. Hoff – marszałek dworu; Marovia – najwyższy sędzia; sam Varuz, jeśli już o tym mówimy... wszyscy oni byli w swoim czasie czempionami. A czempioni, w których żyłach płynie odpowiednia krew, zawsze osiągają szczyt.

Jezal prychnął pogardliwie.

– Jak twój przyjaciel Sand dan Glokta?

To imię zawisło nagle między nimi jak kamień.

– No... prawie zawsze.

– Majorze West! – dobiegł zza ich pleców ostry głos. Spieszył ku nim przysadzisty podoficer z blizną na policzku.

– Jak się pan miewa, sierżancie Frost? – spytał West, klepiąc żołnierza przyjaźnie po plecach. Miał podejście do wieśniaków, ale z drugiej strony sam stał niewiele wyżej, jak musiał stale sobie przypominać Jezal. Może i był wykształcony, może i był oficerem, i tak dalej, ale mimo wszystko więcej go łączyło z sierżantem niż z nim, Jezalem, kiedy się nad tym zastanowić.

Sierżant promieniał.

– Bardzo dobrze, sir, dziękuję. – Skinął z szacunkiem głową Jezalowi. – Dzień dobry, kapitanie.

Jezal przytaknął szorstko i odwrócił się, by popatrzeć na aleję. Nie przychodził mu do głowy żaden powód, dla którego oficer miałby spoufalać się z prostym sierżantem, poza tym podoficer miał bliznę i był brzydki. Jezal nie przepadał za brzydkimi ludźmi.

– Co mogę dla pana zrobić? – spytał West.

– Marszałek Burr pragnie pana widzieć, sir, to sprawa pilna. Wszyscy starsi oficerowie zostali wezwani.

West spoważniał.

– Zjawię się jak najszybciej.

Sierżant zaszalutował i odmaszerował.

– O co tu chodzi? – spytał Jezal niedbale, obserwując jakiegoś urzędnika, który gonił za upuszczonym papierem.

– Angland. O tego króla Północy, Bethoda. – West wymówił to imię z grymasem, jakby pozostawiało po sobie gorzki smak. – Mówią, że pokonał wszystkich wrogów na swoich ziemiach, a teraz rwie się do wojny z Unią.

– No cóż, jeśli chce walki... – odparł Jezal nonszalancko. Wojny były według niego czymś wspaniałym, doskonałą okazją zdobycia chwały i zaszczytów.

Koło jego buta przeleciał papier gnany lekkim wietrzykiem, a po chwili pojawił się zdyszany urzędnik. Jezal uśmiechnął się szeroko, gdy mężczyzna przebiegł obok, niemal zgięty wpół, starając się nieporadnie schwytać kartkę. Major złapał zabrudzony dokument i wręczył go właścicielowi.

– Dziękuję, sir – powiedział mężczyzna; na jego spoconej twarzy malowała się wdzięczność. – Bardzo dziękuję.

– Nie ma za co – mruknął West.

Tamten skłonił się unizenie i pospieszył dalej. Jezal był rozczarowany. Bawiła go ta pogoń za papierem.

– Może i będzie wojna, ale mam większe zmartwienia na głowie. – West westchnął ciężko. – Moja siostra przyjechała do Aduy.

– Nie wiedziałem, że masz siostrę.

– No cóż, mam, i ona tu jest.

– Więc?

Jezal nie miał wielkiej ochoty wysłuchiwać opowieści o siostrze majora. West być może coś w życiu osiągnął, ale jego rodzina nie zasługiwała na uwagę Jezala. Interesowały go spotkania z biednymi, gminnymi dziewczętami, które mógł wykorzystywać, i bogatymi, szlachetnie urodzonymi pannami, ewentualnymi kandydatkami na żonę. Inne kobiety nie miały dla niego znaczenia.

– No cóż, moja siostra potrafi być czarująca, ale jest też odrobinę... niekonwencjonalna. Kiedy najdzie ją zły humor, zachowuje się czasem niesfornie. Prawdę powiedziawszy, wolałbym mieć do czynienia z bandą wojowników z Północy niż z nią.

– Daj spokój, West – rzucił mimochodem Jezal, nie przywiązując większej wagi do własnych

słów. – Nie jest chyba aż tak kłopotliwa.

Major się rozchmurzył.

– Cóż, cieszę się, że tak mówisz. Zawsze pragnęła zobaczyć Agriont, a ja powtarzałem przez lata, że ją oprowadzę, jeśli się tu zjawi. Na dobrą sprawę, zaplanowaliśmy to na dzisiaj – wyjaśnił, a Jezal poczuł, jak zamiera w nim serce. – Tylko że to spotkanie z oficerami...

– Ale mam teraz tak mało czasu! – zaczął narzekać Jezal.

– Obiecuję, że ci to wynagrodzę. Spotkajmy się w mojej kwaterze za piętnaście minut.

– Zaczekaj...

Ale West już się oddalał.

\* \* \*

Żeby tylko nie była za brzydka, myślał Jezal, zbliżając się wolno do drzwi kwatery majora Westa i podnosząc niechętnie dłoń, by zapukać. Oby tylko nie była zbyt brzydka. Ani zbyt głupia. Wszystko, byle nie popołudnie zmarnowane na głupią dziewczynę. Jego dłoń dotknęła niemal drzwi, gdy uświadomił sobie, że z drugiej strony dobiegają podniesione głosy. Stał z poczuciem winy na korytarzu, przysuwając coraz bardziej ucho do drewna i mając nadzieję, że usłyszy coś pochlebnego pod swoim adresem.

– ...a twoja służąca? – odezwał się stłumiony i mocno poirytowany głos majora Westa.

– Musiałam ją zostawić w domu, było mnóstwo do roboty. Nikt tam nie zaglądał od miesiący.

Siostra Westa. Jezala ogarnęło rozczarowanie. Głęboki głos, sugerujący tuszę. Jezal nie mógł sobie pozwolić na to, by widziano go spacerującego po Agrioncie w towarzystwie grubej dziewczyny. Bał się o swoją reputację.

– Przecież nie możesz spacerować po mieście zupełnie sama!

– Przyjechałam tu i dałam sobie radę, prawda? Zapominasz, kim jesteśmy, Collem. Mogę się obejść bez służącej. Zresztą dla większości tutejszych mieszkańców nie jestem niczym lepszym od niej, poza tym będę pod opieką twojego kapitana Luthera.

– To jeszcze gorzej, o czym doskonale wiesz!

– No cóż, skąd miałam wiedzieć, że będziesz zajęty? Sądziłam, że znajdziesz trochę czasu dla własnej siostry. – Nie wydawała się teraz idiotką, a to już było coś, ale nie wątpił, że jest gruba i jak się jeszcze okazało drażliwa. – Nie będę bezpieczna z twoim przyjacielem?

– Jest dość przyzwoity, ale czy on będzie bezpieczny z tobą?

Jezal nie wiedział, co major rozumie przez ten wtrącony mimochodem komentarz.

– Spacer po Agrioncie z mężczyzną, którego ledwie znasz – ciągnął West. – Nie udawaj naiwnej, znam cię dobrze! Co ludzie sobie pomyślą?

– Mam to gdzieś.

Jezal cofnął się gwałtownie od drzwi. Nie był przyzwyczajony do tego, by damy posługiwały się takim językiem. Gruba, drażliwa i wulgarna, niech to diabli. Mogło być jeszcze gorzej, niż się obawiał. Spojrzał w głąb korytarza, rozważając ucieczkę i już teraz zastanawiając się nad jakąś wymówką. Miał jednak pecha, bo ktoś wspinał się właśnie na schody. Nie zdołałby odejść niezauważony. Wiedział, że musi zapukać i skończyć z tym. Zacisnął zęby i zastukał z niechęcią w drzwi.

Głosy umilkły raptownie, Jezal zaś przybrał na twarz nieprzekonujący przyjazny uśmiech. Niech

się znacznie ta tortura. Drzwi otworzyły się na oścież.

Z jakichś powodów spodziewał się zobaczyć coś w rodzaju niższej, grubszej wersji majora Westa, tyle że w sukni. Był w ogromnym błędzie. Odznaczała się być może pełniejszą figurą niż nakazywałaby to moda, gdyż chude dziewczyny cieszyły się ostatnio powodzeniem, ale nikt nie nazwałby jej grubą. Miała ciemne włosy i ciemną skórę, nieco zbyt ciemną, by można było uznać ją za idealną. Wiedział, że dama powinna w miarę możliwości unikać słońca, ale teraz, patrząc na nią, nie bardzo rozumiał dlaczego. Oczy też miała ciemne, niemal czarne, co prawda w tym sezonie spojrzenia przyciągały tylko niebieskie, ale jej błyszczały w przyćmionym świetle drzwi w urzekający sposób.

Uśmiechnęła się do niego. Był to dziwny uśmiech, jeden kącik ust podnosił się nieco wyżej od drugiego. Poczł się trochę nieswojo, jakby wiedziała o czymś zabawnym, o czym on nie miał pojęcia. Mimo to miała doskonałe zęby, białe i bez wyjątku lśniące. Jazel poczuł, jak jego gniew ulatuje szybko. Im dłużej się przyglądał tej kobiecie, tym większe wrażenie robił na nim jej wygląd i tym większą miał pustkę w głowie.

– Witam – powiedziała.

Jego usta rozchyliły się nieznacznie, jakby poruszane siłą przyzwyczajenia, ale nie dobyły się z nich żadne słowa. Jego umysł przypominał pustą kartkę.

– Porucznik Luthar zapewne?

– E...

– Jestem siostrą Collema, na imię mam Ardee. – Uderzyła się dłonią w czoło. – Ale ze mnie idiotka, przecież Collem musiał panu o mnie mówić. Wiem, że jesteście wielkimi przyjaciółmi.

Zerknął niezręcznie na majora, który patrzył na niego ze zmarszczonym czołem, sprawiając wrażenie nieco zakłopotanego. Jezal nie mógł powiedzieć, że do dzisiejszego ranka był całkowicie nieświadomy jej istnienia. Próbował sformułować jakąś choćby odrobinę żartobliwą odpowiedź, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Ardee ujęła go za łokieć i wprowadziła do pokoju, nie milknąc.

– Wiem, że jest pan wielkim szermierzem, ale słyszałam, że pański dowcip jest jeszcze ostrzejszy od pańskiego miecza. Do tego stopnia, że wobec przyjaciół używa pan jedynie miecza, gdyż pański żart bywa śmiertelny – oznajmiła i spojrzała na niego wyczekująco. Milczenie.

– No cóż – wymamrotał. – Zajmuję się trochę bronią białą.

Żałosne. Po prostu okropne.

– Czy zjawił się nasz gość czy może płatnerz? – Popatrzyła na niego z dziwnym wyrazem twarzy, trudnym do odczytania. Być może było to takie samo spojrzenie, jakim Jezal obrzuciłby konia, którego zamierzał kupić: uważnym, badawczym, skupionym i odrobinę pogardliwym. – Nawet płatnerze, jak się wydaje, noszą wspaniałe mundury.

Jezal był niemal pewien, że jej słowa są czymś w rodzaju obelgi, ale zbyt intensywnie zastanawiał się nad jakąś dowcipną uwagą, by się tym przejmować. Wiedział, że musi coś powiedzieć albo spędzić resztę dnia w pełnym zakłopotaniu milczeniu, otworzył więc usta, zdając się na łut szczęścia.

– Przepraszam, jeśli wydałem się w pierwszej chwili osłupiały, ale major West jest tak nieatrakcyjnym mężczyzną. Jakże mogłem spodziewać się, że ujrzę tak piękną siostrę?

West parsknął śmiechem. Ardee uniosła brew i zaczęła wyliczać na palcach:

– Łagodnie krytyczne pod adresem mojego brata, co jest godne pochwały. Zabawne, by się tak wyrazić, co też należy uznać za plus. Szczerze, czyli krzepiące, i niezwykle pochlebne w stosunku do mnie, czyli doskonałe. Odrobinę późno, ale, ogólnie rzecz biorąc, warto było zaczekać. – Spojrzała



Jeżalowi w oczy. – Widzę, że popołudnie nie musi być całkowicie stracone.

Jeżal nie był pewien, czy podoba mu się ta ostatnia uwaga, tak jak nie był pewien, czy podoba mu się jej spojrzenie, ale patrzył na nią z prawdziwą przyjemnością, więc był gotów wybaczyć wiele. Kobiety, które znał, rzadko mówiły coś mądrego, zwłaszcza te przystojne. Podejrzywał, że nauczono je uśmiechać się, przytakiwać i słuchać, kiedy mówili mężczyźni. Zgadzał się z tym na dobrą sprawę, ale musiał przyznać, że bystrość pasuje do siostry Westa, poza tym ta kobieta budziła jego niekłamaną ciekawość. Otyłe i drażliwe nie wchodziły w rachubę, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Co się tyczy szorstkiego języka... no cóż, ludzie przystojni nigdy nie byli szorstcy, prawda? Co najwyżej... niekonwencjonalni. Zaczynał sądzić, że, tak jak powiedziała, popołudnie nie musi być całkowicie stracone.

West skierował się do drzwi.

– Zdaje się, że muszę was zostawić. Sami sobie dokuczajcie. Oczekuje mnie lord marszałek Burr. Nie róbcie niczego, czego ja bym nie robił, he? – Uwaga ta zadawała się być wymierzona w Jeżala, jednak nie wiedzieć czemu West patrzył na swoją siostrę.

– To dopuszcza niemal wszystko – odparła, dostrzegając wzrok Jeżala, który stwierdził ze zdumieniem, że czerwieni się jak mała dziewczynka; zakaszał i wlepił spojrzenie w swoje buty.

West przewrócił wymownie oczami.

– Litości – powiedział i zamknął za sobą drzwi.

– Chce się pan napić? – spytała Ardee, już nalewając wino do kieliszka.

Sam na sam z piękną kobietą. Zdarzało mu się to nie raz, ale miał wrażenie, że brakuje mu zwykłej w takich chwilach śmiałości.

– Tak, z przyjemnością, dziękuję.

Owszem, drink, żeby uspokoić nerwy. Podała mu wino i nalała sobie. Zastanawiał się, czy młoda dama powinna pić tak wcześnie, ale jakakolwiek uwaga na ten temat wydawała się bezsensowna. W końcu Ardee nie była jego siostrą.

– Proszę mi powiedzieć, kapitanie, jak pan poznał mojego brata.

– No cóż, to mój dowódca, poza tym ćwiczymy razem szermierkę. – Jego umysł znów zaczął funkcjonować. – Ale... to już pani wie.

Uśmiechnęła się do niego.

– Oczywiście, ale moja guwernantka zawsze utrzymywała, że młodzi mężczyźni powinni mieć swój udział w rozmowie.

Jeżal zakrztusił się, przełykając wino, którego odrobina wylała mu się na mundur.

– O Boże – powiedział.

– Proszę to przez chwilę potrzymać.

Dała mu swój kieliszek, a on wziął go bez zastanowienia, co jednak sprawiło, że miał obie dłonie zajęte. Kiedy zaczęła wycierać mu mundur na piersi białą chusteczką, nie mógł zaprotestować, choć jej gest wydał się nieco śmiały. Szczerze powiedziawszy, mógłby zaprotestować, gdyby nie wyglądała tak doskonale. Zastanawiał się, czy zdawała sobie sprawę, jak wspaniały oferuje mu widok górnej części swojej sukni, ale oczywiście skąd miałaby to wiedzieć? Była tu nowa, nienawykła do dworskich manier, tylko do naturalnych gestów wiejskiej dziewczyny i tak dalej... przedstawiała sobą jednak przyjemny widok, nie można było temu zaprzeczyć.

– No, już lepiej – oznajmiła, choć jej zabiegi niewiele pomogły. W każdym razie nie jego mundurowi. Wzięła od niego kieliszki, wychyliła szybko swój, z wprawą odchylając głowę, i odstawiła je na stolik. – Pójdziemy?

– Tak... oczywiście. – Podał jej ramię.

Poprowadziła go korytarzem, a potem schodami na dół, cały czas mówiąc beztrąsko. Był to atak konwersacyjnych ciosów, a jego obrona, jak wykazał już wcześniej marszałek Varuz, miała poważne luki. Parował jej wypowiedzi desperacko, kiedy przemierzali szeroki plac Marszałków, ale z trudem wtrącał słowo. Wydawało się, jakby to Ardee mieszkała tu od lat, Jezal zaś był prostytutką z prowincji.

– To Pałac Marszałkowski? – Skinęła w stronę muru, który oddzielał siedzibę dowództwa sił Unii od pozostałej części Agriontu.

– Tak. Marszałkowie mają tam swoje gabinety, i tak dalej. A tam są koszary, zbrojownie i... e... – urwał niepewnie. Nic więcej nie przychodziło mu do głowy, jednak Ardee pospieszyła mu z pomocą.

– A więc gdzieś tam musi być teraz mój brat. Jest sławnym żołnierzem, jak przypuszczam. Pierwszy, który wdarł się do Ulrioch i tak dalej.

– No cóż, major West jest tu bardzo szanowany...

– Ale bywa nudziarzem, prawda? Tak bardzo pragnie być tajemniczy i tragiczny.

Przybrała na twarz nieznaczący, bezwiedny uśmiech i potarła się w zamyśleniu po brodzie, tak jak mógłby zrobić jej brat. Było to doskonałe naśladownictwo i Jezal musiał się roześmiać, ale zaczął się też zastanawiać, czy powinna iść tak blisko niego, trzymając go pod ramię w poufały sposób. Oczywiście, nie miał nic przeciwko temu. Wręcz przeciwnie, ale ludzie mimo wszystko patrzyli.

– Proszę posłuchać, Ardee...

– A więc to musi być Droga Królewska.

– E, tak... Ardee...

Patrzyła teraz na wspaniałą posąg Haroda Wielkiego, który spoglądał surowym wzrokiem gdzieś w dal.

– Harod Wielki? – spytała.

– Tak. W ciemnych wiekach, jeszcze nim powstała Unia, walczył, by zjednoczyć Trzy Królestwa. Był pierwszym Wysokim Królem. – Ty idioto, pomyślał Jezal, ona już to wie, wszyscy to wiedzą. – Proszę posłuchać, Ardee, myślę, że pani brat...

– A to jest Bayaz, Pierwszy z Magów?

– Tak, był najbardziej zaufanym z doradców Haroda. Ardee...

– Czy to prawda, że wciąż zachowują dla niego miejsce w Zamkniętej Radzie?

Jezal nie krył zaskoczenia.

– Słyszałem, że jest tam puste krzesło, ale nie wiedziałem...

– Wszyscy wyglądają tak poważnie, prawda?

– E... przypuszczam, że były to poważne czasy – odparł, uśmiechając się nieprzekonująco.

Na wielkim, odzianym w skórę koniu pędził aleją herold królewski, od złotych skrzydeł na jego hełmie odbijało się słońce. Sekretarze rozbiegli się na boki, by usunąć mu się z drogi, a Jezal próbował odciągnąć łagodnie Ardee. Ku jego wielkiej niechęci odmówiła. Koń przemknął w tuż obok niej, na tyle blisko, że pęd wywołany jego biegiem cisnął Jezalowi w twarz jej włosy. Obróciła się w jego stronę z rumieńcami podniecenia na policzkach, absolutnie nieporuszona faktem, że coś mogło jej się stać.

– Herold królewski? – spytała, ponownie ujmując Jezala pod ramię i prowadząc go Drogą Królewską.

– Tak – odparł piskliwie Jezal, starając się rozpaczliwie zapanować nad głosem. – Na heroldzie królewskim spoczywa ogromna odpowiedzialność. Zanoszą wieści do króla w każdy

zakątek Unii. – Serce przestało mu walić. – Nawet przez Morze Kręgu do Anglandu, Dagoski i Westport. Może przemawiać w imieniu króla, a zatem nie wolno mu zabierać głosu w jakichkolwiek innych sprawach.

– Kiedy tu płynęłam, na pokładzie przebywał Fedor dan Haden, on też jest heroldem królewskim. Rozmawialiśmy godzinami.

Jezal próbował bez powodzenia ukryć zaskoczenie.

– Rozmawialiśmy o Adule, o Unii, o jego rodzinie. Padło też pańskie imię, szczerze mówiąc.

Jezal silił się bez powodzenia na nonszalancję.

– W związku z bliskim turniejem. – Ardee nachyliła się ku niemu. – Fedor wyraził opinię, że Bremer dan Gorst pokroi pana na kawałki.

Jezal wydał z siebie zduszone kasznięcie, ale opanował się szybko.

– Niestety, opinię tę podziela większość.

– Ale nie pan, mam nadzieję.

– E...

Przystanąła i wzięła go za rękę, patrząc mu szczerze w oczy.

– Jestem pewna, że go pan pokona, bez względu na to, co mówią. Mój brat ma o panu bardzo wysokie mniemanie, a zwykle jest w pochwałach bardzo skąpy.

– E... – wymamrotał Jezal. Palce mrowiły go przyjemnie. Jej oczy były duże i ciemne, on zaś stwierdził, że brakuje mu słów. Miała w zwyczaju zagryzać dolną wargę, co sprawiało, że jej myśli zaczynały błędzić. Doskonała, pełna warga. Nie miałby nic przeciwko temu, by samemu ją zagryźć. – No cóż, dziękuję.

Uśmiechnął się głupio.

– A więc to jest park – oznajmiła Ardee, odwracając się od niego, by podziwiać bujną zieleń. – Jest jeszcze piękniejszy, niż sobie wyobrażałam.

– No... tak.

– Jakie to wspaniałe być w samym sercu wszelkich spraw. Tyle czasu spędziłam gdzieś na obrzeżach. Podejmuje się tu tyle ważnych decyzji, żyje tu tak wielu ważnych ludzi. – Ardee przesunęła dłoń po liściach wierzby rosnącej przy drodze. – Collem martwi się, że na Północy może wybuchnąć wojna. Troszczył się o moje bezpieczeństwo. Chyba dlatego chciał, żebym tu przyjechała. Myślę, że przejmuje się za bardzo. Jak pan sądzi, kapitanie Luthar?

Jeszcze dwie godziny temu znajdował się w stanie błogiej niewiedzy, ale taka odpowiedź z pewnością nie zadowoliłaby Ardee.

– No cóż – odparł, próbując przypomnieć sobie to imię, i po chwili oznajmił z ulgą: – Ten Bethod prosi się o to, by natrzeć mu uszu.

– Powiadają, że ma pod swoim sztandarem dwadzieścia tysięcy ludzi. – Nachyliła się ku niemu i szepnęła: – Barbarzyńców. Dzikusów. Słyszałam, że obdziera ludzi żywcem ze skóry.

Jezalowi przyszło do głowy, że nie jest to chyba odpowiedni temat rozmowy dla młodej damy.

– Ardee... – zaczął ponownie.

– Jestem jednak pewna, że mając za obrońców takich ludzi jak pan i mój brat, my, kobiety, nie musimy się niczego obawiać.

Odwróciła się i ruszyła ogrodową ścieżką. Jezal znów musiał przyspieszyć kroku, żeby ją dogonić.

– A to jest Dom Stwórcy? – Ardee skinęła głową w stronę posępnego zarysu ogromnej wieży.

– Owszem, zgadza się.

– Nikt tam nie wchodzi?

– Nie. W każdym razie nikt tego nie zrobił za mojego życia. Most jest zamknięty na głucho. – Spojrzał ze zmarszczonym czołem na budowlę. Wydawało się teraz dziwne, że nigdy się nad nią nie zastanawiał. Żył w Agrioncie i po prostu nie dostrzegał jej na co dzień. Przyzwyczyił się do jej obecności. – Jest chyba zapieczętowana, jak mi się wydaje.

– Zapieczętowana? – Ardee przysunęła się do niego bliżej; Jezal rozejrzył się nerwowo wokół, ale nikt akurat nie patrzył. – Czyż nie jest zastanawiające, że nikt tam nie zagląda? Czyż nie jest to tajemnicze?

Czuł niemal jej oddech na swojej szyi.

– Chodzi mi o to, że... dlaczego by nie wyłamać drzwi? – spytała.

Jezal stwierdził, że niezwykle trudno mu się skoncentrować, kiedy była tak blisko niego. Zastanawiał się przez chwilę, przerażającą i jednocześnie podniecającą, czy przypadkiem z nim nie flirtuje. Nie, oczywiście, że nie! Nie była po prostu nawykła do miasta. Niefrasobliwe zachowanie wiejskiej dziewczyny... z drugiej jednak strony stała tuż obok. Gdyby tylko wydawała się mniej atrakcyjna albo mniej pewna siebie. Gdyby tylko nie była tak bardzo... siostrą Westa.

Odkasznął i powiódł wzrokiem wzdłuż ścieżki, licząc bezowocnie na jakiś ratunek. W pobliżu spacerowało kilkoro ludzi, nikt jednak, kogo by znał, chyba że... Nagle czar, jaki roztaczała wokół siebie Ardee, prysł, Jezal zaś poczuł zimno na skórze. W ich stronę, ubrana niestosownie jak na tak ciepły dzień, wsparta z wysiłkiem na lasce, kuśtykała przygarbiona postać. Człowiek ten szedł pochylony i krzywił się przy każdym kroku, a szybciej poruszający się przechodnie omijali go szerokim łukiem. Jezal starał się odciągnąć Ardee na bok, nim tamten zdążyłby ich dostrzec, ale oparła mu się z wdziękiem i ruszyła w stronę kroczonego niepewnie inkwizytora.

Uniósł gwałtownie głowę, gdy się zbliżyli, oczy zaś błysnęły mu jak na widok znajomego. Jezal poczuł, że zamiera w nim serce. Nie mógł w żaden sposób uniknąć spotkania.

– Coś takiego, kapitan Luthar – oznajmił ciepło Glokta, podchodząc odrobinę za blisko i ściskając Jezalowi dłoń. – Cóż za miła niespodzianka! Jestem zaskoczony, że Varuz dał panu wolne o tak wczesnej porze. Zapewne łagodnieje pod wpływem starczego wieku.

– Lord marszałek jest wciąż niezwykle wymagający – rzucił pospiesznie Jezal.

– Mam nadzieję, że moi praktycy nie sprawili panu zbyt wielu kłopotów tamtej nocy. – Inkwizytor potrząsnął ze smutkiem głową. – Nie mają manier. Absolutnie żadnych. Są jednak najlepsi w swoim fachu! Przysięgam, że król nie znalazłby bardziej cennych sług.

– Przypuszczam, że wszyscy służymy królowi na swój sposób. – W głosie Jezala zabrzmiała wrogość, nad którą nie zapanował.

Jeśli Glokta poczuł się urażony, to nie pokazał tego po sobie.

– Jak najbardziej. Nie znam chyba pańskiej przyjaciółki.

– Nie. To jest...

– Prawdę mówiąc, znamy się – oznajmiła Ardee ku zdziwieniu Jezala i podała dłoń inkwizytorowi. – Ardee West.

Glokta uniósł brwi, szczerze zaskoczony.

– Coś takiego! – Schylił się sztywno, by pocałować jej dłoń. Jezal zauważył, że usta inkwizytora skrzywiły się boleśnie, po chwili jednak na jego twarzy znów pojawił się bezzębny uśmiech. – Siostra Collema Westa! Ale się zmieniłaś.

– Na lepsze, mam nadzieję – roześmiała się, Jezal zaś poczuł się straszliwie nieswojo.

– No cóż... rzeczywiście – przyznał Glokta.

– Ty też się zmieniłaś, Sand. – Ardee zaczęła nagle sprawiać wrażenie niezwykle smutnej. – Wszyscy się martwiliśmy, ja i moja rodzina. Żywiliśmy uparcie nadzieję na twój bezpieczny powrót.

Jezal dostrzegł drgnienie na twarzy inkwizytora.

– Potem, kiedy się dowiedzieliśmy, że zostałeś ranny... Jak się czujesz?

Inkwizytor zerknął na Jezala. Oczy miał zimne jak powolna śmierć. Jezal patrzył na własne buty, gardło pętał mu strach. Nie miał przecież powodu obawiać się tego kaleki, czyż nie? Nie wiedział dlaczego, ale żałował, że nie jest w tej chwili zajęty fechtunkiem. Glokta wpatrywał się w Ardee, lewa powieka podrygiwała mu nieznacznie, ona zaś spoglądała na niego niezrażona, z głęboką troską w oczach.

– Dobrze. Tak dobrze, jak można tego oczekiwać. – Wyraz jego twarzy zmienił się dziwnie; Jezal poczuł się jeszcze bardziej nieswojo. – Dziękuję, że o to spytałaś. Naprawdę. Nikt nigdy mnie o to nie pyta.

Zapadła niezręczna cisza. Inkwizytor wykręcił głowę na bok i rozległ się głośny trzask.

– No! – oznajmił z zadowoleniem. – W porządku. To była prawdziwa przyjemność, spotkać was oboje, ale obowiązki wzywają.

Obdarzył ich jeszcze jednym odrażającym uśmiechem, po czym oddalił się, utykając i szorując lewą stopą o żwir ścieżki.

Ardee wpatrywała się w jego skręcone plecy, kiedy odchodził wolno swym niepewnym krokiem.

– To takie smutne – powiedziała cicho.

– Co? – wymamrotał Jezal. Myślał o tym wielkim białym bydlaku na ulicy, o tych wąskich różowych oczkach. O więźniu z workiem na głowie. Wszyscy służymy królowi na swój własny sposób. Święta prawda. Wstrząsnął nim gwałtowny dreszcz.

– On i Collem byli sobie bardzo bliscy. Przyjechał kiedyś do nas na lato. Moja rodzina była z tego taka dumna, że wydawało się to aż krępujące. Każdego dnia fechtował się z moim bratem i zawsze wygrywał. Kiedy się poruszał, było na co popatrzeć. Sand dan Glokta. Najjaśniejsza gwiazda na firmamencie. – Znów błysnęła tym swoim znaczącym półuśmiechem. – A teraz pan jest tą gwiazdą, jak słyszę.

– E... – mruknął tylko Jezal, nie bardzo wiedząc, czy to pochwała, czy kpina. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że został tego dnia dwukrotnie pokonany w pojedynku, za każdym razem przez jedno z rodzeństwa.

Podejrzewał, że to siostra ugodziła go boleśniej.

# Poranny rytuał

Był jasny letni dzień i park wypełniały tłumy barwnych rozradowanych ludzi. Pułkownik Glokta kroczył mężnie na jakieś niezwykle ważne spotkanie, a ludzie kłaniali mu się i usuwali z szacunkiem z drogi. Większość ignorował, obdarzając łaskawym uśmiechem tych najważniejszych. Owi szczęśliwcy odprowadzali go promiennym spojrzeniem, zadowoleni, że ich zauważył.

– Przypuszczam, że wszyscy służymy królowi na swój sposób – zawył kapitan Luthar, sięgając po swoją stal, ale Glokta był o wiele szybszy. Jego ostrze świsnęło z niebywałą prędkością, tnąc tego szyderczo uśmiechniętego głupca w szyję.

Krew zbryzgała twarz Ardee West. Zaklaskała uradowana w dłonie, spoglądając błyszczącymi oczami na Gloktę. Luthar zdawał się zaskoczony tym, że nie żyje.

– Ha! Sprawa załatwiona – oznajmił Glokta z uśmiechem. Kapitan runął na twarz, krwawiąc z przebitej szyi. Tłum zagrział krzykiem podziwu, a Glokta obdarzył widzów głębokim, pełnym wdzięku ukłonem, co wywołało jeszcze bardziej frenetyczną wrzawę.

– Och, pułkowniku, nie powinien pan – zamruczała Ardee, kiedy Glokta zlizął krew z jej policzka.

– Czego nie powinienem? – warknął, po czym odchylił ją w swych ramionach i pocałował namiętnie. Tłum szalał. Ardee oderwała się od niego, łapiąc spazmatycznie oddech i spoglądając na niego z uwielbieniem tymi swoimi wielkimi, ciemnymi oczami, lekko rozchyliwszy wargi.

– Achcylektor phagnie cię widzieć – oznajmiła z nadobnym uśmiechem.

– Co?

Tłum zamilkł gwałtownie, przekłęci ludzie, Glokta zaś poczuł, jak drętwieje mu lewy bok.

Ardee dotknęła czule jego policzka.

– Achcylektor! – krzyknęła.

Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. Glokta uniósł błyskawicznie powieki.

„Gdzie jestem? Kim jestem?”.

„Och nie”.

„Och tak”.

Uświadomił sobie, że spał w niewłaściwej pozycji, wykręciwszy ciało pod pościelą, z twarzą wciśniętą w poduszkę. Miał wrażenie, że obumarł mu lewy bok.

Znów rozległo się walenie do drzwi, tym razem mocniejsze.

– Achcylektor! – dobiegł z drugiej strony bełkotliwy ryk Frosta. Szyję Glokty przeszył ból, kiedy próbował podnieść głowę z poduszki. „Ach, nie ma to jak pierwszy spazm dnia, by zmusić umysł do pracy”.

– W porządku! – zaskrzeczał. – Daj mi minutę, do diabła!

Na korytarzu załomotały głucho oddalające się kroki albinosa. Glokta leżał przez chwilę nieruchomo, po czym ostrożnie i powoli poruszył prawą ręką, oddychając chrapliwie z wysiłkiem. Spróbował przekręcić się na plecy. Zacisnął lewą pięść, gdy w lewej nodze poczuł pierwsze ukłucia okrutnej igły.

„Gdyby ta cholerna kończyzna pozostała zdrętwiała”.

Ale ból nadchodził teraz szybko. Uświadomił sobie też odrażający zapach.

„Do diabła, znów się zesrałem”.

– Barnam! – zawył Glokta, a potem czekał, dysząc i znosząc zajadłe pulsowanie w boku.

„Gdzie się ten idiota podziewa?”.

– Barnam! – ryknął z całych sił.

– Nic panu nie jest, sir? – Dobiegł zza drzwi głos służącego.

„Nic mi nie jest? Nic mi nie jest, stary głupcze? Jak myślisz, kiedy ostatni raz nic mi nie było?”.

– Nie, do diabła! Zapaskudziłem łóżko!

– Zagotowałem wodę na kąpiel, sir. Może pan wstać?

Już raz się zdarzyło, że Frost musiał wyłamać drzwi.

„Może powinienem zostawiać je otwarte na całą noc, ale jak mógłbym wtedy spać?”.

– Chyba dam radę – syknął Glokta; język miał wciśnięty w bezzębne dziąsła, a ramiona mu drżały, gdy dźwignął się z łóżka i zsunął na krzesło stojące obok.

Jego groteskowa, pozbawiona palców lewa stopa wygięła się ku sobie, jakby obdarzona własną wolą. Popatrzył na nią z palącą nienawiścią.

„Przekłęta, straszliwa kończyna. Odrażający, bezużyteczny kawał ciała. Dlaczego jej po prostu nie odcięli? Dlaczego sam tego jeszcze nie zrobiłem?”.

Wiedział jednak dlaczego. Mając nadal nogę, mógł wciąż udawać półczłowieka. Uderzył się wściekle w wyschnięte udo i od razu tego pożałował.

„Głupiec, głupiec”.

Ból wspinał się po jego plecach, nieco intensywniejszy niż wcześniej i narastający z każdą sekundą.

„Spokojnie, spokojnie, nie ma sensu walczyć”.

Zaczął masować delikatnie zmaltretowane ciało.

„Jesteśmy na siebie skazani, więc po co mnie dręczysz?”.

– Może pan podejść do drzwi?

Glokta zmarszczył nos pod wpływem zapachu, kiedy ujął laskę i powoli, boleśnie, dźwignął się na nogi. Ruszył przez pokój, powłócząc nogami i niemal potykając się w połowie drogi, odzyskał jednak równowagę z przeszywającym ciałem ukłuciem. Przekręcił klucz w zamku, oparłszy się na wszelki wypadek o ścianę, i otworzył drzwi.

Barnam stał po drugiej stronie z wyciągniętymi ramionami, gotów go złapać.

„Cóż za upokorzenie. I pomyśleć, że ja, Sand dan Glokta, największy szermierz, jakiego kiedykolwiek widziała Unia, muszę być zanoszony do kąpieli przez starego człowieka, bym mógł zmyć z siebie własne gówno. Pewnie się zaśmiewają, ci wszyscy głupcy, których pokonałem, jeśli wciąż mnie pamiętają. Też bym się śmiał, gdyby tak bardzo nie bolało”.

Uwolnił jednak lewą nogę od ciężaru ciała i otoczył ramieniem barki służącego.

„Po co się ostatecznie męczyć? W jakim celu? Równie dobrze mogę sobie to ułatwić. Jak tylko to możliwe”.

Glokta wziął głęboki oddech.

– Ostrożnie, noga nie przebudziła się jeszcze na dobre.

Ruszyli – podskakując i potykając się – w głąb korytarza, odrobinę za ciasnego dla nich obydwu. Łazienka wydawała się oddalona o milę.

„Albo i więcej. Wolałbym przejść ich sto, tak jak kiedyś, niż docierać do łazienki, tak jak teraz. Ale nic na to nie poradzę. Nie można wrócić. Nigdy”.

Glokta poczuł na lepkiej skórze rozkoszny dotyk ciepłej pary. Podtrzymywany za ramię przez Barnama, uniósł z wolną prawą nogę i wsunął ją ostrożnie do wody.

„Niech to diabli, gorąca”.

Stary sługa pomógł mu z drugą nogą, a potem, wzięwszy go pod pachy, zaczął opuszczać go jak dziecko, aż w końcu zanurzył po samą szyję.

– Aaa! – Glokta wykrzywił usta w bezzębnym uśmiechu. – Gorąco niczym w palenisku samego Stwórcy, Barnam, tak jak lubię.

Żar przenikał teraz do nogi, a ból przygasał.

„Nie do końca. Nigdy nie znika. Ale jest lepiej. O wiele lepiej”.

Glokta miał niemal wrażenie, że jest w stanie rozpocząć kolejny dzień.

„Musisz się nauczyć doceniać drobiazgi w życiu, takie jak ta gorąca kąpiel. Musisz pokochać drobiazgi, skoro nie masz nic innego”.

\* \* \*

Praktyk Frost czekał na niego na dole, w małej jadalni – jego potężna postać była usadowiona na niskim krześle pod ścianą. Glokta osunął się na drugie krzesło i poczuł w nozdrzach woń unoszącą się z parującej miseczki z owsianką, w której tkwiła pod kątem drewniana łyżka, nawet nie dotykając brzegu naczynia. Jego żołądek zaczął się buntować, a usta ślinić gwałtownie.

„Wszystkie objawy obrzydzenia, na dobrą sprawę”.

– Hurra! – krzyknął Glokta. – Znowu owsianka! – Spojrzał na nieruchomego Frosta. – Owsianka i miód, lepsze niż cud, gdy owsiankę zjesz z miodem, uporasz się z głodem!

Różowe oczy nawet nie mrugnęły.

– To rymowanka dla dzieci. Moja matka mija śpiewała. Nigdy jednak nie zdołała mnie zmusić do zjedzenia tego świństwa. Ale teraz – wsunął łyżkę w gęstą maź – wciąż mi za mało.

Frost patrzył na niego nieruchomym wzrokiem.

– Zdrowa – oznajmił Glokta, wpychając sobie w usta sporą porcję słodkiego musu i nabierając kolejną. – Smakowita – dodał, przełykając z wysiłkiem jeszcze trochę. – A co najważniejsze – zakrztusił się nieznacznie przy następnej porcji – nie wymaga przeżuwania. – Odsunął niemal pełną miskę i rzucił w ślad za nią łyżkę. – Mmm – zanucił. – Dobry posiłek to zapowiedź dobrego dnia, nie uważasz?

Było to jak spoglądanie na białą ścianę, martwą i nieruchomą.

– A więc arcylektor chce znów mnie widzieć, co?

Albinos przytaknął.

– I czegoż to nasz znamienity przywódca pragnie od takich jak my, jak myślisz?

Wzruszenie ramion.

– Hm... – Glokta zlizzał resztki owsianki z pustych dziaseł. – Jest w dobrym nastroju, jak sądzisz?

Znowu wzruszenie ramion.

– Spokojnie, spokojnie, praktyku Frost, nie spiesz się, nie jestem w stanie wchłonąć wszystkiego za jednym zamachem.

Milczenie. Do pokoju wszedł Barnam i uprzątnął miskę.

– Potrzebuje pan czegoś jeszcze, sir?

– Jak najbardziej. Kawał na wpół surowego mięsa i smaczne, kruche jabłko. – Spojrzał na Praktyka Frosta. – Uwielbiałem jabłko, kiedy byłem dzieckiem.

„Ileż to razy powtarzałem ten żart?”.



Frost odpowiedział obojętnym spojrzeniem, ani śladu wesołości. Glokta zwrócił się do Barnama, a na twarzy starca pojawił się zmęczony uśmiech.

– No dobrze – westchnął Glokta. – Człowiek musi mieć jakąś nadzieję, prawda?

– Oczywiście, sir – mruknął sługa, kierując się do drzwi.

„Musi?”.

\* \* \*

Gabinet arcylektora znajdował się na najwyższym piętrze Domu Pytań i prowadziła doń bardzo długa droga. Co gorsza, na korytarzach roiło się od ludzi. Praktyków, urzędników, inkwizytorów, pełzających jak mrówki po rozpadającym się wzgórkach łajna. Ilekroć Glokta czuł na sobie ich wzrok, przyspieszał kulejącego kroku, uśmiechając się z wysoko uniesioną głową. Ilekroć czuł, że jest sam, przystawał i dyszał, pocił się i przeklinał, a potem przywracał swoją słabą nogę do życia, rozcierając ją i poklepując.

„Dlaczego to musi być tak wysoko?” – pytał sam siebie, wlokąc się ciemnymi korytarzami i krętymi schodami budynku, który przypominał labirynt. Nim dotarł do przedsionka, był wyczerpany i zziębnięty jak pies, a lewą dłoń miał otartą od uchwyty laski.

Sekretarz arcylektora przyglądał mu się podejrzliwie zza wielkiego ciemnego biurka, zajmującego połowę pomieszczenia. Naprzeciwko niego stało kilka krzeseł dla nerwowych interesantów. W pomieszczeniu obecni byli jeszcze dwaj potężni praktycy – zajmowali miejsca po obu stronach wielkich podwójnych drzwi, nieruchomi i posępni jak umeblowanie.

– Jest pan umówiony? – spytał sekretarz piskliwym głosem.

„Wiesz, kim jestem, ty zarozumiała gnojku”.

– Oczywiście – warknął Glokta. – Myślisz, że kuśtykałbym na samą górę, żeby podziwiać twoje biurko?

Sekretarz spojrział na niego wyniośle. Był bladym, przystojnym młodzieńcem o płowej grzywie włosów.

„Nadęty piąty syn jakiegoś pomniejszego arystokraty o zbyt aktywne łedźwiach, i on sobie wyobraża, że może mnie traktować z góry?”.

– A pańskie nazwisko to... – spytał z szyderczym uśmiechem sekretarz.

Cierpliwość Glokty wyczerpała długa wspinaczka. Trzasnął swoją laską o blat biurka, a sekretarz niemal podskoczył na krześle.

– Kim jesteś? Pieprzonym idiotą? Ilu kalekich inkwizytorów tu zatrudniacie?

– E... – wyjąkał sekretarz, poruszając nerwowo ustami.

– E? E? To ma być odpowiedź na moje pytanie? Gadaj!

– Ja...

– Jestem Glokta, ty durniu! Inkwizytor Glokta!

– Tak, sir, ja...

– Rusz swój tłusty tyłek z krzesła, głupcze! Nie każ mi czekać!

Sekretarz zerwał się na równe nogi, podbiegł do drzwi, otworzył je jednym ruchem i stanął pełen szacunku obok.

– Tak już lepiej – warknął Glokta, kuśtykając w ślad za młodym człowiekiem. Zerknął na praktyków. Był niemal pewien, że jeden z nich uśmiecha się nieznacznie.

Pokój prawie się nie zmienił od chwili, gdy był tu ostatnim razem, przed sześciu laty. Wielka, okrągła przestrzeń, sufit w kształcie kopuły, ozdobiony twarzami gargulców, jedno potężne okno ze spektakularnym widokiem na iglice uniwersytetu, znaczną część zewnętrznych murów Agriontu i majaczące w dali zarysy Domu Stwórcy.

Komnata była w większości wypełniona półkami i szafkami, na których piętrzyły się starannie poukładane stosy teczek i papierów. Z białych ścian, tam gdzie pozostało wolne miejsce, spoglądały ciemne portrety, między innymi ten przedstawiający obecnego króla Unii jako młodego człowieka, który sprawiał wrażenie mądrego i surowego.

„Został bez wątpienia namalowany, zanim widniejący na nim mężczyzna zniedołęźniał. Teraz, zamiast emanować autorytetem, ślini się starczo”.

Środek pokoju zajmował ciężki, okrągły stół, na którego powierzchni odtworzono mapę Unii w najdrobniejszych szczegółach. Każde miasto, gdzie znajdował się wydział Inkwizycji, było zaznaczone szlachetnym kamieniem, centrum zaś stanowiła mała srebrna replika Aduy.

Arcylektor siedział przy tym stole na zabytkowym krześle o wysokim oparciu, pogrążony w rozmowie z drugim mężczyzną: chudym, łysiejącym osobnikiem o kwaśnej minie, ubranym w ciemne szaty. Sult rozpromienił się, gdy Glokta podszedł do nich swoim kulejącym krokiem, natomiast twarz drugiego mężczyzny nawet nie drgnęła.

– Cieszymy się, inkwizytorze Glokta, że mógł się pan do nas przyłączyć. Zna pan generalnego inspektora Hallecka?

– Nie miałem jak dotąd przyjemności – odparł Glokta.

„Choć nie wygląda to na zbytą przyjemność.”

Stary biurokrata wstał i bez szczególnego entuzjazmu uściskał dłoń Glokty.

– A to jeden z moich inkwizytorów, Sand dan Glokta.

– Tak, faktycznie – mruknął Halleck. – Był pan kiedyś w armii, o ile się nie mylę. Widziałem raz, jak pan walczył.

Glokta postukał laską w swoją beużyteczną nogę.

– Wątpię, czy było to niedawno.

– Nie.

Zapadło milczenie.

– Inspektor generalny ma niedługo otrzymać niezwykle znaczący awans – oznajmił Sult. – Miejsce w Zamkniętej Radzie, ni mniej, ni więcej.

„Zamknięta Rada? Naprawdę? Rzeczywiście, niezwykle znaczący awans”.

Halleck wydawał się jednak niezbyt zadowolony.

– Uznam to za pewne, gdy Jego Wysokość wyrazi łaskawie takie życzenie – rzucił pospiesznie. – Nie zaś wcześniej.

Sult poruszał się bez trudu na owym najeżonym pułapkami obszarze.

– Nie wątpię, że zgodnie z odczuciami Rady jest pan kandydatem jak najbardziej zasługującym na rekomendację, skoro Sepp dan Teufel nie jest już brany pod uwagę.

„Nasz stary przyjaciel Teufel? Nie jest brany pod uwagę jako kto?”.

Halleck zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Teufel. Pracowałem z tym człowiekiem dziesięć lat. Nigdy go nie lubiłem.

„Ani nikogo innego, sądząc po tym, jak wyglądasz”.

– Nigdy bym jednak nie przypuszczał, że jest zdrajcą.

Sult potrząsnął ze smutkiem głową.

– Wszyscy przeżyliśmy to bardzo mocno, ale oto jego wyznanie, czarno na białym. – Podniósł

złożony papier ze smętną miną. – Obawiam się, że korzenie korupcji tkwią bardzo głęboko. Któż może wiedzieć o tym lepiej ode mnie, na którym spoczywa trudne zadanie pielenia ogrodu?

– W rzeczy samej, w rzeczy samej – mruknął Halleck, przytakując ponuro. – Zasluguje pan na naszą dozgonną wdzięczność. I pan także, inkwizytorze.

– Och, ja nie – zastrzegł Glokta skromnie.

Trzej mężczyźni spojrzeli na siebie w udawanym spektaklu wzajemnego szacunku.

Halleck odsunął się z krzesłem.

– No cóż, podatki same się nie zbierają. Muszę wracać do pracy.

– Proszę z radością spędzić ostatnie dni na starej posadzie – oznajmił Sult. – Daję panu moje słowo, że król niedługo pana wezwie!

Halleck zdobył się na nieznaczny uśmiech, po czym skłonił się sztywno i oddalił drewnianym krokiem. Sekretarz wyprowadził go i zamknął ciężkie drzwi. Zapadła cisza.

„Ale niech mnie diabli, jeśli przerwę ją jako pierwszy”.

– Przypuszczam, że się zastanawiasz, o co tu chodzi, co, Glokta?

– Ta myśl przyszła mi do głowy, Eminencjo.

– Nie wątpię. – Sult zsunął się ze swojego krzesła i podszedł zamaszystym krokiem do okna, złączywszy za plecami dłonie w białych rękawiczkach. – Świat się zmienia, Glokta, świat się zmienia. Stary porządek zaczyna się kruszyć. Lojalność, obowiązek, duma, honor. Pojęcia, które dawno wyszły z mody. Co je zastąpiło? – Patrzył chwilę przez ramię, wykrzywiając wargę. – Chciwość. Kupcy stali się nową siłą w naszym kraju. Bankierzy, sklepikarze, handlarze. Mali ludzie o małych umysłach i małych ambicjach. Ludzie, którzy są lojalni tylko wobec siebie samych, których jedynym obowiązkiem jest napełnianie własnej kiesy, których jedynym powodem do dumy jest oszukiwanie konkurentów, których honor jest mierzony jedynie srebrną monetą.

„Nie ma potrzeby pytać, jakie ty zajmujesz miejsce w tej kupieckiej klasie”.

Sult popatrzył skrzywiony na widok za oknem i odwrócił się w stronę pokoju.

– Wydaje się teraz, że czyjkolwiek syn może zdobyć wykształcenie, poświęcić się interesom i zostać bogaczem. Gildie kupieckie: bławatników, handlarzy przyprawami i temu podobnych rosną coraz bardziej w siłę, mają coraz większe wpływy. Nadęci, zarozumiali prostacy z gminu, dyrygujący lepszymi od siebie. Manipulują swymi tłustymi i chciwymi paluchami przy sznurkach władzy. Jest to prawie nie do zniesienia. – Wzdrygnął się, przemierzając tam i z powrotem swój gabinet. – Będę mówił z tobą szczerze, inkwizytorze. – Arcylektor machnął swą zgrabną dłonią, jakby jego szczerokość stanowiła wyjątkowo cenny dar. – Wydaje się, że Unia nigdy jeszcze nie była tak potężna, nie kontrolowała rozleglejszych obszarów, ale pod tą fasadą widać naszą słabość. Nie jest żadną tajemnicą, że król stał się absolutnie niezdolny do podejmowania samodzielnych decyzji. Następca tronu Ladisła to fircyk otoczony przez pochlebców i głupców, zajmują go tylko hazard i stroje. Książę Raynault jest o wiele bardziej predestynowany do rządzenia, ale to młodszy brat. Zamknięta Rada, której celem powinno być odpowiednie pokierowanie tym przeciekającym okrętem, roi się od oszustów i intrygantów. Niektórzy są być może lojalni, niektórzy zdecydowanie nie są, a każdy z nich pragnie przeciągnąć władcę na swoją stronę.

„Jakie to frustrujące, skoro wszyscy powinni przeciągać go na twoją stronę”.

– Tymczasem Unia jest nękana przez wrogów, przez niebezpieczeństwa poza naszymi granicami i wewnątrz. Gurkhul ma nowego i energicznego imperatora, który sposobi swój kraj do kolejnej wojny. Północni też się zbroją, podchodzą pod granice Anglandu. Arystokraci z Otwartej Rady żądają głośno starych praw, podczas gdy chłopci w wioskach żądają nowych. – Westchnął głęboko. – Tak, kruszeje stary porządek i nikt nie ma serca ani odwagi, by go podtrzymywać.

Sult przystanął, wpatrując się w jeden z portretów: zwalisty, łysiejący mężczyzna, cały w bieli. Glokta też go rozpoznał bez trudu.

„Zoller, największy z wszystkich arcylektorów. Niezmordowany przywódca Inkwizycji, bohater dla podległych sobie ludzi, bicz na nielojalnych”.

Spoglądał złowrogo ze ściany, jakby nawet po śmierci potrafił spalić zdrajców swym wzrokiem.

– Zoller – warknął Sult. – Sprawy wyglądały inaczej za jego czasów, zapewniam cię. Wieśniacy nie biadolili, kupcy nie oszukiwali, arystokracja nie dąsała się. Jeśli ludzie zapominali, gdzie jest ich miejsce, przypominano im o nim gorącym żelazem, a jakikolwiek sędzia, który odważył się narzekać na taki stan rzeczy, milkł na zawsze. Inkwizycja była szlachetną instytucją, działali w niej tylko najlepsi i najmądrzejsi. Ich jedynym pragnieniem i jedyną nagrodą była chęć służenia królowi i wykorzeniania wszelkiej nielojalności.

„Och, jakże wspaniale było za dawnych dni”.

Arcylektor zasiadł z powrotem na fotelu i pochylił się nad stołem.

– Staliśmy się instytucją, gdzie trzeci synowie zbiedniałych arystokratów mogą napchać sobie kieszenie łąpówkami, albo gdzie byle szumowina, przestępca nieledwie, może dawać upust swemu zamiłowaniu do tortur. Nasze wpływy na dworze królewskim zostały stopniowe ograniczone, podobnie jak nasze finanse. Kiedyś byliśmy szanowani i postrzegani z lękiem, Glokta, ale teraz...

„Jesteśmy żalosaną fikcją”.

Sult zmarszczył czoło.

– No cóż, już tak nie jest. Mnożą się intrygi i zdrady, a ja obawiam się, że Inkwizycja nie jest już w stanie sprostać swojemu zadaniu. Zbyt wielu superiorów nie jest godnych zaufania. Nie utożsamiają się już z interesem króla, interesem państwa ani żadnym innym prócz własnego.

„Superiorowie? Niegodni zaufania? Chyba upadnę z wrażenia”.

Zmarszczka na czole Sulca pogłębiła się jeszcze bardziej.

– A teraz jeszcze Feekt nie żyje.

Glokta podniósł wzrok.

„No, to jest wiadomość”.

– Lord kanclerz?

– Zostanie to podane do publicznej wiadomości jutro rano. Umarł nagle kilka dni temu, kiedy zajmowałeś się swoim przyjacielem Rewsem. Jego śmierć wciąż rodzi pewne pytania, ale z drugiej strony człowiek ten miał prawie dziewięćdziesiąt lat. Zaskakujące jest to, że żył tak długo. Złoty kanclerz, jak go nazywano, największy polityk swego czasu. W tej chwili wykuwają jego podobiznę w kamieniu, posąg stanie przy Drodze Królewskiej. – Sult prychnął pogardliwie. – Największy dar, na jaki może liczyć każdy z nas. – Zwężił oczy do szerokości wąskich niebieskich szparek. – Jeśli żywisz jakiegokolwiek dziecięce przekonania, że Unia jest kontrolowana przez króla albo przez tych gładzących głupców szlachetnej krwi, którzy zasiadają w Otwartej Radzie, to szybko o nich zapomnij. Prawdziwa władza spoczywa w rękach Zamkniętej Rady. Bardziej niż kiedykolwiek od czasu choroby króla. Dwunastu ludzi na dwunastu wielkich, niewygodnych krzesłach, nie wyłączając mnie samego. Dwunastu ludzi o bardzo różnych ideach, a mimo to przez dwadzieścia lat Feekt potrafił zachować między nami równowagę. Wygrywał Inkwizycję przeciwko sędziom, bankierów przeciwko wojskowym. Był osiłą, wokół której obracało się królestwo, fundamentem, na którym się opierało, a jego śmierć pozostawiła próżnię. Próżnię wszelkiego rodzaju, a ludzie będą się preciskać, żeby je zająć. Mam wrażenie, że ten zawodzący osioł Marovia, ten miękki sędzia Sądu Najwyższego, ten samozwańczy przywódca pospolitych ludzi z ulicy będzie pierwszy w kolejce. Jest

to niepewna i bardzo niebezpieczna sytuacja. – Arcylektor, zdecydowanym ruchem, położył przed sobą na stole pięści. – Musimy zrobić wszystko, by nie skorzystali na niej niewłaściwi ludzie.

Glokta przytaknął.

„Chyba rozumiem, o co ci chodzi, arcylektorze. Musimy zrobić wszystko, byśmy to my na niej skorzystali, nikt inny”.

– Nie trzeba nadmieniać, że stanowisko lorda kanclerza jest jednym z najbardziej znaczących w tym kraju. Zbieranie podatków, skarbiec, mennice królewskie, wszystko to pod jego auspicjami. Pieniądze, Glokta, pieniądze. A pieniądze to władza, nie muszę ci o tym mówić. Nowy kanclerz zostanie mianowany jutro. Głównym kandydatem był nasz niegdysiejszy mistrz mennic, Sepp dan Teufel.

„Rozumiem. Coś mi mówi, że jego osoba nie będzie już brana pod uwagę”.

Sult wykrzywił wargi.

– Teufel był blisko związany z gildiami kupieckimi, zwłaszcza bławatnymi. – Jego szydery uśmiech przeszedł w grymas. – W dodatku był zastępcą wysokiego sędziego Marovi. A więc, jak widzisz, nie byłby raczej odpowiednim lordem kanclerzem.

„Rzeczywiście. Niezbyt odpowiednim”.

– Uważam, że inspektor generalny Halleck to znacznie lepszy wybór.

Glokta zerknął w stronę drzwi.

– On? Lordem kanclerzem?

Sult wstał z uśmiechem i podszedł do szafki pod ścianą.

– Tak naprawdę nie ma nikogo innego. Wszyscy go nienawidzą, a on nienawidzi wszystkich, z wyjątkiem mojej osoby. Poza tym to bezwzględny konserwatysta, który pogardza klasą kupiecką i tym, co ona reprezentuje. – Otworzył szafkę, po czym wyjął z niej dwa kieliszki i zdobioną karafkę. – Nawet jeśli nie będzie dla nas przyjazną twarzą w Radzie, to przynajmniej sympatyczną, i cholernie wrogą wobec wszystkich innych. Nie przychodzi mi do głowy żaden inny kandydat.

Glokta przytaknął.

– Wydaje się szczerzy.

„Ale nie na tyle szczerzy, bym pozwolił mu się włożyć do wanny. A ty pozwoliłbyś, Wasza Eminencjo?”.

– Tak – ciągnął Sult. – Będzie dla nas bardzo cenny. – Nalał dwa kieliszki czerwonego wina. – Jako dodatkową premię, zagwarantowałem także przychylnego nam nowego mistrza mennic. Słyszałem, że kupcy bławatni zagryzają języki z wściekłości. Ten łajdak Marovia także nie jest szczęśliwy. – Sult zachichotał do siebie. – Same dobre wiadomości, a podziękowania należą się tobie.

Podał Glocie jeden z kieliszków z winem.

„Truczna? Powolna śmierć w drgawkach i torsjach na cudownej mozaice podłogi gabinetu arcylektora? Czy też po prostu osunę się twarzą na jego stół?”.

Nie było jednak innego wyboru, jak tylko ująć kieliszek dłonią i wziąć solidny łyk trunku. Wino było mu bliżej nieznanym, ale wyśmienite.

„Prawdopodobnie pochodzi z jakiegoś bardzo pięknego i odległego miejsca. Jeśli tu umrę, to przynajmniej nie będę musiał schodzić po tych wszystkich stopniach na dół”.

Jednak arcylektor też pił, uśmiechnięty i łaskawy.

„Przypuszczam więc, że mimo wszystko przeżyję to popołudnie”.

– Tak, uczyniliśmy pierwszy dobry krok. Zgadza się, to niebezpieczne czasy, jednak niebezpieczeństwo i okazja często chodzą w parze.

Glokta poczuł na plecach dziwny dreszcz.

„Czy to strach czy ambicja, czy też jedno i drugie?”

– Potrzebuję kogoś, kto pomoże mi uporządkować sprawę. Kogoś, kto nie boi się superiorów ani kupców, ani nawet Zamkniętej Rady. Kogoś, na kim można polegać, jeśli chodzi o subtelność działania, dyskrecję i bezwzględność. Kogoś, kto odznacza się niekwestionowaną lojalnością wobec Unii, ale jednocześnie nie ma przyjaciół w rządzie.

„Kogoś, kto jest nienawidzony przez wszystkich? Kogoś, kto weźmie na siebie skutki katastrofy, jeśli sprawy nie ułożą się pomyślnie? Kogoś, kogo na pogrzebie będą oplakiwać tylko nieliczni?”

– Potrzebuję inkwizytora samodzielnego, Glokta. Kogoś, kto będzie działał poza kontrolą superiorów, ale z mojego upoważnienia. Kogoś odpowiedzialnego tylko przede mną. – Arcylektor uniósł brew, jakby ta myśl dopiero teraz przyszła mu do głowy. – Mam wrażenie, że tylko ty nadajesz się na to stanowisko. Jak sądzisz?

„Sądzę, że człowiek na takim stanowisku będzie miał wielu wrogów i tylko jednego przyjaciela. – Glokta wlepił wzrok w arcylektora. – I że na tym przyjacielu nie można polegać bez zastrzeżeń. Sądzę, że człowiek na tym stanowisku nie wytrwa długo”.

– Mógłbym dostać trochę czasu, by się zastanowić?

– Nie.

„Niebezpieczeństwo i okazja często idą w parze...”

– W takim razie przyjmuję.

– Doskonale. Naprawdę wierzę, że jest to początek długiej i owocnej współpracy – Sult uśmiechnął się do Glokty nad brzegiem kieliszka. – Wiesz, Glokta, z wszystkich tych kupców, którzy grabią na wszystkie strony, najbardziej niestrawni wydają mi się bławatni. To dzięki ich wpływom Westport został włączony do Unii, dzięki zaś pieniądзом Westportu wygraliśmy wojnę z Ghurkulem. Król ich nagrodił, ma się rozumieć, bezcennymi przywilejami kupieckimi, ale od tego czasu ich arogancja stała się nie do zniesienia. Można by pomyśleć, sądząc po ich minach i swobodach, jakie otrzymali, że osobiście wygrali te wszystkie bitwy. Szacowna gildia bławatników – parsknęła szyderczo. – Przychodzi mi do głowy, że dzięki twojemu przyjacielowi Rewsowi zyskałiśmy środki, dzięki którym możemy przydusić ich tak dokładnie, że byłoby wstydem, gdybyśmy pozwalali im na swobodę.

Glokta był szczerze zdumiony, choć miał nadzieję, że ukrywa to z powodzeniem.

„Posunąć się jeszcze dalej? Po co? Bławatnicy mają swobodę i płacą, co uszczęśliwia wielu ludzi. W obecnej sytuacji są wystraszeni i bezbronni – zastanawiając się, kogo Rews wymienił z nazwiska i kto może jako następny zasiąść na jego miejscu w moim pokoju. Jeśli posuniemy się dalej, to ich zranimy albo wykończymy na dobre. Przesnąć płacić i mnóstwo ludzi będzie nieszczęśliwych. Niektórzy nawet w tym budynku”.

– Bez trudu mogę kontynuować śledztwo, Wasza Eminencjo, jeśli zyczy pan sobie tego – oznajmił Glokta i łyknął jeszcze wina. Był to naprawdę doskonały trunek.

– Musimy być ostrożni. Ostrożni i sumienni. Pieniądze bławatników płyną jak mleko. Mają wielu przyjaciół, nawet w najwyższych kręgach arystokracji. Brock, Heugen, Isher i wielu innych. Niektórzy zaliczają się do najważniejszych i największych ludzi w tym kraju. Wiadomo od dawna, że ciągną od czasu do czasu z tego sutka, a dzieci płaczą, kiedy zabierze się im mleko. – Po twarzy Sulta przemknął pełen okrucieństwa uśmiech. – Mimo wszystko jednak, jeśli dzieci mają się nauczyć dyscypliny, trzeba je niekiedy zmusić do płaczu... Kogo ten robak Rews wymienił w swoim wyznaniu?

Glokta nachylił się boleśnie i przyciągnął do siebie formularz wyznania, rozłożył go i przebiegł

wzrokiem listę nazwisk, od dołu do góry.

– Sepp dan Teufel, jak wszyscy wiemy.

– Och, wiemy i go kochamy, inkwizytorze – zapewnił Sult z uśmiechem. – Mam jednak wrażenie, że możemy spokojnie wykreślić go z listy. Kto jeszcze?

– No cóż, zobaczmy. – Glokta zerknął niespiesznie na listę. – Jest tu Harod Polst, bławatnik. „Nikt”.

Sult machnął lekceważąco ręką.

– To jest nikt.

– Solimo Scandi, bławatnik z Westportu.

„Też nikt”.

– Nie, nie, Glokta, mamy chyba kogoś lepszego niż ten Solimo jak mu tam, prawda? Ci drobni bławatnicy nie interesują nas, tak naprawdę. Wyrwij korzeń, a liście same zwiędną.

– Jak najbardziej, arcylektorze. Mamy Villema dan Robba, pomniejszego arystokratę, zajmuje niższe stanowisko w urzędzie celnym – wymieniał dalej Glokta.

Sult, zamyśliwszy się, potrząsnął głową.

– Następnie... – ciągnął Glokta.

– Chwileczkę! Villem dan Robb... – Arcylektor strzelił palcami. – Jego brat Kiral to jeden z dworzan królowej. Zrobił mi afront na pewnym spotkaniu towarzyskim. – Sult uśmiechnął się. – Tak, Villem dan Robb... sprowadź go.

„A więc sięgamy głębiej”.

– Służę i jestem posłuszny, Wasza Eminencjo. Czy należy wymienić jeszcze jakieś konkretne nazwisko? – Glokta odstawił swój pusty kieliszek.

– Nie. – Arcylektor odwrócił się i znów machnął lekceważąco ręką. – Ktokolwiek, czyli wszyscy. Nie obchodzi mnie to.

# Pierwszy z Magów

Jeziro ciągnęło się w dal, okolone stromymi skałami i wilgotną zielenią; jego nakrapiana deszczem tafla była płaska i szara, jak okiem sięgnąć, jednak oko Logena nie mogło widzieć tak daleko przy tej pogodzie. Przeciwległy brzeg mógł znajdować się o sto kroków dalej, ale spokojne wody wyglądały na głębokie. Bardzo głębokie.

Logen już dawno przestał wierzyć, że zdoła w jakiś sposób pozostać suchy; woda spływała mu między włosami i po twarzy, ściekała z nosa, palców i brody. Wilgoć, zmęczenie i głód stały się nieodłącznymi towarzyszami jego życia. Często tak było, gdy się nad tym głębiej zastanowił. Zamknął oczy i poczuł, jak deszcz uderza o jego skórę, usłyszał jej chłupot wokół swoich goleni. Uklęknął nad brzegiem jeziora, wyciągnął korek z flaszki i zanurzył ją pod powierzchnię, a potem patrzył, jak się napełnia, wypuszczając bąbelki.

Malacus Quai wytoczył się niepewnym krokiem z zarośli, oddech miał płytki i przyspieszony. Osunął się na kolana, podpełzł do korzeni drzewa i wypluł na kamyki flegmę. Jego kaszel brzmiał teraz niepokojąco. Dobywał się z samych trzewi i wstrząsał żebrami ucznia. Młodzieniec był jeszcze bledszy niż wtedy, gdy się spotkali po raz pierwszy, i znacznie chudszy. Logen też był szczuplejszy. To były kiepskie czasy, zważywszy wszystko. Podeszedł do wymizerowanego biedaka i przykucnął przy nim.

– Daj mi tylko chwilę. – Quai zamknął zapadnięte oczy i odchylił głowę. – Jedną chwilę.

Usta miał otwarte, ścięgnięta na wychudłej szyi odznaczały się wyraźnie. Wyglądał jak trup.

– Nie odpoczywaj zbyt długo. Może się zdarzyć, że więcej nie wstaniesz.

Logen podsunął mu flaszkę. Quai nie podniósł nawet ręki, żeby ją wziąć, więc Logen przyłożył mu naczynie do ust i przechylił trochę. Młodzieniec łyknął z grymasem na twarzy i zakrztusił się. Głowa opadła mu na pień drzewa jak kamień.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – spytał Logen.

Uczeń zamrugał i spojrzał na wodę, jakby dopiero teraz ją zauważył.

– To musi być północny kraniec jeziora... gdzieś tu powinien być szlak. – Jego głos zniżył się do szeptu. – Na południowym brzegu jest droga z dwoma wielkimi kamieniami. – Zakaszłał nagle gwałtownie i przełknął z wysiłkiem. – Idź tamtędy, potem przez most, a po jakimś czasie dotrzesz na miejsce – odrzekł chrapliwym głosem.

Logen powiódł spojrzeniem wzdłuż brzegu i spojrzał na ociekające wodą drzewa.

– Jak to daleko?

Nie usłyszał odpowiedzi. Ujął wychudzone ramiona chorego człowieka i potrząsnął nimi. Quai otworzył oczy. Popatrzył nieprzytomnymi oczami, starając się odzyskać ostrość wzroku.

– Jak daleko?

– Czterdzieści mil.

Logen cmoknął niezadowolony. Wiedział, że Quai nie zdoła pokonać takiego dystansu. Miałby szczęście, gdyby zdołał pokonać czterdzieści kroków. Zdawał sobie z tego doskonale sprawę, widział to w oczach młodego człowieka. Już był martwy, ocenił Logen, zostało mu najwyżej kilka dni. Widował już, jak silniejsi ludzie umierali na gorączkę.

Czterdzieści mil. Logen zastanawiał się nad tym głęboko, pocierając brodę kciukiem. Czterdzieści mil.



– Do diabła – wyszeptał.

Przyciągnął do siebie torbę i otworzył. Zostało im jeszcze trochę jedzenia, ale niewiele. Kilka kawałków twardego suszonego mięsa, piętka spleśniałego czarnego chleba. Spojrzał na jezioro, tak spokojne. Przynajmniej przez jakiś czas nie zabrakłoby im słodkiej wody. Wyciągnął z torby swój ciężki kociołek i postawił go na kamykach. Byli razem od dawna, ale nie pozostało już nic, co dałoby się ugotować. Nie można się było przyzwyczajać do rzeczy, nie na tym pustkowiu. Cisnął też w zarośla linę, a potem zarzucił sobie mniej obciążoną torbę na plecy.

Quai znowu zamknął oczy, ledwie oddychając. Logen wciąż pamiętał ten pierwszy raz, kiedy musiał kogoś zostawić swojemu losowi – pamiętał tak, jakby to było wczoraj. Dziwne, że imię tamtego chłopca gdzieś uleciało, ale twarz wciąż była obecna.

Szanka wyrwał mu kawał uda. Wielki kawał. Jęczał cały czas, nie mógł iść. Rana się paskudziła, więc i tak by umarł. Musieli go zostawić. Nikt za to Logena nie winił. Chłopiec był zbyt młody, nigdy nie powinien umrzeć. O wszystkim decydował pech, mógł przytrafić się każdemu. Nieszczęśnik krzyczał, kiedy schodzili ze wzgórza w posępnej, milczącej grupie, ze spuszczonej głowami. Logen miał wrażenie, że słyszy krzyki nawet wtedy, gdy chłopak został daleko za nimi. Wciąż je słyszał.

Na wojnie było inaczej. W trakcie długich marszów, podczas chłodnych miesięcy, ludzie wykruszali się z kolumny co chwila. Najpierw wlekli się na szarym końcu, potem zostawali w tyle, wreszcie padali na ziemię. Zmarznięci, chorzy, ranni. Logen zadrżał i przygarbił ramiona. Z początku próbował im pomóc. Potem odczuwał ulgę, że nie jest jednym z nich. Wreszcie przestępował ciała, ledwie je dostrzegając. Człowiek szybko się orientuje, czy ktoś wstanie, czy nie. Spojrzał na Malacusa Quaia. Jeszcze jedna śmierć w tej dzicy nie była warta uwagi. Trzeba, bądź co bądź, patrzeć trzeźwo na takie sprawy.

Uczeń ocknął się z niespokojnego snu i próbował się dźwignąć. Trzęsły mu się dłonie, nie mógł nad tym zapanować. Podniósł wzrok na Logena, oczy mu błyszczały.

– Nie mogę wstać – wyrzucił z siebie chrapliwym głosem.

– Wiem. Dziwię się, że zaszedłeś tak daleko.

Teraz nie miało to większego znaczenia. Logen znał drogę. Gdyby zdołał odnaleźć ten trakt, mógłby pokonywać dwadzieścia mil dziennie.

– Jeśli zostawisz mi trochę jedzenia... może... gdy już dotrzesz do biblioteki... to ktoś...

– Nie – odparł Logen, zaciskając szczęki. – Potrzebuję jedzenia.

Quai wydał z siebie dziwny dźwięk, przypominający jednocześnie kaszel i szloch.

Logen pochylił się, wparł prawy bark w brzuch młodego człowieka i wsunął rękę pod jego plecy.

– Potrzebuję jedzenia, bo inaczej nie mógłbym cię nieść – oznajmił i wyprostował się, przerzucając sobie ucznia przez bark.

Ruszył wzdłuż brzegu, trzymając Quaia za kubrak; jego buty ciągnęły się po mokrych chrzęszczących kamykach. Chłopak nawet się nie poruszył, zwisał tylko jak worek wilgotnych szmat; bezwładne ręce obijały się o nogi Logena.

Po przejściu jakichś trzydziestu kroków, Logen odwrócił się i spojrzał za siebie. Przy samym jeziorze, opuszczony, spoczywał jego kociołek, napełniając się już deszczówką. Wiele razem przeszli, on i ten garnek.

– Powodzenia, stary przyjacielu.

Kociołek nie odpowiedział.

Logen złożył ostrożnie swój drżący ciężar na poboczu drogi i rozprostował obolałe plecy. Potem podrapał się w brudny bandaż na ramieniu i łyknął wody z flaszki. Nic innego nie wziął tego dnia w poranione, nabrzmiące usta. Wnętrznosci ścisnął mu głód. Przynajmniej przestało padać. Trzeba się nauczyć doceniać drobne rzeczy w życiu, na przykład suche buty.

Trzeba kochać drobne rzeczy, kiedy nie ma się nic innego.

Logen splunął na ziemię i rozmasował sobie palce, przywracając w nich krążenie. Nie mogło być pomyłki, to pewne. Nad drogą górowały dwa głazy, pradawne i podziurawione, upstrzone na dole łatami mchu, na górze zaś szarym porostem. Pokrywały je zatarte ryty, rzędy liter jakiegoś pisma, którego Logen nie mógł zrozumieć, a nawet rozpoznać. Głazy te emanowały jednak atmosferą wrogości, przywoływały na myśl raczej ostrzeżenie niż powitanie.

– Pierwsze Prawo...

– Co? – spytał Logen, zaskoczony.

Quai, od chwili, gdy porzucili przed dwoma dniami kociołek, znajdował się w dziwnym i męczącym stanie zawieszenia między snem a przebudzeniem. Sam garnek byłby rozmowniejszy i bardziej zrozumiały. Tego ranka Logen ocknął się i stwierdził, że młodzieniec ledwie oddycha. Początkowo był pewien, że umarł, ale człowiek ten wciąż uporczywie trzymał się życia. Nie poddawał się łatwo, to trzeba było mu przyznać.

Logen przyklęknął i odsunął włosy z twarzy Quaia. Uczeń chwycił go raptownie za rękę i wlepił wzrok w przestrzeń.

– To zakazane – wyszeptał, wpatrując się w Logena szeroko otwartymi oczami. – Dotykać Drugiej Strony!

– Hę?

– Rozmawiać z diabłami – zaskrzeczał, chwytając za podarty płaszcz Logena. – Istoty podziemnego świata stworzone są z kłamstw! Nie wolno ci tego robić!

– Nie zrobię – mruknął Logen, zastanawiając się, czy dowie się kiedykolwiek, o czym ten młody uczeń mówi. – Nie zrobię. Cokolwiek to znaczy.

Nie znaczyło wiele. Quai już zapadł w ten swój niespokojny półsen. Logen zagryzł wargę. Miał nadzieję, że młodzieniec znów się zbudzi, ale nie wydawało mu się to prawdopodobne. Mimo wszystko liczył na to, że ten Bayaz zdoła jakoś dopomóc, w końcu był Pierwszym z Magów, posiadaczem wielkiej mądrości i tak dalej. Więc Logen znów zarzucił sobie Quaia na ramię i ruszył chwiejnym krokiem między dwoma głazami.

Droga wspinała się stromo ku skałom ponad jeziorem, miejscami garbata, miejscami zapadnięta w kamienistym gruncie. Była zużyta i poznaczona czasem, gdzieś upstrzona chwastami. Wiła się raz za razem wokół siebie i wkrótce Logen dyszał i ociekał potem, nogi zaś paliły go ze zmęczenia i wysiłku. Zaczął zwalniać kroku.

Nie mógł zaprzeczyć, że zmęczenie bierze nad nim górę. I nie było to zmęczenie wywołane jedynie wspinaczką czy przygniatającym plecy mozołem, z jakim niósł tego dnia na wpeł umarłego ucznia na swych barkach, czy też wyczerpaniem dnia poprzedniego, czy nawet walką w lesie. Był zmęczony wszystkim. Szankami, wojnami, całym swoim życiem.

– Nie mogę iść bez końca, Malacus. Nie mogę walczyć bez końca. Ile tego przeklętego gówna może człowiek znieść? Muszę usiąść na chwilę. Na cholernym normalnym krześle! Czy to dużo?

W takim nastroju, przeklinając i stękając przy każdym kroku, niosąc Quaia, którego głowa

objała mu się o tyłek, Logen dotarł do mostu.

Był równie prądawny jak sama droga, pokryty pnączami, prosty i wąski, wznosząc się na długości mniej więcej dwudziestu kroków ponad wąwozem, którego głębia przyprawiała o zawrót głowy. Daleko w dole, wokół poszarpanych skał, płynęła rzeka, wypełniając powietrze hałasem i połyskliwą mgiełką. Po drugiej stronie, między strzelistymi obeliskami omszałego kamienia, majaczył wysoki mur, wzniesiony z taką starannością, że nie sposób było powiedzieć, gdzie kończy się naturalny klif, a gdzie zaczyna ten stworzony ręką człowieka. W murze osadzone były wiekowe drzwi obite kutą miedzią, którą pokrywały zielone smugi wilgoci i minionych lat.

Kiedy Logen ruszył ostrożnie po śliskich kamieniach mostu, zaczął się siłą przyzwyczajenia zastanawiać, jak można by szturmować tę warownię. Było to niemożliwie. Nawet z pomocą tysiąca wybranych ludzi. Przed drzwiami znajdowała się tylko wąska półka skalna, a więc za mało miejsca, by ustawić drabinę czy uderzać taranem. Mur wznosił się na wysokość przynajmniej dziesięciu kroków, brama zaś porażała swoją solidnością. A gdyby obrońcy zwalili most... Logen wychylił się poza poręcz i przełknął z wysiłkiem. Do rzeki było bardzo daleko.

Wziął głęboki oddech i załomotał pięścią w wilgotną pozieleniałą miedź. Cztery mocne, głuche uderzenia. Walił tak do wrót Carleonu po bitwie, a mieszkańcy rzucili się do obrony. Teraz nikt nie pospieszył, by zrobić cokolwiek.

Czekał. Znowu zapukał. Czekał. Był coraz bardziej przemoczony od mgiełki, która unosiła się nad rzeką. Zacisnął zęby. Uniósł rękę, by walnąć w drzwi jeszcze raz. Z trzaskiem otworzyła się wąska zapadka i spomiędzy grubych krat wyjrzała para kaprawych oczu.

– Kto tam znowu? – warknął szorstki głos.

– Jestem Logen Dziewięciopalczy. Właśnie...

– Nigdy o tobie nie słyszałem.

Trudno było to nazwać powitaniem, którego oczekiwał.

– Przyszedłem spotkać się z Bayazem.

Brak odpowiedzi.

– Pierwszym z...

– Tak. Jest tutaj. – Drzwi się jednak nie otworzyły. – Nie przyjmuje odwiedzin. Przekazałem to ostatniemu posłańcowi.

– Nie jestem posłańcem. Przyprowadziłem ze sobą Malacusa Quaia.

– Malacu...kogo?

– Quaia, ucznia.

– Ucznia?

– Jest bardzo chory – wycedził Logen powoli. – Może umrzeć.

– Chory, powiadasz? Umrzeć, tak?

– Tak.

– A nazywasz się...

– Otwórz po prostu te przeklęte drzwi! – Logen potrząsnął bezcelowo pięścią w stronę wąskiej szczeliny. – Proszę.

– Nie wpuszczamy każdego, kto... Zaczekaj. Pokaż mi swoje ręce.

– Co?

– Pokaż ręce.

Logen uniósł dłonie. Wodniste oczy przesuwają powolnym spojrzeniem po palcach.

– Jest dziewięć. Jednego brakuje, widzisz? – powiedział Logen, podsuwając kikut odźwiernemu pod nos.

– Dziewięć, tak? Trzeba było tak mówić wcześniej.

Zazgrzytały zasuwę i drzwi uchyliły się odrobinę. Z drugiej strony przyglądał mu się podejrzliwie starszy człowiek, przygarbiony pod ciężarem starodawnej zbroi. Trzymał długi miecz, o wiele za ciężki jak dla niego. Czubek ostrza chwiał się niespokojnie, gdy starzec próbował je unieść.

– Poddaję się – oznajmił Logen, podnosząc ręce.

Wiekowy odźwierny nie zdradzał rozbawienia. Mruknął niechętnie, gdy Logen wszedł do środka, potem zamknął z wysiłkiem bramę i zaczął grzebać przy zasuwach, po czym odwrócił się i poczłapał przed siebie, nie wypowiedziawszy nawet słowa. Logen ruszył za nim wąską doliną, wzdłuż której wznosiły się dziwne domostwa, podniszczone i omszałe, na wpół zagłębione w skalne podłoże, zlewając się niemal ze zboczem.

Na jednym z progów siedziała kobieta o posępnej twarzy i przędła na kołowrotku; spojrzała ze zdziwieniem na Logena, kiedy przechodził obok z nieprzytomnym uczniem na ramieniu. Uśmiechnęła się do niej. Nie była żadną pięknoscią, nie można było zaprzeczyć, ale już bardzo dawno nie widział żadnej kobiety. Czmychnęła czym prędzej do swojego domu i zatrzasnęła za sobą drzwi, pozostawiając wirujący kołowrotek. Logen westchnął. Stara magia wciąż działała.

Następny dom był piekarnią z kwadratowym, dymiącym kominem. Zapach świeżego chleba przyprawił Logena o burczenie w brzuchu. Nieco dalej bawiła się roześmiana para ciemnowłosych dzieci, biegając dookoła skarlłowaciałego starego drzewa. Ten widok nasunął mu myśl o własnych dzieciach. Tamte nie przypominały ich nawet odrobinę, ale Logen poczuł, jak ogrania go posępny nastrój.

Musiał przyznać, że jest nieco rozczarowany. Spodziewał się czegoś, co wyglądałoby dostojniej, chociażby tłum brodatych ludzi. Ci nie sprawiali wrażenia bardzo mądrych. Wyglądali jak zwykli wieśniacy. Jak jego własna wioska przed najazdem szanków. Zastanawiał się, czy przebywa we właściwym miejscu. Potem minęli zakręt na drodze.

Na pobliskim zboczach wznesiono trzy zwężające się wieże, złączone u podstawy, ale rozdzielone wyżej i oplecione bluszczem. Wydawały się jeszcze starsze niż pradawny most i droga, tak stare jak sama góra. Pod nimi tłoczyła się gmatwanina budynków rozsianych wokół szerokiego dziedzińca, gdzie można było dostrzec ludzi zajętych codziennymi obowiązkami. Jakaś chuda kobieta ubijała na ganku masło. Krępy kowal próbował podkuć niespokojną klacz. Stary łysiejący rzeźnik w poplamionym fartuchu skończył właśnie ćwiartować jakieś zwierzę i teraz mył w korycie skrwawione przedramiona.

Na szerokich schodach zaś, przed najwyższą wieżą, siedział niezwykle starzec. Cały w bieli, miał długą brodę, haczykowaty nos i siwe włosy, które wysuwały się spod białej mycki. Logen poczuł wreszcie, że jest pod jakimś wrażeniem. Pierwszy z Magów z pewnością odznaczał się odpowiednim wyglądem. Gdy Logen ruszył w jego stronę, powłócząc nogami, starzec zszedł ze schodów i wyszedł mu pospiesznie naprzeciw; poły białego płaszcza poruszały się niespokojnie.

– Połóż go tutaj – mruknął, wskazując spłachetek trawy obok studni, Logen zaś przyklęknął i zsunął Quaię na ziemię, tak delikatnie, jak pozwalały mu na to obolałe plecy.

Starzec schylił się nad nim i położył mu sękatą dłoń na czole.

– Przyniosłem z powrotem twojego ucznia – oznajmił bezsensownie Logen.

– Mojego?

– Nie jesteś Bayazem?

Starzec wybuchnął śmiechem.

– O nie, jestem Wells, główny sługa w tutejszej bibliotece.

– To ja jestem Bayaz – rozległ się głos za ich plecami.

W ich stronę zmierzał powolnym krokiem rzeźnik, ocierając dłonie o szmatę. Wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat, ale był dobrze zbudowany; miał twarz o zdecydowanym, mocnym wyrazie, poznaczoną głębokimi liniami, wokół ust zaś szarą, krótko przystrzyżoną brodę. Był całkowicie łysy, od jego ogorzałej czaszki odbijało się popołudniowe słońce. Nie wydawał się ani przystojny, ani majestatyczny, gdy jednak podszedł bliżej, bez trudu dało się zauważyć, że ma coś w sobie. Pewność, zdolność dowodzenia. Nie ulegało wątpliwości, że jest człowiekiem nawykłym do wydawania rozkazów i posłuszeństwa.

Pierwszy z Magów ujął lewą dłoń Logena obiema rękami i uściśnił serdecznie. Potem odwrócił ją i obejrzał z uwagą kikut po odciętym palcu.

– Logen Dziewięciopalczy zatem. Ten, którego zwą Krwawym-dziewięć. Słyszałem opowieści o tobie, nawet zamknięty w swej bibliotece.

Logen skrzywił się bezwiednie. Mógł sobie wyobrazić, jakie to historie mógł słyszeć ten starszy człowiek.

– To było dawno temu.

– Oczywiście. Wszyscy mamy jakąś przeszłość, co? Nie opieram sądów na pogłoskach.

Bayaz uśmiechnął się. Szerokim, promiennym, białym uśmiechem. Jego twarz pokryła się przyjaznymi zmarszczkami, ale oczy, głęboko osadzone i połyskujące zielono, zachowały twardość spojrzenia. Kamienną twardość. Logen odpowiedział mu uśmiechem, ale zdążył już ocenić, że nie chciałby mieć wroga w tym człowieku.

– I przyprowadziłeś naszą zbłąkaną owieczkę do stada. – Bayaz spojrział ze zmarszczonym czołem na Malacusa Quaia, który leżał nieruchomo na trawie. – Co z nim?

– Myślę, że będzie żył, sir – odparł Wells. – Ale powinniśmy zabrać go z tego chłodu.

Pierwszy z Magów strzelił palcami i od budynków odbiło się ostrym dźwiękiem echo.

– Pomóżcie mu.

Podbiegł kowal i ujął Quaia za nogi, po czym razem z Wellsem wnieśli go przez wysokie drzwi do biblioteki.

– No dobrze, mistrzu Dziewięciopalczy, wezwałem cię, a ty odpowiedziałeś, co świadczy o dobrych manierach. Może przestały obowiązywać na Północy, ale wiedz, że je doceniam. Na uprzejmość należy odpowiadać uprzejmością, zawsze tak uważałem. Ale cóż to takiego?

Przez dziedziniec znów spieszył stary odźwierny, niemal bez tchu.

– Dwóch gości w ciągu jednego dnia? Co tam znowu?

– Mistrzu Bayazie! – wydyszał odźwierny. – Przy bramie są jeźdźcy, dobrze uzbrojeni! Powiadają, że mają pilną wiadomość od króla Północy!

Bethod. To musiał być on. Duchy powiedziały, że włożył sobie na głowę złoty hełm, a któż inny śmiałby nazywać siebie królem Północy? Logen przełknął z wysiłkiem. Uszedł z ich ostatniego spotkania z życiem i niczym więcej, a mimo to poszczęściło mu się bardziej od innych, o wiele bardziej.

– I co, mistrzu? – spytał odźwierny. – Mam im powiedzieć, by odjechali?

– Kto nimi dowodzi?

– Dziwny młodzieniec o kwaśnej minie. Powiedział, że jest synem królewskim czy kimś takim.

– Calder czy Scale? Obaj mają kwaśne miny.

– Chyba młodszy, jak mi się zdaje.

A zatem Calder, co wydawało się korzystne. Obaj byli źli, ale Scale był znacznie gorszy. Razem stanowili coś, czego za wszelką cenę należało unikać.

Bayaz zastanawiał się przez chwilę.

– Książę Calder może wejść, ale jego ludzie muszą pozostać za mostem.

– Tak, sir, za mostem – powtórzył odzwierciadlony i pospieszył ku bramie.

Och, Calderowi bardzo się to spodoba, pomyślał Logen. Cieszyła go myśl o tak zwanym księciu, wrzeszczącym bezcelowo przez wąski otwór w drzwiach.

– Król Północy, możesz to sobie wyobrazić? – Bayaz popatrzył nieobecny wzrokiem w głąb doliny. – Znałem Bethoda, kiedy nie był jeszcze taki wielki. I ty też, jak miemam, mistrzu Dziewięciopalcy?

Logen zmarszczył czoło. Znał Bethoda, kiedy ten jeszcze nic nie znaczył i kiedy niczym się nie różnił od pomniejszych wodzów, tak licznych. Logen przyszedł do niego po pomoc przeciwko szankom i Bethod mu jej udzielił, za odpowiednią cenę. Wtedy, przed laty, wydawała się niewielka i warta zapłacenia. Po prostu walczyć. Zabić kilku ludzi. Dla Logena było to zawsze łatwe, Bethod zaś jawił się jako człowiek, dla którego warto się bić – śmiały, dumny, bezwzględny, straszliwie ambitny. Cechy, które Logen podziwiał i które według własnego mniemania sam posiadał. Czas jednak odmienił ich obu, a cena wzrosła.

– Był kiedyś lepszym człowiekiem – zauważył Bayaz w zamyśleniu. – Ale korona nie sprzyja niektórym ludziom. Znasz jego synów?

– Lepiej, niż chciałbym znać.

Bayaz przytaknął.

– To wyjątkowe ścierwa, nieprawdaż? I żywię obawy, czy kiedykolwiek się zmienią. Wyobraź sobie tego głupca o ptasim mózdzku, Scale'a, jako króla. Uh! – Czarnoksiężnik wzdrygnął się. – Człowiek niemal pragnie życzyć jego ojcu długiego życia. Prawie, choć nie do końca.

Mała dziewczynka, którą wcześniej Logen widział przy zabawie, podbiegła teraz do nich. Trzymała w ręku wianek z żółtych kwiatów i podała go starszemu czarnoksiężnikowi.

– Sama to zrobiłam – powiedziała.

Logen słyszał dobiegający od strony drogi szybki tętent kopyt końskich.

– Dla mnie? To czarujące. – Bayaz wziął od niej kwiaty. – Wspaniała robota, moja droga. Sam Mistrz Stwórca nie zrobiłby tego lepiej.

Na dziedziniec wpadł jeździec, wstrzymał brutalnie konia i zeskoczył z siodła. Calder. Lata obeszły się z nim łaskawiej niż z Logeniem, tyle przynajmniej było wiadomo. Cały w czarnym i doskonałym suknie, obszytym ciemnym futrem. Na palcu błyskał wielki czerwony kamień, rękojeść miecza lśniła złotem. Wyrósł i zmężniał, i choć był o wiele mniejszy od swego brata, mimo wszystko mógł uchodzić za potężnego mężczyznę. Jednak blada i dumna twarz wyglądała tak, jak ją Logen zapamiętał – cienkie wargi wykrzywione w wiecznym pogardliwym grymasie.

Rzucił wodze kobiecie ubijającej masło, po czym ruszył szybkim krokiem przed siebie, rozglądając się gniewnie wkoło. Wiatr szarpał mu włosy. Kiedy zbliżył się na jakieś dziesięć kroków, dojrzał Logena i otworzył ze zdumienia usta. Potem cofnął się gwałtownie, a dłoń drgnęła mu ku rękojeści miecza. W końcu jednak na jego ustach pojawił się zimny uśmiech.

– A więc zaczęłaś hodować psy, co, Bayazie? Uważałbym na tego tutaj. Kąsał kiedyś rękę swojego pana. – Jeszcze bardziej skrzywił usta. – Mogę go zabić, jeśli chcesz.

Logen tylko wzruszył ramionami. Twarde słowa były dobre dla głupców i tchórzów. Calder mógł być jednym i drugim, ale nie Logen. Jeśli chcesz zabić, to lepiej od razu weź się do roboty, zamiast o tym gadać. Gadanie tylko pozwala drugiemu człowiekowi się przygotować, a to ostatnia rzecz, jakiej można pragnąć. Więc Logen się nie odezwał. Calder mógł wziąć to za objaw słabości, jeśli mu się podobało; tym lepiej. Walki i pojedynki przytrafiały się Logenowi przygnębiająco często, ale on sam już dawno ich nie szukał.

Drugi syn Bethoda zwrócił ostrze swej pogardy na Pierwszego z Magów.

– Mój ojciec będzie bardzo niezadowolony, Bayazie! To, że jego ludzie muszą czekać przed bramą, to brak szacunku!

– Mam go doprawdy niewiele, księżę – odparł spokojnie Bayaz. – Nie bądź jednak przygnębiony. Twój ostatni posłaniec nie przekroczył nawet mostu, więc można mówić o jakimś postępie.

Calder skrzywił się.

– Dlaczego nie odpowiedziałeś na wezwanie mojego ojca?

– Mam tyle obowiązków. – Bayaz pokazał wianek kwiatów. – Nie wypełniają się same, wiesz o tym doskonale.

Księżę nie okazał rozbawienia. Zagrzmiał:

– Mój ojciec, Bethod, król Północy, rozkazuje ci zjawić się w Carleonie! – Odchrząknął. – Nie będzie...

Dalsze słowa przerwał atak kaszlu.

– Co? – spytał Bayaz. – Mów głośniej, moje dziecko!

– Rozkazuje... – Księżę zakaszał znowu, zacharczał, zakrzuszył się. Podniósł dłoń do gardła. Zdawało się, że powietrze znieruchomiło.

– Rozkazuje, tak? – Bayaz zmarszczył brwi. – Sprowadź wielkiego Juvensa z ziemi umarłych. On może mi rozkazywać. Tylko on i nikt inny. – Zmarszczka na czole maga pogłębiła się jeszcze bardziej, a Logen musiał zapanować nad dziwnym pragnieniem, by się cofnąć. – Ty nie możesz. Ani twój ojciec, jakkolwiek nazywa samego siebie.

Calder osunął się wolno na kolana, twarz miał boleśnie wykrzywioną, oczy załzawione. Bayaz obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– Cóż za pobożna postawa, czyżby ktoś umarł? Masz – zarzucił na głowę księcia wianek. – Odrobiona koloru poprawi ci humor. Powiedz swojemu ojcu, że musi sam do mnie przyjść. Nie tracę czasu na głupców i młodszych synów. Jestem pod tym względem wyznawcą dawnych zasad. Lubię rozmawiać z głową konia, nie jego zadem. Rozumiesz mnie, chłopcze?

Calder zaczął osuwać się z wolna na bok, oczy miał czerwone i wybałuszone. Pierwszy z Magów machnął ręką.

– Możesz odejść.

Księżę wydał z siebie urywany oddech, zakaszał, dźwignął się na nogi, podszedł niepewnym krokiem do swego konia i wspiał się na siodło ze znacznie większym trudem, niż z niego zeskoczył. Ruszając w stronę bramy, rzucił przez ramię mordercze spojrzenie, które jednak utraciło swą moc, zważywszy, że miał twarz czerwoną jak wychłostany tyłek. Logen stwierdził, że uśmiecha się szeroko. Już dawno nic nie sprawiło mu takiej radości.

– Rozumiem, że potrafisz rozmawiać z duchami – odezwał się Bayaz. Słowa te zaskoczyły Logena.

– Hę?

– Rozmawiać z duchami. – Bayaz potrząsnął głową. – To rzadki dar w dzisiejszych czasach. Co u nich słychać?

– U kogo, u duchów?

– Tak.

– Jest ich coraz mniej.

– Niebawem wszystkie będą spać, prawda? Magia wycieka ze świata. To nieodwracalny bieg rzeczy. Przez lata moja wiedza narastała, a jednak moje siły się zmniejszały.

– Calder wydawał się pod wrażeniem.

– Ha! – Bayaz machnął lekceważąco. – Nic wielkiego. Mała sztuczka z powietrzem i ciałem, żadna trudność. Nie, wierz mi, magia się cofa. To fakt. Prawo natury. Mimo wszystko, można rozbić jajko na wiele sposobów, prawda, mój przyjacielu? Jeśli zawodzi jedno narzędzie, trzeba spróbować z innym.

Logen nie był już pewien, o czym rozmawiają, ale odczuwał zbyt wielkie zmęczenie, by pytać.

– Tak, rzeczywiście – mruknął Pierwszy z Magów. – Można zbić jajko na wiele sposobów. Jak już o tym mowa, to wyglądasz na głodnego.

Logen na wzmiankę o jedzeniu poczuł, jak ślina napływa mu do ust.

– Tak – wymamrotał. – Tak... zjadłbym coś.

– Oczywiście. – Bayaz poklepał go serdecznie po ramieniu. – A potem może kąpiel? Nie chcę przez to powiedzieć, że jesteśmy urażeni, ale sędzę, że nie ma nic bardziej ożywczego niż gorąca woda po długiej wędrówce, a ty, jak podejrzewam, masz za sobą naprawdę długą drogę. Chodź ze mną, mistrzu Dziewięciopalcy, nic ci tu nie grozi.

Jedzenie. Kąpiel. Bezpieczeństwo. Logen musiał powstrzymywać łzy, podążając za starszym człowiekiem do biblioteki.



# Dobryczek

Dzień był bardzo gorący i przez ogromne okna wpadało słońce, pokrywając drewnianą posadzkę sali audiencyjnej plataniną cieni. Późnym popołudniem panował tu upał gęsty jak zupa i kuchenny zaduch.

Fortis dan Hoff, marszałek dworu, rumienił się i pocił w swych obszytych futrem szatach męża stanu. Przez cały dzień doskwierał mu zły humor. Harlem Morrow, jego podsekretarz do spraw audiencji, sprawiał wrażenie jeszcze bardziej niezadowolonego, czemu trudno było się dziwić, gdyż prócz upału musiał się jeszcze zmagać ze strachem, jaki budziła w nim postać Hoffa. Obaj wydawali się niezwykle przygnębieni, każdy na swój sposób, ale przynajmniej zajmowali miejsca siedzące.

Major West pocił się nieustannie pod swoim haftowanym mundurem. Stał od ponad dwóch godzin w tej samej pozycji, z dłońmi założonymi do tyłu i zaciśniętymi zębami, podczas gdy lord Hoff dąsał się, pomrukiwał albo wrzeszczał po kolei na petentów. West żałował, nie po raz pierwszy tego popołudnia, że nie leży w parku pod drzewem z mocnym trunkiem w dłoni. Albo może pod lodowcem, otoczony ze wszystkich stron zimnymi bryłami. Chciał być wszędzie, tylko nie tutaj.

Trzymanie warty podczas tych koszmarnych audiencji należało do mniej przyjemnych obowiązków Westa, ale mogło być gorzej. Chcąc, nie chcąc, człowiek myślał o ośmiu żołnierzach stojących wokół ścian: ci mieli na sobie pełne uzbrojenie. West tylko czekał, aż któryś z nich zemdleje i runie na podłogę z traskiem przypominającym walący się kredens pełen filiżanek, bez wątpienia ku ogromnemu niesmakowi lorda marszałka, ale jak dotąd zdołali jakoś utrzymać się w pozycji wyprostowanej.

– Dlaczego w tej sali zawsze panuje niewłaściwa temperatura? – dopytywał się Hoff, jakby upał był obelgą wymierzoną wyłącznie w niego. – Jest zbyt gorąco przez pół roku, a przez drugie pół za zimno! Nie ma tu ani odrobiny powietrza! Dlaczego te okna się nie otwierają? Dlaczego nie możemy przebywać w większym pomieszczeniu?

– E... – wymamrotał podsekretarz, poprawiając okulary na spoconym nosie. – Prośby o audiencje zawsze były składane w tej sali, lordzie marszałku. – Umilkł pod groźnym spojrzeniem przełożonego. – E... to jest .tradycja.

– Wiem o tym, durniu! – zagrmiał Hoff, purpurowy na twarzy z gorąca i wściekłości. – Czy ktoś w ogóle prosił cię o twoją głupią opinię?

– Tak, to znaczy nie – wyjąkał Morrow. – To znaczy jak najbardziej, panie.

Hoff potrząsnął głową z głębokim grymasem, rozglądając się po sali w poszukiwaniu czegoś innego, co wzbudzałoby w nim niezadowolenie.

– Ilu ich tam jeszcze czeka?

– E... czterech, wasza miłość.

– Do diabła! – zagrmiał marszałek dworu, wiercąc się na wielki krześle i wachlując futrzanym kołnierzem, by wpuścić pod grube odzienie trochę powietrza. – To nie do zniesienia!

West musiał się z tym całkowicie zgodzić. Hoff podniósł ze stołu gwałtownym ruchem srebrny kielich i wziął potężny łyk wina, siorbiąc przy tym. Lubił wypić, co na dobrą sprawę robił całe popołudnie. Nie poprawiło mu to humoru.

– Kto jest kolejnym głupcem? – spytał.

– E... – Morrow spojrział przez okulary na wielki dokument, przesuwał wzdłuż nierównego pisma palcem umazanym w atramencie. – Następny jest Dobryczek Heath, wieśniak z...

– Wieśniak? Powiedziałeś „wieśniak”? Musimy więc siedzieć w tym idiotycznym upale i wysłuchiwać narzekań jakiegoś przekłętego plebejusza na pogodę, która zaszkoziła jego owcom?

– No cóż, mój lordzie – wymamrotał Morrow. – Wydaje się, że Dobryczłek Heath ma...e... uzasadnione pretensje do swego... e... pana i...

– Do diabła z tym wszystkim! Mam po dziurki w nosie narzekań innych ludzi! – Marszałek dworu łyknął wina. – Wprowadź tego idiotę!

Otwarto drzwi i Dobryczłek Heath został łaskawie dopuszczony przed oblicze władzy. By podkreślić swą pozycję w tej sali, stół marszałka dworu stał na podwyższeniu, tak że biedak musiał patrzeć w górę. Uczciwa twarz, ale bardzo wychudzona. W drżących dłoniach ścisnął kapelusz. West poruszył zniechęcony barkami, gdy po plecach spłynęła mu kropla potu.

– Ty jesteś Dobryczłek Heath, zgadza się?

– Tak, lordzie – wymamrotał wieśniak z silnym akcentem. – Pochodzę z...

– I zjawiasz się przed nami z prośbą o audiencje u Jego Wysokości, króla Unii – przerwał mu z wystudiowaną szorstkością Hoff.

Heath obliznął wargi. West zastanawiał się, ile ten człowiek musiał znieść, by dać z siebie robić głupca. Najpewniej bardzo wiele.

– Moja rodzina została wyrugowana z ziemi. Nasz pan powiedział, że nie płaciliśmy renty gruntowej...

Marszałek dworu uciszył go gestem uniesionej dłoni.

– Jest to bez wątpienia sprawa dla komisji ziem i upraw. Jego Wysokość przejawia oczywiście troskę o dobro wszystkich swych poddanych, nawet tych najmniej znaczących – oznajmił, a West niemal skrzywił się na ten afront. – Nie można jednak po nim oczekiwać, że będzie poświęcał uwagę bardzo drobnym sprawom. Jego czas jest niezwykle cenny, tak jak i mój. Dobrego dnia.

I to było wszystko. Dwaj żołnierze otworzyli drzwi, dając tym samym znak Heathowi, by wyszedł.

Twarz wieśniaka pokryła się trupią bladością, kłykcie poruszały się niespokojnie, mnąc brzeg kapelusza.

– Mój panie – wyjąkał. – Stawałem już przed komisją...

Hoff spojrział na niego ostro, zmuszając nieszczęśnika do milczenia.

– Dobrego dnia, powiedziałem!

Wieśniak przygarbił ramiona. Po raz ostatni rozejrzył się po sali. Morrow studiował z wielkim zainteresowaniem przeciwległą ścianę i unikał wzroku wieśniaka. Marszałek dworu z kolei patrzył na niego z gniewem, rozwścieczony swą niepowetowaną stratą czasu. West czuł mdłości na myśl o tym, że musi w tym uczestniczyć. Heath odwrócił się i wyszedł ze spuszczoną głową z sali, powłócząc nogami. Drzwi zamknęły się za nim.

Hoff walnął pięścią w stół.

– Widzieliście to? – Powiódł złym wzrokiem po obecnych, którzy oblewali się potem w tym upale. – Co za bezczelny człowiek! Widział pan to, majorze West?

– Tak, lordzie, widziałem – odparł West sztywno. – Prawdziwa hańba.

Na szczęście Hoff nie dostrzegł ukrytego znaczenia tych słów.

– Hańba, majorze West, ma pan absolutną rację! Dlaczego młodzi obiecujący ludzie, tacy jak pan, idą do wojska, u diabła? Chcę wiedzieć, kto jest odpowiedzialny za wpuszczanie do tej sali tych wszystkich żebraków! – Spojrział ze złością na podsekretnarza, który przełknął nerwowo i wlepił wzrok w dokumenty. – Kogo tam mamy?

– E... – wymamrotał Morrow. – Coster dan Kault, magister gildii bławatników.

– Wiem, kim jest, do diabła! – rzucił wściekle Hoff, ocierając z twarzy świeżą warstwę potu. – Jeśli nie przeklęty wieśniak, to przeklęty kupiec! Wprowadzić tego starego oszusta – ryknął do żołnierzy przy drzwiach, na tyle głośno, by słyszano go na korytarzu.

Magister Kault różnił się od poprzedniego petenta. Był wysokim, tęgim mężczyzną o miękkiej twarzy i twardych oczach. Fioletowa kupiecka szata obszyta była złotą nicią z taką ostentacją, że nawet sam imperator Gurkhulu wzdragałby się ją nosić. Towarzyszyło mu dwóch starszych bławatników, odzianych nie mniej dostojnie. West się zastanawiał, czy Dobryczłek Heath zdołałby zarobić na taki ubiór przez dziesięć lat. Doszedł do wniosku, że nie, nawet gdyby nie został wyrugowany ze swej ziemi.

– Lordzie – zaczął Kault z wyszukany ukłonem.

Hoff przyjął do wiadomości obecność przewodniczącego gildii bławatników tak nieznacznie, jak było to tylko możliwe – uniesieniem brwi i niemal niedostrzegalnym drgnieniem warg. Kault czekał na powitanie, spodziewając się czegoś bardziej godnego jego osoby, ale na próżno. Odchrząknął głośno.

– Zjawiłem się, by prosić o audiencję u Jego Czcignego Majestatu...

Marszałek dworu parsknął pogardliwie.

– To jasne. Celem tego posłuchania jest podjęcie decyzji, kto zasługuje na uwagę Jego Wysokości. Jeśli nie starasz się o audiencję, to zawędrowałeś do niewłaściwej sali.

Było oczywiste, że posłuchanie będzie równie bezowocne jak poprzednie. West pomyślał, że jest w tym wszystkim jakaś koszmarna sprawiedliwość. Wielcy i mali byli traktowani identycznie.

Magister Kault zmrużył oczy, ale ciągnął:

– Szacowna gildia bławatników, której jestem skromnym przedstawicielem... – Hoff siorbnął hałaśliwie wina i Kault poczuł się w obowiązku przerwać na chwilę. – ...stała się ofiarą najbardziej podstępного i złośliwego ataku...

– Napelnij to! – wrzasnął marszałek dworu do swego podsekretarza, wymachując pustym kielichem.

Morrow zsunął się gorliwie ze swego krzesła i chwycił karafkę. Kault był zmuszony czekać z zaciśniętymi zębami, wsłuchując się w głośny chlupot wina.

– Mów dalej! – krzyknął Hoff, machając ręką. – Nie mamy całego dnia!

– Najbardziej złośliwego i oszczerczego ataku...

Marszałek dworu spojrział na niego z góry.

– Ataku, powiadasz? Zwykła napaść jest sprawą dla straży miejskiej!

Na twarzy magistra Kaulta pojawił się grymas. Wraz ze swymi dwoma towarzyszami zaczął się już pocić.

– Nie o to chodzi, marszałku, lecz o podstępny i oszczerczy atak, którego celem jest zdyskredytowanie nieskazitelnej reputacji, jaką cieszy się gildia, a także uszkodzenie naszym interesom w wolnym mieście Styrii i w całej Unii. Atak dokonany przez pewne kłamliwie elementy Inkwizycji Jego Królewskiej Mości...

– Usłyszałem już dosyć! – Marszałek dworu podniósł gwałtownym ruchem dłoni, przerywając swemu rozmówcy. – Jeśli jest to kwestia handlowa, to powinna się nią zająć komisja Jego Wysokości do spraw handlu i kupiectwa. – Hoff mówił powoli i starannie, na podobieństwo nauczyciela zwracającego się do krnąbrnego ucznia. – Jeśli to kwestia prawna, to powinien się nią zająć wydział wysokiego sędziego Marovii. Jeśli jest to kwestia wewnętrznych działań Inkwizycji Jego Królewskiej Mości, to musisz się umówić na spotkanie z arcylektorem Sultem. Tak czy inaczej, trudno uznać tę sprawę za godną uwagi naszego władcy.

Przewodniczący gildii bławatników otworzył usta, ale marszałek dworu nie dopuścił go do słowa, mówiąc głośniejszym głosem niż kiedykolwiek:

– Twój król ustanawia komisję, wybiera wysokiego sędziego i mianuje arcylektora, by nie musiał zajmować się każdą drobną sprawą osobiście! Tak przy okazji, dlatego również nadaje prawa pewnym gildiom, by warstwa kupiecka... – jego wargi wykrzywił szyderczy uśmiech – ...nie nabijała sobie zbyt wiele kiesy! Dobrego dnia!

Drzwi się otworzyły bezzwłocznie. Przy ostatnich słowach marszałka dworu twarz Kaulta pobrała z gniewu.

– Możesz być pewien, lordzie, że będziemy szukać zadośćuczynienia wszędzie, i to z największą uporczywością.

Hoff przyglądał mu się gniewnie bardzo długą chwilę.

– Szukajcie go, gdzie wam się podoba – warknął. – Ale nie tutaj. Dobrego... dnia!

Gdyby ów zwrot miał siłę śmiertelnego pchnięcia, namiestnik gildii bławatników padłby na podłogę jak rażony gromem.

Kault zamrugał dwa razy, po czym odwrócił się gniewnie i wyszedł, siłując się na godność. Jego dwaj towarzysze podążyli tuż za nim, a olśniewające szaty, które mieli na sobie, poruszały się w rytm ich kroków. Ponownie zamknięto drzwi.

Hoff jeszcze raz walnął pięścią w stół.

– Oburzające! – wyrzucił z siebie wściekle. – Te aroganckie świny! Czy naprawdę myślą, że mogą sobie lekceważyć prawo królewskie, a mimo to szukać u króla pomocy, kiedy coś jest nie tak?

– Nie – odparł Morrow. – Oczywiście...

Marszałek dworu zignorował swego podsekretarza i zwrócił się z szyderczym uśmiechem do Westa.

– Mimo wszystko, wydaje mi się, że zaczynają krążyć nad nimi sępy, co, majorze West?

– W rzeczy samej, lordzie – wymamrotał West, absolutnie zniechęcony; modlił się, by ta tortura dobiegła wreszcie końca. Wtedy mógłby wrócić do swojej siostry. Ogarnęło go przygnębienie. Była jeszcze bardziej niesforna, niż ją zapamiętał. Owszem, odznaczała się bystrością, martwił się jednak, że jest za bystra i że jej to zaszkodzi. Gdyby tylko poślubiła jakiegoś uczciwego człowieka i znalazła szczęście. Jego pozycja i tak już była niepewna, a siostra nie musiała na dodatek robić z siebie widowiska.

– Sępy, sępy – mruczał do siebie Hoff. – Paskudne ptaszyska, ale mogą być użyteczne. Kto następny?

Spocony podsekretarz, szukając odpowiednich słów, wyglądał na jeszcze bardziej zakłopotanego niż wcześniej.

– Mamy grupę... dyplomatów.

Marszałek dworu zastygł z kielichem w dłoni.

– Dyplomatów? Od kogo?

– E... od tak zwanego króla Północy, Bethoda.

Hoff wybuchnął śmiechem.

– Dyplomaci? – zachichotał, wycierając twarz rękawem. – Chciałeś chyba powiedzieć „dzikusy”?

Podsekretarz zawtórował mu bez przekonania.

– Och, tak, lordzie, ha, ha! Dzikusy, oczywiście.

– Ale niebezpieczne, co Morrow? – warknął Hoff; jego doskonały humor ulotnił się z miejsca, a podsekretarz zakrztusił się własnym śmiechem. – Bardzo niebezpieczne. Musimy być ostrożni.

Wprowadzić ich!

Było ich czterech. Nawet ci niższego wzrostu byli postawnymi mężczyznami o groźnym wyglądzie; poznaczeni bliznami i brodaci, dźwigali na sobie ciężkie pancerze. Zostali rozbrojeni u bramy Agriontu, ale wciąż sprawiali wrażenie niebezpiecznych i West domyślał się, że oddali przed posłuchaniem sporo ciężkiego żelaza, mocno zużytego w bojach. Byli ludźmi, którzy gromadzili się głodni wojny na granicy z Anglandem, niedaleko domu Westa.

Wraz z nimi zjawił się starszy człowiek, także w powyginanej zbroi; miał długie włosy i wielką białą brodę. Twarz i zakryte bielmem oko przecinała sina blizna. Na jego ustach gościł jednak szeroki uśmiech i ta sympatyczna aparycja kontrastowała silnie z wyglądem dwóch posępnych mężczyzn i czwartego, który zjawił się ostatni.

Musiał się schylić pod nadprożem, które wznosiło się na wysokości dobrych dwóch metrów nad podłogą. Był okryty szorstkim brązowym płaszczem, na głowie miał kaptur, rysy niewidoczne. Kiedy się wyprostował, przewyższając wszystkich, sala wydała się nagle absurdalnie ciasna. Sama jego postać budziła grozę, ale było w niej coś jeszcze, coś, co zdawało się emanować z niego jakimiś dziwnymi falami. Żołnierze pełniący wartę też to poczuli i poruszyli się niespokojnie. Poczuli to także podsekretarz, który pocił się, wiercił i grzebał w swoich dokumentach, a już z pewnością major West. Jego skórę, pomimo upału, owionął chłód, a każdy pokrywający ją włos podnosił się pod wilgotnym mundurem.

Zadawało się, że tylko Hoff jest nieporuszony. Przyjrzał się dokładnie czterem mieszkańcom Północy z głębokim zamyśleniem na twarzy. Obecność olbrzyma w kapturze robiła na nim takie samo wrażenie jak wcześniej obecność Dobregoczłeka Heatha.

– A więc jesteście posłańcami Bethoda. – Zdawało się, że najpierw rozważa te słowa, by wyrzucić je nagle z siebie. – Króla Północy.

– Zgadza się – odparł uśmiechnięty starzec, kłaniając się z niezwykle szacunkiem. – Jestem Hansul Białooki.

Jego głos był dźwięczny, wyraźny i miły, bez cienia obcego akcentu; nie przypominał brzmieniem nic, czego spodziewał się West.

– I ty też jesteś emisariuszem Bethoda? – spytał Hoff odruchowo, sięgając ponownie po kielich.

Po raz pierwszy West poczuł ulgę, że w sali wraz z nim przebywa marszałek dworu, ale po chwili zerknął na zakapturzonego człowieka i uczucie niepokoju powróciło.

– O nie – odparł Białooki. – Pełnię tu rolę tłumacza. To jest emisariusz króla Północy. – Jego zdrowe oko zerknęło nerwowo na postać w brązowej opończy, jakby nawet on odczuwał lęk. – Fenris. – Przeciągnął „s” na końcu imienia, co przypominało syk, który przeciął nagle powietrze. – Fenris Groźny.

Odpowiednie imię. West przypomniał sobie pieśni, które słyszał w dzieciństwie, opowieści o złaknionych krwi gigantach z gór odległej Północy. W sali przez chwilę panowała cisza.

– Hm... – mruknął marszałek dworu, nieporuszony. – I staracie się o audiencję u Jego Wysokości króla Unii?

– W samej rzeczy, lordzie – odparł stary wojownik. – Nasz pan, Bethod, żałuje wielce, że między naszymi narodami panuje wrogość. Pragnie jedynie zachowywać jak najlepsze stosunki z południowymi sąsiadami. Przynosimy od naszego władcy przesłanie pokoju dla waszego króla, a także dar, jako oznakę naszej dobrej woli. Nic więcej.

– No, no – oznajmił Hoff, rozsiadając się z szerokim uśmiechem na swoim wielkim krześle. – Łaskawa prośba, równie łaskawie złożona. Możecie spotkać się z królem jutro, w czasie posiedzenia Otwartej Rady, i przekazać swój dar w obecności najwyższych dostojników kraju.

Białooki skłonił się z szacunkiem.

– Jest pan niezwykle przychylny, lordzie.

Odwrócił się w stronę drzwi, za nim ruszyli dwaj posępni wojownicy. Zakapturzona postać zwlekała jeszcze przez chwilę, potem także i ona odwróciła się powoli i zniknęła za progiem. Dopiero gdy drzwi się zamknęły, West mógł znów odetchnąć swobodnie. Potrząsnął głową i wzruszył spoconymi ramionami. Pieśni o gigantach... doprawdy. Nic szczególnego, postawny człowiek w opończy, to wszystko. Jednak drzwi prowadzące do sali były naprawdę wysokie.

– Widziałeś, Morrow? – Hoff sprawiał wrażenie niezwykle z siebie zadowolonego. – A próbowałeś mi wmówić, że to jakieś dzikusy! Wydaje mi się, że jesteśmy bliscy rozwiązania problemów z Północą, jak ci się wydaje?

Podsekretarz nie wydawał się w najmniejszym stopniu przekonany.

– E... tak, lordzie, oczywiście.

– Naturalnie. Dużo hałasu o nic. Mnóstwo pesymistycznej, defetystycznej gadaniny ze strony naszych nerwowych obywateli na północy, co? Wojna? Ha! – Hoff znów walnął pięścią w stół; kielich podskoczył i na drewno rozlało się trochę wina. – Ci barbarzyńcy nie odważyliby się! Wręcz przeciwnie, lada chwila złożą petycję o przyłączenie do Unii! Nie mam racji, majorze West?

– E...

– Doskonale! Przynajmniej jedną sprawę udało się nam dzisiaj załatwić! Został nam jeszcze jeden, a potem będziemy mogli wyjść z tego przeklętego pieca! Kogo tam mamy, Morrow?

Podsekretarz zmarszczył brwi i poprawił okulary na nosie.

– Niejakiego Yoru Sulfura – oznajmił, zmagając się z nieznanym sobie imieniem.

– Kogo?

– No... Sulfir czy Sulfor, nie wiem dokładnie.

– Nigdy o nim nie słyszałem – mruknął marszałek dworu. – Co to za człowiek? Ktoś z południa?

Tylko nie wieśniak, błagam!

Podsekretarz zajrzał do swoich dokumentów i przełknął.

– Emisariusz.

– Tak, tak, ale czyj?

Morrow kulił się dosłownie, jak dziecko oczekujące klapsa.

– Wielkiego Zakonu Magów! – wypalił.

Przez chwilę trwała pełna osłupienia cisza. West uniósł zdumiony brwi i otworzył bezwiednie usta; domyślał się, że za spuszczonego przyłbicami żołnierze reagują tak samo jak on. Skrzywił się instynktownie, czekając na odpowiedź marszałka, ale Hoff zaskoczył wszystkich, wybuchając perlistym śmiechem.

– Doskonale! Przynajmniej będziemy mieli trochę zabawy. Minęły lata, od kiedy mieliśmy tu maga! Wprowadźcie tego czarnoksiężnika! Nie pozwólmy mu czekać!

Postać Yoru Sulfura stanowiła pewne rozczarowanie. Miał na sobie proste, noszące ślady długiej podróży odzienie; na dobrą sprawę nie był lepiej ubrany niż Dobryczłek Heath. Jego laska nie nosiła złotych ozdób ani lśniącej kryształowej gałki. Jego oczy nie błyszczały tajemniczym ogniem. Wyglądał na całkiem zwyczajnego człowieka w wieku trzydziestu kilku lat, nieco zmęczonego, jakby po długiej wędrówce, ale poza tym odznaczał się swobodą w obecności marszałka dworu.

– Życzę wam dobrego dnia, panowie – oznajmił, wspierając się na swojej lasce.

West miał trudności, by odgadnąć, skąd ten człowiek pochodzi. Na pewno nie z Unii, ponieważ jego skóra była zbyt ciemna, ani z Gurkhulu czy z dalekiego południa, ponieważ była za jasna. Nie z Północy czy ze Styrii. A więc z jeszcze odleglejszych krain, tylko jakich? Kiedy West przyjrzał mu

się dokładniej, zauważył, że jego oczy są różnej barwy: jedno było niebieskie, drugie zielone.

– I tobie życzymy dobrego dnia, sir – odparł Hoff i uśmiechnął się, jakby szczerze. – Moje drzwi zawsze stoją otworem przed Wielkim Zakonem Magów. Powiedz mi, czy mam przyjemność zwracać się do samego wielkiego Bayaza?

Sulfur sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Nie, czyżbym został niewłaściwie zaanonsowany? Jestem Yoru Sulfur. Bayaz jest łysy. – Jakby na dowód, przesunął dłonią po kręconych kasztanowych włosach. – W alei stoi jego posąg. Miałem jednak przez kilka lat zaszczyt pobierać pod jego kierunkiem nauki. Jest niezwykle potężnym i mądrym mistrzem.

– Oczywiście, nikt temu nie zaprzecza! Czym możemy ci służyć?

Yoru Sulfur odchrząknął, jakby zamierzał opowiedzieć jakąś historię.

– Bayaz, Pierwszy z Magów, wraz ze śmiercią króla Haroda Wielkiego opuścił Unię. Przysiągł jednak, że powróci.

– Tak, tak, to prawda – przyznał Hoff. – Całkowita prawda, wie o tym każde dziecko, które chodzi do szkoły.

– I oświadczył, że jego powrót zostanie ogłoszony przez herolda.

– To też prawda.

– No cóż – oznajmił Sulfur z szerokim uśmiechem. – Oto jestem.

Marszałek dworu zaniósł się gromkim śmiechem. „Oto jesteś!”, zawołał, waląc dłonią w stół. Harlem Morrow pozwolił sobie na nieznaczny chichot, ale natychmiast umilkł, gdy rozbawienie na twarzy Hoffa zaczęło przygasać.

– Podczas sprawowania swego urzędu spotkałem trzech członków Wielkiego Zakonu Magów, którzy prosili mnie o audiencję u króla. Dwóch cierpiało niewątpliwie na obłęd, a jeden był wyjątkowo bezczelnym oszustem. – Nachylił się, opierając łokciami o stół i prostując palce. – Proszę mi powiedzieć, mistrzu Sulfur, jakiego rodzaju magiem jesteś?

– Nie jestem żadnym z tych, których wymieniłeś, lordzie.

– Rozumiem. W takim razie posiadasz jakieś dokumenty, jak sądzę.

– Oczywiście.

Sulfur sięgnął do płaszcza i wyjął niewielki list z białą pieczęcią, na której widniał dziwny pojedynczy symbol, po czym położył go niedbałym ruchem przed marszałkiem dworu.

Hoff zmarszczył czoło. Wziął dokument i obrócił w dłoniach. Przyjrzał się dokładnie pieczęci, potem otarł twarz rękawem, złamał lak, rozłożył papier i zaczął czytać.

Yoru Sulfur nie okazał najmniejszego zdenerwowania. Upał nie robił na nim żadnego wrażenia. Zaczął spacerować po sali, potem skłonił się żołnierzom w zbrojach, absolutnie niezrażony brakiem reakcji z ich strony. Zwrócił się niespodziewanie do Westa.

– Strasznie tu gorąco, prawda? To cud, że ci nieszczęśnicy nie pomdleli i nie runęli na podłogę jak kredens pełen porcelany.

West zamrugał zdumiony. Wcześniej przyszła mu do głowy identyczna myśl.

Marszałek dworu odłożył starannie list na stół, nie zdradzając już jakichkolwiek oznak rozbawienia.

– Myślę, że Otwarta Rada byłaby niewłaściwym miejscem, jeśli chodzi o przedyskutowanie tej kwestii.

– Zgadzam się. Miałem nadzieję na prywatną audiencję u lorda kanclerza Feekta.

– Obawiam się, że to niemożliwe. – Hoff obliznął wargi. – Lord Feekt nie żyje.

Sulfur zmarszczył czoło.

– To nad wyraz niefortunne.

– Racja, racja. Wszyscy odczuwamy tę stratę niezwykle boleśnie. Być może to ja mógłbym cię wysłuchać wraz z kilkoma członkami Zamkniętej Rady.

Sulfur skłonił głowę.

– Będę posłuszny twojej woli, lordzie.

– Spróbuję zorganizować spotkanie dziś wieczorem. Tymczasem znajdziemy ci odpowiednie lokum w Agrioncie... stosowne do twojej pozycji.

Dał znak strażom i drzwi się otworzyły.

– Wielkie dzięki, lordzie Hoff. Panie Morrow. Majorze West – powiedział Sulfur, kłaniając się po kolei każdemu z wielkim szacunkiem, po czym odwrócił się i wyszedł.

Drzwi zamknęły się ponownie, West zaś się zastanawiał, skąd ten człowiek zna jego nazwisko.

Hoff obrócił się do podsekretarza do spraw audiencji.

– Proszę udać się natychmiast do arcylektora Sulta i powiedzieć mu, że musimy się bezzwłocznie spotkać. Potem proszę zawiadomić wysokiego sędziego Marovię i lorda marszałka Varuza. Proszę im powiedzieć, że jest to sprawa najwyższej wagi i ani słowa o tym komukolwiek poza tymi trzema ludźmi. – Pokiwał placem przed spoconą twarzą Morrowa. – Ani słowa!

Podsekretarz patrzył na niego zza przekrzywionych okularów.

– Natychmiast! – zagrzmiał Hoff.

Morrow zerwał się na równe nogi, potknął o brzeg swej szaty, po czym wypadł przez boczne drzwi. West przełknął z wysiłkiem, w ustach czuł suchość.

Hoff patrzył długo i twardo na każdego z ludzi w sali.

– Co się tyczy pozostałych, ani słowa nikomu o tym, czego byliście tu świadkami, bo w przeciwnym razie konsekwencje będą poważne! Teraz wyjdźcie, wszyscy!

Żołnierze, chrzęszcząc zbrojami, natychmiast opuścili salę. West nie potrzebował dodatkowej zachęty i pospieszył w ślad za nimi, pozostawiając marszałka dworu, który siedział głęboko zamyślony na swoim wysokim krześle.

West, zamykając za sobą drzwi, oddawał się ponurym i niespokojnym myślom. Strzępy pradawnych opowieści magów, obawy przed wojną z Północą, wspomnienie zakapturzonego olbrzyma, sięgającego niemal sufitu. Tego dnia zawitali do Agriontu dziwni, a nawet budzący grozę goście; czuł się przygnieciony troskami. Starał się je stłumić, wmawiał sobie, że to wszystko bzdura, ale mógł tylko myśleć o swojej siostrze, paradującej po mieście jak skończona idiotka.

Jęknął w duchu. W tej chwili przebywała zapewne w towarzystwie Luthara. Po co u diabła ich sobie przedstawiał? Z jakiegoś powodu spodziewał się zobaczyć tę samą niezgrabną, chorowitą dziewczynę o ostrym języku, którą pamiętał sprzed lat. Doznał szoku, gdy ta kobieta stanęła na progu jego kwatery. Z trudem ją rozpoznał. Była bez wątpienia dojrzała, w dodatku niezwykle atrakcyjna. Tymczasem Luthar był arogancki, bogaty i przystojny, odznaczał się też powściągliwością sześciolatka. Wiedział, że oboje spotykali się od czasu jej przyjazdu, i to nie raz. Byli po prostu przyjaciółmi, niczym więcej. Ardee nie знаła tu nikogo innego. Byli tylko przyjaciółmi.

– Do diabła! – zaklął. Było to jak podsuwanie kotu śmietanki z nadzieją, że jej nie polize. Dlaczego u licha nie przemyślał tego wcześniej? Wiedział, że może oczekiwać klęski! Co jednak mógł teraz na to poradzić? Powiódł żalonym wzrokiem wzdłuż korytarza.

Nie ma to jak czyjeś nieszczęście, by zapomnieć o własnym, a Dobryczłek Heath przedstawiał sobą doprawdy żalony widok. Siedział samotnie na długiej ławie, blady jak śmierć, i patrzył przed siebie. Musiał tu przebywać cały czas, gdy inni wchodzili i wychodzili z sali audiencyjnej: kupcy bławatni, ludzie z Północy i mag; nie czekał już na nic, lecz nie miał dokąd pójść. West rozejrzał się



po korytarzu. Nie dostrzegł nikogo w pobliżu. Heath był nieświadomy jego obecności; usta miał otwarte, wzrok szklisty, pognieciony kapelusz spoczywał zapomniany na jego kolanach.

West nie mógł zostawić tak tego człowieka. Po postu nie mógł.

– Dobryczłeku Heath – powiedział, zbliżywszy się do niego. Wieśniak podniósł wzrok, zdziwiony. Zaczął miętosić w palcach swój kapelusz, zamierzając się podnieść.

– Nie, proszę, nie wstawaj. – West przysiadł się do niego. Wlepił wzrok w stopy mężczyzny, nie mogąc spojrzeć mu w twarz. Przez chwilę panowała niezręczna cisza. – Mam przyjaciela, który zasiada w komisji do spraw ziemi i upraw. Może zdoła coś dla ciebie zrobić... – umilkł zakłopotany, spoglądając w głąb korytarza.

Wieśniak obdarzył go smutnym uśmiechem.

– Będę wdzięczny za wszystko, co zechce pan dla mnie uczynić.

– Tak, tak, oczywiście. Zrobię, co w mojej mocy.

I tak nic by to nie dało i obaj wiedzieli o tym doskonale. West skrzywił się i zagryzł wargę.

– Weź to lepiej – powiedział i wcisnął mężczyźnie w zwiotczałe i zrogowaciałe palce sakiewkę.

Heath popatrzył na niego, rozchyliwszy nieznacznie usta. West uśmiechnął się z zażenowaniem i wstał z miejsca. Pragnął jak najszybciej odejść.

– Sir! – zawołał za nim Dobryczłek Heath, ale West już spieszył korytarzem, nie oglądając się za siebie.

# Na liście

Dlaczego to robię?”. Zarysy kamienicy Villema dan Robba odcinały się czernią od nocnego nieba. Był to zwykły budynek, dwupiętrowa konstrukcja z niskim murem i furtką od frontu, podobnie jak setki innych na tej ulicy.

„Nasz stary przyjaciel Rews zamieszkiwał w okazałej i ogromnej willi w pobliżu targowiska. Robb naprawdę powinien zażądać od niego bardziej znaczących łapówek. Mimo wszystko. Mamy szczęście, że tego nie zrobił”.

W innych miejscach miasta modne ulice i aleje były jasno oświetlone i roiły się od pijanych hulaków aż do świtu. Ale ta opustoszała uliczka przycupnęła z dala od jasnych świateł i ciekawskich oczu.

„Możemy spokojnie działać, nikt nam nie będzie przeszkadzał”.

Na wyższym piętrze budynku, z boku, paliła się w wąskim oknie lampa.

„Dobrze. Nasz przyjaciel jest w domu. Ale nie śpi jeszcze – musimy zachowywać się ostrożnie”.

Odwrócił się do praktyka Frosta i wskazał boczną część budynku. Albinos skinął głową i przemknął bezgłośnie przez ulicę.

Glokta czekał, aż jego podwładny dotrze pod ścianę i zniknie w cieniach tuż obok domu, po czym zwrócił się do Severarda i wskazał mu drzwi wejściowe. Oczy chudego praktyka uśmiechały się do niego przez chwilę, potem ich właściciel oddalił się pospiesznie, nisko pochylony, wspiał na mur i zeskoczył bezgłośnie po drugiej stronie.

„Doskonale jak dotąd, ale teraz pora na mnie”.

Glokta zastanawiał się, dlaczego tu przyszedł. Frost i Severard doskonale poradziliby sobie z Robbem, on zaś był im kłodą u nogi.

„Niewykluczone nawet, że upadnę na tyłek i zdradzę temu durniowi naszą obecność. Dlaczego więc przyszedłem?”.

Glokta wiedział jednak dlaczego. W krtani narastało mu podniecenie. Czuł się niemal tak, jakby żył.

Owinął wcześniej koniec swojej laski szmatami, by nie stuką, mógł więc pokuśtykać bezgłośnie pod mur, nie robiąc hałasu. Severard zdążył już otworzyć bramę, zakrywając zawias dłonią w rękawicze.

„Czysto i bez problemów. Ta niewielka ściana mogłaby równie dobrze sięgać samego nieba, a i tak bym się przedostał na drugą stronę”.

Severard klęczał na stopniu pod drzwiami frontowymi, zmagając się z zamkiem. Przyciskał ucho do drewna, oczy miał zmrużone ze skupienia, dłonie w rękawiczkach poruszały się z wprawą. Serce Glokty biło szybko, skóra mrowiła z napięcia. Och, ten dreszcz łowów.

Rozległ się cichy trzask, potem jeszcze jeden. Severard wsunął swoje błyszczące wytrychy do kieszeni, po czym wolno i ostrożnie przekręcił gałkę. Drzwi otworzyły się, nie wydając żadnego dźwięku.

„Jakiż z niego użyteczny człowiek. Bez niego i Frosta jestem tylko kaleką. Są moimi dłońmi, ramionami, nogami. Ale ja jestem ich mózgiem”.

Severard wśliznął się do środka, a Glokta za nim, krzywiąc się z bólu za każdym razem, ilekroć

opierał ciężar ciała na lewej nodze.

W holu było ciemno, ale po schodach spływał strumień światła z góry, a balustrady rzucały na drewnianą podłogę dziwny, rozrzedzony cień. Glokta wskazał kondygnację stopni, Severard zaś skinął głową i ruszył na palcach w tamtą stronę, trzymając się blisko ściany. Wydawało się, że upłynął wiek, nim tam dotarł.

Trzeci stopień zaskrzypiał pod jego ciężarem. Glokta skrzywił się odruchowo, Severard zastygł w miejscu. Czekali, nieruchomi jak posągi. Z góry nie dobiegł żaden dźwięk. Glokta znów zaczął oddychać. Severard ruszył powoli przed siebie, krok za krokiem, ostrożnie i delikatnie. Kiedy dotarł niemal na szczyt schodów, wyrzwał ostrożnie za narożnik, przyciskając plecy do ściany, potem pokonał ostatni stopień i zniknął bezgłośnie.

Z mroku w głębi korytarza wyłonił się praktyk Frost. Glokta uniósł pytająco brew, ale albinos potrząsnął przecząco głową.

„A więc na dole nie ma nikogo”.

Obrócił się ku drzwiom wejściowym i zaczął je zamykać z najwyższą ostrożnością. Dopiero gdy się zatrzasnęły, puścił ostrożnie gałkę, by zamek zaskoczył cicho.

– Pewnie zechce pan to zobaczyć.

Glokta drgnął na niespodziewany dźwięk tych słów, obracając się gwałtownie; plecy przeszły mu nagle ostrze bólu. U szczytu schodów, opierając dłonie na biodrach, stał Severard. Odwrócił się i ruszył w stronę światła, Frost zaś wbiegł na schody, porzucając wszelką ostrożność.

„Dlaczego nikt nigdy nie przebywa na parterze? Zawsze na górze”.

Przynajmniej nie musiał się zachowywać cicho, wspinając się z wysiłkiem na schody w ślad za swoimi praktykami, poskrzypując prawą nogą, lewą zaś szurając o deski. Z otwartych drzwi na końcu korytarza wylewało się światło lampy i Glokta pokuśtykał w tamtą stronę. Przystanął, przekroczywszy próg, by złapać oddech po wyczerpującej wspinaczce.

„Niech mnie diabli, ale bałagan”.

Ze ściany wyrwano szafkę na książki, podłoga była usłana woluminami, zamkniętymi i otwartymi. Na biurku leżał przewrócony kieliszek wina, porozrzucane na blacie papiery przypominały mokre czerwone szmaty. Rozbebeszone łóżko, pościel zerwana do połowy, poduszki i materac pocięty, wylażące ze środka pierze. Szafa była otwarta, jedno ze skrzydeł kołysało się na zawiasach, wyrwane niemal do połowy. W środku wisiało kilka podartych ubrań, ale większość wylądowała na podłodze, tworząc bezładnym stos.

Pod oknem, na plecach, leżał przystojny młody człowiek; był blady, miał otwarte usta i spoglądał w sufit. Zwrot „podcięto gardło” wydawał się w tym wypadku żałośnie nieadekwatny, gdyż zostało ono poderżnięte tak brutalnie, że głowa trzymała się dosłownie na strzępach skóry. Wszystko wokół było zachłapane krwią – poszarpane odzienie, rozdarty materac, zwłoki. Na ścianie widniały rozmazane krwawe odciski dłoni, znaczną część podłogi zakrywała szkarłatna kałuża, wciąż mokra.

„Zabito go dziś wieczór. Być może przed zaledwie kilkoma godzinami. Być może nawet przed paroma minutami”.

– Nie wydaje mi się, by zechciał odpowiedzieć na nasze pytania – zauważył Severard.

– Nie. – Glokta wodził wzrokiem po tym pobojuwisku. – Myślę, że po prostu nie żyje. Ale jak się to stało?

Frost wlepił w niego spojrzenie różowego oka i uniósł białą brew.

– Thucizhna?

Severard zaniósł się spod swojej maski przeraźliwym śmiechem. Nawet Glokta pozwolił sobie

na urywany chichot.

– Najwyraźniej. Ale jak nasza trucizna dostała się do środka?

– Othwate ohno – wymamrotał Frost, wskazując podłogę. Glokta pokuśtykał w głąb pokoju, starając się nie dotykać stopami czy laską kleistej krwawej masy i pierza.

– A więc nasza trucizna zobaczyła płonąca lampę, tak jak my. Weszła przez okno na dole. Wspięła się cicho po schodach. – Glokta odwrócił końcem laski rękę trupa. „Kilka kropel krwi z szyi, ale żadnych obrażeń na kłykciach czy palcach”. Wyciągnął głowę i przyjrzał się ziejącej ranie. – Pojedyncze, potężne cięcie. Prawdopodobnie za pomocą noża.

– A Villem dan Robb trysnął jak z fontanny – zauważył Severard. – I oto brakuje nam jednego informatora – oznajmił w zamyśleniu

Glokta. Na korytarzu nie było śladów krwi. „Nasz człowiek bardzo się starał, by nie ubrudzić sobie stóp podczas przeszukiwania pokoju, bez względu na to, jaki panuje tu bałagan. Nie odczuwał gniewu ani strachu. Traktował to jak pracę”.

– Zabójca był profesjonalistą. – mruknął. – Zjawił się tutaj z zamiarem dokonania morderstwa. Potem być może zadał sobie trochę trudu, by upozorować włamanie, kto wie? Tak czy inaczej arcylektor nie będzie uszczęśliwiony tym trupem. – Spojrzał na obu praktyków. – Kto jest następny na liście?

\* \* \*

Tym razem doszło bez wątpienia do walki.

„Chociażby jednostronnej”.

Solimo Scandi leżał na boku, twarzą do ściany, jakby zażenowany z powodu pociętej i podartej koszuli nocnej na swym ciele. Miał na przedramionach głębokie rany.

„Starał się na próżno osłonić przed ostrzem”.

Pełził po podłodze, zostawiając za sobą krwawy ślad na wypolerowanym drewnie.

„Starał się uciec”.

Na próżno. Cztery zadane nożem, ziejące rany na plecach były końcem tego człowieka.

Glokta poczuł, jak drga mu twarz, gdy spoglądał na skrwawione zwłoki.

„Jedno ciało to być może przypadek. Dwa ciała to już spisek”.

Poruszył niespokojnie powiekami.

„Ktokolwiek to zrobił, wiedział, że się zjawimy, orientował się doskonale kiedy i po kogo. Wyprzedza nas o krok. Wydaje się bardziej niż prawdopodobne, że nasza lista współników stała się już listą trupów”.

Zza pleców Glokty dobiegł skrzypiący dźwięk. Inkwizytor obrócił gwałtownym ruchem głowę; szyję przeszył mu paroksyzm bólu. Tylko otwarte okno, poruszane wiatrem.

„Spokojnie. Spokojnie, zastanów się nad tym”.

– Zdaje się, że szacowna gildia bławatników zaczęła porządkować domowe.

– Jakim cudem się dowiedzieli? – mruknął Severard.

„Rzeczywiście, jak?”.

– Musieli widzieć listę Rewsa albo się dowiedzieli, kto na niej jest.

– „A to oznacza...” – Glokta obliznął bezzębne dziąsła. – Ktoś w szeregach Inkwizycji się rozgadał.

Ten jeden raz oczu Severarda nie rozjaśnił uśmiech.

– Jeśli wiedzą, kto jest na liście, to wiedzą też, kto ją sporządził. Wiedzą, kim jesteśmy.

„Jeszcze ze trzy nazwiska na liście? Na samym dole?. – Glokta uśmiechnął się szeroko. – Jakież to ekscytujące”.

– Boisz się?

– Nie jestem zadowolony, to pewne. – Praktyk wskazał głową zwłoki. – Nóż w plecach nie jest częścią mojego planu.

– Ani mojego, wierz mi, Severard.

„Absolutnie. Jeśli umrę, nigdy się nie dowiem, kto nas zdradził. A chcę się tego dowiedzieć”.

\* \* \*

Trwał jasny, bezchmurny wiosenny dzień i w parku roiło się od fircyków i nierobów wszelkiej maści. Glokta siedział nieruchomo na ławce, w litościwym cieniu rozłożystego drzewa, i spoglądał na połyskliwą zieleń, migoczącą wodę, pijaków, barwnych hulaków. Ławki wokół jeziora były zajęte do ostatniego miejsca, na trawniku usadowiły się pary i większe grupki, racząc się trunkami, rozmawiając i zażywając kąpieli słonecznej. Wydawało się, że nikt więcej się nie zmieści.

Nikt jednak nie podszedł i nie usiadł obok Glokty. Od czasu do czasu ktoś zbliżał się szybkim krokiem, nie wierząc własnemu szczęściu, że udało mu się znaleźć tak atrakcyjne miejsce, ale potem dostrzegał postać na ławce. Twarz mu się wydłużała i skręcał gwałtownie w bok albo też szedł dalej przed siebie, jakby nigdy nie zamierzał siadać.

„Odstreczam ich jak plaga, ale może to i lepiej. Nie potrzebuję towarzystwa”.

Obserwował grupę młodych żołnierzy, którzy wiosłowali po jeziorze. Jeden z nich wstał, chwając się i wyciągając rękę z butelką. Łódź zakołysała się niebezpiecznie, a jego towarzysze wrzasnęli, by usiadł. W powietrzu przepłynęły huragany śmiechu, stłumione przez odległość.

„Dzieci. Jak młodo wyglądają. Jak niewinnie. Ja też taki byłem, i to jeszcze niedawno. Choć wydaje się, że upłynęło tysiąc lat. A nawet więcej. Patrzę na tamte czasy jak na inny świat”.

– Glokta.

Podniósł wzrok, osłaniając oczy dłonią. Był to arcylektor Sult, który zjawił się w końcu, wysoki ciemny kształt na tle błękitnego nieba. Glokta pomyślał, że sprawia wrażenie nieco bardziej zmęczonego, bardziej pobrużdżonego na twarzy, bardziej wychudłego niż zwykle, kiedy tak patrzył zimno z góry.

– Oby to było coś ciekawego. – Sult podwinął poły długiego białego płaszcza i usiadł zgrabnie na ławce. – Wieśniacy niedaleko Keln znów chwycili za broń. Jakiś durny właściciel ziemski wiesza kilku chłopów, a my musimy uporać się z tym bałaganem! Jak trudno zarządza się polem pełnym błota i kilkoma wieśniakami? Nie trzeba ich traktować dobrze, pod warunkiem, że się ich nie wiesza! – Zacisnął usta w twardą, prostą linię, spoglądając z gniewem w stronę trawnika. – Lepiej, żebyś miał mi do powiedzenia coś interesującego.

„Spróbuję cię nie rozczarować”.

– Villem dan Robb nie żyje. – Jakby dla podkreślenia tych słów, pijany żołnierz pośliznął się i przeleciał przez burtę łodzi, wpadając z pluskiem do wody. W chwilę później do uszu Glokty dotarła salwa śmiechu. – Został zamordowany.

– Hm. Zdarza się. Zajmij się następnym na liście. – Sult podniósł się, wyraźnie rozzłoszczony. –

Nie sądziłem, że będziesz potrzebował mojej aprobaty w przypadku każdej drobnostki. Dlatego właśnie wybrałem cię do tej roboty. Proszę kontynuować! – rzucił gniewnie, odwracając się.

„Nie ma powodu do pośpiechu, arcylektorze. Na tym polega problem ze zdrowymi nogami; człowiek, chcąc, nie chcąc, za dużo biega. Jeśli ma natomiast kłopoty z poruszaniem, to nie zrobi kroku, dopóki nie jest przekonany, że przyszedł na to najwyższy czas”.

– Następnego człowieka na liście też spotkało nieszczęście.

Sult odwrócił się, unosząc nieznacznie brwi.

– Naprawdę?

– Tak jak wszystkich.

Arcylektor zacisnął wargi i usiadł z powrotem na ławce.

– Wszystkich?

– Wszystkich.

– Hm... – mruknął zamyślony Sult. – To interesujące. Bławatnicy sprzątaję po sobie, hę? Nie spodziewałem się z ich strony podobnej bezwzględności. Czasy się zmieniły, nie ulega wątpliwości, czasy się z pewnością... – umilkł i zaczął z wolna marszczyć czoło. – Uważasz, że ktoś dał im listę Rewsa, prawda? Uważasz, że jeden z naszych powiedział to i owo. Dlatego proszę mnie o spotkanie, nie mylę się?

„A myślałeś, że chodzi mi tylko o uniknięcie schodów?”.

– Każdy z nich został zamordowany? Każdy bez wyjątku z naszej listy? Akurat tej nocy, kiedy mieliśmy ich aresztować? Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

„Naprawdę, arcylektorze?”.

Zdecydowanie nie wierzył. Jego twarz przybrała posępny wyraz.

– Kto widział to wyznanie winy?

– Ja i obaj praktycy, oczywiście.

– Darzysz ich całkowitym zaufaniem?

– Całkowitym.

Zapadło milczenie. Łódź dryfowała bez celu, podczas gdy żołnierze przepychali się, trzymając wiosła w górze, a ten w wodzie pluskał się i zanosił śmiechem, ochlapując swoich towarzyszy.

– Wyznanie leżało przez pewien czas w moim gabinecie – mruknął arcylektor. – Mogli je widzieć moi współpracownicy. Kilku z nich.

– Darzy ich pan całkowitym zaufaniem, Eminencjo?

Sult wpatrywał się w Gloktę przez długi, lodowaty moment.

– Nie odważyliby się. Znają mnie.

– Pozostaje wobec tego superior Kalyne – oznajmił cicho Glokta. Wargi arcylektora ledwie się poruszały, gdy przemówił:

– Musisz stąpać bardzo ostrożnie, inkwizytorze, bardzo ostrożnie. Ziemia, po której chodzisz, nie jest bezpieczna. Głupcy nie zostają superiorami Inkwizycji, wbrew wszelkim pozorom. Kalyne ma wielu przyjaciół, zarówno w Domu Pytań jak i poza nim. Potężnych przyjaciół. Jakikolwiek oskarżenie pod jego adresem musi być poparte niezwykle silnymi dowodami. – Sult urwał nagle, czekając, aż niewielka grupka kobiet oddali się poza zasięg jego głosu. – Najsilniejszymi – syknął, kiedy damy poszły dalej. – Musisz mi znaleźć zabójcę.

„Łatwiej powiedzieć niż zrobić”.

– Oczywiście, Eminencjo, ale moje śledztwo utknęło, że się tak wyrażę, w martwym punkcie.

– Niezupełnie. Wciąż pozostaje nam jedna karta do rozegrania. Sam Rews.

„Rews?”.

– Ależ arcylekotrze, w tej chwili znajduje się prawdopodobnie w Anglandzie.

„I oblewa się potem w jakiejś kopalni czy podobnym miejscu. Jeśli w ogóle przetrwał tak długo”.

– Nie, jest tutaj, w Agrioncie. Pod kluczem. Pomyślałem, że lepiej będzie zatrzymać go na miejscu.

Glokta z najwyższym trudem ukrył zaskoczenie. „Sprytne. Bardzo sprytne. Jak widać, arcylektorami też nie zostają głupcy”.

– Rews będzie twoją przynętą. Każę swojemu sekretarzowi zanieść wiadomość Kalyne'owi, dając mu do zrozumienia, że popuściłem cugli. Że jestem gotowy pozwolić bławatnikom na kontynuację działań, ale pod bardziej ścisłą kontrolą. Że w geście dobrej woli wypuszczę Rewsa. Jeśli to Kalyne jest źródłem naszego przecieku, to śmiem twierdzić, że powiadomi bławatników o zwolnieniu Rewsa. Śmiem twierdzić, że wyślą tego zabójcę, by go ukarał za zbyt długi język. Śmiem twierdzić, że schwytasz go, kiedy będzie tego próbował. Jeśli zabójca się nie zjawi, no cóż, trzeba będzie poszukać naszego zdrajcy gdzie indziej, my zaś nic nie stracimy.

– Doskonały plan, Eminencjo.

Sult popatrzył na niego zimno.

– Oczywiście. Przyda ci się jakaś siedziba, skąd mógłbyś działać, z dala od Domu Pytań. Udostępnię odpowiednie fundusze, dostarczę Rewsa twoim praktykom i dam ci znać, kiedy Kalyne dostanie swoje informacje. Znajdź mi tego zabójcę, Glokta, i przyciśnij go. Tak żeby zapiszczał.

Łódź zakołysała się niebezpiecznie, kiedy żołnierze próbowali wciągnąć swego przemoczonego towarzysza na jej pokład, po czym przewróciła się gwałtownie, i wszyscy wpadli do wody.

– Chcę nazwisk – syknął Sult, patrząc gniewnie na miotających się w stawie żołnierzy. – Chcę nazwisk, dowodów, dokumentów i ludzi, którzy staną przed Otwartą Radą i wskażą palcem kogo trzeba. – Wstał bez wysiłku z ławki. – Informuj mnie na bieżąco.

Ruszył dziarskim krokiem w stronę Domu Pytań; jego stopy chrzęściły na wysypanej żwirem ścieżce. Glokta patrzył w ślad za nim.

„Doskonały plan. Cieszę się, że jesteś po mojej stronie, arcylekotrze. Bo jesteś po mojej stronie, prawda?”.

Żołnierze zdołali wciągnąć przewróconą łódź na brzeg i teraz stali, ociekając wodą i drąc się na siebie. Ich dobry humor już się ulotnił. Jedno z wiosel wciąż unosiło się na powierzchni jeziora, porzucone na pastwę losu, dryfując uparcie w stronę miejsca, gdzie ze stawu wypływał strumień. Niebawem przepłynęłoby pod mostem i niesione prądem dotarło pod wielkie mury Agriontu, by w końcu znaleźć się w fosie. Glokta patrzył, jak obraca się powoli w wodzie.

„Błąd. Należy zwracać uwagę na szczegóły. Łatwo zapomnieć o drobnostkach, ale bez wiosła łódź jest bezużyteczna”.

Przesuwał spojrzeniem po twarzach ludzi obecnych w parku. Jego wzrok spoczął na jakiejś przystojnej parze, siedzącej na ławce tuż nad brzegiem jeziora. Młody człowiek mówił cicho do dziewczyny, która była smutna i poważna. Wstała szybko i oddaliła się od swego towarzysza, zasłaniając oblicze dłońmi.

„Och, ból zadany przez kochanka, który odchodzi. Chyba nigdy się z niego nie otrząsniesz, moja droga. Który to poeta napisał, że nie ma gorszego bólu niż ten, jaki odczuwa złamane serce? Sentymalna brednia. Powinien spędzić więcej czasu w więzieniu imperatorskim”.

Uśmiechnął się, otwierając usta i oblizując puste dziąsła w miejscach, gdzie niegdyś miał przednie zęby. Złamane serca zdrowieją z czasem, ale złamane zęby nigdy.

Glokta spojrział na młodego człowieka. Na jego twarzy widniało nieznaczące rozbawienie, kiedy

odprowadzał spojrzeniem płacząca dziewczynę.

„Niedojrzały bydlak! Ciekawe, czy złamał tyle serc ile ja za czasów młodości. Teraz wydaje się to prawie niemożliwe. Potrzebuję pół godziny, by zebrać się na odwagę i wstać. Jedyne kobiety, jakie ostatnio przyprawiłem o łzy, to żony tych, których zesłałem do Anglandu...”

– Sand.

Glokta odwrócił głowę.

– Lord marszałek Varuz, cóż za honor.

– Och, daj spokój – odparł stary żołnierz, siadając na ławce ze zwinnością i precyzją mistrza fechtunku. Po czym dodał, nie spoglądając na swego rozmówcę: – Doskonale wyglądasz.

„Wyglądam na kalekę, chciałeś powiedzieć”.

– Jak się czujesz, mój stary przyjacielu?

„Jestem kaleką, ty stary pompatyczny ośle. «Przyjacielu»? Tyle lat minęło od mojego powrotu, a ty nigdy nie starałeś się o spotkanie. I to ma być przyjaźń?”

– Dość dobrze, dziękuję, lordzie marszałku.

Varuz poruszył się niespokojnie na ławce.

– Mój obecny uczeń, kapitan Luthar... może go znasz?

– Z widzenia.

– Powinieneś zobaczyć go podczas ćwiczeń. – Varuz potrząsnął ze smutkiem głową. – Ma talent, to niezaprzeczalne, ale nigdy ci nie dorówna, Sand.

„Nie wiem. Żywię nadzieję, że któregoś dnia będzie takim samym kaleką jak ja”.

– Jest dostatecznie utalentowany, by wygrać. Tyle że tego nie wykorzystuje. Rozmienia się na drobne.

„Och, cóż za tragedia. Jestem tak poruszony, że mógłbym zwymiotować. Gdybym zdołał zjeść dziś rano cokolwiek”.

– Jest leniwy, Sand. I uparty. Brakuje mu odwagi. Brakuje mu samozaparciu. Nie ma do tego przekonania, a czas ucieka. Wiesz, zastanawiałem się... gdybyś oczywiście znalazł wolną chwilę... – Varuz przez mgnienie oka patrzył Głokcie w oczy – ...czy nie zechciałbyś z nim porozmawiać w moim imieniu.

„Nie mogę się wręcz doczekać! Udzielenia kazania temu wyjącemu durniowi to spełnienie moich marzeń. Ty zarozumiała stary głupcze, jak śmiesz? Zbudowałaś swoją reputację na moich sukcesach, a gdy potrzebowałem twojej pomocy, odcięłaś się ode mnie. A teraz przychodzisz tu, szukasz mojej pomocy i nazywasz mnie przyjacielem?”

– Oczywiście, marszałku Varuz, z przyjemnością z nim pomówię. Dla starego przyjaciela wszystko.

– Doskonale, doskonale! Jestem pewien, że tobie się uda! Szkolę go każdego ranka, na tym dziedzińcu niedaleko Domu Stwórcy, gdzie kiedyś szkolilem ciebie... – Marszałek umilkł zakłopotany.

– Porozmawiam z nim, gdy tylko pozwolą mi na to obowiązki.

– Oczywiście, obowiązki...

Varuz już się podnosił z miejsca, gotów najwidoczniej odejść w swoją stronę. Glokta wyciągnął rękę, zmuszając starego marszałka do pozostania jeszcze chwilę.

„Nie ma powodu do obaw, lordzie marszałku, nie zarazisz się ode mnie”.

Varuz uściśnął mu nieznacznie dłoń, jakby się bał, że może ją niechcący oderwać, po czym wymamrotał, że musi już iść, i odmaszerował, trzymając wysoko głowę. Ociekający wodą żołnierze zasalutowali, kiedy ich mijał, nieco speszony.



Glokta wyciągnął przed siebie nogę, zastanawiając się, czy wstać.

„I dokąd pójść? Świat się nie skończy, jeśli posiedzę tu jeszcze chwilę. Nie ma pośpiechu. Absolutnie”.

# Oferta i dar

Teraz do przodu! – ryknął marszałek Varuz. Jezal ruszył w jego stronę gwałtownie, obejmując dużymi palcami stóp krawędzie wąskiej belki i starając się rozpaczliwie zachować równowagę; wykonał jeden czy dwa niezgrabne wypady, by zmanifestować swoje zaangażowanie. Cztery godziny ćwiczeń każdego dnia odciskały na nim piętno. Czuł się bezgranicznie wyczerpany. Varuz zmarszczył czoło i szybkim ruchem odbił stępione ostrze, poruszając się bez wysiłku na belce, jakby to była ścieżka ogrodowa.

– Teraz do tyłu!

Jezal zatoczył się na piętach, wywijając idiotycznie lewą ręką wokół siebie, by utrzymać równowagę. Każda część ciała powyżej kolan bolała go od straszliwego wysiłku. Poniżej kolan bolało go jeszcze bardziej. Varuz był po sześćdziesiątce, ale nie wykazywał najmniejszych oznak zmęczenia. Nie pocił się nawet, sunąc tanecznym krokiem po belce i tnąc powietrze swoimi ostrzami. Jezal natomiast łapał spazmatycznie powietrze, parując desperacko lewą dłonią ciosy; z najwyższym trudem utrzymywał równowagę, jego prawa stopa szukała z tyłu punktu oparcia.

– I naprzód!

Jezal poczuł straszliwy ból w łydkach i wymierzył pchnięcie w starszego człowieka, który doprowadzał go do rozpaczy, lecz Varuz nie cofnął się ani o krok. Uchylił się przed desperackim atakiem i podciął wierzchem ręki stopy przeciwnika.

Jezal wydał z siebie skowyt, gdy dziedziniec zawirował wokół niego, i wałnął boleśnie nogami o krawędź belki, po czym runął na twarz, lądując w trawie. Uderzył się brodą o ziemię, aż zagruchotały mu zęby. Przetoczył się kawałek, a potem leżał na plecach, łapiąc powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. Nogi, w miejscu gdzie uderzył się o krawędź belki, rwały go jak diabli. Kolejny paskudny siniec tego ranka.

– To było okropne, Jezal, okropne! – zawołał stary żołnierz, zeskakując zgrabnie na trawę. – Chwiał się pan na belce, jakby to była napięta lina!

Jezal przekręcił się na brzuch, klnąc, i zaczął się podnosić sztywno z ziemi.

– To solidny kawał dębu, tak szeroki, że można się na nim zgubić!

Lord marszałek zilustrował swoją tezę, waląc drewno krótszym ostrzem i odłupując drzazgi.

– Myślałem, że kazał mi pan ruszyć do przodu – zajęczał Jezal.

Varuz uniósł gwałtownym ruchem brwi.

– Naprawdę pan przypuszcza, kapitanie Luthar, że Bremer dan Gorst udziela przeciwnikom wiarygodnych informacji odnośnie swoich zamiarów?

Bremer dan Gorst spróbuje mnie pobić, ty stary głupcze! A ty masz mi pokazać, jak ja mam pobić jego! Tak pomyślał sobie Jezal, ale był za mądry, by wypowiedzieć to głośno. Potrząsnął tylko w milczeniu głową.

– Nie! Z całą pewnością nie! Robi wszystko, by oszukać i zmylić swoich przeciwników, jak czynią wszyscy wielcy szermierze! – odpowiedział marszałek na własne pytanie.

Varuz chodził tam i z powrotem, potrząsając głową. Jezal znów zaczął się zastanawiać, czy nie zrezygnować. Każdego wieczoru padał wyczerpany na łóżko, i to w chwili, gdy powinien się upijać. Miał tego dosyć. Każdego ranka wstawał o świcie, posiniaczony i obolały, by przez cztery godziny ćwiczyć bieganie, belkę, sztangę, pchnięcia. Nie chciał już dłużej obrywać po tyłku od majora Westa.

A najbardziej znosić upokorzeń ze strony tego starego głupca.

– ...przygnębiający pokaz, kapitanie, bardzo przygnębiający. Zaczynam wierzyć, że idzie panu coraz gorzej...

Jezal wiedział, że nigdy nie wygra turnieju. Nikt po nim tego nie oczekiwał, a już najmniej on sam. Więc dlaczego nie zrezygnować i nie wrócić do kart i nocnego życia? Czyż nie był to kres jego ambicji? Z drugiej jednak strony co wyróżniałoby go spośród tysiąca pozostałych młodszych synów, którzy wywodzili się z arystokracji? Już dawno temu postanowił, że chce być kimś wyjątkowym. Lordem marszałkiem na początek, a potem marszałkiem dworu. W każdym razie kimś wielkim i ważnym. Pragnął zasiadać na wielkim krześle w Zamkniętej Radzie i podejmować ważne decyzje. Pragnął, by otaczający go ludzie przymilali się do niego i uśmiechali, wsłuchani w każde jego słowo. Pragnął, by szeptali na jego widok: „Oto idzie lord Luthar!”. Czy byłby szczęśliwy wyłącznie jako bogatszy, przystojniejszy, bystrzejszy odpowiednik porucznika Brinta? Nie! Wykluczone.

– ...mamy przed sobą diabelnie długą drogę i za mało czasu, by dotrzeć do celu, chyba że zmieni pan swoją postawę. Pańska umiejętność obrony jest godna pożałowania, pańska wytrzymałość wciąż niedostateczna, a jeśli chodzi o zdolność zachowania równowagi, to im mniej o tym mówimy, tym lepiej...

I co by sobie pomyśleli inni, gdyby się poddał? Co zrobiłby jego ojciec? Co powiedzieliby jego bracia? A inni oficerowie? Wyszedłby na tchórza. Nie mógł też zapominać o Ardee West. Zdawało się, że często o niej myślał przez ostatnie dwa dni. Czy przysuwałaby się tak blisko niego, gdyby porzucił szermierkę? Czy rozmawiałaby z nim tak łaskawie? Śmiała się z jego żartów? Patrzyła na niego tymi wielkimi ciemnymi oczami, owiewając mu twarz swoim oddechem...

– Słuchasz mnie, chłopcze? – zagrzmiał Varuz. Jezal poczuł na twarzy jego oddech i drobinki śliny.

– Tak, sir! Obrona godna pożałowania, wytrzymałość słaba! – Przełknął nerwowo. – Im mniej mówimy o równowadze, tym lepiej.

– Zgadza się! Zaczynam przypuszczać, choć trudno mi w to uwierzyć po tym całym wysiłku, do którego mnie pan zmusił, że nie ma pan do tego serca. – Spojrzał groźnie w oczy Jezala. – Co pan sądzi, majorze?

Nie było odpowiedzi. West siedział rozwalony na swoim krześle, ramiona miał skrzyżowane. Marszczył ponuro czoło i wpatrywał się w przestrzeń.

– Majorze West? – warknął lord marszałek.

West podniósł gwałtownie wzrok, jakby dopiero teraz uświadomił sobie obecność starego oficera.

– Przepraszam, sir. Zamyśliłem się.

– Właśnie widzę – syknął Varuz przez zaciśnięte zęby. – Zdaje się, że nikt dziś rano nie jest odpowiednio skoncentrowany.

Jezal odczuł ogromną ulgę, że gniew starego człowieka został skierowany na kogoś innego, ale jego szczęście nie trwało długo.

– Doskonale – rzucił zwięźle marszałek. – A zatem, jeśli zamierza pan kontynuować... od jutra zaczniemy każdą sesję ćwiczeń od pływania w fosie. Ze dwie mile. Powinno wystarczyć.

Jezal zacisnął z całej siły zęby, żeby powstrzymać krzyk rozpacz.

– Zimna woda wspaniale wyostrza zmysły – ciągnął Varuz. – I być może trzeba będzie zaczynać nieco wcześniej, w porze, gdy odznacza się pan największą chłonnością umysłu. Tym samym przystępujemy do ćwiczeń o piątej. A tymczasem proponuję, kapitanie Luthar, by się pan nad czymś zastanowił. Mianowicie nad tym, czy przychodzi pan tutaj dlatego, że chce pan wygrać turniej, czy

tylko dla przyjemności, jaką czerpie pan z mojego towarzystwa.

Stary żołnierz odwrócił się na pięcie i odmaszerował. Jezal czekał, aż Varuz opuści dziedziniec, i gdy się tylko upewnił, że marszałek jest poza zasięgiem słuchu, stracił nad sobą panowanie i cisnął z furją swe ostrza o ścianę.

– Do diabła! – wrzasnął, gdy miecze spadły z brzękiem na kamienną posadzkę. – Cholera!

Rozejrzał się wkoło w poszukiwaniu czegoś, co mógłby kopnąć, nie zadając sobie przy tym szczególnego bólu. Jego wzrok padł na podporę belki, ale tak fatalnie ocenił odległość, że po chwili miał ochotę złapać się za posiniaczoną stopę i skakać w kółko jak idiota.

– Cholera, cholera! – wrzasnął rozwścieczony.

West zachował rozczarowującą obojętność. Wstał z poważną miną i ruszył za Varuzem.

– Dokąd się wybierasz? – spytał Jezal.

– Byle dalej – rzucił przez ramię West. – Dość się już napatrzyłem.

– Co to ma znaczyć?

West przystanął i odwrócił się do Jezala.

– Choć wydaje się to zdumiewające, są na świecie większe problemy.

Jezal stał z otwartymi ustami, kiedy West przemierzał dziedziniec.

– Za kogo się uważasz? – wrzasnął za nim, upewniwszy się wpierrw, że tamten nie słyszy. – Do diabła!

Zastanawiał się, czy nie wymierzyć belce kolejnego kopniaka, ale zrezygnował przezornie z tego pomysłu.

\* \* \*

Jezal w drodze powrotnej do kwater oficerskich miał fatalny nastrój, trzymał się więc z daleka od bardziej gwarnej części Agriontu, wybierając mniej uczęszczane aleje i ogrody przyległe do Drogi Królewskiej. Cały czas spoglądał gniewnie na swoje stopy, by tym bardziej zniechęcić potencjalnego amatora towarzyskich rozmów. Szczęście mu jednak nie dopisało.

– Jezal!

Był to Kasper, który udał się na spacer z płowowłosą dziewczyną w kosztownej sukni. Towarzyszyła im jakaś surowa dama w średnim wieku, bez wątpienia guwernantka dziewczyny czy ktoś w tym rodzaju. Przystanęli właśnie, by podziwiać jakąś pomniejszą rzeźbę na rzadko odwiedzanym dziedzińcu.

– Jezal! – zawołał ponownie Kasper, wymachując w górze czapką.

Nie dało się tego uniknąć. Jezal przykleił do warg nieprzekonujący uśmiech i ruszył w ich stronę. Błada dziewczyna uśmiechnęła się do niego, kiedy podszedł bliżej, ale jeśli miało go to oczarować, to i tak nic nie poczuł.

– Znów ćwicyłeś szermierkę, Luthar? – spytał bezsensownie Kasper. Jezal był spocony i trzymał w dłoniach parę ostrzy ćwiczebnych.

Wszyscy doskonale wiedzieli, że fechtował się każdego ranka. Nie trzeba było się odznaczać byстрыm umysłem, by na to wpaść, co w tym wypadku należało uznać za rzecz niezwykle korzystną, gdyż Kasper z pewnością takim umysłem się nie odznaczał.

– Tak. Jak się domyśliłeś? – spytał Jezal, który nie zamierzał co prawda zniechęcać przyjaciela do dalszej rozmowy, w każdym razie nie tak szybko, ale nie mógł się powstrzymać od fałszywego

chichotu, co sprawiło, że na usta dam szybko powrócił uśmiech.

– Ha, ha! – wybuchnął śmiechem Kaspas, który nigdy nie miał nic przeciwko temu, by być przedmiotem żartów. – Jezal, pozwól, że ci przedstawię swoją kuzynkę, lady Arris dan Kaspas. To mój przełożony, kapitan Luthar.

A więc to była ta słynna kuzynka. Jedna z najbogatszych spadkobierczyń w Unii, pochodząca z wysoko postawionego rodu. Kaspas zawsze paplał o tym, jaka to z niej piękność, ale Jezalowi wydała się bladą, chudą istotą o chorobliwym wyglądzie. Uśmiechnęła się słabo i podała mu wiotką białą dłoń. Musnął ją przelotnie ustami.

– Jestem oczarowany – mruknął obojętnie. – Muszę przeprosić za swój wygląd, właśnie ćwiczyłem.

– Tak – pisnęła wysokim szczebiotliwym głosem, kiedy już się upewniła, że jej rozmówca nie zamierza powiedzieć nic więcej. – Słyszałam, że jest pan wielkim szermierzem. – Urwała na chwilę, zastanawiając się, co jeszcze dodać, gdy nagle w jej oku pojawił się błysk. – Proszę mi powiedzieć, kapitanie, czy szermierka jest naprawdę niebezpieczna?

Co za bzdury.

– Och, nie, szanowna pani, posługujemy się w czasie ćwiczeń tylko stępionymi ostrzami.

Mógł powiedzieć coś więcej, ale niech go diabli, jeśli zamierzał się wysilać. Uśmiechnął się do niej leciutko. Ona zrobiła to samo. Rozmowa zawisła nad otchłanią.

Jezal chciał już przeprosić i pójść sobie – kwestia fechtunku została najwyraźniej wyczerpana – lecz Arris przeszła nagle do innego tematu.

– A proszę mi powiedzieć, kapitanie Luthar, czy naprawdę wybuchnie wojna na Północy? – Jej głos niemal zamarł przy ostatnich słowach, ale guwernantka spoglądała z aprobatą, zachwycona umiejętnościami konwersacyjnymi swej podopiecznej.

Oszczędź mi tego, pomyślał Jezal.

– No cóż, wydaje się... – zaczął. Błada, niebieskooka lady Arris wpatrywała się w niego wyczekująco. Niebieskie oczy to absolutne dno, pomyślał. Zastanawiał się, w której sprawie ta dziewczyna wykazuje się większą ignorancją: szermierki czy wojny. – Co pani myśli?

Przyzwoitka zmarszczyła nieznacznie czoło. Lady Arris sprawiała wrażenie nieco zaskoczonej; rumieniła się lekko, szukając słów.

– No cóż, e...to znaczy... jestem pewna, że wszystko... skończy się dobrze?

Dzięki losowi, pomyślał Jezal, jesteśmy uratowani! Musiał się stąd zabierać.

– Oczywiście, wszystko skończy się dobrze. – Zmusił się do jeszcze jednego uśmiechu. – Było mi niezwykle miło panią poznać, ale obawiam się, że mam niebawem służbę, muszę się więc spieszyć. – Skłonił się z lodowatą uprzejmością. – Poruczniku Kaspas, lady Arris...

Kaspas poklepał go w ramię, przyjacielski jak zawsze. Jego zwiewna i odznaczająca się ignorancją kuzynka uśmiechnęła się niepewnie. Guwernantka spojrzała na niego ze zmarszczonym czołem, ale Jezal nie zwrócił na to uwagi.

\* \* \*

Zjawił się w Rotundzie Lordów dokładnie w chwili, gdy członkowie rady wracali z przerwy na lunch. Skinął szorstko głową wartownikom w westybulu, po czym skierował się do wielkich drzwi i ruszył głównym korytarzem. Tuż za nim podążała rozproszona kolumna największych parów w

królestwie i gdy Jezal minął kolistą ścianę, zmierzając ku swemu miejscu za wysokim stołem, przepastne wnętrze budynku rozbrzmiewało echem powłóczystych kroków, pomruków i szeptów.

– Jak tam szermierka, Jezal?

Był to Jalenhorm, który przynajmniej ten jeden raz zjawił się wcześniej, chcąc skorzystać z sytuacji i porozmawiać przed przybyciem marszałka dworu.

– Miewałem lepsze poranki. A ty?

– Och, bawiłem się świetnie. Wiesz, poznałem kuzynkę Kaspy.

Próbował przypomnieć sobie jej imię. Jezal westchnął.

– Lady Arris.

– Właśnie! Widziałeś ją?

– Miałem to szczęście, że przed chwilą się na nich natknąłem.

– Phi! – rzucił Jalenhorm, zaciskając usta. – Czyż nie jest olśniewająca?

– Hm...

Jezal, znudzony, odwrócił wzrok i zaczął się przyglądać osobistościom w bogatych szatach i futrach, zmierzającym powoli ku swoim miejscom. W każdym razie patrzył na najmniej faworyzowanych synów i płatnych przedstawicieli. W tych dniach tylko nieliczni magnaci pojawiali się osobiście na sesjach Otwartej Rady, chyba że chcieli się poskarżyć na coś ważnego. Wielu nawet nie zwracało sobie głowy, by wysłać kogoś w swoim imieniu.

– Przysięgam, to jedna z najprzystojniejszych dziewcząt, jakie kiedykolwiek widziałem. Wiem, że Kaspas zawsze się rozwodził na jej temat, ale nie oddał jej sprawiedliwości.

– Hm...

Członkowie rady zaczęli się rozchodzić, każdy w stronę swego miejsca. Rotunda Lordów została zaprojektowana jak teatr; czołowi przedstawiciele Unii zasiadali na widowni w kształcie półkola, z przejściem pośrodku.

I podobnie jak w teatrze, niektóre miejsca były lepsze od innych. Ci najpośledniejsi siedzieli wysoko, im niższe zaś rzędy, tym dostojniejsi uczestnicy obrad. Pierwszy rząd był zarezerwowany dla najgodniejszych rodzin czy też dla tych, których przysyłały w swoim imieniu. Przedstawiciele z południa, Dagoski i Westportu zasiadali po lewej ręce Jezala. Na prawo były miejsca tych z północy i zachodu, z Anglandu i Stariklandu. Większość miejsc pośrodku przeznaczona była dla arystokracji Midderlandu, serca Unii. Unii właściwej, jak to określali. I jak określał to sam Jezal.

– Cóż za postawa, cóż za wdzięk – rozwodził się Jalenhorm. – Te wspaniałe włosy, mlecznobiała skóra, fantastyczne błękitne oczy.

– I te wszystkie pieniądze.

– No tak, owszem – uśmiechnął się wielki mężczyzna. – Kaspas mówi, że jego wuj jest jeszcze bogatszy od jego ojca. I ma tylko jedno dziecko, które odziedziczy wszystko co do marki. Co do marki! – Jalenhorm z trudem panował nad podnieceniem. – Szczęściarz z tego, kto ją upoluje. Jak ona ma na imię?

– Arris – odparł kwaśno Jezal.

Lordowie czy też ich wysłannicy zdążyli już dotrzeć do swoich miejsc przy akompaniamencie szurania i cichych rozmów. Nie zjawiło się ich wielu: ławki w połowie świeciły pustkami, jak zawsze zresztą. Gdyby Rotunda Lordów była naprawdę teatrem, to jego właściciele poszukiwaliby zdesperowani nowej sztuki.

– Arris, Arris... – Jalenhorm cmokał, jakby to imię pozostawiało po sobie słodki smak. – Szczęściarz z tego, który ją zdobędzie.

– Ta, rzeczywiście. Szczęściarz.

Zakładając, że będzie wolał pieniądze od rozmowy, pomyślał Jezal. Przyszło mu do głowy, że z dwojga złego wybrałby chyba guwernantkę. Wydawało się, że ma przynajmniej odrobinę charakteru.

Do sali wszedł teraz sam marszałek dworu i ruszył ku podwyższeniu z wysokim stołem – w miejscu sceny, gdyby Rotunda była teatrem. Podążał za nim orszak ubranych na czarno sekretarzy i urzędników. Każdy był mniej lub bardziej obciążony opasłymi księgami i plikami dokumentów. W tych swoich szkarłatnych szatach reprezentacyjnych, które powiewały w takt jego kroków, lord Hoff przypominał rzadkiego ptaka, który kroczy dumnie na czele stada dokuczliwych wron.

– Oto nadchodzi stary zrzęda – wyszeptał Jalenhorm, przechodząc na swoje miejsce po drugiej stronie stołu.

Jezal założył ręce do tyłu i przyjął zwyczaj ową pozę – stopy lekko rozstawione, broda wysoko w górze. Przesunął spojrzeniem po żołnierzach ustawionych w regularnych odstępach wokół sali, ale każdy stał nieruchomo i jak zwykle prezentował się doskonale w pełnym uzbrojeniu; wziął głęboki oddech i przygotował się na kilka godzin najstraszliwszej nudy.

Marszałek dworu opadł na swój fotel i zażądał wina. Sekretarze zasiedli wokół niego, pozostawiając pośrodku wolne miejsce dla króla, który był jak zwykle nieobecny. Zaszleściły papiery, zaczęło się otwieranie ksiąg i ostrzenie piór, które niebawem zastukały o kałamarze. Recytator zbliżył się do końca stołu i zastukał laską o podłogę, wzywając tym samym do zachowania spokoju. Szepty czcigodnych członków rady i ich wysłanników, a także nielicznych gości zgromadzonych na galerii publicznej nad głowami obradujących stopniowo milkły; w przepastnej sali zapadła cisza.

Recytator wysunął z dumą pierś, po czym oznajmił niespiesznie dźwięcznym głosem, jakby wygłaszając mowę pogrzebową:

– Wzywam obecnych na Otwartej Radzie Unii... – urwał na bezsensownie przeciąglą i pełną powagi chwilę. Marszałek dworu zerknął na niego gniewnie, ale recytator nie pozwolił się pozbawić należnej sobie chwały. Wszyscy czekali nieskończenie długo, nim dokończył: – ...do zachowania spokoju!

– Dziękuję – rzucił kwaśno Hoff. – Jak przypuszczam, mamy przed przerwą wysłuchać lorda gubernatora Dagoski.

Jego głosowi wtórowało skrzywienie gęsich piór, gdyż dwaj urzędnicy zapisywali wszystko, co wypowiadał. Ciche echo owej czynności mieszało się z echem jego słów, rozbrzmiewającym wysoko w górze.

Z przedniego rzędu, tuż obok Jezala, podniósł się starszy człowiek, trzymając w drżących dłoniach jakieś papiery.

– Otwarta Rada – zaintonował recytator tak uroczyście, jak to tylko było możliwe – udziela głosu Rushowi dan Thuelowi, oficjalnemu wysłannikowi Sanda dan Vurmsa, lorda gubernatora Dagoski!

– Dziękuję, sir! – Skrzekliwy, słaby głos Thuela brzmiał absurdalnie słabo w tej ogromnej przestrzeni. Ledwie docierał do miejsca, w którym stał Jezal, a było to niespełna dziesięć kroków. – Lordowie...

– Mów głośniej! – zawołał ktoś z tylnych rzędów.

Po sali przelala się fala śmiechu. Stary człowiek odchrząknął i spróbował ponownie.

– Szanowni lordowie, zjawiam się przed wami z pilną wiadomością od lorda gubernatora Dagoski. – Jego głos zniżył się do ledwie słyszalnego brzmienia, każdemu zaś słowu towarzyszyło wytrwałe skrobanie piór. Z galerii dla publiczności zaczęły dobiegać szepty, jeszcze bardziej zagłuszające mówcę. – Groźba, jaką stanowi dla wielkiego miasta imperator Gurkhulu, z każdym

dniem staje się coraz bardziej realna.

W dalszej części sali, gdzie zasiadali przedstawiciele Anglandu, rozległy się pomruki dezaprobaty, ale większość obecnych wydawała się po prostu znudzona.

– Wobec ataków na statki, nękania kupców i demonstracji pod naszymi murami lord gubernator był zmuszony wysłać mnie...

– Na nasze szczęście! – zawołał ktoś, wywołując kolejną falę wesołości, tym razem głośniejszej.

– Miasto stoi na wąskim półwyspie – ciągnął uporczywie starzec, starając się przekrzyczeć narastający hałas. – Który łączy się z lądem całkowicie opanowanym przez naszych zajadłych wrogów gurkhulskich i jest oddzielony od Midderlandu niezmiernymi milami słonej wody! Nasz system obronny wydaje się absolutnie nieskuteczny! Lord gubernator potrzebuje bezzwłocznie funduszy...

Wzmianka o funduszach natychmiast wywołała wśród zebranych wrzawę. Usta Thuela wciąż się poruszały, ale nie sposób było go usłyszeć. Marszałek dworu zmarszczył czoło i łyknął ze swojego kielicha. Urzędnik siedzący najdalej od Jezala odłożył pióro i teraz pocierał sobie oczy brudnym od atramentu kciukiem i palcem wskazującym. Urzędnik siedzący najbliżej właśnie przerwał pisanie. Jezal wyciągnął szyję i przeczytał:

„W tym miejscu trochę krzyków”.

Recytator stuknął o podłogę swoją laską z wyrazem wielkiego zadowolenia na twarzy. Hałas w końcu ucichł, ale Thuel doznał teraz ataku kaszlu. Próbował coś powiedzieć, ale nie mógł, wreszcie machnął ręką i usiadł, czerwony na twarzy, podczas gdy jego sąsiad poklepywał go po plecach.

– Jeśli mogę, lordzie marszałku... – krzyknął modnie ubrany młody człowiek w pierwszym rzędzie po drugiej stronie sali, zrywając się z miejsca. – Wydaje mi się...

– Otwarta Rada – wtrącił recytator – udziela głosu Herselowi dan Reedowi, trzeciemu synowi i wysłannikowi Fedora dan Meeda, lorda gubernatora Anglandu!

– Wydaje mi się – ciągnął przystojny młody człowiek, tylko nieznacznie zirytowany, iż mu przerwano – że nasi przyjaciele na południu bezustannie spodziewają się ze strony imperatora ataku na wielka skalę!

Tym razem głosy sprzeciwu dobiegły z drugiego końca sali.

– Ataku, do którego nigdy nie dochodzi! Czyż nie pokonaliśmy Gurkhulczyków przed kilkoma zaledwie laty, czy też pamięć mnie zawodzi?

Buczenie narastało.

– To sianie paniki doprowadza do bezprecedensowego drenażu zasobów Unii! – wołał, by go słyszano. – W Anglandzie mamy granicę o długości wielu mil i zbyt mało żołnierzy, podczas gdy zagrożenie ze strony Bethoda i jego ludzi jest bardzo realne! Jeśli ktokolwiek potrzebuje funduszy, to...

Wrzawa wybuchła na nowo. Nad ogólnym tumultem wznosiły się okrzyki; „Słuchajcie, słuchajcie!”, „Nonsens!”, „Prawda!” i „Kłamstwo!”. Kilku przedstawicieli wstało z miejsc, coś wołając. Niektórzy przytakiwali z zapalem, inni potrząsali zdecydowanie głowami, wyrażając swój sprzeciw. Inni ziewali i rozglądali się wokół. Jezal zauważył, że jeden z uczestników obrad, który siedział w tylnych ławach, śpi, i że lada chwila zwali się nieprzytomny na swojego sąsiada.

Powędrował wzrokiem w górę i przesunął spojrzeniem po twarzach ludzi zgromadzonych na galerii publicznej. Poczul dziwny ucisk w piersi. Stała tam Ardee West i patrzyła wprost na niego. Kiedy ich oczy się spotkały, uśmiechnęła się i pomachała mu. Sam też się uśmiechnął i niemal podniósł rękę, by jej odpowiedzieć tym samym gestem, kiedy przypomniał sobie, gdzie się znajduje.



Założył dłonie na plecach i rozejrzał się nerwowo wokół, ale stwierdził z ulgą, że nikt ważny nie dostrzegł jego błędu. Jednak uśmiech nie opuścił jego twarzy.

– Szanowni lordowie! – zagrział marszałek dworu, waląc pustym kielichem o stół.

Przemówił donośniejszym głosem, niż Jezal kiedykolwiek słyszał. Nawet marszałek Varuz mógłby się czegoś nauczyć od Hoffa. Śpiący człowiek drgnął raptownie, pociągając nosem i mrugając. Wrzawa ucichła niemal natychmiast. Przedstawiciele, którzy jeszcze nie usiedli, rozglądali się z poczuciem winy, jak niegrzeczne dzieci, które dostały burę i teraz zajmowali stopniowo swoje miejsca. Szepty na galerii publicznej zamarły. Porządek został przywrócony.

– Moi lordowie! Mogę was zapewnić, że bezpieczeństwo poddanych napawa króla najwyższą troską, bez względu na to, gdzie się znajdują! Unia nie dopuści do agresji przeciwko jej ludowi czy własności! – Hoff potwierdzał każde zdanie uderzeniem pięści w stół. – Czy to ze strony imperatora Gurkhulu, czy to ze strony dzikusów z Północy, czy kogokolwiek innego! – Uderzył w stół tak mocno, że z kałamarza trysnął atrament i zachlapał dokumenty jednego z urzędników. Ten patriotyczny pokaz spotkał się z okrzykami aprobaty i wsparcia. – Co się tyczy sytuacji Dagoski...

Thuel podniósł pełen nadziei wzrok, ale jego pierś wciąż trzęsła się od tłumionego kaszlu.

– ...czyż to miasto nie posiada najpotężniejszego i najbardziej rozwiniętego systemu obrony? Czy nie odpierało niespełna dziesięć lat temu gurkhulskiego szturm przez prawie rok? Co stało się z murami, sir?

Wielka sala pogrzyżała się w ciszy; wszyscy czekali w napięciu na odpowiedź.

– Lordzie marszałku – zarządził Thuel, a jego głos został niemal zagłuszony, kiedy jeden z urzędników przewrócił szeleszczącą kartkę wielkiej księgi i zaczął skrobać piórem na następnej – obwałowania są w bardzo złym stanie, brakuje nam też żołnierzy, by je obsadzić. Imperator jest tego świadomy – wyszeptał niemal bezgłośnie. – Błagam pana... – Doznał kolejnego ataku kaszlu i osunął się na swoje miejsce przy akompaniamencie słabych drwin ze strony przedstawicieli Anglandu.

Hoff jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

– Jak rozumiem, system obronny miasta miał być finansowany z lokalnych funduszy i z podatków nałożonych na szacowną gildię kupców korzennych, którzy od siedmiu lat działają w Dagosce w oparciu o wyłączną i niezwykle dochodową licencję. Jeśli nie można zdobyć środków nawet na utrzymanie murów – powiódł po zgromadzeniu mrocznym spojrzeniem – to być może nadszedł czas, by ową licencję cofnąć.

Z galerii publicznej dobiegł gniewny pomruk.

– Tak czy inaczej, Korona nie może pozwolić sobie w obecnej chwili na jakiegokolwiek wydatki!

Od strony, gdzie zasiadała delegacja Dagoski, rozległy się głosy głębokiego rozczarowania, natomiast strona zajmowana przez przedstawicieli Anglandu rozbrzmiała okrzykami aprobaty.

– A teraz, co się tyczy specyficznej sytuacji Anglandu! – zagrział marszałek dworu, zwracając się do Meeda. – Wierzę, że niebawem usłyszymy pomyślne wiadomości, które zawiezie pan swemu ojcu, lordowi gubernatorowi.

Ku złoconej kopule uniosła się chmura pełnych podniecenia szeptów. Młody przystojny człowiek sprawiał wrażenie mile zaskoczonego, co było jak najbardziej zrozumiałe. Rzadko się zdarzało, by ktokolwiek otrzymywał od Otwartej Rady dobre wiadomości lub jakiegokolwiek, jeśli już o to chodzi.

Thuel znów odzyskał panowanie nad płucami i otworzył usta, by przemówić, ale przerwało mu donośne pukanie do ogromnych drzwi, widocznych za wielkim stołem. Lordowie podnieśli wzrok, zaskoczeni i pełni oczekiwania. Marszałek dworu uśmiechnął się jak magik, który wykonał właśnie jakąś wyjątkowo trudną sztuczkę. Dał znak wartownikom, ciężkie sztaby zostały odsunięte i potężne

inkrustowane drzwi otworzyły się powoli.

Ze schodów, w zgodnym szyku, zstąpiło ośmiu rycerzy królewskiej straży przybocznej; byli odziani w połyskliwe zbroje, zakrywające twarze lśniące hełmy i liliowe peleryny ze znakiem złotego słońca na plecach. Po chwili zajęli miejsca po obu stronach wysokiego stołu. Tuż za nimi podążali trębacze, którzy wystąpili z wprawą do przodu, unieśli do ust swe błyszczące instrumenty i zagrali ogłuszającą fanfarę. Jezal zacisnął zęby i zmrużył oczy; wreszcie dzwoniące w uszach echo ucichło. Marszałek dworu zwrócił się gniewnie do recytatora, który spoglądał teraz na nowo przybyłych z otwartymi ustami.

– No i? – syknął Hoff.

Recytator otrząsnął się ze zdumienia.

– Och... tak, oczywiście! Moi panowie i panie, mam wielki zaszczyt zaprezentować... – urwał i zaczerpnął głęboko powietrza. – Jego Wysokość, władca Anglandu, Midderlandu, protektor Westportu i Dagoski, Guslav Piąty, król Unii!

Po sali przetoczył się szelest, gdy licznie zgromadzeni – kobiety i mężczyźni – wstali z miejsc i osunęli się na jedno kolano.

W drzwiach ukazała się królewska lektyka, którą dźwigało na ramionach sześciu rycerzy o zakrytych twarzach. Na połączanym krześle siedział sam król, wsparty o bogato haftowane poduszki, kołysząc się łagodnie na boki. Rozglądał się wokół z wystraszoną miną człowieka, który położył się spać pijany i zbudził w nieznanym sobie pokoju.

Wyglądał okropnie. Potwornie gruby, chwiał się niczym potężne, opatulone futrem i czerwonym jedwabiem wzgórze, wcisnąwszy głowę w ramiona pod ciężarem wielkiej, połyskującej korony. Oczy miał szkliste i wyłupiaste, pod nimi widniały wielkie ciemne wory, różowy koniuszek języka oblizywał nerwowo blade wargi. Odznaczał się ogromną dolną zuchwą i wałkiem tłuszczu wokół szyi; prawdę powiedziawszy, cała jego twarz sprawiała wrażenie nieco roztopionej, jakby zaczynała spływać wolno z czaszki. Tak jawił się król Unii, ale Jezal pochylił nieco głowę, gdy orszak z lektyką zbliżył się do niego.

– Och! – wymamrotała Jego Wysokość, jakby człowiek ten zapomniał o czymś. – Proszę, powstańcie.

Salę znów wypełnił szeleszczący dźwięk, gdy wszyscy obecni podnieśli się z klęczek i usiedli na swoich miejscach. Król zwrócił się do Hoffa z głęboko zmarszczonym czołem, Jezal zaś usłyszał, jak pyta:

– Dlaczego tu jestem?

– Chodzi o Północnych, Wasza Królewska Mość.

– Ach tak! – W oczach władcy pojawił się jakby błysk zrozumienia. Milczał przez chwilę. – To znaczy?

– E... – zaczął marszałek dworu, ale na szczęście został uwolniony od konieczności udzielania odpowiedzi – po przeciwległej stronie sali otworzyły się drzwi, te same, przez które do sali wkroczył wcześniej Jezal. Pojawiło się w nich dwóch dziwnie wyglądających ludzi, którzy ruszyli głównym przejściem.

Jednym z nich był stary siwy wojownik z blizną i ślepym okiem, trzymający w dłoniach drewnianą skrzynkę. Drugi był okryty peleryną i zakapturzony, skrywając szczerze rysy, i tak ogromny, że zdawał się zakłócać proporcje wielkiej sali. Ławy, stoły, nawet strażnicy – wszystko zaczęło nagle przypominać swą pomniejszoną wersję, przeznaczoną jakby dla dzieci. Kiedy przechodził środkiem, dwaj przedstawiciele siedzący najbliżej skulili się i cofnęli lękliwie. Jezal zmarszczył czoło. Ten zakapturzony olbrzym nie wróżył dobrych wiadomości, cokolwiek lord Hoff

mógłby powiedzieć. Pod sklepieniem rozbrzmiało echo gniewnych i podejrzliwych pomruków i szeptów, kiedy dwaj Północni zajęli miejsca na podwyższeniu przed wysokim stołem.

– Wasza Królewska Mość – oświadczył recytator, kłaniając się tak śmiesznie nisko, że musiał podeprzeć się swoją laską – Otwarta Rada udziela głosu Fenrisowi Groźnemu, wysłannikowi Bethoda, króla Północnych, i jego tłumaczowi, Hansulowi Białookiemu!

Król spoglądał z zadowoleniem w stronę jednego z wielkich okien w zakrzywionej ścianie, całkowicie nieświadomy otoczenia, być może podziwiając światło, które przenikało przepięknie barwione szkło, nagle jednak rozejrzał się wokół i poruszył niespokojnie szczęką, gdy stary, na wpół ślepy wojownik zwrócił się do niego.

– Wasza Królewska Mość, przynoszę braterskie pozdrowienia od mego pana, Bethoda, króla Północnych.

W Rotundzie Lordów zapanowała cisza, a skrobiące pióra wydały się absurdalnie głośne. Stary wojownik, uśmiechając się niepewnie, skinął głową potężnej zakapturzonej sylwetce.

– Fenris Groźny przynosi ci ofertę od Bethoda. Od króla dla króla. Od Północy dla Unii. Ofertę i dar. – Podniósł drewniane pudełko.

Na twarzy marszałka dworu pojawił się uśmiech zadowolenia.

– Najpierw powiedz o ofercie.

– Jest to oferta pokoju. Wiecznego pokoju między naszymi dwoma wielkimi narodami.

Białooki znów się skłonił. Jego maniery były nieskazitelne, jak musiał przyznać Jezal. Nie miały nic wspólnego z tym, czego można by się spodziewać po dzikusach z zimnej i dalekiej Północy. Jego przemowa niemal uciszyła salę; niepokój wzbudzała tylko postać zakapturzonego człowieka u jego boku, majająca niczym mroczny cień.

Twarz króla, na wzmiankę o pokoju, drgnęła jednakże w słabym uśmiechu.

– Dobrze – zamruczał. – Doskonale. Pokój. Wspaniale. Pokój jest dobry.

– Lecz prosi w zamian o jedną drobną rzecz – oznajmił Białooki. Oblicze marszałka dworu zachmurzyło się nagle, ale było już za późno.

– Wystarczy ją wymienić – powiedział król, uśmiechając się z pobłażaniem.

Zakapturzony człowiek postąpił krok do przodu.

– Angland – zasyczał.

Przez chwilę panowała pełna osłupienia cisza, ale potem sala wypełniła się ogłuszającym hałasem. Z galerii dla publiczności dobiegła salwa pełnego niedowierzania śmiechu. Meed zerwał się na równe nogi, czerwony na twarzy i rozwrzeszczany. Thuel wygramolił się ze swojej ławki, po czym znów się osunął na miejsce, wstrząsany atakiem kaszlu. Gniewnym krzykiem towarzyszyły szydercze pohukiwania. Władca rozglądał się wokół siebie z godnością przestraszonego królika.

Jezal nie odrywał oczu od zakapturzonego mężczyzny. Zobaczył, jak wysuwa z rękawa dłoń i sięga do zapinki przy pelerynie. Zamrugał zdumiony. Czyżby ręka była niebieska? Czy też chodziło jedynie o grę światła przenikającego witrażowe okno? Peleryna osunęła się na podłogę.

Jezal przełknął z wysiłkiem, słysząc w uszach łomotanie własnego serca. Przypominało to spoglądanie na okropną ranę: im większe odczuwał obrzydzenie, tym trudniej było mu odwrócić wzrok. Śmiech zamarł, krzyki zamarły, a wielka przestrzeń sali znów pogrążyła się w straszliwej ciszy.

Fenris Groźny górował nad swoim tłumaczem, wydając się bez opończy jeszcze większy. Bez wątplenia był największym człowiekiem, jakiego Jezal kiedykolwiek widział, jeśli to był człowiek. Jego twarz pozostawała w ciągłym ruchu, gościł na niej bezustanny grymas szyderstwa. Wyłupiaste oczy podrygiwały i mrugały, rozglądając się szalonym wzrokiem po zgromadzonych. Cienkie wargi

uśmiechały się, krzywiły i zaciskały na przemian, nie odpoczywając ani na chwilę. Wszystko to jednak wydawało się zwyczajne w porównaniu z najdziwniejszą cechą wyglądu tego człowieka – cały jego lewy bok, od głowy do stopy, pokrywało pismo.

Po lewej stronie ogolonej głowy, po powiece, wargach, skórze czaszki, uchu biegły runy w kształcie krabów. Potężna lewa ręka była wytatuowana niebieskimi znakami, począwszy od wyrzuczonego ramienia, a skończywszy na czubkach długich palców. Nawet naga lewa stopa roiła się od dziwnych liter. W samym sercu unijnej władzy stał ogromny, nieludzki, malowany potwór. Jezal otworzył bezwiednie usta.

Wysoki stół otaczało czternastu rycerzy królewskiej straży przybocznej, z których każdy był świetnie wyszkolonym wojownikiem szlachetnej krwi. Pod ścianami stało ze czterdziestu gwardzistów z kompanii Jezala, zaprawionych w boju weteranów. Przewyższali liczebnie tych dwóch ludzi z Północy w stosunku co najmniej dwudziestu do jednego i byli wyposażeni w najlepszą stal, jaką mogły dostarczyć zbrojownie królewskie. Fenris Groźny nie miał żadnej broni. Pomimo swych rozmiarów i niesamowitości nie powinien stanowić dla nich żadnego zagrożenia.

Jezal jednak nie czuł się bezpieczny. Wręcz przeciwnie – czuł się samotny, słaby, bezradny i przerażająco zaleźniony. Skóra go mrowiła, usta były suche. Ogarnęło go nagłe pragnienie, by uciec, znaleźć jakąś kryjówkę i nigdy jej nie opuszczać.

I owo dziwne wrażenie nie dotyczyło wyłącznie jego osoby, czy nawet tych wokół wysokiego stołu. Gniewny śmiech uwiązał ludziom w gardłach z przerażającym charkotem, gdy malowany potwór obracał się z wolna pośrodku sali, wodząc ruchomymi oczami po tłumie. Meed, skulony, wycofał się na swoje miejsce, całkowicie wyzuty z gniewu. Jacyś dwaj przedstawiciele wspięli się na oparcia swoich ławek i wycofali do drugiego rzędu. Inni odwracali twarze albo zakrywali je dłońmi. Jeden z żołnierzy wypuścił z rąk włócznię, która upadła z głośnym brzękiem na podłogę.

Fenris Groźny odwrócił się z wolna w stronę wysokiego stołu, uniósł swą potężną wytatuowaną pięść, otworzył odrażające usta i ukazał straszliwą szczelinę w twarzy. „Angland!” – ryknął, głośniej i bardziej przerażająco, niż kiedykolwiek udało się to samemu marszałkowi dworu. Echo jego głosu odbiło się od kopulastego sklepienia wysoko w górze i kolistych ścian, wypełniając wielką przestrzeń przeraźliwym dźwiękiem.

Jeden rycerzy zatoczył się do tyłu i potknął, po czym uderzył dźwięcznie opancerzonymi nogami o krawędź wysokiego stołu.

Król skulił się w sobie i zakrył twarz dłonią, zerkając przerażonym okiem spomiędzy palców. Korona na jego głowie przekrzywiła się groteskowo.

Jednemu z urzędników wypadło pióro z nerwowych palców. Dłoń drugiego, który siedział z otwartymi ustami, wodziła z przyzwyczajenia po papierze, nakreślając jedno długie słowo w poprzek kartki, przez linijki starannego pisma.

Angland.

Twarz marszałka dworu pokryła się woskową bladością. Sięgnął powoli po swój kielich i uniósł go do ust. Był pusty. Odstawił go ostrożnie na stół, ale dłoń mu drżała i nóżka naczynia zagrzechotała o stół. Milczał przez chwilę, oddychając ciężko przez nos.

– Nie ulega wątpliwości, że ta oferta jest nie do przyjęcia.

– To nad wyraz niefortunne – oznajmił Hansul Białooki. – Ale pozostaje jeszcze dar.

Wszystkie oczy obróciły się w jego kierunku.

– Na Północy przestrzegamy pewnej tradycji – ciągnął. – Kiedy dochodzi do sporu między dwoma klanami, gdy zachodzi groźba wojny, z każdej strony występują czempioni, by walczyć w imieniu wszystkich swoich ludzi, tak aby sprawę mogła rozstrzygnąć... tylko jedna śmierć.

Otworzył powolnym ruchem drewniane pudełko. W środku znajdował się długi nóż o lustrzanym ostrzu.

– Jego Wysokość, Bethod, wysłała Fenrisa Groźnego nie tylko jako swego emisariusza, ale także czempiona. Będzie on bił się o Angland, jeśli ktokolwiek tutaj stanie z nim do walki i oszczędzi wam wojny, której nigdy nie wygracie. – Podał pudełko malowanemu potworowi. – To jest dar mego pana dla was, a nie ma daru bogatszego niż... wasze życie.

Prawa dłoń Fenrisa wysunęła się szybkim ruchem i wyjęła nóż z pudełka. Olbrzym uniósł go wysoko, ostrze zaś błysnęło w wielobarwnym świetle, które wpadało przez wielkie okna. Rycerze powinni w tym momencie ruszyć zdecydowanie do przodu. Jezal powinien dobyć miecza. Wszyscy powinni rzucić się i bronić króla, ale nikt nawet nie drgnął. Każde usta były otwarte, każde oko, jak zahipnotyzowane, śledziło połyskujące zęby stali.

Ostrze spadło z błyskiem w dół, przebijając bez trudu skórę i ciało, aż zagłębiło się po rękojęść. Czubek ukazał się ponownie, ociekając krwią, po wewnętrznej stronie pokrytego tatuażami lewego ramienia Fenrisa. Jego twarz drgnęła, ale nie bardziej niż zwykle. Ostrze poruszyło się groteskowo, kiedy wyprostował palce i uniósł lewą rękę, by wszyscy mogli zobaczyć. Krople krwi malowały regularny wzór na posadzce Rotundy Lordów.

– Kto się ze mną zmierzy? – ryknął, napinając na szyi potężne więzy ścięgien. Jego głos był niemal bolesny dla uszu.

Absolutna cisza. Recytator, który znajdował się najbliżej Fenrisa Groźnego, klęczący już od jakiegoś czasu, osunął się zemdłony na twarz.

Olbrzym obrócił swe wyłupiaste oczy na największego rycerza stojącego obok stołu, jednak o głowę niższego niż on sam.

– Ty? – zasyczał.

Stopa nieszczęśnika zaszurała o podłogę, kiedy się cofnął, żałując bez wątpienia, że nie urodził się karłem.

Pod łokciem Fenrisa, na podłodze, zebrała się kałuża ciemnej krwi.

– Ty? – warknął na Fedora dan Meeda.

Twarz młodzieńca powlekła się z wolna szarością, zęby zadygotały. Z pewnością pragnął być w tej chwili synem innego ojca.

Mrugające oczy przesuwwały się po zszarzałych twarzach przy wysokim stole. Jezal poczuł ucisk w gardle, gdy wzrok Fenrisa spoczął na nim.

– Ty?

– No cóż, czemu nie, ale jestem strasznie zajęty dziś po południu. Może jutro?

Ten głos w ogóle nie przypominał jego własnego głosu. Jezal z pewnością nie zamierzał mówić czegoś takiego. Ale kto inny mógłby to zrobić? Słowa poszybowały bezceremonialnie ku poślacanej kopule sali.

Gdzieniedzie rozległ się śmiech, ktoś z tyłu zawołał „brawo!”, ale oczy Fenrisa ani na chwilę nie oderwały się od postaci Jezala. Zaczekał, aż głosy umilkną, a potem wykrzywił usta w odrażającym uśmiechu.

– A zatem jutro – wyszeptał.

Jezal poczuł, jak jego wnętrzności skręcają się boleśnie. Powaga sytuacji przygniotła go nagle jak ogromna skała. On? Walczyć?

– Nie. – To był marszałek dworu.

Jego oblicze wciąż pokrywała bladość, ale głos odzyskał dawny wigor i siłę. Jezal poczuł przypływ nadziei i zaczął się po męsku zmagać z trzewiami.

– Nie! – warknął ponownie Hoff. – Nie będzie tu żadnego pojedynku! Nie ma jakiegokolwiek spornej kwestii! Angland jest częścią Unii; tak stanowi odwieczne prawo!

Hansul Białooki parsknął cichym śmiechem.

– Odwieczne prawo? Angland jest częścią Północy. Dwieście lat temu mieszkali tam nasi ludzie, wiodąc wolne życie. Potrzebowaliście żelaza, więc przepłynęliście morze, wyrznęliście ich i ukradliście im ziemię! A więc tak wygląda odwieczne prawo: silni zabierają słabym co im się podoba? – Zmrużył groźnie oczy. – My też mamy to prawo!

Fenris Groźny wyrwał nóż ze swego ramienia. Na kamiennie płyty spadło kilka ostatnich kropeł krwi, ale to było wszystko. Na wytatuowanym ciele nie widać było żadnej rany. Ani śladu. Nóż spadł z brzękiem na posadzkę i leżał w czerwonej kałuży u stóp olbrzyma. Fenris powiódł po raz ostatni po zgromadzonych swymi wylupiastymi, mrugającymi, szalonymi oczami, po czym odwrócił się i ruszył wzdłuż przejścia; lordowie i wysłannicy cofali się swoich ławkach, kiedy ich mijał.

Hansul Białooki skłonił się nisko.

– Być może nadejdzie czas, kiedy będziecie żałować, że nie przyjęliście tej oferty czy też naszego daru. Jeszcze otrzymacie od nas wiadomość – oznajmił cicho, a potem pokazał marszałkowi dworu trzy palce. – Kiedy nadejdzie stosowna chwila, prześlemy wam trzy znaki.

– Prześlijcie ich trzysta – warknął w odpowiedzi Hoff. – Ale ta pantomima dobiegła końca!

Hansul Białooki przytaknął z zadowoleniem.

– Otrzymacie od nas wiadomość.

Odwrócił się i wyszedł z Rotundy Lordów w ślad za Fenrisem Groźnym. Wielkie drzwi zatrzasnęły się za nimi. Pióro najbliższego siedzącego urzędnika skrobało cicho o papier.

Otrzymacie od nas wiadomość.

Fedor dan Meed odwrócił się w stronę marszałka dworu. Szczęki miał zaciśnięte, przystojne rysy wykrzywiały grymas wściekłości.

– I to ma być ta dobra wiadomość, którą mam zanieść ojcu? – wrzasnął.

Otwarta Rada wybuchła ogłuszającą wrzawą. Ryk, krzyki, złorzeczenia pod adresem wszystkich i nikogo, chaos najgorszego rodzaju.

Hoff zerwał się z miejsca, przewracając przy tym krzesło i rzucając gniewne słowa, ale nawet on został pokonany przez hałas. Meed odwrócił się do niego plecami i wypadł wzburzony z sali. Inni przedstawiciele Anglandu podnieśli się posępnie i ruszyli za synem lorda gubernatora. Hoff odprowadził ich wzrokiem, pałając gniewem; jego usta poruszały się bezgłośnie.

Jezał patrzył, jak król odsunął powolnym ruchem dłoni przed twarzy i nachylił się do marszałka dworu.

– Kiedy Północni tu się zjawiają? – spytał.



# Król Północnych

Logen oddychał głęboko, czerpiąc przyjemność z nieznanego dotyku chłodnego wiatru na świeżo ogolonej brodzie, i chłonał widok, jaki się przed nim roztaczał. Był początek pogodnego dnia. Mgła poranka niemal zniknęła i z balkonu wysoko na jednej z wież biblioteki można było sięgnąć wzrokiem daleko w głąb ładu. Przed jego oczami rozpościerała się wielka dolina, pokryta jakby warstwami. Na samej górze widniała szara i pierzasta biel zachmurzonego nieba. Niżej ciągnęła się postrzępiona linia czarnych grani, które otaczały jezioro, i przyćmiony brązowy cień, zapowiedź kolejnych. Następnie zaczynała się ciemna zieleń zalesionych zboczy, wreszcie cienka, zakrzywiona linia szarego kamienistego brzegu. Wszystko to powtarzało się w nieruchomym lustrze wody – inny, mroczny świat, odwrócony do góry nogami pod tym pierwotnym.

Logen popatrzył na swoje dłonie i palce, które opierały się o zmurszały kamień balustrady. Nie dostrzegł pod splekanymi paznokciami ziemi ani zaschniętej krwi. Wyglądały blado, miękko, różowo, dziwnie. Nawet zadrapania i nacięcia na kłykciach zagoiły się z grubsza. Minęło tyle czasu od chwili, gdy był czysty, że niemal zapomniał, jakie to uczucie. Nowe odzienie wydawało się szorstkie na jego skórze, pozbawione brudu, tłustego nalotu i wysuszonego potu.

Spoglądając na nieruchome jezioro, czysty i najedzony, miał wrażenie, że jest innym człowiekiem. Przez chwilę się zastanawiał, czym mógłby się okazać ten nowy Logen, ale spod dłoni, w miejscu brakującego palca, patrzył na niego goły kamień balustrady. To nigdy się nie zagoi, wiedział o tym. Był wciąż Dziewięciopalcym, wciąż Krwawym-dziewięć, i zawsze miało tak pozostać. Chyba że straciłby więcej palców. Jednak roztaczał wokół siebie znacznie przyjemniejszą woń, to musiał przyznać.

– Dobrze spałeś, mistrzu Dziewięciopalcu? – spytał Wells, który stał w otwartych drzwiach komnaty, zaglądając na balkon.

– Jak dziecko.

Logen nie miał serca powiedzieć staremu słudze, że spał na dworze. Pierwszej nocy próbował zasnąć w łóżku, ale przewracał się i wiercił, nie mogąc dojść do ładu z dziwną wygodą materaca i obcym ciepłem koców. Potem zdecydował się na podłogę. Było nieco lepiej. Powietrze jednak wciąż wydawało się duszne, płaskie, zastarzałe. Miał wrażenie, że sufit zwiesza się tuż nad nim, że zniża się podstępnie coraz bardziej, by w końcu przygnieść go swym kamiennym ciężarem. Dopiero gdy położył się na twardych płytach balkonu, przykryty swym płaszczem, tuż pod chmurami i gwiazdami, zjawił się sen. Niektóre nawyki trudno przełamać.

– Masz gościa – oznajmił Wells.

– Ja?

Zza framugi wyrzała głowa Malacusa Quaia. Jego oczy były nieco mniej zapadnięte, worki pod nimi jaśniejsze. Skóra odzyskała odrobinę swą naturalną barwę, nabrał też trochę ciała. Nie przypominał już trupa, był po prostu wychudzony i chory, jak wówczas, gdy Logen spotkał go po raz pierwszy. Prawdopodobnie nigdy nie wyglądał inaczej.

– Ha! – roześmiał się Logen. – Przeżyłeś!

Uczeń skinął kilka razy ze znużeniem głową, człapiąc w jego stronę. Był owinięty grubym kocem, który ciągnął się za nim po podłodze, utrudniając chodzenie. Wyszedł na balkon i stanął, pociągając nosem i mrugając w rześkim porannym powietrzu.



Jego widok sprawił Logenowi więcej przyjemności, niż się spodziewał. Poklepał młodzieńca po plecach jak starego przyjaciela, być może zbyt serdecznie. Uczeń potknął się i zaplątał w koc; byłby upadł, gdyby Logen go nie podtrzymał, obejmując ramieniem.

– Wciąż jeszcze nie odzyskałem sił – mruknął Quai ze słabym uśmiechem.

– Wyglądasz o wiele lepiej niż ostatnim razem.

– Ty też. Pozbyłeś się brody, a także zapachu. Gdyby nie te blizny, wyglądałbyś niemal jak cywilizowany człowiek.

Logen uniósł dłonie.

– Wszystko tylko nie to.

Wells wkroczył w krąg jasnego światła. Trzymał w dłoni rolkę sukna i nóż.

– Mogę obejrzeć twoją rękę, mistrzu Dziewięciopalcy?

Logen prawie zapomniał o ranie. Na bandażu nie było widać świeżej krwi i gdy odwinął opatrunek, pod spodem krył się długi czerwono-brązowy strup, biegnąc od nadgarstka niemal do samego łokcia, w otoczce świeżo różowej skóry. Prawie nie bolało, tylko świerzbiło nieznacznie. Rana przecinała dwie inne, starsze blizny. Postrzępiony szary ślad obok nadgarstka, chyba odniesiony w pojedynku z Trójdrzewcem, przed wielu laty. Logen skrzywił się na wspomnienie bólu, jaki sobie wzajemnie zadali. Druga blizna, mniej wyraźna, nieco wyżej... nie był pewien, skąd się wzięła. Mógł tę ranę odnieść wszędzie.

Wells schylił się i zbadał ciało wokół nacięcia, podczas gdy Quai przyglądał się ciekawie przez ramię.

– Wygląda dobrze. Potrafisz szybko wracać do zdrowia.

– Mam w tym mnóstwo wprawy.

Wells spojrzał na twarz Logena; rana na jego czole już zbladła i teraz wyglądała jak jeszcze jedna różowa linia.

– Widzę. Czy byłoby z mojej strony rzeczą głupią radzić ci, byś w przyszłości unikał ostrych przedmiotów?

Logen wybuchnął śmiechem.

– Wierz albo nie, zawsze starałem się w przeszłości unikać ich za wszelką cenę. Ale wydaje się, że same mnie szukają, pomimo moich wysiłków.

– No cóż – westchnął stary sługa, odcinając świeży kawałek bandaża i owijając nim ramię Logena. – Mam nadzieję, że to ostatni opatrunek, jakiego będziesz kiedykolwiek potrzebował.

– Ja też – przyznał Logen, zginając i prostując palce. – Ja też.

W gruncie rzeczy jednak w to nie wierzył.

– Śniadanie będzie niedługo gotowe – oznajmił Wells i pozostawił ich samych na balkonie.

Przez chwilę stali w milczeniu. Od strony doliny nadleciał chłodny wiatr. Quai zadrżał i otulił się szczelniej kocem.

– Tam... nad jeziorem. Mogłeś mnie zostawić. A wtedy ja zostawiłbym siebie.

Był czas, gdy Logen robił to wielokrotnie i w ogóle się nad tym nie zastanawiał, ale wszystko się zmieniało. Zmarszczył brwi.

– Zostawiłem niegdyś wielu ludzi. Nie mogę już znieść tego uczucia, jakie wtedy człowiekowi towarzyszy.

Uczeń zacisnął wargi i spojrzał na dolinę, lasy i odległe góry.

– Nigdy wcześniej nie widziałem, jak zabija się człowieka.

– Masz szczęście.

– Byłeś zatem świadkiem wielu śmierci?

Logen skrzywił się. Za młodu z radością odpowiadałby na takie pytanie. Przechwalałby się i chełpił, wyliczając potyczki, w których brał udział, wymieniając imiona ludzi, których zabił. Nie potrafił powiedzieć teraz, kiedy cała ta duma ulotniła się bez śladu. Działo się to powoli, w miarę jak wojny stawały się coraz krwawsze, ich przyczyny coraz bardziej błahe, a przyjaciele trafiali do ziemi, jeden za drugim. Logen podrapał się po uchu, wyczuwając wielkie nacięcie zadane przed wielu laty mieczem Tula Duru. Mógł teraz zachować milczenie. Ale z jakiegoś powodu czuł, że musi być szczery.

– Walczyłem w trzech kampaniach – zaczął. – W siedmiu zaciętych bitwach. W niezliczonych najazdach, potyczkach i rozpaczliwych obronach, a także krwawych rozprawach wszelkiego rodzaju. Biłem się w zacinającym śniegu, w porywach wściekłego wiatru, w środku nocy. Walczyłem przez całe życie, z tym czy innym wrogiem. Na dobrą sprawę nie robiłem nic innego. Widziałem ludzi, którzy ginęli za jedno słowo, za spojrzenie, za nic. Pewna kobieta próbowała zadźgać mnie nożem za to, że zabiłem jej męża, a ja wrzuciłem ją do studni. A nie jest to jeszcze rzecz najgorsza. Życie było kiedyś dla mnie warte tyle co garść ziemi. Może nawet mniej. Stoczyłem dziesięć walk jeden na jednego i wszystkie wygrałem, ale walczyłem po złej stronie i ze złych powodów. Byłem bezwzględny, brutalny i tchórzliwy. Uderzałem ludzi nożem w plecy, paliłem, topiłem, miażdżyłem kamieniami, zabijałem, kiedy spali nieuzbrojeni albo kiedy uciekali. Sam uciekłem niejedną raz. Sikałem ze strachu. Błagałem o życie. Byłem raniony, często i groźnie, wrzeszczałem i płakałem jak dziecko, które matka odstawiła od piersi. Nie wątpię, że świat byłby lepszy, gdyby zabito mnie dawno temu, ale tak się nie stało i nie wiem dlaczego.

Spojrzał na swoje dłonie, różowe i czyste na kamiennej balustradzie.

– Jest kilku ludzi, którzy mają więcej krwi na rękach ode mnie. I ani jednego, którego bym znał. Moi wrogowie nazywają mnie Krwawym-dziewięć i jest ich bardzo wielu. Zawsze więcej wrogów, mniej przyjaciół. Krew nie przynosi ci nic, tylko jeszcze więcej krwi. Podąża za mną teraz, zawsze, jak mój cień, i jak to jest z cieniem, nigdy nie mogę się od tego uwolnić. Nigdy nie powinienem się uwolnić. Zasłużyłem na to. Zapracowałem na to. Sam tego szukałem. Taka jest moja kara.

I to było wszystko. Logen odetchnął głęboko i wlepił wzrok w jezioro. Nie mógł się zdobyć na to, by spojrzeć na stojącego obok młodzieńca, nie chciał widzieć wyrazu jego twarzy. Kto chce wiedzieć, że dotrzymuje towarzystwa Krwawemu-dziewięć? Człowiekowi, który zadał więcej śmierci niż zaraza, i to z mniejszym żalem? Nigdy nie mogliby zostać przyjaciółmi; rozdzielało ich zbyt wiele trupów.

Po chwili poczuł, jak Quai klepie go po ramieniu.

– No, tak to już bywa – powiedział, uśmiechając się od ucha do ucha. – Ale ocaliłeś mnie i jestem ci za to wdzięczny!

– Ocaliłem w tym roku jednego, a zabiłem tylko czterech. Narodziłem się na nowo.

Obaj śmiali się przez chwilę i byli zadowoleni.

– A więc, Malacus, widzę, że znów jesteś z nami – odezwał się czyjś głos.

Odwrócili się. Quai potknął się o swój koc i trochę przybladł. W drzwiach prowadzących na balkon stał Pierwszy z Magów, odziany w długą białą koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami. Wciąż wyglądał w oczach Logena bardziej jak rzeźnik niż czarnoksiężnik.

– Mistrzu Bayazie... e... właśnie zamierzałem się z tobą zobaczyć – wyjąkał Quai.

– Naprawdę? Jakże to szczęśliwy zbieg okoliczności, że przyszedłem do ciebie. – Mag wkroczył na balkon. – Myślę, że człowiek, który jest na tyle zdrowy, by rozmawiać, śmiać się i opuszczać zamknięte pomieszczenie, może bez wątplenia także czytać, studiować i rozwijać swój mały umysł. Co ty na to?

– Bez wątpienia...

– Tak, bez wątpienia! Powiedz mi, jak tam postępy w nauce?

Nieszczęsny uczeń sprawiał wrażenie głęboko zakłopotanego.

– Zostały... nieco zakłócone.

– Nie posunąłeś się w lekturze „Zasad Sztuki” Juvensa, kiedy to wędrowałeś zagubiony po górach w złej pogodzie?

– E... nie posunąłem się... owszem.

– A co się tyczy wiedzy historycznej... bardzo się rozwinęła, kiedy mistrz Dziewięciopalczy niósł cię na plecach do biblioteki?

– No... muszę wyznać... że się nie rozwinęła.

– Ale twoje ćwiczenia i medytacje... z pewnością je praktykowałeś, będąc nieprzytomnym przez miniony tydzień?

– ...mój stan był... jakby to powiedzieć...

– Więc wyznaj szczerze: wygrywasz w tej grze, by się tak wyrazić? Czy też twe studia zostały daleko w tyle?

Quai wpatrywał się w podłogę.

– Zostały w tyle, kiedy stąd odszedłem.

– Więc może zechcesz mi powiedzieć, gdzie zamierzasz spędzić dzień?

Uczeń podniósł pełne nadziei oczy.

– Przy swoim biurku?

– Doskonale! – Bayaz uśmiechnął się szeroko. – Miałem to właśnie zasugerować, ale mnie uprzedziłeś! Twoja chęć nauki przynosi ci zaszczyt!

Quai przytaknął energicznie i ruszył pospiesznie w stronę drzwi, ciągnąc za sobą po kamiennych płytach brzeg koca.

– Bethod nadchodzi – mruknął Bayaz. – Będzie tu dzisiaj.

Logen poczuł, jak uśmiech zamiera mu na twarzy, a niewidzialna dłoń ścisła krtań. Doskonale pamiętał ich ostatnie spotkanie. Leżał wyciągnięty na podłodze sali Bethoda w Carleonie, pobity, pogruchotany i skrępowany łańcuchami, zraszając krwią słomę i żywiąc nadzieję, że koniec nie będzie nadchodził zbyt długo. Potem, bez żadnego powodu, wypuścili go. Wyrzucili za bramę wraz z Wilczarzem, Trójdrzewcem, Najsłabszym i pozostałymi, i powiedzieli, żeby nigdy więcej nie wracał. Nigdy. Był to pierwszy raz, kiedy Bethod okazał odrobinę litości, i ostatni, w co Logen nie wątpił.

– Dzisiaj? – spytał, starając się panować nad głosem.

– Tak, i to wkrótce. Król Północnych. Ha! Cóż za arogancja! – Bayaz spojrział ukradkiem na Logena. – Przybywa, by prosić mnie o przysługę, i chciałbym, żebyś przy tym był.

– To mu się nie spodoba.

– Właśnie.

Wiatr wydawał się zimniejszy niż wcześniej. Jeśli Logen nigdy już potem nie widział Bethoda, to teraz miał go zobaczyć bardzo szybko. Ale niektóre rzeczy trzeba po prostu zrobić. Lepiej je zrobić, niż żyć w strachu. Tak powiedziałby jego ojciec. Wziął więc głęboki oddech i wyprostował barki.

– Będę z tobą.

– Doskonale. W takim razie brakuje nam tylko jednego.

– Czego?

Bayaz uśmiechnął się znacząco.

– Broni.

\* \* \*

Piwnice pod biblioteką były suche. Suche, ciemne i bardzo zwodnicze. Wspinali się na schody i schodzili w dół, mijali narożniki i liczne drzwi, skręcając od czasu do czasu w lewo albo w prawo. To miejsce przypominało istny labirynt. Logen miał nadzieję, że nie straci z oczu migotliwego płomienia pochodni trzymanej przez maga, bo w przeciwnym razie lękał się, że utknie w tych podziemiach na wieczność.

– Sucho tu, przyjemnie i sucho – mówił do siebie Bayaz, a jego głos niósł się echem po korytarzu i mieszał z odgłosem ich kroków. – Nie ma nic gorszego dla książek niż wilgoć. – Przystanął gwałtownie przed jakimiś drzwiami. – Albo dla broni.

Pchnął lekko drzwi, które otworzyły się bezgłośnie.

– Spójrz tylko! Nie były otwierane przez lata, ale zawiasy wciąż poruszają się gładko jak po maśle! To dopiero kunszt rzemieślniczy! Dlaczego nikomu już ma nim nie zależeć?

Bayaz przekroczył próg pomieszczenia, nie czekając na odpowiedź, więc Logen pospieszył za nim.

Pochodnia czarnoksiężnika oświetliła długą, niską salę o ścianach wzniesionych z kamiennych bloków; jej przeciwległy koniec ginał w ciemności. Pomieszczenie było zastawione półkami, na podłodze stały skrzynie i stojaki pełne wszelkiego rodzaju broni i pancerzy. Kiedy Bayaz stawiał niespieszne kroki na kamiennych płytach posadzki, krążąc po tym arsenale i rozglądając się wokół, ostrza, włócznie i wypolerowane płaszczyzny metalu i drewna migotały odbitym blaskiem pochodni.

– Niezły arsenał – mruknął Logen, podążając za magiem pośród tej rupieciarni.

– Głównie starocie, ale powinno się tu znaleźć kilka rzeczy wartych zainteresowania. – Bayaz zdjął hełm z jakiejś pradawnej pozłacanej zbroi i obejrzał go ze zmarszczonym czołem. – Co o tym myślisz?

– Nigdy nie przepadałem za zbrojami.

– No tak, nie wyglądasz mi na jej wielbiciela. Dobra rzecz na koniu, powiedziałbym, ale to prawdziwa mordęga, kiedy trzeba wędrować na piechotę. – Umieścił hełm z powrotem na stojaku i popatrzył w zamyśleniu na pancerz. – Kiedy już włożysz coś takiego, to jak siusiasz?

Logen zmarszczył czoło.

– E... – zaczął, ale Bayaz już ruszył w głąb sali, zabierając ze sobą światło.

– Musiałeś w swoim czasie posługiwać się różnym orężem, mistrzu Dziewięciopalcy. Co ci najbardziej odpowiada?

– Nigdy nie miałem ulubionego rodzaju broni – wyznał Logen, nurkując pod zardzewiałą halabardą, która sterczała nachylona ze stojaka. – Czempion nigdy nie wie, z czym przyjdzie mu walczyć.

– Oczywiście, oczywiście... – Bayaz wziął do ręki długą włóczęnię z groźnie wyglądającą, nabijaną kolcami głowicą i zamachał nią na próbę, a Logen cofnął się przezornie. – Dość niebezpieczna. Można trzymać ją przeciwnika na dystans. Ale człowiek uzbrojony we włóczęnię potrzebuje wielu przyjaciół, a oni wszyscy też potrzebują włócznie.

Bayaz umieścił broń z powrotem w stojaku i ruszył dalej.

– To wygląda groźnie! – Mag ujął sękatą rękojeść potężnego topora o dwóch ostrzach. – Do

diabła! – stęknął, unosząc go; na szyi wybrzuszyły mu się żyły. – Ciężki, nie ma co mówić! – Opuścił go, waląc nim o podłogę i wprawiając w drżenie stojak. – Można by tym zabić człowieka! Przeciąć go na pół! Gdyby stał nieruchomo.

– To jest lepsze – zauważył Logen.

Był to prosty, solidnie wyglądający miecz w pochwie z brązowej zużytej skóry.

– O, rzeczywiście. Znacznie lepsze. Ostrze to dzieło Kanediasa, samego Mistrza Stwórcy. – Bayaz wręczył pochodnię Logenowi i wyjął długą broń ze stojaka. – Przyszło ci kiedyś do głowy, mistrzu Dziewięciopalcu, że miecz różni się od innych rodzajów broni? Topory, maczugi i temu podobne są dość groźne, ale zwisają u pasa jak tępi brutale. – Przesunął spojrzeniem po rękojeści, zwykłym zimnym metalu z płytkimi wgłębieniami dla tym lepszego uchwytu, połyskującym w blasku pochodni. – Ale miecz... miecz ma swój własny głos.

– He?

– Schowany w pochwie ma niewiele do powiedzenia, ale wystarczy położyć dłoń na rękojeści, a miecz zaczyna szeptać w uchu twego przeciwnika. – Zacisnął palce na rękojeści. – Łagodne ostrzeżenie. Słowo przestrogi. Słyszysz to?

Logen przytaknął z namysłem.

– A teraz – mruknął Bayaz – porównaj to z mieczem wyciągniętym do połowy.

Z pochwy, wydając cichy syk, wysunął się metal na długość dłoni, tuż przy rękojeści zaś błysnęła pojedyncza srebrna litera. Samo ostrze było matowe, lecz jego krawędź odznaczała się zimnym i oszronionym połyskiem.

– Przemawia głośniejszy, czyż nie? Wydaje syk nieklamanej groźby. Składa śmiertelną obietnicę. Słyszysz to?

Logen ponownie przytaknął, nie odrywając oczu od tej błyszczącej krawędzi.

– A teraz porównaj to z mieczem obnażonym do końca. – Bayaz dobył z pochwy długie ostrze, które wydało cichy i dźwięczny śpiew, po czym uniósł je tak, że jego czubek zatrzymał się o włos od twarzy Logena. – Teraz woła, prawda? Wydaje nieustraszony krzyk! Grzmi wyzywająco! Słyszysz to?

– Mhm... – mruknął Logen, odchylając się nieznacznie i przyglądając się spod przymkniętych powiek lśniącemu czubkowi miecza.

Bayaz opuścił broń i, ku uldze Logena, wsunął ostrożnie z powrotem do pochwy.

– Tak, miecz ma swój własny głos. Topory, maczugi i temu podobne są dostatecznie groźne, ale miecz to broń subtelna, odpowiednia dla subtelnych ludzi. Ty, jak sądzę, Logenie Dziewięciopalcu, jesteś subtelniejszy, niż się wydajesz na pierwszy rzut oka.

Logen zmarszczył czoło, gdy Bayaz podał mu miecz. Oskarżano go w życiu o wiele rzeczy, ale nigdy o subtelność.

– Potraktuj to jako podarunek. Moje podziękowania za twe dobre maniery.

Logen zastanawiał się przez chwilę. Nie posiadał porządnej broni od czasu, gdy przekroczył góry, i wcale nie było mu do tego spieszo. Lecz nadchodził Bethod, i to szybko. Lepiej mieć broń i jej nie pragnąć, niż pragnąć jej i nie mieć. O wiele lepiej. Trzeba patrzeć trzeźwo na takie sprawy.

– Dziękuję – powiedział Logen, przyjmując miecz od Bayaza i oddając mu pochodnię. – Tak mi się wydaje.

W palenisku trzaskał niewielki ogień; w pokoju było ciepło, przytulnie i wygodnie.

Logen jednak nie czuł się odprężony. Stał przy oknie i spoglądał na dziedziniec, zdenerwowany, niespokojny i pełen lęku, jak to zwykle przed walką. Bethod nadchodził. Był gdzieś niedaleko. Gdzieś na leśnej drodze, może przejeżdżał właśnie między kamieniami albo przez most, a może już przekraczał bramę.

Pierwszy z Magów nie wydawał się spięty. Siedział wygodnie na krześle, opierając stopy o stół, tuż obok długiej drewnianej fajki, przeglądając z nieznacznym uśmiechem małą oprawioną w białe sukno książkę. Logen nie widział jeszcze, by ktokolwiek zachowywał się z takim spokojem, a to tylko pogarszało jego samopoczucie.

– Czy jest dobra? – spytał.

– Co jest dobre?

– Książka.

– Ach tak. Najlepsza. „Zasady Sztuki” Juvensa, kamień węgielny mojego zakonu. – Bayaz wskazał od niechcienia półki, które zakrywały dwie ściany, i setki starannie ustawionych na nich identycznych książek. – Wszystkie stanowią to samo. Jedną książkę.

– Jedną? – Logen przesunął wzrokiem po grubych białych grzbietach. – To diabelnie długa książka. Przeczytałeś całą?

Bayaz parsknął śmiechem.

– O tak, wielokrotnie. Każdy z mojego zakonu musi ją przeczytać i w końcu zrobić własną kopię. – Odwrócił książkę, by Logen mógł ją zobaczyć. Stronice były gęsto pokryte linijkami starannie nakreślonych, ale niezrozumiałych znaków. – Napisałem je dawno temu. Ty też powinieneś to przeczytać.

– Kiepski ze mnie czytelnik.

– Tak? – zdziwił się Bayaz. – Wstyd.

Przewrócił kolejną stronę i zagłębił się w lekturze.

– A ta? – zwrócił się do niego Logen. Na najwyższej półce, bokiem, spoczywała samotnie inna książka, wielka i czarna, naznaczona rysami i podniszczona. – Tę też napisał ten Juvens?

Bayaz spojrzał ze zmarszczonym czołem.

– Nie. Napisał ją jego brat. – Wstał z krzesła, przeciągnął się i zdjął ją z półki. – To inny rodzaj wiedzy. – Uniósł pulpit swojego biurka, wsunął do schowka książkę i zatrzasnął. – Lepiej zostawić ją w spokoju – mruknął, ponownie siadając i otwierając „Zasady Sztuki”.

Logen odetchnął głęboko, położył lewą dłoń na rękojeści miecza i poczuł, jak zimny metal napiera na jego dłoń. Jego dotyk nie dodał mu pewności siebie. Cofnął rękę i odwrócił się do okna, po czym spojrzał na dziedziniec. Oddech uwiązł mu w krtani.

– Bethod. Już przybył.

– Dobrze, dobrze – mruknął od niechcienia Bayaz. – Kto z nim jest?

Logen przyjrzał się z uwagą trzem postaciom na dziedzińcu.

– Scale – oznajmił z grymasem na twarzy. – I kobieta. Nie poznaję jej. Zsiadają z koni. – Logen obliznął suche wargi. – Idą tu.

– Tak, tak – mruknął Bayaz. – Muszą tu wejść, jeśli chcą się z nami spotkać. Spróbuj się uspokoić, mój przyjacielu. Oddychaj.

Logen oparł się o pobielaną ścianę, skrzyżował ramiona i wziął głęboki oddech. Nie pomogło. Twardy węzeł niepokoju, który dławił mu pierś, zacisnął się jeszcze mocniej. Słyszał dobiegające z korytarza ciężkie kroki. Gałka w drzwiach obróciła się z wolna.

Do pokoju jako pierwszy wkroczył Scale. Najstarszy syn Bethoda zawsze był krzepki, nawet

jako chłopiec, ale od czasu, gdy Logen widział go po raz ostatni, wyrósł niemal monstrualnie. Głowa przypominała kamień, który poniewczasie osadzono na potężnej sylwetce, czaszka zaś wydawała się znacznie węższa od karku. Odznaczał się potężną, masywną szczęką, płaskim nosem i wściekłymi, wyłupiastymi, aroganckimi oczkami. Cienkie usta wykrzywiał bezustannie szyderyczy uśmiech, jak u młodszego brata Caldera, ale było w nim znacznie mniej przebiegłości, a więcej okrucieństwa. Miał przypasany pałasz, a mięsista dłoń ani na chwilę się od niego nie oddalała, gdy spoglądał gniewnym wzrokiem na Logena; każdy por jego ciała zdawał się emanować nienawiścią.

Następnie weszła kobieta, bardzo wysoka, szczupła i blada, o niemal chorowitym wyglądzie. Jej skośne oczy były wąskie i tak zimne, jak gniewne i wyłupiaste były oczy Scale'a, i okolone czarną farbą, przez co wydawały się jeszcze węższe i jeszcze zimniejsze. Na palcach miała złote pierścienie, na cienkich rękach złote bransolety, na białej szyi złote łańcuchy. Omiotła spojrzeniem lodowatych niebieskich oczu wewnątrz; można było odnieść wrażenie, że wszystko, na czym spoczął jej wzrok, tylko potęgowało w niej odrazę i pogardę. Najpierw meble, potem książki, wreszcie Logen – on szczególnie – i na koniec Bayaz.

Samozwańczy król Północnych wszedł do pokoju jako ostatni, jawiąc się jeszcze wspanialej niż kiedykolwiek, odziany w bogatą, barwną szatę i niezwykle rzadkie białe futro. Na piersiach nosił ciężki złoty łańcuch, na głowie miał złoty diadem z diamentem wielkim niczym ptasie jajo. Uśmiechniętą twarz znaczyły głębsze zmarszczki i bruzdy niż Logen zapamiętał, włosy i broda zaś były przyprószone siwizną, nie wydawał się jednak niższy, mniej energiczny czy przystojny, wręcz przeciwnie, zyskał na autorytecie i mądrości – nawet majestacie. Wyglądał pod każdym względem na wielkiego, mądrego i sprawiedliwego człowieka. Wyglądał na króla. Logen nie dał się jednak zwieść tym pozorom.

– Bethod! – oznajmił Bayaz ciepło, zamykając książkę. – Mój stary przyjacielu! Nie wyobrażasz sobie, jaka to radość znów cię zobaczyć. – Zdjął nogi ze stołu, po czym wskazał złoty łańcuch na piersi króla i połyskujący diament. – I to zobaczyć w takim przepychu! Pamiętam czasy, gdy byłeś szczęśliwy, mogąc zjawić się u mnie w pojedynkę. Ale przypuszczam, że wielcy mężowie wymagają odpowiedniej świty, i widzę, że przyprowadziłeś ze sobą pewnych... ludzi. Twego uroczego syna znam, oczywiście. Jak widzę, przynajmniej dobrze się odżywiałeś, co, Scale?

– Książę Scale – zagrzmiał monstrualny syn Bethoda, jeszcze bardziej wybałuszając oczy.

– Hm... – mruknął Bayaz, unosząc brew. – Nie miałem jednakże przyjemności poznania twojej drugiej towarzyszki.

– Jestem Caurib.

Logen zamrugał zdumiony. Nigdy nie słyszał niczego równie pięknego jak głos tej kobiety. Był kojący, krzepiący, hipnotyzujący.

– Jestem czarodziejką – dodała śpiewnie, odrzucając do tyłu głowę z pogardliwym uśmiechem. – Czarodziejką z najdalszej północy.

Logen stał jak skamieniały, otworzywszy usta. Jego nienawiść gdzieś się ulotniła. Byli tu sami przyjaciele. Więcej niż przyjaciele. Nie mógł oderwać od niej wzroku, nie chciał tego zrobić. Pozostali rozplynęli się w nicości. Wydawało się, jakby przemawiała tylko do niego, a najgorętszym pragnieniem jego serca było to, by nigdy nie przestała...

Bayaz jednak tylko się roześmiał.

– Prawdziwa czarodziejka, i to o złotym głosie! Wspaniale! Upłynęło dużo czasu od chwili, gdy słyszałem taki, tu jednak nie przyda ci się na nic.

Logen potrząsnął głową, by się ocknąć, i nienawiść powróciła, gorąca i niezaprzeczalna.

– Powiedz mi, czy trzeba długo się uczyć, by zostać czarodziejką? Czy też jest to tylko kwestia

kosztowności i grubej farby na twarzy?

Oczy Caurib zwięziły się do rozmiaru wąskich szparek, ale Pierwszy z Magów nie dopuścił jej do głosu.

– I to z najgłębszej północy, coś takiego! – Wstrząsnął się nieznacznie. – Musi być tam zimno o tej porze roku. Sutki marzną, co? Zjawiałaś się tu, by zakosztować ciepłej pogody czy też chodzi o coś innego?

– Idę tam, gdzie rozkaże mi mój król – syknęła, unosząc spiczastą brodę nieco wyżej.

– Twój król? – spytał Bayaz, rozglądając się zdziwionym wzrokiem po pokoju, jakby ktoś jeszcze skrywał się w kącie.

– Mój ojciec jest teraz królem Północnych! – warknął Scale i spojrzał z szyderczym uśmiechem na Logena. – Powinieneś klęknąć przed nim, Krwawy-dziewięć! – Potem spojrzał na Bayaza. – I ty też, starcze!

Pierwszy z Magów rozłożył ręce przeproszającym gestem.

– Och, obawiam się, że nie klękam przed nikim. Za stary jestem. Sztywność stawów, pojmujesz.

Scale ruszył do przodu, stawiając ciężki krok, który zagrzmiał na podłodze niczym łomot, i niemal rzucając przekleństwo, ale jego ojciec położył mu łagodnie dłoń na ramieniu.

– Spokojnie, synu, nie ma potrzeby, by ktokolwiek tu klękał. – Głos miał zimny i niewzruszony jak świeżo spadły śnieg. – Nie wypada się spierać. Czyż nie chodzi nam o to samo? O pokój? O pokój dla Północy? Przyszedłem prosić jedynie o twą mądrość, Bayazie, tak jak czyniłem to w przeszłości. Czy to coś złego szukać pomocy u starego przyjaciela?

Nikt nigdy nie przemawiał w sposób bardziej szczerzy i rozsądny, wzbudzający ufność. Lecz Logen nie dał się zwieść.

– Ale czyż nie mamy pokoju na Północy? – Bayaz rozsiadł się wygodnie i złączył przed sobą dłonie. – Czyż właśnie rodowe nie dobiegły końca? Czyż nie jesteś zwycięzcą? Królem Północnych? Jakiej to pomocy mógłbym ci udzielić?

– Dzielę się radą tylko z przyjaciółmi, Bayaz, a ty nie byłeś ostatnio przyjacielem. Odprawiałeś moich wysłanników, nawet mojego syna. Ugościłeś mych zaprzysięgłych wrogów. – Spojrzał na Logena, krzywiąc usta. – Wiesz, co to za osobnik? Ten Krwawy-dziewięć? Zwierzę! Tchórz! Wiarołomca! Czy takie towarzystwo wolisz?

Bethod, obróciwszy się w stronę Bayaza, znów przybrał ten przyjacielski uśmiech, ale nie umniejszało to groźby obecnej w jego słowach.

– Obawiam się, że nadeszła pora, byś zdecydował, czy jesteś ze mną, czy przeciwko mnie. Nie ma trzeciej drogi. Albo stanowisz część mojej przyszłości, albo relikw przesłości. Wybór należy do ciebie, mój przyjacielu.

Logen widywał już wcześniej, jak Bethod stawiał ludzi przed takim wyborem. Niektórzy mu ulegali. Pozostali szli do ziemi. Bayaz jednak zdawał się nieporuszony.

– Cóż więc to będzie? – Pochylił się z wolna i sięgnął po fajkę leżącą na stole. – Przyszłość czy przeszłość?

Zbliżył się do paleniska i przykucnął, obrócony plecami do trojga swych gości, po czym wyjął z ognia rozżarzony patyk, przytknął go do tytoniu w główce i zaczął pykać. Wydawało się, że rozpalenie przeklętej fajki zabrało mu całe wieki.

– Z tobą czy przeciwko tobie? – spytał zamyślony, wracając na swoje miejsce.

– Więc? – rzucił wyzywająco Bethod.

Bayaz wlepił spojrzenie w sufit i wypuścił z ust wąską strużkę żółtego dymu. Caurib spoglądała na starego maga z lodowatą pogardą, Scale drżał z niecierpliwości, Bethod czekał, mrużąc



nieznacznie oczy. W końcu Bayaz westchnął ciężko.

– Doskonale. Jestem z tobą.

Bethod uśmiechnął się szeroko, Logen zaś poczuł ukłucie straszliwego rozczarowania. Miał nadzieję, że Pierwszy z Magów zachowa się inaczej. Cóż to za głupota – wiecznie żywić jakąś nadzieję.

– Dobrze – mruknął król Północnych. – Wiedziałem, że w końcu uznasz słuszność moich racji. – Oblizął z wolna wargi, jak człowiek, przed którym postawiono dobre jedzenie. – Zamierzam najechać Angland.

Bayaz uniósł brew, potem zaczął chichotać, wreszcie walnął pięścią w stół.

– Och, to świetnie, wprost doskonale! Uważasz, że pokój nie przystoi twemu królestwu, co, Bethod? Klany nie są nawykłe do przyjaznych uczuć, prawda? Nienawidzą się nawzajem i nienawidzą ciebie, mam słuszność?

– No cóż – uśmiechnął się Bethod. – Są odrobinę niespokojne.

– Jestem pewien! Ale wystarczy wysłać je na wojnę z Unią, a staną się jednym narodem, co? Zjednoczone przeciwko wspólnemu wrogowi, oczywiście. A jeśli zwyciężysz? Będziesz człowiekiem, który dokonał niemożliwego! Człowiekiem, który wygnał przeklętych południowców z Północy! Będziesz uwielbiany, a w każdym razie groźniejszy niż kiedykolwiek. Jeśli zaś przegrasz... no cóż, przynajmniej klany będą miały zajęcie przez jakiś czas i stracą podczas wojny trochę ze swej siły. Przypominam już sobie, dlaczego tak bardzo cię lubiłem. Doskonały plan!

Bethod wyglądał na niezwykle z siebie zadowolonego.

– Oczywiście. I nie przegramy. Unia jest słaba, arogancka, nieprzygotowana. Z twoją pomocą...

– Z moją pomocą? – przerwał mu Bayaz. – Zbyt dużo się po mnie spodziewasz.

– Ale przed chwilą...

– Ach, o to chodzi? – Mag wzruszył ramionami. – Jestem kłamcą.

Spokojnie podniósł fajkę do ust. Zapadło pełne osłupienia milczenie.

Bethod zmrużył oczy. Caurib szeroko je otworzyła. Scale, zaskoczony, zmarszczył szerokie czoło. Na twarz Logena z wolna powrócił uśmiech.

– Kłamcą? – syknęła czarodziejka. – I nie tylko, powiedziałaabym! – W jej głosie wciąż słychać było melodyjną nutę, ale jej brzmienie było już inne – twarde, przenikliwe, morderczo ostre. – Ty stary robaku! Chowasz się za swoimi murami, sługami i książkami! Twój czas dawno przeminął, głupcze! Pozostały z ciebie jedynie słowa i kurz starości!

Pierwszy z Magów wydał tylko usta i wypuścił kłęb dymu.

– Słowa i kurz, stary robaku! No cóż, zobaczymy. Przyjdziemy do twojej biblioteki!

Czarnoksiężnik odłożył starannie fajkę na stół. Z główki wciąż dobywała się strużka dymu.

– Wrócimy do twojej biblioteki i potraktujemy jej ściany młotem, sługi mieczem, a książki ogniem! I...

– Milczeć.

Bayaz marszczył teraz czoło, jeszcze bardziej niż podczas rozmowy z Calderem na dziedzińcu, kilka dni wcześniej. I znów Logena ogarnęła chęć, by się cofnąć, tyle że silniejsza niż wtedy. Przyłapał się na tym, że wodzi wokół wzrokiem w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. Caurib wciąż poruszała ustami, ale dobywał się z nich tylko niezrozumiały skrzek.

– Zburzyć moje ściany, tak? – mruknął Bayaz. Jego siwe brwi zbiegły się ku sobie, a na czole pojawiła się głęboka bruzda. – Zabić moje sługi, tak?

W pokoju zrobiło się przenikliwe zimno, choć w palenisku płonęły drwa.

– Spalić moje książki? – zagrzmał. – Powiedziałaś zbyt dużo, wiedźmo!

Pod Caurib ugięły się kolana. Próbowwała uchwycić się rozcapierzoną białą dłonią framugi drzwi. Łańcuchy i bransolety zabrzęczały, gdy osunęła się na ścianę.

– Słowa i kurz, tak? – Bayaz wyciągnął gwałtownym ruchem cztery palce. – Dostałeś ode mnie cztery dary, Bethod – słońce w zimie, deszcze w lecie i jeszcze dwie rzeczy, których nigdy byś nie poznał, gdyby nie moja Sztuka. A co dałeś w zamian? To jezioro i dolinę, które i tak należały do mnie, i jeszcze tylko jedno.

Bethod zerknął na Logena, potem znów spojrzął na maga.

– Wciąż jesteś mi coś winien, a ślesz mi posłańców, stawiasz żądania i śmiesz rozkazywać? Nie tak pojmuję dobre maniery.

Scale zrozumiał w końcu, o co chodzi, i teraz oczy wychodziły mu niemal z orbit.

– Maniery? A po co królowi maniery? Król bierze to, czego chce! – powiedział i postąpił krok w stronę stołu.

Scale był wielki i okrutny, to pewne. Nikt nie potrafiłby równie sprawnie jak on kopać człowieka, który już leżał. Logen jednak nie leżał jeszcze, poza tym miał dość słuchania tego nadętego głupca. Zastąpił drogę Scale'owi, opierając dłoń na rękojeści miecza.

– Ani kroku dalej.

Książę spojrzął na Logena wylupiastymi oczami, wznosił mięsistą pięść, tak zaciskając palce, że zbieleły mu kłykcie.

– Nie kuś mnie, Dziewięciopalcy, ty przetrącony kundlu! Twoje dni już dawno przeminęły! Mógłbym cię zgnieść jak jajko!

– Możesz spróbować, ale nie zamierzam cię przepuścić. Znasz moją robotę. Jeszcze jeden krok i zabiorę się do ciebie, ty otyła świnię.

– Scale! – warknął Bethod. – Nie mamy tu nic do roboty, to dostatecznie jasne. Idziemy!

Zwalisty książę zacisnął potężną szczękę, wielkie dłonie zwijały się spazmatycznie w pięści. Patrzył na Logena z niewyobrażalną zwierzęcą nienawiścią. Potem uśmiechnął się szyderczo i cofnął.

Bayaz nachylił się.

– Powiedziałeś, że przyniosłbyś Północy pokój, Bethod, a co zrobiłeś? Jedna wojna za drugą! Ziemia jest czerwona od twojej dumy i okrucieństwa. Król Północnych? Ha! Nie zasługujesz na żadną pomoc! I pomyśleć, że łączyłem z tobą takie nadzieje!

Bethod tylko zmarszczył czoło; jego oczy przypominały zimne diamenty.

– Zrobiłeś sobie ze mnie wroga, Bayazie, a ja jestem groźnym wrogiem. Najgorszym, jakiego można mieć. Pożałujesz jeszcze tego dnia. – Obrócił się z pogardą w kierunku Logena. – A jeśli chodzi o ciebie, Dziewięciopalcy, to nigdy więcej nie oczekuj po mnie litości! Od tej pory każdy człowiek Północy jest twoim przeciwnikiem. Będziesz znieawidzony, ścigany, przeklinany, gdziekolwiek się udasz! Dopilnuję tego!

Logen wzruszył ramionami. Nie usłyszał nic nowego. Bayaz podniósł się z krzesła.

– Powiedziałeś swoje, a teraz zabieraj tę czarownicę i wynoś się stąd.

Caurib pierwsza wytoczyła się z pokoju, wciąż łapiąc powietrze. Scale posłał Logenowi jeszcze jedno pogardliwe spojrzenie, potem odwrócił się i wyszedł swoim ciężkim krokiem. Tak zwany król Północnych wyszedł jako ostatni, przytakując z namysłem i obrzucając wewnątrz komnaty śmiertelnie gniewnym spojrzeniem. Kiedy ich kroki ucichły w głębi korytarza, Logen odetchnął głęboko, uspokoił się i oderwał dłoń od rękojeści miecza.

– No! – oznajmił Bayaz. – Poszło dobrze.

# Droga między dwoma dentystami

Minęła północ i Środkowa Droga tonęła w ciemnościach. W ciemnościach i smrodzie. Na nabrzeżu zawsze cuchnęło paskudnie: stęchlą słoną wodą, zgniłymi rybami, smołą, potem i końskim nawozem. Po kilku godzinach jednak ulica zaczęłaby rozbrzmiewać gwarem i tętnić życiem. Krzyki przekupni, przekleństwa tragarzy uginających się pod pakunkami, kupcy spieszący tu i tam, setki wózków i dużych wozów przejeżdżających z łomotem po brudnych kamieniach bruku. Nieskończona fala ludzka, zstępująca tłumnie ze statków i prąca wielką ciżbą przed siebie, ludzie z wszystkich zakątków świata, słowa wykrzykiwane w każdym języku pod słońcem. Lecz nocą panowała tu bezruch. Bezruch i cisza.

„Cisza jak w grobie i jeszcze gorszy smród”.

– To tutaj – oznajmił Severard, ruszając w stronę zaciemnionego wylotu uliczki wciśniętej między dwa majaczące w mroku budynki magazynów.

– Sprawił ci dużo kłopotu? – spytał Glokta, wlokąc się boleśnie za praktykiem.

– Nie za dużo.

Severard uniósł maskę, wpuszczając pod nią trochę powietrza.

„Pewnie twarz mu się lepi; ten oddech i pot. Nic dziwnego, że praktycy miewają złe nastroje”.

– Sprawił trochę kłopotu materacowi Rewsa, pociął go na kawałki. Potem Frost walnął drania w głowę. Zabawne. Kiedy chłopak wali kogoś w łeb, ten ktoś przestaje sprawiać jakiegokolwiek kłopoty.

– Co z Rewsem?

– Wciąż żyje.

Światło lampy Severarda przesunęło się po cuchnących resztkach. Glokta usłyszał pisk czmychających szcurków.

– Znasz najlepsze okolice w tym mieście, co, Severard?

– Za to mi płacą, inkwizytorze.

Brudny czarny but praktyka zanurzył się z mlaskaniem w cuchnącej mazi. Glokta ominął ją kulejącym krokiem, unosząc wysoko brzeg płaszcza.

– Dorastałem niedaleko stąd – ciągnął praktyk. – Prości ludzie, którzy tu mieszkają, nie zadają pytań.

– Prócz nas.

„Zawsze je zadajemy”.

– Oczywiście. – Severard parsknął zduszonym chichotem. – Jesteśmy Inkwizycją.

Blask jego lampy dobył z mroku wygiętą żelazną bramę i wysoki mur, zwieńczony zardzewiałymi szpikulcami.

– To tutaj.

„Rzeczywiście; niezwykle obiecujący adres”.

Brama najwidoczniej nie była zbyt często otwierana, jej brązowe zawiasy zaprotestowały skrzekliwie, kiedy praktyk otworzył ją i pchnął. Glokta przeszedł niezgrabnie nad kałużą, która utworzyła się w zagłębieniu w ziemi, i zaklął, gdy brzeg jego płaszcza zamoczył się w brudnej wodzie.

Zawiasy jęknęły ponownie, kiedy Severard zamknął bramę z powrotem, marszcząc z wysiłku

czoło; potem zdjął z lampy kaptur, oświetlając szeroki dziedziniec ze zdobieniami, zasłany gruzem, porośnięty chwastami i zaśmiecony kawałkami drewna.

– No i jesteśmy na miejscu – oświadczył.

Musiał to być niegdyś wspaniały dziedziniec.

„Ile kosztowały te wszystkie okna? Ile kosztowały te wszystkie kamienne zdobienia? Goście musieli być oszołomieni bogactwem właściciela, jeśli nie jego smakiem”.

Ale już nie teraz. Okna pozabijano próchniejącymi deskami, kamienne zawijasy porastało zielsko i upstrzyły odchody ptaków. Cienka warstwa zielonego marmuru na filarach była popękana i pooblupywana, spod spodu wзираł zawilgocony tynk. Wszystko wydawało się skruszałe, połamane i zbutwiałe. Wszędzie wały się kawałki fasady, rzucając długie cienie na mury dziedzińca. Głowa cheruba, z której została tylko połowa, spoglądała żałośnie na Gloktę, gdy ten przechodził swym kuśtykającym krokiem obok.

Spodziewał się jakiegoś brudnego magazynu, jakiejś wilgotnej piwnicy niedaleko wody.

– Co to za miejsce? – spytał, przyglądając się podupadłemu pałacowi.

– Zbudował go lata temu jakiś kupiec. – Severard kopnął obłupany kawałek rzeźby, który leżał mu na drodze. Gruz potoczył się hałaśliwie w ciemność. – Bogaty człowiek, bardzo bogaty. Pragnął mieszkać obok swoich składów i nabrzeży, mieć oko na interes. – Wspiął się po splekanych, omszałych schodach i stanął przed wielkimi drzwiami, z których obłaziła farba. – Myślał, że to dobry pomysł, ale czy mogło się udać? Kto chciałby tu mieszkać bez konieczności? Potem stracił wszystkie pieniądze, jak to się zdarza kupcom. Jego kredytodawcy nie mogli znaleźć chętnego na tę ruinę.

Glokta obrzucił spojrzeniem pękniętą fontannę, która przechylała się, wypełniona stojącą wodą.

– Trudno się dziwić.

Lampa Severarda ledwie oświetlała przepastny hol wejściowy. Z mroku wyłaniały się dwie wielkie kondygnacje kręconych i zapadniętych schodów. Na wysokości piętra biegł wokół ścian szeroki balkon, ale znaczna jego część runęła i przebiła wilgotne deski podłogowe; jedna z kondygnacji kończyła się nagle jak amputowana, zwisając w powietrzu. Przegniła posadzka zasłana była kawałkami tynku, dachówkami, połamanym drewnem i odchodami ptaków. Przez dziury ziejące w dachu zaglądało do wnętrza nocne niebo. Glokta słyszał ciche gruchanie gołębi i powolne kapanie wody, dobiegające spomiędzy pograżonych w mroku belek.

„Cóż za miejsce. – Stłumił uśmiech. – „Przypomina mi poniekąd mnie samego. Ono i ja byliśmy niegdyś wspaniali i oboje mamy najlepsze dni już za sobą”.

– Jest tu dość przestronnie, nie sądzi pan? – spytał Severard, który skierował się ku ziejącemu pustką wejściu pod amputowaną kondygnacją, stąpając ostrożnie pośród rumowiska; jego lampa rzucała dziwne ukośne cienie.

– Och, tak mi się wydaje, chyba że za jednym zamachem umieścilibyśmy tutaj ponad tysiąc więźniów.

Glokta ruszył z wysiłkiem za swym praktykiem, wspierając się ciężko na lasce i stawiając ostrożnie kroki na śliskiej podłodze.

„Pośliznę się i upadnę na tyłek, prosto w te ptasie gówna. Byłoby wspaniale”.

Łukowate sklepienie wejścia otwierało się na zdewastowany korytarz, którego tynk odpadał płatami i odsłaniał wilgotne cegły. Po obu stronach można było dostrzec pograżone w mroku liczne drzwi.

„Miejsce, które przyprawiałoby człowieka o niepokój, gdyby ten łatwo mu ulegał. Mógłby sobie wyobrazić, że w tych rozjaśnionych blaskiem lampy komnatach dzieją się nieprzyjemne rzeczy, przerażające zaś w ciemności”.

Spojrzał na Severarda, który kroczył żwawo przodem i pogwizdywał po swojemu zza maski tłumiącej dźwięk pozbawiony melodii. Glokta zmarszczył czoło.

„Ale my nie jesteśmy skłonni do niepokoju. Być może te nieprzyjemne rzeczy to właśnie my. Być może te przerażające są naszym dziełem”.

– Jak duży jest ten budynek? – spytał, kuśtykając za praktykiem.

– Trzydzieści pięć pokoi, nie licząc służbówek.

– Istny pałac. Jak u diabła go znalazłeś?

– Zdarzało się, że nocowałem tutaj. Po śmierci matki. Znalazłem wejście. Dach trzymał się jeszcze jako tako. Mogłem się tu przespać, było sucho. Sucho i bezpiecznie. Mniej więcej.

„Och, jakież to musiało być ciężkie życie. Rola zbira i kata to dla ciebie awans, prawda? Każdy człowiek ma swoje wymówki i im bardziej staje się podły, tym bardziej wzruszającą opowieść chowa w zanadrzu. A jaką opowieść ja skrywam?”.

– Jesteś niewyczerpanym źródłem pomysłów, Severard. Jak zawsze.

– Za to mi pan płaci, inkwizytorze.

Znaleźli się w rozległym pomieszczeniu: salonie, gabinecie, może nawet sali balowej, w każdym razie dość przestronnej. Ze ścian obwisały piękne niegdyś panele, teraz pokryte pleśnią i obłazącą pozłotą. Severard podszedł do jednego z nich, który wciąż był solidnie przytwierdzony, i pchnął mocno jego krawędź. Rozległ się cichy trzask, gdy panel się uchylił, odsłaniając mroczne sklepienie przejścia.

„Ukryte drzwi? Jakież to zachwycające. Jakież posępne. Jakież odpowiednie”.

– To miejsce jest pełne niespodzianek, tak jak ty – zauważył Glokta, kuśtykając boleśnie w stronę wejścia.

– Nie uwierzyłby pan, jaką cenę uzyskałem.

– Kupiliście ten pałac?

– Nie, nie my. Ja kupiłem. Za pieniądze Rewsa. A teraz wynajmuję go panu. – Oczy Severarda zamigotały w blasku lampy. – To istna kopalnia złota.

– Ha! – parsknął śmiechem Glokta, zstępując ostrożnie ze schodów.

„Praktyk z głową do interesów. Może któregoś dnia będę pracował dla arcyrektora Severarda. Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy”.

Inkwizytor schodził na dół niczym krab, poprzedzony własnym cieniem, wyszukując prawą dłońią szczeliny między surowymi kamieniami, by zapewnić sobie odrobinę oparcia.

– Piwnice ciągną się bez końca – mruknął Severard zza jego pleców. – Mamy dostęp do kanałów i ścieków, jeśli to pana interesuje.

Minęli mroczną czeluść po lewej stronie, potem drugą po prawej, cały czas schodząc coraz niżej.

– Frost twierdzi, że można stąd dotrzeć do samego Agriontu, nie wychodząc ani razu na powierzchnię.

– Powiedziałbym, że to użyteczne.

– Owszem, jeśli ktoś byłby w stanie znieść ten smród.

Światło lampy Severarda odnalazło ciężkie drzwi z niewielkim, zakratowanym otworem.

– Znów w domu – oświadczył i zapukał szybko cztery razy. W małym okienku zamajaczyła nagle zamaskowana twarz praktyka Frosta. – To tylko my.

Oczy albinosa nie zdradzały śladu serdeczności, nie okazał też niczym, że zna nowo przybyłych.

„Trzeba jednak pamiętać, że zawsze się tak zachowuje”.

Po drugiej stronie odezwały się ciężkie zasuwki i po chwili drzwi otworzyły się lekko.

W środku znajdował się stół i krzesło, w ścianach tkwiły świeże pochodnie, ale żadna się nie paliła.

„Musiała tu panować smolista ciemność, dopóki nie zjawiliśmy się ze swoją lampą”.

Glokta spojrział na albinosa.

– Siedziałeś tu po ciemku?

Potężny i zwalisty praktyk wzruszył tylko ramionami.

– Czasem martwię się o ciebie, Frost. Naprawdę.

– Jest tutaj – wyjaśnił Severard, ruszając w głąb pomieszczenia. Jego obcasy stukały głośno na kamiennych płytach podłogi.

Była to kiedyś zapewne piwnica z winami: po obu stronach widniały beczkowato sklepione komory, do których dostępu broniły ciężkie kraty.

– Glokta! – Salem Rews zaciskał palce na stalowych prętach, przywierając do nich twarzą.

Glokta stanął przed celą i dał odpocząć pulsującej bólem nodze.

– Jak się masz, Rews? Nie spodziewałem się, że ujrzę cię tak szybko.

Więzień stracił na wadze, skórę miał bladą i obwisłą, wciąż ze śladami sińców.

„Nie wygląda dobrze. W żadnym razie”.

– Co się dzieje, Glokta? Dlaczego tu jestem, błagam, powiedz.

„No cóż, trzeba mu to wyjaśnić”.

– Wydaje się, że arcylektor chce cię wykorzystać. Pragnie, byś złożył zeznanie. – Glokta nachylił się ku kratom i wyszeptał: – Przed Otwartą Radą.

Rews zbladł jeszcze bardziej.

– A co potem?

– Zobaczymy.

„Angland, Rews, Angland”.

– A jeśli odmówię?

– Odmówisz arcylektorowi? – parsknął śmiechem Glokta. – Nie, nie, nie, Rews. Lepiej, żebyś tego nie robił.

Odwrócił się i pokuśtykał za Severardem.

– Na litość boską! Tu jest ciemno! – wrzasnął za nim Rews.

– Przywykniesz! – zawołał Glokta przez ramię.

„Zdumiewające, do czego może przywyknąć człowiek”.

W ostatniej komorze przebywał ich nowy więzień. Przykuty łańcuchem do wspornika tkwiącego w ścianie, nagi i oczywiście z workiem na głowie. Był niski i krępy, z lekkimi zaczątkami otyłości; na jego kolanach widniały świeże zadrapania, zapewne rezultat brutalnego wrzucenia do kamiennej celi.

– A więc to jest nasz zabójca, he?

Mężczyzna dźwignął się z kolan, słysząc głos Glokty, i napał z całej siły na łańcuchy. Przez worek, który miał na głowie, przesączyło się trochę krwi, tworząc na surowym materiale brązową plamę.

– Bardzo podejrzany osobnik – zauważył Severard. – Choć nie wygląda teraz groźnie, prawda?

– Nigdy tak nie wyglądają, kiedy już znajdą się pod naszą opieką. Gdzie będziemy pracować?

Oczy Severarda uśmiechnęły się jeszcze bardziej.

– Och, jestem pewien, że pomieszczenie spodoba się panu, inkwizytorze.

– Miejsce nieco teatralne – zauważył Glokta. – Co nie znaczy, że pod jakimkolwiek względem gorsze.

Pokój o kopułowym sklepieniu był duży i okrągły, a jego koliste ściany pokrywało ciekawe malowidło. Na trawie leżał jakiś mężczyzna, krwawiąc z licznych ran, w głębi zaś widniał las. Jedenastu oddalających się ludzi – pięciu po jednej stronie, sześciu po drugiej – uchwycono z profilu. Mieli niezgrabne pozy i byli ubrani na biało, można było jednak dostrzec niewyraźne rysy twarzy. Byli obrócenii w stronę innego mężczyzny, który rozkładał szeroko ramiona, cały w czerni, na tle nieporadnie namalowanego barwnego ognia. W ostrym świetle sześciu lamp obraz nie wyglądał korzystnie, wręcz tracił.

„Trudno mówić o jakimkolwiek mistrzostwie, to bardziej dzieło dekoracyjne niż sztuka, ale efekt jest mimo wszystko uderzający”.

– Nie mam pojęcia, co to ma przedstawiać – wyznał Severard.

– Mith Stwyca – wymamrotał praktyk Frost.

– Oczywiście – przytaknął Glokta, wpatrując się w ciemną postać na tle płomieni. – Powinieneś studiować swoją historię, Severard. To Mistrz Stwórca, Kanedias. – Odwrócił się i wskazał umierającą postać na przeciwległej ścianie. – A to jest wielki Jovens, którego zabił. – Zatoczył ręką łuk, obejmując nim postacie w bieli. – To zaś uczniowie Jovensa, magowie, którzy ruszają, by go pomścić.

„Opowieści o duchach, w sam raz, żeby straszyć dzieci”.

– Kto płaci, żeby mieć na ścianach swojej piwnicy takie gówno? – spytał Severard, potrząsając głową.

– Och, tego rodzaju rzeczy były swego czasu niezwykle popularne. W pałacu królewskim zauważyłem identycznie pomalowany pokój. To jest kopia, i to kiepska. – Glokta podniósł wzrok na pograżoną w cieniu twarz Kanediasa, spoglądającą posępnie w głąb pomieszczenia, i skrwawione zwłoki na przeciwległej ścianie. – Mimo wszystko jest w tym coś niepokojącego, nieprawdaż? – „Choć niewiele mnie to obchodzi”. – Krew, ogień, śmierć, zemsta. Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś chciałby mieć coś takiego w piwnicy. Być może nasz przyjaciel kupiec skrywał jakąś mroczną tajemnicę.

– Zawsze jest coś mrocznego w człowieku, który ma pieniądze – zauważył Severard. – A ci dwaj to kto?

Glokta zmarszczył czoło, wpatrując się w malowidło. Pod rozpostartymi ramionami, po obu bokach Stwórcy, można było dostrzec dwie niewielkie i niewyraźne postaci.

– Kto wie? – mruknął Glokta. – Może to jego praktycy?

Severard wybuchnął śmiechem. Nawet zza maski Frosta dobiegło stłumione westchnienie, choć jego oczy nie zdradzały rozbawienia.

„No, no, musi być naprawdę w dobrym humorze”.

Glokta pokiwał głową do stołu na środku pomieszczenia. Po obu stronach gładkiej, wypolerowanej powierzchni blatu ustawiono dwa krzesła. Jedno było zwykłym twardym siedziskiem z rodzaju tych, jakie znajdowały się w Domu Pytań, ale drugie sprawiało o wiele większe wrażenie, przypominało niemal tron – szerokie podłokietniki i wysokie oparcie obite brązową skórą.

Glokta oparł łaskę o stół i usadowił się ostrożnie, walcząc z bólem w plecach.

– Och, wspaniałe krzesło – sapnął, zagłębiając się z wolna w miękką skórę i wyciągając przed

siebie nogę, która pulsowała od długiej i męczącej wędrówki. Poczul pod stopą jakąś przeszkodę. Zajrzał pod stół i zobaczył podnózek. Odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– Och, to wspaniałe! Doprawdy, nie musieliście zadawać sobie tyle trudu!

Ułożył wygodnie nogę na taborecie, wzdychając z ulgą.

– Przynajmniej tyle mogliśmy zrobić – zauważył skromnie Severard, który skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o ścianę tuż obok krwawiącego Juvensa. – Skorzystaliśmy na historii z pańskim Rewsem, i to nieźle. Zawsze nas pan dobrze traktował, a my o tym nie zapominamy.

– Umh – dodał Frost, przytakując.

– Psujecie mnie, doprawdy.

Glokta pogłaskał wypolerowane drewno na podłokietniku.

„Moi chłopcy. Gdzie byłbym teraz, gdyby nie wy? Z powrotem w domu, leżąc w łóżku; matka skakałaby nade mną i zastanawiała się zapewne, jak znajdzie dziewczynę, która zechce za mnie wyjść”.

Zerknął na instrumenty na stole. Była tam oczywiście jego kasetka i kilka innych rzeczy noszących śladu użytku, ale wciąż jak najbardziej skutecznych. Jego wzrok przyciągnęły zwłaszcza obcęgi o długiej ręczce. Spojrzał na Severarda.

– Zęby?

– Na dobry początek.

– Doskonale! – Glokta oblizał dziurawe dziąsła, po czym strzelił po kolei palcami. – A zatem do dzieła.

\* \* \*

Gdy tylko knebel został usunięty, zabójca zaczął krzyczeć na nich w styriańskim języku; pluł, złorzeczył i szarpał się bezcelowo w łańcuchach. Glokta nie rozumiał nawet słowa.

„Sądzę jednak, że pojmuję z grubsza sens. To chyba coś bardzo obraźliwego, jak mi się zdaje. Coś o naszych matkach i tak dalej. Ale nie tak łatwo mnie obrazić”.

Mężczyzna był typem zabijaki, miał ospowatą twarz i krzywy nos, który pewnie nie raz mu złamano.

„Cóż za rozczarowanie. Miałem nadzieję, że bławatnicy przynajmniej w tej sprawie sięgną po jakieś kosztowniejsze rozwiązanie, ale tacy właśnie są. Zawsze węższą okazję”.

Praktyk Frost położył kres strumieniowi niezrozumiałych przekleństw, waląc więźnia w brzuch.

„To pozbawi go na chwilę oddechu. Wystarczy, by wtrącić słowo”.

– Posłuchaj – zwrócił się do mężczyzny Glokta. – Dostyc tych bzdur. Wiemy, że jesteś zawodowcem, wysłali cię, żebyś wtopił się w tłum i wykonał robotę. Nie zdołałbyś tego dokonać, gdybyś nie potrafił mówić po ludzku, czyż nie?

Więzień odzyskał oddech.

– Niech was wszystkich zaraza, wy dranie! – sapnął.

– Doskonale! Wspólny język bardzo się przysłuży naszej małej pogawędce. Mam wrażenie, że odbędziemy jeszcze kilka innych. Czy jest coś, co chciałbyś o nas wiedzieć, nim zaczniemy? Czy może od razu przystąpimy do roboty?

Więzień popatrzył podejrzliwie na postać Mistrza Stwórcy, majaczącą nad głową Glokty.

– Gdzie jestem?



– Znajdujemy się niedaleko Środkowej Drogi, tuż nad rzeką. – Glokta skrzywił się boleśnie, gdy poczuł, jak mięśnie nogi skręca mu gwałtowny skurcz. Wyciągnął ją ostrożnie i zaczął, aż rozlegnie się trzask w kolanie. Potem ciągnął: – Wiesz, Środkowa Droga to jedna z głównych arterii miasta, przebiega dokładnie przez jego serce, od Agriontu do samego morza. Przecina różne dzielnice miasta i szczybi się wieloma znanymi budynkami. Przy owym trakcie można znaleźć niejedną szacowną adres. Dla mnie jednak jest niczym więcej jak tylko drogą między dwoma dentystami.

Oczy więźnia zwięzły się i zerknęły na instrumenty na stole.

„Koniec z przeklinaniem. Wydaje się, że wzmianka o dentystyce przykuła jego uwagę”.

– Na drugim końcu tej ulicy – Glokta wskazał z grubsza północ – w jednej z najdroższych dzielnic miasta, naprzeciwko ogrodów publicznych, w pięknym białym domu, w samym cieniu Agriontu, znajduje się siedziba mistrza Farada. Może słyszałeś o nim?

– Pieprz się!

Glokta uniósł brwi.

„Gdyby było to tylko możliwe”.

– Powiadają, że mistrz Farad to najbieglejszy dentysta na świecie. Wydaje mi się, że pochodzi z Gurkhulu, uciekł jednak przed tyranią imperatora, by przyłączyć się do nas, mieszkańców Unii, i zapewnić sobie lepsze życie, uwalniając przy okazji naszych obywateli od męki zepsutych zębów. Kiedy wróciłem ze swego krótkiego pobytu na południu, moja rodzina wysłała mnie do niego, chcąc się przekonać, czy zdoła mi w jakikolwiek sposób pomóc. – Glokta uśmiechnął się szeroko, pokazując zabójcy naturę swego problemu. – Oczywiście, nie zdołał. Oprawcy imperatora już o to zadbali. Ale to diabelnie dobry dentysta, każdy tak twierdzi.

– Więc?

Glokta zgasił uśmiech na twarzy.

– Na drugim zaś końcu Środkowej Drogi, niedaleko morza, pośród brudu, szumowin i błota doków, jestem ja. Ceny wynajmu nie są tu zbyt wygórowane, ale nie wątpię, że kiedy już spędzimy ze sobą trochę czasu, to się przekonasz, że jestem nie mniej zdolny od znakomitego mistrza Farada. Rzecz polega na tym, że odznaczam się talentem w nieco innym kierunku. Dobry mistrz łagodzi ból swych pacjentów, podczas gdy ja jestem dentystą... – Glokta nachylił się z wolna ku rozmówcy – ... odmiennego rodzaju.

Zabójca roześmiał mu się w twarz.

– Myślisz, że możesz mnie przerazić, nakładając mi worek na głowę i pokazując paskudne malowidło? – Obrócił głowę i popatrzył na Severarda i Frosta. – Że przestraszę się tych twoich dwóch dziwolągów?

– Czy myślę, że cię przerażamy? My trzej? – Glokta pozwolił sobie na chichot. – Siedzisz tu, sam, nieuzbrojony i fachowo związany. Kto z wyjątkiem nas wie, gdzie obecnie przebywasz? Kto się tym w ogóle przejmuje? Nie masz żadnej nadziei na ocalenie czy ucieczkę. Wszyscy jesteśmy tu zawodowcami. Sądzę, że się domyślasz, co cię czeka, tak z grubsza. – Glokta wykrzywił twarz w koszmarnym uśmiechu. – Oczywiście, że cię przerażamy, nie udawaj głupca. Potrafisz zapanować nad strachem, co muszę przyznać, ale to nie będzie trwało wiecznie. Nadejdzie czas, i to już niedługo, kiedy zaczniesz błagać, by nałożyć ci worek na głowę.

– Nic ze mnie nie wyciągniesz – warknął zabójca, patrząc mu prosto w oczy. – Nic.

„Twardy. Twardy człowiek. Łatwo się jednak tak zachowywać, nim zacznie się robota. Kto jak kto, ale ja wiem o tym”.

Glokta potarł delikatnie nogę. Krew płynęła teraz przyjemnie, ból niemal zniknął.

– Na początek coś prostego. Nazwiska, to wszystko, czego chcę. Na razie. A może zaczniemy od

twojego? Przynajmniej nie możesz zaprzeczyć, że znasz w tym wypadku odpowiedź.

Czekali. Severard i Frost patrzyli z góry na więźnia; zielone oczy uśmiechały się, te różowe nie. Milczenie. Głokta westchnął.

– Wobec tego...

Frost przyłożył zabójcy pięści po obu stronach szczęki i zaczął ścisnąć, aż tamten rozwarł szeroko górne i dolne zęby. Severard wsunął mu w usta koniec obcęgow i zmusił więźnia, by jeszcze szerzej otworzył usta – szerzej niż człowiek może je otworzyć. Mężczyzna wybałuszył oczy.

„Boli, prawda? Ale to jeszcze nic, wierz mi”.

– Uważajcie na język – uprzedził Głokta. – Chcemy, by mówił.

– Proszę się nie martwić – mruknął Severard, zaglądając zabójcy w usta. Cofnął się gwałtownie. – Uh! Jego oddech śmierdzi jak gówno!

„Wstyd, ale nie jestem specjalnie zdziwiony. Higiena nie stanowi priorytetu w przypadku płatnych zabójców”.

Głokta podniósł się powoli i obszedł kulejącym krokiem stół.

– No dobrze – mruknął, zastygając z dłonią nad instrumentami. – Od czego by tu zacząć?

Wziął ze stołu oprawioną igłę i pochylił się, wspierając drugą ręką na lasce, po czym zaczął badać uważnie zęby więźnia.

„Niezbyt ładny garnitur, to pewne. Słowo daję, wolę własny niż ten”.

– Wielkie nieba, są w koszmarnym stanie. Spróchniałe na wylot. Dlatego tak ci cuchnie oddech. Doprawdy, nie ma wytłumaczenia dla człowieka w twoim wieku.

– Haaa! – zawył więzień, kiedy Głokta dotknął nerwu i próbował coś powiedzieć, ale z obcęgami w ustach bełkotał bardziej niezrozumiale niż Frost.

– Cicho, miałeś już okazję mówić. Może będziesz miał później drugą, jeszcze nie zdecydowałem. – Głokta odłożył igłę, kręcąc smutno głową. – Twoje zęby to cholerny wstyd. Odrażające. Jestem pewien, że wypadną same. Wiesz... – sięgnął po mały młoteczek i pilnik ze stołu – ...chyba będzie lepiej, jak się ich pozbędziesz.

# Płaskogłowi

Szary czas poranka, zimno, wilgotny las. Wilczarz siedział, rozmyślając o tym, że kiedyś sprawy przedstawiały się lepiej. Siedział i pilnował różną, obracając nim co jakiś czas i starając się nie denerwować. Tul Duru nie pomagał mu się uspokoić. Chodził tam i z powrotem po trawie; okrążał stare kamienie i niszczył sobie wielkie buty, cierpliwy jak wilczyca w rui. Wilczarz przyglądał się, jak jego towarzysz stawia ciężkie kroki – łup, łup, łup. Nauczył się już dawno temu, że wielcy wojownicy nadają się tylko do jednego. Do walki. Jeśli chodzi o pozostałe sprawy, zwłaszcza czekanie, byli bezużyteczni.

– Może byś tak usiadł, Tul? – mruknął. – Jest dość kamieni. Przy ogniu ciepłej. Daj wytchnąć nogom, nie mogę się przez ciebie skupić.

– Mam usiąść? – zagrmiał olbrzym, który podszedł bliżej i zamajaczył nad Wilczarzem niczym wielki cholerny dom. – Jak mogę siedzieć, i ty też? – Popatrzył spod krzaczastych brwi na ruiny i drzewa. – Jesteś pewien, że to tutaj?

– To tutaj. – Wilczarz omiótł spojrzeniem potrzaskane kamienie, modląc się w duchu, by była to prawda. Nie mógł zaprzeczyć, że nikt się jeszcze nie pojawił. – Przyjdą, nie martw się.

Zakładając, że ich nie zabili, pomyślał, ale miał dość rozumu, by nie mówić tego głośno. Spędził u boku Tula Duru dostatecznie dużo czasu, by wiedzieć jedno – nie należało wyprowadzać tego człowieka z równowagi. Chyba że ktoś chciał mieć rozwalony łeb.

– Lepiej niech się tu szybko zjawia. – Olbrzym zacisnął potężne łapska w pięści zdolne kruszyć skały. – Nie mam ochoty siedzieć tutaj i wystawiać tyłka na wiatr!

– Ja też nie – wyznał Wilczarz, podnosząc dłonie i starając się za wszelką cenę uspokoić sytuację. – Nie przejmuj się, wielkoludzie. Niebawem się zjawia, tak jak się umawialiśmy. W tym miejscu.

Przyjrzał się skwierczącej tuszy dzika, z której sływał do ognia smakowity sos. Do ust napłynęła mu ślina, nozdrza miał pełne woni mięsa... i czegoś jeszcze. To było nieledwie tchnienie. Podniósł wzrok, węsząc.

– Wyczuwasz coś? – spytał Tul, wpatrując się w leśną gęstwinię.

– Może – odparł Wilczarz, nachylił się i wziął do ręki łuk.

– Co to takiego? Szankowie?

– Nie wiem, możliwe.

Znowu zaczął węszyć w powietrzu. Miało woń człowieka, i to cuchnącego kwaśnym potem.

– Hej, wy dwaj, mógłbym was zabić, do diabła!

Wilczarz odwrócił się błyskawicznie, niemal upadając i wypuszczając łuk z dłoni. Zobaczył w odległości niespełna dziesięciu kroków Czarnego Dowa, który podchodził z wiatrem do ognia, uśmiechając się złośliwie. Tuż obok kroczył Ponurak, którego twarz jak zwykle była pusta niczym ściana.

– Wy dranie! – ryknął Tul. – Po co się skradacie? O mało nie narobiłem w portki!

– To dobrze – wyszczerzył zęby Dow. – Straciłbyś trochę tej cholernej słoniny.

Wilczarz odetchnął głęboko i odłożył łuk. Myśl, że znów są wszyscy razem, przynosiła niejaką ulgę, ale strach był mu niepotrzebny. Stał się nerwowy, od kiedy zobaczył, jak Logen spada z klifu. Zwalił się w dół i było po wszystkim. Każdemu mogło się to przytrafić, nie wiadomo kiedy – śmierć.

Trzeba było z tym żyć.

Ponurak przelazł przez połamane kamienie i usadowił się obok Wilczarza, po czym skinął mu nieznacznie głową. „Mięso?“, warknął Dow, który przepchnął się obok Tula i przycupnął przy ogniu, po czym oderwał nogę od pieczystego i zaczął ją rozrywać zębami.

I to było wszystko. Całe powitanie po miesiącu rozłąki.

– Człowiek obdarzony przyjaciółmi jest bogaty – mruknął pod nosem Wilczarz.

– Co powiedziałaś? – rzucił Dow, wodząc wokół zimnym spojrzeniem, z ustami pełnymi jedzenia. Jego szczeciniasta broda lśniła od tłuszczu.

Wilczarz uniósł dłonie.

– Nic, o co mógłbyś się obrazić. – Spędził w marszu dostatecznie dużo czasu z Czarnym Dowem, by wiedzieć, że obraziwszy tego drania, można było równie dobrze ciąć się w szyję. – Jakieś kłopoty, kiedy się rozdzieliliśmy? – spytał, zmieniając przezornie temat.

Ponurak przytaknął.

– Trochę.

– Pieprzeni płaskogłowi! – zawarczał Dow, plując przy okazji Wilczarzowi w twarz drobinkami mięsa. – Do diabła, są wszędzie! – Wskazał obgryzioną nogą dzika nad ogniskiem, jakby to był ostrze. – Mam dość tego gówna! Wracam na południe. Trochę tu za zimno i wszędzie pałętają się przekłęci szankowie! Dranie! Ruszam na południe!

– Boisz się? – spytał Tul.

Dow odwrócił się i spojrzał na niego, szczerząc w uśmiechu żółte zęby. Wilczarz skrzywił się. To było wyjątkowo głupie pytanie. Czarny Dow nigdy się nie bał, w całym swoim życiu. Nie wiedział, co to strach.

– Bać się kilku szanków? Ja? – Roześmiał się nieprzyjemnie. – Daliśmy im popalić, kiedy wy dwaj chrapaliście w najlepsze. Dla kilku z nich przygotowaliśmy ciepłe łóża. Odrobinę za ciepłe.

– Spaliliśmy ich – mruknął Ponurak. Nie zanosilo się na to, żeby miał coś jeszcze powiedzieć.

– Spaliliśmy całą ich zgraję – syknął Dow, jakby nie było nic śmieszniejszego niż płonące zwłoki. – Nie boję się ich, wielkoludzie, nie bardziej niż ciebie, ale nie zamierzam siedzieć tu i czekać na nich, żeby Trójdrzewiec miał czas dźwignąć swój obwisły tyłek z wyra. Ruszam na południe! – Powiedziawszy to, oderwał zębami potężny kawał mięsa.

– Kto ma teraz obwisły tyłek?

Wilczarz wyszczerzył w uśmiechu zęby, widząc Trójdrzewca, który zbliżał się do ognia, po czym podniósł się i chwycił starego towarzysza za rękę. Tamten przyprowadził ze sobą także Forleya Najslabszego; Wilczarz klepnął niskiego człowieczka po plecach, niemal go przewracając, tak był uradowany, że wszyscy są cali i zdrowi, i że przetrwali kolejny miesiąc. Nie zawadziło też mieć przywódcę przy ogniu. Wszyscy ten jeden raz wydawali się zadowoleni, uśmiechali się i ściskali sobie dłonie. Wszyscy z wyjątkiem Dowa, oczywiście. Siedział tylko, wpatrując się w ogień i wysysając kość z miną kwaśną jak zsiadłe mleko.

– Dobrze znów was widzieć, chłopcy, i to w jednym kawałku. – Trójdrzewiec zsunął swoją wielką tarczę z ramienia i oparł ją o stare resztki muru. – Jak sobie radzicie?

– Cholernie zimno – oznajmił Dow, nie podnosząc nawet wzroku. – Idziemy na południe.

Wilczarz westchnął. Znów razem przez dziesięć uderzeń serca, a już zaczynały się swary. Podejrzewał, że trudno będzie kierować tą rozwydrzoną bandą – teraz, kiedy nie było Logena, który potrafił utrzymać wszystkich w ryzach. Rozwydrzona banda, która rwała się do bitki. Trójdrzewiec jednak nie zamierzał niczego wszczynać. Zastanawiał się przez chwilę, jak zwykle. Uwielbiał te swoje chwile zamyślenia. Dlatego był taki niebezpieczny.

– Na południe, he? – oznajmił, rozważywszy to przez minutę. – I kiedy zostało to postanowione?

– Nic nie jest jeszcze postanowione – sprostował Wilczarz, unosząc dłonie. Przyszło mu do głowy, że od tej chwili będzie musiał często uciekać się do tego gestu.

Tul Duru zmarszczył czoło i spojrzał na plecy Dowa.

– W ogóle nic – zagrzmiał, niezwykle poirytowany, że ktoś zdecydował za niego.

– Jeśli nic, to w porządku – oświadczył Trójdźrzewiec, leniwie i uparcie jak rosnąca trawa. – Nie przypominam sobie, żebyśmy nie głosowali, kiedy należało to robić.

Dow nie potrzebował czasu, żeby się nad tym zastanowić. To nie było w jego stylu. Nigdy się nie zastanawiał, dlatego był taki niebezpieczny. Zerwał się z miejsca, rzucając kość na ziemię i spoglądając na Trójdźrzewca wyzywającym wzrokiem.

– Powiedziałem... na południe! – warknął, wybałuszając oczy, które przypominały bąble w bulgoczącej potrawie.

Trójdźrzewiec nie cofnął się nawet o włos. To nie byłoby w jego stylu. Potrzebował oczywiście chwili, by to wszystko rozważyć, po czym sam postąpił krok do przodu, niemal dotykając nosem twarzy Dowa.

– Jeśli chciałeś mieć ostatnie słowo, trzeba było pokonać Dziewięciopalcego – warknął. – Zamiast z nim przegrać, jak my wszyscy.

Na te słowa twarz Czarnego Dowa pociemniała jak smoła. Nie lubił, kiedy mu przypomniano, że przegrał z kimkolwiek.

– Krwawy-dziewięć poszedł do ziemi! – rzucił gniewnie. – Widziałeś to, Wilczarz, sam powiedz.

Wilczarz był zmuszony przytaknąć.

– Widziałem – mruknął.

– A więc koniec gadania! Nie ma powodu, żebyśmy się tu pałętali, na północ od gór, mając na karku płaskogłowych! Powiedziałem: na południe.

– Dziewięciopalcy może i jest martwy – rzucił mu Trójdźrzewiec w twarz. – Ale nie twój dług. Nigdy nie zrozumiem, dlaczego uznał za stosowne oszczędzić kogoś tak nędznego jak ty, ale to mnie wyznaczył na swojego następcę. – Postukał się w wielką pierś. – A to oznacza, że ja mam ostatnie słowo! Ja i nikt inny!

Wilczarz cofnął się przezornie o krok. Ci dwaj szykowali się do bitki, a on nie miał zamiaru rozkwasić sobie nosa przy okazji. I nie byłby to pierwszy raz. Forley podjął próbę załagodzenia sytuacji.

– Dajcie spokój – powiedział jak najspokojniej. – To niepotrzebne.

Może i nie najlepiej szło mu zabijanie, ale chłopak potrafił przemówić do rozsądku tym, którym zabijanie szło jak mało komu. Wilczarz życzył mu z całego serca powodzenia.

– Dajcie spokój, może byście tak...

– Zaniknij swoją przeklętą jadaczkę! – warknął Dow, celując brudnym palcem w twarz Forleya. – Ile jest warte twoje pieprzone słowo, Najsłabszy?

– Daj mu spokój – zagrzmiał Tul, podsuwając pod brodę Dowa swoją wielką pięść. – Albo dam ci powód do wrzasku!

Wilczarz z trudem patrzył na to wszystko. Dow i Trójdźrzewiec zawsze brali się za czuby. Rozpalali się szybko i równie szybko przygasali. Tul Duru zwany Grzmotem był zupełnie innym zwierzęciem. Kiedy ten potężny wół dostawał szału, nie było sposobu, żeby go okiełznać. Potrzeba było do tego dziesięciu ludzi i zwoju liny. Wilczarz zastanawiał się, co w takiej sytuacji zrobiłby Logen. On wiedziałby, jak powstrzymać ich od walki, gdyby nie był martwy.

– Do diabła! – wrzasnął, zrywając się nagle ze swego miejsca przy ogniu. – Na karku mamy pieprzonych szanków! A jak sobie z nimi poradzimy, to zostaje jeszcze Bethod, o którym nie wolno zapominać! Mamy dość rachunków do wyrównania, żebyśmy mieli jeszcze zajmować się własnymi! Logen odszedł, a jego miejsce zajął Trójdzwiecz i tylko jego będę słuchał! – oznajmił zdecydowanie, nie zwracając się do nikogo w szczególności i dźgając powietrze palcem, a potem czekał i modlił się w duchu, by sztuczka okazała się skuteczna.

– Niech będzie – mruknął Ponurak.

Forley zaczął przytakiwać z werwą jak dzieciół.

– Wilczarz ma rację! Potrzeba nam bójki jak dziury w moście! Trójdzwiecz był drugi. Jest teraz wodzem.

Przez chwilę panowało milczenie. Dow przykuł Wilczarza zimnym, pustym i zabójczym spojrzeniem, jakim kot obrzuca mysz, którą trzyma między łapami. Wilczarz przełknął z wysiłkiem. Wielu ludzi – większość ludzi – nie śmiałoby odpowiedzieć na to spojrzenie Czarnego Dowa. Zawdzięczał swe imię najmroczniejszej reputacji, jaką zyskał na Północy, kiedy to pojawiał się gdzieś na długo przed świtem i zostawiał za sobą spalone wioski. Tak głosiła plotka. Taka była prawda.

Wilczarz musiał wykrzesać z siebie całą odwagę, by nie wlepić wzroku we własne buty. Już chciał to zrobić, gdy Dow zaczął patrzeć na pozostałych, na każdego z osobna. Większość ludzi unikałaby tego spojrzenia, ale ci tutaj nie należeli do większości. Nikt nigdy nie chciałby napotkać na swojej drodze bardziej bezwzględnej i okrutnej zgrai, gdziekolwiek pod słońcem. Żaden z nich nie odwrócił wzroku, żaden się nawet nie zawahał, jak się wydawało. Prócz, oczywiście, Forleya Najśłabszego, który przyglądał się z uwagą trawie, jeszcze zanim Dow obrócił ku niemu oczy.

Kiedy Dow zobaczył, że wszyscy są przeciwko niemu, uśmiechnął się z zadowoleniem, jakby nic się nie stało.

– Niech będzie – powiedział do Trójdzwewca; zdawało się, że cały gniew opuścił go w jednej chwili. – A więc co postanawiasz, wodzu?

Trójdzwiecz spojrzał na pozostałych. Pociągnął nosem i świsnął przez zęby. Podrapał się po brodzie, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Idziemy na południe – zdecydował w końcu.

\* \* \*

Wyczuł ich, a dopiero potem zobaczył, ale tak zawsze z nim było. Miał dobry węch, czemu zawdzięczał zresztą swe imię – Wilczarz. Szczerze jednak powiedziawszy, każdy by ich wyczuł. Śmierdzieli jak łajno.

Było ich na polanie dwunastu. Siedzieli, jedli, pomrukiwali do siebie w tym swoim paskudnym, brudnym języku; mieli sterczące żółte zęby i byli ubrani w łachmany cuchnącego futra, śmierdzących skór i dziwne kawałki zardzewiałych zbroi. Szankowie.

– Pieprzeni płaskogłowi – mruknął do siebie.

Usłyszał za plecami cichy syk. Odwrócił się i zobaczył Ponuraka wyglądającego zza jakiegoś krzewu. Pokazał mu otwartą dłoń, co oznaczało, że należy się zatrzymać, poklepał się po głowie, co oznaczało płaskogłowych, podniósł pięść, a potem dwa palce, co oznaczało dwanaście, po czym wskazał szlak, gdzie byli pozostali. Ponurak przytaknął i zniknął w zaroślach.

Wilczarz rzucił ostatnie spojrzenie na szanków, by się upewnić, że niczego się nie spodziewają. Takie sprawiali wrażenie, wycofał się więc za pień drzewa i ruszył w stronę towarzyszy.

– Rozbili obozowisko za zakrętem drogi, widziałem dwunastu albo i więcej.

– Szukają nas? – spytał Trójdrzewiec.

– Może i tak, ale nie wyglądają zbyt groźnie.

– Da radę ich obejść? – spytał Forley, zawsze skłonny unikać walki. Dow, zawsze szukający okazji do walki, splunął na ziemię.

– Co to jest dwunastu? Załatwimy ich bez trudu!

Wilczarz spojrział na Trójdrzewca, który się zastanawiał swoim zwyczajem. Dwunastu to było coś i wszyscy o tym wiedzieli, ale może lepiej było rozprawić się z nimi, niż zostawić w spokoju i potem mieć ich za plecami.

– Co robimy, wodzu? – spytał Tul.

Trójdrzewiec zacisnął szczęki.

– Sprawdzić broń.

Wojownik, który nie czyści i nie przygotowuje oręża, jest głupcem. Wilczarz zajmował się swoją bronią przed niespełną godziną. Mimo wszystko, człowiek nie ginął dlatego, że o nią dbał, podczas gdy mógł zginąć dlatego, że tego nie robił.

Rozległ się syk metalu ocierającego się o skórę, stukot drewna i brzęk stali. Wilczarz przyglądał się, jak Ponurak sprawdza cięciwę swego łuku i lotki na strzałach. Przyglądał się, jak Tul Duru przesuwa kciukiem po ostrzu wielkiego ciężkiego miecza, niemal o długości równej wzrostowi Forleya, gdacząc niczym kura na widok jakiejś plamki rdzy. Przyglądał się, jak Czarny Dow wyciera stal topora i wpatruje się w jej krawędź wzrokiem łagodnym i miękkim jak u kochanka. Przyglądał się, jak Trójdrzewiec zaciska rzemienie na swojej tarczy i tnie w powietrzu ostrzem, które rzucało metaliczne błyski.

Wilczarz westchnął, zacisnął ochraniacze na lewym nadgarstku i sprawdził drzewce swego łuku, szukając na nim pęknięć. Upewnił się też, że wszystkie noże są na swoim miejscu. Noży nigdy za wiele, jak powiedział mu kiedyś Logen, on zaś wziął to sobie do serca. Spojrział na Forleya, który sprawdzał niewprawnymi dłońmi swój krótki miecz; chłopak poruszał nerwowo ustami i miał oczy wilgotne ze strachu. Sam poczuł się niepewnie i spojrział na pozostałych. Byli brudni, poznaczeni bliznami i skupieni, a ich twarze porastał gęsty zarost. Nie dostrzegł w nich strachu, nawet śladu, ale nie miał się czego wstydić. Różni ludzie zachowują się różnie, jak powiedział mu kiedyś Logen; trzeba najpierw odczuwać lęk, by potem znaleźć odwagę. To też sobie wziął do serca. Podeszedł do Forleya i poklepał go po ramieniu.

– Musisz mieć w sobie lęk, by znaleźć odwagę – powiedział.

– Naprawdę?

– Tak powiadają, i warto w to wierzyć. – Wilczarz nachylił się do chłopca, by inni nie słyszeli.

– Bo za chwilę narobię w gacie.

Uznał, że tak właśnie uczyniłby Logen, a skoro poszedł do ziemi, przypadło to jemu. Forley uśmiechnął się półgębkiem, ale jego rozbawienie zniknęło szybko; teraz wyglądał tak, jakby bał się jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. Niewiele więcej można było zrobić.

– Dobra, chłopcy – oznajmił Trójdrzewiec, kiedy wszyscy sprawdzili broń i umieścili ją tam, gdzie być powinna. – Zrobimy to tak. Ponurak, Wilczarz, na drugą stronę obozowiska, między drzewa. Czekajcie na sygnał, potem strzelcie do któregoś z płaskogłowych. Jeśli wam się nie uda, walcie do najbliższego.

– Jak mówisz, wodzu – odparł Wilczarz, a Ponurak skinął głową.

– Posłuchaj, Tul, ty i ja zaatakujemy od przodu, ale czekaj na sygnał, dobrze?

– Tak – zagrział olbrzym.

– Dow, znajdziesz ich z Forleyem od tyłu. Ruszacie, kiedy my ruszymy. Ale tym razem masz na nas czekać! – syknął Trójdrzewiec, dźgając powietrze grubym paluchem.

– Jasne, wodzu. – Dow wzruszył ramionami, jakby zawsze robił to, co mu kazano.

– A więc sprawa jasna – zawyrokował Trójdrzewiec. – Ktoś czegoś jeszcze nie rozumie? Ktoś ma pustkę we łbie?

Wilczarz wymamrotał coś i potrząsnął przecząco głową. Pozostali zrobili to samo.

– No to doskonale. I jeszcze jedno. – Trójdrzewiec pochylił się i przyjrzał każdemu z osobna. – Czekajcie na pieprzony sygnał! – rozkazał z naciskiem.

Dopiero gdy Wilczarz skrył się w zaroślach z łukiem w dłoni i przygotowaną strzałą, uświadomił coś sobie. Nie miał pojęcia, jaki ma być sygnał. Spojrzał z góry na szanków, którzy wciąż niczego nie przeczuwali, pomrukując, wrzeszcząc i objając się bez celu. Diabelnie chciało mu się sikać. Zawsze chciało mu się sikać przed walką. Czy ktoś powiedział, jaki ma być sygnał? Nie mógł sobie przypomnieć.

– Do diabła – wyszeptał.

W tym momencie zza drzew wyskoczył Dow z mieczem w jednej i toporem w drugiej dłoni.

– Pieprzeni płaskogłowi! – wrzasnął, zadając najbliższemu przeciwnikowi straszliwy cios w głowę i zachlapując polaną krwią.

Jeśli szankowie przejawiali jakiegokolwiek uczucia, to ci tutaj byli niebywale zdziwieni. Wilczarz uznał, że to właśnie jest sygnał do walki. Wypuścił strzałę w kierunku najbliższego płaskogłowego, który sięgał właśnie po maczugę, i zobaczył, jak grot przebija mu pachę z radującym ucho wizgiem. „Ha!”, wrzasnął, kiedy Dow ciął drugiego przez plecy swoim mieczem, ale tuż obok znajdował się wielki szanka, gotów rzucić włócznią. Spomiędzy drzew świsnęła strzała i przebiła mu szyję. Płaskogłowy wydał pisk i zwałił się na plecy. Ponurak był diabelnie dobrym łucznikiem.

Teraz z zarośli po drugiej stronie polany wyskoczył z dzikiem rykiem Trójdrzewiec, zaskakując przeciwników. Walnął jednego z nich tarczą w łeb i szanka runął twarzą w ognisko. Drugiego ciął mieczem. Wilczarz znów wypuścił strzałę, która trafiła któregoś w brzuch. Ugodzony osunął się na kolana i w chwilę później. Tul ściał mu głowę potężnym uderzeniem miecza.

Walka była zaciekła i rozgrywała się szybko – zewsząd dochodziły odgłosy uderzeń, jęki, jazgoty, grzechot kości. W górę tryskała krew, broń przecinała ze świstem powietrze. Ciała padały za szybko, by Wilczarz mógł do nich celować. Trzej wojownicy otoczyli kilku ostatnich wrogów, którzy wydawali pełne przerażenia piski i bełkotali coś do siebie. Tul Duru trzymał ich na dystans, wymachując swym potężnym mieczem. Trójdrzewiec doskoczył i podciął jednemu z nich nogi, Dow zaś rąbnął drugiego, gdy ten się rozglądał niepewnie na boki.

Ostatni wrzasnął i rzucił się w stronę drzew. Wilczarz posłał za nim strzałę, ale pospieszył się i chybił. Grot niemal trafił Dowa w nogę, ten jednak niczego na szczęście nie zauważył. Szanka prawie umknął w zarośla, po chwili jednak zaskowyczał, runął na ziemię i zaczął podrygiwać. To ukryty w krzakach Forley go ugodził.

– Mam jednego! – wrzasnął.

Przez chwilę panowała cisza; Wilczarz ruszył w stronę polany. Wszyscy rozglądali się wokół, sprawdzając, czy ocalał jakiś przeciwnik, potem Czarny Dow wydał potężny krzyk, potrząsając nad głową mieczem.

– Zabiliśmy ich, do diabła!

– O mało nie zginęliśmy przez ciebie, przeklęty głupcze! – wrzasnął Trójdrzewiec.



- Hę?
  - A pieprzony sygnał?
  - Wydawało mi się, że krzyknąłeś.
  - Nigdy w życiu!
  - Nie? – spytał Dow, niepomiernie zdziwiony. – A w ogóle to jaki miał być sygnał?
- Trójdrzewiec westchnął i złapał się za głowę. Forley wciąż wpatrywał się w swój miecz.
- Dorwałem jednego! – powtórzył.

Teraz, kiedy było już po walce, Wilczarz poczuł, że za chwilę rozerwie mu pęcherz, odwrócił się więc i zaczął sikać na pień drzewa.

- Zabiliśmy ich! – zahuczał Tul, klepiąc go po plecach.

- Uważaj! – wrzasnął Wilczarz, oblewając sobie spodnie. Wywołało to salwę śmiechu. Nawet Ponurak zaniósł się krótkim chichotem. Tul potrząsnął ramionami Trójdrzewca.

- Zabiliśmy ich, wodzu!

- Tak, zabiliśmy – odparł tamten z kwaśną miną. – Ale zjawi się ich jeszcze więcej. Tysiące. Też nie będą chcieli tu zostać, za górami. Prędzej czy później ruszą na południe. Może w lecie, kiedy z przełęczą zniknie śnieg, może później. Ale niedługo.

Wilczarz zerknął na pozostałych. Zrobili się nieufni i nerwowi po tej krótkiej przemowie. Radość ze zwycięstwa nie trwała długo. Nigdy. Popatrzył na martwych szanków zaścielających ziemię, pogruchotanych i pokrwawionych; niektórzy leżeli rozciągnięci na plecach, inni skuleni. To, że ich pokonali, wydawało się teraz bez znaczenia.

- Nie powinniśmy powiedzieć innym, Trójdrzewiec? – spytał. – Nie powinniśmy kogoś ostrzec?

- Tak. – Wódz uśmiechnął się ze smutkiem. – Ale kogo?

# Przekleństwo prawdziwej miłości

Jezał włókł się żałośnie przez szary Agriont z ostrzami szermierzymi w dłoni: ziewał, potykał się, postękiwał, wciąż straszliwie obolały po niekończącej się torturze ćwiczeń poprzedniego dnia. Nikogo prawie nie dostrzegał, zmierzając z wysiłkiem na kolejną brutalną i bezwzględna lekcję pod kierunkiem lorda marszałka Varuza. Słyszał tylko przedwczesny świergot jakiegoś ptaka, który ukrył się pod okapem dachu, i pełen męki, niechętny tupot własnych butów. Wszędzie panowała cisza. Nikt o tej porze nie wstawał z łóżka. Nikt nie powinien o tej porze wstawać. A już na pewno nie on.

Przeszedł na obolałych nogach pod łukowatym przejściem i ruszył wzdłuż tunelu. Słońce ledwie stało nad horyzontem i dziedziniec tonął w głębokich cieniach. Mrużąc oczy, dostrzegł przy stole siedzącego Varuza, który czekał już na niego. Do diabła. Miał nadzieję, że przynajmniej jeden raz zjawi się wcześniej od swego nauczyciela. Czy ten stary drań w ogóle sypiał?

– Lordzie marszałku! – krzyknął Jezał, ruszając niepewnym biegiem.

– Nie. Nie dzisiaj.

Jezał poczuł na szyi pełną dreszcz. Nie był to głos jego mistrza, ale wyczuwał w nim coś nieprzyjemnie znajomego.

– Marszałek Varuz ma dzisiaj rana ważniejsze zajęcia – wyjaśnił inkwizytor Głokta, który siedział ukryty w cieniu i krzywił twarz w tym swoim odrażającym uśmiechu, ukazując szczeliny między zębami.

Jezał poczuł na skórze dreszcz obrzydzenia. Nikt nie chciałby doświadczyć czegoś takiego z samego rana. Zwolnił kroku i zatrzymał się przed stołem.

– Dowie się pan, niewątpliwie z radością, że nie będzie dziś biegania, pływania ani równoważni czy też sztangi – oznajmił kaleka. – Nawet to nie będzie panu potrzebne. – Pomachał swoją laską, wskazując nią ostrza w rękę Jezala. – Utniemy sobie tylko małą pogawędkę. To wszystko.

Myśl o pięciu straszliwych godzinach w towarzystwie Varuza wydała się nagle niezwykle kusząca, ale Jezał nie miał zamiaru okazywać niepokoju. Rzucił ostrza na blat stołu, nie zważając na ich brzęk, i usiadł niedbale na drugim krześle. Głokta, pogrążony w mroku, nie spuszczał z niego wzroku. Jezał postanowił patrzeć mu nieustępliwie w oczy i zmusić do jakiejś uległości, ale okazało się to bezowocne. Po kilku sekundach wpatrywania się w zniszczoną twarz, pusty uśmiech i rozpalone gorączką, zapadnięte oczy uznał, że blat stołu jest jednak ciekawszym obiektem.

– Proszę mi więc powiedzieć, kapitanie, dlaczego postanowił pan ćwiczyć szermierkę?

A więc coś w rodzaju gry. Prywatna partyjka z udziałem tylko dwóch przeciwników. A wszystko, co zostałyby powiedziane, i tak trafiłoby do uszu Varuza, tego był pewien. Jezał postanowił rozgrywać swoje karty ostrożnie, trzymać je blisko piersi i nie zdradzać zamiarów.

– Ze względu na honor: swój, rodziny i króla – oznajmił zimno. Niech ten kaleka spróbuje znaleźć jakiś błąd w tej odpowiedzi.

– Och, a zatem postanowił pan znosić to wszystko dla dobra narodu. Musi być pan doskonałym obywatelem. Cóż za bezinteresowność. Prawdziwy przykład dla nas. – Głokta parsknął ironicznie. – Błagam! Jeśli już pan musi kłamać, to proszę przynajmniej robić to przekonująco. Pańska odpowiedź jest obrazą dla nas obu.

Jak ten kaleki i skończony człowiek śmiał przemawiać do niego takim tonem? Jezał poczuł

nerwowe drganie w nodze: był gotów wstać i odejść, do diabła z Varuzem i jego odrażającym sługusem. Kiedy jednak oparł dłonie o poręcze, by się unieść, dostrzegł spojrzenie rozmówcy. Glokta uśmiechał się do niego z ironią i szyderstwem. Odejść oznaczałoby przyznać się do porażki. Dlaczego zaczął uprawiać szermierkę?

– Ojciec tego chciał.

– No, no. Moje serce przepełnia współczucie. Lojalny syn, związany silnym poczuciem obowiązku, jest zmuszony wcielać w życie ojcowskie ambicje. Znajoma opowieść, jak wygodne stare krzesło, na którym wszyscy lubimy siedzieć. Mówić to, co ludzie chcą usłyszeć? To już lepsza odpowiedź, ale wciąż daleka od prawdy.

– Dlaczego sam pan mi nie powie? – rzucił nadąsany Jezal. – Wydaje się, że wie pan o tym bardzo dużo!

– W porządku, powiem. Ludzie nie fechtują się dla króla czy dla swoich rodzin, ani też dla wprawy, więc niech pan nie próbuje mi tego wmawiać. Fechtują się dla uznania, dla sławy. Fechtują się dla własnej korzyści. Dla siebie. Wiem coś o tym.

– Wie pan? – prychnął ironicznie Jezal. – Jakoś się nie sprawdziło w pańskim przypadku.

Pożałował swych słów natychmiast. Przeklinał się za niewyparzony język, który zawsze ściągał mu kłopoty na głowę.

Ale Glokta tylko błysnął tym swoim odrażającym uśmiechem.

– Sprawdzało się znakomicie, dopóki nie trafiłem do lochów imperatora. A jakie pan ma wytłumaczenie, kłamco?

Jezalowi nie podobało się, że rozmowa przybiera taki obrót. Był za bardzo przyzwyczajony do łatwych zwycięstw przy karcianym stoliku i do kiepskich graczy. Uświadomił sobie, że jego umiejętności się stępiły. Lepiej odczekać, aż oceni właściwie swego nowego przeciwnika. Zaciśnął szczęki i milczał.

– Oczywiście, zwycięstwo w turnieju wymaga ciężkiej pracy. Szkoda, że nie widział pan naszego wspólnego przyjaciela, Collema Westa. Oblewał się potem całymi miesiącami, biegając w kółko, podczas gdy reszta z nas śmiała się z niego. Nadęty, głupi plebejusz, który współzawodniczy z innymi, tak wszyscy myśleliśmy. Popelniał błędy przy pchnięciach, potykał się na równoważni, narażał na kpiny, raz za razem, dzień za dniem. Ale niech pan spojrzy na niego teraz. – Glokta postukał palcem swoją laskę. – I niech pan spojrzy na mnie. Wydaje się, że ostatnie słowo należy do niego, co, kapitanie? Dowodzi to, ile można osiągnąć przy odrobinie wysiłku. Ma pan dwa razy więcej talentu od niego i odpowiednią krew. Nie musi pan pracować tak ciężko nawet w jednej dziesiątej, ale pan nie chce pracować w ogóle.

Jezal nie zamierzał puszczać tego mimo uszu.

– Nie chcę pracować w ogóle? Czyż nie poddaję się każdego dnia tym torturom...

– Torturom? – spytał ostro Glokta.

Jezal zbyt późno uświadomił sobie fatalny dobór słów.

– No... – wymamrotał. – Chciałem powiedzieć...

– Wiem co nieco o szermierce i torturach. Niech mi pan wierzy – inkwizytor jeszcze bardziej wykrzywił twarz w koszmarnym uśmiechu – to dwie różne rzeczy.

– E... – wydusił z siebie Jezal, wciąż zdeprymowany.

– Ma pan ambicje i możliwości ich realizacji. Wystarczy odrobina wysiłku. Kilka miesięcy ciężkiej pracy i prawdopodobnie nie będzie pan musiał do końca życia próbować czegoś innego, jeśli tego pan właśnie chce. Kilka krótkich miesięcy i ma pan spokój. – Glokta oblizał bezzębne dziąsła. – Wykluczając oczywiście niefortunne wypadki. To wielka szansa, którą panu dano.

Wykorzystałbym ją na pańskim miejscu. Nie wiem, może jest pan takim samym głupcem jak kłamcą.

– Nie jestem głupcem – odparł zimno Jezal. To wszystko, na co mógł się zdobyć.

Glokta uniósł brew, potem skrzywił się, wspierając ciężko na lasce i podnosząc z miejsca.

– Niech pan zrezygnuje, jeśli pan chce, proszę bardzo. Niech pan spędza resztę swoich dni na pijaństwie i gadaniu o bzdurach z młodszymi oficerami. Jest mnóstwo ludzi, którzy byliby szczęśliwi, mogąc prowadzić takie życie. Mnóstwo ludzi, którzy nie mieli takiej szansy jak pan. Niech pan zrezygnuje. Lord marszałek Varuz będzie rozczarowany, również major West i pański ojciec i tak dalej, ale niech pan mi wierzy – nachylił się, wciąż krzywiąc twarz w tym straszliwym uśmiechu – mnie to doprawdy nic a nic nie obchodzi. Dobrego dnia, kapitanie Luthar.

I Glokta pokuśtykał w stronę łukowatego wejścia do tunelu.

\* \* \*

Po tej niezbyt przyjemnej rozmowie Jezal stwierdził, że ma do dyspozycji kilka niespodziewanych godzin wolnego czasu – nie był jednak w nastroju, by się tym cieszyć. Wędrował pustymi ulicami, po skwerach i ogrodach Agriontu, rozmyślając posępnie o tym, co powiedział mu kaleka; przeklinał imię Glokty, ale nie mógł się jednocześnie uwolnić od tej rozmowy. Rozważał ją bez przerwy, każde zdanie, i bezustannie przychodziło mu do głowy coś, co powinien był powiedzieć. Gdyby tylko wtedy o tym pomyślał.

– Ach, kapitan Luthar!

Jezal przystanął i podniósł wzrok. Pod drzewem, na mokrej od rosy trawie, siedział nieznany mu człowiek, który uśmiechał się do niego, trzymając w dłoni na wpół zjedzone jabłko.

– Wczesny ranek to znakomita pora na przechadzkę, o czym sam się przekonuję. Spokojny i szary, czysty i pusty. W ogóle nie przypomina krzykliwej różowości wieczoru. Cały ten zgiełk, wszyscy ci ludzie spieszący tam i sam. Jak można rozmyślać pośród tego nonsensu? Widzę teraz, że żywisz podobne przekonanie. Jakież to krzepiące – oznajmił i odgryzł spory kawałek jabłka.

– Znam cię?

– Och, nie, nie – odparł nieznajomy, podnosząc się z ziemi i otrzepując siedzenie spodni z kurzu.  
– Jeszcze nie. Jestem Sulfur. Yoru Sulfur.

– Naprawdę? A co cię sprowadza do Agriontu?

– Można powiedzieć, że zjawilem się tu w misji dyplomatycznej.

Jezal przyjrzał mu się uważnie, próbując odgadnąć jego pochodzenie.

– Misji w czyim imieniu?

– W imieniu mego mistrza, oczywiście – wyjaśnił enigmatycznie Sulfur.

Miał oczy o różnej barwie, jak zauważył Jezal. Przyszło mu do głowy, że to dość brzydka i odstręczająca cecha wyglądu.

– A twój mistrz to...

– Bardzo mądry i potężny człowiek. – Oskubał zębami ogryzek i cisnął go w krzaki, po czym otarł dłonie o przód koszuli. – Widzę, że fechtowałeś.

Jezal zerknął na swoje ostrza.

– Tak – odparł, uświadomiwszy sobie, że podjął ostatecznie decyzję. – Ale po raz ostatni. Kończę z tym.

– O, tylko nie to. – Nieznajomy złapał Jezala za ramię. – Nie, nie, nie wolno ci!

– Co?

– Nie, nie! Mój mistrz byłby przerażony, gdyby się dowiedział. Przerażony! Jeśli zrezygnujesz z szermierki, to zrezygnujesz z czegoś jeszcze, czegoś więcej! Nie rozumiesz, że tak właśnie zyskuje się uwagę publiki? To ona decyduje w ostatecznym rozrachunku. Nie ma arystokracji bez gminu. Nie ma!

– Co? – Jezal rozejrzał się po parku, mając nadzieję, że zauważy gdzieś jakiegoś strażnika i powiadomi go, że w Agrioncie spaceruje sobie po ulicach niebezpieczny szaleniec.

– Nie wolno ci rezygnować! Nie chcę o tym słyszeć! Absolutnie! Jestem pewien, że ostatecznie zmienisz zdanie. Musisz!

Jezal strząsnął z ramienia dłoń Sulfura.

– Kim jesteś?

– Jestem Sulfur, Yoru Sulfur, do usług. Do zobaczenia na turnieju, kapitanie, jeśli nie wcześniej! I oddalił się, machając na pożegnanie.

Jezal patrzył za nim z otwartymi ustami. „Do diabła!”, krzyknął, rzucając swoje ostrza na trawę. Wydawało się, że wszyscy chcą się tego dnia wtrącać w jego sprawy, nawet zwariowani nieznajomi w parku.

\* \* \*

Gdy tylko doszedł do wniosku, że pora jest już odpowiednia, poszedł odwiedzić majora Westa. Zawsze mógł liczyć na przychylność ze strony starszego oficera, poza tym miał nadzieję, że zdoła namówić jakoś przyjaciela, by ten przekazał niepomyślnie nowiny marszałkowi Varuzowi. Wolał w tym nie uczestniczyć, gdyby tylko dało się to załatwić. Zapukał do drzwi i czekał, potem zapukał jeszcze raz. W końcu ktoś otworzył.

– Kapitan Luthar! Cóż to za niezwykły honor!

– Ardee – wymamrotał Jezal, jakby zdziwiony, że ją tutaj zastał. – Dobrze znów panią widzieć.

Mówił szczerze, przynajmniej ten jeden raz. Uważał ją za interesującą, i to bardzo. Było to dla niego coś nowego i krzepiącego – interesować się tym, co ma do powiedzenia kobieta. No i była diabelnie przystojna, nie mógł temu zaprzeczyć; za każdym razem, gdy ją widział, wydawała mu się ładniejsza. Oczywiście, nigdy między nimi do niczego by nie doszło, w końcu West był jego przyjacielem i tak dalej, ale nie widział nic złego w tym, że na nią patrzył.

– E... – szukał słów. – Czy zastałem pani brata?

Usiadła niedbale na sofie pod ścianą, wyciągając przed siebie nogę, wyraźnie skwaszona.

– Nie ma go. Wszedł. Zawsze jest zajęty. Za bardzo, jak dla mnie. Była wyraźnie zarumieniona. Spojrzenie Jezala spoczęło na karafce. Nie miała korka i była opróżniona do połowy.

– Jest pani pijana?

– Odrobinę – zerknęła kątem oka na niedopity kieliszek wina przy swoim łokciu. – Ale przede wszystkim jestem znudzona.

– Nie ma jeszcze dziesiątej.

– Nie mogę być znudzona przed dziesiątą?

– Wie pani, o co mi chodzi.

– Niech pan zostawi moralizatorstwo mojemu bratu. Bardziej do niego pasuje. – Machnęła ręką w stronę karafki. – Wygląda pan na kogoś, kto chętnie by się napił.

No cóż, była to prawda. Nalał sobie kieliszek i usiadł na krześle, twarzą do Ardee, podczas gdy ona przyglądała mu się spod ciężkich powiek. Po chwili sięgnęła po swój kieliszek. Obok leżała gruba książka, okładką do dołu.

– Jak lektura? – spytał Jezal.

– „Upadek Mistrza Stwórcy”, w trzech tomach. Mówią, że to jedno z największych klasycznych dzieł historycznych. Mnóstwo nudnych bzdur – parsknęła pogardliwie. – Pełno tam magów, srogich rycerzy z wielkimi mieczami i dam z jeszcze większymi łonami. Magia, przemoc i romans, wszystkiego po trochu. Zwykle gówno.

Straciła książkę ze stołu. Ciężki wolumin spadł na dywan, trzepocząc kartkami.

– Z pewnością znajdzie sobie pani jakieś zajęcie.

– Naprawdę? A co pan proponuje?

– Moje kuzynki dużo haftują.

– Niech się pan pieprzy.

– Hm... – mruknął Jezal z uśmiechem. Jej przekleństwa nie wydawały się tak obraźliwe jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy. – Co pani robiła w domu, w Anglandzie?

– Och, dom. – Jej głowa opadła na oparcie sofy. – Myślałam, że się tam nudzę. Nie mogłam się doczekać, kiedy tu wreszcie przyjadę, tu, gdzie toczy się prawdziwe życie. A teraz nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wrócę. Wyjdę za jakiegoś farmera. Będę miała dwanaścioro dzieci. Przynajmniej zapewnię sobie w ten sposób możliwość rozmowy. – Zamknęła oczy i westchnęła. – Ale Collem mi nie pozwoli. Czuje się za mnie odpowiedzialny, teraz, kiedy nasz ojciec nie żyje. Uważa, że to niebezpieczne. Wolałby, żeby mnie nie zarżnęli ci z Północy, ale na tym kończy się jego poczucie odpowiedzialności. Z pewnością nie obejmuje spędzenia ze mną dziesięciu minut. Więc wygląda na to, że utknęłam tu na dobre, otoczona aroganckimi snobami, takimi jak pan.

Jezal poruszył się niespokojnie.

– Wydaje się, że jest człowiekiem odpowiedzialnym.

– O tak – parsknęła Ardee. – Collem West, cholernie wspaniały człowiek! Wygrał turniej, wie pan o tym? Pierwszy ruszył do ataku pod Ulrioch, prawda? Kiepskie pochodzenie, nigdy nie będzie jednym z was, ale diabelnie porządny gość, jak na kogoś z gminu! Ale ta jego parweniuszowska siostra to prawdziwy wstyd, ciut za mądra! I mówią, że pije – wyszeptwała. – Nie wie, gdzie jej miejsce. Absolutna hańba. Najlepiej ją ignorować. – Znów westchnęła. – Tak, im prędzej wrócę do domu, tym lepiej dla wszystkich.

– Nie dla mnie. – Do diabła, powiedział to głośno?

Ardee wybuchnęła śmiechem, który nie zabrzmiał przyjemnie.

– No cóż, to bardzo szlachetne z pana strony tak mówić. A przy okazji, dlaczego nie ćwiczysz pan w tej chwili?

– Marszałek Varuz był dziś rano zajęty. – Milczał przez chwilę. – Prawdę mówiąc, moim mistrzem szermierczym był dzisiaj pani przyjaciel, Sand dan Glokta.

– Naprawdę? Co takiego panu powiedział?

– Różne rzeczy. Nazwał mnie głupcem.

– Coś takiego.

Jezal zmarszczył brwi.

– No cóż, zrobił to. Jestem równie znudzony szermierką jak pani tą książką. Dlatego chciałem rozmawiać z pani bratem. Zastanawiam się, czy tego nie rzucić.

Wybuchnęła śmiechem. Zanosila się nim, krztusiła. Cała się trzęsła. Wino chlapnęło z kieliszka na podłogę.

– Co panią tak śmieszy? – spytał.

– Chodzi o to, że... – otarła łzy. – Założyłam się z Collemem. Był pewien, że pan wytrwa.

Wzbogaciłam się o dziesięć marek.

– Nie jestem pewien, czy bawi mnie fakt, że stałem się przedmiotem waszego zakładu – oznajmił ostrym tonem.

– A ja nie jestem pewna, czy mnie to guzik obchodzi.

– To dla mnie poważna decyzja.

– Nie, nieprawda! – rzuciła ze złością. – Dla mojego brata była to poważna decyzja, musiał ją podjąć! Nikt nie dostrzega człowieka, jeśli nie ma w nazwisku „dan”, a kto może wiedzieć o tym lepiej ode mnie? Jest pan jedyną osobą, która mi się kłania od czasu, jak tu się zjawiłam, i to tylko dlatego, że Collem panu kazał. Mam niewiele pieniędzy i ani kropli szlachetnej krwi, a to sprawia, że w oczach ludzi takich jak pan jestem niczym. Mężczyźni mnie ignorują, a kobiety mnie nie dostrzegają. Nie mam tu nic, nic i nikogo, a pan myśli, że jest panu ciężko? Litości! Mogę zająć się szermierką – oznajmiła z goryczą. – Niech pan spyta lorda marszałka, czy znajdzie czas dla nowego ucznia, dobrze? Będę miała przynajmniej z kim porozmawiać!

Jezal zamrugnął zdumiony. To już nie było interesujące.

– Chwileczkę, nie ma pani pojęcia, co to znaczy...

– Och, niech pan przestanie biadolić! Ile pan ma lat? Pięć? Przychodzi panu ochota possać pierś swojej matki, jak osesek?

Nie wierzył własnym uszom. Jak śmiała?

– Moja matka nie żyje – powiedział. Ha. Był pewien, że teraz poczuje się winna, że to ją zmusi do przeprosin. Nic z tego.

– Nie żyje? No to ma szczęście, nie musi przynajmniej wysłuchiwać tego przekłętą biadolenia! Wy, bogaci zepsuci chłopcy, jesteście bez wyjątku tacy sami. Dostajecie wszystko, czego tylko zapragniecie, a potem, kiedy trzeba się po coś schylić, zaczynacie jęczeć! Jesteście żałośni! Robi mi się niedobrze na wasz widok!

Jezal aż się zakrztusił. Twarz go paliła i piekła, jakby ktoś mu wymierzył policzek. Wolałby, żeby tak było. Nikt nigdy tak do niego nie mówił. To było gorsze niż słowa Głokty. Znacznie gorsze i o wiele bardziej niespodziewane. Uświadomił sobie, że ma otwarte usta. Zamknął je gwałtownym ruchem, zaciskając zęby, odstawił kieliszek na stół i wstał, żeby wyjść. Obracał się w stronę drzwi, gdy otworzyły się nagle, on zaś stanął twarzą w twarz z Westem.

– Jezal – powiedział major, najpierw tylko zdziwiony, ale potem, kiedy spojrzał na siostrę, która niemal leżała na kanapie, odrobinę podejrzliwy. – Co ty tu robisz?

– E... prawdę mówiąc, przyszedłem się z tobą spotkać.

– Ach tak?

– Tak. Ale to może poczekać. Mam coś do roboty – oznajmił Jezal, po czym wyminął swego przyjaciela i wyszedł na korytarz.

„Co tu się stało? – usłyszał jeszcze głos Westa, kiedy się oddalał. – Jesteś pijana?”

Furia Jezala narastała z każdym krokiem, aż w końcu zaczęła go niemal dusić. Stał się ofiarą napaści! Brutalnego i niezasłużonego ataku! Zatrzymał się w korytarzu, drżąc z wściekłości. Oddychał chrapliwie przez nozdrza, jakby przebiegł dziesięć mil, i zaciskał boleśnie pięści. I to ze strony kobiety! Kobiety? Cholernej prostaczki z gminu! Jak śmiała? Marnował z nią czas, śmiał się z jej żartów, uważał ją za atrakcyjną! Powinna być zaszczycona tym, że zwrócił na nią uwagę!

– Pieprzona suka! – warknął do siebie. Był gotów niemal wrócić tam i rzucić jej to w twarz, ale było za późno. Rozejrzał się, szukając wzrokiem czegoś, co mógłby uderzyć. Jak jej odpłacić? Jak? I

wtedy mu zaświtało.

Udowodnić jej, że się myli.

To załatwi sprawę. Udowodnić jej, że się myli, a przy okazji temu kalekiemu draniowi Glokcie. Pokaże im, jak ciężko potrafi pracować. Pokaże im, że nie jest głupcem, kłamcą, zepsutym dzieckiem. Im dłużej o tym myślał, tym większy sens w tym dostrzegał. Wygra ten przeklęty turniej, ot co! Uśmiech zniknie im z twarzy! Ruszył dziarskim krokiem po korytarzu, czując, jak w piersi narasta mu zupełnie nowe, nieznane dotąd uczucie.

Świadomość celu. Tak, właśnie. Może nie było jeszcze za późno na bieg.



# Jak szkoli się psy

Praktyk Frost stał pod ścianą, absolutnie nieruchomy, całkowicie milczący, ledwie widoczny w głębokich cieniach, niemal jak część budynku. Albinos nie poruszył się od ponad godziny, nie zamrugał, nie odetchnął – w każdym razie Glokta tego nie zauważył – nie odrywając oczu od ulicy, która się przed nimi rozciągała.

Glokta zaklął, poruszył się z wysiłkiem, skrzywił, podrapał po twarzy, przesunął językiem po dziurawych dziąsłach.

„Co ich zatrzymuje? Jeszcze kilka minut i zasnę, a potem wpadnę do tego kanału i utonę. Byłoby to niezwykle stosowne”.

Patrzył, jak oleista, cuchnąca woda w dole chlupocze i marszczy się łagodnie.

„Znaleziono topielca niedaleko doków, wzdętego od wody morskiej i w stanie wykluczającym jakąkolwiek identyfikację...”.

Frost dotknął w ciemności jego ramienia, wskazując wielkim białym palcem ulicę. W ich stronę zmierzało powoli trzech ludzi; szli lekko chwiejnym krokiem marynarzy, którzy przez dłuższy czas byli zmuszeni zachować równowagę na rozkołysanym pokładzie.

„A więc oto początek naszego małego przyjęcia. Lepiej późno niż wcale”.

Trzej żeglarze dotarli do połowy mostu nad kanałem, po czym zatrzymali się, nie dalej niż o rzut kamieniem. Glokta słyszał ton ich rozmowy: chępliwy, pewien siebie, rozbrzmiewający pospolitym akcentem. Wsunął się głębiej w mrok przylegający do budynku.

Teraz z przeciwnej strony docierał odgłos pospiesznych kroków. Pojawiło się jeszcze dwóch ludzi, którzy podążali szybko ulicą. Jeden, bardzo wysoki i chudy osobnik w kosztownym futrze, rozglądał się podejrziwym wzrokiem.

„To jest zapewne Gofred Hornlach, starszy bławatnik. Nasz człowiek”.

Jego towarzysz miał miecz przy biodrze i dźwigał z wysiłkiem wielki drewniany kufer, który opierał o ramię.

„Sługa albo osobisty strażnik, czy też jedno i drugie. Nie interesuje nas”.

Glokta poczuł mrowienie na karku, kiedy tamci zbliżyli się do mostu. Hornlach zamienił pospiesznie kilka słów z jednym z marynarzy, człowiekiem o długiej brunatnej brodzie.

– Gotowy? – spytał szeptem Frosta.

Praktyk przytaknął.

– Stać! – krzyknął Glokta donośnie. – W imieniu Jego Wysokości!

Sługa Hornlacha obrócił się na pięcie, upuszczając przy tym kufer, który upadł na most z hukiem, i sięgnął po miecz. Z mroku po drugiej stronie ulicy dobiegł cichy brzdęk. Służący spojrział zdziwiony, prychnął i runął na twarz. Z cienia wyłonił się szybko Frost; jego kroki załomotały w nocnej ciszy ogłuszająco.

Hornlach spojrział szeroko otwartymi oczami na ciało swego strażnika, potem na potężnego albinosa. Odwrócił się do żeglarzy.

– Pomóżcie mi! – zawołał. – Powstrzymajcie go!

Przywódca marynarzy uśmiechnął się tylko.

– Nie wydaje mi się.

Jego dwaj towarzysze przesunęli się bez pośpiechu, zagradzając drogę na moście. Kupiec

zatonął się do tyłu i zrobił niepewny krok w stronę mroku, który zalegał po drugiej stronie kanału. Tuż przed nim ukazał się Severard, wyłoniwszy się z jakiejś bramy, trzymając na ramieniu krótki łuk.

„Gdyby zamiast broni miał bukiet kwiatów, wyglądałby jak ktoś spieszący na wesele. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że właśnie zabił człowieka”.

Otoczony z wszystkich stron, Hornlach mógł tylko rozglądać się tępo, wzrokiem pełnym strachu i zdumienia, podczas gdy dwaj praktycy zbliżali się do niego, a za nimi kuśtykał Glokta.

– Zapłaciłem wam! – krzyknął rozpaczliwie do żeglarzy.

– Zapłaciłeś za koję – odparł kapitan. – Lojalność ma wyższą cenę.

Na ramię kupca spadła wielka biała dłoń praktyka Frosta, rzucając go na kolana. Severard podszedł do martwego strażnika, wsunął pod niego brudny but i przewrócił na plecy. Trup wlepił spojrzenie w niebo; oczy miał szkliste, z szyi sterczał mu pierzasty bełt. Krew wokół ust była czarna w blasku księżyca.

– Nie żyje – mruknął Severard zbytecznie.

– Tak to bywa, kiedy się komuś przestrzeli szyję – odparł Glokta. – Uprzątnij go, dobrze?

– Robi się.

Severard chwycił za stopy strażnika i przełożył je przez balustradę mostu, potem wziął trupa pod pachy i przrzucił ciało na drugą stronę, stękając przy tym.

„Tak gładko, tak czysto, tak sprawnie. Nie ulega wątpliwości, że robił już to wcześniej”.

Rozległ się plusk, gdy zwłoki uderzyły o oleistą wodę w dole. Frost związał już Hornlachowi dłonie na plecach i założył mu worek na głowę. Więzień zapiszczał spod sukna, kiedy dźwignięto go z kolan. Glokta zbliżył się swoim chwiejnym i kulejącym krokiem do trzech żeglarzy, odczuwając zdrętwienie w nogach po długim wystawianiu w alejce.

– Oto wynagrodzenie – oznajmił, wyciągając z wewnętrznej kieszeni płaszcza ciężką sakiewkę. Przytrzymał ją nad wyciągniętą dłonią kapitana. – Powiedz mi, co wydarzyło się dzisiejszej nocy?

Stary żeglarz uśmiechnął się, marszcząc ogorzałą twarz, która wyglądała jak skóra starego buta.

– Mój ładunek zaczął się psuć i musieliśmy wyruszyć wraz z pierwszym wiatrem. Tak mi powiedziałem. Czekaliśmy przez pół nocy obok cuchnącego kanału, ale czy ktoś by uwierzył? Drań się nigdy nie pojawił.

– Bardzo dobrze. To jest historia, jaką bym opowiedział w Westporcie, gdyby ktoś mnie pytał.

Kapitan wyglądał na wyraźnie urażonego.

– Tak właśnie było, inkwizytorze. Czy istnieje jakaś inna historia?

Glokta wypuścił z dłoni sakiewkę, w której zabrzęczały monety.

– Z pozdrowieniami od Jego Wysokości.

Kapitan zważył w dłoni mały trzos.

– Zawsze chętnie wyświadczymy mu przysługę!

Po czym odwrócił się wraz z dwoma towarzyszami, błyskając w uśmiechu pożółkłymi zębami, i wszyscy ruszyli w stronę nabrzeża.

– Doskonale – rzucił Glokta. – Do roboty.

\* \* \*

– Gdzie moje ubranie?! – krzyknął Hornlach, szarpiąc się na krześle.

– Przepraszam. Wiem, że to bardzo niewygodne, ale ubranie może skrywać różne rzeczy.

Pozostaw człowiekowi jego odzienie, a tym samym pozostawisz mu jego dumę, godność i wszystko to, czego lepiej tu nie posiadać. Nigdy nie przesłuchuję więźniów w ubraniach. Pamiętasz Salema Rewsa?

– Kogo?

– Salema Rewsa. Jednego z twoich ludzi. Kupca bławatnego. Przyłapaliśmy go na unikaniu królewskich podatków. Złożył wyznanie, wymienił kilku ludzi. Chciałem z nimi porozmawiać, ale wszyscy zginęli.

Kupiec rzucał niespokojne spojrzenia w lewo i prawo.

„Zastanawia się nad możliwościami, starając się odgadnąć, co wiemy”.

– Ludzie umierają cały czas – powiedział Hornlach.

Glokta wlepił wzrok w namalowane zwłoki Juvenusa, krwawiące na całą ścianę jasnoczerwoną farbą. Ludzie umierają cały czas.

– Oczywiście, ale nie tak gwałtownie. Mam wrażenie, że ktoś życzył sobie ich śmierci, że ktoś rozkazał ich zabić. Mam wrażenie, że to byłeś ty.

– Nie masz żadnego dowodu! Żadnego! Nie ujdzie ci to na sucho!

– Dowody nic nie znaczą, Hornlach, ale dogodzę ci. Rews przeżył. Tak się składa, że jest tutaj, w głębi holu; siedzi pozbawiony przyjaciół, bełkocze i wymienia wszystkie nazwiska, jakie mu tylko przyjdą do głowy, albo nam przyjdą do głowy, jeśli już o tym mowa.

Zmrużone oczy, ale brak odpowiedzi.

– Posłużyliśmy się nim, by schwytać Capriego.

– Capriego? – spytał kupiec, siląc się na nonszalancję.

– Z pewnością pamiętasz waszego zabójcę? Nieco tęgiego Styriańczyka? Blizny po ospie? Dużo przeklina? Jego także mamy. Opowiedział nam całą historię. Jak go nająłeś, ile mu zapłaciłeś, o co go prosiłeś. Całą historię. – Glokta się uśmiechnął. – Ma doskonałą pamięć jak na zabójcę. Bardzo szczegółową.

Można było teraz dostrzec strach, zaledwie jego cień, ale Hornlach potrafił się opanować.

– To oszczerstwo pod adresem mojej gildii! – zawołał, starając się wykrzesać z siebie tyle przekonania, ile mógł, nagi i przywiązany do krzesła. – Mój mistrz, Coster dan Kault, nigdy na to nie pozwoli, a jest bliskim przyjacielem superiora Kalyne'a.

– Srać na Kalyne'a, jest skończony. Poza tym Kault sądzi, że płyniesz sobie bezpiecznie na statku zmierzającym do Westportu i jesteś poza naszym zasięgiem. Nikt chyba nie będzie za tobą tęsknił przez kilka tygodni. – Glokta dostrzegł, że twarz kupca obwisła nagle. – Wiele może się wydarzyć w tym czasie... bardzo wiele.

Hornlach przesunął szybko językiem po wargach. Spojrzał ukradkiem na Frosta i Severarda, nieznacznie nachylonych.

„A więc zbliża się chwila targów”.

– Inkwizytorze – odezwał się kupiec pochlebczym tonem. – Jeśli czegoś się w życiu nauczyłem, to tego, że każdy czegoś chce. Każdy ma swoją cenę, tak? A my mamy bardzo głębokie kieszenie. Musisz tylko to wymienić. Tylko wymienić! Czego chcesz?

– Czego chcę? – spytał Glokta, nachylając się konspiracyjnie w stronę kupca.

– Tak. Czego pragniesz? Czego żadasz?

Hornlach uśmiechał się teraz, był to przebiegły, przemądrzały uśmieszek.

„Jakie to urocze, ale nie wykupisz się w ten sposób”.

– Chcę odzyskać swoje zęby.

Uśmiech na twarzy kupca zaczął przygasać.

– Chcę odzyskać nogę.

Hornlach przełknął.

– Chcę odzyskać dawne życie.

Więzień pobladł.

– Nie? Wobec tego zadowolę się twoją głową zatknietą na kiju. Nie masz nic innego, czego bym chciał, bez względu na głębokość waszych kieszeni.

„Koniec przechwałek? Koniec targów? Możemy więc zaczynać”. Glokta wziął ze stołu leżący przed nim papier i przeczytał pierwsze pytanie:

– Jak się nazywasz?

– Proszę posłuchać, inkwizytorze, ja...

Frost walnął pięścią w stół i Hornlach skulił się na swoim krześle.

– Odpowiedz na pieprzone pytanie! – wrzasnął mu w twarz Severard.

– Gofred Hornlach – pisał kupiec.

Glokta przytaknął.

– Dobrze. Jesteś starszym członkiem gildii kupców bławatnych?

– Tak, tak!

– Na dobrą sprawę jednym z zastępców magistra Kaulta?

– Wiesz, że tak!

– Czy konspirowałeś z innymi kupcami w celu oszukiwania Jego Wysokości? Czy nająłeś zabójcę, by zamordował umyślnie dziesięciu spośród poddanych króla? Czy kazał ci tak postąpić magister Coster dan Kault, stojący na czele gildii kupców bławatnych?

– Nie! – wrzasnął Hornlach głosem piskliwym z przerażenia i paniki.

„To nie jest odpowiedź, jakiej potrzebujemy”.

Glokta zerknął na praktyka Frosta. Wielka biała pięść zagłębiła się nagle w trzewia kupca, który wydał ciche westchnienie i osunął się bokiem.

– Wiesz, moja matka hoduje psy – powiedział Glokta.

– Psy – syknął Severard w ucho postępującego spazmatycznie kupca i posadził go z powrotem na krześle.

– Kocha je i uczy różnych sztuczek. – Glokta wysunął z namysłem wargi. – Wiesz, jak się szkoli psy?

Hornlach nie mógł złapać tchu; kiwał się na krześle z załzawionymi oczami, wciąż niezdolny do mówienia.

„Jak ryba wyciągnięta nagle z wody. Usta otwierają się i zamykają, ale nie dobywa się z nich żaden dźwięk”.

– Powtarzanie – oznajmił Glokta. – Powtarzać, powtarzać, powtarzać. Musisz sprawić, by pies sto razy wykonał identycznie tę samą sztuczkę, a potem trzeba zaczynać wszystko od nowa. Rzecz sprowadza się do powtarzania. A jeśli chcesz, żeby ten pies szczekał na rozkaz, nie możesz oszczędzać bata. Zaszczekasz dla mnie, Hornlach. Przed Otwartą Radą.

– Jesteście obłąkani! – krzyknął kupiec, przesuwając po swych oprawcach wzrokiem. – Wszyscy jesteście obłąkani!

Glokta błysnął bezzębny uśmiechem.

– Jeśli chcesz. Jeśli ma to pomóc. – Znow spjrzał na papier w swojej dłoni. – Jak się nazywasz?

Więzień przełknął.

– Gofred Hornlach.

– Jesteś starszym członkiem gildii kupców bławatnych?

– Tak.

– Na dobrą sprawę jednym z zastępców magistra Kaulta?

– Tak!

– Czy konspirowałeś z innymi kupcami w celu oszukiwania Jego Wysokości? Czy nająłeś zabójcę, by zamordował umyślnie dziesięciu spośród poddanych króla? Czy tak kazał ci postąpić magister Coster dan Kault, stojący na czele gildii kupców bławatnych?

Hornlach rozejrzał się zrozpaczony. Frost patrzył na niego spokojnie. Severard patrzył na niego spokojnie.

– Więc? – spytał Glokta.

Kupiec zamknął oczy.

– Tak – zaskowyczał.

– To znaczy?

– Tak!

Glokta się uśmiechnął.

– Doskonale. A teraz mi powiedz, jak się nazywasz?

# Herbata i zemsta

To piękny kraj, prawda? – spytał Bayaz, wpatrując się w poszarpane wzgórza po obu stronach drogi. Towarzyszył im miarowy stukot kopyt końskich na trawie – dźwięk, który kontrastował dziwnie z niepokojem Logena.

– Czyżby?

– No cóż, niełatwo się tu żyje, oczywiście, zwłaszcza tym, którzy nie znają miejscowych obyczajów. Twarda ziemia, bezlitosna. Ale jest w niej też coś szlachetnego. – Pierwszy z Magów objął zamaszystym ruchem ramienia rozciągający się przed nimi widok i odetchnął z zadowoleniem. – Ma w sobie uczciwość, prawość. Najlepsza stal nie zawsze świeci najjaśniej. – Zerknął na Logena, kołysząc się łagodnie w siodle. – Powinieneś o tym wiedzieć.

– Nie powiem, bym dostrzegał jej piękno.

– Nie? Co wobec tego widzisz?

Logen przesunął wzrokiem po stromych, trawiastych zboczach, upstrzonych połaciami turzycy i brązowego kolcolistu, poznaczonych strzelistymi głazami i skupiskami drzew.

– Widzę dobry teren do walki. Zakładając, że dotrze się tu przed wrogiem.

– Naprawdę? Jak to?

Logen wskazał mu gruzłowaty szczyt wzgórza.

– Łucznicy na tym urwisku byliby niewidoczni od strony drogi, pośród skał zaś można ukryć pieszych. Kilku lekko uzbrojonych pozostałoby na zboczach, by wciągnąć wroga na stromy teren. – Wskazał też kolczaste krzewy, które kryły niższe partie wzgórz. – A kiedy nieprzyjaciel już by tu dotarł i przedzierał się przez ten kolcolist, łucznicy zasypaliby ich strzałami. Groty spadające z góry to nic przyjemnego. Lecą szybciej i dalej, wbijają się też głębiej. To by rozbiło ich szyki. Nim dotarliby do tych skał, byliby śmiertelnie zmęczeni i niezdyscyplinowani. Nadeszłaby odpowiednia pora do ataku. Grupa napastników wyskakujących zza tych głazów, szarżujących z góry z diabelskim wrzaskiem, wypoczęta i pełna zapału... rozbiłaby ich w puch.

Logen przyjrzał się spod zmrużonych powiek zboczowi wzgórza. Brał udział w takich potyczkach, po obu stronach, i w żadnym wypadku nie zachował miłych wspomnień.

– Ale gdyby mimo wszystko odparli atak, kilku konnych ukrytych pośród tych drzew dokończyłoby sprawę. Kilku Ludzi Imiennych, twardych wojowników, którzy spadają z góry, gdzie nikt się ich nie spodziewa, to coś przerażającego. Zmusiliby przeciwników do ucieczki. Ale ci byliby zmęczeni, więc nie uciekaliby zbyt szybko. To oznacza jeńców, a jeńcy to okup albo przynajmniej wróg wybity tanim kosztem. Widzę tu rzeź albo zwycięstwo warte pieśni, zależnie od tego, po której jest się stronie. Oto, co widzę.

Bayaz uśmiechnął się, przytakując w takt powolnego ruchu swego wierzchowca.

– Czy to Stolicus powiedział, że grunt musi być najlepszym przyjacielem generała, bo w przeciwnym razie staje się jego największym wrogiem?

– Nigdy o nim nie słyszałem, ale miał rację. To dobre miejsce dla armii, zakładając, że dotrze tu jako pierwsza. Na tym polega sztuczka.

– Rzeczywiście. Nie mamy jednak armii.

– Te drzewa mogłyby ukryć kilku jeźdźców dużo lepiej niż wielu. – Logen zerknął ukradkiem na czarnoksiężnika, który siedział zadowolony w siodle, ciesząc się przejażdżką po okolicy. – Nie

wydaje mi się, by Bethod skorzystał z twojej rady, a ja zadarłem z nim już dostatecznie mocno. Zraniłeś go w najczulszym miejscu, którym jest duma. Teraz pragnie zemsty. I to bardzo.

– Ach tak, zemsta, to jedna z najpowszechniejszych rozrywek na Północy. Jej popularność zdaje się nigdy nie zamierać.

Logen rozejrzał się posępnym wzrokiem po drzewach, skałach, zagłębieniach w zboczach doliny, licznych kryjówkach.

– Pośród tych wzgórz będą się czaić ludzie, wypatrując naszego przybycia. Niewielkie bandy sprawnych i zaprawionych w bojach wojowników, dosiadających dobrych koni i odpowiednio uzbrojonych, a także obeznanych z terenem. Teraz, gdy Bethod wykończył wszystkich swoich wrogów, nie ma miejsca na Północy, które byłby poza jego zasięgiem. Mogą czekać tam – wskazał jakieś skały przy drodze – albo wśród tych drzew czy tamtych.

Malacus Quai, jadący z przodu wraz z koniem jucznym, rozejrzał się nerwowo.

– Mogą być wszędzie – dodał Logen.

– Budzi to twój lęk? – spytał Bayaz.

– Wszystko budzi mój lęk i cieszę się z tego. Lęk to dobry przyjaciel człowieka, na którego polują; to dzięki niemu tak długo przeżyłem. Tylko martwi są nieustraszeni, a ja nie zamierzam się do nich przyłączyć. Do biblioteki Bethod też wysła swoich ludzi.

– O tak, by spalić moje książki i tak dalej.

– Budzi to twój lęk?

– Nie bardzo. Kamienie przy bramie skrywają w sobie słowo Juvensa, czemu nie można zaprzeczyć, nawet teraz. Nikt, kogo zamiarem jest przemoc, nie zdoła do niej podejść. Przypuszczam, że ludzie Bethoda będą krążyli w strugach deszczu wokół jeziora, aż skończy im się żywność, zastanawiając się cały czas, jakie to dziwne, że nie mogą znaleźć czegoś tak dużego jak biblioteka. Nie – oznajmił z zadowoleniem czarnoksiężnik, drapiąc się po brodzie. – Skupiłbym się raczej na naszym położeniu. Jak myślisz, co się stanie, jeśli nas schwytają?

– Bethod zabije nas wszystkich, i to w najbardziej nieprzyjemny sposób, jaki tylko zdoła wymyślić. Chyba że zamierza okazać litość i wypuścić nas z ostrzeżeniem.

– Nie wydaje się to prawdopodobne.

– To samo mi przyszło do głowy. Nasza największa szansa to ruszyć w stronę Białego Nurtu, przedostać się przez tę rzekę do Anglandu i liczyć, że będziemy mieć szczęście i nikt nas nie dostrzeże. – Logen nie lubił ufać szczęściu, już samo to słowo pozostawiało po sobie kwaśny smak. Spojrzał na zachmurzone niebo. – Przydałoby się nam trochę złej pogody. Porządna ulewa stanowiłaby doskonałą zasłonę.

Niebiosa sikały na niego całymi tygodniami, ale teraz, kiedy tak potrzebował deszczu, odmawiały mu nawet kropli.

Malacus Quai patrzył na nich przez ramię, oczy miał okrągłe ze zmartwienia.

– Czy nie powinniśmy jechać trochę szybciej?

– Być może – odparł Logen, poklepując konia po szyi. – Ale to zmęczyłoby wierzchowce, a szybkość może się nam przydać później. Moglibyśmy chować się za dnia, a wędrować nocą, ale ryzykowalibyśmy, że się zgubimy. Lepiej jest tak jak teraz. Jechać powoli i mieć nadzieję, że jeszcze nas nie dostrzegli. – Spojrzał ze zmarszczonym czołem na szczyt wzgórza. – Że już nas nie dostrzegli.

– Hm... – mruknął Bayaz. – Wobec tego nadeszła być może najodpowiedniejsza chwila, by ci powiedzieć. Ta wiedźma Caurib nie jest taka głupia, jak udawałem.

Logen poczuł, jak zamiera w nim serce.

– Nie?

- Nie, pomimo tej całej farby, złota i gadania o Północy zna swoją siłę. Długie oko, tak to nazywają. Stara sztuczka, ale skuteczna. Obserwuje nas.
- Wie, gdzie jesteśmy?
- Wie, kiedy wyjechaliśmy, co jest bardziej niż prawdopodobne, i w jakim kierunku zmierzamy.
- To grzebie nasze szanse.
- Nie powiedziałbym.
- Do diabła.

Logen dojrzał jakiś ruch wśród drzew po lewej stronie i ujął rękojeść miecza. Ku niebu zerwały się dwa ptaki. Czekał, czując, jak serce podchodzi mu do gardła. Nic się nie stało. Cofnął dłoń.

- Powinniśmy byli ich zabić, kiedy mieliśmy okazję. Wszystkich troje.
- Ale nie zrobiliśmy tego i jest, jak jest. – Bayaz spojrział na niego. – Jeśli nas jednak odnajdą, to jaki masz plan?
- Uciekać. I mieć nadzieję, że nasze konie będą szybsze.

\* \* \*

- A ten? – spytał Bayaz.

Wiatr omiatał dolinę pomimo gęstwiny drzew, wprawiając płomienie ogniska w taniec. Malacus Quai przygarbił się i jeszcze szczelniej otulił kocem. Wlepiał wzrok w krótką łodygę, którą mu podsuwał Bayaz, i zmarszczył z wysiłku czoło.

- E... – Była to już piąta z kolei roślina i biedny uczeń nie odgadł jeszcze nazwy żadnej z nich.
- Czy to... e... Ilyith?

– Ilyith? – powtórzył jak echo czarnoksiężnik, nie zdradzając niczym, czy jest to prawidłowa odpowiedź. Był równie bezlitosny jak Bethod, gdy chodziło o ucznia.

- Może? – spytał z nadzieją Malacus.

– Nie bardzo.

Młodzieniec zamknął oczy i westchnął po raz piąty tego wieczoru. Logenowi było go żal, i to szczerze, ale nic nie mógł zrobić.

- Ursilum, w starym języku, odmiana z okrągłymi liśćmi – wyjaśnił Bayaz.

– Tak, tak, oczywiście, Ursilum, cały czas chodziło mi to po głowie.

- Jeśli tak było, to zastosowanie owej rośliny jest ci chyba znane, co?

Uczeń zmrużył oczy i popatrzył z nadzieją w ciemne niebo, jakby odpowiedź była wypisana w gwiazdach.

- Czy stosuje się ją... na ból w stawach?

– Nie, zdecydowanie nie. Obawiam się, że twoje obolałe stawy wciąż będą ci dokuczać. – Bayaz obracał powoli łodyżkę w palcach. – Ursilum nie ma żadnego zastosowania, w każdym razie nie znam go. To po prostu roślina.

Z tymi słowami cisnął ją w zarośla.

– Tylko roślina – powtórzył jak echo Quai, potrząsając głową. Logen westchnął i potarł zmęczone oczy.

- Przepraszam, mistrzu Dziewięciopalcy, nudzimy cię?

– Jakie to ma znaczenie? – spytał Logen, wznosząc ręce ku górze. – Kogo obchodzi nazwa rośliny, której nie można do niczego użyć?



Bayaz uśmiechnął się.

– Trafna uwaga. Powiedz nam, Malacusicie, jakie to ma znaczenie?

– Jeśli człowiek pragnie zmieniać świat, to najpierw powinien spróbować go zrozumieć. – Młodzieniec wyrecytował te słowa jakby z pamięci, nie kryjąc ulgi, że zadano mu pytanie, na które znał odpowiedź. – Kowal musi nauczyć się o metalu, a cieśla o drewnie, bo w przeciwnym razie ich praca nie będzie miała wielkiej wartości. Magia jest dzika i niebezpieczna, gdyż pochodzi z Drugiej Strony, a czerpanie ze świata podziemnego jest najeżone groźnymi pułapkami. Mag okiełznuje magię za pomocą wiedzy i tym samym tworzy Wysoką Sztukę, ale, podobnie jak kowal czy cieśla, musi zmieniać tylko to, co rozumie. Wraz z każdą rzeczą, którą poznaje, wzrasta jego moc. Tak więc powinien dokładać sił, by dowiedzieć się i nauczyć wszystkiego, jeśli pragnie zrozumieć świat jako całość. Drzewo jest tylko tak mocne jak jego korzeń, a wiedza jest korzeniem mocy.

– Czyżby Juvenus i jego „Zasady Sztuki”? – spytał Logen.

– Początkowe wersy – przyznał Bayaz.

– Wybacz, że to mówię, ale żyję na tym świecie ponad trzydzieści lat, a nie rozumiałem jeszcze ani jednej rzeczy, jaka się w tym czasie wydarzyła. Poznać świat jako całość? Zrozumieć wszystko? Prawdziwie ambitne zadanie.

Mag zaniósł się cichym śmiechem.

– Niemożliwe, z pewnością. By naprawdę pojąć choćby źdźbło trawy, trzeba studiować całe życie, a świat zmienia się bezustannie. Dlatego jesteśmy skłonni oddawać się jednej specjalności.

– Co zatem wybrałeś?

– Ogień – odparł Bayaz, spoglądając z zadowoleniem w płomienie; na jego łysej czaszce tańczyło światło. – Ogień, siłę i wolę. Ale nawet w swej wybranej dziedzinie, po niezliczonych latach studiów, wciąż jestem nowicjuszem. Im więcej poznajesz, tym bardziej sobie uświadamiasz, jak mało wiesz. Mimo to warto się starać. Wiedza to korzeń mocy, bądź, co bądź.

– A więc dysponując dostatecznie dużą wiedzą, magowie mogą dokonać wszystkiego?

Bayaz zmarszczył czoło.

– Są pewne granice. I zasady.

– Jak Pierwsze Prawo?

Mistrz i jego uczeń spojrzeli jednocześnie na Logena.

– Jest rzeczą zakazaną rozmawiać z diabłami, mam rację?

Było jasne, że Quai nie pamięta niczego z ataków gorączki, kiedy to towarzyszył Logenowi w drodze do biblioteki, bo otworzył usta ze zdumienia. Bayaz zmrużył odrobinę oczy, w których pojawił się ledwie dostrzegalny cień podejrzliwości.

– No cóż, owszem, masz rację – oznajmił Pierwszy z Magów. – Jest rzeczą zakazaną dotykać bezpośrednio Drugiej Strony. Pierwsze Prawo musi obowiązywać wszystkich, bez wyjątku. Podobnie jak Drugie.

– To znaczy?

– Jest rzeczą zakazaną spożywać ludzkie mięso.

Logen uniósł brew.

– Wy, czarnoksiężnicy, zajmujecie się dziwnymi sprawami.

Bayaz się uśmiechnął.

– Och, to delikatnie powiedziane. – Zwrócił się do swojego ucznia, pokazując mu grudkowaty brązowy korzeń. – A teraz, młodzieńcze, czy byłbyś tak uprzejmy i powiedział mi, co to takiego?

Logen nie mógł nad sobą zapanować i wyszczerzył zęby. To akurat wiedział.

– No, dalej, Malacusicie, nie mamy przed sobą całej nocy.

Logen nie mógł już dłużej patrzeć na nieszczęśliwą minę ucznia. Nachylił się do niego, udając, że grzebie patykami w ogniu, po czym zakaszłał głośno i szepnął „Wronia Stopa”. Bayaz siedział dalej od nich, a w liściach szeleścił wiatr. Mag nie mógł tego w żaden sposób usłyszeć.

Quai odegrał swoją rolę doskonale. Wpatrywał się dłuższą chwilę w korzeń, marszcząc w zamyśleniu czoło.

– Czy to Wronia Stopa? – spytał niepewnie.

Bayaz uniósł zaskoczony brwi.

– No cóż, zgadza się. Doskonale, Malacusi. Co możesz mi powiedzieć o zastosowaniach tego korzenia?

Logen znowu zakaszłał i wyszeptał „rany”, spoglądając niby od niechcienia w zarośla i zakrywając dłonią usta. Może i nie wiedział zbyt wiele o roślinach, ale w kwestii ran miał ogromne doświadczenie.

– Wydaje mi się, że jest dobry na rany – oznajmił z namysłem Malacus.

– Znakomicie, młody człowieku. Wronia Stopa to właściwa nazwa. Z radością dostrzegam, że robimy postępy. – Odchrząknął znacząco. – Wydaje się jednak zagadkowe, że to wiedziałeś. Określają ów korzeń mianem Wroniej Stopy tylko na północ od gór. Z pewnością nigdy nie uczyłem cię takiej nazwy. Zastanawiam się, kim jest ten, którego znasz z tamtej części świata? – Zerknął na Logena. – Czy rozważałeś kiedyś pomysł, by zająć się sztukami magicznymi, mistrzu Dziewięciopalcu? – Spojrzał na Quaię spod przymrużonych powiek. – Może będę potrzebował nowego ucznia?

Malacus zwiesił głowę.

– Przepraszam, mistrzu.

– I masz rację. Być może powinienesz wyczyścić garnki po naszym posiłku. To zadanie chyba bardziej odpowiada twoim zdolnościom.

Quai zsunął z niechęcią koc z ramion, pozbierał brudne miski i powlókł się w stronę strumienia. Bayaz pochylił się nad kociołkiem na ogniu i dorzucił trochę suszonych liści do bulgoczącej wody. Światło skaczących płomieni skąpało w swym blasku dolną część jego twarzy, a łysą głowę spowiły kłęby pary. Biorąc wszystko pod uwagę, wyglądał rzeczywiście jak czarnoksiężnik.

– Co to takiego? – spytał Logen, sięgając po swoją fajkę. – Jakies zaklęcie? Elixir? Wielkie dzieło Wysokiej Sztuki?

– Herbata.

– Hę?

– Liście pewnej rośliny, zagotowane w wodzie. Uważane w Gurkhulu za wielki rarytas. – Nalał trochę wywaru do kubka. – Chciałbyś spróbować?

Logen powąchał napój podejrzliwie.

– Pachnie jak stopy.

– Twój wybór. – Bayaz potrząsnął głową i znów zasiadł przy ogniu, obejmując kubek obiema dłońmi. – Ale nie spróbujesz jednego z najwspanialszych darów, jakie otrzymał człowiek. – Wziął łyk i oblizwał ze smakiem wargi. – Działa kojąco na umysł i ożywczo na ciało. Nie ma wielu dolegliwości, na które nie pomógłby porządny kubek herbaty.

Logen wsunął w główkę fajki grudkę czagi.

– A czy pomaga na głowę rozłupaną toporem?

– To właśnie jedna z owych nielicznych dolegliwości – przyznał Bayaz z szerokim uśmiechem. – Powiedz mi, mistrzu Dziewięciopalcu, skąd tyle złej krwi między tobą a Bethodem? Czyż nie walczyłeś dla niego wielokrotnie? Dlaczego tak bardzo się nienawidzicie?

Logen milczał przez chwilę, pykając z fajki i odetchnął głęboko.

– Są powody – odparł sztywno. Rany tamtego czasu wciąż były świeże. Nie lubił, gdy ktokolwiek ich dotykał.

– Ach, powody... – Bayaz spojrział w swój kubek. – A te twoje? Czy owa waśń nie jest obustronna?

– Być może.

– Ale jesteś gotów czekać?

– Będę musiał.

– Hm. Jesteś bardzo cierpliwy jak na człowieka Północy.

Logen pomyślał o Bethodzie i jego odrażających synach, o wielu dobrych ludziach, których zabił w imię swoich ambicji. Ludziach, których on zabił w imię ich ambicji. Pomyślał o szankach i o swojej rodzinie, a także o zgliszczach wioski nad morzem. Pomyślał o wszystkich martwych przyjaciółach. Cmoknął z niezadowoleniem i zapatrzył się w ogień.

– Wyrównałem parę rachunków w swoim czasie, ale to doprowadziło tylko do kolejnych sporów. Zemsta może sprawiać radość, ale to zbytek. Nie napełni ci brzucha ani nie powstrzyma deszczu. By walczyć ze swymi wrogami, potrzebuję wsparcia przyjaciół, a tych nie mam. Trzeba patrzeć trzeźwo. Upłynęło trochę wody od chwili, gdy moje ambicje wykraczały poza chęć przeżycia jednego dnia.

Bayaz wybuchnął śmiechem, oczy błysnęły mu w blasku ognia.

– Co? – spytał Logen, podając mu fajkę.

– Nie obraż się, ale stanowisz niewyczerpane źródło niespodzianek. Jesteś całkowicie inny, niż się spodziewałem. Istna zagadka.

– Ja?

– O tak! Dziewięciopalcy... – wyszeptał, otwierając szeroko oczy, jakby w przestraszu. – Cieszysz się łajdacką reputacją, mój przyjacielu. Te historie, które o tobie opowiadają! To przekłete imię! Matki straszą nim małe dzieci!

Logen nic nie odpowiedział. Nie było sensu zaprzeczać. Bayaz zaciągnął się z wolna fajką, potem wypuścił długi kłęb dymu.

– Rozmyślałem o dniu, kiedy książe Calder złożył nam wizytę.

Logen parsknął ironicznie.

– Staram się nie zaprzętać sobie nim głowy.

– Ani ja, lecz to nie jego zachowanie mnie zaciekało, tylko twoje.

– Naprawdę? Nie przypominam sobie, bym cokolwiek wtedy uczynił.

Bayaz wycelował w niego cybuch fajki.

– Och, o to mi właśnie chodzi. Znałem wielu wojowniczych ludzi, żołnierzy, generałów, mistrzów stali i temu podobnych. Wielki wojownik musi działać szybko, zdecydowanie, czy to własnym ramieniem, czy za pomocą armii, gdyż ten, kto uderza pierwszy, często uderza ostatni. Więc urodzeni wojownicy polegają na swym pierwotnym instynkcie, zawsze odpowiadają przemocą, stają się dumni i brutalni. – Bayaz oddał fajkę Logenowi. – Ale bez względu na to, co mówią opowieści, ty nie jesteś taki.

– Znam wielu, którzy by się z tym nie zgodzili.

– Być może, ale jest prawdą, że Calder cię uraził, a ty nic nie zrobiłeś. Wiesz zatem, kiedy powinieneś działać, i to szybko, ale wiesz także, kiedy nie należy działać. To dowodzi opanowania i umysłu, który potrafi kalkulować.

– Może się po prostu bałem.

– Jego? Daj spokój. Wydawało się, że nie odczuwasz nawet lęku przed Scale'em, a on jest o wiele groźniejszy od brata. Przebyłeś czterdzieści mil z moim uczniem na plecach, to zaś dowodzi odwagi i współczucia. Rzadkie połączenie, doprawdy. Gwałtowność i rozwaga, kalkulacja i współczucie – no i rozmawiasz z duchami.

Logen uniósł brwi.

– Niezbyt często i tylko wtedy, gdy w pobliżu nie ma nikogo. Ich mowa jest nudna i nawet w połowie nie tak pochlebna jak twoja.

– Ha. To prawda. Jak rozumiem, duchy mają niewiele do powiedzenia ludziom. Choć nigdy z nimi nie rozmawiałem; nie posiadam tego daru. Nieliczni go posiadają w dzisiejszych czasach. – Łyknął ze swego kubka, wpatrując się ponad jego brzegiem w Logena. – Nie znam pośród żywych nikogo innego, kto by się nim odznaczał.

Zza drzew wyłonił się Malacus, potykając się i drżąc, po czym odłożył na bok mokre naczynia. Chwycił swój koc, owinał się nim szczelnie i spojrzął z nadzieją na parujący kociołek nad ogniem.

– Czy to herbata?

Bayaz nie zwrócił na niego uwagi.

– Powiedz mi, mistrzu Dziewięciopalcy... przez cały ten czas, od kiedy zjawiłeś się w mojej bibliotece, ani razu mnie nie spytałeś, dlaczego po ciebie posłałem, ani dlaczego wędrujemy teraz po ziemiach Północy, narażając życie. Wydaje mi się to dziwne.

– Nie bardzo. Nie chcę wiedzieć.

– Nie chcesz?

– Przez całe życie starałem się wszystko poznać. Co jest po drugiej stronie gór? Co myślą moi wrogowie? Jakiej użyją przeciwko mnie broni? Jakim przyjaciołom mogę zaufać? – Logen wzruszył ramionami. – Wiedza może i jest korzeniem mocy, ale każda nowa rzecz, którą poznawałem, nie przynosiła mi niczego dobrego. – Znów zaciągnął się fajką, ale już zgasła. Wytrząsnął popiół na ziemię. – Czegokolwiek ode mnie chcesz, spróbuję to uczynić, jednak nie chcę wiedzieć, dopóki nie nadejdzie odpowiednia pora. Mam dość podejmowania decyzji. Nigdy nie są właściwe. Ignorancja to najśłodsze lekarstwo, jak mawiał mój ojciec. Nie chcę wiedzieć.

Bayaz przyglądał mu się uważnie. Jeszcze nigdy Logen nie widział, by Pierwszy z Magów nie krył zdziwienia. Malacus Quai odchrząknął.

– Ja chciałbym wiedzieć – powiedział cichym głosem, patrząc z nadzieją na swego mistrza.

– Tak – mruknął Bayaz. – Ale nie pytasz.

\* \* \*

Był środek dnia, gdy wszystko odmieniło się na gorsze. Logen zaczął już myśleć, że być może uda im się dotrzeć do Białego Nurtu, może nawet przeżyć tydzień. Wydawało się, że utracił na jedną chwilę zdolność koncentracji, i na nieszczęście była to chwila bardzo istotna.

Mimo wszystko rzecz została przeprowadzona znakomicie, to musiał im przyznać. Wybrali miejsce starannie i obwiązali kopyta koni szmatami, by stłumić jakikolwiek hałas. Być może Trójdrzewiec dostrzegłby zasadzkę, ale on potrafił czytać z ziemi jak mało kto. Być może Wilczarz wyczułby ich, ale on odznaczał się znakomitą nosą. Jednak nie było z nimi żadnego z nich. Martwi w niczym nie mogą pomóc.

Kiedy pokonali ślepy zakręt drogi, czekało na nich trzech jeźdźców; byli dobrze uzbrojeni i

nosili mocne pancerze; mieli brudne twarze, ale czyste ostrza, każdy zaś jawił się jako doświadczony wojownik. Ten po prawej stronie był najpotężniejszy i najgroźniejszy, niemal pozbawiony szyi. Ten po lewej był wysoki i chudy, o małych i twardych oczach. Obaj mieli na głowach okrągłe hełmy, na piersiach kolczugi pokryte nalotem czasu, w dłoniach długie włócznie, nisko opuszczone i gotowe do uderzenia. Ich przywódca pochylał się w siodle z niedbałością doświadczonego jeźdźca. Skinął Logenowi głową.

– Dziewięciopalcy! Brynn! Krwawy-dziewięć! Dobrze znów cię widzieć.

– Czarnostopy – mruknął Logen, zmuszając usta do przyjacielskiego uśmiechu. – Też bym poczuł radość w sercu na twój widok, gdyby rzeczy miały się inaczej.

– Ale mają się tak, jak się mają. – Stary wojownik przesuwiał spojrzeniem po postaciach Bayaza, Quaia i Logena, rozważając ich uzbrojenie czy też jego brak, i rozgrywając ze spokojem swoją partię. Głupszy przeciwnik mógłby zdawać się na łut szczęścia, ale Czarnostopy był Człowiekiem Imiennym, nie zaś głupcem. Jego wzrok spoczął na dłoni Logena, która przesuwiała się z wolna ku rękojeści miecza. Wojownik potrząsnął z wolna głową. – Żadnych sztuczek, Krwawy-dziewięć. Sam widzisz, że nie masz szans.

Wskazał głową drzewa za ich plecami.

Logen poczuł jak zamiera w nim serce. Pojawiło się po chwili jeszcze dwóch jeźdźców, którzy przynaglili konie do kłusa, by odciąć drogę odwrotu; owinięte szmatami kopyta ich wierzchowców stąpały cicho na miękkiej ziemi. Logen zagryzł wargę. Czarnostopy miał rację, do diabła. Czterej jeźdźcy otoczyli ich kręgiem, kołysząc ostrzami nisko pochylonych włóczni. Twarz mieli zimne, myśli skupione na zadaniu. Malacus Quai patrzył na nich przerażonym wzrokiem, cofając swego konia. Bayaz uśmiechał się tylko, jakby to byli jego starzy przyjaciele. Logen żałował, że nie odznacza się opanowaniem czarnoksiężnika. Serce waliło mu młotem, w ustach czuł kwaśny smak.

Czarnostopy ponaglił swojego wierzchowca, jedną dłonią ścisnął uchwyt topora, drugą opierał swobodnie o kolano, nie ująwszy nawet wodzy. Był znakomitym jeźdźcą, słynał z tego. Tak się właśnie dzieje, gdy człowiek traci palce u stóp z powodu odmrożenia. Konno pokonuje się drogę szybciej niż na piechotę, nie sposób temu zaprzeczyć, ale jeśli chodzi walkę, Logen wołał stać mocno stopami na ziemi.

– Będzie lepiej, jak pojedziecie teraz z nami – oznajmił stary wojownik. – O wiele lepiej.

Logen nie bardzo był skłonny się zgodzić, ale szanse miał niewielkie. Miecz mógł przemawiać swoim głosem, jak twierdził Bayaz, ale włócznia była diabelnie skutecznym narzędziem, by strącić człowieka z siodła, poza tym otaczało go czterech przeciwników. Tkwił w pułapce – przewyższany liczebnie, zaskoczony, niewłaściwie uzbrojony. Znowu. Najrozsądniej grać na zwłokę i mieć nadzieję, że nadarzy się jakaś okazja. Logen odchrząknął, starając się stłumić strach w głosie.

– Nigdy nie sądziłem, że pogodzisz się z Bethodem, Czarnostopy. Nie ty.

Stary wojownik dotknął długiej, skołtunionej brody.

– Zrobiłem to jako jeden z ostatnich, prawdę powiedziawszy, ale ukląknę w końcu, tak samo jak pozostali. Nie powiem, by mi się to spodobało, ale jest, jak jest. Lepiej oddaj mi swój miecz, Dziewięciopalcy.

– A co ze Starym Człowiekiem Yawlem? Chcesz mi powiedzieć, że i on skłonił się przed Bethodem? Czy po prostu znalazłeś sobie pana, który bardziej ci odpowiada?

Czarnostopy nie okazał nawet cienia złości z powodu tej drwiny. Spojrzał tylko smutnym, zmęczonym wzrokiem.

– Yawl nie żyje, gdybyś przypadkiem nie wiedział. Większość z nich nie żyje. Bethod w ogóle mi nie odpowiada jako pan, jego synowie też nie. Nikt nie lubi lizać Scale'owi tłustego tyłka, ani

chudego Calderowi, wiesz o tym bardzo dobrze. A teraz oddaj miecz; dzień upływa, a my mamy przed sobą długą drogę. Możemy równie dobrze rozmawiać, kiedy będziesz nieuzbrojony.

– Yawl nie żyje?

– Tak – odparł Czarnostopy podejrzliwie. – Zaproponował Bethodowi pojedynek. Nie słyszałeś? Groźny go pokonał.

– Groźny?

– Gdzieś ty się podziewał? Siedziałeś pod jakąś górą?

– Mniej więcej. Kto to taki ten Groźny?

– Nie wiem, kto to taki. – Czarnostopy wychylił się z siodła i splunął na trawę. – Słyszałem, że nie jest w ogóle człowiekiem. Powiadają, że ta suka Caurib wygrzebała go spod jakiegoś wzgórza. Kto wie? W każdym razie jest nowym czempionem Bethoda i to o wiele skuteczniejszym od poprzednika, bez urazy.

– Nie żywię jej – zapewnił Logen.

Człowiek bez szyi przysunął się bliżej. Być może nawet za blisko, czubek jego włóczni chwiał się nieznacznie w odległości dłoni, co najwyżej dwu. Dostatecznie blisko, by Logen mógł ją złapać. Gdyby zdołał.

– Stary Człowiek Yawl był silny.

– Owszem. Dlatego za nim poszliśmy. Ale to mu nie pomogło. Ten Groźny go zmiażdżył. Jakby miał do czynienia z psem. Pozostawił go przy życiu, jeśli tak to można nazwać, żebyśmy zrozumieli jego błąd, choć Yawl nie przetrwał już długo. Większość z nas uklękła od razu, zwłaszcza ci, którzy myśleli o swoich żonach i synach. Nie było sensu z tym zwlekać. Jest w górach jeszcze kilku, którzy nie chcą skłonić głowy przed Bethodem. Ten szaleniec, który oddaje cześć księżycowi, Crummock-i-Phail i jego ludzie, i jeszcze paru. Ale niewielu. A i wobec nich Bethod ma plany. – Czarnostopy wyciągnął sękatą dłoń. – Lepiej oddaj mi swój miecz, Dziewięciopalcu. Lewą ręką, jeśli łaska, bardzo powoli i bez żadnych sztuczek. Skoro mówię, że tak będzie lepiej, to możesz mi wierzyć.

A więc chwila nadeszła. Czas się skończył. Logen objął trzema palcami lewej dłoni rękojeść miecza, czując, jak zimna stal napiera mu na rękę. Ostrze włóczni trzymanej przez potężnie zbudowanego człowieka przybliżyło się odrobinę. Ten wysoki nieco się odprężył, przekonany, że ich przeciwnik jest w pułapce. Trzymał włócznię skierowaną ku niebu. Nie sposób było odgadnąć, co robi tych dwóch z tyłu. Choć Logena kusilo, by zerknąć przez ramię, za wszelką cenę starał się spoglądać przed siebie.

– Zawsze żywiłem do ciebie szacunek, Dziewięciopalcu, choć staliśmy po przeciwnych stronach. Nie ma między nami waśni. Ale Bethod pragnie zemsty, jest nią pijany, a ja przysięgałem mu służyć. – Czarnostopy spojrział Logenowi ze smutkiem w oczy. – Przykro mi, że to ja. Cokolwiek to znaczy.

– Mogę powiedzieć to samo – mruknął Logen. – Przykro mi, że to ty. – Wysunął powolnym ruchem miecz z pochwy. – Cokolwiek to znaczy.

Wyciągnął błyskawicznym ruchem ramię i wpakował rękojeść miecza Czarnostopemu w usta. Stary wojownik wrzasnął, kiedy tępy metal uderzył go w zęby, i zleciał do tyłu z siodła. Topór wysunął mu się z dłoni i spadł z głuchym brzękiem na drogę. Logen chwycił drzewce włóczni potężnego mężczyzny, tuż pod ostrzem.

– Jazda! – ryknął do Quaia, ale uczeń tylko patrzył zdumiony. Człowiek bez szyi pociągnął swoją włócznię z całej siły, niemal zrzucając Logenaz konia, ale ten nie puścił broni. Stanął w strzemiączkach, wznosząc nad głowę miecz. Jego przeciwnik oderwał jedną dłoń od drzewca, otwierając z przerażenia oczy, i uniósł ją odruchowo. Logen ciął mieczem z całej siły.

Był zdumiony jego ostrością. Stał odrąbała potężnemu wojownikowi rękę pod samym łokciem, po czym zagłębiła się w jego ramię, przebiwszy futro i kolczugę, i rozplątała go aż do brzucha, niemal na pół. Na drogę trysnęła fontanna krwi, zraszając pysk konia, na którym siedział Logen. Wierzchowiec był szkolony do jazdy, ale nie wojny; cofnął się i odwrócił gwałtownie, wierzgając kopytami i rzucając się w panice. Logen mógł zrobić niewiele więcej jak tylko utrzymywać się w siodle. Dostrzegł kątem oka, że Bayaz klepnął w zad wierzchowca Quaia. Koń popędził przed siebie z podskakującym uczniem na grzbiecie, za nim pogalopował drugi – juczny.

Potem wszystko zamieniło się w chaos – zwierzęta przysiadły na zadzie i rżały przeraźliwie, zewsząd dobiegał brzęk i zgrzyt stali, przekleństwa i krzyki. Bitwa. Rzecz znajoma, ale nie mniej przez to przerażająca. Logen ścisnął lewą dłońią wodze, gdy jego koń cofał się gwałtownie i rzucał na boki, i wymachiwał nad głową mieczem, bardziej by odstraszyć swych przeciwników, niż ich trafić. W każdej chwili spodziewał się uderzenia włóczni i przeszywającego bólu. I ziemi, która popędzi ku niemu i uderzy go bezlitośnie w twarz.

Zobaczył Quaia i Bayaza, którzy galopowali na swoich koniach drogą, ścigani przez wysokiego wojownika, trzymającego pod pachą włócznię. Zobaczył Czarnostopego, który dźwignął się na nogi, plując krwią i sięgając po topór. Zobaczył dwóch wojowników, którzy zaszli go od tyłu i teraz starali się opanować swoje rozszalałe wierzchowce, wymachując włóczniami. Zobaczył, jak ciało tego, którego zabił, zgina się bezwładnie w pół i zsuwa powoli z siodła, zraszając ziemię krwią.

Logen krzyknął, kiedy ostrze włóczni wbiło mu się w łopatkę; został pchnięty gwałtownie do przodu i nieomal przeleciał przez łeb swego konia. Uświadomił sobie, że twarz ma zwróconą w stronę drogi i że nadal żyje. Wbił pięty w boki wierzchowca, który popędził przed siebie, rozchlapując błoto kopytami i obryzgując twarze ludzi z tyłu. Logen przełożył miecz do lewej ręki. Niewiele brakowało, by wypuścił wodze z dłoni i spadł na ziemię. Poruszył łopatką, ale rana nie wydawała się groźna – rękę miał nadal sprawną.

„Wciąż żyję. Wciąż żyję”.

Droga przelatywała pod nim, wiatr kłuł go w oczy. Dogonił wysokiego wojownika – szmaty na kopytach konia spowalniały jego galop, wierzchowiec ślizgał się na bagnistym podłożu. Logen ujął rękojeść miecza z całej siły i wznosił ostrze nad głowę. Przeciwnik szarpnął głową, ale zrobił to za późno. Rozległ się głuchy brzęk metalu uderzającego o metal, gdy ostrze cięło hełm, wgniatając go głęboko; wysoki człowiek zwałił się na drogę. Jego czaszka uderzyła o ziemię, a stopa uwięzła w strzemieniu. Potem uwolnił się jednak i zaczął koziołkować bezwładnie po trawie, wymachując rękami i nogami. Pozbawiony jeźdźca koń pogalopował dalej, rzuciwszy Logenowi spojrzenie obłąkanego oka.

„Wciąż żyję”.

Zerknął przez ramię. Czarnostopy siedział z powrotem w siodle i ścigał go z rozwianym włosiem, wznosząc nad głowę topór. Towarzyszyli mu dwaj włócznicy, którzy popędzali konie do szybszego biegu, wciąż jednak zostawali w tyle. Logen roześmiał się. Być może udało mu się mimo wszystko. Pomachał mieczem Czarnostopemu, gdy droga zniknęła w leśnej gęstwinie na dnie doliny.

– Wciąż żyję! – wrzasnął z całych sił, a wtedy jego koń wstrzymał bieg tak gwałtownie, że Logen niemal przeleciał mu przez głowę. Nie spadł tylko dlatego, że w ostatniej chwili otoczył szyję zwierzęcia ramieniem. Gdy tylko wyprostował się w siodle, zrozumiał, na czym polega problem, i to problem niełatwy.

W poprzek drogi leżało kilka pni o przyciętych i zaostrzonych konarach; sterczały na wszystkie strony. Przed tymi kłocami stało jeszcze dwóch wojowników w kolczugach i uzbrojonych we włócznie, które trzymali w pogotowiu. Nawet najlepszy jeździec nie zdołałby pokonać takiej

przeszkody, a Logen nie był najlepszym z jeźdźców. Bayaz i jego uczeń doszli zapewne do tego samego wniosku. Obaj siedzieli nieruchomo w siodłach. Starszy mężczyzna sprawiał wrażenie zaskoczonych, młodszy zaś po prostu przerażonego.

Logen zacisnął dłoń na rękojeści miecza i rozejrzał się zdesperowany, szukając w gęstwinie leśnej jakiejś drogi odwrotu. Teraz dostrzegł jeszcze więcej ludzi. Łucznicy. Jeden, dwóch, trzech, podkradali się z obu stron drogi i naprężali cięciwy z założonymi strzałami.

Logen obrócił się w siodle, ale z tamtej strony nadjeżdżał Czarnostopy z dwoma włócznie, uniemożliwiając ucieczkę. Wstrzymali konie w odległości kilku kroków, bezpiecznie daleko od miecza Logena. Przygarbił ramiona. Pościg dobiegł końca. Czarnostopy nachylił się i wypluł trochę krwi na ziemię.

– No dobra, Krwawy-dziewięć, dalej już nie uciekniesz.

– Zabawne – mruknął Logen, spoglądając na długie i szare ostrze swej broni ochlapanej czerwienią. – Przez cały ten czas walczyłem z tobą dla Bethoda, a teraz ty walczysz ze mną dla niego. Wydaje się, że nigdy nie jesteśmy po tej samej stronie, a on jest jedynym zwycięzcą. Zabawne.

– Owszem – wymamrotał Czarnostopy okrwawionymi ustami. – Zabawne.

Nikt się jednak nie roześmiał. Stary wojownik i jego ludzie mieli twarze bezlitosne jak śmierć. Quai był bliski łez. Tylko Bayaz, z całkowicie niezrozumiałych powodów, wciąż tryskał swoim świetnym humorem.

– W porządku, Dziewięciopalcy, zsiadaj z konia. Bethod chce cię żywego, ale weźmie też martwego, jeśli będzie trzeba. Na ziemię! Natychmiast!

Logen zaczął się zastanawiać, jak mogliby uciec, gdyby już się poddał. Podejrzewał, że Czarnostopy, mając ich w garści, nie powtórzyłby błędu, i że skopaliby go niemal na śmierć za to, co już im zrobił w czasie walki, jeśli wcześniej nie połamali mu kolan. Związałyby ich jak kurczęta przed zarżnięciem. Ujrzał w wyobraźni, jak rzucają go na kamienną posadzkę sali, skrępowanego łańcuchami, a Bethod uśmiecha się ze swego tronu, Scale zaś i Calder wyją z radości, poszturchując go czymś ostrym.

Rozejrzał się. Popatrzył na zimne groty strzał, zimne ostrza włócznie i zimne oczy ludzi, którzy w nich celowali. Nie było wyjścia z tej pułapki.

– No dobra, wygrałeś – oznajmił zrezygnowany Logen i rzucił swój miecz ostrzem do dołu. Wyobrażał sobie, że wbije się w ziemię i pozostanie tam, chwiejąc się na boki, ale padł na płask z głuchym dźwiękiem. Cóż, nie był to najlepszy dzień. Przełożył powoli nogę przez siodło i zsunął się z konia.

– Tak lepiej. Teraz pozostali.

Quai zsiadł natychmiast z wierzchowca i stanął, zerkając nerwowo na Bayaza, ale mag nie uczynił najmniejszego ruchu. Czarnostopy zmarszczył czoło i uniósł topór.

– Ty też, starcze.

– Wolę jechać na koniu.

Logen skrzywił się. To nie była właściwa odpowiedź. W każdej chwili Czarnostopy mógł wydać rozkaz. Lada chwila mogły zaśpiewać cięciwy i Pierwszy z Magów runąłby na ziemię, naszpikowany strzałami, zapewne z tym swoim przyprowadzającym o furię uśmiechem na twarzy.

Ale rozkaz nigdy nie został wydany. Nie padło słowo komendy, nie rozległo się dziwne zakłęcie, nikt nie wykonał tajemniczego gestu. Powietrze wokół ramion Bayaza zdawało się połyskiwać jak nad rozgrzaną ziemią w gorący dzień, Logen zaś poczuł dziwny ucisk w trzewiach.

Potem drzewa wybuchły piekącym, oślepiającym i białym płomieniem. Pnie pękały, a konary łamały się z ogłuszającym traskiem, plując ogniem i gorącą parą. Nad głową Logena poszybowała



wysoko samotna płonąca strzała i w mgnieniu oka łucznicy zniknęli, pochłonięci przez straszliwe palenisko.

Zakrztusił się i sapnął gwałtownie, po czym cofnął się przerażony i zszokowany, osłaniając ramieniem twarz przed piekielnym żarem. Zapora ze zwalonych pni wyrzucała w górę wielkie kule ognia i oślepiających iskier, a dwaj ludzie, którzy przy niej stali, tarzali się po ziemi, spowici wygłodniałymi płomieniami. Ich krzyki ginęły w ogłuszającym huku pożogi.

Konie rzucały się wściekle i przysiadły na zadach, rżąc z dzikiego strachu. Czarnostopy spadł na ziemię po raz drugi, z dłoni wyleciał mu płonący topór, a jego koń zatoczył się i padł, przygniatając jeźdźca swoim ciałem. Jeden z towarzyszy starego wojownika miał jeszcze mniej szczęścia – został rzucony wprost w szalejący przy drodze ogień; rozpaczliwy krzyk umilkł szybko. Tylko ten trzeci utrzymał się na koniu i przychylnym zrządzeniem losu miał na dłoniach rękawice. Jakimś cudem udało mu się utrzymać płonące drzewce swojej włóczni.

Jak zdołał zachować przytomność umysłu, kiedy świat wokół niego ogarnęło piekło, i zaatakować – Logen nie pojmował. W czasie walki zdarzały się dziwne rzeczy. Wojownik wybrał za cel Quaię, ruszając na niego z głośnym pomrukiem i mierząc mu w pierś swoją płonąca włócznią. Bezmyślny uczeń stał tylko bezradny i przyrośnięty do ziemi. Logen rzucił się na niego, chwytając przy tym miecz, i pchnął na drugą stronę drogi – młodzieniec potoczył się bezwładnie z rękami nad głową – po czym ciął odruchowo nogi konia, gdy ten przegalopował obok.

Poczuł, jak wrywa mu miecz z dłoni, który poleciał gdzieś daleko, a kopyto uderza go w zranione ramię i przygniata do ziemi. Nie mógł złapać tchu, wokół wirował szaleńczo płonący świat. Koń zdołał przebiec kilka kroków, nim ugięły się pod nim przednie nogi. Potknął się, sunął jeszcze przez chwilę bezwładnie przed siebie, potem runął i wpadł w płomienie, znikając wraz z jeźdźcem.

Logen rozejrzał się za swoim mieczem. Po drodze przelatywały skwierczące liście, parząc go w ręce i twarz. Miał wrażenie, że żar to wielki ciężar, który napiera na niego i wyciska mu pot ze skóry. Odnalazł skrwawioną rękojeść miecza i chwycił ją pokiereszowanymi palcami. Dźwignął się na nogi i zatoczył, wydając z siebie niezrozumiałe krzyki wściekłości, ale nie pozostał już nikt, z kim mógłby walczyć. Płomienie zniknęły, tak nagle jak się pojawiły, Logen zaś kaszlał i mrugał w kłębach wijącego się dymu.

Cisza, która zapadła po ogłuszającym huku płomieni, wydawała się przygniatająca, łagodny wietrzyk zaś lodowato zimny. Otaczający ich krąg drzew zmienił się w zwęglone i strzaskane pniaki, jakby płonęły godzinami. Zapora była jedynie stertą szarego popiołu i czarnych drzazg. Nieopodal leżały dwa spalone do kości ciała, w których trudno było rozpoznać ludzkie kształty. Na drodze walały się szerniałe ostrza włóczni pozbawionych drzewców. Po łucznicach nie pozostał nawet ślad. Zamienili się w sadzę rozwiewaną przez wiatr. Quai spoczywał nieruchomo na brzuchu, zasłaniając sobie głowę dłońmi, obok zaś, na boku, leżał koń Czarnostopego; jedna noga jeszcze podrygiwała, trzy pozostałe były całkowicie nieruchome.

– No cóż – oznajmił Bayaz, a stłumiony dźwięk jego głosu sprawił, że Logen niemal podskoczył, ponieważ spodziewał się wcześniej, że nigdy więcej niczego już nie usłyszy. – I po wszystkim.

Pierwszy z Magów przerzucił nogę przez siodło i zsunął się na ziemię. Jego koń stał sobie, spokojny i posłuszny. Przez cały ten czas nawet nie drgnął.

– Widzisz teraz, mistrzu Dziewięciopalcu, co można osiągnąć dzięki odpowiedniemu zrozumieniu roślin?

Bayaz wydawał się opanowany, ale drżały mu dłonie. Drżały tak, jakby nie mógł nad nimi zapanować. Wyglądał na wycieńczonego, chorego, starego, jak człowiek, który ciągnął za sobą nieskończenie długo ciężki wóz. Logen patrzył na czarnoksiężnika, chwiejąc się niepewnie i

ściskając miecz, który kołysał mu się w dłoni.

– A więc to Sztuka, tak? – Jego głos wydawał się stłumiony i odległy.

Bayaz otarł pot z twarzy.

– Pewnego rodzaju. Niezbyt subtelna. Z drugiej strony... – Trącił butem jedno ze zwęglonych ciał. – W przypadku Północnych subtelność to strata czasu. – Skrzywił się, potarł zapadnięte oczy i spojrzął na drogę. – Gdzie u licha podziały się te konie?

Logen usłyszał urywane rzenie; dochodziło z miejsca, gdzie leżał wierzchowiec Czarnostopego. Ruszył ku niemu, potknął się i upadł na kolana, ale dźwignął się z wysiłkiem. Jego ramię było ogniskiem bólu, w lewej ręce stracił czucie, palce miał pocięte i skrwawione. Czarnostopy znajdował się w jeszcze gorszym stanie. Znacznie gorszym. Wspierał się na łokciach, przygnieciony ciężarem konia aż do bioder. Jego dłonie zamieniły się w popalone strzepy, a na pokrwawionej twarzy malowało się głębokie zdumienie, kiedy próbował się bez powodzenia wydostać spod wierzchowca.

– Zabiłeś mnie – wyszeptał i popatrzył z otwartymi ustami na szczątki swoich dłoni. – Jestem skończony. Nigdy się nie pozbieram, a nawet jeśli mi się uda, to po co? – Roześmiał się szyderczo. – Bethod nie jest już tak litościwy jak kiedyś. Lepiej zabij mnie od razu, zanim odezwie się ból. Lepiej mnie zabij.

Osunął się do tyłu i głowa opadła mu na ziemię.

Logen spojrzął na Bayaza i pojął, że nie doczeka się od niego pomocy.

– Nie umiem leczyć – rzucił gniewnie czarnoksiężnik, rozglądając się po kręgu spalonych pniaków. – Mówiłem ci, że każdy z nas ćwiczy się w określonej dziedzinie.

Zamknął oczy, pochylił się, wsparł dłońmi o kolana i zaczął oddychać z wysiłkiem.

Logen pomyślał o kamiennej podłodze w zamku Bethoda i dwóch książętach, roześmianych i wywijających ostrym narzędziem.

– Dobrze – mruknął, po czym wyprostował się i wzniosł miecz. – Dobrze.

Czarnostopy uśmiechnął się.

– Miałeś słusność, Dziewięciopalczy. Nigdy nie powinienem był uklęknąć przed Bethodem. Nigdy. Srać na niego i na Groźnego. Byłoby lepiej zakopać się gdzieś w górach i walczyć z nim do ostatka. Może znalazłbym w tym coś dobrego. Miałem po prostu dosyć. Potrafisz to zrozumieć, prawda?

– Potrafię to zrozumieć – mruknął Logen. – Sam mam dosyć.

– Coś dobrego – powtórzył Czarnostopy, spoglądając w szare niebo. – Miałem po prostu dosyć. Więc myślę sobie, że na to zasłużyłem. Co sprawiedliwie, to sprawiedliwe. – Odchylił brodę. – Niech będzie. Zrób to, chłopcze.

Logen uniósł miecz.

– Jestem zadowolony, że to ty, Dziewięciopalczy – syknął przez zaciśnięte zęby Czarnostopy. – Cokolwiek to znaczy.

– Ja nie jestem – odrzekł Logen i opuścił gwałtownym ruchem ostrze. Spalone pniaki wciąż się tliły, w górę unosiły się kłęby dymu, ale wszystko było teraz zimne. Logen czuł w ustach słony smak, niczym krew. Być może odgryzł sobie w którymś momencie kawałek języka. A może to była krew kogoś innego. Odrzucił miecz, który uderzył głucho o ziemię, wzbijając snop iskier pośród popiołu. Quai rozglądał się przez chwilę szeroko otwartymi oczami, potem skulił się i zwymiotował na drogę. Logen spojrzął na bezgłowe zwłoki Czarnostopego.

– To był dobry człowiek. Lepszy ode mnie.

– Historia jest zaśmiecona dobrymi ludźmi, którzy są martwi. – Bayaz uklęknął sztywno i

podniósł miecz, po czym wytarł ostrze o płaszcz Czarnostopego, wpatrując się w mgłę dymu, która zasnuwała drogę. – Powinniśmy ruszać. Być może nadchodzą już inni.

Logen spojrział na swoje skrwawione dłonie, obracając je z wolna. To były jego dłonie, bez wątpienia. Pozbawione jednego palca.

– Nic się nie zmienia – mruknął do siebie.

Bayaz wyprostował się, otrzepując kurz z kolan.

– A zmieniło się kiedykolwiek?. – Podał Logenowi miecz, trzymając go za ostrze. – Myślę, że będziesz jeszcze tego potrzebował.

Logen wpatrywał się przez chwilę w stal. Była czysta, bladoszara, tak jak zawsze. W przeciwieństwie do niego, nie nosiła śladu cięcia po walce tego dnia. Nie chciał brać jej do ręki. Nigdy więcej.

Ale i tak to zrobił.

# CZEŚĆ II

# Życie

**– w swej prawdziwej postaci -**

**nie jest walką między tym,**

**co dobre, a tym, co złe,**



**ale między tym, co złe,**

**a tym, co jeszcze gorsze.**

**Josif Brodski**

# Jak wygląda wolność

Ostrze szpadla wbiło się w ziemię, metal wydał ostry szurgot. Dźwięk znany aż za dobrze. Narzędzie nie weszło zbyt głęboko, pomimo wysiłku, jaki włożono w uderzenie, gdyż grunt był skalisty i spieczony słońcem.

Ona jednak nie zamierzała się zniechęcać z powodu zbyt twardego podłoża.

Niegdyś wykopała zbyt dużo dziur, i to w ziemi znacznie twardszej niż ta.

Kiedy walka dobiega końca, trzeba kopać, jeśli człowiek wciąż żyje. Trzeba kopać groby dla zmarłych towarzyszy. Ostatnia oznaka szacunku, nawet jeśli człowiek nie żywił go wcześniej. Kopie się tak głęboko, jak się da, wrzuca się ich do dołu, przysypuje, potem gniją i odchodzą w niepamięć. Tak było zawsze.

Machnęła gwałtownie szpadlem i w górę poleciała garść piaszczystej gleby. Jej oczy śledziły grudki ziemi i małe kamyki, kiedy rozprasały się w powietrzu, by spaść na twarz jednego z żołnierzy. Jego oko patrzyło na nią z wyrzutem. W drugim tkwiła ułamana strzała. Wokół twarzy krążyły leniwie muchy. Nie zasłużył na pochówek, groby były przeznaczone dla jej ludzi. On i jego parszywi przyjaciele mogli poleżeć sobie w bezlitosnym słońcu.

W końcu sępy muszą się czymś żywić.

Ostrze łopaty przecięło ze świstem powietrze i znów wgryzło się w glebę, wrywając z niej jeszcze jedną grudę ziemi. Wyprostowała się i otarła pot z czoła. Popatrzyła spod przymkniętych powiek na niebo. Słońce płonęło oślepiająco, wysoko w górze, wysysając resztki wilgoci z pokrytego kurzem krajobrazu i osuszając krew na skałach. Popatrzyła na dwa groby tuż obok. Został jej tylko jeden. Postanowiła, że dokończy robotę, przysypie ziemią tych trzech głupców, odpocznie chwilę, a potem się oddali. Wiedziała, że zjawią się po nią niebawem.

Wbiła łopatę w ziemię, sięgnęła po bukłak i wyciągnęła korek. Łyknęła trochę ciepławej cieczy i pozwoliła sobie na rozrzutność, wylewając odrobinę na dłoń i spryskując sobie twarz. Przedwczesna śmierć jej towarzyszy położyła przynajmniej kres wiecznym kłótniom o wodę. Teraz miała jej pod dostatkiem.

– Wody... – sapnął żołnierz obok skał.

Było to zdumiewające, ale wciąż żył. Grot ominął serce, ale i tak go zabiła – tyle, że nie tak szybko, jak zamierzała. Zdołał doczołgać się do głazów, ale jego pełznące dni dobiegły końca. Kamienie, obok których leżał, pokrywała ciemna krew. Nie ulegało wątpliwości, że grot i upał szybko dokończą dzieła, nawet jeśli ten człowiek był twardy.

Nie chciało jej się pić, ale wody było pod dostatkiem, zresztą i tak nie zdołałaby unieść napełnionego bukłaka. Wzięła jeszcze parę łyków; odrobina wypłynęła z jej ust i ściekła po szyi. Prawdziwa rozrzutność, tutaj, na Pustkowiach – wylewać wodę. Lśniące krople spadły na spieczoną ziemię, pokrywając ją ciemną barwą. Spryskała sobie jeszcze twarz, oblizała usta i spojrzała na żołnierza.

– Litości... – zaskrzeczał, trzymając się jedną dłonią za przebitą pierś, a drugą wyciągając słabym ruchem w jej stronę.

– Litości! Ha! – Zatkła bukłak z powrotem, potem cisnęła go obok grobu na ziemię. – Nie wiesz, kim jestem?

Chwyciła drzewce łopaty, której ostrze ponownie wbiło się w ziemię.

– Ferro Maljinn! – dobiegł głos gdzieś z tyłu. – Wiem, kim jesteś! Najbardziej niepożądana sytuacja.

Znów wzięła zamach łopata, myśląc gorączkowo. Jej łuk leżał poza zasięgiem dłoni, przy pierwszym grobie, który wykopała. Odrzuciła trochę ziemi, czując na spoconych ramionach mrowienie wywołane czyjąś niewidoczną obecnością. Zerknęła na umierającego żołnierza. Wpatrywał się w jakiś punkt za jej plecami, co pozwoliło się jej domyślić, gdzie stoi nowo przybyły.

Jeszcze raz wbiła łopatę w ziemię, potem wypuściła ją z dłoni i wyskoczyła błyskawicznie z dołu. Przetoczyła się przez wzgórek suchej gleby, chwytając przy tym swój łuk, po czym jednym płynnym ruchem założyła strzałę i napięła cięciwę. W odległości dziesięciu kroków zobaczyła jakiegoś starego człowieka. Nie poruszył się nawet i nie trzymał żadnej broni. Po prostu stał, patrząc na nią z łagodnym uśmiechem.

Wypuściła strzałę.

Teraz, mając łuk, była śmiertelnie groźna. Zaświadczyłoby o tym dziesięciu martwych żołnierzy, gdyby było to możliwe. Z sześciu ciał sterczały jej strzały i w trakcie tej walki nie chybiła ani razu. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek nie trafiła z bliskiej odległości, bez względu na to, jak szybko strzelała, a zabijała ludzi z odległości dziesięciokrotnie większej niż ta, jaka dzieliła ją od tego starego uśmiechniętego drania.

Tym razem jednak chybiła.

Zdawało się, że strzała skręciła w powietrzu. Może zła lotka, ale mimo wszystko było to dziwne. Starzec nie drgnął, nie przesunął się nawet o włos. Stał po prostu z uśmiechem, tam gdzie przedtem, strzała zaś ominęła go o kilka palców i zniknęła gdzieś w dole zbocza. Dało to każdemu z nich czas na przemyślenie sytuacji.

Dziwny był ten stary człowiek. Bardzo śniady, czarny jak węgiel, co oznaczało, że pochodzi z południa, z drugiego krańca rozległej i niczym nie osłoniętej pustyni. Nie była to łatwa podróż i Ferro rzadko widywała ludzi, którzy podejmowali taką wędrówkę. Wysoki i chudy, ze szczupłymi ramionami, w prostej szacie. Na nadgarstkach miał dziwne bransolety, tak wiele, że sięgały połowy przedramienia, połyskując w bezlitosnym słońcu czernią i jasnością.

Jego włosy przypominały zbitą masę szarych lin wokół twarzy, niektóre zwieszały mu się do pasa, chuda zaś i spiczasta broda nosiła ślady szarego zarostu. Na piersi miał bukłak z wodą, a do pasa przytroczone skórzane torby. I nic więcej. Żadnej broni. To było najdziwniejsze, tu, na Pustkowiach. Nikt nie zjawiał się w tym zapomnianym od ludzi miejscu prócz tych, którzy uciekali, i tych, którzy ich tropili. Tak czy inaczej, jedni i drudzy powinni mieć przyzwoitą broń.

Nie był też żołnierzem Gurkhulu ani łajdakiem skuszonym pieniędzmi nałożonymi na jej głowę. Nie był bandytą ani zbiegłym niewolnikiem. Kim zatem był? I czego tu szukał? Musiał się zjawić po nią. Mógł być jednym z nich.

Żerca.

Któż inny wędrowałby po Pustkowiach bez broni? Nie zdawała sobie sprawy, że tak bardzo chcieli ją schwytać.

Stał bez ruchu, ten stary człowiek, i uśmiechał się. Sięgnęła powoli po drugą strzałę, a jego oczy śledziły jej ruchy bez śladu niepokoju.

– To naprawdę nie jest konieczne – oznajmił głębokim, niespiesznym głosem.

Napięła cięciwę. Stary człowiek nie drgnął. Wzruszyła ramionami i zaczęła celować. Stary człowiek uśmiechał się dalej, absolutnie spokojny. Wypuściła strzałę, która znów ominęła go o włos, tym razem z drugiej strony, i poleciała w dół zbocza.

Raz mogła chybić, zgoda, ale dwukrotnie... Jeśli Ferro umiała coś zrobić – tylko jedną rzecz – to

było nią zabijanie. Ten stary głupiec powinien zostać ugodzony strzałą i wykrwawić się do ostatniej kropli na kamienistą ziemię. Teraz, stojąc bez ruchu, uśmiechnięty, zdawał się mówić: „Wiesz mniej, niż ci się wydaje. Ja wiem więcej”.

Było to nad wyraz irytujące.

– Kim jesteś, stary draniu?

– Nazywają mnie Yulwei.

– Wystarczy, że jesteś starym draniem, innego imienia nie potrzebujesz!

Rzuciła łuk na ziemię i opuściła ręce wzdłuż boków, chowając prawą za plecami. Wykręciła nadgarstek i z jej rękawa wysunął się zakrzywiony nóż, wprost w oczekującą dłoń. Człowieka można zabić na wiele sposobów i jeśli jeden zawodzi, trzeba spróbować innego.

Ferro nie należała do tych, którzy poddają się przy pierwszym niepowodzeniu.

Yulwei ruszył niespiesznie w jej stronę, jego nagie stopy wydawały cichy dźwięk na skalnym podłożu, bransolety podzwaniały nieznacznie. Pomyślała, że to bardzo dziwne. Jeśli tak hałasował przy każdym kroku, to jak zdołał ją podejść?

– Czego chcesz?

– Chcę ci pomóc.

Nie zatrzymał się, dopóki nie dzieliła go od niej długość ramienia; wtedy przystanął i znieruchomiał, uśmiechając się do niej szeroko.

Ferro, jeśli chodzi o posługiwanie się nożem, była szybka jak wąż i dwa razy bardziej niebezpieczna, o czym mógłby zaświadczyć ostatni z żołnierzy, gdyby było to możliwe. Ostrze mignęło w powietrzu lśniąca rozmazaną plamą, ona zaś włożyła w ten cios całą swą siłę i wściekłość. Gdyby stał tam, gdzie sądziła, jego głowa zwieszałaby się na strzępach skóry. Tyle że nie stał tam, tylko o krok w lewo.

Rzuciła się na niego z bojowym okrzykiem i wbiła połyskujący czubek noża w jego serce. Ale dźgnęła tylko powietrze. Znowu stał tam gdzie poprzednio, nieruchomy i nieodmiennie uśmiechnięty. Dziwne. Okrążała go, czujna, przesuując stopami w sandałach po zakurzonej ziemi, zataczając lewą ręką koła w powietrzu, prawą zaciskając na rękojeści noża. Musiała zachować ostrożność – miała do czynienia z magią.

– Nie ma potrzeby pałać gniewem. Jestem tu po to, by ci pomóc.

– Pieprzyć twoją pomoc – syknęła w odpowiedzi. – Ale jej potrzebujesz, i to bardzo. Idą po ciebie, Ferro. Są na wzgórzach... żołnierze. Wielu żołnierzy.

– Umknę im.

– Są zbyt liczni. Wszystkim nie uciekniesz.

Zerknęła na podziurawione ciała.

– Więc oddam ich sępom.

– Nie tym razem. Nie są sami. Mają pomoc. – Przy słowie „pomoc” jego głęboki głos zniżył się jeszcze bardziej.

Ferro zmarszczyła brwi.

– Kapłani?

– Tak, i nie tylko oni. – Otworzył szeroko oczy i wyszeptał: – Żerca. Zamierzają wziąć cię żywcem. Imperator chce cię ukarać dla przykładu. Zamierza zrobić z tego widowisko.

Parsknęła.

– Pieprzyć imperatora.

– Słyszałem, że już to robiłaś.

Warknęła i ponownie uniosła nóż, ale to nie był już nóż. W dłoni trzymała syczącego jadowitego

węża, który otwierał paszczę, gotów ukąsić.

– Uh! – krzyknęła i rzuciła go na ziemię, po czym przydeptała mu głowę, ale okazało się, że stanęła na nożu. Ostrze pękło z suchym trzaskiem.

– Schwytają cię – oznajmił stary człowiek. – Schwytają i połamią ci na placu nogi młotem, żebyś nie mogła więcej uciec. Potem będą cię oprowadzać po ulicach Shaffy naga, siedzącą tyłem na osle, z ogoloną głową, ludzie zaś będą stali na ulicach i miotali na ciebie obelgi.

Popatrzyła na niego zdziwiona, ale on mówił dalej:

– Zagłodzą cię na śmierć w klatce stojącej przez pałacem; będziesz smażyła się w promieniach słońca, a dobrzy ludzie z Gurkhulu będą szydzić, pluć na ciebie i rzucać w klatkę łajnem. Być może dadzą ci mocz do picia, jeśli będziesz miała szczęście. Kiedy w końcu umrzesz, pozwolą ci zgnieć i muchy będą zjadać cię po kawałku; wszyscy niewolnicy zobaczą na własne oczy, jak wygląda wolność, i dojdą do wniosku, że jest im lepiej niż tobie.

Ferro była tym już znudzona. Niech już przyjdą, razem z tym żercą. Nie umrze w klatce. Poderżnie sobie gardło, jeśli będzie trzeba. Odwróciła się z gniewnym grymasem na twarzy i chwyciła łopatę, po czym zaczęła wściekle kopać ostatni grób. Niebawem był już dostatecznie głęboki. Dla śmiecia, który w nim zgnije.

Odwróciła się. Yulwei klęczał obok umierającego żołnierza i dawał mu wody z bukłaka, który miał na piersi.

– Do diabła! – krzyknęła i podeszła do nich, zaciskając palce na stylisku łopaty.

Stary człowiek wstał, gdy się zbliżyła.

– Litości... – zaskrzeczał żołnierz, wyciągając rękę.

– Pokażę ci litość!

Ostrze łopaty wbiło się w głęboko w czaszkę żołnierza. Ciałem wstrząsnął krótki spazm, potem znieruchomiało. Odwróciła się do starego człowieka z wyrazem triumfu na twarzy. Popatrzył na nią ze smutkiem. Dostrzegła coś w jego oczach. Może współczucie.

– Czego chcesz, Ferro Maljinn?

– Co?

– Dlaczego to robisz? – Yulwei wskazał martwego człowieka. – Czego chcesz?

– Zemsty. – Niemal wypluła to słowo.

– Na wszystkich? Na całym narodzie Gurkhulu? Na każdym człowieku, kobiecie i dziecku?

– Na wszystkich!

Stary człowiek powiódł wzrokiem po martwych ciałach.

– A więc jesteś zapewne zadowolona z dzisiejszego dzieła.

Zmusiła twarz do uśmiechu.

– Tak – odparła, ale nie była szczęśliwa. Nie pamiętała, co to oznacza. Jej uśmiech wydawał się dziwny, obcy, krzywy.

– I zemsta jest wszystkim, o czym myślisz, w każdej chwili swego życia? To twoje jedyne pragnienie?

– Tak.

– Chcesz zadawać im ból? Zabijać ich? Mordować?

– Tak!

– Nie chcesz niczego dla siebie?

Milczała przez chwilę.

– Co?

– Dla siebie. Czego chcesz dla siebie?

Patrzyła podejrzliwie na starego człowieka, ale nie przychodziła jej na myśl żadna odpowiedź. Yulwei potrząsnął ze smutkiem głową.

– Wydaje mi się, Ferro Maljinn, że jesteś taką samą niewolnicą, jaką byłaś zawsze. Czy jaką mogłabyś być kiedykolwiek.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami na kamieniu. Patrzyła na niego przez chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć. Po chwili znów poczuła wzbierający gniew, gorący i zaciekły.

– Jeśli przyszedłeś tu dla mnie, to możesz mi pomóc ich pogrzebać! – Wskazała trzy skrwawione ciała obok grobów.

– O nie. To twoja robota.

Odwróciła się od starego człowieka, klnąc pod nosem, i podeszła do swych niegdysiejszych towarzyszy. Ujęła pod pachy zwłoki Shebeda i zaciągnęła go do pierwszego grobu. Jego pięty zostawiły w ziemi dwa płytkie rowki. Kiedy dobrnęła do dołu, zepchnęła do niego ciało. Alugai był następny. Kiedy spoczął na dnie swej mogiły, spadł na niego strumień suchej ziemi.

Obróciła się ku zwłokom Nasara. Zginał od cięcia mieczem w twarz. Ferro pomyślała, że jego wygląd tylko na tym zyskał.

– Ten sprawia wrażenie przyzwoitego – zauważył Yulwei.

– Nasar. – Roześmiała się bez rozbawiania. – Gwałciciel, złodziej, tchórz. – Zebrała w ustach trochę śliny i napluła martwemu w twarz. Krople płwociny rozprysły się cicho na jego czole. – Najgorszy z tej trójki. – Spojrzała na groby. – Ale wszyscy oni byli łajnem.

– Miłe towarzystwo.

– Ścigani nie mają przywileju wybierania sobie towarzyszy. – Spojrzała na pokrwawioną twarz Nasara. – Trzeba brać to, co jest.

– Jeśli tak bardzo ich nie lubiłaś, dlaczego nie zostawisz ich na pastwę sępów, jak pozostałych? – Yulwei objął gestem ręki żołnierzy leżących na ziemi.

– Grzebie się swoich. – Zepchnęła kopniakiem ciało Nasara do grobu. Stoczył się w dół, wymachując ramionami i padając na twarz. – Tak było zawsze.

Chwyliła łopatę i zaczęła zrzucać kamienistą ziemię na jego plecy. Pracowała w milczeniu; na jej czole zbierał się pot i skapywał na ziemię. Yulwei patrzył na nią, podczas gdy groby wypełniały się coraz bardziej. Trzy kolejne wzgórki na tym bezludziu. Odrzuciła łopatę, która odbiła się od jednego z ciał i upadła z brzękiem pośród kamieni. Znad zwłok wzbila się czarna chmura much z gniewnym brzęczeniem, by powrócić po chwili.

Ferro podniosła swój łuk i kołczan, i zarzuciła je sobie na ramię. Wzięła bukłak, sprawdziła jego ciężar i też przerzuciła go przez bark. Potem zaczęła oglądać ciała martwych żołnierzy. Jeden z nich, który wyglądał na przywódcę, miał doskonały zakrzywiony miecz. Nie zdążył go nawet dobyć, kiedy został ugodzony strzałą w krtań. Ferro wyciągnęła teraz ostrze i wypróbowała, tnąc nim kilka razy w powietrzu. Było bardzo dobre: doskonale wyważone, długa stal lśniła morderczą ostrością, jasny metal rękojeści odbijał blask słońca. Żołnierz miał także nóż, równie doskonały. Wzięła obie sztuki broni i wsunęła je sobie za pas.

Przeszukała też pozostałe ciała, ale niewiele było do zabrania. Powyciągała swoje strzały z ciał, jeśli było to możliwe. Znalazła kilka monet i wyrzuciła je. Stanowiłyby tylko zbędny ciężar, zresztą co mogłaby za nie kupić na Pustkowiach? Brudną ziemię? Tylko ona tu była, i to za darmo.

Mieli przy sobie trochę jedzenia, ale nie wystarczyłoby go choćby na jeden dzień. To oznaczało, że musi być ich więcej, prawdopodobnie wielu, i to niedaleko. Yulwei mówił prawdę, ale to niczego nie zmieniło.

Odwróciła się i ruszyła na południe, schodząc ze wzgórza w stronę wielkiej pustyni,

zostawiwszy za sobą starego człowieka.

– To niewłaściwy kierunek – powiedział.

Przystanęła, przyglądając mu się w oślepiającym słońcu spod przymkniętych powiek.

– Czyż nie nadchodzą żołnierze?

Oczy Yulweia błysnęły.

– Jest wiele sposobów, by pozostać niezauważonym, nawet tutaj, na Pustkowiach.

Skierowała wzrok na północ, ponad pozbawioną szczegółów niziną w dole, ku Gurkhulowi. Nigdzie, na przestrzeni długich mil, nie było widać jednego wzgórza, drzewa czy chociażby krzewu. Jakiegokolwiek kryjówki.

– Niezauważonym nawet przez żercę?

Stary człowiek wybuchnął śmiechem.

– Zwłaszcza przez te aroganckie świnie. Żercy nie są nawet w połowie tak przebiegli, za jakich się uważają. Jak według ciebie się tu dostałem? Przeszedłem przez nich, między nimi, wokół nich. Idę tam, dokąd chcę, i zabieram ze sobą kogo chcę.

Przysłoniła oczy dłonią i popatrzyła w stronę południową. Pustynia ciągnęła się bez końca, a nawet dalej. Ferro mogła przeżyć tutaj, w tej dziczy, być może z trudem... ale tam, w tym tyglu ruchomych piasków i bezlitosnego upału?

Stary człowiek zdawał się czytać w jej myślach.

– Zawsze pozostają nieskończone piaski. Wędrowałem już po nich. Człowiek może to zrobić. Ale nie ty.

Miał rację, niech go diabli. Ferro była szczupła i twarda jak cięciwa, ale to oznaczało tylko, że chodziłaby trochę dłużej w kółko, nim runęłaby na twarz. Pustynia była czymś lepszym od klutki przed pałacem jako miejscem śmierci, ale niewiele. A ona chciała utrzymać się przy życiu. Wciąż miała parę rzeczy do zrobienia.

Stary człowiek siedział ze skrzyżowanymi nogami, uśmiechając się. Czym był? Ferro nie ufała nikomu, ale jeśli zamierzał dostarczyć ją imperatorowi, to mógł walnąć ją w głowę, kiedy kopała rowy, zamiast obwieszczać jej swe przybycie. Znał magię, widziała to na własne oczy, a nawet niepewna szansa była lepsza niż żadna.

Czego by jednak zażądał w zamian? Świat nigdy nie dawał jej nic za darmo, ona zaś nie spodziewała się, że zacznie być hojny właśnie teraz. Zmrużyła oczy.

– Czego ode mnie chcesz, Yulwei?

Stary człowiek wybuchnął śmiechem, który stawał się irytujący.

– Powiedzmy, że wyświadczę ci przysługę. Potem ty mi ją wyświadczysz.

Odpowiedź była przerażająco ogólnikowa, ale gdy stawką jest życie, trzeba korzystać z każdej propozycji. Nie znosiła, kiedy ktoś sprawował nad nią władzę, ale wydawało się, że nie ma wyboru. Jeśli chciała przetrwać ten tydzień.

– Co robimy?

– Musimy poczekać, aż zapadnie noc. – Yulwei zerknął na poskręcane ciała, którymi zasłana była okolica, i zmarszczył nos. – Ale może nie tutaj.

Ferro wzruszyła ramionami i usiadła na środkowym grobie.

– Nie jest tu najgorzej – oznajmiła. – Chcę popatrzeć, jak posilają się sępy.



Czyste nocne niebo nad głowami było zasypane jasnymi gwiazdami, powietrze zaś stało się chłodne, a nawet zimne. Niżej, w ciemnej i pokrytej kurzem dolinie, płonęły ogniska, które wyglądały jak zakrzywiona linia. Okrążała ich, odgradzając od granicy piasków pustynnych. Wzgórze przypominało pułapkę, w której tkwiła Ferro, Yulwei, dziesięć trupów i trzy groby. Nie ulegało wątpliwości, że nazajutrz, gdy tylko pierwsze światło przesunie się po wysuszonej ziemi, żołnierze porzucą owe ogniska i ruszą ostrożnie ku wzgórzom. Gdyby Ferro wciąż tam była, kiedy zjawiliby się na miejscu, zostałyby z całą pewnością zabita albo, co gorsza, schwytana. Nie mogła stawić czoła tak wielu, nawet założywszy, że nie było wśród nich żery. Nie chciała tego przyznać, ale jej życie spoczywało teraz w rękach Yulwei.

Popatrzył na rozgwieżdżone niebo.

– Już czas – powiedział.

Zsunęli się z wysiłkiem po skąpanym w mroku skalistym zboczu, omijając ostrożnie głązy i dziwne, skarłowaciałe, na wpół martwe krzewy. Zmierzając na północ, w stronę Gurkhulu, Yulwei poruszał się zadziwiająco szybko, ona zaś była zmuszona niemal biec, by dotrzymać mu kroku. Cały czas spoglądała w skalistą ziemię, szukając miejsc, gdzie mogłaby bezpiecznie postawić stopę. Kiedy dotarli wreszcie do podnóża zbocza, podniosła wreszcie wzrok i zobaczyła, że Yulwei prowadzi ją ku lewemu końcowi linii ognisk, tam, gdzie paliły się najliczniej.

– Czekał – wyszeptwała, chwytając go za ramię. Wskazała w prawo. Było tam mniej ognisk i łatwiej by się prześliznęli – A tamtędy?

Zobaczyła tylko, jak w blasku gwiazd staremu człowiekowi błyskają zęby.

– O nie, Ferro Maljinn. Tam właśnie jest najwięcej żołnierzy... i nasz drugi przyjaciel. – Nie próbował mówić cicho, co przyprawiało ją o dreszcz niepokoju. – Zakładają, że wybrałaś tę właśnie drogę, gdybyś zdecydowała się ruszyć na północ. Chociaż nie oczekują tego. Sądzą, że raczej ruszysz na południe, by umrzeć na pustyni, niżli zaryzykujesz schwytanie, co byś uczyniła, gdyby mnie tutaj nie było.

Yulwei odwrócił się i podążył przed siebie, ona zaś zaczęła przekradać się za nim, nisko pochylona. Kiedy zbliżyli się do ognisk, przekonała się, że stary człowiek miał rację. Owszem, siedzieli wokół nich żołnierze, ale w większych odległościach. Yulwei ruszył pewnie w stronę czterech ognisk na dalekim lewym skrzydle, ale tylko przy jednym grzali się ludzie. Nie starał się ukryć, jego bransolety pobrzękiwały cicho, gołe stopy klaskały głośno na kamiennym podłożu. Znajdowali się dostatecznie blisko, by widzieć wyraźnie rysy trzech mężczyzn przy ogniu. Yulwei mógł być w każdej chwili dostrzeżony. Syknęła na niego, by dać mu to do zrozumienia, pewna, że ją usłyszą.

Yulwei odwrócił się; w słabym świetle płomieni wyglądał na wyraźnie zdziwionego.

– Co? – spytał.

Skrzywiła się, czekając, aż żołnierze zerwą się na równe nogi, ale gawędzili w najlepsze. Yulwei spojrzał na nich.

– Nie zobaczą nas ani nie usłyszą, chyba że zaczniesz im krzyczeć prosto w uszy. Jesteśmy bezpieczni.

Znów się odwrócił i ruszył przed siebie, omijając żołnierzy szerokim łukiem. Ferro poszła w jego ślady, wciąż trzymając się nisko ziemi i zachowując jak najciszej, chociażby z przyzwyczajenia. Po chwili, zbliżywszy się do ogniska, zaczęła wychwytywać słowa siedzących przy nim ludzi. Zwolniła kroku, nasłuchując. Odwróciła się i skierowała w stronę ognia. Yulwei obejrzał się.

– Co robisz? – spytał.

Ferro przyjrzała się żołnierzom. Pierwszy był potężnie zbudowanym weteranem o bezlitosnym

wyglądzie, drugi chudym i na pierwszy rzut oka podstępny osobnikiem, trzeci zaś, najmłodszy, sprawiał wrażenie szczerego i nie przypominał wojownika. Nie mieli broni pod ręką, leżała nieco dalej, wsunięta do pochew. Ferro okrążyła tych trzech ludzi ostrożnie, przysłuchując się ich rozmowie.

– Powiadają, że ma coś z głową – szeptał chudy do młodego, próbując go wystraszyć. – Powiadają, że zabiła stu ludzi, może nawet więcej. Jeśli wyglądasz niegorzej, obcina ci klejnoty, kiedy jeszcze żyjesz. – Złapał się za krocze. – I zjada je na twoich oczach.

– Och, zamknij jadaczkę – odezwał się ten wielki. – Nie zbliży się do nas. – Wskazał miejsce, gdzie płonęło mniej ognisk, i zniżył głos do szeptu. – Pójdzie do niego, jeśli w ogóle wybierze tę drogę.

– No cóż, mam nadzieję, że tego nie robi – wyznał młody. – Żyj i pozwól żyć innym.

Chudy zmarszczył czoło.

– A ci wszyscy dobrzy ludzie, których zabiła? Kobiety i dzieci? Czy nie miały prawa żyć?

Ferro zazgrzytała zębami. Nigdy nie zabijała dzieci, o ile mogła sobie przypomnieć.

– No cóż, szkoda ich, oczywiście. Nie mówię, że nie powinna być schwytana. – Młody żołnierz rozejrzał się nerwowo. – Tyle że może nie przez nas.

Ten wielki parsknął śmiechem, ale chudy nie wyglądał na rozbawionego.

– Tchórz jesteś?

– Nie! – zaprzeczył gniewnie młodszy. – Ale mam żonę i rodzinę na utrzymaniu. Wolałbym nie ginąć tutaj, to wszystko. – Uśmiechnął się. – Spodziewamy się następnego dziecka. Mamy nadzieję, że tym razem będzie syn.

Wielkolud przytaknął.

– Mój jest prawie mężczyzną. Dorastają tak szybko.

Rozmowa o dzieciach, rodzinie i nadziejach tylko podsyciła wściekłość, która ścisnęła piersi Ferro. Dlaczego wolno im było mieć swoje życie, kiedy ona nie miała niczego? Kiedy odebrali jej wszystko, tacy jak ci tutaj? Wysunęła nóż z pochwy.

– Co ty robisz, Ferro? – syknął Yulwei.

Młody mężczyzna rozejrzał się wokół.

– Słyszeliście?

Duży się roześmiał.

– Owszem. Jak zesrałeś się ze strachu.

Chudy zachichotał pod nosem, a młody się uśmiechnął, zakłopotany. Ferro podkradła się bliżej i stanęła tuż za jego plecami, w odległości kroku, oświetlona blaskiem ognia, ale żaden z żołnierzy nawet na nią nie spojrział. Uniosła nóż.

– Ferro! – krzyknął Yulwei.

Młody zerwał się na równe nogi i wlepił wzrok w mroczną równinę, marszcząc czoło. Patrzył Ferro prosto w twarz, ale jego spojrzenie sięgało gdzieś dalej. Wyczuwała jego oddech. Ostrze noża połyskiwało o włos od jego gardła.

Teraz. To była ta chwila. Mogła go zabić szybko i załatwić dwóch pozostałych, nim zdążyliby wszcząć alarm. Wiedziała, że jej się uda. Byli nieprzygotowani, w przeciwieństwie do niej. To była ta chwila.

Lecz jej dłoń się nie poruszyła.

– Co cię ugryzło w tyłek? – spytał wielki żołnierz. – Tam nic nie ma.

– Mógłbym przysiąc, że coś słyszałem – odparł młody, wciąż patrząc jej w twarz.

– Czeka! – wrzasnął chudy, zrywając się nagle i wskazując placem. – Tam jest! Stoi przed

tobą!

Ferro zamarła na chwilę, patrząc na chudego. Po chwili roześmiał się, a ten duży mu zawtórował. Młody był wyraźnie zakłopotany. Odwrócił się i usiadł.

– Wydawało mi się, że coś słyszałem, to wszystko.

– Nikogo tam nie ma – powtórzył wielki.

Ferro zaczęła się wolno wycofywać. Czuła mdłości, usta miała pełne kwaśnej śliny, łomotało jej w głowie. Wsunęła nóż z powrotem do pochwy, odwróciła się i powlokła przed siebie. Yulwei ruszył bezgłośnie za nią.

Kiedy światła ognisk i odgłosy rozmów zniknęły w dali, Ferro zatrzymała się i osunęła na twardą ziemię. Nagą i jałową równinę omiatał zimny wiatr. Ciskał jej w twarz kłujące drobinki kurzu, ale ona ledwie to dostrzegała. Nienawiść i wściekłość gdzieś się chwilowo ulotniły, ale pozostawiły po sobie pustkę, Ferro zaś nie miała nic, czym mogłaby ją wypełnić. Była wydrażona, zmarznięta, chora i samotna. Objęła się ramionami i zamknęła oczy, kołysząc się nieznacznie. Ale ciemność nie przynosiła ukojenia. Po chwili poczuła na ramieniu dłoń starego człowieka.

W innej sytuacji odwróciłaby się i odtrąciła go, może nawet zabiła, gdyby mogła. Ale cała jej siła gdzieś zniknęła. Podniosła wzrok, mrugając.

– Nic ze mnie nie pozostało. Czym jestem? – Przycisnęła dłoń do piersi, ledwie ją wyczuwając.

– Nic nie mam w środku.

– No cóż, szkoda, że tak mówisz. – Yulwei popatrzył z uśmiechem na rozgwieżdżone niebo. – Zacząłem mieć nadzieję, że jest w tobie coś, co warto ocalić.

# Królewska sprawiedliwość

Gdy tylko Jezal dotarł do placu Marszałków, poczuł się zaskoczony. Nigdy jeszcze nie panował tu taki gwar w trakcie posiedzenia Otwartej Rady. Przesunął wzrokiem po ludziach, którzy mieli na sobie bogate stroje i stali w małych grupkach, po czym minął ich pospiesznie; był spóźniony i zdyszany po długiej sesji ćwiczeń. Zewsząd dobiegały ściszone głosy, na twarzach malowało się napięcie i wyczekiwanie.

Przepchnął się przez tłum zagradzający drogę do Rotundy Lordów, zerkając podejrzliwie na strażników po obu stronach inkrustowanych drzwi. Przynajmniej wartownicy wydawali się tacy sami jak zawsze, kryjąc się szczelnie za przyłbicami. Przeszedł szybko przez hol wejściowy, minawszy poruszone przeciągiem jaskrawe kotary, przemknął przez wewnętrzne drzwi i wkroczył do rozległej i chłodnej przestrzeni. Jego kroki odbijały się monotonnym echem pod złoconą kopułą, kiedy spieszył środkowym przejściem w stronę wysokiego stołu. Przy jednym z okien stał Jalenhorm. Światło wpadające przez wielobarwne szkło pokrywało jego twarz kolorowymi plamami. Patrzył ze zmarszczonym czołem na ławę z metalowym drągiem u podstawy, tuż przy drzwiach.

– Co się dzieje?

– Nie słyszałeś? – Głos Jalenhorma był chrapliwy z podniecenia. – Hoff dał do zrozumienia, że będzie omawiana jakaś bardzo ważna sprawa.

– Jaka? Angland? Północni?

Wielki mężczyzna potrząsnął głową.

– Nie wiem, ale wkrótce się przekonamy.

Jezal zmarszczył czoło.

– Nie lubię niespodzianek. – Jego wzrok spoczął na tajemniczej ławie. – Po co to?

W tym momencie otwarto na oścież wielkie drzwi i wzdłuż przejścia zaczął sunąć korowód radnych. Ci, co zwykle, jak przypuszczał Jezal, choć może odpowiednio dobrani. Młodszy synowie, płatni przedstawiciele... wstrzymał oddech. Na przedzie kroczył wysoki człowiek, który nawet w tym dostojnym towarzystwie wyróżniał się bogatym strojem. Na ramionach miał ciężki złoty łańcuch, a na twarzy wyraz powagi.

– Sam lord Brock – wyszeptał Jezal.

– Jest też lord Isher – skinął głową Jalenhorm w stronę statecznego starszego człowieka, który szedł tuż za Brockiem. – I Heugen, a także Barezin. To coś poważnego. Bez wątplenia.

Jezal wziął głęboki oddech, kiedy czterej najpotężniejsi dostojnicy Unii zajęli miejsca w pierwszym rzędzie. Nigdy jeszcze nie widział, by na posiedzeniu Otwartej Rady zjawiało się aż tylu przedstawicieli. Biegające półkolem ławy były wypełnione niemal w całości, tylko gdzieś widać było puste miejsce. Galeria publiczna przypominała nieprzerwany krąg zatroskanych i zaniepokojonych twarzy.

Teraz do sali wkroczył Hoff i ruszył pospiesznie środkowym przejściem; nie był sam. Z prawej strony towarzyszył mu jakiś wysoki człowiek, szczupły i dumny. Był ubrany w długi nieskazitelnie biały płaszcz i miał gęste siwe włosy. Arcylektor Sult. Po lewej szedł drugi, wspierając się z wysiłkiem na lasce; nieco pochylony, nosił czarno-złotą szatę, twarz zaś okalała mu popielata broda. Wysoki sędzia Marovia. Jezal nie mógł uwierzyć własnym oczom. Trzech członków Zamkniętej Rady w tym miejscu.

Jalenhorm zajął pospiesznie przypisane sobie miejsce, podczas gdy urzędnicy kładli na stole swój oręż: książki i papiery. Marszałek dworu wkroczył zdecydowanie między nich i natychmiast zażądał wina. Człowiek stojący na czele Inkwizycji królewskiej usiadł na fotelu po jednej stronie, uśmiechając się pod nosem. Wysoki sędzia Marovia osunął się z wolna na drugi fotel, cały czas marszcząc czoło. Gwar szeptów w sali nasilił się nieco, twarze wielkich magnatów w pierwszym rzędzie były posępne i podejrzliwe. Tradycyjne miejsce przed stołem zajął recytator, tym razem nie był to dureń w krzykliwym stroju, tylko śniady brodaty człowiek o wypukłej klatce piersiowej. Uniósł wysoko laskę i uderzył nią o kamienne płyty z hukiem, który mógłby zbudzić martwych.

– Wzywam posiedzenie Otwartej Rady Unii do zachowania spokoju! – ryknął.

Gwar cichł z wolna.

– Mamy dziś do omówienia tylko jedną sprawę – oznajmił marszałek dworu, spoglądając spod krzaczasty brwi surowym wzrokiem na zgromadzenie. – Sprawę królewskiej sprawiedliwości.

W różnych miejscach sali rozległy się pomruki.

– Sprawę dotyczącą królewskiej licencji na handel w mieście Westport.

Gwar się nasilił: gniewne szepty, niespokojne przesuwanie szlachetnych tyłków na ławach, znajome skrobanie piór o karty wielkich ksiąg. Jezal zobaczył, jak brwi lorda Brocka zbiegają się razem, a kąciki ust lorda Heugena krzywią ku dołowi. Wydawało się, że jest im to nie w smak. Marszałek dworu pociągnął nosem i łyknął wina, czekając, aż gwar ucichnie.

– Nie jestem jednakże upoważniony do przemawiania w tej sprawie...

– Rzeczywiście! – warknął lord Isher ostro, przesuając się na swoim miejscu z grymasem na twarzy.

Hoff przygwoździł starego człowieka wzrokiem.

– Wzywam więc kogoś, kto jest do tego upoważniony! Arcylektora Sulta z Zamkniętej Rady.

– Otwarta Rada udziela głosu arcylektorowi Sultowi! – zagrzmiął recytator, podczas gdy zwierzchnik Inkwizycji opuścił z gracją podwyższenie i stanął na wykładanej kamieniami posadzce, uśmiechając się uprzejmie do gniewnych twarzy, które zwracały się ku niemu.

– Czcigodni lordowie – zaczął niespiesznie i melodyjnym głosem, podkreślając znacznie słów płynnymi ruchami dłoni. – Przez ostatnich siedem lat, od czasu naszego wspaniałego zwycięstwa w wojnie z Gurkhulem, wyłączna licencja na handel w mieście Westport spoczywała w rękach szacownej gildii kupców bławatnych.

– I doskonale to wykorzystali! – zawołał lord Heugen.

– Wygrali dla nas tę wojnę! – warknął Barezin, uderzając mięsistą pięścią ławę, na której siedział.

– Wspaniała robota!

– Wspaniała – odezwało się kilka głosów.

Arcylektor skinął, czekając, aż wrzawa ucichnie.

– Rzeczywiście, tak było – przyznał, stąpając po płytach posadzki niczym tancerz, podczas gdy jego słowa zapełniały ze skrzypieniem piór stronicę ksiąg. – Byłbym ostatni, który by temu zaprzeczył. Dokonali wielkiego dzieła. – Odwrócił się gwałtownie, poły jego białego płaszcza zawirowały w powietrzu, a twarz wykrzywił okrutny grymas. – Wielkiego dzieła unikania podatków królewskich! – krzyknął.

Po sali przebiegło zbiorowe westchnienie.

– Wielkiego dzieła obrazy prawa królewskiego!

Znów westchnienie, tym razem głośniejsze.

– Wielkiego dzieła zdrady stanu!

Wybuchła wrzawa sprzeciwu, w górę uniosły się wygrażające pięści, na podłogę poleciały papiery. Z galerii publicznej spoglądały blade twarze, rumiane zaś, te w pierwszych ławach, rzucały przekleństwa i wyły. Jezal rozglądał się, nie bardzo wiedząc, czy dobrze usłyszał.

– Jak śmiesz, Sult! – ryknął lord Brock na arcylektora, gdy ten wspinał się z gracją po schodach podwyższenia, uśmiechając się nieznacznie.

– Żądamy dowodów! – wrzasnął lord Heugen. – Żądamy sprawiedliwości!

– Królewskiej sprawiedliwości – padł okrzyk z tylnych ławek.

– Musisz dostarczyć nam dowód! – zawołał Isher, kiedy hałas zaczął cichnąć.

Arcylektor uniósł nieznacznie swoją białą szatę; doskonały materiał wydał się wokół jego postaci, kiedy osunęła się płynnym ruchem na fotel.

– Ależ jest to naszym zamiarem, lordzie Isher!

Ciężka sztaba przy bocznych drzwiach odsunęła się z głuchym dźwiękiem. Rozległ się szelest, gdy lordowie i wysłannicy obrócili się i wstali, chcąc zobaczyć, co się dzieje. Ludzie na galerii wychylali się niebezpiecznie daleko poza balustradę, ogarnięci ciekawością. W sali zapadła cisza. Jezal przełknął nerwowo. Zza drzwi dobiegło stukanie i szuranie, a po chwili z ciemności wyłonił się ponury pochód.

Pierwszy szedł Sand dan Glokta, kulejąc jak zwykle i wspierając się ciężko na lasce, ale z głową wysoko uniesioną i krzywym, bezzębny uśmiechem na zapadłej twarzy. Za nim powłóczyli nogami trzej ludzie, skuci ze sobą łańcuchami na dłoniach i gołych stopach, zmierzając z dzwoniem i brzękiem w stronę wysokiego stołu. Głowy mieli wygolone do gołej skóry i byli odziani w brązowe włosiennice. Ubiór skruszonych. Zdrajców, którzy przyznali się do winy.

Pierwszy z więźniów oblizywał wargi i zerkał na boki, blade z przerażenia. Drugi, niższy i tęższy, potykał się, powłócząc lewą nogą, przygarbiony i rozdziawiony. Jezal zauważył, że z jego wargi zwiesza się nitka różowej śliny, która spadła na podłogę. Trzeci człowiek, boleśnie chudy, z wielkimi ciemnymi kręgami wokół oczu, rozglądał się niespiesznie wokół i mrugał, niczego zapewne nie dostrzegając. Jezal od razu rozpoznał mężczyznę, którzy szedł za trzema więźniami: wielki albinos, którego widział tamtej nocy pod knajpą. Poczł nagle chłód i niepokój. Przystąpił z nogi na nogę.

Przeznaczenie tajemniczej ławy stało się teraz jasne. Trzej więźniowie osunęli się na nią ciężko, albinos zaś uklęknął i przykuł ich do metalowego drąga u podstawy siedziska. W sali panowała niezmacona cisza. Wszystkie oczy były wlepione w kalekiego inkwizytora i jego trzech podopiecznych.

– Nasze dochodzenie zaczęło się kilka miesięcy temu – oznajmił arcylektor Sult, niezwykle zadowolony, że panuje tak całkowicie nad zgromadzeniem. – Prosta kwestia nieścistości natury księgowej, nie będę was zanudzał szczegółami. – Uśmiechnął się do Brocka, do Ishera, do Barezina. – Wiem, że jesteście wszyscy bardzo zajętymi ludźmi. Kto by wówczas pomyślał, że tak drobna sprawa zaprowadzi nas aż tutaj? Kto by przypuszczał, że korzenie zdrady sięgają tak głęboko?

– W rzeczy samej – powiedział marszałek dworu niecierpliwie, spoglądając znad swego kielicha. – Inkwizytorze Glokta, pańska kolej.

Recytator stuknął laską o podłogę.

– Otwarta Rada Unii udziela głosu Sandowi dan Glokcie, inkwizytorowi o specjalnych pełnomocnictwach!

Kaleki człowiek zaczekał grzecznie, aż ucichnie chrobot urzędniczych piór, wspierając się o lasce na środku sali, najwidoczniej nieporuszony doniosłością wydarzenia.

– Stań przed obliczem Otwartej Rady! – zwrócił się do pierwszego ze swych więźniów.

Przerażony człowiek zerwał się z miejsca, czemu towarzyszył brzęk łańcuchów, i oblizał blade wargi, spoglądając wybałuszonymi oczami na lordów w pierwszym rzędzie.

– Jak się nazywasz? – spytał Glokta.

– Salem Rews.

Jezał poczuł nagły ucisk w gardle. Salem Rews? Ten człowiek był mu znany! Robił w przeszłości interesy z jego ojcem, w pewnym okresie gościł nawet w ich majątku! Jezał przyglądał się z narastającą grozą przerażonemu i ogolonemu zdrajcy. Powrócił myślami do pulchnego, dobrze ubranego kupca, który zawsze miał na podorędziu jakiś żart. To był on, bez wątplenia. Ich oczy spotkały się na chwilę i Jezał odwrócił z niepokojem wzrok. Jego ojciec rozmawiał z tym człowiekiem w holu ich domu! Ścisnął mu dłoń! Oskarżenia o zdradę są jak choroba – można się nimi zarazić, przebywając w tym samym pokoju! Jego spojrzenie wracało uparcie do tej nieznanym i jednocześnie przerażająco znajomej twarzy. Jak śmiało posunąć się do zdrady, łajdak?

– Jesteś członkiem szacownej gildii kupców bławatnych? – ciągnął Glokta, podkreślając ironicznie słowo „szacowny”.

– Byłem – wymamrotał Rews.

– Na czym polegała twoja rola w gildii?

Ogolony kupiec rozejrzał się bezradnie po sali.

– Twoja rola! – dopytywał się Glokta, w którego głosie pojawił się ostry ton.

– Spiskowałem, by oszukiwać króla! – zawołał więzień, wykręcając ręce.

Po sali przebiegł dreszcz przerażenia. Jezał przełknął kwaśną ślinę. Zobaczył, jak Sult uśmiecha się do wysokiego sędziego Marovii. Twarz starego człowieka była nieruchoma jak kamień, ale dłonie spoczywające na stole zaciskały się w pięści.

– Dopuszcili się zdrady! Dla pieniędzy! Szmuglowałem, dawałem łapówki i kłamałem... Wszyscy braliśmy w tym udział.

– Wszyscy brali w tym udział! – Glokta przesunął spojrzeniem po obecnych. – A gdyby ktoś w to wątpił, mamy księgi rachunkowe, mamy dokumenty, mamy liczby. Jeden z pokoi w Domu Pytań jest nimi wypełniony po sufit. Pokój pełen tajemnic, winy i kłamstw. – Potrząsnął z wolną głową. – To bardzo smutna lektura, zapewniam was.

– Musiałem to zrobić! – wrzasnął Rews. – Zmusili mnie! Nie miałem wyboru!

Kaleki inkwizytor spojrzał ze zmarszczonym czołem na zgromadzenie.

– Oczywiście, że cię zmusili. Zdajemy sobie sprawę, że byłeś tylko pojedynczym kamieniem w tej budowli hańby. Ostatnio dokonano zamachu na twoje życie, czyż nie?

– Próbowali mnie zabić!

– Kto próbował?

– Ten człowiek! – zawył płaczliwie Rews łamiącym się głosem i wskazał rozedrganym palcem na więźnia, który siedział obok niego, odsuwając się tak daleko, jak pozwalały na to łańcuchy. – To był on! On!

Stalowe pęta zabrzęczały, kiedy zamachał ręką, z ust trysnęły mu drobinki śliny. Wzniosła się nowa fala gniewnych głosów, tym razem donośniejszych. Jezał zobaczył, jak więzień pośrodku opuszcza nagle głowę i osuwa się na bok, ale potężny albinos chwycił go i wyprostował.

– Pobudka, panie Carpi! – krzyknął Glokta.

Chybotliwa głowa uniosła się z wolna. Nieznajoma twarz, dziwnie opuchnięta i poznaczona bliznami po ospie. Jezał dostrzegł z obrzydzeniem, że ten człowiek nie ma czterech przednich zębów. Tak jak Glokta.

– Pochodzisz z Talinsu, tak? Ze Styrii?

Mężczyzna przytaknął powoli i bezmyślnie, jak na wpół przytomny człowiek.

– Jesteś płatnym zabójcą, tak?

Ponownie przytaknął.

– I zostałeś wynajęty, by zamordować dziesięciu poddanych Jego Królewskiej Mości, w tym także tego zdrajcę, Salema Rewsa?

Z nosa mężczyzny wyciekła leniwa strużka krwi, oczy zaczęły uciekać mu w głąb czaszki. Albinos potrząsnął go za ramię. Więzień ocknął się, przytakując sennie.

– Co stało się z dziewięcioma pozostałymi?

Milczenie.

– Zabiłeś ich, prawda?

Znów skinienie głową, któremu towarzyszył dziwny odgłos cmoknięcia, dobywający się z gardła tego człowieka.

Glokta powiódł wzrokiem po pełnych napięcia twarzach.

– Villem dan Robb, urzędnik celny, gardło poderżnięte od ucha do ucha. – Przesunął wymownie palcem po swojej szyi, co sprowokowało kobietę w pierwszym rządzie do pisku przerażenia. – Solimo Scandi, kupiec, dźgnięty czterokrotnie nożem w plecy. – Wysunął gwałtownym ruchem cztery palce i przycisnął je do brzucha, jakby nagle zrobiło mu się niedobrze. – Ta krwawa lista ciągnie się dalej. Wszyscy zamordowani, jedynie dla większych zysków, niczego innego. Kto cię wynajął?

– On – zaskrzeczał zabójca, odwracając opuchniętą twarz, by spojrzeć na wychudzonego człowieka o szklistym wzroku, siedzącego obok niego na ławie i nieświadomego otoczenia, w jakim się znajdował.

Glokta pokuśtykał do ławy skazańców, stukając laską o kamienną posadzkę.

– Jak się nazywasz?

Więzień szarpnął głową i skupił wzrok na wykrzywionej twarzy inkwizytora.

– Gofred Hornlach! – odpowiedział bezzwłocznie piskliwym głosem.

– Jesteś starszym członkiem gildii kupców bławatnych?

– Tak! – szczerknął, spoglądając bezmyślnie na Gloktę.

– Na dobrą sprawę jednym z zastępców magistra Kaulta?

– Tak!

– Czy spiskowałeś z innymi kupcami, by oszukiwać i okradać Jego Królewską Mość? Czy wynajęłeś zabójcę w celu zamordowania poddanych Jego Królewskiej Mości?

– Tak! Tak!

– Dlaczego?

– Baliśmy się, że powiedzą o wszystkim... o wszystkim... powiedzą...

– Puste oczy Hornlacha skierowały spojrzenia na jedno z kolorowych okien. Jego usta znieruchomiały z wolna.

– Powiedz, co wiedzieli – nalegał inkwizytor.

– Wiedzieli o zdradzieckich poczynaniach gildii! – wypalił kupiec. – O naszej zdradzie! O działaniach gildii... o zdradzieckich... poczynaniach...

– Działałeś sam? – wtrącił ostro Glokta.

– Nie! Nie!

Inkwizytor wysunął przed siebie laskę i pochylił się nad więźniem.

– Kto wydawał rozkazy? – syknął.

– Magister Kault! – wrzasnął bez chwili wahania Hornlach. – To on wydawał rozkazy!

Zgromadzeni w sali wydali głębokie westchnienie. Arcylektor Sult uśmiechnął się jeszcze



szerzej.

– To był magister!

Pióra skrzypiały bezlitośnie.

– To był Kault! O...on wydawał rozkazy! Wszystkie rozkazy! Magister Kault!

– Dziękuję, Hornlach.

– Magister! To on wydawał rozkazy! Magister Kault! Kault! Kault!

– Dosyć! – warknął Glokta.

Więzień zamilkł. W sali zapadła cisza.

Arcylektor podniósł rękę i wskazał na trzech więźniów.

– Oto wasz dowód, moi lordowie!

– To oszustwo! – zagrmiał lord Brock, zrywając się z miejsca. – To hańba!

Wsparło go jednakże tylko kilka głosów, a i one nie brzmiały zbyt przekonująco. Lord Heugen milczał uparcie, studiując z uwagą doskonałą skórę swoich butów. Barezin skulił się na swoim miejscu, sprawiając wrażenie o połowę mniejszego niż jeszcze przed chwilą. Lord Isher wlepił wzrok w ścianę, bawiąc się swoim ciężkim złotym łańcuchem, wyraźnie znudzony, jakby los gildii kupców bławatnych już go nie interesował.

Brock zwrócił się do wysokiego sędziego, który siedział nieruchomo w swym wysokim fotelu przy stole.

– Lordzie Marovia, błagam pana! Jest pan rozsądnym człowiekiem. Proszę nie pozwalać na tę... farsę.

W sali zapadła cisza, wszyscy czekali na odpowiedź starego człowieka. Zmarszczył czoło i pogładził się po długiej brodzie. Potem spojrzał na uśmiechniętego arcylektora i odchrząknął.

– Czuję pański ból, lordzie Brock, zapewniam, ale wydaje się, że nie jest to odpowiedni dzień dla rozsądnych ludzi. Zamknięta Rada zbadała tę sprawę dokładnie i jest usatysfakcjonowana. Mam związane ręce.

Brock poruszył ustami, jakby czuł smak porażki.

– To nie jest sprawiedliwość! – krzyknął, odwracając się do zgromadzenia. – Nie ulega wątpliwości, że ci ludzie byli torturowani!

Arcylektor skrzywił pogardliwie usta.

– A jak według pana mamy postępować ze zdrajcami i przestępcami? – zawołał przenikliwym głosem. – Wzniosłby pan tarczę, lordzie Brock, by niełojalni mogli się za nią schować? – Walnął pięścią w stół, jakby i ten mebel był winien zdrady. – Nigdy nie pozwolą, by nasz wielki kraj dostał się w ręce wrogów! Ani tych zewnętrznych, ani wewnętrznych!

– Precz z kupcami bławatnymi! – zawołał ktoś na galerii publicznej.

– Bezlitosna sprawiedliwość dla zdrajców!

– Królewska sprawiedliwość! – ryknął jakiś otyły mężczyzna w tylnych rzędach.

Zewsząd dobiegały głosy gniewu i poparcia, wezwania do zastosowania brutalnych środków i surowych kar.

Brock rozejrzał się w poszukiwaniu sprzymierzeńców w pierwszym rzędzie, ale nie dostrzegł żadnego. Zacisnął pięści.

– To nie jest sprawiedliwość! – wrzasnął, wskazując trzech więźniów. – To nie jest dowód.

– Jego Królewska Mość ma inne zdanie! – zagrmiał Hoff. – I nie potrzebuje pańskiej zgody. – Pokazał wielki dokument. – Niniejszym rozwiązuje się gildię kupców bławatnych! Licencja zostaje cofnięta na mocy dekretu królewskiego! Królewska Rada Handlu i Kupiectwa rozpatrzy w najbliższych miesiącach podania o przyznanie praw kupieckich, dotyczących miasta Westport! Do

czasu, aż zostaną wyznaczeni odpowiedni kandydaci, kontakty handlowe zostaną przekazane w sprawne i lojalne ręce. Ręce Inkwizycji Jego Królewskiej Mości!

Arcylektor skłonił z pokorą głowę, nie zważając na wściekłe krzyki ze strony członków zgromadzenia i galerii publicznej.

– Inkwizytorze Glokta! – ciągnął marszałek dworu. – Otwarta Rada dziękuje panu za gorliwość i sprawność działania, i prosi jednocześnie, by zechciał pan wykonać jeszcze jedno zadanie dotyczące tej sprawy. – Hoff wyciągnął rękę, tym razem z mniejszym dokumentem. – Oto nakaz aresztowania magistra Kaulta, noszący podpis samego króla. Pragnęlibyśmy, by przystąpił pan do tego bezzwłocznie.

Glokta skłonił się sztywno i wziął z wyciągniętej ręki marszałka dworu dokument.

– Ty – powiedział Hoff, kierując spojrzenie na Jalenhorma.

– Porucznik Jalenhorm, lordzie! – wrzasnął potężnie zbudowany oficer, występując energicznie do przodu.

– Stopień jest bez znaczenia – rzucił niecierpliwie Hoff. – Weź dwudziestu ludzi z gwardii królewskiej i eskortuj inkwizytora Gloktę do siedziby gildii kupców bławatnych. Dopilnuj, by nikt i nic nie wydostało się z budynku bez jego rozkazu!

– Tak jest!

Jalenhorm przeszedł przez salę i wbiegł na schody podwyższenia, po czym skierował się do wyjścia, trzymając rękojeść miecza, by nie obijał mu się o nogę. Glokta pokuśtykał za nim, stukając laską o stopnie i gniotąc nakaz aresztowania magistra Kaulta w zaciśniętej dłoni. Tymczasem monstrualny albinos dźwignął na nogi trzech więźniów i teraz prowadził ich – pobrzękujących łańcuchami i chwiejących się na boki – w stronę drzwi, którymi weszli do sali.

– Marszałku dworu! – krzyknął Brock w ostatniej desperackiej próbie, a Jezal zastanawiał się, ile pieniędzy musiał dostawać od gildii. Ile miał jeszcze nadzieję dostać. Bardzo dużo, jak się zdawało.

Lecz Hoff był niewzruszony.

– To wszystko na dzisiaj, moi lordowie!

Marovia wstał, zanim marszałek dworu zdążył dokończyć zdanie, chcąc najwyraźniej jak najszybciej wyjść. Wielkie księgi pozamykano z hukiem. Los szacownej gildii kupców bławatnych został przypieczętowany. Gwar podnieconych rozmów znów wypełnił powietrze, narastając z każdą chwilą; niebawem zaczęło mu towarzyszyć szuranie i odgłos kroków, gdy przedstawiciele zaczęli wstawać i opuszczać salę. Arcylektor pozostał na swoim miejscu, przyglądając się, jak jego pokonani adwersarze opuszczają gęsiego pierwszy rząd ławek. Jezal po raz ostatni napotkał zrozpaczony wzrok Salema Rewsa, którego prowadzono w stronę niewielkich drzwi. Potem praktyk Frost szarpnął brutalnie za łańcuch i więzień zniknął w mroku.

\* \* \*

Plac przed Rotundą Lordów był jeszcze gwarniejszy niż wcześniej, podniecenie gęstego tłumu wzrosło, gdy wiadomość o rozwiązaniu gildii przedostała się na zewnątrz. Ludzie stali z niedowierzaniem albo spieszyli tu i tam; wystraszeni, zaskoczeni, zmieszani. Jezal zobaczył człowieka, który wpatrywał się w niego, w każdego, kto znajdował się obok; twarz miał bladą, drżały mu ręce. Kupiec być może albo ktoś związany z gildią na tyle mocno, by pójść wraz z nią na

dno. Jezal wiedział, że takich ludzi jest znacznie więcej.

Poczuł nagle mrowienie na skórze. Nieco dalej dostrzegł Ardee West, która opierała się niedbale o kamienną ścianę. Nie widzieli się już od jakiegoś czasu, od tamtego wybuchu pijackiej złości, i teraz był zdziwiony, że jej widok sprawia mu taką przyjemność. Być może została ukarana już dostatecznie mocno, pomyślał. Każdy zasługiwał na to, by mieć szansę przeprosin. Pospieszył w jej stronę z szerokim uśmiechem na ustach. Po chwili zauważył, kto jej towarzyszy.

– Ten mały bękart! – mruknął pod nosem.

Porucznik Brint, w swoim tanim mundurze, mówił coś swobodnie, nachylając się ku Ardee bardziej, niż Jezal uważał to za stosowne, i podkreślał swoje nudne wywody zamaszystymi ruchami rąk. Ona przytakiwała z zadowoleniem na twarzy, w końcu odchyliła głowę i wybuchnęła śmiechem, klepiąc przy tym porucznika żartobliwie w pierś. Brint też się roześmiał, odrażający mały głupiec. Śmiali się obydwójce. Z jakiegoś powodu Jezal poczuł ostre ukłucie wściekłości.

– Jezal, co słyhać! – zawołał wesoło Brint, wciąż chichocząc.

Jezal podszedł bliżej.

– Kapitanie Luthar, jeśli łaska – rzucił gniewnie. – A co słyhać, to nie twoja sprawa. Nie masz nic do roboty?

Przez chwilę Brint stał z głupio otwartymi ustami, potem zmarszczył kwaśno brwi.

– Tak, sir – wymamrotał, odwracając się i oddalając.

Jezal patrzył w ślad za nim z pogardą jeszcze intensywniejszą niż zwykle.

– No cóż, to było czarujące – zauważyła Ardee. – Czy takie maniery przystoją w obecności damy?

– Nie mam pojęcia. A o co chodzi? Ktoś patrzył?

Odwrócił się, by spojrzeć na nią, i dostrzegł przelotnie pełen zadowolenia uśmiech na jej twarzy, który zrobił na nim nieprzyjemne wrażenie. Jakby bawił ją jego wybuch złości. Zastanawiał się przez jedną głupią chwilę, czy czasem sama nie zaaranżowała tego spotkania, czy nie stanęła z tym idiotą w miejscu, gdzie musiał ich zauważyć. Może miała nadzieję wzbudzić w nim zazdrość... ale wtedy uśmiechnęła się do niego, a potem wybuchnęła śmiechem, Jezal zaś poczuł, jak jego gniew gdzieś się ulatnia. Przyszło mu do głowy, że wygląda cudownie, opalona i pełna życia w tym słonecznym blasku, że śmieje się głośno, nie zważając na to, czy ktoś słyszy. Wyglądała naprawdę wspaniale. Lepiej niż kiedykolwiek. Uznał, że to przypadkowe spotkanie, nie mogło być inaczej. Przykuła go spojrzeniem ciemnych oczu, on zaś pozbył się wszelkich podejrzeń.

– Musiał być pan dla niego taki bezwzględny? – spytała.

Jezal zacisnął szczęki.

– Napuszona, arogancka miernota; nie jest niczym więcej niż tylko bękartem jakiegoś bogacza. Nie ma niczego: krwi, pieniędzy, manier...

– To tak jak ja.

Jezal przeklął swój niewyparzony język. Zamiast zmusić ją do przeprosin, sam został do nich zmuszony. Zastanawiał się rozpaczliwie, jak wydostać się z tej pułapki, którą sam na siebie zastawił.

– Och, mimo wszystko to kompletny idiota! – oznajmił w przyływie desperacji.

– No cóż – odparła, a Jezal dostrzegł z ulgą, że jej kąciki ust wykrzywiły się w przebiegłym uśmiechu. – To prawda. Przejdziemy się?

Wsunęła mu rękę pod ramię, zanim zdążył odpowiedzieć, i ruszyła w stronę Drogi Królewskiej. Jezal pozwolił się jej prowadzić przez tłum przerażonych, rozgniewanych i podekscytowanych ludzi.

– A więc to prawda? – spytała.

– Co jest prawdą?

– Że kupcy bławatni są skończeni?

– Tak się wydaje. Brał w tym udział pani stary przyjaciel Sand dan Glokta. Dał niezłe przedstawienie, jak na kalekę.

Ardee wlepiła wzrok w ziemię.

– Nikt nie chciałby mieć w nim wroga, bez względu na to, czy jest kaleką, czy nie.

– Tak. – Jezal przypomniał sobie przerażone oczy Salema Rewsa, wpatrzone w niego rozpaczliwe, kiedy nieszczęśnik zniknął w mroku wyjścia. – Nikt.

Kiedy szli aleją, ogarnęło ich milczenie, ale nie sprawiało mu ono przykrości. Cieszył się, że z nią spaceruje. Nie miało już znaczenia, czy ktokolwiek ma przeproszać. Być może nie myliła się co do szermierki. Ardee zdawała się czytać w jego myślach.

– Jak tam ćwiczenia? – spytała.

– Nieźle. A jak tam picie?

Uniosła ciemną brew.

– Nadzwyczaj dobrze. Gdyby urządzali co roku turniej pijaństwa, szybko stałabym się sławna.

Jezal roześmiał się, patrząc na nią, kiedy tak szła obok niego, a ona odpowiedziała mu uśmiechem. Była taka bystra, taka cięta, taka nieustraszona. I tak wspaniale wyglądała. Jezal zastanawiał się, czy kiedykolwiek istniała podobna kobieta. Gdyby tylko miała w sobie choć trochę szlachetnej krwi, pomyślał. I pieniądze. Mnóstwo pieniędzy.

# Droga ucieczki

Otwierać drzwi, w imieniu Jego Wysokości! – zagrział porucznik Jalenhorm po raz trzeci, waląc w drewno muskularną pięścią.

„Wielki dureń. Dlaczego potężnie zbudowani mężczyźni mają zazwyczaj takie małe mózgi? Może zbyt często wykorzystują swoją tężyznę i ich umysły wysychają niczym śliwki w słońcu”.

Siedziba gildii kupców bławatnych była imponującym budynkiem, który stał przy gwarным palcu niedaleko Agriontu. Wokół Glokty i jego uzbrojonej eskorty zebrał się już znaczny tłum gapiów: ciekawskich, wystraszonych, zafascynowanych, i rósł z każdą chwilą.

„Wydaje się, że wężą krew”.

Glokta czuł bolesne pulsowanie w nodze od pośpiechu, z jakim tu dotarli, ale wątpił, czy kupcy dadzą się zaskoczyć. Przesunął zniecierpliwionym spojrzeniem po uzbrojonych żołnierzach, postaciach zamaskowanych praktyków, twardych oczach Frosta i młodym oficerze, który dobijał się do drzwi.

– Otwierać...

„Dosyć tej komedii”.

– Myślę, że pana usłyszeli, poruczniku – zauważył cierpko Glokta. – Ale nie chcą posłuchać. Czy byłby pan tak uprzejmy i wyważył te drzwi?

– Co? – Jalenhorm spojrzał na niego zdumiony, a potem na ciężkie podwójne wrota, solidnie zabezpieczone. – Jak mam...

Nagle wyrósł obok niego praktyk Frost. Rozległ się ogłuszający trzask i huk pękającego drewna, kiedy rąbnął w jedno ze skrzydeł swoim potężnym ramieniem, wrywając je z zawiasów i zwalając na podłogę pomieszczenia za progiem.

– Właśnie tak – mruknął Glokta, wchodząc do środka pośród wciąż sypiących się drzazg.

Jalenhorm ruszył za nim nieco oszołomiony, prowadząc ze sobą dwunastu żołnierzy w zbrojach.

W korytarzu za drzwiami drogę zagroził im jakiś oburzony urzędnik.

– Nie możecie tak po prostu... oj! – krzyknął, kiedy Frost odsunął go brutalnie. Mężczyzna rąbnął twarzą o ścianę.

– Aresztować tego człowieka! – krzyknął Glokta i wskazał laską osłupiałego urzędnika.

Jeden z żołnierzy chwycił go szorstko dłońmi w rękawicach i wyrzucił na zewnątrz. Przez wyłamane drzwi zaczęli wkraczać praktycy z ciężkimi kijami w dłoniach, spoglądając groźnie ponad maskami.

– Aresztować wszystkich! – zawołał Glokta przez ramię, kuśtykając pospiesznie korytarzem w ślad za szerokimi plecami Frosta i zagłębiając się w trzewia budynku.

Mijając otwarte drzwi, zobaczył kupca w barwnej szacie. Twarz miał pokrytą lśniącem potem i wrzucał pospiesznie papiery do ognia.

– Brać go! – wrzasnął Glokta.

Do pomieszczenia wpadli dwaj praktycy i zaczęli okładać nieszczęśnika swoimi kijami. Upadł z krzykiem, przewracając stół i rozrzucając stos książek. Młójące drągi wzbijały w powietrze luźne kartki i drobinki popiołu.

Glokta szedł pospiesznie przed siebie, podczas gdy budynek rozbrzmiewał trzaskiem wyłamywanych drzwi i krzykami ludzi. Wnętrze wypełniała woń dymu, potu i strachu.

„Wyjścia są dobrze strzeżone, ale Kault mógł przygotować sobie jakąś sekretną drogę ucieczki. Jest sprytny. Miejmy nadzieję, że nie zjawiliśmy się tu za późno. Przeklęta noga! Nie za późno...”.

Glokta sapnął gwałtownie i skrzywił się z bólu, a potem zachwiał, gdy ktoś uczeplił się rozpaczliwie jego płaszcz.

– Pomóż mi! – krzyknął przeraźliwie jakiś człowiek. – Jestem niewinny!

Krew na puciołowatej twarzy. Palce wczepione w szaty, ciągnące Głoktę niebezpiecznie ku ziemi.

– Zabierzcie go ode mnie! – wrzasnął, bijąc mężczyznę nieudolnie laską i przytrzymując się desperacko ściany, by nie upaść.

Jeden z praktyków doskoczył i rąbnął tamtego kijem w plecy.

– Wyznaję! – zaskowyczał kupiec, kiedy kij uniósł się ponownie, a potem spadł na jego głowę.

Praktyk chwycił bezwładne ciało pod pachę i zaczął je wlec w stronę wyjścia. Glokta ruszył dalej, a przy jego boku kroczył Jalenhorm, którego oczy były okrągłe ze zdumienia. Dotarli do szerokich schodów. Glokta obrzucił je nienawistnym spojrzeniem.

„Moi starzy wrogowie, zawsze wyrastają przede mną znieca”.

Ruszył mężnie pod górę, kiwając na praktyka Frosta, by szedł pierwszy. Obok nich wywlekano jakiegoś zaskoczonego kupca, który bełkotał o swoich prawach i kopał obcasami w stopnie schodów.

Glokta potknął się i omal nie upadł na twarz, ale ktoś chwycił go za łokieć i przytrzymał. Był to Jalenhorm; na jego grubo ciosanej i szczerzej twarzy wciąż malowało się zaskoczenie.

„Potężnie zbudowani ludzie czasem się jednak na coś przydają”.

Młody oficer pomógł mu pokonać resztę schodów. Glokta nie miał siły odmówić.

„Po co? Człowiek powinien znać swoje możliwości. Upadek na twarz nie ma w sobie nic wzniosłego. Wiem o tym doskonale”.

U szczytu schodów znajdował się ogromny i bogato zdobiony przedpokój: gruby dywan na podłodze, kolorowe tkaniny na ścianach. Wielkich drzwi pilnowali dwaj strażnicy w strojach gildii kupców bławatnych, trzymając obnażone miecze. Stał przed nimi Frost, zacisnąwszy białe dłonie w potężne pięści. Jalenhorm dobył swego ostrza, kiedy znalazł się na podeście schodów, i stanął obok albinosa. Glokta nie mógł zapanować nad uśmiechem. Pozbawiony języka oprawca i kwiat rycerstwa. Niezwykle przymierze.

– Mam nakaz aresztowania Kaulta, podpisany przez samego króla. – Glokta wyciągnął dłoń z dokumentem, by wartownicy mogli zobaczyć go na własne oczy. – Kupcy bławatni są skończeni. Nic nie zyskacie, stając nam na drodze. Schowajcie miecze! Włos wam z głowy nie spadnie, macie na to moje słowo!

Strażnicy popatrzyli na siebie niepewnie.

– Schować broń! – ryknął Jalenhorm, przysuwając się odrobinę.

– W porządku! – Jeden z mężczyzn schylił się i pchnął miecz po podłodze, Frost zaś przytrzymał go stopą.

– Ty też! – krzyknął Glokta do drugiego z wartowników. – Natychmiast!

Strażnik posłuchał, rzucając broń na ziemię i podnosząc ręce do góry. Chwilę później Frost wymierzył mu cios w szczękę, pozbawiając go przytomności i rzucając brutalnie na ścianę.

– Ale... – zawołał drugi wartownik.

Frost chwycił go za koszulę i zrzucił ze schodów. Strażnik staczał się na łeb na szyję, objając o stopnie. Wylądował na dole i znieruchomiał.

„Wiem, co człowiek wtedy czuje”.

Jalenhorm stał bez ruchu i mrugał zdumiony, wciąż z uniesionym mieczem.

– Powiedział pan chyba...

– Proszę się tym nie przejmować. Frost, poszukaj drugiego wejścia.

– Takh – odparł albinos i ruszył zdecydowanym krokiem w głąb korytarza.

Glokta dał mu chwilę czasu, potem postąpił krok w stronę drzwi i spróbował je otworzyć. Ku jego zaskoczeniu klamka ustąpiła; wszedł do środka.

Pokój uderzał przepychem i był ogromny. Stiuki na wysokim suficie pokrywały złocenia, grzbiety książek na półkach były nabijane szlachetnymi kamieniami, monstrualne meble lśniły zwierciadlanym blaskiem. Wszystko wydawało się przesadnie wielkie, przesadnie zdobione, przesadnie kosztowne.

„Po co komu gust, kiedy ma się pieniądze?”

Z ogromnych okien o wielkich szybach poprzedzielanych cienkimi ołowianymi szprosami rozciągał się wspaniały widok na miasto, zatokę, pływające po niej statki. Magister Kault siedział uśmiechnięty przy potężnym biurku pod środkowym oknem, odziany w przepyszne szaty swego urzędu i pogrążony w cieniu wielkiego kredensu, na którego drzwiach widniał wygrawerowany herb szacownej gildii kupców bławatnych.

„A więc nie umknął. Mam go. Ja...”

Do jednej z nóg kredensu przywiązana była gruba lina. Glokta podążył wzrokiem za jej węzowatymi splotami, które ciągnęły się po podłodze. Drugi koniec obwijał szyję magistra.

„Ach. Zatem znalazł drogę ucieczki. Mimo wszystko”

– Inkwizytor Glokta! – Kault parsknął piskliwym, nerwowym śmiechem. – Jakaż to przyjemność spotkać się wreszcie z panem!

Jego palce musnęły supeł na szyi, sprawdzając, czy lina jest dobrze zawiązana.

– Czy pański kołnierz nie jest zbyt obcisły, magistrze? Może powinien go pan zdjąć? – powiedział Glokta.

Znowu cichy pisk rozbawienia.

– Och, nie wydaje mi się! Nie zamierzam odpowiadać na żadne z pańskich pytań!

Glokta dostrzegł kątem oka boczne drzwi, które uchyliły się odrobinę. Zobaczył wielką białą dłoń i palce zaciskające się z wolna na framudze.

„Frost. Jest zatem nadzieja, że schwytamy Kaulta. Muszę nakłaniać go do rozmowy”

– Nie ma już żadnych pytań wymagających odpowiedzi. Wszyscy o tym wiemy.

– Czyżby? – zachichotał magister.

Albinos wsunął się bezgłośnie do pokoju i przywarł do zaciętej ściany, ukryty przed wzrokiem Kaulta przez ogromną bryłę kredensu.

– Wiemy o Kalyne. O twoim małym układzie.

– Głupcze! Jaki układ! Kalyne był zbyt honorowy, by dać się kupić! Nigdy nie przyjąłby ode mnie nawet marki!

„Więc jak...”

Twarz Kaulta wykrzywił nieznacznym, odrażającym uśmiechem.

– Sekretarz Sulta – wyjaśnił, znów chichocząc. – Pod samym jego nosem, i twoim też, kaleko!

„Głupiec ze mnie, głupiec – sekretarz przynosił wiadomości, widział jego wyznanie, wiedział wszystko! Nigdy nie ufałem temu małemu lizusowi. A zatem Kalyne był lojalny”

Glokta wzruszył ramionami.

– Wszyscy popełniamy błędy.

Magister skrzywił usta w okrutnym i szyderczym uśmiechu.

– Błędy? To jedyne, co ci się udało, głupcze. Świat w ogóle nie jest taki, jak ci się wydaje! Nie

wiesz nawet, po czyjej jesteś stronie! Nie wiesz nawet, jakie są strony!

– Jestem po stronie króla, ty zaś nie. To wszystko, co muszę wiedzieć.

Frost dotarł do kredensu i przywarł doń, różowe oczy spoglądały uważnie, starając się wyrzucić niepostrzeżenie poza narożnik mebla. Trochę dłużej, trochę dalej...

– Nic nie wiesz, kaleko! Jakies drobne oszustwa z podatkiem, jakaś drobna łapówka, to wszystko, czemu byliśmy winni!

– I drobna sprawa dziewięciu morderstw.

– Nie mieliśmy wyboru! – krzyknął Kault. – Nigdy go nie mieliśmy! Musieliśmy płacić bankierom! Pożyczali nam pieniądze, a my musieliśmy płacić! Płaciliśmy im od lat! Valint i Balk, krwiopijcy. Daliśmy im wszystko, ale oni wciąż żądali więcej!

„Valint i Balk? Bankierzy?”

Glokta obrzucił spojrzeniem śmieszny przepych wnętrza.

– Wydaje się, że potrafiłeś utrzymać się na powierzchni.

– Wydaje się! Wydaje się! Wszystko to marność! Wszystko kłamstwa! Wszystko jest własnością bankierów! Należymy do nich! Jesteśmy im winni tysiące! Miliony! – Kault zachichotał do siebie. – Ale nie przypuszczam, by mieli to kiedykolwiek dostać, prawda?

– Tak, nie sędzę.

Kault nachylił się nad biurkiem, lina musnęła wykładany skórą blat.

– Chcesz schwytać przestępców, Glokta? Chcesz zdrajców? Wrogów króla i państwa? Zajrzyj do Zamkniętej Rady. Zajrzyj do Domu Pytań. Zajrzyj na uniwersytet. Zajrzyj do banków, Glokta! – W tym momencie zauważył Fresta, który wysunął się zza kredensu, w odległości niespełna czterech kroków. Otworzył szeroko oczy i zerwał się z fotela.

– Łap go! – wrzasnął Glokta.

Frost skoczył do przodu i zwałił się na biurko, chwytając za brzeg szaty Kaulta, gdy magister odwrócił się błyskawicznie i rzucił na okno.

„Mamy go!”

Rozległ się przerażający dźwięk, kiedy materiał rozdarł się w dłoni praktyka. Zdawało się, że Kault zastygł na chwilę, gdy kosztowne szkło pękało wokół jego postaci, a ostre drzazgi i odłamki lśniły w powietrzu. Potem zniknął. Lina napięła się jak struna.

– Thhh! – syknął Frost, patrząc na stłuczone okno.

– Wyskoczył! – sapnął Jalenhorm i otworzył ze zdumienia usta.

– Najwyraźniej – zauważył Glokta i pokuśtykał do biurka, po czym wyjął z dłoni Fresta oderwany kawałek materiału. Widziany z bliska nie wydawał się szczególnie wspaniały: jaskrawo kolorowy, ale kiepsko utkany. – Kto by pomyślał? Marna jakość.

Podszedł kulejącym krokiem do okna i wyrzał przez stłuczoną szybę. Siedem metrów niżej kołysała się z wolna głowa człowieka stojącego na czele szacownej gildii kupców bławatnych, a rozerwana, wyszywana złotem szata łopotąła w powiewach wiatru.

„Tanie odzienie i kosztowne okna. Gdyby materiał był mocniejszy, mielibyśmy go. Gdyby w oknie było więcej ołowiu, mielibyśmy go. Życie zależy od takich przypadków”.

Niżej, na ulicy, zbierał się już tłum przerażonych ludzi: pokazywali palcami, mamrotali coś, patrzyli szeroko otwartymi oczami na wiszące ciało. Rozległ się wrzask jakiejś kobiety.

„Strach czy podniecenie? Brzmią tak samo”.

– Poruczniku, czy zechciałby pan zejść na dół i rozproszyć ten tłum? Potem będziemy mogli odciąć naszego przyjaciela i zabrać go ze sobą.

Jalenhorm spojrział na niego tępo.



– Martwy czy żywy, królewski nakaz aresztowania trzeba wypełnić – wyjaśnił Glokta.

– Tak, oczywiście.

Potężnie zbudowany oficer otarł pot z czoła i ruszył niepewnym krokiem w stronę drzwi.

Glokta znów obrócił się do okna i wyjrzał, by popatrzeć na kołyszące się delikatnie ciało. W jego myślach wciąż rozbrzmiewały ostatnie słowa magistra Kaula.

Zajrzyj do Zamkniętej Rady. Zajrzyj do Domu Pytań. Zajrzyj na uniwersytet. Zajrzyj do banków, Glokta!

# Trzy znaki

West runął na tyłek, a jedno z jego ostrzy wypadło mu z dłoni i potoczyło się z brzękiem po kamieniach dziedzińca. – Oto pchnięcie! – krzyknął marszałek Varuz. – Finalne! Doskonała walka, Jezal, doskonała!

West poczuł się już zmęczony przegrywaniem. Był silniejszy i wyższy od Jezala, miał dłuższą rękę, ale ten zadziorny mały drań był szybki. Cholernie szybki i z każdą chwilą coraz szybszy. Znał już z grubsza wszystkie sztuczki Westa; gdyby robił postępy w takim tempie, to niebawem wygrywałby za każdym razem. Jezal też to wiedział. Miał na twarzy uśmiech bezczelnego zadowolenia, gdy podawał rękę Westowi, pomagając mu wstać z ziemi.

– No, do czegoś doszliśmy. – Varuz uderzył się zadowoleniem swoją trzcinką po nodze. – Może dochowamy się nawet czempiona, prawda, majorze?

– To bardzo prawdopodobne, sir – odparł West, pocierając sobie łokieć, posiniaczony i pulsujący po bolesnym upadku. Spojrzał z ukosa na Jezala pławiącego się w blasku pochwał marszałka.

– Nie wolno nam jednak osiąść na laurach.

– Nie, sir! – odparł z przekonaniem Jezal.

– W rzeczy samej – oznajmił Varuz. – Major West to niezwykle biegły szermierz, oczywiście, i to prawdziwy przywilej mieć go za partnera, ale, no cóż – uśmiechnął się do Westa. – Szermierka jest zajęciem dla młodych ludzi, co, majorze?

– Oczywiście, sir – mruknął West. – Jest zajęciem dla młodych ludzi.

– Bremer dan Gorst, jak się spodziewam, będzie przeciwnikiem innego rodzaju, podobnie jak pozostali w tegorocznym turnieju. Mniej przebiegłości weteranów, więcej zaś młodzieńczego wigoru, co, West?

West, w wieku trzydziestu lat, wciąż czuł się pełen energii, ale nie było sensu się spierać. Wiedział, że nigdy nie był najbardziej utalentowanym szermierzem na świecie.

– Zrobiliśmy ogromne postępy w ciągu ostatniego miesiąca, wielkie postępy. Ma pan szansę jeśli uda się panu skupić na zadaniu. Zdecydowanie szansę! Dobra robota. Widzę was jutro rano. – I stary marszałek opuścił dziarskim krokiem nasłoneczniony dziedziniec.

West podszedł do swojej broni, która leżała pod ścianą. Wciąż bolało go w boku po tym nieszczęsnym upadku i musiał schylić się niezgrabnie, by podnieść ostrze.

– Też muszę się zbierać – oznajmił i jęknął, kiedy się wyprostował, próbując ukryć kiepskie samopoczucie.

– Ważne sprawy?

– Marszałek Burr poprosił mnie o spotkanie.

– A więc będzie wojna?

– Możliwe. Nie wiem. – West przyjrzał się Jezalowi od stóp do głów. Z jakiegoś powodu młodszy oficer unikał jego spojrzenia. – A ty? Jakie masz plany na dzisiaj?

Jezal bawił się swoimi ostrzami.

– E... nic specjalnego... właściwie.

Odwrócił pospiesznie wzrok. Jak na tak znakomitego karciarza był kiepskim kłamcą. West poczuł ukłucie niepokoju.

– Brak konkretnych planów nie oznacza spotkania z Ardee?

– Uhm...

Uklucie zamieniło się w zimne pulsowanie.

– Więc?

– Może – warknął Jezal. – No... owszem.

West podszedł do młodszego mężczyzny.

– Jezal – usłyszał samego siebie, mówiącego przez zęby. – Mam nadzieję, że nie zamierzasz wypieprzyć mojej siostry.

– Chwileczkę, posłuchaj...

Pulsowanie przerodziło się w istne wrzenie. West złapał Jezala za ramiona.

– Nie, to ty posłuchaj! – rzucił wściekłe. – Nie pozwolę, by stała się dla ciebie zabawką. Już raz ją zraniono i więcej na to nie pozwolę! Nie dopuszczę do tego! Nie jest jedną z twoich błyskotek, słyszysz?

– W porządku – odparł Jezal, poblady nagle na twarzy. – W porządku! Nie żywię wobec niej żadnych zamiarów! Jesteśmy po prostu przyjaciółmi. Lubię ją! Nie zna tu nikogo i... możesz mi zaufać... nie ma w tym nic złego! Au! Puść mnie!

West uświadomił sobie, że ściska ramiona Jezala z całej siły. Jak to się stało? Chciał tylko spokojnie porozmawiać, a sprawa zaszła tak daleko. Zraniono ją wcześniej... niech to diabli! Nie powinien był tego nigdy mówić! Rozluźnił nagle palce, cofnął się, tłumiąc w sobie wściekłość.

– Nie chcę, byś się z nią więcej widywał, słyszysz mnie?

– Zaraz, zaraz, West, kim jesteś, żeby mi...

West poczuł, jak znów wzbiera w nim gniew.

– Jezal – warknął. – Jestem twoim przyjacielem, więc cię proszę. – Przybliżył się jeszcze bardziej. – I jestem jej bratem, więc cię ostrzegam. Trzymaj się od niej z daleka! Nic dobrego z tego nie wyniknie!

Jezal przywarł plecami do ściany.

– W porządku... w porządku! To twoja siostra!

West obrócił się i ruszył w stronę łukowatego wyjścia, pocierając sobie kark. Łomotało mu w głowie.

\* \* \*

Lord marszałek Burr siedział i patrzył przez okno, kiedy West zjawił się w jego gabinecie. Był to potężny, posepny, umięśniony mężczyzna o gęstej kasztanowej brodzie, ubrany w prosty mundur. West zastanawiał się, jak złe są wiadomości. Jeśli można było odczytać coś z twarzy marszałka, to nowiny były naprawdę niepomysłne.

– Dziękuję, że się pan zjawił, majorze West – powiedział, spoglądając spod krzaczastych brwi.

– Oczywiście, sir.

West zauważył na stole pod ścianą trzy pudełka z prostego drewna. Burr dostrzegł, że West się im przygląda.

– Dary – oznajmił kwaśno. – Od naszego przyjaciela z Północy, Bethoda.

– Dary?

– Dla króla, jak się wydaje. – Marszałek skrzywił się i cmoknął. – Może popatrz pan na to, co

nam przesłał, majorze?

West podszedł do stołu, wyciągnął rękę i podniósł ostrożnie wieko jednego z pudełek. Z jego wnętrza wionął nieprzyjemny zapach, przypominający zgniłe mięso, w środku jednak nie było niczego prócz odrobiny brązowej ziemi. Otworzył następne pudełko. Zapach był jeszcze gorszy. Jeszcze więcej brązowej ziemi oblepiającej wnętrze, a także kilka włosów płowego koloru. West przełknął i spojrzał na lorda marszałka, który marszczył brwi.

– To wszystko, sir?

Burr prychnął ironicznie.

– Gdyby tylko. Resztę musieliśmy pogrzebać.

– Pogrzebać?

Marszałek wziął z biurka kartkę papieru.

– Kapitan Silber, kapitan Hoss, pułkownik Arinhorm. Mówią coś panu te nazwiska?

West poczuł mdłości. Ten zapach. Przypominało to w jakiś sposób Gurkhul, pole bitwy.

– Pułkownik Arinhorm, znam go – mruknął, spoglądając na trzy pudełka. – Ze słyszenia. Jest dowódcą garnizonu w Dunbreku.

– Był – sprostował Burr. – A dwaj pozostali dowodzili mniejszymi posterunkami na granicy, niedaleko garnizonu.

– Na granicy? – wymamrotał zdumiony West, chociaż już się domyślał, co to oznacza.

– Ich głowy, majorze. Północni przysłali nam ich głowy.

West przełknął, spoglądając na płowe włosy przyklejone do wnętrza pudełka.

– Trzy znaki, jak powiedzieli. Kiedy przyjdzie czas. – Burr podniósł się z miejsca i wstał, po czym wyjrzał przez okno. – Te posterunki były niczym: głównie drewniane budynki, palisady, rowy i tak dalej, kiepsko obsadzone. Niewielkie znaczenie strategiczne. Dunbrec to inna sprawa.

– Strzeże brodów na Białym Nurcie – oznajmił tępo West. – Najlepszej drogi z Anglandu.

– Albo do Anglandu. Na ten system obronny przeznaczono dużo czasu i środków. Zastosowano najnowsze rozwiązania, zaangażowano najlepszych architektów. Garnizon trzystu ludzi, zapasy żywności i broni, których by wystarczyło na rok oblężenia. Był uważany za nie do zdobycia, fundament naszych planów obronnych granicy. – Burr zmarszczył brwi, a na jego czole pojawiły się głębokie bruzdy. – Już nie istnieje.

West znów poczuł ból głowy.

– Kiedy, sir?

– Dobrze pytanie. Musiało się to wydarzyć co najmniej dwa tygodnie temu, żeby te „dary” mogły do nas dotrzeć. Nazywają mnie defetystą – oznajmił z przekąsem Burr. – Ale sądzę, że Północni są w tej chwili w marszu i że do tej pory zdążyli już najechać połowę północnej części Anglandu. Zdobyli jakąś osadę górniczą czy dwie, kilka kolonii karnych, jak dotąd nic o większym znaczeniu, żadnych miast, ale nadchodzą, West, i to szybko, może być pan tego pewien. Nie wysyła się wrogom głów, a potem czeka grzecznie na odpowiedź.

– Jakie kroki podjęto?

– Praktycznie żadnych! W Anglandzie wrze, oczywiście. Lord gubernator Meed wzywa każdego mężczyznę, gotów wyruszyć na Bethoda i pokonać go własnymi siłami, głupiec. Przeróżne doniesienia lokalizują Północnych wszędzie i nigdzie, określając ich liczbę na tysiąc ludzi albo sto tysięcy. Porty są dosłownie zapchane cywilami pragnącymi za wszelką cenę uciec, krążą plotki o szpiegach i zbrodniarzach na wolności, tłum zaś ściga obywateli pochodzących z Północy i tłucze ich, okrada albo jeszcze gorzej. Krótko mówiąc, panuje jeden wielki chaos. Tymczasem my siedzimy na tłustych tyłkach i czekamy.

– Ale... czy nas nie ostrzegano? Nie wiedzieliśmy o tym?

– Oczywiście! – Burr podniósł gwałtownym ruchem wielką rękę. – Ale nikt nie brał tego poważnie, uwierzy pan? Cholerny malowany dzikus przekłuwa siebie rękę na oczach Otwartej Rady, rzuca nam wyzwanie w obecności króla i nikt nic nie robi! Wspólny rząd! Każdy ciągnie w swoją stronę! Można tylko reagować, nigdy przygotować się z awansu! – Marszałek zakaszłał i zakrztusił się, potem splunął na podłogę. – Do diabła! Przeklęta niestrawność!

Usiadł z powrotem na krześle, pocierając sobie z kwaśną miną brzuch. West nie bardzo wiedział, jak zareagować.

– Co mamy robić? – wymamrotał.

– Dostaliśmy rozkaz natychmiastowego wymarszu na północ, co oznacza, że stanie się to tak szybko, gdy wszyscy uznają za stosowne dostarczyć mi ludzi i broń. Król, czyli na dobrą sprawę ten pijak Hoff, kazał mi przywołać Północnych do rozsądku. Dwanaście regimentów gwardii królewskiej – siedem pieszych i pięć konnych, wspartych przez zaciąg spośród poddanych arystokracji, no i to, czego nie zmarnują w Anglandzie, nim tam dotrzemy.

West przesunął się na krześle.

– Potężna siła.

– Hm... – mruknął marszałek. – Oby się pan nie mylił. To wszystko, co mamy z grubsza, z czego się zbytnio nie cieszę.

West zmarszczył zdziwiony czoło.

– Dagoska, majorze – wyjaśnił marszałek. – Nie możemy walczyć jednocześnie z Gurkhulem i Północnymi.

– Jestem jednak pewien, sir, że Gurkhul nie zaryzykuje tak szybko kolejnej wojny. Sądziłem, że to tylko z ich strony przechwałki.

– Mam nadzieję, mam nadzieję... – Burt zaczął porządkować machinalnie papiery na biurku. – Ale ten nowy imperator, Uthman... nie spodziewaliśmy się tego. Był najmłodszym synem, ale kiedy dowiedział się o śmierci ojca... kazał podusić wszystkich swoich braci. Niektórzy twierdzą, że zrobił to własnymi rękami. Uthman-ul-Dosht, jak go tam nazywają. Uthman Bezlitosny. Już ogłosił swój zamiar przejęcia Dagoski. Może to tylko czcza gadanina. A może nie. – Burr zacisnął usta. – Mówią, że wszędzie ma szpiegów. Być może w tej chwili dowiaduje się o naszych kłopotach w Anglandzie i stara się wykorzystać naszą słabość. Musimy się szybko rozprawić z Północnymi. Bardzo szybko. Dwanaście regimentów i zaciężni od arystokracji. I z tego punktu widzenia trudno sobie wyobrazić bardziej niesprzyjający moment.

– Sir?

– Chodzi mi o tę sprawę z kupcami bławatnymi. Fatalną sprawę. Oberwało kilku wielkich możnowładców. Brock, Isher, Barezin i inni. Teraz się nie spieszą, zbierając pospolite ruszenie. Kto wie, kogo nam przyślą albo kiedy? Zapewne bandę na wpół wygłodzonych, nieuzbrojonych żebraków, co potraktują jako pretekst, by pozbyć się ze swych ziem tych osobników. Bezżyteczną zgrają do wykarmienia, ubrania i uzbrojenia, a nam brakuje dobrych oficerów.

– Mam kilku porządnych ludzi w swoim batalionie.

Burr zachnął się zniecierpliwiony.

– Porządnych ludzi, tak! Uczciwych, pełnych entuzjazmu, ale bez doświadczenia! Większość z tych, którzy walczyli na południu, nie byli tym zachwyceni. Odeszli z wojska i nie mają zamiaru wracać. Widział pan, jacy są w dzisiejszych czasach młodzi oficerowie? Jesteśmy jakąś cholerną szkółką dla dobrze urodzonych panien! A teraz jego wysokość książę wyraził zainteresowanie przejęciem dowództwa. Nie wie nawet, z którego końca trzymać miecz, ale jest złałkniiony chwałą, a

ja nie mogę mu odmówić!

– Księżę Raynault?

– Gdyby to był on! – zawołał podniesionym głosem Burr. – Moglibyśmy mieć z niego jakiś pożytek! Mówię o księciu Ladisli! Dowództwo dywizji! Człowiek, który miesięcznie wydaje tysiąc marek na stroje! Jego brak jakiegokolwiek dyscypliny jest powszechnie znany! Słyszałem, jak mówiono, że wymusił uległość na niejednej służącej w pałacu, lecz arcylektor Sult zdołał uciszyć dziewczęta.

– Trudno w to uwierzyć – powiedział West, choć sam słyszał takie plotki.

– Następca tronu, w tak niebezpiecznym miejscu jak pole bitwy, kiedy król jest słabego zdrowia? Co za pomysł? – Burr wstał, krzywiąc się boleśnie, gdy mu się odbiło. – Przeklęty żołądek! – Podeszedł do okna i popatrzył ze zmarszczonym czołem na Agriont. Potem powiedział cicho: – Myślą, że sprawę da się łatwo rozwiązać. Ludzie z Zamkniętej Rady. Mała wyprawa do Anglandu, nim spadną pierwsze śniegi. Pomimo tego, co się wydarzyło pod Dunbrekiem. Nigdy się niczego nie nauczą. Mówili to samo o naszej wojnie z Gurkhulem, prawie nas to wykończyło. Ci z Północy nie są tak prymitywni, jak się wszystkim wydaje. Walczyłem z północnymi najemnikami w Stariklandzie: to twardzi ludzie nawykli do twardego życia, wdrażani od małego do walki, nieustraszeni i uparci, doskonali wojownicy w górach, w lasach, na zimnie. Nie postępują zgodnie z naszymi zasadami, nawet ich nie pojmują. Wniosą na pole walki brutalność i dzikość, która zawstydzi nawet Gurkhul. – Burr odwrócił się od okna i spojrzał na Westa. – Urodził się pan w Anglandzie, majorze, nie myślę się?

– Tak, na południu, niedaleko Ostenhormu. Mieliśmy tam kiedyś farmę, przed śmiercią ojca... – umilkł.

– Dorastał pan tam?

– Tak.

– A więc zna pan te ziemie?

West zmarszczył brwi.

– Owszem, ale nie byłem tam od...

– Zna pan Północnych?

– Trochę. Wielu żyje jeszcze w Anglandzie.

– Mówi pan ich językiem?

– Tak, trochę, ale oni posługują się wieloma...

– Dobrze. Organizuję sztab, porządnych ludzi, na których mogę polegać, jeśli chodzi o wykonywanie moich rozkazów, i którzy dopilnują, żeby ta nasza armia się nie rozpadła, zanim spotka się z wrogiem.

– Oczywiście, sir. – West zaczął się zastanawiać nad kandydatami. – Kapitan Luthar jest zdolnym i inteligentnym oficerem, porucznik Jalenhorm...

– Ha! – krzyknął Burr, machając z niezadowoleniem ręką. – Znam Luthara, ten chłopak to kretyn! Typ dzieciaka o jasnym spojrzeniu, o takich właśnie mówiłem! To pana potrzebuję, West.

– Mnie?

– Tak, tak! Sam marszałek Varuz, naj słynniejszy żołnierz Unii, wydał panu znakomitą opinię. Twierdzi, że jest pan najbardziej oddanym służbie, wytrwałym i pracowitym oficerem. Cechy, o które mi chodzi! Jako porucznik walczył pan w Gurkhulu pod dowództwem pułkownika Głokty, prawda?

West przełknął z wysiłkiem.

– Owszem, zgadza się.

– I jest powszechnie wiadome, że jako pierwszy wdarł się pan do Ulrioch.

– No, byłem pośród pierwszych...

– Dowodził pan ludźmi w polu, a pańska osobista odwaga jest niepodważalna! Nie ma powodów do skromności, majorze, jest pan człowiekiem, którego potrzebuję! – Burr rozsiadł się wygodnie z uśmiechem na twarzy, pewien, że udało mu się przekonać swego rozmówcę. Znowu mu się odbiło. Podniósł dłoń. – Bardzo przepraszam... przekłeta niestrawność!

– Sir, czy mogę mówić wprost?

– Nie jestem dworzaninem, West. Zawsze musi mówić pan ze mną otwarcie. Żądam tego!

– Jeśli chodzi o przydział do sztabu, sir... powinien pan coś wiedzieć. Nie jestem synem arystokraty, tylko prostego, zwykłego człowieka. Jako dowódca batalionu mam problemy, żeby zapewnić sobie szacunek młodszych oficerów. Ludzie, którym musiałbym wydawać rozkazy, gdybym znalazł się w pańskim sztabie, sir... ludzie starsi ode mnie, ludzie szlachetnej krwi... – urwał, wyczerpany.

Marszałek patrzył na niego obojętnie.

– Nie pozwolą na to! – dokończył West.

Burr zmarszczył czoło.

– Nie pozwolą?

– Są zbyt dumni, sir, ich...

– Do diabła z ich dumą! – Burr pochylił się nad biurkiem, wlepiając spojrzenie ciemnych oczu w Westa. – Niech pan mnie posłucha, i to uważnie. Czasy się zmieniają. Nie potrzebuję ludzi szlachetnej krwi. Potrzebuję ludzi, którzy potrafią planować, organizować, wydawać rozkazy i wykonywać je. Nie będzie w mojej armii miejsca dla tych, którzy nie potrafią zrobić tego, co im się mówi, bez względu na to, jak szlachetne jest ich pochodzenie. Jako członek mojego sztabu reprezentuje mnie pan, co stanowi gwarancję, że nikt nie będzie mnie obrażał czy ignorował. – Beknął zniechęca i walnął pięścią w blat biurka. – Czasy się zmieniają! Tamci może jeszcze sobie z tego nie zdają sprawy, ale to już nie potrwa długo!

West patrzył na niego tępo. Burr dał mu znak, że może odejść.

– Tak czy inaczej, nie pytam pana o zdanie, tylko informuję. To pański nowy przydział. Pański król pana potrzebuje, pański kraj pana potrzebuje, to wszystko. Ma pan pięć dni, by przekazać dowództwo swojego batalionu.

Z tymi słowami lord marszałek wrócił do swoich papierów.

– Tak jest, sir – wymamrotał West.

Major zamknął za sobą drzwi, szukając klamki pozbawionymi czucia palcami, po czym ruszył wolno korytarzem, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Wojna. Wojna na Północy. Dunbrec padł, Północni wkroczyli do Anglii. Mijali go pospiesznie jacyś oficerowie. Ktoś potrącił go, ale on tego nie zauważył. Myślał o ludziach, którzy znaleźli się w niebezpieczeństwie, śmiertelnym niebezpieczeństwie! Ludzie, których znał być może, jego sąsiedzi z rodzinnych stron. Już teraz toczyły się walki przy granicach Unii! Potarł machinalnie szczękę. Ta wojna mogła okazać się czymś strasznym. Czymś gorszym nawet od Gurkhulu, a on miał znaleźć się w samym jej środku. Miejsce w sztabie lorda marszałka. On? Collem West? Człowiek z gminu? Wciąż nie mógł w to uwierzyć.

West doznał podstępnego, pełnego winy poczucia satysfakcji. Dla takiego właśnie awansu harował przez ostatnie lata jak wół. Gdyby dobrze się spisał, to kto wie, dokąd mógłby zajść. Ta wojna była czymś złym, czymś strasznym, bez wątplenia. Przyłapał się na tym, że szczerzy w uśmiechu zęby. Tak, czymś strasznym. Niewykluczone jednak, że mogła stać się jego zwycięstwem.

# Skład kostiumów teatralnych

Pokład skrzypiał i przesuwiał się pod jego stopami, płótno żaglowe łopotało łagodnie, ptaki morskie krakały i wołały w słonym powietrzu wysoko w górze.

– Nigdy nie sądziłem, że zobaczę coś takiego – mruknął Logen. Miasto przypominało ogromny biały półksiężyc, który rozciągał się wzdłuż szerokiej niebieskiej zatoki, poprzecinany licznymi mostami, tak maleńkimi w oddali, i sięgający skalistych wysepek na morzu. Gdzieś pośród gąszczy budynków wylaniały się zielone parki, w słońcu zaś połyskiwały cienkie i szare nitki rzek i kanałów. Widać też było nabijane wieżami mury znaczące odległe granice miasta i wystrzelające śmiało nad tym zbiorowiskiem domów. Logen stał z otwartymi ustami, spoglądając to tu, to tam, niezdolny objąć jednym spojrzeniem całego obrazu.

– Adua – powiedział cicho Bayaz. – Centrum świata. Poeci nazywają ją miastem białych wież. Wydaje się piękna z oddali, prawda? – Mag nachylił się konspiracyjnie. – Wierz mi jednak, kiedy zbliżysz się do niej, zaczniesz cuchnąć.

Ze środka miasta wyrastała rozległa forteca, jej białe mury górowały nad dywanem budynków, który rozciągał się pod nią, a na jej kopułach lśniło jasne słońce. Logen nigdy nie wyobrażał sobie, że może istnieć coś tak wielkiego, stworzonego ludzką ręką, tak dumnego, tak potężnego. Zwłaszcza jedna wieża wyrastała ponad inne – zwężająca się ku górze wiązka gładkich, ciemnych filarów, które zdawały się podtrzymywać samo niebo.

– I Bethod zamierza wypowiedzieć temu miastu wojnę? – wyszeptał. – Jest chyba szalony.

– Być może. Bethod, pomimo swej próżności i dumy, rozumie Unię. – Bayaz wskazał głową metropolię. – Ci wszyscy ludzie zazdroszczą sobie nawzajem. Bez względu na to, że miejsce to nazywa się Unią, wszyscy walczą ze sobą zażarcie. Małoduszne spory o drobnostki. Sekretne wojny o władzę i bogactwo, nazywane rządem. Wojny na słowa, podstęp i przebiegłość, ale nie mniej przez to krwawe. Ofiar jest wiele. – Mag westchnął. – Za tymi murami ludzie bezustannie krzyczą na siebie, spierają się i podgryzają nawzajem. Stare kłótnie nigdy się nie kończą, ale rozkwitają, zapuszczając korzenie, te zaś wdzierają się z każdym rokiem coraz głębiej. Zawsze tak było. Ci ludzie nie są w ogóle do ciebie podobni, Logenie. Mieszkający tu człowiek może się uśmiechnąć, przymilać, nazywać cię swoim przyjacielem, dawać ci jedną ręką dary, a drugą dźgnąć nożem w plecy. Przekonasz się, że to dziwne miejsce.

Logen już dawno uznał, że jest to najbardziej niezwykła rzecz, jaką w życiu widział. Zdawała się nie mieć końca. Kiedy ich łódź wpłynęła do zatoki, odniósł wrażenie, że miasto rozrosło się jeszcze bardziej. Otaczał ich z każdej strony las białych budynków nakrapianych ciemnymi oknami, pagórki dachów i wież; wszystko się tłoczyło, ściana przy ścianie, i napierało na wybrzeże.

W zatoce rywalizowały ze sobą statki i łodzie wszelkiego rodzaju – żagle się wydymały, marynarze przekrzykiwali wrzawę wiatru i wody, biegali po pokładzie i wspinali się na maszty. Niektórzy wydawali się jeszcze mniejsi niż ich maleńkie dwużaglowe łodzie. Inni wydawali się o wiele więksi. Logen otworzył oczy ze zdumienia, gdy w ich stronę skierował się potężny statek, prując wodę i tocząc przed dziobem srebrną chmurę. Góra drewna, unosząca się jakimś cudem na morzu. Statek przepłynął obok, zostawiając po sobie fale, które nimi kołysały, ale podobnych jednostek było jeszcze więcej – cumowały przy niezliczonych nabrzeżach.

Logen, osłaniając dłońią oczy przed blaskiem słońca, zaczął dostrzegać sylwetki ludzi na



szerokich pomostach. Słyszał ich także, gwar wołających głosów, którym towarzyszył stukot wozów i łoskot towarów zrzuconych na nabrzeże. Między statkami i budynkami, niczym czarne mrówki, roily się setki małych postaci.

– Ilu ludzi tu mieszka? – spytał szeptem.

– Tysiące – wzruszył ramionami Bayaz. – Setki tysięcy. Ludzie z każdego kraju w granicach Kręgu Świata. Są tu Północni, ciemnoskórzy Kantykwowie z Gurkhulu i odleglejszych krain. Ludzie ze Starego Imperium leżącego na dalekim zachodzie, kupcy z wolnych miast Styrii. Także inni, z jeszcze dalszych zakątków – Wysp Tysięcznych, dalekiego Suljuku i Thondu, gdzie otacza się kultem słońce. Więcej ludzi niż dałoby się zliczyć – żyją, umierają, pracują, rozmnażają się, depczą nawzajem. Witamy – Bayaz rozpostarł szeroko ramiona, by objąć to monstrualne, piękne i bezkresne miasto – w cywilizacji.

Setki tysięcy. Logen starał się ogarnąć to umysłem. Setki... tysięcy. Czy na świecie może żyć tylu ludzi? Wpatrywał się zdumiony w miasto, które otaczało go z wszystkich stron, i zastanawiał się, pocierając obolałe od patrzenia oczy. Jak może wyglądać sto tysięcy ludzi?

Godzinę później już wiedział.

Tylko podczas bitwy czuł się tak przygnieciony, otoczony, atakowany przez innych.

To było jak bitwa, tutaj, na nabrzeżach – krzyki, gniew, tłok, strach i zagubienie. Bitwa, w której nie okazywano litości i która nie miała kresu ani zwycięzców. Logen był przyzwyczajony do nieba nad głową, do powietrza, do obecności towarzyszy. Już na drodze, kiedy Bayaz i Quai jechali blisko niego, czuł się jak ściśnięty. A tu napierali ludzie z wszystkich stron, pchali, roztrącali, krzyczeli. Całe setki! Tysiące! Setki tysięcy! Czy to możliwe, by wszyscy byli ludźmi? Ludźmi takimi jak on, obdarzonymi myślami, nastrojami i marzeniami? Co chwila majaczyły przed nim i migwały jakieś twarze – gburowate, niespokojne, zmarszczone, przepływały w przyprawiającym o zawrót głowy wirze barw. Logen przełknął z wysiłkiem. Gardło miał boleśnie suche. Kręciło mu się w głowie. Nie wątpił, że jest w piekle. Wiedział, że zasłużył na to, by się tu znaleźć, ale nie przypominał sobie chwili śmierci.

– Malacus! – syknął zdesperowany.

Uczeń rozejrzał się wokół.

– Zatrzymaj się na chwilę. – Logen szarpnął za kołnierz, by wpuścić pod ubranie trochę powietrza. – Nie mogę oddychać!

Quai uśmiechnął się szeroko.

– To chyba przez ten zapach.

Być może się nie mylił. Doki cuchnęły jak samo piekło, i to bez wątplenia. Woń śmierdzących ryb, ostrych przypraw, gnijących owoców, świeżego łajna, potu koni, mułów i ludzi, wszystko to zmieszane ze sobą i rozgrzane promieniami palącego słońca – było gorsze niż każdy z tych zapachów z osobna.

– Z drogi! – Jakieś ramię odepchnęło Logena szorstko i zniknęło. Oparł się o chropowaty mur i otarł pot z czoła. Bayaz się tylko uśmiechał.

– Zupełnie inaczej niż na bezkresnej i nagiej Północy, co, Dziewięciopalczy?

– Tak.

Logen przyglądał się ludziom, którzy przepływali obok niego, koniom, wozom, nieskończonemu strumieniowi twarzy. Jakiś chłopiec pokazał na niego i coś zawołał. Kobieta z koszem ominęła go szerokim łukiem, przyglądając mu się ze strachem. Teraz, kiedy miał czas się zastanowić, zauważył, że wszyscy patrzą na niego i pokazują go palcami, gapią się i nie sprawiają wrażenia zadowolonych. Nachylił się do Malacusa.

– Na Północy wzbudzam strach i nienawiść. Nie podoba mi się to, ale wiem przynajmniej dlaczego. – Zauważył, że przygląda mu się grupa ponurych marynarzy, którzy mamrotali coś do siebie pod nosem. Obserwował ich zdziwiony, dopóki nie zniknęli za gruchoczącym hałaśliwie wozem. – Dlaczego tutaj też mnie nienawidzą?

– Bethod posuwa się szybko – mruknął Bayaz, wpatrzony ze zmarszczonym czołem w tłum. – Jego wojna z Unią już się zaczęła. Obawiam się, że Północ nie cieszy się tu popularnością.

– Jak się domyślają, skąd pochodzę?

Malacus uniósł brew.

– Musisz się czymś wyróżniać.

Logen cofnął się, kiedy minęła go para roześmianych młodych ludzi.

– Naprawdę? W jaki sposób?

– Niczym wielki, poznaczony bliznami, brudny słup bramy.

– Aha. – Popatrzył po sobie. – Rozumiem.

\* \* \*

Z dala od doków tłum rzedniał, powietrze wydawało się czystsze, hałas przycichał. Wciąż panował ścisk, smród i wrzawa, ale Logen mógł przynajmniej głęboko odetchnąć.

Przemierzali szerokie brukowane place, pełne roślin i posągów; nad drzwiami wisiały wielobarwne znaki: niebieskie ryby, różowe świny, fioletowe kiście winogron, brązowe bochenki chleba. Można było zobaczyć stoły z krzesłami pod gołym niebem; siedzieli przy nich ludzie, jedząc z płaskich garnków i popijając z zielonych szklanych kubków.

Podążali wąskimi alejkami, gdzie pochylały się nad nimi rozchwierutane na pierwszy rzut oka budynki z drewna i zaprawy, niemal stykając się nad ich głowami i pozostawiając jedynie wąski pasek nieba w górze. Wędrowali szerokimi, brukowanymi ulicami, które rozbrzmiewały gwarem ludzkim i były okolone przez monstrualne białe domy. Logen patrzył na to wszystko z otwartymi ustami.

Na jakimkolwiek wrzosowisku, nawet najbardziej zamglonym, w jakimkolwiek lesie, nawet najbardziej gęstym, nie czuł się równie zagubiony. Nie miał teraz pojęcia, gdzie znajdowała się ich łódź, choć zeszli z jej pokładu zaledwie przed pół godziną. Słońce kryło się za strzelistymi budynkami i wszystko wyglądało tak samo. Bał się panicznie, że zgubi w tłumie Bayaza i Quaia i że będzie stracony na zawsze. Zdązał pospiesznie za łysą potylicą maga, wychodząc na jakąś otwartą przestrzeń – wielka droga, większa niż wszystkie, które dotychczas widzieli, z wielkimi białymi pałacami po obu stronach, porośnięta prastarymi drzewami.

Ludzie wyglądali tutaj inaczej. Ich ubrania miał jaśniejszą barwę i były bardziej krzykliwe, odznaczały się też dziwnym krojem, który niczemu nie służył. Kobiety nie przypominały prawie istot ludzkich – były blade i kościste, otoczone warstwami lśniącego materiału, i machały w gorącym słońcu jakby same do siebie kawałkami sukna rozciągniętego na patykach.

– Gdzie jesteśmy? – wrzasnął do Bayaza. Gdyby czarnoksiężnik odpowiedział, że na księżycu, Logen nie byłby zdziwiony.

– To Środkowa Droga, jedna z głównych ulic miasta! Przecina sam jego środek, aż do Agriontu!

– Agriontu?

– Forteca, pałac, koszary, siedziba rządu. Miasto wewnątrz miasta. Serce Unii. Tam właśnie

idziemy.

– Idziemy? – Jakaś grupka niezadowolonych młodych ludzi spojrzała podejrzliwie na Logena, kiedy ich mijał. – Wpuszczą nas?

– O tak. Ale nie będą z tego zadowoleni.

Logen z trudem przeciskał się przez tłum. Wszędzie, gdzie tylko popatrzył, w setkach okien migotało słońce. W Carleonie tylko najwspanialsze budynki miały okna z szybami, przynajmniej do czasu, gdy splądrowali miasto. Potem zostały już nieliczne, jak musiał przyznać. Wszystkiego zostało niewiele. Wilczarz uwielbiał dźwięk tłuczonego szkła. Dźgał okna włócznią, czemu towarzyszył szeroki uśmiech na jego twarzy, rozradowanej trzaskiem i brzękiem.

To jeszcze nie było najgorsze. Bethod oddał miasto swoim ludziom na całe trzy dni. Taki był jego zwyczaj, kochali go za to. Dzień wcześniej Logen stracił palec w bitwie, ranę przypalili rozgrzanym żelazem. Pulsowała i rwała boleśnie, co rozbudziło w nim dzikość. Jakby potrzebował wtedy wymówki, usprawiedliwienia. Pamiętał zapach krwi, potu i dymu. Krzyki, uderzenia i śmiech.

– Proszę...

Logen potknął się i omal nie upadł. Ktoś przywierał mu do nogi. Jakaś kobieta siedząca pod ścianą. Ubranie miała brudne i podarte, twarz bladą i ściągniętą z głodu. Trzymała coś w ramionach. Zawiniątko ze szmat. Dziecko.

– Proszę...

Nic więcej. Ludzie śmiali się i omijali ich szerokim strumieniem, jakby nie istnieli.

– Proszę...

– Nic nie mam – mruknął Logen.

Niespełna pięć kroków dalej, przy stole, siedział jakiś człowiek w wysokim kapeluszu i chichotał z przyjacielem, sięgając co chwila do talerza pełnego parującego mięsa i warzyw. Logen spojrział zdumiony na jedzenie, a potem na głodującą kobietę.

– Logen! Pospiesz się! – Bayaz wziął go za łokieć i zaczął ciągnąć.

– Ale czy nie powinniśmy...

– Nie zauważyłeś? Są wszędzie! Król potrzebuje pieniędzy, więc dusi szlachetnie urodzonych. Szlachetnie urodzeni duszą swoich poddanych, poddani duszą wieśniaków. Niektórzy, ci starzy, słabi, niechciani synowie i córki, są na samym dole. Zbyt wiele ust do wykarmienia. Ci, którzy mają szczęście, trudnią się kradzieżą albo nierządem, pozostali kończą jako żebracy.

– Ale...

– Usunąć się z drogi!

Logen zatoczył się na ścianę i przycisnął do muru, Malacus i Bayaz zrobili to samo. Tłum się rozstał i przez środek ciżby przemaszerowała kolumna mężczyzn prowadzonych przez uzbrojonych strażników. Niektórzy byli młodzi, nieledwie chłopcy, inni bardzo wiekowi. Wszyscy brudni i odziani w łachmany, szli z najwyższym trudem. Któryś z przodu miał tylko jedną rękę. Jakiś przechodzień w fantazyjnej szkarłatnej kurtce przystawił do nosa kwadratowy kawałek materiału, kiedy ci żebracy mijali go, powłócząc nogami.

– Co to takiego? – spytał szeptem Logen, zwracając się do Bayza. – Przestępcy?

Mag zachichotał.

– Żołnierze.

Logen spojrział na nich – brudnych, kaszlących, kulawych, niejednokrotnie bosych.

– Żołnierze? Oni?

– O tak. Będą walczyć z Bethodem. Logen potarł się po skroniach.

– Kiedyś pewien klan wysłał swego najbiedniejszego wojownika, Forleya Najsłabszego; miał

stać ze mną do pojedynku. Dali w ten sposób do zrozumienia, że się poddają. Dlaczego Unia wysyła najsłabszych? – Potrząsnął ponuro głową. – Nie pokona Bethoda takimi siłami.

– Wyśle też innych. – Bayaz wskazał inną, mniejszą grupę. – To też są żołnierze.

– Ci? – spytał zdumiony, patrząc na tłumek młodzieńców w krzykliwych strojach z czerwonego albo jasnozielonego sukna; niektórzy mieli zbyt obszerne kapelusze. Nosili przynajmniej miecze, tak w każdym razie można było określić te ostrza, ale nie wyglądali na ludzi walecznych. Już prędzej na waleczne kobiety. Logen wodził wzrokiem między obiema grupami. Z jednej strony brudni żebracy, z drugiej młodzieńcy w jarmarcznych strojach. Nie potrafił powiedzieć, którzy wzbudzają w nim większe zdumienie.

\* \* \*

Kiedy drzwi się otworzyły, zadźwięczał maleńki dzwonek i Logen ruszył za Bayazem pod sklepieniem przejściem. Malacus siedł na końcu. W porównaniu ze słoneczną ulicą wewnątrz sklepu wydawało się mroczne i minęła chwila, nim wzrok Logena przywykł do ciemności. O ściany opierały się drewniane tablice, pokryte dziecinnymi malowidłami, które przedstawiały budynki, lasy, góry. Obok stały wieszaki z dziwnymi strojami – były to powłóczyste szaty, jaskrawe suknie, zbroje, wielkie kapelusze i hełmy, pierścienie i biżuteria, nawet ciężka korona. W innym, mniejszym stojaku znajdowała się broń, bogato zdobione miecze i włócznie. Logen podszedł bliżej, przyglądając się z uwagą. Zauważył, że to imitacje. Nic nie było prawdziwe. Broń wykonano z drewna i pomalowano, koronę zaś z obłazającej cyny, kosztowności okazały się kolorowym szkłem.

– Co to za miejsce?

Bayaz oglądał szaty pod ścianą.

– Warsztat kostiumów teatralnych.

– Że co?

– Ludzie w tym mieście kochają przedstawienia. Komедie, dramaty, teatr wszelkiego rodzaju. Ten sklep dostarcza rekwizyty do większości sztuk.

– To znaczy opowieści? – Logen dźgnął palcem drewniany miecz. – Niektórzy ludzie mają za dużo czasu.

Z drzwi w głębi sklepu wyłonił się niewysoki, krępy człowiek, przyglądając się podejrzliwie Bayazowi, Logenowi i Malacusowi.

– Mogę w czymś pomóc, panowie?

– Oczywiście. – Bayaz zbliżył się do niego, przechodząc bez trudu na język właściciela sklepu. – Dajemy przedstawienie i potrzebujemy pewnych kostiumów. Rozumiemy, że jest pan głównym twórcą rekwizytów teatralnych w Adule.

Mężczyzna uśmiechnął się nerwowo, dostrzegając ich brudne twarze i poplamione stroje podrózne.

– Prawda, prawda, ale...e... jakoś wymaga kosztów, panowie.

– Pieniądze nie stanowią przeszkody – odparł Bayaz i wyciągnął z zanadrza pękata sakiewkę, po czym rzucił ją niedbałym ruchem na kontuar. Woreczek się otworzył, a ze środka wysypała się garść złotych monet.

Oczy mężczyzny błysnęły.

– Oczywiście! O co konkretnie panom chodzi?

– Potrzebuję wspaniałej szaty, odpowiedniej dla maga czy też wielkiego czarnoksiężnika, albo kogoś w tym rodzaju. Coś, co będzie miało w sobie akcent tajemniczości. Następnie będziemy potrzebować czegoś podobnego, choć nieco mniej sztywnego, dla ucznia owego maga. Wreszcie coś odpowiedniego dla potężnego wojownika, księcia z dalekiej Północy. Coś z futrem, jak sobie wyobrażam.

– Nie powinno to być trudne. Zobaczę, co da się znaleźć – oznajmił właściciel sklepu i zniknął w drzwiach za kontuarem.

– Po co te wszystkie bzdury? – spytał Logen. Czarnoksiężnik uśmiechnął się szeroko.

– Tutejsi ludzie rodzą się przypisani do określonego rodzaju. Jest gmin, który walczy, uprawia ziemię i pracuje. Jest szlachta, która handluje, buduje i myśli. Jest arystokracja, która posiada ziemię i rządzi innymi. Jest wreszcie ród królewski... – Bayaz zerknął na koronę. – ...Zapomniałem, czym się zajmuje. Na Północy możesz zająć tak wysoko, jak pozwalają na to twoje zasługi. Przypomnij sobie naszego przyjaciela Bethoda. Tu jest inaczej. Każdy człowiek rodzi się w swoim miejscu i powinien tam pozostać. Jeśli mają nas potraktować poważnie, to musimy wyglądać na ludzi bardzo wysoko postawionych. Tak ubrani jak teraz, nigdy byśmy nie przekroczyli bram Agriontu.

Przerwało mu pojawienie się właściciela sklepu, który stanął w drzwiach z naręczem jasnego sukna.

– Jedna szata mistyczna, odpowiednia dla najpotężniejszego z czarnoksiężników! Wykorzystana zeszłego roku w przedstawieniu „Koniec imperium” podczas festiwalu wiosennego. Jest to, jeśli wolno mi tak powiedzieć, jedno z najlepszych dzieł mego rzemiosła.

Bayaz podniósł lśniący pas szkarłatnego materiału do słabego światła, spoglądając nań z podziwem. Pośród złotej nici można było dostrzec tajemnicze diagramy, symbole słońca, księżycy i gwiazd.

Malacus przesunął dłonią po błyszczącym materiale swej absurdalnej szaty.

– Nie wydaje mi się, Logenie, byś zbyt szybko śmiechem, gdybym pojawił się przy twoim ognisku tak ubrany.

Logen skrzywił się.

– Nie jestem tego taki pewien.

– A tu mamy wspaniałą egzemplarz barbarzyńskiego stroju. – Właściciel sklepu rzucił na kontuar czarną skórzaną szatę, nabijaną zawijasami błyszczącego mosiądzu i obszytą niezliczonymi kółeczkami kolczugi. Wskazał futrzany kołnierz. – To prawdziwe sobole!

Był to śmieszny strój, całkowicie nieprzydatny jako ciepłe czy ochronne odzienie.

Logen skrzyżował ramiona na piersi zakrytej starym płaszczem.

– Myślisz, że to włożę?

Właściciel sklepu przełknął nerwowo.

– Musisz wybaczyć memu przyjacielowi – pośpieszył z wyjaśnieniem Bayaz. – Jest aktorem, który ulega ostatniej modzie. Wierzy, że powinien zatracić się do końca w swojej roli.

– Naprawdę? – spytał piskliwym głosem mężczyzna, przyglądając się z uwagą Logenowi. – Północni są... jak przypuszczam... na czasie.

– Absolutnie. Zapewniam, że mistrz Dziewięciopalcy jest najlepszy w swoim fachu. – Stary czarnoksiężnik trącił Logena w żebra. – Najlepszy. Widziałem go na scenie.

– Skoro pan tak twierdzi. – Właściciel nie sprawiał wrażenia przekonanego. – Czy mogę spytać, co będziecie, panowie, wystawiać?

– Och, to nowa rzecz. – Bayaz postukał się palcem w łysą głowę. – Wciąż pracuję nad szczegółami.

– Naprawdę?

– Owszem. Choć raczej chodzi o pojedynczą scenę niż całą sztukę. – Znów zerknął na szatę, podziwiając światło odbijające się w tajemniczych symbolach. – O scenę, w której Bayaz, Pierwszy z Magów, obejmuje w końcu należne mu miejsce w Zamkniętej Radzie.

– Och! – Właściciel sklepu przytaknął ze zrozumieniem. – Rzecz polityczna. Złośliwa satyra, być może? Komiczna czy dramatyczna w tonie?

Bayaz zerknął ukradkiem na Logena.

– To się jeszcze okaże.

# Barbarzyńcy u bram

Jezał biegł po alejce obok fosy, uderzając głośno stopami o starty bruk; obok przelatywał bez końca wielki biały mur, wieża za wieżą, gdy jak każdego ranka okrążał Agriont. Ponieważ ograniczył picie trunków, jego wytrzymałość poprawiła się niebywale. Nawet nie brakowało mu tchu. Było wcześniej i ulice miasta świeciły pustkami. Od czasu do czasu jakiś samotny przechodzień rzucił na niego okiem, może nawet wypowiedział głośno słowo zachęty, ale Jezał ledwie to dostrzegał. Wpatrywał się w migoczącą, lekko pomarszczoną wodę fosy, myślami zaś błądził gdzie indziej.

Ardee. Czy mogłoby chodzić o kogoś innego? Początkowo sądził, że po tamtym dniu, gdy West go ostrzegł, po tym, jak przestał się z nią widywać, jego myśli wrócą niebawem do innych spraw i innych kobiet. Poświęcił się bez reszty szermierce i próbował wzbudzić w sobie zainteresowanie obowiązkami oficera, ale stwierdził, że nie może się skupić, inne kobiety zaś wydawały mu się teraz bladymi, płaskimi i nudnymi istotami. Długie biegi, a także nużące ćwiczenia ze sztangą i równoważnią stanowiły dla jego umysłu okazję do refleksji. Monotonia żołnierskiego życia była jeszcze gorsza: czytanie śmiertelnie nudnych dokumentów, trzymanie warty przy tym, co warty nie wymagało. Nie potrafił się w żaden sposób skupić, a wtedy w jego myślach pojawiała się ona.

Ardee w prostym chłopskim stroju, zarumieniona i spocona od ciężkiej pracy w polu. Ardee w toalecie księżniczki, migocząca klejnotami. Ardee kąpiąca się w leśnym stawie, podczas gdy on przygląda się jej ukradkiem z zarośli. Ardee, odpowiednio skromna, zerkająca na niego wstydliwie spod rzęs. Ardee, ładaczka z nabrzeża, przywołująca go z drzwi jakiegoś obskurnego domu. Fantazje były nieskończone w swej różnorodności, ale zawsze kończyły się tak samo.

Jego godzinny bieg wokół Agriontu osiągnął kres; Jezał pokonał z głośnym tupotem most i skierował się z powrotem ku południowej bramie, gdzie jak zwykle potraktował wartowników z obojętnością. Potem pokłusował tunelem i długą rampą prowadzącą do fortecy, następnie skręcił na dziedziniec, gdzie miał na niego czekać marszałek Varuz. Przez cały ten czas Ardee tkwiła w jego myślach niczym dokuczliwy kolec.

Trudno było powiedzieć, by nie miał na głowie niczego innego. Turniej zbliżał się coraz szybciej. Jezał zdawał sobie sprawę, że będzie niebawem walczył na oczach wiwatującego tłumu, w obecności rodziny i przyjaciół. Wiedział, że zyska sławę... albo się pograży. Powinien cierpieć w nocy na bezsenność, spięty i spocony, martwiąc się bez końca o pchnięcia, trening i ostrza. A jednak, w jakiś sposób, nie o tym myślał w łóżku.

No i była jeszcze sprawa wojny. Łatwo się zapominało, tutaj, na słonecznych ulicach Agriontu, że Angland najechały hordy chciwych barbarzyńców. Wiedział, że niedługo ruszy na północ, by poprowadzić swoją kompanię do boju. Nie ulegało wątpliwości, że była to rzecz, która powinna człowiekowi zajmować myśli. Czy wojna nie była śmiertelnie groźną sprawą? Mógł zostać ranny, okaleczony, mógł nawet zginąć. Jezał próbował przywołać w wyobraźni wykrzywioną, drgającą, pomalowaną twarz Fenrisa Groźnego. Legiony wrzeszczących dzikusów, którzy spadają na Agriont. Tak, była to straszna sprawa, niebezpieczna i przerażająca.

Hm.

Ardee pochodziła z Anglandu. Co by się stało, gdyby wpadła w ręce Północnych? On, Jezał, pospieszyłby jej na ratunek, oczywiście. Nie odniosłaby żadnych ran. No, nie tych poważnych. Może miałyby trochę podarte ubranie? Bez wątpienia byłaby wystraszona i wdzięczna. Czułby się w

obowiązku pocieszyć ją, naturalnie. Może by nawet zemdląca, a on musiałby ją nieść, ona zaś wsparłaby mu głowę na ramieniu? Niewykluczone, że położyłby ją na ziemi i rozpiął jej suknię. Może ich wargi by się dotknęły, musnęły zaledwie, rozchyliłaby odrobinę usta, a wtedy...

Jezal potknął się. Poczuł w kroku przyjemne mrowienie. Było przyjemne, owszem, ale trochę przeszkadzało w biegu. Dotarł już niemal na dziedziniec, a nastrój, w jakim się znajdował, nie sprzyjał szermierce. Rozejrzył się zdesperowany, szukając wzrokiem czegoś, co pozwoliłoby mu się uwolnić od tych męczących rozważań, i niemal udławił się własnym językiem. Pod ścianą stał major West w stroju ćwiczebnym, patrząc na niego z niezwykle ponurym wyrazem twarzy. Przez chwilę Jezal się zastanawiał, czy przyjaciel potrafi odczytać jego myśli. Przełknął, pełen poczucia winy, i poczuł, jak krew napływa mu do twarzy. West nie mógł wiedzieć, po prostu nie mógł. Był jednak z jakiegoś powodu wyjątkowo niezadowolony.

– Luthar – warknął.

– West.

Jezal spuścił wzrok i spojrzał na swoje buty. Od czasu, gdy major wstąpił do sztabu lorda marszałka Burra, ich wzajemne stosunki uległy ochłodzeniu. Jezal próbował wzbudzić w sobie zadowolenie z powodu awansu przyjaciela, ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że sam bardziej się kwalifikował na to stanowisko. W końcu miał w sobie doskonałą krew, bez względu na doświadczenie w polu. No i wciąż, niczym duch, stała między nimi Ardee, jak nieprzyjemne i niepotrzebne ostrzeżenie. Wszyscy wiedzieli, że West pierwszy ruszył do ataku w wyłomie pod Ulrioch. Wszyscy wiedzieli, że miał diabelski temperament. Jezal zawsze uważał to za ekscytujące, dopóki nie doświadczył tego na własnej skórze.

– Varuz czeka. – West opuścił skrzyżowane ramiona i ruszył w stronę łukowatego przejścia. – I nie jest sam.

– Nie jest sam?

– Marszałek uważa, że powinieneś przywyknąć do widowni.

Jezal zmarszczył czoło.

– Dziwię się, że ktokolwiek w obecnej sytuacji chce sobie tym zawracać głowę... wojna i w ogóle.

– A jednak. Pojedyńki, szermierka i wszystko, co się wiąże z walką, to przebój sezonu. Wszyscy w dzisiejszych czasach noszą miecze, nawet jeśli nigdy w życiu ich nie dobyli. Turniej wzbudza prawdziwą gorączkę, wierz mi.

Jezal zamrugał, gdy wkroczyli na jasno oświetlony dziedziniec. Rozległ się uprzejmy aplauz. Jezal poczuł, jak bezwiednie szczyrzy zęby w uśmiechu – dostrzegł w tłumie niezwykle ważne osobistości. Był tam Marovia, najwyższy sędzia, który gładził się po długiej brodzie. Obok niego siedział lord Isher, nieco znudzony na pierwszy rzut oka. W pierwszym rzędzie rozpięła się sam następca tronu Ladisła, połyskując w cienkiej jak pajęczyna kolczudze i klaszcząc entuzjastycznie w dłonie. Ludzie, którzy siedzieli za nim, musieli odchyłać się na bok, by widzieć cokolwiek zza rozkołysanego pióra na jego wspinałym kapeluszu.

Varuz, rozpromieniony, wręczył Jezalowi broń.

– Nie waż się zrobić ze mnie durnia! – syknął.

Jezal zakaszłał nerwowo, przesuwał wzrokiem po pełnych wyczekiwania widzach. Nagle poczuł, jak zamiera w nim serce. Z tłumy szczyrzył się do niego bezzębny uśmiech inkwizytora Głokty, a rząd wyżej siedziała... Ardee West. Miała na twarzy wyraz, jakiego nigdy w swych marzeniach u niej nie widział: po trosze nadąsany, po trosze oskarżycielski, a po trosze znudzony. Odwrócił wzrok, spoglądając na przeciwległą ścianę i przeklinając się w duchu za swoje



tchórzostwo. Wydawało się, że nie potrafi w tych dniach patrzeć komukolwiek w oczy.

– Walka odbędzie się z użyciem broni półostrej! – zagrział marszałek Varuz. – Do trzech trafień!

West wyjął już swoje miecze i teraz podchodził do koła nakreślonego kredą na starannie przystrzyżonej trawie. Serce waliło Jezalowi jak młotem, kiedy wyciągał swoje ostrza z futerałów, świadomy tych wszystkich spojrzeń. Zajął miejsce naprzeciwko Westa, stawiając z uwagą stopy na murawie. West uniósł broń, Jezal zrobił to samo. Przez chwilę stali bez ruchu twarzą w twarz.

– Zaczynajcie! – zawołał Varuz.

Szybko stało się jasne, że West nie ma zamiaru się poddać. Ruszył do ataku z większą niż zwykle zaciekłością, zasypując Jezala gradem ciężkich pchnięć; ich ostrza ścierały się i tarły o siebie błyskawicznie. Jezal cofnął się, wciąż czując się nieswojo pod ciężarem czujnych spojrzeń tych wszystkich ludzi, ale gdy West zepchnął go ku krawędzi koła, zaczął z wolna odzyskiwać spokój, odwołując się do zdobytego doświadczenia. Zrobił unik, zyskując więcej miejsca i parując pchnięcia lewą i prawą; uskakiwał i tańczył, zbyt szybki, by ostrze przeciwnika mogło go dosięgnąć.

Widzowie gdzieś się rozplęnęli, nawet Ardee zniknęła. Ostrza poruszały się, jakby obdarzone własnym życiem, do przodu i do tyłu, w górę i w dół. Jezal nie musiał śledzić ich wzrokiem. Całą uwagę skupił na oczach Westa, które rzucały spojrzenia to na ziemię, to na broń, to na jego tańczące stopy.

Wyczuł zamiar ataku, jeszcze nim się zaczął. Zamarkował unik i rzucił się w stronę przeciwną, wślizgując się za plecy Westa, gdy ten przemknął obok niego. Pozostała mu tylko formalność: uniósł stopę i wpakował ją w siedzenie spodni przeciwnika, po czym wypchnął go poza koło.

– Trafiony! – wrzasnął marszałek Varuz.

Rozległa się salwa śmiechu, gdy major runął na twarz.

– Trafiony w sam tyłek! – zarechotał następca tronu, przytakując z rozbawieniem. Jego pióro poruszyło się gwałtownie. – Punkt dla kapitana Luthara!

West, leżąc na ziemi, nie wydawał się już taki groźny. Jezal skłonił się nieznacznie widzom, zaryzykował nawet uśmiech w stronę Ardee. Zauważył rozczarowany, że nawet na niego nie patrzy. Przyglądała się z ledwie dostrzegalnym, okrutnym grymasem, jak jej brat podnosi się z trawy.

West dźwignął się z wolna na nogi.

– Dobrze trafienie – mruknął przez zaciśnięte zęby, wkracając w obręb koła.

Jezal zajął swoje miejsce, z trudem panując nad uśmiechem.

– Zaczynajcie! – wrzasnął Varuz.

West znów ruszył jak taran do ataku, ale Jezal zdążył się już rozgrzać i oswoić z walką. Jego tańcowi towarzyszyła głośnie reakcja widowni. Zaczął nadawać swoim ruchom zadziwiająco płynność i gdy parował błyskawicznie pchnięcia Westa, w powietrzu rozbrzmiewały okrzyki podziwu, donośne „och!” i „ach!”. Nigdy jeszcze nie walczył tak dobrze, nie poruszał się tak zwinnie. Lepiej zbudowany mężczyzna zaczął się po powoli męczyć, jego pchnięcia traciły siłę. Jezal wykręcił prawy nadgarstek i wyrwał Westowi broń z dłoni, postąpił krok do przodu i ciał go lewą.

– Gaa! – West skrzywił się i upuścił krótsze ostrze, podskakując i chwytając się za przedramię. Na ziemię spadło kilka kropel krwi.

– Drugie trafienie! – krzyknął Varuz.

Następca tronu zerwał się z miejsca, uradowany widokiem krwi. Kapelusz zsunął mu się z głowy.

– Doskonale! – pisnął. – Kapitalnie!

Inni też wstali, bijąc brawo. Jezal pławił się w ich uwielbieniu, szeroko uśmiechnięty, każdy

mięsień jego ciała mrowił go ze szczęścia. Teraz pojął, dlaczego ćwiczył z takim wysiłkiem.

– Dobra walka, Jezal – mruknął West; po jego ramieniu płynęła strużka krwi. – Za szybki jesteś dla mnie.

– Przepraszam za to cięcie – rzucił Jezal z szerokim uśmiechem. Nie było mu ani trochę przykro.

– To nic takiego. Tylko mnie drasnąłeś – odparł West i oddalił się skrzywiony, trzymając się za nadgarstek.

Nikt nie zwracał na niego uwagi, a już najmniej Jezal. W takich sytuacjach liczył się tylko zwycięzca.

Lord Marovia jako pierwszy wstał z miejsca, by złożyć gratulacje.

– Cóż za obiecujący młody człowiek – oznajmił, uśmiechając się ciepło do Jezala. – Ale czy sądzicie, że potrafi pokonać Bremera dan Gorsta?

Varuz klepnął Jezala po ojcowsku w ramię.

– Jestem pewien, że da sobie radę z każdym, byle trafił na swój dzień.

– Hm. Widział pan, jak fechtuje Gorst?

– Nie, choć słyszałem, że jego styl robi wielkie wrażenie.

– O tak, to istny diabeł. – Sędzia uniósł krzaczaste brwi. – Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę ten pojedynek. Czy zastanawiał się pan kiedykolwiek nad karierą prawniczą, kapitanie Luthar?

Jezal był wyraźnie zaskoczony.

– E, nie, panie sędzio, to znaczy... jestem żołnierzem.

– Oczywiście, że tak. Ale bitwy i temu podobne potrafią nadszarpnąć nerwy. Gdyby kiedykolwiek zmienił pan zdanie, to może mógłbym coś dla pana znaleźć. Zawsze potrafię odpowiednio wykorzystać obiecujących młodych ludzi.

– Dziękuję.

– A zatem do zobaczenia na turnieju. Powodzenia, kapitanie – rzucił przez ramię, odchodząc powolnym krokiem i dając do zrozumienia, że Jezal będzie tego powodzenia potrzebował.

Następca tronu Ladisła wykazywał więcej optymizmu.

– Stawiam na ciebie, Luthar! – zawołał, dźgając powietrze palcami, jakby były bronią ćwiczebną. – Zamierzam podwoić stawkę!

Jezal skłonił się służalczo.

– Wasza Wysokość jest zbyt łaskawy.

– Stawiam na ciebie! Jesteś żołnierzem! Szermierz powinien walczyć za swoją ojczyznę, co, Varuz? Dlaczego ten Gorst nie jest żołnierzem?

– Jest nim, jak mi się wydaje – wyjaśnił grzecznie lord marszałek. – To krewny lorda Brocka, służy w jego gwardii przybocznej.

– Och. – Książę wydawał się przez chwilę zmieszany, ale wkrótce się ożywił. – Ale stawiam na ciebie – krzyknął do Jezala, znów dźgając palcem powietrze. Jego kapelusz chwiało się na boki. – Jesteś moim człowiekiem!

Ruszył tanecznym krokiem ku wyjściu, połyskując ozdobną kolczugą.

– Niezwykłe poruszające – odezwał się jakiś głos.

Jezal obrócił się na pięcie i cofnął niepewnie o krok. Był to Glokta, który łypał na niego okiem, wyrósłszy niczym spod ziemi. Jak na kalekę, był obdarzony niezwykłym talentem podkradania się do ludzi.

– Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności dla wszystkich, że jednak pan nie zrezygnował.

– Nigdy nie miałem tego zamiaru – warknął lodowato Jezal.

Glokta świsnął przez bezzębne dziąsła.

– Skoro pan tak twierdzi, kapitanie...

– Tak twierdzą – odparł Jezal i odwrócił się szorstko, mając nadzieję, że nigdy więcej nie będzie miał okazji rozmawiać z tym nienawistnym człowiekiem. Stwierdził nagle, że patrzy w twarz Ardee, i to z bardzo bliska. Zająknął się i cofnął machinalnie.

– Jezal – powiedziała. – Nie widziałam cię już od jakiegoś czasu.

– E... – rozejrzał się nerwowo wokół. Glokta oddalał się swoim kulejącym krokiem. Westa już dawno nie było. Varuz prowadził na dziedzińcu ożywioną rozmowę z lordem Isherem i kilkoma innymi ludźmi. Jezal dostrzegł, że nikt nie zwraca uwagi ani na niego, ani na Ardee. Musiał z nią pomówić. Powinien powiedzieć jej od razu, że nie może jej nigdy więcej widzieć. Przynajmniej tyle był jej winien. – E...

– Nie masz mi nic do powiedzenia?

– E... – Odwrócił się szybko i odszedł, czując na barkach dreszcz wstydu.

\* \* \*

Nudny kierat warty przy południowej bramie wydawał się po tej niespodziewanej chwili ekscytacji niemal błogosławieństwem. Jezal nie mógł się doczekać, kiedy będzie tam stał, nie mając nic do roboty, i obserwował przy akompaniamencie bezsensownego bredzenia porucznika Kaspy strumień ludzi odwiedzających i opuszczających Agriont. Tak przynajmniej sądził, nim tam dotarł.

Kaspa wraz z oddziałem żołnierzy w zbrojach znajdował się przy bramach zewnętrznych, gdzie stary most nad fosą biegł między dwiema masywnymi białymi wieżami wartowni. Kiedy Jezal dotarł do końca długiego tunelu, zobaczył, że ktoś im towarzyszy. Mały człowieczek w okularach, sprawiający wrażenie udręczonego. Jezal pamiętał go jak przez mgłę. Nazywał się Morrow, jakiś zaufany marszałka dworu. Nie miał powodu tu być.

– Kapitan Luthar, cóż za szczęśliwy traf!

Jezal drgnął. To był ten szaleniec, Sulfur; siedział ze skrzyżowanymi nogami na ziemi, oparty plecami o ścianę wartowni.

– Co on tu do robi, do diabła!? – warknął Jezal.

Kaspa otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Sulfur go uprzedził.

– Proszę nie zwracać na mnie uwagi, kapitanie. Czekam po prostu na swego mistrza.

– Swego mistrza? – Wolał nie myśleć, jakiemu głupcowi służy ten idiota.

– W rzeczy samej. Powinien niedługo tu być. – Sulfur spojrział zmrużonymi oczami na słońce. – Jest nieco opieszły, prawdę powiedziawszy.

– Czyżby?

– Tak. – Szaleniec znów się uśmiechnął przyjaźnie. – Ale przyjdzie tu, Jezal, możesz być pewien.

Ta poufałość była już nie do zniesienia. Ledwie znał tego człowieka, a to co o nim wiedział, nie podobało mu się zbytnio. Już otwierał usta, by go zrugać, gdy nagle Sulfur podskoczył, chwytając swój kij oparty o ścianę, i zaczął się otrząpywać z kurzu.

– Oto i oni! – zawołał, spoglądając ponad fosą.

Jezal podążył za spojrzeniem tego durnia. Po moście kroczył zdecydowanym krokiem jakiś wspaniały starzec. Łysą głowę trzymał wysoko w górze i był odziany w fantastyczną szatę;

połyskiwała czerwienią i srebrem, łopocząc w podmuchach wiatru. Tuż za nim szedł młodzieniec o chorowitym wyglądzie, lekko pochylony, jakby z szacunku wobec starszego mężczyzny, niosąc przed sobą na wyciągniętych dłoniach długi kij. Na samym końcu maszerował jakiś wielki dzikus w ciężkim futrzanym odzieniu, o dobrą głowę wyższy od dwóch pozostałych.

– Co za... – Jezal urwał. Zdawało mu się, że zna skądś tego starego człowieka. Może był to jakiś lord z Otwartej Rady? Ambasador obcego państwa? Z pewnością odznaczał się niejakim majestatem. Jezal szukał gorączkowo w pamięci, gdy tamci się zbliżali, ale nie zdołał sobie przypomnieć, kim jest ów człowiek.

Starzec zatrzymał się przed wartownią, po czym obrzucił wielkopańskim spojrzeniem zielonych oczu Jezala, Kaspę, Morrowa i strażników.

– Yoru – powiedział tylko.

Sulfur wystąpił do przodu, kłaniając się nisko.

– Mistrzu Bayazie – wymamrotał cicho z głębokim szacunkiem. Dopiero teraz Jezal przypomniał sobie, skąd zna tego człowieka.

Był on uderzająco podobny do posągu Bayaza przy Drodze Królewskiej, obok którego przechodził tyle razy. Wydawał się może nieco tęższy, ale wyraz oblicza – surowego, mądrego, władczego – był ten sam. Jezal zmarszczył czoło. Żeby starego człowieka nazywać takim imieniem? Nie podobało mu się to zbytnio. Nie podobał mu się także wygląd tego tyczkowatego młodzieńca z kijem. A jeszcze mniej podobał mu się drugi towarzysz starca.

West często mówił Jezalowi, że Północni, których można było spotkać w Adule, zazwyczaj włóczących się w łachmanach po nabrzeżu albo pijanych do nieprzytomności w rynsztokach, nie byli typowymi przedstawicielami tej nacji. Ci, którzy żyli wolni na dalekiej północy – oddani walkom, kłótniom, ucztom i Bóg wie czemu jeszcze – byli zupełnie inni. Naród wysokich, porywczych, przystojnych ludzi, którzy mieli w sobie coś romantycznego, jak Jezal sobie wyobrażał. Byli silni, a mimo to odznaczeni wdziękiem. Dzicy, a mimo to szlachetni. Barbarzyńscy, a mimo to przebiegli. Ludzie, których oczy zawsze spoglądają gdzieś w dal, poza horyzont.

Ten ich nie przypominał.

Jezal nigdy jeszcze nie widział człowieka o tak zwierzęcym wyglądzie. Nawet Fenris Groźny wydawał się w porównaniu z nim cywilizowany. Twarz człowieka z Północy przypominała wychłostane plecy, poznaczone nierównymi, poszarpanymi bliznami. Nos miał przekrzywiony i spłaszczony. Jedno ucho nosiło ślady strasznego cięcia, a jedno oko znajdowało się wyżej od drugiego, niżej zaś widniała rana w kształcie półksiężyca. Cała jego twarz wydawała się pogruhotana, połamana, przekrzywiona, jak u pięściarza, który stoczył zbyt wiele walk. Wyraz tego oblicza też przywołał na myśl kogoś takiego. Ten osobnik gapił się na wartownię ze zmarszczonym czołem i otwartymi ustami i rozglądał wkoło z niemal zwierzęcą bezmyślnością.

Miał na sobie długie futro i skórzaną bluzę nabijaną złotem, ale to uosobienie barbarzyńskiego splendoru tylko nadawało mu więcej dzikości, nie wspominając już o długim i ciężkim mieczu, który nosił u pasa. Ten syn Północy drapał się po wielkiej różowej bliźnie, która przecinała zarośniętą brodę, i patrzył w górę, ku wysokim murom, Jezal zauważył też, że brakuje mu palca u dłoni. Jakby był potrzebny jeszcze jeden dowód życia poświęcanego przemocy i barbarzyństwu.

Wpuścić tego prymitywnego olbrzyma do Agriontu? Kiedy znajdowali się w stanie wojny z Północą? Nie do pomyślenia! Ale Morrow już odsuwał się na bok.

– Marszałek dworu oczekuje was, panowie – oznajmił pospiesznie, kłaniając się, i podszedł szybkim krokiem do starego człowieka. – Jeśli zechcecie udać się za mną...

– Jedną chwilę. – Jezal chwycił podsekretarza za łokieć i odciągnął go na bok. – On też? –

spytał z niedowierzaniem, wskazując głową prymitywnego osobnika w futrzanym płaszczu. – Wie pan, że znajdujemy się w stanie wojny!

– Lord Hoff wydał mi określone polecenia! – Morrow wyswobodził się z uścisku Jezala, błyskając szklami okularów. – Proszę go zatrzymać, jeśli pan chce, ale będzie musiał się pan tłumaczyć marszałkowi dworu!

Jezal przełknął nerwowo. Myśl o spotkaniu z Hoffem nie była specjalnie miła. Zerknął na starego człowieka, ale nie mógł długo znieść jego wzroku. Otaczała go tajemnicza aura, jakby wiedział coś, czego nikt inny się nie domyślał, i było to wysoce niepokojące.

– Musicie zostawić swoją broń w tym miejscu! – zawołał, wypowiadając słowa powoli i wyraźnie.

– Z przyjemnością – oznajmił człowiek z Północy.

Dobył miecza i oddał go. Jezal poczuł jego ciężar w dłoni; była to wielka, prosta, groźnie wyglądająca broń. Tamten wyciągnął następnie długi nóż, potem ukląkł i wyjął z buta jeszcze jeden. Trzeci wygrzebał zza pleców, wreszcie wysunął wąskie ostrze z rękawa, składając wszystko w wyciągnięte ręce Jezala. Uśmiechnął się szeroko. Był to doprawdy okropny widok – poszarpane blizny, które skręcały się i wybrzuszały, co sprawiało, że twarz tego osobnika wydała się jeszcze bardziej krzywa niż kiedykolwiek.

– Nigdy za wiele noży – warknął głębokim, świszczącym głosem.

Nikt się nie roześmiał, ale on zdawał się nie zwracać na to uwagi.

– Idziemy? – spytał stary człowiek.

– Bezzwłocznie – przytaknął Morrow, odwracając się, by ruszyć przed siebie.

– Pójdę z wami – oznajmił Jezal i przekazał naręczce broni porucznikowi Kaspie.

– To naprawdę nie jest konieczne – skrzywił się sekretarz.

– Nalegam.

Znalazłszy się w obecności marszałka dworu, człowiek z Północy mógł sobie mordować, kogo tylko chciał: byłby to czyjś problem, ale nie Jezala. Ale dopóki ten dzikus tam nie dotarł, za wszelki podstęp z jego strony odpowiadał właśnie Jezal, a nie miał najmniejszego zamiaru do tego dopuścić.

Wartownicy odsunęli się na bok i dziwna procesja ruszyła przed siebie. Morrow szedł pierwszy, szepcząc przez ramię jakieś służalcze brednie staremu człowiekowi we wspaniałej szacie. Pozbawiony palca człowiek z Północy kroczył na końcu.

Jezal szedł z kciukiem zatkniętym za pas, trzymając dłoń blisko rękojeści swego miecza, by móc szybko go dobyć, obserwując przy tym bacznie, czy barbarzyńca nie wykonuje jakichś nagłych ruchów. Jednak po kilku krokach musiał przyznać, że człowiek ten absolutnie nie zdradza zbrodniczych zamiarów. Sprawiał przede wszystkim wrażenie zaciekawionego, zamyślonego i nieco zakłopotanego. Wciąż zwalniał kroku, oglądając budynki wokół siebie, potrząsając głową, skrobiąc się po twarzy i mruczając pod nosem. Od czasu do czasu budził u mijanych ludzi lęk swoim uśmiechem, zdawał się jednak nie zagrażać nikomu w najmniejszym nawet stopniu i Jezal zaczął się odprężyć, przynajmniej do chwili, gdy znaleźli się na placu Marszałków.

Człowiek z Północy przystanął gwałtownie. Jezal zaczął szukać dłonią rękojeści miecza, ale oczy tego prymitywnego osobnika spoglądały uporczywie przed siebie, na pobliską fontannę. Ruszył powoli w jej kierunku, po czym podniósł z ciekawością gruby palec i wsunął go w tryskającą strugę. Kiedy woda ochlapała mu twarz, cofnął się gwałtownie, niemal przewracając Jezala.

– Źródło? – wyszeptał. – Jakim cudem?

Litości. Ten człowiek był jak dziecko – wielkie dziecko o twarzy przypominającej pieniek rzeźniczy.

– Tu są rury! – wyjaśnił Jezal, uderzając stopą w bruk. – Pod ziemią!

– Rury – powtórzył barbarzyńca jak echo cichym głosem, spoglądając na spienioną wodę.

Pozostali wyprzedzili ich trochę, zbliżywszy się do wielkiego budynku, gdzie mieściły się biura i gabinety Hoffa. Jezal zaczął oddalać się z wolna od fontanny, mając nadzieję, że odciągnie od niej tego bezmyślnego dzikusa. Zobaczył ku swej uldze, że tamten idzie w jego ślady, potrząsając głową i mruczając pod nosem „rury” raz za razem.

Wkroczyli w chłodny mrok przedpokoju marszałka dworu. Na ławach ustawionych pod ścianami siedzieli jacyś ludzie, niektórzy wyglądali na takich, którzy czekają już bardzo długo. Wszyscy podnieśli wzrok, gdy Morrow wprowadzał dziwny orszak prosto do gabinetu Hoffa. Podsekretarz w okularach otworzył ciężkie podwójne drzwi i stanął z boku; pierwszy wszedł do środka łysy stary człowiek, potem jego młody towarzysz z kijem, następnie ten szaleniec Sulfur, a na końcu dzikus o dziewięciu palcach.

Jezal zamierzał zrobić to samo, ale Morrow stanął na progu i zagroził mu przejście.

– Dziękuję za pomoc, kapitanie – powiedział z nieznacznym uśmiechem. – Może pan wracać do wartowni.

Jezal zajrzał mu przez ramię do pokoju. Zobaczył marszałka dworu, który siedział za wielkim stołem, marszcząc z powagą czoło. Obok niego dojrzał arcylektora Sulta, posępnego i podejrzliwego. Był tam także wysoki sędzia Marovia, na którego pomarszczonej twarzy błąkał się uśmiech. Trzej członkowie Zamkniętej Rady.

Potem Morrow zamknął mu drzwi przed samym nosem.

# Następne zadanie

Widzę, że ma pan nowego sekretarza – oznajmił Glokta jakby od niechcienia. Arcylektor uśmiechnął się.

– Oczywiście. Ten poprzedni nie cieszył się moją sympatią. Miał długi język, pojmujez.

Glokta zastygł z dłonią trzymającą kielich w powietrzu.

– Przekazywał nasze sekrety kupcom bławatnym – ciągnął niedbale Sult, jakby chodziło o coś zwykłego. – Byłem tego świadom od pewnego czasu. Nie musisz się jednak martwić, nigdy nie dowiedział się niczego, czego nie chciałem, by się dowiedział.

„A zatem... wiedziałeś, kto jest naszym zdrajcą. Wiedziałeś cały czas”.

Glokta wrócił myślami do wydarzeń ostatnich kilku tygodni, rozkładał je i składał na powrót w nowym świetle, przymierzając jedno do drugiego, aż zaczęły pasować do siebie; starał się za wszelką cenę ukryć zaskoczenie.

„Celowo zostawiłeś wyznanie Rewsa w widocznym miejscu, tak aby mógł je znaleźć twój sekretarz. Zdawałeś sobie sprawę, że kupcy dowiedzą się, kto jest na liście, i domyśliłeś się, co zrobią, świadomy, że wszystko potoczy się zgodnie z twoimi zasadami gry i że sami dadzą ci do ręki szpadel, którym ich pogrzebiesz. Tymczasem nakierowałeś moje podejrzenia na Kalyne'a, znając doskonale źródło przecieku. Cała sprawa potoczyła się według twojego planu”.

Arcylektor patrzył na niego ze znaczącym uśmiechem.

„I założę się, że wiesz, o czym teraz myślę. Byłem niemal takim samym pionkiem w twojej grze jak ten płacziwy robak, twój sekretarz”.

Glokta stłumił chichot.

„Jakże dla mnie pomyślne, że byłem pionkiem po właściwej stronie. Ani przez chwilę niczego nie podejrzewałem”.

– Zdradził nas za zaskakująco niewielką kwotę – ciągnął Sult, krzywiąc z niesmakiem wargi. – Śmiem twierdzić, że Kault dałby mu dziesięć razy tyle, gdyby tylko tamten miał dość rozumu, by o to poprosić. Młodsze pokolenie doprawdy jest pozbawione ambicji. Uważa się za znacznie mądrzejsze, niż jest w rzeczywistości.

Zamilkł i przyglądał się Glokcie zimnymi niebieskimi oczami.

„Też należę do młodszego pokolenia, mniej więcej. Jestem szczerze zawstydzony”.

– Pański sekretarz został odpowiednio ukarany? – spytał.

Arcylektor odstawił ostrożnie kielich na blat stołu, szklana podstawa ledwie wydała dźwięk.

– O tak. Jak najsurowiej. Nie ma sensu zaprzętać sobie nim głowy.

„Mogę się założyć. Ciało unoszące się na wodzie niedaleko doków...”.

– Muszę przyznać – ciągnął arcylektor – że byłem wielce zdziwiony, gdy skupiłeś uwagę na superiorze Kalyne jako prawdopodobnym źródle przecieku. Ten człowiek pochodził ze starej gwardii. Miał kilka słabości, oczywiście, ale zdradzać Inkwizycję? Sprzedawać nasze tajemnice kupcom? – Sult parsknął. – Nigdy. Pozwoliłeś, by twoja osobista niechęć do tego człowieka przysłoniła ci trzeźwy osąd sytuacji.

– Wydawało się to jedyną możliwością – mruknął Glokta, ale natychmiast tego pożałował.

„Głupie, głupie. Błąd został popełniony. Lepiej trzymaj usta na kłódkę”.

– Wydawało się? – Arcylektor cmoknął z niezadowoleniem. – Nie, nie, inkwizytorze.

„Wydawało się” nam nie wystarcza. W przyszłości będą nas interesować tylko fakty, jeśli pozwolisz. Ale nie rób sobie wyrzutów – pozwoliłem ci pójść za głosem instynktu i, jak się okazało, twój drobny błąd sprawił, że nasza pozycja jest jeszcze mocniejsza. Kalyne został usunięty ze stanowiska.

„Ciało unoszące się na wodzie niedaleko doków...”.

– ...a superior Goyle jest już w drodze z Anglandu, by przejąć stanowisko superiora Aduy.

„Goyle? Jedzie tu? Ten bydlak, nowym superiorem Aduy?”. Glokta odruchowo skrzywił wargi.

– Nie jesteście przyjaciółmi, co, Glokta?

– To strażnik więzienny, nie ma doświadczenia śledczego. Nie interesuje go wina czy niewinność. Nie interesuje go prawda. Torturuje dla czystej przyjemności.

– Och, daj spokój, Glokta. Chcesz mi wmówić, że nie odczuwasz dreszczu emocji, kiedy więźniowie ujawniają sekrety? Kiedy wymieniają nazwiska? Kiedy podpisują wyznanie?

– Nie czerpię z tego przyjemności.

„Nie czerpię przyjemności z niczego”.

– A jednak robisz to doskonale. Tak czy inaczej, Goyle przyjeżdża i cokolwiek o nim sądzisz, jest jednym z nas. Kompetentny i godny zaufania człowiek, oddany Koronie i państwu. Wiesz, był niegdyś moim uczniem.

– Naprawdę?

– Tak. Wykonywał twoje obowiązki... więc jest w tym jakaś przyszłość! – Arcylektor zachichotał z własnego żartu, a Glokta uśmiechnął się po swojemu. – Biorąc wszystko pod uwagę, sprawy ułożyły się bardzo pomyślnie, a tobie należą się gratulacje za twój wkład. Dobra robota.

„Przynajmniej na tyle dobra, że wciąż żyję”.

Sult podniósł kielich i razem wypili posępny toast, mierząc się podejrzliwym wzrokiem ponad brzegami naczyń. Glokta odchrząknął.

– Magister Kault wspomniał o czymś ciekawym przed swoim niefortunnym zejściem.

– Proszę mówić.

– Kupcy bławatni mieli partnera w swoim oszustwie. Starszego partnera, być może. Bank.

– Hm. Podnieś kupca, jakbyś podnosił kamień, a pod spodem zawsze znajdziesz jakiś bank. Co w związku z tym?

– Przypuszczam, że ci bankierzy wiedzieli o wszystkim. O przemyśle, defraudacjach, nawet o morderstwach. Myślę, że wręcz zachęcali do nich, może nawet je zlecali, by otrzymać z zyskiem zwrot swoich pożyczek. Mogę zacząć śledztwo, Eminencjo?

– Co to za bank?

– Valint i Balk.

Zdawało się, że arcylektor rozważa to przez chwilę, patrząc na Gloktę twardymi niebieskimi oczami.

„Czy wie już o tych konkretnych bankierach? Czy wie już więcej ode mnie? Co powiedział Kault? Chcesz zdrajców, Glokta? Zajrzyj do Domu Pytań...”.

– Nie – rzucił krótko Sult. – Ci akurat bankierzy mają dobre koneksje. Ludzie są im winni zbyt dużo przysług, a bez Kaulta trudno będzie nam cokolwiek im udowodnić. Wyciągnęliśmy od kupców to, co było nam potrzebne, poza tym mam dla ciebie ważniejsze zadanie.

Glokta podniósł wzrok.

„Kolejne zadanie?”.

– Zamierzałem przesłuchać więźniów, których aresztowaliśmy w siedzibie gildii, Eminencjo, możliwe, że...

– Nie. – Arcylektor zmiotł słowa Glokty ruchem dłoni w rękawiczce. – Ta sprawa mogłaby się



ciągnąć miesiącami. Niech Goyle się tym zajmie. – Zmarszczył czoło. – Chyba że masz obiekcje?

„A więc zaorałem pole, zasiałem ziarno, nawodniłem rośliny, a Goyle zbierze plony? Też mi sprawiedliwość”. Skłonił z pokorą głowę.

– Oczywiście, że nie, Eminencjo.

– To dobrze. Wiesz zapewne o niezwykłych gościach, którzy nas wczoraj odwiedzili.

„Goście?”.

Przez ostatni tydzień Glokta cierpiał na straszliwy ból pleców. Poprzedniego dnia zwlókł się z łóżka tylko po to, by się przekonać, jak fechtuje ten kretyn Luthar, ale poza tym nie opuszczał swojego małego pokoju, dosłownie niezdolny do jakiegokolwiek ruchu.

– Nie zauważyłem – odpowiedział po prostu.

– Bayaz, Pierwszy z Magów.

Glokta znów uśmiechnął się nieznacznie, ale arcylektor zachował powagę.

– Żartuje pan, oczywiście.

– Bardzo chciałbym.

– Szarlatan, Eminencjo?

– A cóż innego? Ale naprawdę niezwykły. Trzeźwy, rozsądny, bystry. Złudzenie jest w najwyższym stopniu doskonałe.

– Rozmawiał pan z nim?

– Rozmawiałem. Jest nadzwyczaj przekonujący. Wie o różnych rzeczach, o których nie powinien wiedzieć. Nie można go po prostu zlekceważyć. Kimkolwiek jest, stanowi doskonałe źródło informacji. – Arcylektor zmarszczył głęboko czoło. – Towarzyszy mu jakiś dzikus-renegat z Północy.

Glokta uniósł brwi.

– Człowiek z Północy? To nie w ich stylu. Zawsze wydawało mi się, że działają w sposób jak najbardziej bezpośredni.

– Odgadłeś moje myśli.

– A zatem szpieg imperatora? Gurkhulu?

– Być może. Uwielbiają dobrze przemyślaną intrygę, ale na ogół chowają się w mroku. Podejrzewam, że odpowiedzi trzeba szukać bliżej domu.

– Arystokracja, Eminencjo? Brock? Isher? Heugen?

– Być może – rozważał Sult. – Być może. Są dostatecznie poirytowani. Jest jeszcze nasz stary przyjaciel, wysoki sędzia. Wydawał się tym wszystkim zbyt usatysfakcjonowany. Jestem pewien, że coś knuje.

„Arystokracja, wysoki sędzia, Północni, Gurkhul – to mógłby być każdy z nich albo żaden – ale dlaczego?”.

– Nie rozumiem, arcylektorze. Jeśli to zwykli szpiegowie, to po co zadawać sobie aż tyle trudu? Z pewnością można się dostać znacznie łatwiej do Agriontu?

– Właśnie o to chodzi. – Sult skrzywił twarz w grymasie, jakiego Glokta jeszcze u niego nie widział. – W Zamkniętej Radzie pozostaje wolne miejsce, zawsze tak było. Bezsensowna tradycja, kwestia etykiety, krzesło zarezerwowane dla jakiejś mitycznej postaci, tak czy inaczej martwej od lat. Nikt nigdy nie przypuszczał, że ktokolwiek zgłosi do niego pretensje.

– Ale on zgłosił?

– Tak! Zażądał go! – Arcylektor wstał i obszedł stół. – Wiem! Niewyobrażalne! Jakiś szpieg, kłamca nie wiadomo skąd, dopuszczony do tajemnic samego serca naszego rządu! Ale ma jakiejś zakurzone papiery, więc musimy go zdemaskować! Uwierzysz?

Glokta nie mógł uwierzyć.

„Nie ma jednak najmniejszego sensu tego mówić”.

– Poprosiłem, by dano nam czas na przeprowadzenie śledztwa – ciągnął Sult. – Ale posiedzenia Zamkniętej Rady nie mogą być odkładane w nieskończoność. Mamy tylko tydzień albo dwa, żeby zdemaskować tego niby maga jako oszusta, którym jest tak naprawdę. Tymczasem wraz ze swymi kompanami rozgościł się w apartamencie w Wieży Łańcuchów, a my nie możemy nic zrobić, by powstrzymać ich przed włączeniem się po Agrioncie i snuciem intryg!

„Coś jednak moglibyśmy zrobić...”.

– Wieża Łańcuchów jest bardzo wysoka. Gdyby ktoś z niej spadł...

– Nie, jeszcze nie. I tak już nadużyliśmy szczęścia, jeśli chodzi o pewne kręgi. Przynajmniej przez jakiś czas musimy stąpać bardzo ostrożnie.

– Istnieje zawsze możliwość wszczęcia śledztwa. Jeśli mamy ich aresztować, mógłbym się dowiedzieć, dla kogo pracują...

– Postępuj ostrożnie, tak jak mówiłem! Chcę, byś zajął się tym magiem i jego towarzyszami. Dowiedział się, kim są, skąd pochodzą, czego chcą. Przede wszystkim zaś dowiedz się, kto za nimi stoi i dlaczego. Musimy zdyskredytować tego rzekomego Bayaza, nim zdąży nam w jakikolwiek sposób zaszkodzić. Potem będziesz mógł zastosować środki, jakie uznasz za stosowne.

Sult odwrócił się i ruszył w stronę okna. Glokta wstał niezgrabnie i boleśnie z krzesła.

– Jak mam zacząć?

– Zaczynij ich śledzić! – wykrzyknął zniecierpliwiony arcylektor. – Obserwuj ich! Sprawdź, z kim rozmawiają i co knują. Jesteś inkwizytorem, Glokta – warknął, nie odwracając się nawet. – Zadaj kilka pytań!

# Lepsze niż śmierć

Szukamy kobiety – oznajmił oficer, przyglądając im się podejrzliwie. – Zbiegłej niewolnicy, zabójczynie. Bardzo niebezpiecznej.

– Kobiety, panie? – spytał Yulwei, marszcząc skonfundowany brwi. – Niebezpiecznej, panie?

– Tak, kobiety! – Oficer zamachał zniecierpliwiony ręką. – Wysoka, z blizną, krótko obcięte włosy. Najprawdopodobniej dobrze uzbrojona, ma łuk.

Ferro stała tuż obok, wysoka i naznaczona blizną, z krótko obciętymi włosami i łukiem na ramieniu, spoglądając w zakurzoną ziemię.

– Jest poszukiwana przez najwyższe władze! To złodziejka i morderczynie, i to wielokrotna!

Yulwei uśmiechnął się pokornie i rozłożył ręce.

– Nie widzieliśmy takiej osoby, panie. Ja i mój syn jesteśmy nieuzbrojeni, jak sam widzisz.

Ferro spojrzała zaniepokojona na zakrzywione ostrze swego miecza, zatkniętego za pas i lśniącego w jasnym słońcu. Oficer jednak zdawał się tego nie dostrzegać. Odpędził jakąś muchę, podczas gdy Yulwei głądził dalej:

– Żaden z nas nie wiedziałby, co zrobić z czymś takim jak łuk. Pokładamy ufność w Bogu, panie, i niezrównanych żołnierzach imperatora.

Oficer parsknął.

– Bardzo mądrze, stary człowieku. Co tu porabiasz?

– Jestem kupcem i zmierzam do Dagoski, by nabyć przyprawy. – Tu skłonił się uniżenie. – Za twoim łaskawym pozwoleniem.

– Handlujesz z tymi fircykami? Przekłęta Unia! – Oficer splunął na ziemię. – No tak, ale z czegoś trzeba żyć, nawet jeśli robi się to w tak haniebny sposób. Handluj, ile się da, różowych już niedługo nie będzie, zmiotą ich z powrotem do oceanu! – Wypiął z dumą pierś. – Imperator, Uthmanul-Dosht, poprzysiągł to! I co ty na to, starcze?

– O, to będzie wielki dzień, wielki dzień – odparł Yulwei, znów kłaniając się nisko.

Niech Bóg szybko go nam ześle, panie!

Oficer przyjrzał się Ferro od stóp do głów.

– Twój syn wygląda na silnego chłopaka. Może byłby z niego dobry żołnierz. – Zrobił krok w jej stronę i chwycił ją za nagle ramię. – Mocna ręka. Mogłaby naciągnąć łuk, gdyby ją tego nauczyć, powiedziałbym. I co ty na to, chłopcze? Męskie zajęcie, walka na chwałę bożą i imperatora! Lepsze to niż żebranina o psie pieniądze!

W miejscu, gdzie jego palce dotykały jej skóry, poczuła mrowienie. Jej druga dłoń powędrowała z wolna ku rękocyfni noża.

– Niestety – wtrącił pospiesznie Yulwei. – Mój syn urodził się... niezbyt mądry. Ledwie mówi.

– Aha. Szkoda. Być może nadjedzie czas, kiedy będziemy potrzebować każdego człowieka. Może to i dzikusy, ale różowi potrafią walczyć. – Oficer odwrócił się, a Ferro popatrzyła na niego skrzywiona. – No dobrze, możecie odejść!

Dał im znak ręką, by ruszali. Oczy żołnierzy odpoczywających w cieniu przydrożnych palm podążały za nimi, gdy się oddalali, ale bez większego zainteresowania.

Ferro trzymała język na wodzy, dopóki obóz nie zmałał w dali, potem zwróciła się do Yulwei.

– Dagoska?

– Na początek – wyjaśnił stary człowiek, spoglądając ku porośniętej krzewami równinie. – A potem na północ.

– Na północ?

– Przez Morze Kręgu do Aduy.

– Przez morze? – Zatrzymała się na drodze. – Nie zamierzam tam iść!

– Musisz wszystko utrudniać, Ferro? Taka jesteś szczęśliwa, tutaj, w Gurkhulu?

– Ci z Północy są szaleni, wszyscy to wiedzą! Różowi, Unia czy ktokolwiek. Szaleni. Bezbożni! Yulwei spojrzał na nią zdziwiony.

– Nie wiedziałem, że tak bardzo się interesujesz Bogiem, Ferro.

– Przynajmniej wiem, że istnieje! – wrzasnęła, wskazując niebo. – Różowi nie myślą tak jak my, jak prawdziwi ludzie. Nie mamy z nimi nic wspólnego! Już wolę zostać między Gurkhulczykami! Mam tu zresztą sprawy do załatwienia.

– Jakie sprawy? Zamierzasz zabić Uthmana?

Zmarszczyła czoło.

– Może tak zrobię.

– Ha. – Yulwei odwrócił się i ruszył przed siebie. – Szukają cię, Ferro, na wypadek gdybyś tego nie zauważyła. Nie zrobiłabyś nawet dziesięciu kroków bez mojej pomocy. Wciąż mają dla ciebie przygotowaną klatkę, pamiętasz? Tę przed pałacem. Bardzo im zależy na tym, by nie stała pusta.

Ferro zacisnęła zęby.

– Imperatorem jest teraz Uthman. Ul-Dosht, jak go nazywają. Potężny! Bezlitosny! Największy imperator od czterystu lat, jak już się mówi. Zabić imperatora! – Yulwei zachichotał pod nosem. – Niezła jesteś. Naprawdę niezła.

Ferro skrzywiła się, podążając za starym człowiekiem w górę zbocza. Nie zamierzała się poddawać. Yulwei mógł sprawić, by ci żołnierze widzieli to, czego sobie życzył, i była to sprytna sztuczka, ale niech ją diabli, jeśli miałyby udać się na północ. Co miała wspólnego z tymi bezbożnymi ludźmi o różowej skórze?

Yulwei wciąż chichotał, kiedy go dogoniła.

– Zabić imperatora. – Pokręcił głową. – Będzie musiał poczekać, aż wrócisz. Jesteś mi co nieco winna, pamiętasz?

Ferro chwyciła go za chude ramię.

– Nie przypominam sobie, żebyś mówił cokolwiek o morzu!

– A ja nie przypominam sobie, byś o to pytała, Maljinn, i powinnaś się cieszyć, że tego nie zrobiłaś. – Odsunął łagodnie jej dłoń. – Twój trup wysychałby pięknie na pustyni i nie gędziłabyś mi do ucha, cała i zdrowa. Pomyśl o tym przez chwilę.

Zamknęło jej to usta na jakiś czas. Szła w milczeniu, rozglądając się ze złością po krzewiastej okolicy i chrzęszcząc sandałami na suchej jak pieprz drodze. Zerknęła z ukosa na starego człowieka. Ocalił jej życie swoimi sztuczkami, nie mogła temu zaprzeczyć.

Ale niech ją diabli, jeśli zamierzała iść na północ.

\* \* \*

Forteca kryła się w skalnym wąwozie, ale z miejsca, w którym się znajdowali, wysoko na

skarpie, mając za plecami bezlitosne słońce, Ferro widziała dokładnie jej zarys. Równe szeregi domów – niemal małe miasto – otaczał wysoki mur. Sąsiadowały z nimi, wzniesione na wodzie, długie pomosty. Stały zacumowane przy nich statki.

Ogromne statki.

Wieże z drewna, pływające twierdze. Ferro nigdy nie widziała statków nawet o połowę mniejszych; ich maszty, rysujące się na tle jasnej wody, przypominały ciemny las.

Dziesięć cumowało niżej, pod ich stopami, a dwa inne przecinały fale w głębi zatoki, wydymając wielkie żagle. Pokłady i pajęczyny lin roiły się od maleńkich postaci.

– Widzę dwanaście – mruknął Yulwei. – Ale ty masz lepsze oczy.

Ferro powiodła wzrokiem po zatoce. Dalej, za półksiężycem wybrzeża, mogła dostrzec jeszcze jedną fortecę i kolejne pomosty.

– Są tam jeszcze inne – powiedziała. – Osiem albo dziewięć, i to większych.

– Są większe od tych tutaj?

– O wiele większe.

– Na tchnienie Boga! – mruknął Yulwei do siebie. – Gurkhulczycy nigdy wcześniej nie budowali tak wielkich statków, nawet w połowie tak dużych, i nie tyle. Nie starczyłoby drewna na całym południu, by stworzyć taką flotę. Musieli kupić je na północy, od Styryjczyków, być może.

Ferro nie obchodziły statki, drewno czy północ.

– Więc?

– Mając taką flotę, Gurkhul będzie potęgą na morzu. Mógłby zdobyć Dagoskę od strony wybrzeża, najechać nawet Westport.

Bezsensowne nazwy jakichś odległych miejsc.

– Więc? – powtórzyła.

– Nie rozumiesz, Ferro. Muszę ostrzec pozostałych. Musimy się pospieszyć! – Podniósł się ciężko z ziemi i ruszył szybko w stronę drogi.

Ferro jęknęła niezadowolona. Obserwowała jeszcze przez chwilę wielkie drewniane kadłuby, sunące tam i z powrotem po wodach zatoki, potem też wstała i podążyła za Yulwei. Wielkie statki czy małe, nic dla niej nie znaczyły. Gurkhulczycy mogli wziąć do niewoli wszystkich różowych, jacy żyli na świecie, jeśli o nią chodziło. Byleby oznaczało to, że prawdziwych ludzi zostawiliby w spokoju.

\* \* \*

– Z drogi! – Żołnierz popędził swego konia prosto na nich, unosząc bat.

– Przepraszamy tysiącrotnie, panie! – zaskamlał Yulwei, przywierając do ziemi, a potem czmychając w trawę na poboczu drogi, pociągnawszy Ferro za łokieć.

Stała w niskich zaroślach, przyglądając się kolumnie, która wlokła się z wolna. Chude postaci, obdarte, brudne, bezmyślne, ze skrępowanymi dłońmi i pustymi oczami wbitymi w ziemię. Mężczyźni i kobiety, nawet dzieci. Setka, może więcej. Wzdłuż kolumny jechało na koniach sześciu strażników, siedząc niedbale na wysokich siodłach. W dłoniach trzymali zwinięte pejceze.

– Niewolnicy. – Ferro oblizwała suche wargi.

– Ludzie Kadiru powstali – oznajmił Yulwei, spoglądając z troską na żałosny pochód. – Nie chcieli być już dłużej częścią wspaniałego narodu Gurkhulu i pomyśleli, że śmierć imperatora to

szansa, by odejść. Wygląda na to, że się mylili. Nowy imperator jest jeszcze bardziej bezwzględny od poprzedniego, co, Ferro? Ich rebelia już upadła. Wydaje się, że twój przyjaciel Uthman wymierzył im karę, biorąc niewolników.

Ferro popatrzyła na chudą dziewczynkę, która szła powolnym kulejącym krokiem, szurając po ziemi bosymi stopami. Trzydzieści lat? Trudno było określić jej wiek. Twarz miała brudną i apatyczną. Jej czoło przecinała zaskorupiała pręga, plecy też nosiły długie ślady. Bat. Ferro przełknęła, spoglądając na wlokącą się dziewczynkę. Jakiś starzec, tuż przed nią, potknął się i runął na twarz, zmuszając całą kolumnę do gwałtownego postoju.

– Ruszaj! – warknął jeden z jeźdźców, popędzając do przodu konia. – Wstawaj!

Starzec dźwigał się z kurzu drogi.

– Dalej! – Bat żołnierza świsnął, pozostawiając na chudych plecach nieszczęśnika długi czerwony ślad.

Ferro wzdrygnęła się na ten dźwięk i poczuła mrowienie na własnych plecach.

W miejscu, gdzie były poznaczone bliznami.

Nikt nie mógł wychłostać bezkarnie Ferro Maljinn i żyć sobie dalej. Już nie. Zaczęła ściągać z ramienia łuk.

– Spokojnie, Ferro! – syknął Yulwei, chwytając ją za ramię. – Nic nie możesz dla nich zrobić!

Dziewczynka pochyliła się, pomagając staremu człowiekowi wstać z ziemi. Bat strzelił ponownie, dosięgając obojga; rozległ się skowyt bólu. Czy to dziecko krzyknęło, czy starzec?

A może to ona sama? Strząsnęła z siebie rękę Yulwei i sięgnęła po strzałę.

– Zabiję tego drania! – warknęła.

Zaciekawiony żołnierz szarpnął gwałtownie głową, obracając się w ich stronę. Yulwei złapał Ferro za rękę.

– A potem? – spytał cicho. – Nawet jeśli zabijesz wszystkich sześciu, to co zrobisz? Masz jedzenie i wodę dla stu niewolników? He? Ukryłaś je gdzieś pewnie, co? A gdy kolumna nie dotrze na miejsce? I znajdą zarżniętych strażników? Co wtedy, zabójczyni? Schowasz gdzieś setkę ludzi? Bo ja nie potrafię tego zrobić.

Ferro spoglądała w czarne oczy Yulwei; zgrzytała głośnie zębami, z jej nozdrzy dobywał się chrapliwy oddech. Zastanawiała się, czy jeszcze raz nie spróbować i go zabić.

Nie.

Miał rację, niech go diabli. Tłumiła powoli gniew, dusząc go w sobie. Odłożyła strzałę i obróciła się w stronę kolumny niewolników. Odprowadziła wzrokiem kulejącego starca i dziewczynkę; wściekłość szarpała jej trzewiami jak głód.

– Ty! – zawołał żołnierz, popędzając konia w ich stronę.

– No, teraz się doigrałaś! – syknął Yulwei, po czym skłonił się z uśmiechem strażnikowi, drapiąc się po brodzie. – Stokrotnie przeprosza, panie, mój syn jest...

– Zamknij gębę, starcze! – Żołnierz popatrzył z siodła na Ferro. – No i co, chłopcze, podoba ci się?

– Co? – rzuciła przez zaciśnięte zęby.

– Nie ma się co wstydzić – zachichotał żołnierz. – Widziałem, jak patrzyłaś.

Odwrócił się w stronę kolumny.

– Zatrzymać ich! – zawołał.

Niewolnicy przystanęli, wpadając na siebie. Żołnierz wychylił się z siodła i chwycił chudą dziewczynkę pod pachę, po czym wywlókł ją brutalnie z szeregu.

– Jest niezła – oznajmił, ciągnąc biedaczkę ku Ferro. – Trochę za młoda, ale już gotowa. Trzeba

ją tylko porządnie umyć. Kuleje, ale przejdzie jej... pogoniliśmy ich porządnie. Dobrze zęby... pokaż mu zęby, dziwko!

Dziewczynka rozchyliła powoli spękane wargi.

– Dobrze zęby. No i co ty na to, chłopcze? Dziesięć w złocie! Przyzwoita cena!

Ferro stała i patrzyła bez słowa. Dziewczynka odpowiedziała jej tępym spojrzeniem dużych martwych oczu.

– Posłuchaj – ciągnął żołnierz, wciąż wychylony z siodła. – Jest warta dwa razy tyle, poza tym nie ma żadnego ryzyka! Kiedy dotrzemy do Shafry, powiem, że padła na drodze. Nikt się nie będzie temu dziwił, to zdarza się cały czas! Ja dostanę dziesięć, a ty zaoszczędzisz tyle samo! Każdy zyska!

Każdy zyska. Ferro patrzyła na żołnierza. Zdjął hełm i otarł wierzchem dłoni pot z czoła.

– Spokojnie, Ferro – wyszeptał Yulwei.

– No dobra, osiem! – zawołał żołnierz. – Ma miły uśmiech! Pokaż mu uśmiech, dziwko!

Kąciaki ust dziewczynki drgnęły nieznacznie.

– Widzisz?! Osiem, niech stracę!

Pięści Ferro były zaciśnięte, paznokcie wbijały jej się w skórę.

– Spokojnie, Ferro – powtórzył szeptem Yulwei z nutką ostrzeżenia w głosie.

– Niech mnie diabli, chłopcze, ubijesz dobry interes! Siedem, i to moja ostatnia propozycja. Siedem, do diaska! – Żołnierz pomachał niezadowolony hełmem. – Używaj jej ostrożnie, za pięć lat będzie warta jeszcze więcej. To inwestycja!

Twarz żołnierza znajdowała się teraz bardzo blisko. Ferro widziała każdą maleńką kropelkę potu na jego czole, każdy włoszek szczeciny na policzkach, każdą plamkę, skazę i por na jego skórze. Niemal czuła jego zapach.

Ktoś prawdziwie spragniony wypije mocz, słoną wodę albo olej, nawet jeśli wie, że skutki będą opłakane, ale nic nie może na to poradzić. Ferro widywała to często na Pustkowiach. Tak samo teraz pragnęła zabić tego człowieka. Chciała rozszarpać go gołymi rękami, zdławić w nim życie, rozedrzeć mu zębami twarz. Z trudem opierała się tej chęci.

– Spokojnie! – syknął Yulwei.

– Nie stać mnie na nią – usłyszała Ferro swój własny głos.

– Mogłeś tak powiedzieć od razu, chłopcze, i zaoszczędzić mi kłopotu. – Włożył hełm na głowę. – Mimo wszystko nie mam pretensji, że się na nią gapiłeś. Jest niezła.

Wychylił się z siodła, chwycił dziewczynkę za ramię i pociągnął ją w stronę niewolników.

– Dostanę za nią dwadzieścia w Shaffie! – krzyknął przez ramię.

Kolumna znów ruszyła przed siebie. Ferro patrzyła w ślad za dziewczynką, dopóki niewolnicy nie zniknęli za wzniesieniem – potykając się, kuśtykając i powłócząc nogami ku swemu straszliwemu przeznaczeniu.

Czuła się teraz zimna, zimna i pusta. Żałowała, że nie zabiła strażnika, bez względu na konsekwencje. Wypełniłoby to pustkę, choćby na chwilę. Tak zawsze było.

– Szłam kiedyś w takiej kolumnie – powiedziała, wymawiając niespiesznie słowa.

Yulwei westchnął przeciągle.

– Wiem, Ferro, wiem, ale los postanowił cię ocalić. Bądź za to wdzięczna, jeśli wiesz jak.

– Trzeba było pozwolić mi go zabić.

Stary człowiek cmoknął z niezadowolaniem.

– Doprawdy, zabiłabyś cały świat, gdybyś tylko mogła. Czy nie ma w tobie nic innego prócz zabijania, Ferro?

– Kiedyś było – mruknęła. – Ale potrafią wytrzebić to z człowieka batem. Robią to tak długo, aż

są przekonani, że już nic nie pozostało.

– Przykro mi, Ferro. Żal mi ciebie i ich. – Skierował się ku drodze, potrząsając głową. – Ale to lepsze niż śmierć.

Została jeszcze przez chwilę w miejscu, wpatrzona w kurz unoszący się w dali za kolumną.

– To jest to samo – wyszeptała do siebie.



# W obcym miejscu

Logen oparł się o murek, spojrzawszy zmrużonymi oczami w blask słońca i zaczął chłonać widok, który się przed nim roztaczał. Uczynił to samo, dawno temu, jak mu się teraz zdawało, z balkonu biblioteki. Trudno byłoby znaleźć dwa bardziej odmienne krajobrazy. Tu wschód słońca nad nierównym, postrzępionym kobiercem domów, gorącym i oślepiająco jasnym, pełnym dalekiego gwaru. Tam zimna i zamglona dolina, miękka, pusta i nieruchoma niczym śmierć. Pamiętał tamten poranek i to, że poczuł się innym człowiekiem. Z pewnością czuł się nim teraz. Głupim człowiekiem. Małym, poznaczonym bliznami, brzydkim i zagubionym.

– Logen. – Obok niego na balkonie stanął Malacus i spojrzawszy z uśmiechem ku słońcu, a potem przesunął spojrzeniem po mieście, które ciągnęło się aż do połyskliwej zatoki, już rojnej od statków. – Piękne, prawda?

– Skoro tak mówisz, ale nie jestem pewien, czy to dostrzegam. Ci wszyscy ludzie... – Logen wzdrygnął się, jak od zimnego potu. – Nie wydaje mi się to dobre. Przeraza mnie.

– Przeraza? Ciebie?

– Bezustannie. – Logen prawie nie zmrużył oka od czasu, gdy tu przybyli. Nigdy nie było tu dostatecznie ciemno, nigdy dość spokojnie i cicho. Wrogowie budzą czasem grozę, ale można ich pokonać i położyć kres lękowi. Logen potrafił pojąć nienawiść przeciwnika. Ale nie sposób było walczyć z pozbawionym oblicza, obojętnym, hałaśliwym miastem. Ono darzyło nienawiścią każdego. – To nie miejsce dla mnie. Z chęcią je opuszczę.

– Być może pozostaniemy tu przez jakiś czas.

– Wiem. – Logen odetchnął głęboko. – Dlatego zamierzam zejść stąd na dół i rzucić okiem na Agriont, żeby się dowiedzieć o nim wszystkiego, co tylko można. Pewne rzeczy trzeba po prostu zrobić. Lepiej je zrobić, niż żyć w strachu. Tak mówił mi zawsze ojciec.

– Dobra rada. Pojdę z tobą.

– Nie pójdiesz. – Na progu stał Bayaz, patrząc gniewnie na swego ucznia. – Twoje postępy w ciągu kilku ostatnich tygodni to prawdziwy wstyd, nawet dla ciebie. – Wkroczył na balkon. – Proponuję, żebyś teraz, kiedy nie mamy nic do roboty i czekamy na decyzje Jego Wysokości, wykorzystał okazję i trochę się pouczył. Druga szansa może nie trafić się tak szybko.

Malacus pospieszył do środka, nie oglądając się za siebie. Wiedział doskonale, że nie należy się guzdrać, kiedy jego mistrz jest w takim nastroju. Bayaz stracił swój dobry humor, gdy tylko przybyli do Agriontu i nie zanosilo się na to, by miał go szybko odzyskać. Logen nie żywił o to do niego pretensji; zostali potraktowani bardziej jak więźniowie niż goście. Nie wyznawał się na dobrych obyczajach, ale potrafił odczytać znaczenie twardych i obojętnych spojrzeń wszystkich bez wyjątku, nawet wartowników za drzwiami.

– Nie uwierzyłbyś, jak bardzo Adua się rozrosła – mruknął Bayaz, spoglądając ze zmarszczonym czołem na rozległe miasto. – Pamiętam, kiedy była zaledwie skupiskiem chat otaczających ciasno Dom Stwórcy, niczym rój much krążących nad świeżym łajnem. Jeszcze sprzed czasów Agriontu. I Unii, oczywiście. Nie byli wtedy tacy dumni, zapewniam cię. Cztili Stwórcę jak boga.

Odchrząknął hałaśliwie i splunął gęstą flegmą w powietrze. Logen widział, jak omija fosę i znika gdzieś między białymi budynkami w dole.

– Dałem im to – syknął Bayaz, a Logen poczuł nieprzyjemne mrowienie na plecach, które zawsze zdawało się towarzyszyć niezadowoleniu okazywanemu przez czarnoksiężnika. – Dałem im wolność i to ma być podziękowanie z ich strony? Pogarda urzędników? Podstarzałych chłopców na posyłki, którym się przewróciło w głowach?

Logen miał wrażenie, że zejście na dół, w świat podejrzeń i szaleństwa, przyjąłby teraz z ulgą, jak wybawienie. Skierował się ku drzwiom i schował w pokoju.

Jeśli byli tu więźniami, to on, Logen, dostał najgorszą celę. Okrągła komnata była odpowiednia dla króla, tak w każdym razie uważał: ciężkie krzesła z ciemnego drewna z delikatnym wzorem, grube gobeliny na ścianach, przedstawiające lasy i sceny myśliwskie. Bethod czułby się tu z pewnością jak u siebie w domu. Logen czuł się natomiast jak prostak, zmuszony chodzić bezustannie na palcach, by czegoś nie przewrócić albo nie stłuc. Na stole, pośrodku komnaty, postawiono wysoki, pomalowany w kwiaty wazon. Logen popatrzył na niego podejrzliwie, a potem ruszył w długą drogę na dół, do Agriontu.

– Logen! – W drzwiach majaczyła postać Bayaza, który przyglądał mu się ze zmarszczonym czołem. – To miejsce może ci się wydawać dziwne, ale ludzie są jeszcze dziwniejsi.

\* \* \*

Woda pieniała się i bulgotała, tryskając wąskim strumieniem z metalowej tuby w kształcie rybiego pyska, po czym rozpryskiwała się w szerokim kamiennym basenie. Fontanna, jak nazwał to tamten młody dumny człowiek. Rury pod ziemią, powiedział. Logen wyobraził sobie podziemne strumienie, płynące tuż pod jego stopami i podmywające fundamenty tego miejsca. Ta myśl przyprawiała go o lekki zawrót głowy.

Plac był rozległy – wielka równina płaskiego kamienia w otoczeniu stromych urwisk białych budynków – urwisk wydrążonych, pokrytych filarami i rzeźbami, lśniących wysokimi oknami, rojących się od ludzi. Zdawało się, że tego dnia dzieje się coś dziwnego. Wokół odległych krawędzi dziedzińca wznoszono monstrualne, pochyłe konstrukcje z drewnianych belek. Uwijała się przy nich armia robotników; cięli i stukali, kołyszac się na złączeniach i kołkach, czasem obrzucali się nawzajem gniewnymi krzykami. Wszędzie piętrzyły się stosy desek i bali, beczki gwoździ, góry narzędzi – wystarczyłoby ich na wzniesienie dziesięciu zamków. Miejscami konstrukcja wystrzeliwała wysoko ponad ziemią, sięgając ku górze niczym maszty wielkich statków, równie przygniatająca jak monstrualne budynki wkoło.

Logen stał z dłońmi na biodrach i gapił się na ogromny drewniany szkielet, ale jego przeznaczenie było dlań tajemnicą. Podeszedł do niskiego muskularnego mężczyzny w skórzanym fartuchu, piłującego wściekle deskę.

– Co to jest?

– Hę? – Tamten nie podniósł nawet oczu znad roboty.

– To. Do czego ma służyć?

Ostrze przebiło się przez drewno, odpiłowany kawałek spadł z łomotem na ziemię. Cieśla umieścił pozostałą część deski na stosie podobnych. Odwrócił się i obrzucił Logena podejrzliwym spojrzeniem, ocierając przy tym pot ze lśniącego czoła.

– Trybuny. Ławki.

Logen patrzył na niego tępo, nie mogąc pojąć znacznie nieznanego sobie słów.

– Turniej! – wrzasnął mu w twarz cieśla.

Logen wycofał się powoli. Brednie. Niezrozumiałe określenia. Odwrócił się i pospieszył przed siebie, trzymając się z dala od ogromnych drewnianych konstrukcji i ludzi, którzy się po nich wspinali.

Znalazł się na szerokim trakcie, w głębokim wąwozie między przytłaczającymi budynkami. Po obu stronach wznosiły się pomniki zwrócone twarzami do siebie, znacznie większe od postaci ludzkiej, spoglądając gniewnie na licznych przechodniów, którzy spieszyli dokądś. Najbliższy posąg wydał mu się dziwnie znajomy. Logen podszedł do niego, obejrzał go dokładnie i uśmiechnął się do siebie. Pierwszy z Magów nieco przytył od czasu, gdy go wyrzeźbiono. Chyba za dużo dobrego jadła w bibliotece. Logen zwrócił się do niewysokiego człowieka w czarnym kapeluszu, przechodzącego obok z wielką księgą pod pachą.

– Bayaz – wyjaśnił, wskazując posąg. – Mój przyjaciel.

Mężczyzna popatrzył na niego, potem na posąg, znów na Logena, po czym oddalił się pospiesznie.

Kamienne postaci maszerowały w dal po obu stronach tego traktu. Królowie Unii, jak się domyślił, stali w szeregu po lewej. Niektórzy trzymali miecze, inni zwoje albo maleńkie statki. Jednemu towarzyszył pies u stóp, inny ścisnął pod pachą snop pszenicy, ale poza tym trudno było ich odróżnić. Wszyscy mieli na głowach takie same wysokie korony, a na twarzach podobny wyraz surowego skupienia. Patrząc na nich, nikt by nie pomyślał, że wypowiedzieli kiedykolwiek głupie słowo albo zrobili coś niemądrego, albo że musieli srać przez całe życie.

Logen usłyszał tuż obok szybkie kroki i odwróciwszy się, zobaczył młodego człowieka, tego spod bramy; podążał z wysiłkiem w przepoconej koszuli. Logen zastanawiał się, dokąd tak mu spieszo, ale nie miał najmniejszego zamiaru go doganiać w tym upale. Tak czy inaczej było jeszcze mnóstwo tajemnic do odkrycia.

Trakt otwierał się na przeogromną zieloną przestrzeń, zgarniętą przez jakieś gigantyczne dłonie z wiejskich okolic i rzuconą między wysokie budynki, ale nie przypominającą niczego, co Logen kiedykolwiek widział. Trawa była gładkim i równym kobiercem żywej zieloności, przystrzyżonej niemal do ziemi. Rosły tam też kwiaty, ale w rzędach, kręgach i prostych liniach jaskrawych barw. Także dorodne krzewy i drzewa, stłoczone, ogrodzone płótkami i przycięte w nienaturalne kształty. I była woda – strumyki szemrzące po kamiennych schodkach i wielki płaski staw w otoczeniu drzew o smutnym wyglądzie.

Logen wędrował po tym równym, wyraźnie zaznaczonym polu zieleni, chrzęszcząc butami na ścieżkach wysypanych maleńkimi szarymi kamyczkami. Zebrało się tu mnóstwo ludzi, którzy zbijali się w grupki, by cieszyć się wspólnie słońcem. Siedzieli w łódkach na miniaturowym jeziorze, wiosłując łagodnie i pływając w kółko, bez wyraźnego celu. Leżeli leniwie na trawie, jedli, pili i paplali do siebie. Niektórzy wskazywali go palcem i krzyczeli coś albo szeptali, albo się odsuwali.

Był to dziwny tłum, zwłaszcza kobiety. Blade i upiorne, okryte warstwami wyszukanych sukien, o wysoko zebranych włosach poprządkanych szpilkami, grzebieniami i wielkimi osobliwymi piórami albo zakryte bezużytecznymi kapelusikami. Przywodziły mu na myśl wielki wazon w jego okrągłej komnacie – zbyt kruchy i delikatny, by się do czegokolwiek nadawał, na domiar złego przesadnie zdobiony. Ale już dawno nie patrzył na kobiety i uśmiechał się do nich pogodnie, tak na wszelki wypadek. Niektóre wyglądały na zszokowane, inne spoglądały z przerażeniem. Logen westchnął. Stara magia wciąż działała.

Nieco dalej, znalazłszy się na innym rozległym dziedzińcu, przystanął, by popatrzeć na grupę ćwiczących żołnierzy. Nie byli to żebracy ani zniewieściali młodzieńcy, tylko krzepcy mężczyźni w

ciężkich zbrojach, napierśnikach i nagolenicach – wszystko wypolerowane do zwierciadlanego błysku – z długimi włóczniami na ramionach. Stali obok siebie, jeden podobny do drugiego, w czterech kwadratach po piętnastu ludzi, nieruchomo jak posągi w tamtej alei.

Na ryk niskiego człowieka w czerwonej kurtce – ich dowódcy, jak się Logen domyślił – wszyscy się odwrócili, opuścili na tę samą wysokość włócznie i zaczęli nacierać przez plac, tupiąc w zgodnym rytmie ciężkimi butami. Każdy z tych ludzi był taki sam, miał takie samo uzbrojenie, poruszał się tak samo. Był to niezwykły widok, cały ten lśniący metal w jednostajnym ruchu najeżonych bloków, migoczący ostrzami włóczni, niczym jakiś gigantyczny prostokątny jeź o dwustu nogach. Śmiertelnie groźny bez wątplenia na wielkiej pustej przestrzeni, w starciu z wyimaginowanym wrogiem. Jak zachowywałyby się pośród skał i połamanych głazów, w ulewnym deszczu, w splątanym leśnym gąszczu – tego Logen już nie był taki pewien. Ci ludzie zmęcziliby się szybko pod ciężarem uzbrojenia i gdyby ich bloki zostały rozbite, co by zrobili? Żołnierze przyzwyczajeni do tego, że zawsze mają przy ramieniu innych towarzyszy? Czy potrafiliby walczyć w pojedynkę?

Ruszył dalej przez szerokie dziedzińce i starannie utrzymane ogrody, obok pluskających fontann i dumnych posągów, wzdłuż czystych traktów i szerokich alei. Pokonywał wąskie schody, w górę i w dół, przechodził po mostach nad strumieniami, nad drogami, nad innymi mostami. Widział wartowników w przeróżnych strojach, strzegących setek różnych bram, murów i drzwi, a każdy z nich przyglądał mu się podejrzliwie. Słońce wspinało się na niebie, wysokie białe budynki przesuwały się z wolna; wreszcie Logen poczuł zmęczenie w nogach i zagubienie, bolała go też szyja od ciągłego patrzenia w górę.

Niezmienna była tylko monstrualna wieża, która majaczyła wysoko ponad wszystkim; w porównaniu z nią największe z największych budynków wydawały się żałośnie małe. Tkwiła zawsze w tym samym miejscu, obecna bezustannie w polu widzenia, wyzierając zza dachów w oddali. Coraz bardziej zmęczone kroki Logena przybliżały go do niej, aż wreszcie dotarł do jakiegoś skrytego w jej cieniu narożnika cytadeli, zapomnianego i porzuconego.

Znalazł starą ławkę obok nierównego trawnika w sąsiedztwie wielkiego i niszczonego budynku, pokrytego mchem i bluszczem, o zapadniętym i dziurawym dachu. Przysiadł zmęczony, wydymając policzki, i spojrzał na potężny kształt za murami, odcinający się mrocznie na tle błękitnego nieba – stworzoną przez człowieka górę suchego, surowego, martwego kamienia. Żadna roślina nie tuliła się do tej strzelistej masy, w szczelinach między wielkimi blokami nie zagnieździła się nawet kępa mchu. Dom Stwórcy, tak nazwał go Bayaz. Nie przypominał żadnego domu, jaki Logen kiedykolwiek widział. Nie było dachów, drzwi ani okien, tylko nagie ściany, stos potężnych warstw skały o ostrych krawędziach. Jaka potrzeba kryła się za wzniesieniem czegoś tak wielkiego? Kim był ów Stwórca? Czy to było jedyne jego dzieło? Ogromna, bezużyteczna budowla?

– Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli usiądę?

Patrzyła na niego z góry jakaś kobieta, w każdym razie wydawało mu się kobietą w porównaniu z tymi dziwnymi, widmowymi istotami w parku. Ładna, w białej sukni, o twarzy okolonej ciemnymi włosami.

– Czy mam coś przeciwko temu? Nie. Zabawne, ale nikt inny nie chce ze mną siedzieć.

Przycupnęła na drugim końcu ławki, wspierając brodę o dłonie, a łokcie o kolana, i zaczęła patrzeć bez zainteresowania na wyniosłą wieżę.

– Może się pana boją.

Logen obserwował jakiegoś mężczyznę, który przemknął obok z plikiem papierów pod pachą, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

- Przyszło mi do głowy to samo.
- Wygląda pan nieco groźnie.
- Odrażający, oto słowo, którego pani szukała.
- Zazwyczaj znajduję słowa, których szukam, i teraz mówię: groźny.
- No cóż, wygląd czasem kłamie.

Uniosła nieznacznie brew i przyjrzała mu się z uwagą.

- A zatem jest pan człowiekiem nastawionym pokojowo.
- Hm... niezupełnie.

Popatrzyli na siebie z ukosa. Nie wydawała się wystraszona ani nastawiona pogardliwie, czy chociażby zaciekawiona.

- Dlaczego się pani nie boi?

– Pochodzę z Anglandu, znam waszych ludzi. Poza tym – złożyła zrezygnowana głowę na oparciu ławki – nikt inny nie chce ze mną rozmawiać. Jestem zrozpaczona.

Logen popatrzył na kikut środkowego palca i poruszył nim, na ile to było możliwe.

- Nie dziwię się. Jestem Logen.
- To ma pan szczęście. Ja jestem nikim.
- Każdy kimś jest.
- Nie ja. Jestem niczym. Jestem niewidzialna.

Logen spojrział na nią zdziwiony; była zwrócona do niego bokiem, półleżąc na ławce w promieniach słońca; jej gładka, długa szyja naprężała się, piersi unosiły się i opadały łagodnie.

- Ja panią widzę.

Przekręciła głowę, by na niego spojrzeć.

- Jest pan... dżentelmenem.

Logen parsknął śmiechem. Różnie go kiedyś nazywano, ale nigdy w ten sposób. Młoda kobieta nie podzielała jego rozbawienia.

- To nie moje miejsce – mruknęła do siebie.
- Moje też nie.
- Tak. Ale to mój dom. – Wstała z ławki. – Do zobaczenia, Logenie.
- Niech ci się wiedzie, moja nikt.

Patrzył, jak odwraca się i odchodzi powoli, potrząsając głową. Bayaz miał rację. To miejsce było dziwne, ale ludzie jeszcze dziwniejsi.

\* \* \*

Logen obudził się z bolesną gwałtownością, zamrugał i rozejrzał się niespokojnie. Ciemno. Niezupełnie, wszechobecna poświata miasta rozpraszała mrok. Początkowo pomyślał, że coś słyszy, ale teraz nic do niego nie docierało. Było gorąco. Gorąco, parno, duszno, nie pomagał nawet lepki przeciąg od otwartego okna. Jęknął, zsunął wilgotny koc aż do pasa, starł pot z piersi i osuszył dłoń o ścianę za głową. Światło drażniło mu powieki. I nie było to najgorsze. Przede wszystkim chciało mu się siusiać.

Na nieszczęście, nie można było w tym miejscu zrobić tego do nocnika. Mieli tu taką specjalną rzecz, płaską drewnianą półkę z dziurą, w takim małym pokoju. Zajrzał w nią, kiedy zjawili się tu po raz pierwszy, zastanawiając się, do czego służy. Wydawała się bardzo głęboka i cuchnęła paskudnie.

Malacus wyjaśnił mu jej przeznaczenie. Bezsensowny i barbarzyński wynalazek. Trzeba było tam usiąść, na twardym drewnie, czując, jak przyrodzenie owiewa nieprzyjemny chłód. Ale to była cywilizacja, o ile Logen mógł się zorientować. Ludzie, którzy nie mają nic lepszego do roboty i starają się za wszelką cenę utrudniać sobie proste sprawy.

Wygrzebał się z łóżka i ruszył w stronę, gdzie, jak zapamiętał, znajdowały się drzwi. Sunął nisko pochylony, macając przed sobą rękami. Zbyt jasno, by spać, ale zbyt ciemno, by widzieć cokolwiek. „Pieprzona cywilizacja”, mruknął do siebie, manipulując przy zasuwce i stawiając ostrożnie bosc stopy w wielkim okrągłym pokoju pośrodku komnat, w których mieszkali.

Było tu zimno, bardzo zimno. Chłodny powiew na nagiej skórze przynosił ulgę po wilgotnej duszności jego pokoju. Dlaczego nie spał tutaj, zamiast w tamtym piecu? Zaczął wpatrywać się z wysiłkiem w mroczne ściany, krzywiąc twarz od bolesnego zaćmienia snu i próbując się zorientować, które z tych niewyraźnych i rozmazanych drzwi prowadzą do owej półki z dziurą, gdzie się sika. Podejrzewał, że przy swoim szczęściu zawędrowałby zapewne do pokoju Bayaza i niechcący obsiusiał Pierwszego z Magów. Doskonała rzecz, by złagodzić nieco temperament czarnoksiężnika.

Zrobił krok do przodu. Rozległ się grzechot i stukot, kiedy wpakował nogę w narożnik stołu. Zaklął, łapiąc się za posiniaczoną goleń – i wtedy przypomniał sobie o dzbanie. Pochylił się gwałtownie i złapał go w ostatniej chwili. Jego wzrok przyzwyczajając się z wolna do półmroku i teraz potrafił dostrzec kwiaty namalowane na zimnej, lśniącej powierzchni. Już chciał go odstawić z powrotem, gdy nagle coś mu zaświtało. Po co szukać dalej, skoro miał pod ręką doskonały nocnik? Rozejrzał się ukradkiem po pokoju, umieścił dzban w odpowiednim miejscu... i zmarł.

Nie był sam.

Dostrzegł jakąś wysoką, szczupłą postać, niezbyt wyraźną w tym półmroku. Widział jedynie długie włosy; poruszał je łagodny wietrzyk, który płynął od strony okna. Wyteżał w ciemności wzrok, ale nie mógł zobaczyć twarzy.

– Logen...

Kobięcy głos, miękki i niski. Jego brzmienie nie podobało mu się ani trochę. W pokoju było zimno, bardzo zimno. Zacisnął palce na dzbanie.

– Kim jesteś? – spytał chrapliwie i niespodziewanie głośno w tej nocnej martwocie. Czy śnił? Potrząsnął głową, ścisnął mocniej dzban. Wszystko wydawało się realne. Przerazająco realne.

– Logen...

Kobieta ruszyła bezgłośnie ku niemu. Miękkie światło płynące z okna uchwyciło bok jej twarzy. Biały policzek, ciemny oczodół, kącik ust; po chwili znów pograżyła się w mroku. Było w niej coś znajomego... Logen szukał gorączkowo w pamięci, cofając się jednocześnie. Wlepiął wzrok w tę postać, odgradzony od niej stołem.

– Czego chcesz?

Czuł w piersi chłód, zły chłód. Wiedział, że powinien wzywać pomocy, obudzić pozostałych, ale jednocześnie pragnął się dowiedzieć, kim jest ta osoba. Musiał się dowiedzieć. Powietrze mroziło. Logen niemal dostrzegał parę własnego oddechu. Jego żona była martwa, nie wątpił w to, martwa, zimna i oddana ziemi, dawno temu i daleko stąd. Widział wioskę spaloną do szczętu, zamienioną w popiół, pełną trupów. Jego żona była martwa...

– Thelfi? – wyszeptał.

– Logen...

Jej głos! Jej głos! Otworzył bezwiednie usta. Wyciągnęła do niego ręce w strumieniu światła płynącego z okna. Błada dłoń, blade palce, długie białe paznokcie. W pokoju panował lodowaty

chlód.

– Logen!

– Nie żyjesz!

Podniósł dzban, gotów roztrzaskać go na jej głowie. Wyciągnęła rękę, palce rozwarły się szeroko.

Nagle w pokoju zrobiło się jasno jak za dnia. Jaśniej. Osłepiająco, boleśnie jasno. Mroczne zarysy drzwi i mebli przemieniły się w twarde białe krawędzie i czarne cienie. Logen zacisnął z całej siły powiekę, zakrył oczy ramieniem, oparł się o ścianę, dysząc ciężko. Nagle rozległ się ogłuszający łoskot, jakby obsuwała się ziemia, trzask i huk, jakby padało wielkie drzewo, rozszedł się smród spalonego drewna. Logen uniósł odrobinę powiekę, spoglądając przez palce.

W komnacie zaszła dziwna zmiana. Pomieszczenie było znów ciemne, ale nie tak bardzo jak przedtem. Przez postrzępioną dziurę w ścianie, tam gdzie wcześniej znajdowało się okno, wpadało światło. Dwa krzesła zniknęły, trzecie chwiała się na trzech nogach, połamane krawędzie jarzyły się nieznacznie jak patyki, które spoczywały długo w ogniu. Stół, który jeszcze przed chwilą miał przed sobą, znajdował się teraz po drugiej stronie pomieszczenia, wygięty pośrodku. Część sufitu między belkami została wyrwana, a podłogę zaścielały bryły kamienia i tynku, długie kawałki drewna i odłamki szkła. Po tajemniczej kobiecie nie pozostał najmniejszy nawet ślad.

Bayaz zbliżył się niepewnym krokiem do dziury w ścianie, klucząc pośród rumowiska, i wyjrzał w nocną ciemność. Wiatr poruszał jego koszulą nocną.

– Odeszło.

– Odeszło? – Logen wpatrywał się w dymiący otwór. – Znała moje imię...

Czarnoksiężnik pokuśtykał do jedynego nietkniętego krzesła i osunął się na nie jak wyczerpany człowiek.

– Żerca, być może. Wysłany przez Khalula.

– Co? – spytał zdumiony Logen. – Wysłany przez kogo?

Bayaz otarł twarz z potu.

– Zapewniam cię, że wolałbyś nie wiedzieć.

– To prawda – przyznał Logen. Nie mógł temu zaprzeczyć. Potarł się po brodzie, spoglądając przez postrzępioną dziurę na nocne niebo. Zastanawiał się, czy nie jest to odpowiednia pora, by zmienić zdanie. Było jednak za późno. Ktoś się zaczął dobijać wściekle do komnaty.

– Możesz otworzyć? – spytał Bayaz.

Logen ruszył w stronę drzwi, potykając się, i szarpnął zasuwkę. Do pomieszczenia wsunął się gniewny strażnik z lampą w jednej dłoni i mieczem w drugiej.

– Słyszałem hałas!

Światło jego lampy przesunęło się po pobojowisku, odszukało w mroku nierówny otwór, kawałki kamienia, puste nocne niebo.

– Do diabła! – wyszeptał.

– Mieliśmy nieproszonego gościa – mruknął Logen.

– E... muszę powiadomić... kogoś.

Wartownik sprawiał wrażenie całkowicie oszołomionego. Cofając się w stronę drzwi, potknął się o zwalona belkę i omal nie upadł. Po chwili Logen usłyszał jego pospieszne kroki na schodach.

– Co to jest żerca? – spytał.

Nie otrzymał odpowiedzi. Czarnoksiężnik już spał, oczy miał zamknięte, czoło zmarszczone. Pierś unosiła mu się z wolna. Logen spuścił wzrok i stwierdził ze zdumieniem, że wciąż ściska w prawym ręku dzban, piękny i delikatny. Oczyszczył starannie kawałek podłogi z gruzu i ustawił naczynie

pośród pobożowiska.

Nagle któreś z drzwi otworzyły się gwałtownie i Logenowi serce podjechało do gardła. Był to Malacus. Patrzył dzikim wzrokiem, włosy sterczały mu na wszystkie strony.

– Co... – Podszedł niepewnym krokiem do dziury i wyjrzał ostrożnie w ciemność. – Niech mnie diabli!

– Słuchaj, Malacus, co to jest żerca?

Quai odwrócił się gwałtownie w stronę Logena. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

– Jest rzeczą zakazaną spożywać ludzkie mięso – wyszeptał.



# Pytania

Glokta pakował sobie w usta owsiankę tak szybko, jak tylko to możliwe. Miał nadzieję, że zdoła pochłonąć połowę, nim zacznie w nim wzbierać obrzydzenie. Przełknął, zakrztusił się, wzdrygnął. Odsunął miskę, jakby samą jej obecność stanowiła dla niego obrazę.

„Stanowi, w rzeczy samej”.

– Lepiej, żebyś miał coś ważnego do powiedzenia, Severard – mruknął.

Praktyk przesunął dłonią po tłustych włosach.

– Zależy, co pan rozumie przez określenie „ważne”. Chodzi o naszego magicznego przyjaciela.

– Ach, o Pierwszego z Magów i jego dzielnych kompanów. Co się stało?

– Ostatniej nocy doszło w ich komnatach do jakiegoś zamieszania. Ktoś się tam wdarł, jak twierdzą. Doszło do walki, że się tak wyrażę. Wydaje się, że uczyniono pewne szkody.

– Ktoś? Że się tak wyrażę? Pewne szkody? – Glokta pokręcił z niezadowoleniem głową. – Wydaje się? To nam nie wystarcza, Severard.

– No cóż, tym razem tak być musi. Wartownik nie potrafił podać konkretnych szczegółów. Wyglądał na zaniepokojonego, jeśli chce pan wiedzieć. – Praktyk przybrał nieco swobodniejszą pozę na krześle i przygarbił ramiona. – Ktoś powinien się tam udać i obejrzyć wszystko dokładnie, więc równie dobrze my to możemy zrobić. Będzie pan mógł przyjrzeć się tym ludziom z bliska. Może nawet zadać kilka pytań.

– Gdzie oni się znajdują?

– Spodoba się panu. W Wieży Łańcuchów.

Glokta skrzywił się, wsysając z pustych dziąseł resztki owsianki.

„Oczywiście. I mogę się założyć, że na samej górze. Mnóstwo stopni do pokonania”.

– Jeszcze coś?

– Człowiek z Północy poszedł wczoraj na spacer, krążył niemal po całym Agrioncie. Obserwowaliśmy go, oczywiście. – Praktyk pociągnął nosem i poprawił maskę. – Odrażający osobnik.

– Ach, osławiony człowiek z Północy. Czy dopuścił się jakichś aktów przemocy? Gwałtu, morderstwa, podpalenia, czegoś w tym rodzaju?

– Nie bardzo, szczerze powiedziawszy. Spędził nudny poranek. Spacerował i gapił się na wszystko. Rozmawiał z kilkorgiem ludzi.

– Z kimś, kogo znamy?

– Z nikim ważnym. Chodzi o jednego z cieśli zatrudnionych przy wznoszeniu trybun dla widzów turnieju. I o jakiegoś urzędnika na Drodze Królewskiej. Była też dziewczyna niedaleko uniwersytetu. Rozmawiał z nią dłuższą chwilę.

– Dziewczyna?

W oczach Severarda pojawił się uśmiech.

– Tak, i to ładna. Jak się ona nazywa? – Strzelił zniecierpliwiony palcami. – Przecież to sprawdziłem. Jej brat służy w gwardii królewskiej... West... West jakaś tam. Nie pamiętam imienia.

– Ardee.

– Właśnie! Zna ją pan?

– Hm. – Glokta oblizał puste dziąsła. „Spytała mnie, jak się czuję. Pamiętam”. – O czym mogli

rozmawiać?

Praktyk uniósł zdziwiony brwi.

– Pewnie o niczym. Ona jednak pochodzi z Anglandu, jest w mieście od niedawna. Może coś ich łączy. Chce pan, żebym ją sprowadził? Wkrótce byśmy się dowiedzieli.

– Nie – rzucił ostro Glokta. – Nie. Nie ma potrzeby. Jej brat był kiedyś moim przyjacielem.

– Był.

– Nikt nie może jej tknąć, Severard, jasne?

Praktyk wzruszył ramionami.

– Skoro pan tak mówi, inkwizytorze. Skoro pan tak mówi.

– Mówię.

Przez chwilę panowało milczenie.

– A więc sprawa z kupcami załatwiona, prawda? – W głosie praktyka wyczuwało się niemal smutek.

– Na to wygląda. Są skończeni. Pozostało trochę sprzątanania, to wszystko.

– Lukratywnego sprzątanania, zapewne.

– Zapewne – przyznał kwaśno Glokta. – Ale Jego Eminencja uważa, że nasze umiejętności należy wykorzystać gdzie indziej. – „Chociażby przy śledzeniu fałszywych czarnoksiężników”. – Mam nadzieję, że nie straciłeś na swojej małej posiadłości niedaleko doków?

Severard wzruszył ramionami.

– Pomyślałem sobie, że nie byłbym zdziwiony, gdyby niebawem potrzebował pan jakiegoś ustronnego miejsca, z dala od ciekawskich oczu. Da się załatwić. Za odpowiednią cenę. Też uważam, że to wstyd – zostawić robotę przerwana w połowie.

„Zgadza się”.

Glokta zastanawiał się przez chwilę.

„To niebezpieczne. Arcylektor powiedział, żeby się w to nie zagłębiać. To bardzo niebezpieczne okazywać nieposłuszeństwo, a jednak coś wyczuwam. Niewyjaśniona sprawa nie daje spokoju, cokolwiek mógłby powiedzieć jego eminencja”.

– Może rzeczywiście jest coś jeszcze do ustalenia.

– Naprawdę?

– Tak, ale trzeba działać ostrożnie. Wiesz coś o bankach?

– Duże budynki. Pożyczają w nich ludziom pieniądze.

Glokta uśmiechnął się nieznacznie.

– Nie wiedziałem, że jesteś aż takim ekspertem. Interesuje mnie szczególnie jeden. Valint i Balk.

– Nigdy o nich nie słyszałem, ale mogę się rozpytać.

– Tylko dyskretnie, Severard, rozumiesz? Nikt się nie może o tym dowiedzieć. Podkreślam to.

– Dyskrecja to moja dewiza, inkwizytorze, proszę spytać kogokolwiek. Dyskrecja to moje drugie imię. Jestem z tego znany.

– Lepiej, żeby tak było, Severard. Lepiej, żeby tak było.

„Bo obaj stracimy głowy”.

\* \* \*

Glokta siedział wciśnięty w niszę okienną, opierając się plecami o kamienie, z wyciągniętą

przed siebie lewą nogą – piekielnym i pulsującym paleniskiem bólu. Spodziewał się go, oczywiście, w jakiegokolwiek chwili codziennie.

„Ale tym razem to coś szczególnego”.

Każdy oddech był urywanym jękiem, który dobywał się zza zaciśniętych szczęk. Każdy, najdrobniejszy nawet ruch, był zadaniem ponad ludzkie siły. Przypomniawszy sobie, jak marszałek Varuz kazał mu biegać po tych schodach, w górę i w dół, w trakcie przygotowań do turnieju, przed wielu laty.

„Pokonywałem je po trzy stopnie naraz, pędziłem tam i z powrotem bez zastanowienia. A teraz? Kto by wtedy pomyślał, że tak się skończy?”.

Jego drżące ciało oblewało się potem, piekące oczy wzbierały łzami, nos palony żywym ogniem ociekał wodnistym śluzem.

„Tyle ze mnie wypływa, a jestem spragniony jak w piekle. Gdzie w tym wszystkim jakikolwiek sens?”.

Gdzie w ogóle był sens?

„A jeśli ktoś będzie tędy przechodził i zobaczy mnie w takim stanie? Przerazający bicz inkwizycji, tkwiący bezwładnie na tyłku w oknie, niezdolny do ruchu? Czy przywołam na tę maskę straszliwego cierpienia nonszalancki uśmiech? Czy będę udawał, że wszystko jest dobrze? Że przychodzę tu często, by poleżeć sobie obok schodów? Czy też będę płakał, krzyczał i prosił o pomoc?”.

Nikt się jednak nie pojawił. Leżał tam, wciśnięty w niewielką przestrzeń, na wysokości trzech czwartych Wieży Łańcuchów, wsparty głową o zimne kamienie, z podciągniętymi kolanami.

„Sand dan Glokta, mistrz szermierczy, dzielny oficer kawalerii, jakąż to wspaniała przyszłość ma przed sobą. Był czas, kiedy potrafiłem biegać godzinami. Biegać bez końca i nigdy się nie męczyć”.

Czuł, jak po plecach ścieka mu strużka potu.

„Dlaczego to robię? Dlaczego u diabła miałby to robić ktokolwiek? Mógłbym z tym skończyć nawet dzisiaj. Mógłbym wrócić do domu, do matki. I co dalej? Co dalej?”.

\* \* \*

– Cieszę się, że pan tu jest, inkwizytorze.

„Ciesz się, draniu. Ja się nie cieszę”.

Glokta oparł się o ścianę u szczytu schodów składających się ze stopni podobnych do zębów, którymi teraz miażdżył sobie dziąsła.

– Są w środku, jest tam okropny bałagan...

Dłoń Glokty drżała, koniec laski stukał o kamienne płyty. Kręciło mu się w głowie. Postać strażnika, widziana zza poruszających się spazmatycznie powiek, wydawała się niewyraźna i rozmazana.

– Nic panu nie jest? – Tamten zamajaczył blisko z wyciągniętą ręką. Glokta spojrzał na niego.

– Otwórz te cholerne drzwi, głupcze, na co czekasz?! Mężczyzna odskoczył, zbliżył się pospiesznie do drzwi i pchnął je na oścież. Glokta pragnął każdą cząstką swego ciała poddać się i runąć na twarz, ale siłą woli przyjął pozycję wyprostowaną. Zmusił się do tego, by stawiać stopy jedna przed drugą, oddychać równo, cofnąć barki i unieść głowę; minął wyniośle strażnika, czując,

jak każdy skrawek jego istoty śpiewa pieśń bólu. To jednak, co ujrzał za progiem komnaty, niemal zniszczyło jego kruchą powłokę spokoju i opanowania.

„Wczoraj były to jedne z najwspanialszych komnat Agriontu. Rezerwowano je dla najwybitniejszych gości, najważniejszych cudzoziemskich dostojników. Wczoraj”.

W miejscu, gdzie wcześniej znajdowało się okno, ziała ogromna dziura, a widoczne w niej niebo wydawało się oślepiająco jasne w porównaniu z mrokiem schodów. Fragment sufitu runął na dół, pomiędzy belek zwisały kawałki drewna i paski tynku. Podłogę zaścielały kamienie, drzazgi szkła, podarte fragmenty kolorowych tkanin. Zabytkowe meble zamieniły się w porozrzucone szczątki, krawędzie były poczerniałe i zwęglone jak od ognia. Tylko jedno krzesło, połowa stołu i wysoki ozdobny dzban, dziwnie nietknięty pośrodku tego pobojuwiska, uniknęły zniszczenia.

W otoczeniu tych kosztownych resztek stał zmieszany młody człowiek o chorowitym wyglądzie. Patrzył na Gloktę, gdy ten omijał przeszkody wokół drzwi, i oblizywał sobie usta, najwyraźniej zdenerwowany.

„Czy ktokolwiek wygląda bardziej na oszusta?”.

– E, dzień dobry – przywitał się młodzieniec, skubiąc niepewnie palcami szatę, ciężki strój, wyszywanymi tajemniczymi symbolami.

„I czy nie jest mu niewygodnie w tym odzieniu? Jeśli ów człowiek jest uczniem czarnoksiężnika, to ja jestem imperatorem Gurkhulu”.

– Nazywam się Glokta. Z Inkwizycji Jego Królewskiej Mości. Przysłano mnie, bym zbadał to... niefortunne zdarzenie. Spodziewałem się kogoś starszego.

– Och, przepraszam, jestem Malacus Quai – wyjąkał młody człowiek. – Uczeń wielkiego Bayaza, Pierwszego z Magów, biegłego w wysokiej sztuce i uczonego w...

„Uklęknij, uklęknij przede mną! Jestem potężnym imperatorem Gurkhulu!”.

– Malacus... – przerwał mu szorstko Glokta. – ...Quai. Pochodzisz ze Starego Imperium?

– Tak, owszem. – Młody człowiek nieco się rozpromienił. – Czy znasz, panie, moje...

– Nie, w ogóle – znów przerwał mu Glokta, a blada twarz ucznia posmutniała. – Byłeś tutaj zeszłej nocy?

– E, tak, spałem w sąsiedniej izbie. Obawiam się jednak, że niewiele widziałem...

Glokta patrzył mu prosto w oczy, z uwagą i bez zmrużenia powiek, starając się przejrzeć zamiary tego młodzieńca. Uczeń zakaszlał i wbił wzrok w podłogę, jakby się zastanawiając, od czego zacząć sprzątanie.

„Czy to naprawdę może niepokoić arcylektora? Ten tutaj to przecież kiepski aktor. Całe jego zachowanie świadczy o oszustwie”.

– Ktoś jednak coś widział?

– No, tak, owszem. Mistrz Dziewięciopalczy, jak przypuszczam...

– Dziewięciopalczy?

– Tak, nasz towarzysz z Północy. – Młody człowiek znów się rozpromienił. – Wojownik wielkiej sławy, mistrz miecza, książę pomiędzy...

– Ty pochodzisz ze Starego Cesarstwa. On pochodzi z Północy. Tworzycie doprawdy kosmopolityczne towarzystwo.

– No cóż, ha, ha, można tak powiedzieć, jak mi się wydaje...

– Gdzie jest w tej chwili Dziewięciopalczy?

– Chyba wciąż śpi... mógłbym go obudzić...

– Byłbyś tak dobry? – Glokta postukał laską o podłogę. – Musiałem się wysoko wspinać i nie chciałbym wracać tu później.

– Tak, oczywiście... przepraszam.

Pospieszył w stronę jednego z pokoi, Glokta zaś odwrócił się, udając, że bada ziejącą ranę w ścianie, a w rzeczywistości krzywił się z bólu i zagryzał wargi, by nie załkać jak chore dziecko. Dłonią, w której nie trzymał laski, dotknął kamieni po wewnętrznej stronie otworu i zacisnął z całej siły palce.

Kiedy spazm minął, zaczął już z większym zainteresowaniem oglądać zniszczenia. Nawet na tej wysokości mur był gruby na dobre cztery dłonie i został wzniesiony z gruzu związanego zaprawą i obłożony ciętymi kamiennymi blokami. By uczynić taki wyłom, potrzebny był głaz wystrzelony z potężnej katapulty albo grupa silnych robotników, kujących dzień i noc przez cały tydzień.

„Gigantyczna machina oblężnicza albo kilkunastu ludzi zwróciłoby bez wątpienia uwagę strażników. Więc jak tego dokonano?”

Glokta przesunął dłonią po splekanych i rozłupanych kamieniach. Słyszał kiedyś pogłoski, jakoby na dalekim południu wytwarzali rodzaj prochu wybuchowego.

„Czy jego odrobina mogła spowodować takie zniszczenia?”

Ktoś otworzył drzwi i Glokta, odwróciwszy się, zobaczył wielkiego mężczyznę, który pochylał głowę nad zbyt niskim nadprożem, zapinając koszulę powolnymi, ogromnymi dłońmi. Powolność rozmyślnego rodzaju.

„Jakby mógł poruszać się szybciej, ale nie uznawał tego za stosowne”.

Jego włosy przypominały splątany gąszcz, guzowatą twarz znaczyły liczne blizny. Nie miał środkowego palca przy lewej dłoni.

„Stąd Dziewięciopalcy. Jakież to pomysłowe”.

– Zaspaliśmy?

Człowiek z Północy przytaknął.

– Wasze miasto jest dla mnie zbyt gorące – nie pozwala zasnąć w nocy i sprawia, że jestem senny w ciągu dnia.

Noga Glokty pulsowała, plecy jęczały, szyja była sztywna jak sucha gałąź. Mógł tylko utrzymywać swe cierpienie w tajemnicy, na nic więcej nie było go stać. Oddałby wszystko, żeby rozsiać się na tym jedynym nieuszkodzonym krześle i krzyknąć z bólu.

„Ale muszę stać i rozmawiać z tymi szarlatanami”.

– Czy mógłbyś mi wyjaśnić, co się tu wydarzyło?

Dziewięciopalcy wzruszył ramionami.

– Zachciało mi się sikać. Zobaczyłem kogoś w pokoju. Wydawało się, że nie ma kłopotów z językiem, choć treść jego wypowiedzi nie była szczególnie elegancka.

– Widziałeś, kto to był?

– Nie. Tylko tyle, że to kobieta. – Poruszył ramionami, jakby czuł się nieswojo.

– Kobieta, naprawdę? – zdziwił się Glokta. „Ta historia jest z każdą chwilą coraz śmieszniejsza”. – Coś jeszcze? Czy możemy nieco zawęzić nasze poszukiwania? Kobiety stanowią połowę mieszkańców miasta.

– Było zimno. Bardzo zimno.

– Zimno?

„Oczywiście, dlaczego nie? Podczas jednej z najbardziej gorących nocy roku”.

Glokta patrzył mu przez długą chwilę w twarz, a tamten nie odwrócił wzroku. Ciemnie, niebieskie oczy, głęboko osadzone.

„To nie są oczy idioty. Może wygląda jak małpa, ale tak nie mówi. Najpierw myśli, potem się odzywa i wypowiada nie więcej słów, niż jest to konieczne. To niebezpieczny człowiek”.

– Co porabiasz w tym mieście, mistrzu Dziewięciopalcu?

– Przybyłem tu z Bayazem. Jeśli chce się pan dowiedzieć, co tu robi, to może go pan spytać.

Szczerze mówiąc, nie wiem.

– Płaci ci zatem?

– Nie.

– Towarzyszysz mu przez lojalność?

– Niezupełnie.

– Ale jesteś jego sługą?

– No, nie do końca. – Podrapał się z namysłem po brodzie. – Nie wiem, czym jestem.

„Wielkim, paskudnym kłamcą, oto, czym jesteś. Ale jak to udowodnić?”

Glokta wskazał laską pokój.

– Jak ten intruz mógł dokonać takich zniszczeń?

– Bayaz to zrobił.

– On? W jaki sposób?

– Nazywa to Sztuką.

– Sztuką?

– Magia podstawowa jest dzika i niebezpieczna – wtrącił pompatycznie uczeń, jakby oznajmiał coś niezwykle ważnego. – Gdyż jej źródłem jest Druga Strona, a obcowanie ze światem podziemnym najeżone jest niebezpieczeństwami. Mag okiełznuje magię za pomocą swej wiedzy, a tym samym tworzy Wysoką Sztukę, lecz tak jak kowal czy...

– Druga Strona? – warknął Glokta, przerywając ostro strumień bredni płynących z ust młodego głupca. – Świat podziemny? Piekło, chcecie powiedzieć? Magia? Czy znasz jakąś magię, mistrzu Dziewięciopalcu?

– Ja? – parsknął śmiechem człowiek z Północy. – Nie. – Zastanawiał się przez chwilę, po czym dodał, jakby po namyśle: – Potrafię jednak rozmawiać z duchami.

– Z duchami? – „Litości”. – Może mogłyby nam powiedzieć, kim był ten nocny gość?

– Obawiam się, że nie. – Dziewięciopalcu potrząsnął ze smutkiem głową, albo nie dostrzegając sarkazmu Glokty, albo celowo go ignorując. – Nie ma tu już żadnych, które byłyby przytomne. Śpią. Od dawna.

– Ach, oczywiście. – „No cóż, minęła już pora, kiedy duchy kładą się do łóżka”. – Przychodzisz od Bethoda?

– Można tak powiedzieć.

Teraz Glokta był zaskoczony. Spodziewał się, że jego rozmówca w najlepszym razie odetchnie gwałtownie, że będzie się starał coś ukryć, on zaś przyznał się otwarcie. Nawet nie mrugnął.

– Byłem jego czempionem – dodał.

– Czempionem?

– Stoczyłem dla niego dziesięć pojedynków.

Glokta zastanawiał się, co powiedzieć.

– Wygrałeś?

– Miałem szczęście.

– Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że Bethod najechał Unię?

– Tak. – Dziewięciopalcu westchnął. – Powinienem był zabić tego łajdaka dawno temu, ale byłem wtedy młody i głupi. Teraz wątpię, czy nadarzy się kolejna okazja, ale tak to jest. Trzeba patrzeć... jak się to mówi?

– Realistycznie – podsunął Quai.

Glokta zmarszczył czoło. Jeszcze przed chwilą wydawało mu się, że jest bliski zrozumienia tego całego nonsensu, ale moment ten przeminął i teraz wszystko było jeszcze bardziej pozbawione logiki niż wcześniej. Patrzył na Dziewięciopalcego, ale na tej poznaczonej bliznami twarzy nie dostrzegł żadnych odpowiedzi, tylko jeszcze więcej pytań.

„Rozmowy z duchami? Czempion Bethoda, ale jednocześnie jego wróg? Zaatakowany nocą przez tajemniczą kobietę? I nie wie nawet, dlaczego tu jest? Sprytny kłamca mówi tyle prawdy, ile może, ale ten tutaj mówi tyle kłamstw, że nie mam pojęcia, jak je rozplątać”.

– Och, mamy gościa! – dobiegło od progu.

Do komnaty wszedł starszy człowiek, krępy i przysadzisty, z krótką siwą brodą, wycierając energicznie łysinę szmatką.

„A więc to jest Bayaz”.

Opadł na jedyne niezniszczone krzesło, poruszając się bez jakiegokolwiek wdzięku, jakiego można by się spodziewać po postaci historycznej.

– Muszę przeprosić. Brałem właśnie wspaniałą kąpiel. Kąpię się codziennie od dnia, gdy zjawiłem się w Agrioncie. Tak bardzo wchłonałem brud drogi, że z przyjemnością skorzystałem z okazji, by się ponownie oczyścić – wyznał starszy człowiek i przesunął dłonią po łysej czaszce z cichym szelestem.

Glokta przyrównał w myślach jego rysy do posągu Bayaza przy Drodze Królewskiej.

„Nie znajduję niczego uderzającego w tym podobieństwie. Ten człowiek nie jest nawet w połowie tak władczy, po za tym wydaje się o wiele niższy. Gdybym miał godzinę, znalazłbym pięciu starych ludzi o bardziej przekonującym wyglądzie. Gdybym udał się do arcylektora z brzytwą, poszłoby mi jeszcze lepiej”.

Glokta zerknął na błyszczącą łysinę.

„Zastanawiam się, czy wymaga to golenia głowy każdego ranka?”.

– A pan jest...? – spytał Bayaz.

– Inkwizytor Glokta.

– Ach, z Inkwizycji Jego Królewskiej Mości. Jesteśmy zaszczyceni.

– O nie, to ja mam honor. Jest pan, bądź, co bądź, legendarnym Bayazem, Pierwszym z Magów.

Stary człowiek obdarzył go gniewnym spojrzeniem, w zielonych oczach pojawiła się kłująca twardość.

– Określenie „legendarny” jest może nieco przesadne, ale rzeczywiście jestem Bayaz.

– Pański towarzysz, mistrz Dziewięciopalcy, opisał mi właśnie wydarzenia minionej nocy. To niezwykle barwna historia. Twierdzi, że to pan spowodował... to, co tu widzimy.

Starszy człowiek parsknął pogardliwie.

– Nie mam w zwyczaju przyjmować nieproszonych gości.

– Rozumiem.

– Niestety, wnętrza tego apartamentu poniosły niejaką szkodę. Wiem z doświadczenia, że należy działać szybko i zdecydowanie. To, co jest zniszczone, można potem pozbierać.

– Oczywiście. Proszę mi wybaczyć moją ignorancję, mistrzu Bayazie, ale jak właściwie doszło do tych zniszczeń?

Stary człowiek uśmiechnął się.

– Pojmuje pan, że nie dzielimy się sekretami swojego zakonu z nikim, poza tym obawiam się, że mam już ucznia. – Wskazał niepewnego siebie i zagubionego młodzieńca.

– Już się poznawaliśmy. Proszę wobec tego wyjaśnić to jak najprościej, żebym zrozumiał.

– Nazwałby pan to magią.

– Magią. No tak.

– W rzeczy samej. Magia jest czymś, z czego najbardziej słyniemy – my, magowie.

– Hm. Przypuszczam, że nie zechce pan tego zademonstrować na mój użytek?

– O nie! – Tak zwany czarnoksiężnik parsknął śmiechem. – Nie pokazuję sztuczek.

„Tego starego głupca jest równie trudno zgłębić jak człowieka z Północy. Ten drugi ledwie się odzywa, a pierwszy gada bez końca, ale nic nie mówi.

– Muszę przyznać, że nie mogę pojąć, jak ten intruz się tu dostał. – Glokta rozejrzał się po pokoju, szukając wzrokiem możliwych wejść. – Wartownik niczego nie zauważył, pozostaje więc okno.

Zbliżył się do dziury i wyjrzał na zewnątrz. Kiedyś znajdował się tam balkon, ale teraz pozostały tylko jego kamienne szczątki. Poza tym ściana była gładka, aż do samej wody, która migotała w dole.

– Trudno byłoby się tu wspiać, zwłaszcza w sukni. Właściwie jest to niemożliwe, nie sądzicie? Jak według was ta kobieta tego dokonała?

Starszy człowiek prychnął.

– Oczekuje pan, że wyręcę pana w obowiązkach? Może wspięła się tu po rynnie, która prowadzi do wychodka?

„Niejaka drażliwość, i to perfekcyjnie udana. Mina urażonej niewinności, tak przekonująca, że niemal uwierzyłem w te brednie. Niemal, ale nie do końca”.

– Na tym właśnie polega problem. Nie ma śladu waszego tajemniczego intruza. Nie znaleziono żadnego ciała. Trochę drewna, kawałki mebli, porozrzucone na dole resztki muru. Ale ani śladu intruza, mężczyzny czy kobiety.

Mag popatrzył na Gloktę. Jego czoło znaczyła głęboka bruzda.

– Być może ciało spłonęło na popiół. Być może zostało rozerwane na strzępy, na kawałeczki tak małe, że nie sposób ich zobaczyć, albo wyparowało w powietrzu. Magia nie zawsze bywa precyzyjna czy przewidywalna, nawet w dłoniach mistrza. Takie rzeczy się zdarzają. Bez trudu. Zwłaszcza, gdy ogarnia mnie irytacja.

– Obawiam się, że być może ją właśnie wywołam. Przyszło mi do głowy, że wcale nie musi być pan Bayazem, Pierwszym z Magów.

– Doprawdy? – spytał starszy mężczyzna, ściągając krzaczaste brwi.

– Powiniennem przynajmniej dopuszczać taką możliwość... – W pomieszczeniu zapadła pełna napięcia cisza. – Że jest pan uzurpatorem.

– Oszustem? – warknął tak zwany mag.

Blady młodzieniec schylił głowę i wycofał się bezgłośnie pod ścianę. Glokta poczuł się nagle bardzo samotny pośrodku tego pobojuwiska, samotny i coraz bardziej niepewny siebie, ale nie poddawał się.

– Przyszło mi do głowy, że całe to wydarzenie zostało zaaranżowane z myślą o nas. Korzystna demonstracja pańskich magicznych mocy.

– Korzystna? – syknął łysy mężczyzna nienaturalnie głośno. – Korzystna, powiada pan? Wie pan, co byłoby korzystne? Gdybym mógł przespać noc. Gdybym teraz zasiadał na swoim miejscu w Zamkniętej Radzie. Gdyby ludzie traktowali moje słowa na równi z prawem, tak jak miało to miejsce kiedyś, bez zadawania mi głupich pytań!

Podobieństwo do posągu stojącego przy Drodze Królewskiej wydało się nagle nieco wierniejsze. Można było teraz dostrzec na tym obliczu władczy grymas, pogardliwy uśmiech, groźbę przerażającego gniewu. Słowa starego człowieka przygniatały Gloktę niczym straszliwy ciężar,



pozbawiając jego ciało tchu, niemal rzucając go na kolana, wdzierając się w głąb jego czaszki, sącząc w nią podstępnie wątpliwości. Zerknął na dziurę, która zionęła w ścianie.

„Katapulty? Ludzie? Nie ma prostszego wyjaśnienia?”

Wydawało się, że świat przesuwa się wokół niego, jak przed kilkoma dniami w gabinecie arcylektora; jego umysł obracał na wszystkie strony te kawałki, rozkładał je i składał z powrotem.

„A jeśli po prostu mówią prawdę? A jeśli... Nie!”

Glokta czym prędzej stłumił tę myśl. Podniósł głowę i obdarzył ze swej strony starego człowieka szyderczym uśmiechem, chcąc dać mu do myślenia.

„Starzejący się aktor z ogoloną głową i budzącym zaufanie sposobem bycia. Nic więcej”.

– Jeśli jest pan tym, za kogo się podaje, to nie musi się pan obawiać moich pytań ani swoich odpowiedzi.

Stary człowiek skrzywił usta w uśmiechu i nagle dziwne ciśnienie ustąpiło.

– Pańska szczerłość, inkwizytorze, doprawdy podnosi na duchu. Nie wątpię, że za wszelką cenę będzie chciał pan udowodnić swoją teorię. Życzę powodzenia. Ja, jak pan zauważył, nie mam się czego obawiać. Prosiłbym tylko, by znalazł pan jakiś dowód oszustwa, nim zechce pan znów nas niepokoić.

Glokta skłonił się sztywno.

– Spróbuję tego dokonać – oświadczył i ruszył w stronę drzwi.

– Jeszcze jedno! – Straszny człowiek patrzył w stronę dziury w ścianie. – Czy byłoby możliwe znaleźć dla nas jakieś inne komnaty? Wieje tędy zimny wiatr.

– Zajmę się tym.

– To dobrze. Może gdzieś, gdzie jest mniej schodów. Dokuczają mi ostatnio kolana.

„Doprawdy? W tym jednym możemy się zgodzić”.

Glokta po raz ostatni obrzucił uważnym spojrzeniem wszystkich trzech. Łysy człowiek patrzył na niego niewzruszony, jego twarz nic nie mówiła. Chudy młodzieniec podniósł zaciekawiony wzrok, ale szybko spojrział gdzie indziej. Ten z Północy wciąż wpatrywał się w drzwi latryny.

„Szarlatani, uzurpatorzy, szpiedzy. Ale jak to udowodnić?”

– Życzę miłego dnia, panowie – powiedział i pokuśtykał ku schodom, siłąc się na godność.



# Szlachectwo

Jezał zgolił ostatnie jasne włoski ze szczęki i oplukał w misce brzytwę. Potem wysuszył ją szmatką, złożył i umieścił na stole, podziwiając blask słońca na rączce z macicy perłowej.

Otarł twarz, a potem – najprzyjemniejsza chwila dnia – spojrzął na swoje odbicie w lustrze. Doskonałe zwierciadło, świeżo sprowadzone z Visserine, prezent od ojca: owal gładkiego szkła w bogato rzeźbionej ramie z drewna. Odpowiedni rekwizyt dla tak przystojnego mężczyzny jak ten, który spoglądał zadowolony z lustra. Szczerze mówiąc, określenie „przystojny” nie do końca oddawało doskonałość jego rysów.

– Jesteś piękny, prawda? – powiedział do siebie, przesuwając z uśmiechem palcami po gładkiej skórze brody. Cóż za wspaniałą zarys szczęki. Często mu mówiono, że to najlepsza cecha jego wyglądu, co nie znaczy, by z resztą było coś nie tak. Obrócił się w prawo, potem w lewo, by tym dokładniej podziwiać wspaniałą brodę. Nie za ciężka ani za wyrazista, ale też nie za delikatna, kobieca czy miękka. Męska bez wątpienia, z nieznacznym wgłębieniem pośrodku, świadcząca o sile i autorytecie, ale jednocześnie wrażliwości i zdolności do refleksji. Czy ktoś kiedykolwiek odznaczał się taką szczęką? Może jakiś król albo bohater z legend miał niemal równie doskonałą. Była to arystokratyczna szczęka, bez wątpienia. Żaden człowiek z gminu nie mógłby się taką pochwalić.

Jezał przypuszczał, że odziedziczył ją po kimś ze strony matki. Jego ojciec miał dość słabo zaznaczoną brodę. Podobnie jak bracia, jeśli się głębiej zastanowić. Siłą rzeczy zrobiło mu się ich żal – zgarnął wszystko, co najlepsze.

– I talent – mruknął do siebie zadowolony.

Odwrócił się od lustra z pewną niechęcią, by włożyć koszulę i zapiąć ją pod szyją. Musiał tego dnia wyglądać jak najlepiej. Ta myśl przyprawiła go o nieznaczny dreszcz niepokoju, który zrodził się w żołądku, a potem powędrował aż do gardła.

Wiedział, że do tej pory otwarto już bramy i że do Agriontu napływał niepowstrzymany strumień ludzi, którzy zaczną niebawem zajmować miejsca na wielkich drewnianych ławach wokół placu Marszałków. Tysiące. Każdy, kto był kimś, i inni, znacznie liczniejsi, którzy byli nikim. Zbierali się już: wołali, przepychali się, ekscytowali i czekali... na niego. Jezał zakaszłał, starając się uciec od tej myśli. Już i tak nie zmrużył z tego powodu oka przez pół nocy.

Podszedł do stołu, gdzie stała taca ze śniadaniem. Wziął odruchowo w palce kielbasę i odgryzł jej koniec, po czym zaczął przeżuwać bez satysfakcji. Zmarszczył nos i rzucił kielbasę z powrotem na półmisek. Nie miał tego ranka apetytu. Wycierał właśnie palce o szmatkę, kiedy zauważył coś leżącego na podłodze przy drzwiach – kawałek papieru. Schylił się, podniósł go i rozłożył. Jedno zdanie, pismo staranne i precyzyjne:

„Spotkaj się ze mną wieczorem, przy posągu Haroda Wielkiego, niedaleko Czterech Narożników – A”.

– Do diabła – mruknął z niedowierzaniem, odczytując to zdanie raz za razem.

Złożył starannie papier i rozejrzał się nerwowo po pokoju. Przychodziła mu do głowy tylko jedna „A”. Nie myślał o niej przez kilka ostatnich dni, każdą wolną chwilę spędzając na ćwiczeniach. Teraz wszystko powróciło, a on nie miał co do tego żadnych wątpiwości.

– Do diabła! – powtórzył, rozłożył papier i jeszcze raz przebiegł wzrokiem po słowach.

„Spotkaj się ze mną wieczorem”? Odczuł niejaką satysfakcję, która niebawem zajaśniała pełnym

blaskiem zadowolenia. Jego usta wykrzywiły się w tępych uśmiechu. Sekretne spotkania w ciemności? Poczł dreszcz podniecenia na skórze. Ale sekrety mają to do siebie, że czasami wydostają się na powierzchnię; a jeśli jej brat się dowie? Na tę myśl znów ogarnął go niepokój. Ujął papier obiema dłońmi, gotów przedrzeć go na pół, ale w ostatniej chwili złożył na powrót i wsunął do kieszeni.

\* \* \*

Kiedy Jezal szedł tunelem, słyszał wrzawę tłumu. Dziwny, odbijający się echem pomruk, jakby płynący z samych kamieni. Słyszał go wcześniej, jako widz podczas zeszłorocznego turnieju, ale wtedy nie przyprawiał go o pot i nie wywraçał mu wnętrzości. Pomyślał, że miejsce na widowni dzieli od miejsca na arenie cały świat.

Zwolnił kroku na chwilę, a potem przystanął, zamykając oczy i opierając się o ścianę. W uszach rozbrzmiewał mu ryk trybun. Próbował odetchnąć głęboko i opanować się.

– Nie martw się, wiem, co w tej chwili czujesz. Jezal poczuł na ramieniu uspokajającą dłoń Westa.

– Niemal zawróciłem i uciekłem za pierwszym razem, ale to minie, gdy tylko dobędziecie ostrzy, wierz mi – zapewnił major.

– Tak – wymamrotał Jezal. – Oczywiście.

Wątpił, czy West naprawdę wie, jak się czuł. Jego przyjaciel brał dwukrotnie udział w turnieju, ale Jezal nie przypuszczał, by jednocześnie rozmyślał o tajemnym spotkaniu z siostrą swego najlepszego przyjaciela, jeszcze tej samej nocy. Zastanawiał się, czy West byłby równie troskliwy, gdyby znał treść listu schowanego w kieszeni na piersi. Nie wydawało mu się to możliwe.

– Lepiej chodźmy. Nie chcesz chyba, żeby zaczęli bez nas.

– Nie.

Jezal wciągnął głęboko powietrze w płuca, otworzył oczy i odetchnął. Potem odsunął się od ściany i ruszył szybko w głąb tunelu. Ogarnęła go gwałtowna fala paniki – gdzie były jego ostrza? Zaczł rozglądać się wokół siebie rozpaczliwie, ale po chwili westchnął z ulgą. Trzymał je w dłoni.

W sali na końcu tunelu zebrał się spory tłum: instruktorzy, sekundanci, przyjaciele, członkowie rodzin i pieczeniarze. Bez trudu jednak można było rozpoznać uczestników turnieju: piętnastu młodych mężczyzn, którzy ściskali w ręku ostrza. Strach był wyczuwalny i zaraźliwy. Gdziekolwiek Jezal spojrzł, widział blade, zdenerwowane twarze, spoczone czoła, niespokojne i rozbiegane oczy. Wrzawa tłumu nie pomagała, złowieszczą głośną za zamkniętymi podwójnymi drzwiami na końcu sali, narastająca i cichnąca na przemian niczym wzburzone morze.

Tylko jeden człowiek zdawał się nieporuszony tym wszystkim; trzymał się z boku i opierał o ścianę, zgiąwszy nogę w kolanie, tak że dotykał podeszwą buta tynku. Głowę miał odchyloną i spoglądał na obecnych spod zmrużonych powiek. Większość uczestników turnieju odznaczała się gibką, żyłastą i mocną budową ciała. On nie przypominał ich pod żadnym względem. Przysadzisty mężczyzna o krótko ostrzyżonych ciemnych włosach. Miał grubą szyję i wystającą szczękę, przywodzącą na myśl szeroki stopień schodów – szczękę człowieka z gminu, jak przyszło do głowy Jezalowi, ale człowieka silnego, który skrywa w sobie coś podłego. Jezal mógłby wziąć go za służącego, gdyby nie ostrza, które trzymał luźno w ręku.

– Gorst – wyszeptał Jezalowi w ucho West.

– Hm. Wygląda bardziej na zwykłego robotnika niż szermierza.

– Może i tak, ale wygląd czasami myli.

Wrzawa na trybunach cichła z wolna, a wraz z nią gwar nerwowych rozmów w sali. West uniósł brwi.

– Przemówienie króla – powiedział cicho.

„Moi przyjaciele! Moi rodacy! Obywatele Unii!” – dobiegł dźwięczny głos, dobrze słyszalny nawet zza ciężkich drzwi.

– Hoff – prychnął ironicznie West. – Nawet tutaj zajmuje miejsce władcy. Dlaczego nie włoży po prostu korony i nie załatwi sprawy raz na zawsze?

„Dokładnie miesiąc temu – dobiegł z dala donośny głos marszałka dworu – moi koledzy z Zamkniętej Rady postawili pytanie... czy w tym roku powinien się odbyć turniej?”

W tłumie dało się słyszeć okrzyki dezaprobaty i sprzeciwu.

„Słuszne pytanie! – zwołał Hoff. – Jesteśmy bowiem w stanie wojny! Toczymy śmiertelny bój na Północy! Swobody, które są nam tak drogie, wolność, której zazdrości nam świat, i nasz styl życia są zagrożone przez barbarzyńców!

Po sali zaczął krążyć urzędnik, oddzielając uczestników turnieju od rodzin, instruktorów, przyjaciół.

– Powodzenia. – West klepnął Jezala w ramię. – Zobaczą cię już na arenie.

Jezal miał tak suche usta, że mógł tylko skinać głową.

„I pytanie to zadali odważni ludzie! – grzmiał głos Hoffa zza drzwi. – Mądrzy ludzie! Bez wyjątku patrioci! Moi lojalni koledzy z Zamkniętej Rady! Rozumiem, dlaczego uważali, że turniej nie powinien się odbyć w tym roku! – Nastąpiła długa chwila milczenia. – Ale powiedziałem im: Nie”.

Wybuch szaleńczej wrzawy. „Nie! Nie!” – krzyczał tłum. Jezal stanął karnie w szeregu wraz z innymi uczestnikami turnieju, po dwóch obok siebie, osiem par. Manipulował przy swoich ostrzach – choć sprawdził je już ze dwadzieścia razy – podczas gdy marszałek dworu kontynuował przemowę.

„Powiedziałem im: Nie!. Czy mamy pozwolić, by ci barbarzyńcy, ci zdziczali ludzie lodowatej Północy deptali nasz styl życia? Czy mamy pozwolić, by ten symbol wolności pośród mroku świata został zduszony? Nie, powiedziałem im! Nasze swobody nie są na sprzedaż za żadną cenę! Jednego możecie być pewni, moi przyjaciele, moi rodacy, drodzy obywatele Unii – wygramy tę wojnę!”.

Po trybunach przetoczyła się kolejna fala entuzjazmu. Jezal przełknął i rozejrzał się nerwowo. Obok niego stał Bremer dan Gorst. Ten umięśniony drań miał czelność mrugać i uśmiechać się, jakby nic go nie obchodziło.

– Cholerny idiota – wyszeptał Jezal, ale zważał, by jego wargi się nie poruszały.

„Tak więc, moi przyjaciele, tak więc – znów dobiegł głos Hoffa – czyż może być wspanialsza okazja, kiedy stoimy na krawędzi niebezpieczeństwa? Okazja, by uczcić talent, siłę, sprawność najlepszych synów naszego kraju! Obywatele, rodacy z Unii, oto wasi uczestnicy turnieju!”.

Drzwi się otworzyły i do sali wtargnął ryk tłumu, dzwoniąc w belkach pod stropem, nagle i ogłuszająco. Pierwsza para szermierzy ruszyła w stronę skąpanej w słońcu, zwieńczonej łukiem bramy, potem następna, potem kolejne. Jezal był pewien, że zastygnie, że znieruchomieje jak królik i zacznie się gapić, ale gdy przyszła jego kolej, ruszył po męsku wraz z Gorstem, stukając obcasami wysokich wypolerowanych butów o kamienne płyty sali, po czym przeszedł pod wysokim sklepieniem bramy.

Plac Marszałków zmienił się nie do poznania. Z wszystkich stron wznosiły się rzędy ławek, w głąb i w górę, wypełnione do ostatniego miejsca ruchliwym mrowiem ludzi. Uczestnicy turnieju podążali głęboką doliną między strzelistymi trybunami ku środkowi wielkiej areny, otoczeni z obu

stron belkami, rozporami i słupami grubości drzew, niczym gęstym lasem. Z przodu, daleko na pierwszy rzut oka, widniał krąg szermierczy, niewielki pierścień pożółkłej trawy pośród morza ludzkich twarzy.

Na dolnych miejscach Jezal dostrzegał oblicza bogatych i szlachetnie urodzonych. Ubrani w swe najlepsze stroje, osłaniający oczy przed jasnym słońcem, w większości odpowiednio obojętni wobec spektaklu, który się przed nimi rozgrywał. Nieco dalej i wyżej postaci nie były już tak zróżnicowane i wyraźne, odzienia już nie tak wspaniałe. Tłum w znacznej części jawił się jako barwne plamy i cętki, stłoczone na przyprowadzającej o zawrót głowy wysokości, ale gmin rekompensował sobie odległe miejsca nieskrywaniem podnieceniem: ludzie wiwatowali, krzyczeli, stawali na palcach i machali w górze rękami. Ponad nimi wyglądały ciekawie szczyty najwyższych budynków wokół placu; ich ściany i dachy przypominały wyspy wystrzelające z oceanu, a parapety i okna roiły się od maleńkich widzów.

Jezal popatrzył zdumiony na ten wielki spektakl ludzki. Uświadamiał sobie mgliscie, że ma otwarte usta, ale był zbyt oszołomiony, by je zamknąć. Do diabła, czuł mdłości. Wiedział, że powinien wcześniej coś zjeść, ale teraz było za późno. A gdyby zwymiotował, tutaj, na oczach połowy świata? Znów poczuł, jak zalewa go fala ślepej paniki. Gdzie zostawił swoje ostrza? Gdzie były? W jego dłoni. W jego dłoni. Tłum grzmiał, wzdychał, zawodził nieprzeliczonymi głosami.

Uczestnicy turnieju zaczęli oddalać się od kręgu. Nie wszyscy mieli tego dnia walczyć, większości przypadła rola obserwatorów. Jakby byli jeszcze potrzebni widzowie. Ruszyli w stronę przednich rzędów, ale Jezal nie przyłączył się do nich, czego bardzo żałował. Skierował się ku zadaszeniu, gdzie uczestnicy przygotowywali się do walki.

Osunął się ciężko na ławkę obok Westa, zamknął oczy i otarł spocone czoło, podczas gdy tłum nie przestawał szaleć. Wszystko było zbyt jaskrawe, zbyt głośnie, zbyt przygniatające. Marszałek Varuz przebywał w pobliżu, właśnie wychylał się za balustradę, by krzyknąć coś komuś do ucha. Jezal spojrzął w stronę łoża królewskiej po drugiej stronie areny. Miał nadzieję, że uda mu się choć przez chwile skupić na czymś uwagę.

– Zdaje się, że Jego Wysokość dobrze się bawi – wyszeptał mu w ucho West.

– Mhm.

Król zdążył już zasnąć, a korona przekrzywiła mu się na głowie. Jezal zastanawiał się bezsensownie, co by się stało, gdyby spadła.

Następca tronu Ladsila też był obecny, w olśniewającym nieodmiennie stroju, spoglądając na arenę z szerokim i promiennym uśmiechem, jakby wszyscy zjawili się tu wyłącznie dla niego. Jego młodszy brat, książę Raynault, wyglądał zupełnie inaczej: skromnie ubrany i poważny, patrzył z troską na półprzytomnego ojca. Ich matka, królowa, siedziała obok, wyprostowana, z dumnie uniesioną brodą, udając skrupulatnie, że jej dostoyny małżonek jest w pełni świadomy tego, co się wokół rozgrywa, i że jego koronie nie grozi nagły upadek na jej kolana. Między nią a lordem Hoffem Jezal wypatrzył jakąś młodą kobietę – niezwykle piękną. Miała na sobie jeszcze wspanialszy strój niż Ladsila, jeśli w ogóle było to możliwe, na szyi zaś nosiła łańcuch z ogromnymi diamentami, które połyskiwały w słońcu.

– Kto to jest? – spytał Jezal.

– Och, księżniczka Terez – mruknął West. – Córka wielkiego księcia Orso, lorda Talinsu. Słynie z urody; przynajmniej ten jeden raz plotka nie wydaje się przesadzona.

– Myślałem, że z Talinsu nie może pochodzić nic dobrego.

– Też tak słyszałem, ale wydaje mi się, że ona jest wyjątkiem, nie sądzisz?

Jezal nie był do końca przekonany. Robiła bez wątpienia wrażenie, ale w oczach miała

lodowaty i dumny błysk.

– Królowa pragnie chyba, żeby księżniczka poślubiła księcia Ladislę.

Jezal zobaczył, że następca tronu nachyla się obok matki, by zaszczycić księżniczkę jakąś bezsensowną rozmową, po czym wybucha śmiechem z własnego żartu, klepiąc się z zadowoleniem w kolano. Młoda kobieta obrzuciła go chłodnym spojrzeniem, nie kryjąc pogardy, co było widoczne nawet z tej odległości. Ladisła zdawał się jednak tego nie dostrzegać i Jezal niebawem przestał zwracać na nich uwagę. W stronę kręgu zbliżał się ciężkim krokiem jakiś wysoki mężczyzna w czerwonym płaszczu. Sędzia.

– Już czas – mruknął West.

Sędzia uniósł rękę teatralnym gestem, wyciągnawszy dwa palce, i obrócił się z wolna dookoła, czekając, aż wrzawa ucichnie.

– Dzisiaj będziecie mieli przyjemność obejrzyć dwa pojedynki! – zagrział, po czym wyrzucił w górę drugą rękę z trzema wyciągniętymi palcami, co spotkało się z aplauzem widowni. – Do trzech trafień! – Wyrzucił w górę oba ramiona. – Czterech ludzi będzie walczyć na waszych oczach! Dwaj wróć do domu... z pustymi rękami. – Sędzia opuścił jedno ramię, potrząsnął ze smutkiem głową, a tłum westchnął. – Ale dwaj przejdą do następnej rundy!

Widzowie wyrazili głośno aprobatę.

– Gotowy? – spytał marszałek Varuz, pochylając się nad ramieniem Jezala.

Co za cholernie głupie pytanie. A gdyby nie był gotowy? Co wtedy? Miałby odwołać wszystko? Przepraszam, wybaczenie, nie jestem gotów? Do zobaczenia za rok? Lecz Jezal mógł tylko wymamrotać: „Uhm”.

– Nadszedł czas! – zawołał sędzia, obracając się powoli pośrodku areny. – Pierwszy pojedynek!

– Kurtka! – warknął Varuz.

– Aha.

Jezal zaczął grzebać przy guzikach i ściągnął kurtkę, po czym machinalnie podwinął rękawy koszuli. Zerknął w bok i zobaczył, że jego przeciwnik czyni podobne przygotowania. Wysoki, chudy młody człowiek o długich ramionach i niepewnych, lekko zamglonych oczach. Nie wyglądał groźnie. Jezal zauważył, że tamtemu drżą nieznacznie ręce, kiedy odbierał od swego sekundanta ostrza.

– Szkolony przez Seppa dan Vissena i pochodzący z Rostodu w Stariklandzie... – sędzia zrobił efektowną pauzę – ...Kurtis dan Broya!

Rozległy się entuzjastyczne brawa. Jezal parsknął pogardliwie. Ci klauni będą oklaskiwać każdego.

Wysoki młody człowiek podniósł się ze swego miejsca i zbliżył zdecydowanym krokiem do kręgu, błyskając w słońcu ostrzami.

– Broya! – powtórzył sędzia, gdy ten tyczkowaty głupiec zajął swoje miejsce.

West wyciągnął z pochwy ostrza Jezala, któremu znów zrobiło się niedobrze, kiedy usłyszał metaliczny brzęk stali.

Sędzia ponownie wskazał miejsce dla uczestników turnieju.

– A jego dzisiejszy przeciwnik to oficer gwardii królewskiej, wyszkolony przez samego lorda marszałka Varuza!

Gdzieniedzie odezwał się aplauz i stary żołnierz rozpromienił się uszczęśliwiony.

– Pochodzący z Lutharu w Midderlandzie, ale przebywający tutaj, w Agrioncie... kapitan Jezal dan Luthar!

Kolejna fala aplauzu, znacznie głośniejszego niż ten, który otrzymał Broya. Ponad wrzawą

wznosiły się pojedyncze krzyki. Rzucano donośnym głosem liczby. Proponowano zakłady. Jezal znów poczuł mdłości.

– Powodzenia – powiedział West, wręczając Jezalowi obnażoną stal, którą trzymał za ostrza.

– Nie potrzebuje szczęścia! – rzucił gniewnie Varuz. – Ten Broya jest nikim! Uważaj na zasięg jego ramion! Atakuj go, Jezal, atakuj!

Wydawało się, że dotarcie do kręgu niskiej suchej trawy trwa wiecznie. Wrzawa tłumu rozbrzmiewała w uszach Jezala ogłuszająco, ale jeszcze bardziej ogłuszająco biło mu serce, kiedy obracał w spoconych dłoniach rękojeści ostrzy.

– Luthar! – powtórzył sędzia, uśmiechając się szeroko na widok zbliżającego się Jezala.

Przez głowę przelatywały mu bezsensowne i zbędne pytania. Czy gdzieś w tym tłumie jest Ardee? Może się zastanawia, czy adresat jej listu przyjdzie na spotkanie tej nocy? Czy on, Jezal, zginie na wojnie? W jaki sposób umieścili ten krąg trawy na placu Marszałków? Zerknął na Broya. Czy jego przeciwnik czuł się tak samo? Tłum zachowywał się teraz cicho, bardzo cicho. Brzemie milczenia przygniatało Jezala, kiedy zajmował swoje miejsce w kręgu szermierczym, stawiając stopy na suchej ziemi. Broya poruszył ramionami, potrząsnął głową, uniósł ostrza. Jezalowi zachciało się siusiać. I to bardzo. Co by było, gdyby zlał się teraz? Na jego spodniach pojawiłaby się wielka ciemna plama. Człowiek, który zsiąkał się podczas turnieju. Nigdy nie zmazałby tej hańby, nawet gdyby mu przyszło żyć sto lat.

– Zaczynajcie! – zagrzmiął sędzia.

Nic się jednak nie stało. Obaj mężczyźni stali bez ruchu, patrząc na siebie i trzymając ostrza w pogotowiu. Jezal poczuł, że drga mu brew. Chciał się w nią podrapać, ale jak? Jego przeciwnik oblizwał wargi, po czym postąpił ostrożny krok w lewo. Jezal zrobił to samo. Obchodzili się czujnie, ich buty chrzęściły cicho na suchej trawie: powoli zbliżali się do siebie; świat Jezala skurczył się do przestrzeni między czubkami ich długich ostrzy. Teraz to był tylko krok. Tylko odległość ludzkiej stopy. Tylko kilka centymetrów. Jezal skupił całą uwagę umysłu na tych dwóch migoczących ostrzach. Trzy centymetry. Broya wykonał pchnięcie, bez przekonania i słabo, i Jezal sparował je niemal odruchowo.

Ostrza zabręczały cicho o siebie i, jakby był to umówiony sygnał dla wszystkich obecnych na widowni, znów rozległy się krzyki, na początku rozproszone:

– Zabij go, Luthar!

– Tak!

– Tnij! Tnij!

Wkrótce jednak te wołania rozplynęły się w ogólnym pomruku, w gniewnym morzu tłumu, wznosząc się i opadając wraz z ruchem przeciwników w obrębie koła.

Im dłużej Jezal się przyglądał temu chudemu durniowi, tym czuł się coraz bardziej ośmielony. Jego nerwy zaczęły się uspokajać. Broya dźgnął nieporadnie, Jezal zaś ledwie się poruszył. Broya ciał bez przekonania, a Jezal sparował ten atak bez wysiłku. Broya rzucił się do przodu, wręcz nieumiejętnie, stracił równowagę i za bardzo wyciągnął rękę. Jezal uskoczył i trafił przeciwnika w żebra tępym końcem długiej stali. Było to takie łatwe.

– Trafienie dla Luthara! – krzyknął sędzia, a po widowni przetoczyła się fala wiwatów.

Jezal uśmiechnął się do siebie, chłonąc uwielbienie tłumu. Varuz miał rację, ten idiota nie mógł mu w żaden sposób zagrozić. Jeszcze jedno trafienie i przejdzie do następnej rundy.

Wrócił na swoje miejsce i Broya zrobił to samo, rozcierając sobie żebra i spoglądając na Jezala złowrogo. Jezal nie dał się zastraszyć. Gniewne spojrzenia przynoszą skutek tylko wtedy, gdy umie się walczyć.



– Zaczynajcie!

Tym razem zwarli się szybko i wymienili kilka cięć. Jezal nie mógł wprost uwierzyć, że jego przeciwnik porusza się tak wolno. Jakby każdy z jego mieczy ważył tonę. Broya zakręcił w powietrzu długim ostrzem, starając się przygwoździć Jezala. Jak dotąd, prawie nie posługiwał się krótszym, nie wspominając już o jednoczesnym użyciu obu stali. Co gorsza, zaczynało mu brakować tchu, a przecież fechtowali zaledwie od niespełna dwóch minut. Czy w ogóle ćwiczył przed turniejem, ten prostak? Czy tylko fechtował się z jakimś służącym w bocznej uliczce? Jezal odskoczył i zaczął tańczyć wokół swojego przeciwnika. Broya ruszył na niego, z uporem, ale nieumiejętnie. Pojedynek zaczął wyglądać żenująco. Nikomu nie podoba się walka nierównych sił, a nieporadność tego durnia nie pozwalała Jezalowi zabłyszczeć.

– Och, dosyć już tego! – krzyknął poirytowany.

Trybuny zagrzmiały śmiechem. Broya zacisnął zęby i rzucił na szalę wszystkie swoje umiejętności, jakkolwiek niewielkie. Jezal opędzał się od niechcenia, umykał bez trudu przeciwnikowi i poruszał się tanecznym krokiem w obrębie koła, tamten zaś ścigał go zdyszany, zawsze trzy kroki w tyle. Nie było w jego ruchach precyzji, szybkości, jakiegokolwiek myśli. Jeszcze kilka minut wcześniej Jezal był przerażony perspektywą pojedynku z tym chudym głupcem. Teraz odczuwał niemal znudzenie.

– Ha! – zawołał, ruszając nagle do ataku i pozbawiając rywala równowagi bezlitosnym pchnięciem. Broya zatoczył się do tyłu. Tłum ożył, wyrażając głośnym rykiem swą aprobatę. Jezal ciął raz za razem, Broya blokował rozpaczliwie, ale trzymał się na nogach niepewnie; odskoczył, parując ostrze przeciwnika po raz ostatni, i potknął się, po czym zamachał bezradnie rękami, wypuszczając z dłoni krótsze ostrze. Wpadł poza krąg i runął ciężko na tyłek.

Rozległ się ogłuszający śmiech widzów. Jezal nie mógł się powstrzymać i przyłączył się do ogólnej wesołości. Nieszczęsny bałwan wyglądał rzeczywiście zabawnie, rozciągnięty na plecach, z nogami w powietrzu, niczym bezradny żółw.

– Kapitan Luthar zwycięża! – zagrzemiał sędzia. – Dwa do zera!

Śmiech przeszedł w szyderczą wrzawę, gdy Broya przekręcił się na bok. Ta niezdara była bliska łez. Jezal postąpił krok w stronę młodzieńca i wyciągnął do niego rękę, nie mógł się jednak powstrzymać od ironicznego uśmiešku. Jego pokonany adwersarz odrzucił ofertę pomocy, po czym dźwignął się z ziemi i posłał Jezalowi spojrzenie nienawiści i jednocześnie urazy. Jezal wzruszył ramionami.

– To nie moja wina, że jesteś do niczego.

\* \* \*

– Jeszcze? – spytał Kaspas, podsuwając niepewną ręką butelkę; oczy zachodziły mu pijacką mgłą.

– Nie, dzięki. – Jezal odsunął delikatnie flaszkę, nim porucznik miał czas ponownie nalać.

Kaspas popatrzył zaskoczony mętłym wzrokiem i zwrócił się do Jalenhorma.

– Jeszcze?

– Zawsze. – Wielki mężczyzna podsunął szklankę po surowym drewnie stołu zdecydowanym ruchem, który mówił: „Nie jestem pijany”, choć oczywiście był.

Kaspas przechylił flaszkę, wpatrując się w szkło, jakby znajdowało się bardzo daleko. Jezal

patrzył na szyjkę butelki, która najpierw zadrżała, a potem stuknęła o brzeg szklanki. Nieuchronność katastrofy była niemal bolesna. Wino rozlało się na stół i ochlapało kolana Jalenhorma.

– Jesteś pijany! – poskarżył się olbrzym, który wstał z wysiłkiem i otrzepał się wielkimi, nieporadnymi dłońmi, przewracając przy okazji stołek. Kilkoro gości obserwowało ich stół z nieskrywaną niechęcią.

– Zawsze – zachichotał Kaspas.

West podniósł na chwilę wzrok znad swojego kieliszka.

– Obaj jesteście pijani.

– To nie nasza wina. – Jalenhorm zaczął szukać stołka. – To przez niego!

Wskazał niepewnym palcem Jezala.

– Wygrał! – wybełkotał Kaspas. – Wygrał i teraz musimy to uczcić!

Jezal wolałby, żeby nie świętowali tak bardzo. Zaczynało to być żenujące.

– Moja kuzynka Ariss tam była... widziała wszystko. Nie kryła zachwyty. – Kaspas objął gwałtownym ruchem ramiona Jezala. – Chyba jest tobą zaurczona... zaurczona... zaurczona. – Poruszał mokrymi wargami tuż przed twarzą Jezala, starając się wymówić poprawnie to słowo. – Jest bardzo bogata, jak wiesz, bardzo bogata. Zaurczona.

Jezal zmarszczył nos. Nie był nawet odrobinę zainteresowany tą jego widmową, prostacką kuzynką, bez względu na to, jak była bogata, poza tym Kaspas miał cuchnący oddech.

– Dobra... uroczą.

Jezal wyswobodził się z objęć Kaspasy, robiąc to niezbyt delikatnie.

– A więc kiedy zaczynamy naszą sprawę na Północy? – spytał Brint nieco zbyt głośno, jakby nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie wyruszy. – Niebawem, mam nadzieję. Przed zimą wrócimy do domu, co, majorze?

– Hm... – mruknął West, marszcząc czoło. – Będziemy mieli szczęście, jeśli przed zimą wyruszymy, biorąc pod uwagę szybkość, z jaką działamy.

Brint sprawiał wrażenie nieco zaskoczonego.

– No cóż, mam nadzieję, że zlejemy skórę tym dzikusom, kiedykolwiek tam dotrzemy.

– Zlejemy im skórę! – wrzasnął Kaspas.

– Tak – przytaknął Jalenhorm.

West nie podzielał optymistycznego nastroju.

– Nie byłbym tego taki pewien. Widzieliście tych ludzi z zaciągu? Zauważyliście, w jakim są stanie? Ledwo chodzą, a co dopiero mówić o walce. To hańba.

Jalenhorm zbył jego słowa lekceważącym machnięciem ręki.

– Co z Północy to tylko banda pieprzonych dzikusów, nic więcej! Powalimy ich na tyłki, jak zrobił to dziś Jezal z tym idiotą. Będziemy w domu przed zimą, wszyscy tak mówią!

– Znasz tamtejszą ziemię? – spytał West, nachylając się nad stołem. – Lasy, góry, rzeki, bez końca. Niewiele otwartej przestrzeni, na której można by walczyć, niewiele dróg, po których można by maszerować. Żeby komuś złoić skórę, trzeba tego kogoś najpierw złapać. W domu przed zimą? Masz na myśli chyba następną zimą, jeśli w ogóle wrócimy.

W szeroko otwartych oczach Brinta malowało się przerażenie.

– Nie mówisz poważnie!

– Nie... nie, masz rację. – West westchnął i otrząsnął się. – Jestem pewien, że wszystko się dobrze skończy. Chwała i awanse. W domu przed zimą. Wziąłbym jednak ze sobą ciepły płaszcz.

W grupie zapanowało niespokojne milczenie. Twarz Westa wykrzywiał grymas troski, który świadczył o tym, że major tego wieczoru nie odzyska już humoru. Brint i Jalenhorm wyglądali na

zaskoczonych i skwaśniałych. Tylko Kasper zachował dobre samopoczucie; kiwał się na krześle z przymkniętymi oczami, szczęśliwie nieświadomy otoczenia.

Wspaniałe przyjęcie.

Jezał ze swej strony czuł się zmęczony, poirytowany i zatroskany. Zatroskany o turniej, zatroskany o wojnę... zatroskany o Ardee. Wciąż miał ten list, który spoczywał złożony w jego kieszeni. Zerknął na Westa, potem szybko odwrócił wzrok. Do diabła, czuł się winny. Nigdy wcześniej tego nie doznawał i nie podobało mu się to nawet odrobinę. Gdyby się z nią nie spotkał, robiłby sobie wyrzuty, że pozostawił ją swojemu losowi. Gdyby się z nią spotkał, robiłby sobie wyrzuty, że złamał słowo dane Westowi. Niezły dylemat. Jezał gryzł nerwowo paznokcie. Co u diabła miała w sobie ta przeklęta rodzina?

– No cóż – rzucił ostro West. – Muszę iść. Wstaję wcześniej rano.

– Mhm... – mruknął Brink.

– Racja – dodał Jalenhorn.

West spojrzał Jezałowi w oczy.

– Mogę zamienić z tobą słowo?

Wyraz jego twarzy był poważny, surowy, nawet gniewny. Jezał poczuł niespokojne drgnienie serca. A jeśli West dowiedział się o liście? Jeśli Ardee mu powiedziała? Major odwrócił się i ruszył w stronę spokojnego kąta. Jezał rozejrzał się, szukając drogi ucieczki.

– Jezał! – zawołał West.

– Tak, tak.

Wstał z najwyższą niechęcią i poszedł za przyjacielem, uśmiechając się niewinnie, jak miał nadzieję. Być może chodziło o coś innego. O coś, co nie miało nic wspólnego z Ardee. Błagam, niech to będzie coś innego, pomyślał.

– Nie chcę, by ktokolwiek o tym wiedział...

West rozejrzał się wokół, by się upewnić, że nikt nie patrzy. Jezał przełknął nerwowo. W każdej chwili spodziewał się ciosu w twarz. Przynajmniej jednego. Nigdy wcześniej nie oberwał, w każdym razie nie tak naprawdę. Pewna dziewczyna uderzyła go co prawda, ale to się nie liczyło. Przygotował się najlepiej, jak umiał, zaciskając zęby i krzywiąc się nieznacznie.

– Burr wyznaczył datę. Mamy cztery tygodnie.

Jezał patrzył na niego, nie rozumiejąc.

– Co?

– Do wymarszu.

– Wymarszu?

– Na Angland, Jezał!

– Ach, tak... Angland, oczywiście! Cztery tygodnie, mówisz?

– Pomyślałem, że powinieneś wiedzieć. Jesteś teraz zajęty turniejem, musisz mieć czas, żeby się przygotować. Zachowaj to jednak dla siebie.

– Tak, oczywiście. – Jezał otarł spocone czoło.

– Dobrze się czujesz? Jesteś blady.

– Nic mi nie jest, wszystko w porządku. – Wziął głęboki oddech. – Całe to podniecenie, rozumiesz, pojedynek... i w ogóle.

– Nie martw się, świetnie ci dzisiaj poszło. – West poklepał go po ramieniu. – Ale czeka cię jeszcze długa droga. Trzy pojedynki, zanim będziesz mógł się nazwać czempionem, a każdy będzie trudniejszy od poprzedniego. Nie leń się, Jezał i nie upijaj za bardzo! – rzucił przez ramię i ruszył do wyjścia.

Jezał odetchnął przeciągle i z ulgą, wracając do stołu, gdzie siedzieli pozostali. Nos miał wciąż cały.

Brint zaczął już narzekać, widząc, że West nie zamierza do nich wracać.

– Co to u diabła było? – spytał, marszcząc czoło i wskazując palcem drzwi. – To znaczy, owszem, wiem, że to wielki bohater i w ogóle, ale, no cóż, chcę powiedzieć...

Jezał popatrzył na niego z góry.

– Co chcesz powiedzieć?

– No, żeby tak gadać! To defetysta! – Alkohol dodawał mu odwagi, a temat rozpalał go coraz bardziej. – To... no cóż, chodzi mi o to, że... to tchórzliwe gadanie!

– Posłuchaj, Brint – warknął Jezał. – West walczył w trzech zażartych bitwach i jako pierwszy wdarł się do Ulrioch! Może i nie jest arystokratą, ale to cholernie odważny człowiek! Poza tym zna się na wojaczce, zna marszałka Burra i zna Angland! A co ty wiesz, Brint? – Jezał skrzywił ironicznie wargi. – Pomijając to, jak przegrywać w karty i opróżnić butelkę wina?

– To wszystko, co w moim przekonaniu powinien wiedzieć mężczyzna – roześmiał się nerwowo Jalenhorm, starając się za wszelką cenę załagodzić napiętą sytuację. Potem ryknął, nie bardzo wiadomo do kogo: – Więcej wina!

Jezał osunął się na swój stół. Jeśli towarzystwo było przygaszone jeszcze przed odejściem Westa, to teraz wydawało się całkowicie pozbawione życia. Brint się bocył. Jalenhorm kiwał się na swoim taborecie. Kaspasnął twardo, rozwalony na mokrym stole; jego oddech przypominał ciche siorbnięcie.

Jezał dopił swoje wino i popatrzył po niezbyt obiecujących twarzach. Do diabła, był znudzony. Dopiero teraz uświadomił sobie, że rozmowa pijaków jest ciekawa tylko dla nich samych. Zrozumiał, że kilka kieliszków wina może zdecydować o tym, czy ma się do czynienia z wesołym i zabawnym kompanem, czy też nieznośnym durniem. Zastanawiał się, czy jest tak samo nudnym pijakiem jak Kaspas, Jalenhorm czy Brint.

Popatrzył z nieznacznym uśmiechem na nadąsanego Brinta. Pomyślał, że gdyby był królem, to karałby głupie i żalotne rozmowy śmiercią albo przynajmniej długoletnim więzieniem. Podniósł się ze swojego miejsca. Jalenhorm spojrzał na niego zdziwiony.

– Co robisz?

– Lepiej jak odpocznę – rzucił pospiesznie Jezał. – Jutro muszę ćwiczyć.

Z trudem nad sobą panował, by nie uciec z tego miejsca jak najszybciej.

– Ale przecież wygrałeś! Nie zamierzasz tego uczcić?

– To dopiero pierwsza runda. Mam jeszcze trzech przeciwników do pokonania, a każdy z nich będzie lepszy od tego niezdary, z którym dzisiaj walczyłem.

Jezał zdjął z oparcia krzesła kurtkę i zarzucił ją sobie na ramiona.

– Jak chcesz – powiedział Jalenhorm, po czym siorbnął hałaśliwie ze swojego kieliszka.

Kaspas dźwignął na chwilę ze stołu głowę, do której przykleiły się mokre od wina włosy.

– Zbierasz się tak szybko?

– Mhm... – mruknął Jezał, odwrócił się i wyszedł.

Ulicę omiatał chłodny wiatr, który otrzeźwił go jeszcze bardziej. Boleśnie. Pragnął jakiegoś inteligentnego towarzystwa, ale gdzie mógł je znaleźć o te porze? Było tylko jedno miejsce, które przychodziło mu do głowy.

Wyjął z kieszeni list i przeczytał go w przyćmionym świetle płynącym z okna tawerny tylko jeden raz. Pomyślał, że jeśli się pospieszy, to być może jeszcze ją zastanie. Ruszył wolno w stronę Czterech Naróżników. Tylko porozmawiać, nic więcej. Potrzebował kogoś, z kim mógłby

pomówić...

Nie. Zatrzymał się gwałtownie. Czy naprawdę mógł udawać, że chce być tylko jej przyjacielem? O przyjaźni między mężczyzną i kobietą można było mówić wyłącznie wtedy, gdy jedno ubiegało się długi czas o względy drugiego i nigdy nic nie osiągnęło. Taki układ go nie interesował.

Co w takim razie? Małżeństwo? Dziewczyna bez kropli szlachetnej krwi i pieniędzy? Nie do pomyślenia! Wyobraził sobie, jak przywozi Ardee do rodzinnego domu, żeby przedstawić ją rodzicom. Oto moja żona, ojczyste! Żona? A jej koneksje...? Zadrżał na samą myśl o takiej rozmowie.

A jeśli mogliby znaleźć coś pośredniego, coś, co byłoby wygodne dla obu stron? Jego stopy zaczęły stawiać powolne kroki. Nie przyjaźń, nie małżeństwo, ale jakiś luźny związek? Ruszył zdecydowanie w stronę Czterech Narożników. Mogliby się spotykać w tajemnicy, rozmawiać, śmiać się, gdzieś, gdzie stałoby łóżko...

Nie. Nie. Jezal znów przystanął i trzepnął się dla otrzeźwienia po głowie. Nie mógł do tego dopuścić, nawet zakładając, że by się zgodziła. Z jednej strony był West, ale co by się stało, gdyby inni ludzie się o tym dowiedzieli? Oczywiście, jego reputacja nic by na tym nie ucierpiała, ale jej dobre imię byłoby zszargane. Zniszczone. Poczł dreszcz na plecach. Z pewnością na to nie zasłużyła. Nie wystarczyłoby powiedzieć, że to jej problem. W żadnym wypadku. Tylko po to, żeby mógł mieć trochę zabawy? Poruszył go egoizm takiego myślenia. Był zdumiony, że wcześniej nie przyszło mu to do głowy.

Znów przyparł samego siebie do muru, tak jak zrobił to już z dziesięć razy tego dnia: nic dobrego nie mogło wyniknąć z nocnego spotkania. Zresztą i tak mieli niedługo wyruszyć na wojnę, a to położyłoby kres tej śmiesznej tęsknocie. A zatem do łóżka, a jutro ćwiczyć cały dzień. Ćwiczyć, ćwiczyć, aż marszałek Varuz wybije mu ją z myśli. Wziął głęboki oddech, wyprostował zgarbione ramiona, odwrócił się i ruszył w stronę Agriontu.

\* \* \*

Posąg Haroda Wielkiego majaczył w ciemności na swoim marmurowym postumencie, niemal tak wysoki jak Jezal; wydawał się o wiele za duży i wspaniały jak na ten cichy niewielki plac w pobliżu Czterech Narożników. Jezal krył się przez całą drogę w cieniach, unikając ludzi i starając się za wszelką cenę nie ujawniać swej obecności. Co prawda niewielu napotkał przechodniów. Było dość późno i najprawdopodobniej Ardee już dawno zrezygnowała, zakładając, że w ogóle przyszła na spotkanie.

Skradał się nerwowo wokół pomnika, zaglądał w mroczne zakamarki i czuł się jak skończony głupiec. Przechodził przez ten plac tyle razy i nigdy o nim nawet nie pomyślał. Czyż nie było to miejsce publiczne? Miał prawo być tutaj, jak wszyscy, ale z niewiadomych powodów czuł się niczym złodziej.

Plac był pusty. Uznał, że to dobrze. Doskonale. Nie miał nic do stracenia, wszystko do zyskania, i tak dalej. Więc dlaczego był taki zdruzgotany? Spojrzał na oblicze Haroda i wlepił wzrok w kamienną powagę, którą rzeźbiarze obdarowują tylko naprawdę wielkich. Nieruchome oblicze odznaczało się doskonale nakreśloną, silną szczęką, niemal taką samą jak Jezal.

– Obudź się! – syknął jakiś głos przy jego uchu.

Jezal wydał z siebie dziewczęcy pisk, cofnął się gwałtownie, potknął i nie upadł tylko dlatego, że przytrzymał się potężnej stopy Haroda Wielkiego. Ujrzał ciemną postać w kapturze. Rozległ się

śmiech.

– Nie ma powodu się bać! – powiedziała ze śmiechem Ardee. Zsunęła z głowy kaptur. Światło padające z jakiegoś okna przecinało dolną część jej twarzy, dobywając z mroku ironiczny uśmiech. – To tylko ja.

– Nie zauważyłem cię – wymamrotał bezsensownie, cofając pospiesznie dłoń z kamiennej stopy i starając się przybrać swobodną pozę. Musiał przyznać, że początek był żaloszny. Nie miał talentu do konspiracji. Wydawało się jednak, że Ardee jest całkowicie rozluźniona. Zaczął się mimowolnie zastanawiać, czy nie robiła takich rzeczy już wcześniej.

– Trudno się było z tobą ostatnio spotkać – powiedziała.

– No, e... – znów wymamrotał. Serce wciąż waliło mu młotem. – Byłem zajęty, turniej i w ogóle...

– Ach, ten niezwykle ważny turniej. Widziałam, jak dzisiaj walczyłeś.

– Widziałaś?

– Zrobiłeś duże wrażenie.

– E, dziękuję, ja...

– Mój brat coś ci powiedział, prawda?

– Powiedział? O walce?

– Nie, głuptasie. O mnie.

Jezal milczał, obmyślając najbardziej trafną odpowiedź na jej pytanie.

– No, on...

– Boisz się go?

– Nie! – Chwila milczenia. – No dobrze, boję się.

– Ale mimo wszystko przyszedłeś. Powinno mi to chyba schlebiać. – Obchodziła go niespiesznym krokiem, przyglądając mu się dokładnie, od stóp do głów. – Nie spieszyłeś się jednak. Jest późno. Niedługo będę musiała wracać do domu.

W jej wzroku, którym go taksowała, było coś, co nie pozwalało się uspokoić jego sercu. Wręcz przeciwnie. Musiał jej powiedzieć, że nie może się więcej z nią spotykać. To byłoby złe. Dla nich obojga. Nic dobrego nie mogło z tego wyniknąć... nic dobrego...

Oddychał szybko, spięty, podniecony, nie mogąc oderwać wzroku od jej zaciętej twarzy. Musiał jej powiedzieć, i to teraz. Czy nie dlatego tu przyszedł? Otworzył usta, by przemówić, ale wszystkie argumenty, które mu przychodziły do głowy, wydawały się odległe, jakby dotyczyły innych ludzi i innego czasu, nieuchwytnie i pozbawione ciężaru.

– Ardee... – zaczął.

– Tak? – Przynęła się do niego, przechylając nieznacznie głowę. Jezal próbował się cofnąć, ale za plecami miał posąg. Przybliżyła się jeszcze bliżej, wargi miała lekko rozchylone, oczy wpatrzone w jego usta. W końcu co w tym było złego?

Zbliżyła się jeszcze bardziej i uniosła ku niemu twarz. Czuł jej zapach – kręciło mu się od niego w głowie. Jej ciepły oddech łaskotał mu policzki. Co mogło być w tym złego?

Chłodne koniuszki jej palców dotknęły jego skóry, muskały mu twarz, wodziły po linii szczęki, wreszcie zaplątały się we włosy i przyciągnęły jego głowę. Dotknęła wargami jego policzka, ciepłymi i miękkimi, potem brody, wreszcie ust. Zaczęła je delikatnie ssać. Przywarła do niego, jej dłoń wśliznęła mu się na plecy. Jej język wodził po jego dziąsłach, zębach, języku, a z jej krtani dobywał się cichy jęk. On też chyba jęczał – nie był do końca pewien. Mrowiło go całe ciało, gorące i jednocześnie zimne, cały jego umysł był w jej ustach. Miał wrażenie, że nigdy wcześniej nie całował dziewczyny. Co w tym złego? Jej zęby gryzły jego wargi, niemal boleśnie, ale niezupełnie.

Otworzył oczy; brakowało mu tchu, drżał, czuł słabość w kolanach. Patrzyła na niego. Widział, jak w ciemności połyskują jej oczy, obserwując go uważnie, badawczo.

– Ardee...

– Co?

– Kiedy cię znów zobaczę?

Czuł suchość w gardle, głos miał chrapliwy. Skierowała wzrok ku ziemi, a na jej ustach pojawił się nieznaczny uśmiech. Okrutny uśmiech, jakby sprowokowała go do pokazania kart i wygrała mnóstwo pieniędzy. Nie dbał o to.

– Kiedy? – powtórzył.

– Och, dam ci znać.

Musiał ją pocałować jeszcze raz. Niech diabli wezmą konsekwencje. Pieprzyć Westa.

Pieprzyć wszystko. Nachylił się ku niej i zamknął oczy.

– Nie, nie, nie. – Cofnęła usta. – Trzeba było przyjść wcześniej.

Odsunęła się od niego i odwróciła, wciąż z tym samym uśmiechem na ustach, po czym oddaliła się niespiesznym krokiem. Patrzył na nią – milczący, zastygły, zafascynowany, przywarty plecami do zimnego kamiennego postumentu. Nigdy wcześniej tak się nie czuł. Nigdy.

Zerknęła za siebie tylko raz, jakby chcąc się upewnić, że wciąż patrzy. Kiedy zauważył, że spojrzała na niego, poczuł niemal bolesny ucisk w piersi. Po chwili skreśliła za róg i zniknęła.

Stał jeszcze przez chwilę z szeroko otwartymi oczami, po prostu oddychając. Potem przez plac popłynęła fala chłodnego wiatru i Jezal poczuł, jak świat znów zaczyna mu ciążyć. Turniej, wojna, jego przyjaciel West, zobowiązania. Jeden pocałunek, to było wszystko. Jeden pocałunek i jego determinacja wyciekła jak szczyzny z pękniętego nocnika. Rozejrzał się wkoło, nagle pełen winy, zmieszany i przerażony. Co on tu robił?

– Do diabła – rzucił tylko.

# Ciemna robota

Coś, co się pali, wydziela określony zapach. Żywe drzewo, świeże i pulsujące sokami – kiedy płonie – wydziela inną woń niż drzewo martwe i suche. Podpalona świnia i człowiek cuchną podobnie, ale to osobna historia. To, co wyczuwał teraz Wilczarz, było domem stojącym w ogniu. Wiedział na pewno. Znał ten zapach lepiej, niżby tego pragnął. Domy zwykle nie płoną bez powodu. Zazwyczaj dzieje się w nim coś okrutnego i gwałtownego. To najprawdopodobniej oznaczało ludzi w pobliżu, gotowych do walki, więc podkraść się między drzewami, podczołgał na brzuchu i wyjrzał ostrożnie spomiędzy zarośli.

Widział to teraz, bardzo wyraźnie. Słup czarnego dymu nad miejscem niedaleko rzeki. Niewielki dom, wciąż gorzejący nieznacznie, ale spalony do niskiej podmurówki z kamienia. Była też stodoła, ale pozostał z niej tylko stos czarnych patyków i równie czarnej gleby. Kilka drzew i splechetek ziemi uprawnej. Nawet w naj lepszych czasach oznaczało to nędzny żywot, tutaj, na dalekiej północy. Zbyt zimno, by cokolwiek sadzić – trochę bulw, można też było trzymać kilka owiec. Świnie lub dwie, jeśli miało się szczęście.

Wilczarz potrząsnął głową. Kto chciałby palić dobytek tak biednych ludzi? Kto chciałby kraść ten uparty skrawek ziemi? Niektórzy ludzie po prostu lubią palić, pomyślał. Podczołgał się jeszcze trochę, rozglądając się po dolinie w poszukiwaniu tych, którzy to zrobili, ale dojrzał tylko kilka chudych owiec, pasących się leniwie na zboczach. Wsunął się z powrotem w zarośla.

Ogarnęło do przygnębienie, kiedy przekradał się z powrotem do obozowiska. Podniesione głosy, jak zawsze kłótlive. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie pójść po prostu przed siebie, tak bardzo miał dość ciągłych sporów. Ostatecznie się rozmyślił. Co to za zwiadowca, który pozostawia swoich ludzi na pastwę losu?

– Dlaczego nie zamkniesz gęby, Dow? – grzmiał Tul Duru. – Chciałeś iść na południe, a kiedy poszliśmy na południe, ciągle jęczałeś, że chcesz wracać w góry! A teraz, kiedy jesteśmy z dala od gór, narzekasz cały dzień i noc, że masz pusty żołądek. Nie mogę już słuchać twojego jęczenia, płaczliwy psie!

Wilczarz usłyszał nieprzyjemny pomruk Czarnej Dowa.

– Dlaczego masz dostawać dwa razy więcej do żarcia? Tylko dlatego, że jesteś wielką tłustą świnia?

– Ty mały bękarcie! Zgniotę cię jak robaka!

– Poderżnę ci kiedyś gardło, jak zaśniesz, ty góro mięsa! Zostanie nam mnóstwo jedzenia! Przynajmniej nie będziemy słuchać twojego pieprzonego chrapania! Teraz wiem, dlaczego nazywali cię Grzmotem, ty pierdzący wieprzu!

– Przymknijcie jadaczki! – usłyszał Wilczarz ryk Trójdrzewca, dostatecznie głośny, by obudzić zmarłego. – Mam tego dość!

Widział ich teraz, wszystkich pięciu. Tula Duru i Czarnej Dowa, skaczących sobie do oczu. Trójdrzewca między nimi, z rękami w górze. Forleya, który siedział i przyglądał się ze smutkiem. I Ponuraka, który nawet nie patrzył, tylko sprawdzał swoje groty.

– Tsss! – syknął Wilczarz i wszyscy odwrócili się gwałtownie, by na niego spojrzeć.

– To Wilczarz – odezwał się Ponurak, ledwie podnosząc wzrok znad swoich strzał. Trudno było zrozumieć tego człowieka. Nie odzywał się całymi dniami, a kiedy w końcu otwierał usta, to tylko po



to, by powiedzieć coś, co wszyscy już wiedzieli.

Forley chciał ich pogodzić, jak zawsze. Nie wiadomo było, jak długo uda mu się ich powstrzymać, żeby się nie pozabijali nawzajem.

– Co znalazłeś, Wilczarz?

– A jak myślisz? Pięciu głupich drani w lesie! – warknął, wyłaniając się zza drzew. – Słysząc ich z daleka! I są to Ludzie Imienni, uwierzyłbyś? Ludzie, którzy powinni mieć więcej rozumu! Kłócą się ze sobą jak zawsze! Pięciu głupich drani...

Trójdrzewiec podniósł rękę.

– W porządku, Wilczarz, masz słuszość. Powinniśmy mieć więcej rozumu. – Spojrzał gniewnie na Tula i Dowa, a ci popatrzyli gniewnie na siebie, ale nic nie powiedzieli. – Co znalazłeś?

– Niedaleko pachnie walką. Widziałem płonąca farmę.

– Płonącą, powiadasz? – spytał Tul.

– Tak.

Trój drzewiec zmarszczył czoło.

– Więc zaprowadź nas w to miejsce.

\* \* \*

Wilczarz nie widział tego wcześniej, kiedy patrzył zza drzew. Nie mógł tego widzieć. Za dużo dymu i za daleko. Teraz jednak widział to dokładnie i z bliska, i robiło mu się niedobrze. Wszyscy to widzieli.

– Ktoś tu wykonał ciemną robotę – zauważył Forley, spoglądając na drzewo. – Bardzo ciemną.

– Mhm – mruknął Wilczarz. Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Gałąz zaskrzypiała, gdy stary człowiek obrócił się z wolna, niemal szurając bosymi stopami o ziemię. Może próbował walczyć, w jego ciele tkwiły dwie strzały. Kobieta wyglądała za młodo jak na jego żonę. Mogła być jego córką. Wilczarz się domyślił, że dwoje młodszych to jej dzieci.

– Kto wieszałby dzieciaki? – mruknął.

– Ktoś, kto jest dostatecznie czarny – oznajmił Tul. Dow splunął na trawę.

– Mówisz o mnie? – warknął i tych dwóch znowu starło się ze sobą jak młot z kowadłem. – Spaliłem kilka farm i jedną albo dwie wioski, ale miałem powody, to była wojna. Dzieciom darowałem.

– Słyszałem coś innego – powiedział Tul.

Wilczarz zamknął oczy i westchnął.

– Myślisz, że mnie obchodzi, co słyszałeś? – warknął Dow. – Może moje imię jest czarniejsze, niż na to zasługuję, ty wielki draniu!

– Wiem, na co zasługujesz, ty bękarcie!

– Dosyć! – szczeknął Trójdrzewiec, spoglądając w skupieniu na prowizoryczną szubienicę. – Nie macie żadnego szacunku? Wilczarz dobrze gada. Jesteśmy z dala od gór i szykują się kłopoty. Koniec z tymi kłótniami. Koniec. Od tej pory ma być spokojnie, wszyscy są chłodni jak pora zimowa. Jesteśmy Ludźmi Imiennymi i mamy do wykonania męską robotę.

Wilczarz przytaknął, zadowolony, że wreszcie słyszy coś sensownego.

– Pachnie tu walką – powiedział. – Bez dwóch zdań.

– Uhm... – mruknął Ponurak, chociaż trudno było określić, z czym właściwie się zgadza.

Trój drzewiec wciąż wpatrywał się w rozkołysane ciała.

– Masz rację. Teraz musimy się skupić tylko na tym. Na tym i niczym więcej. Wytropimy tych, którzy to zrobili, i zobaczymy, o co walczą. Nic nie wskóramy, dopóki się nie dowiemy, kto walczy z kim.

– Ktokolwiek to zrobił, walczy dla Bethoda – oświadczył Dow. – Od razu to widać.

– Zobaczymy. Tul i Dow, odetnijcie ich i pochowajcie. Może to was trochę otrzeźwi.

Obaj popatrzyli na siebie krzywo, ale Trójdrzewiec nie zwracał na nich żadnej uwagi.

– Ty, Wilczarz, idź wywęszyć tych, co to zrobili. Odwiedzimy ich dzisiaj wieczorem. Tak jak oni odwiedzili ten dom.

– Dobra – odparł Wilczarz, gotów wyruszyć i zrobić, co mu kazano.

– Odwiedzimy ich.

Wilczarz nie mógł tego zrozumieć. Jeśli od tak dawna walczyli i obawiali się wroga, to nie starali się zbytnio zatrzeć śladów. Podążał za nimi bez trudu, było ich pięciu, jak się zorientował. Oddalili się spacerkiem od płonącej farmy, doliną wzdłuż rzeki, w stronę lasu. Ślady były wyraźne i chwilami się niepokoił, że to jakaś sztuczka, że obserwują go spomiędzy drzew, czekając na okazję, by go powiesić na gałęzi. Wydawało się jednak, że nie mają takiego zamiaru, bo odnalazł ich przed zmrokiem.

Najpierw wyczuł mięso – pieczonego barana. Potem usłyszał głosy – rozmawiali, krzyczeli, śmiali się, w ogóle nie starali się zachować ciszy; nawet szmer pobliskiej rzeki ich nie zagłuszał. Potem zobaczył wszystkich, siedzieli na polanie wokół dużego ogniska, nad nim piekła się na rożnie owca, którą zabrali bez wątpienia ze spalonej farmy. Wilczarz przycupnął w zaroślach, cicho i ostrożnie, tak jak powinni postępować tamci. Naliczył pięciu mężczyzn albo czterech i chłopca, mniej więcej czternastoletniego. Wszyscy siedzieli, ani jeden nie stał na warcie, żadnej ostrożności. Nie potrafił tego zrozumieć.

– Siedzą tam zwyczajnie – wyszeptał, kiedy wrócił do pozostałych.

– Po prostu siedzą. Nie ma warty, nie ma niczego.

– Tylko siedzą? – zdziwił się Forley.

– Tak. Pięciu. Siedzą i się śmieją. Nie podoba mi się to.

– Mnie też nie – przyznał Trójdrzewiec. – Ale jeszcze mniej mi się podoba to, co widziałem na farmie.

– Walka – syknął Dow. – Walka, nie inaczej.

Ten jeden raz Tul zgodził się z nim.

– Walka, wodzu. Dajmy im nauczkę.

Nawet Forley nie sprzeciwiał się tym razem, ale Trójdrzewiec zastanawiał się przez chwilę, nie spiesząc się jak zwykle. Potem przytaknął.

– Walka.

\* \* \*

Nie można było zobaczyć w ciemności Czarnego Dowa, jeśli nie chciał być widziany. Nie można było go także usłyszeć, ale Wilczarz, kiedy skradał się między drzewami, wiedział, że jego towarzysz gdzieś tam się kryje. Gdy walczy się dostatecznie długo ramię w ramię z jakimś człowiekiem, to zna się go doskonale. Można się nauczyć jego sposobu myślenia i myśli się tak samo.

Dow był gdzieś w pobliżu.

Wilczarz miał swoje zadanie. Widział sylwetkę tego po prawej stronie, jego plecy na tle ognia przypominały czarny kształt. Wilczarz nie przejmował się zbytnio pozostałymi. Nie przejmował się niczym z wyjątkiem swojego zadania. Jeśli ktoś decyduje się je wykonać albo jeśli wódz decyduje za niego, to trzeba działać, nie oglądając się, dopóki zadanie nie zostanie wykonane. Czas poświęcony na rozmyślania to czas, w którym człowieka zabijają. Logen go tego nauczył, on zaś wziął sobie to do serca. Tak jest i nie było o czym gadać.

Podkraść się bliżej, jeszcze bliżej, czując na twarzy ciepło ogniska, a w dłoni twardą stal swego noża. Jak zawsze diabelnie chciało mu się siusiać. Od zadania dzielił go teraz zaledwie krok. Chłopiec był zwrócony do niego twarzą – gdyby dostatecznie szybko podniósł wzrok znad mięsa, zauważyłby zbliżającego się przeciwnika, ale zbytnio był zajęty jedzeniem.

– Gurgh! – wrzasnął jeden z pozostałych.

Oznaczało to, że dopadł go Dow, i oznaczało też, że koniec z nim. Wilczarz skoczył i dźgnął swój cel w szyję. Tamten zatoczył się do tyłu, chwytając się za poderżnięte gardło, zrobił niepewny krok do przodu i runął na ziemię. Jeden z pozostałych zerwał się z miejsca, wypuszczając z dłoni na wpół obgryzioną kość, a wtedy przeszła go strzała Ponuraka, od strony rzeki. Trafiony wyglądał przez moment na zdziwionego, potem osunął się na kolana, krzywiąc twarz z bólu.

Zostało tylko dwóch, chłopak wciąż siedział na swoim miejscu, wpatrując się w Wilczarza, usta miał otwarte, zwieszał się z nich kawałek mięsa. Ostatni z piątki stał wyprostowany, oddychając szybko, z długim nożem w ręku. Musiał go wyciągnąć wcześniej, żeby mieć czym jeść.

– Rzuć to! – zagrział Trójdrzewiec.

Wilczarz zobaczył teraz wodza, który zbliżał się do nich. W krawędzi dużej okrągłej tarczy odbijał się blask ognia. Mężczyzna zagryzł wargę, spoglądając niespokojnie to na Wilczarza, to na Dowa, którzy zachodzili go z boków. Teraz ujrzał Grzmota wyłaniającego się z mroku między drzewami – wydawał się zbyt potężny jak na człowieka, wielki miecz oparty o ramię połyskiwał groźnie. To wystarczyło tamtemu. Rzucił nóż na ziemię.

Dow doskoczył do niego, chwycił go za nadgarstki i związał je mocno za plecami, po czym rzucił jeńca na kolana obok ogniska. Wilczarz zrobił to samo z chłopcem, który zacisnął zęby, nie wypowiedziawszy nawet słowa. Wszystko poszło szybko i cicho, tak jak powiedział Trójdrzewiec. Wilczarz miał na rękach krew, ale tak było przy robocie i nie dało się na to nic poradzić. Zjawiali się pozostali. Ponurak brnął przez rzekę z łukiem na ramieniu. Przechodząc obok tego, którego trafił, trącił go nogą, ale ciało się nie poruszyło.

– Nie żyje – oznajmił.

Forley był z tyłu, przyglądając się obu jeńcom. Dow patrzył z góry na człowieka, którego związał. Patrzył twardo.

– Znam tego tutaj – oznajmił z zadowoleniem. – Groa Bagno, czyż nie? Co za przypadek! Od jakiegoś czasu myślę o tobie i nie daję mi to spokoju.

Bagno wpatrywał się skrzywiony w ziemię. Osobnik sprawiający wrażenie okrutnika, pomyślał Wilczarz, taki, co to mógłby powiesić farmera, gdyby ten się trafił.

– Tak, jestem Bagno. Nie muszę pytać was o imiona! Kiedy się dowiedzą, że zabiliście kilku poborców królewskich, to wszyscy jesteście martwi!

– Nazywają mnie Czarnym Dowem.

Groa Bagno szarpnął gwałtownie głową i rozdziawił usta.

– O, kurwa – wyszeptał.

Kłęczący obok niego chłopiec rozejrzał się wkoło, oczy miał szeroko otwarte.

– Czarny Dow? Co? Chyba nie ten sam Czarny Dow co... o, kurwa.

Dow przytaknął z wolna, krzywiąc się odrażająco w tym swoim uśmiechu zabójcy.

– Groa Bagno. Nazbierało ci się i teraz zapłacisz. Miałem cię w głowie, teraz mam cię w oku. –

Poklepał go po policzku. – I w rękach. Co za szczęśliwy traf.

Bagno szarpnął głową, odsuwając się, na ile mu pozwalały więzy.

– Myślałem, że siedzisz w piekle, Czarny, ty bydlaku!

– Ja też tak myślałem, ale byłem tylko na północ od gór. Mamy do ciebie kilka pytań, Bagno, zanim z tobą skończymy. Kim jest ten król? I co dla niego zbieracie?

– Pieprzę twoje pytania!

Trójdzwiecz uderzył go w skroń, mocno i szybko, by tamten nie zdążył zauważyć. Kiedy Bagno odwrócił się ku niemu, Dow walnął go z drugiej strony. Po chwili jego głowa chwiała się tam i z powrotem, aż w końcu zmiękł na tyle, by mówić.

– Kto jeszcze walczy? – spytał Trójdzwiecz.

– My nie walczymy! – rzucił przez połamane zęby Bagno. – Jesteście już martwi, dranie! Nie wiecie, co się stało?

Wilczarz zmarszczył czoło. Nie podobały mu się te słowa. Miał wrażenie, że sporo się zmieniło pod ich nieobecność, a nigdy jeszcze nie widział zmian na lepsze.

– Ja tu zadaję pytania – oznajmił Trójdzwiecz. – Ty masz skupiać swój mały mózdek na odpowiedziach. Kto jeszcze walczy? Kto nie chce klęknąć przed Bethodem?

Bagno wybuchnął śmiechem, choć był skępowany.

– Nikt nie pozostał! Walka się skończyła! Bethod jest teraz królem. Królem całej Północy! Wszyscy przed nim klękają...

– Nie my – zagrzmał Tul Duru, pochylając się. – A Stary Człowiek Yawl?

– Nie żyje!

– A Sything albo Grzechotkark?

– Nie żyją, jeden i drugi, wy głupcy! Walka toczy się tylko na południu! Bethod wyruszył na wojnę z Unią! Tak! I zamierzamy ją pobić!

Wilczarz nie bardzo wiedział, czy ma w to wierzyć. Król? Nigdy wcześniej na Północy nie było króla. Nikt go nie potrzebował, a Bethod byłby ostatnim, którego by wybrano. I wojna z Unią? To robota głupiego. Tych na południu zawsze było więcej.

– Jeśli nie ma tu walki, to po co zabijacie? – spytał.

– Pieprz się!

Tul trzasnął go w twarz, nie żałując ręki, i tamten zwałił się na plecy. Dow poczęstował go kopniakiem i dźwignął z ziemi.

– Dlaczego ich zabiliście? – spytał Tul.

– Podatki! – wrzasnął Bagno.

Z nosa ciekła mu krew.

– Podatki? – spytał Wilczarz. Dziwne słowo, ledwie je pojmował.

– Nie chcieli płacić!

– Podatki dla kogo? – spytał Dow.

– Dla Bethoda, a dla kogo? Zabrał całą ziemię, rozbił klany i wziął wszystko jak swoje! Ludzie są mu winni pieniądze! A my je zbieramy!

– Podatki, he? To pieprzony sposób z południa, bez dwóch zdań! A jak nie mogą zapłacić? – spytał Wilczarz, czując obrzydzenie w trzewiach. – Wieszacie ich?

– Jeśli nie zapłacą, to możemy z nimi robić, co nam się podoba!

– Co wam się podoba? – Tul chwycił go za szyję i zacisnął swoją wielką dłoń, aż tamtemu wyszły oczy z orbit. – Co wam się podoba? Lubisz ich wieszać?

– W porządku, Grzmot – powiedział Dow, odrywając łagodnie wielkie palce olbrzyma od szyi jeńca. – W porządku, wielkoludzie, to nie twoja robota zabijać związanego człowieka. – Poklepał go po piersi, dobywając jednocześnie topora. – Do tego potrzeba kogoś takiego jak ja.

Bagno odzyskał już oddech.

– Grzmot? – zacharczał, rozglądając się wokół. – To wy, cała banda? Ty jesteś Trójdrzewiec, i Ponurak, a tamten to Najślabszy! A więc nie klękacie, co? I pożałujecie tego! Gdzie Dziewięciopalczy? He? – szydził Bagno. – Gdzie Krwawy-dziewięć?

Dow odwrócił się, przesuając kciukiem po ostrzu topora.

– Poszedł do ziemi, a ty przyłączysz się do niego. Dostyc już od ciebie usłyszeliśmy.

– Wypuść mnie, bękarcie! – wrzasnął Bagno, mocując się z więzami. – Nie jesteś lepszy ode mnie, Czarny! Zabiłeś więcej ludzi niż plaga! Rozwiąż mnie i daj mi ostrze! No dalej! Boisz się ze mną walczyć, tchórze? Boisz się dać mi szansę, co?

– Nazwałś mnie tchórzem? – warknął Dow. – Ty, który zabiłeś dzieci dla zabawy? Miałeś ostrze i rzuciłeś je na ziemię. To była twoja szansa, mogłeś ją wykorzystać. Tacy jak ty nie zasługują na drugą. Jeśli masz coś do powiedzenia, czego warto by posłuchać, to lepiej gadaj od razu.

– Sram na ciebie! – krzyknął Bagno. – Sram na was...

Topór Czarnego wbił się mocno między oczy jeńca i rzucił go na plecy. Nogi wierzgnęły kilka razy i to był koniec. Żaden z nich nie wylał łzy po tym łajdaku – nawet Forley ledwie się skrzywił, kiedy ostrze zadało cios. Dow pochylił się nad trupem i napluł na niego. Wilczarz nie winił towarzysza. Jednak z chłopakiem był większy problem; patrzył na zwłoki szeroko otwartymi oczami, potem podniósł wzrok.

– To wy, prawda? – spytał. – Banda Dziewięciopalczego?

– Zgadza się, chłopcze – odparł Trójdrzewiec. – To my.

– Słyszałem opowieści... o was. Co ze mną zrobicie?

– No cóż, to jest pytanie, co? – mruknął do siebie Wilczarz. Najgorsze było to, że znał już odpowiedź.

– Nie może z nami zostać – wzruszył ramionami Trójdrzewiec. – Nie możemy wlec ze sobą bagażu i nie możemy też ryzykować.

– To tylko dzieciak – zauważył Forley. – Moglibyśmy go wypuścić.

Była to kusząca myśl, ale nie do przyjęcia, i wszyscy o tym wiedzieli.

Chłopak spojrzał z nadzieją, ale Tul położył kres tym wahaniom.

– Nie możemy mu zaufać. Nie tutaj. Powie komuś, że wróciliśmy, a wtedy zaczną nas ścigać. Nie da rady. Poza tym brał udział w tej robocie na farmie.

– Ale jaki miałem wybór? – spytał chłopiec. – Jaki? Chciałem iść na południe! Iść na południe i walczyć przeciwko Unii, zdobyć imię, ale wysłali mnie tutaj, żebym zbierał podatki. Wódz mówi: zrób to, a ja robię, czyż nie?

– Robisz – zgodził się Trójdrzewiec. – Nikt nie mówi, że mogłeś postąpić inaczej.

– Nie chciałem brać w tym udziału! Powiedziałem im, żeby puścili te dzieciaki! Musicie mi uwierzyć!

Forley spojrzał na swoje buty.

– Wierzmy ci.

– Ale i tak mnie zabijecie?

Wilczarz zagryzł wargę.

– Nie możemy cię ze sobą zabrać i nie możemy cię puścić.

– Nie chciałem brać w tym udziału. – Chłopak zwiesił głowę. – To niesprawiedliwe.

– Nie jest – przyznał Trójdzwiecz. – W ogóle nie jest sprawiedliwe. Ale tak to bywa.

Topór Dow wbił się w potylicę chłopaka, który runął na ziemię. Wilczarz skrzywił się i odwrócił wzrok. Wiedział, że Dow zrobił to w taki sposób, by nie musieli patrzeć chłopakowi w twarz. Uważał, że towarzysz postąpił mądrze, i miał nadzieję, że pomogło to pozostałym, ale czy ktoś padał na twarz czy na plecy, nie miało dla niego większego znaczenia. Poczł mdłości jak wcześniej na farmie.

Nie był to z pewnością najgorszy dzień, jaki dotychczas przeżyli. Ale nie był też dobry.

\* \* \*

Wilczarz patrzył, jak idą, ukryty w niewidocznym miejscu pośród drzew. Upewnił się też, że przycupnął pod wiatr. Zdawał sobie sprawę, że nie pachnie zbyt przyjemnie. Był to dziwny pochód. Z jednej strony wyglądali jak ludzie waleczni, gotowi chwycić za broń i ruszyć do boju. Z drugiej strony wyglądali wszyscy niewłaściwie. Mieli w większości przestarzałe uzbrojenie i wszelkiego rodzaju pancerze. Maszerowali, ale nie w zwartym szyku. Nierówno. W większości za starzy jak na wojowników, mieli siwe włosy i łyse głowy, pozostali zaś to byli młodzi nieopierzeni ludzie, nieledwie chłopcy.

Wilczarz odnosił wrażenie, że nic już na Północy nie ma sensu. Pomyślał o tym, co Bagno powiedział na chwilę przed tym, jak zabił go Dow. Wojna z Unią. Czy ci tutaj szli na wojnę? Jeśli tak, to Bethod musiał gonić w piętę.

– Co robić, Wilczarzu? – spytał Forley po jego powrocie do obozowiska. – Co się tam dzieje?

– Ludzie. Uzbrojeni, ale nie za dobrze. Pięćdziesięciu albo więcej. Głównie bardzo młodzi i starzy, kierują się na południe i zachód. – Wskazał w stronę drogi.

Trójdzwiecz przytaknął.

– W stronę Anglandu. A więc Bethod nie żartuje. Idzie na wojnę z Unią, i to na całego. Nie żal mu krwi. Bierze każdego człowieka, który potrafi utrzymać włócznię.

Nie było w tym nic dziwnego, na dobrą sprawę. Bethod nigdy nie uznawał półśrodków. Wszystko albo nic, nieważne, ilu padnie po drodze.

– Każdego człowieka – mruknął Trójdzwiecz do siebie. – Jeśli szankowie zejną teraz z gór...

Wilczarz rozejrzył się wokół. Zmarszczone, zatroskane, brudne twarze. Wiedział, co Trójdzwiecz ma na myśli, wszyscy to rozumieli. Gdyby szankowie zjawili się teraz, a na Północy nie pozostałby nikt, kto mógłby z nimi walczyć, to ta historia na farmie byłaby niewinną zabawą.

– Musimy kogoś ostrzec! – zawołał Forley. – Musimy kogoś ostrzec!

Trójdzwiecz potrząsnął głową.

– Słyszałeś, co powiedział Bagno. Yawl odszedł, tak samo Grzechotkark i Sything. Wszyscy martwi i sztywni, oddani ziemi. Bethod jest teraz królem. Królem Północy.

Czarny Dow skrzywił się i splunął na ziemię.

– Możecie pluć na wszystko jak Dow, ale jest jak jest – dodał wódz. – Nie ma kogo ostrzec.

– Nikogo prócz samego Bethoda – mruknął Wilczarz, żałując swoich słów.

– Więc musimy mu powiedzieć! – Forley powiódł wzrokiem po zdesperowanych towarzyszach.

– To łajdak bez serca, ale przynajmniej człowiek! Jest lepszy od płaskogłowych, prawda? Musimy

kogoś ostrzec!

– Ha! – warknął Dow. – Ha! Myślisz, że będzie nas słuchał, Słaby? Zapomniałeś, co nam powiedział? Nam i Dziewięciopalcemu? Nigdy nie wracajcie! Zapomniałeś, jak niewiele brakowało, by nas zabił? Zapomniałeś, jak bardzo nienawidzi każdego z nas?

– Boi się nas – zauważył Ponurak.

– Nienawidzi i boi się – mruknął Trójdrzewiec. – I nie jest głupi. Jesteśmy silni. Ludzie Imienni. Znani. Tacy, za którymi pójda inni.

Tul skinął swoją wielką głową.

– Tak, nie czeka nas serdeczne przywitanie w Carleonie, jak mi się wydaje. A jak już, to powitanie z ostrzem.

– Ja nie jestem silny! – zawołał Froley. – Jestem Najsłabszy, wszyscy o tym wiedzą! Bethod nie ma powodu się mnie obawiać ani nienawidzić. Ja pójdę!

Wilczarz spojrział na niego zdziwiony, tak jak pozostali.

– Ty? – spytał Dow.

– Tak, ja! Może nie jestem wojownikiem, ale nie jestem też tchórzem! Pójdę i porozmawiam z nim. Może mnie wysłucha.

Wilczarz patrzył na niego. Już tak dawno żaden z nich nie próbował przekonać pozostałych, jak wygrzebać się z trudnej sytuacji, że niemal zapomniał, iż jest to możliwe.

– Może posłucha – mruknął Trójdrzewiec.

– Może posłucha – powtórzył Tul. – A potem cię zabije, Najsłabszy!

Wilczarz potrząsnął głową.

– Tak może być.

– Może, ale warto spróbować, nie?

Wszyscy popatrzyli na siebie z niepokojem. Forley okazywał odwagę, to pewne, ale Wilczarzowi nie podobał się ten plan. Bethod... wiązać z tym człowiekiem nadzieje, to tak jak zawieszać je na cienkiej nici. Bardzo cienkiej.

Ale, jak powiedział Trójdrzewiec, nie było nikogo innego.

# Słowa i kurz

Kurster paradował wokół kręgu szermierczego, złote włosy falowały mu na ramionach. Machał do tłumu i posyłał całusy dziewczętom. Widownia wiwatowała, wyła i pohukiwała, gdy zwinny młody człowiek okrążał z dumą trawiaste koło. Był Asuańczykiem, oficerem gwardii królewskiej.

„Miejscowy chłopiec, a zatem cieszący się popularnością”.

Bremer dan Gorst opierał się o barierę i obserwował taniec swego przeciwnika spod ledwie uchylonych powiek. Jego ostrza sprawiały wrażenie wyjątkowo ciężkich, zużytych i startych, zbyt nieporęcznych, by zadawać nimi szybkie pchnięcia. Sam Gorst wyglądał na zbyt ciężkiego, by poruszać się szybko, potężny człowiek o byczym karku, bardziej zapaśnik niż szermierz. W tym pojedynku zdawał się stać na straconej pozycji. Większość widzów podzielała to przekonanie.

„Ale ja wiem, że jest inaczej”.

Tuż obok jakiś bukmacher wykrzykiwał stawki, biorąc pieniądze od paplających ludzi, którzy go otaczali. Niemal wszyscy stawiali na Kurstera. Głokta wychylił się ze swojego miejsca.

– Ile wynoszą szanse Gorsta?

– Gorsta? – spytał bukmacher. – Po równo. Wygrana, przegrana.

– Postawię dwieście marek.

– Przykro mi, przyjacielu, za wysoko.

– Zatem sto, pięć do czterech.

Bukmacher zastanawiał się przez chwilę, patrząc w niebo i obliczając w myślach sumy.

– Stoi.

Głokta rozsiadł się, kiedy sędzia przedstawiał przeciwników, i zaczął obserwować Gorsta, który podwijał rękawy koszuli. Przedramiona tego człowieka były grube jak pnie, zwoje mięśni drgały, kiedy poruszał mięsistymi palcami. Przechylił głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę, by rozciągnąć potężny kark, po czym wziął od swego sekundanta ostrza i wykonał kilka cięć na próbę. Mało kto zwrócił na to uwagę. Wszyscy dopingowali Kurstera, który właśnie zajmował miejsce w kręgu. Ale Głokta widział.

„Jest szybszy, niż się wydaje. Znacznie szybszy. Te ciężkie ostrza nie wydają się już takie nieporęczne”.

– Bremer dan Gorst! – zawołał sędzia, kiedy potężnie zbudowany człowiek zajął wyznaczone mu miejsce.

Aplauz był umiarkowany. Ten ociężały byk nie pasował do obrazu szermierza.

– Zaczynajcie!

Nie była to ładna walka. Od samego początku Gorst wywijał zamasyście swoim ciężkim długim ostrzem, jak czempion-drwal, który rąbie grube kloce, postępując przy każdym uderzeniu. Był to dziwny widok. Jeden z przeciwników brał udział w turnieju szermierczym, a drugi zdawał się walczyć na śmierć i życie.

„Musisz go tylko trafić, człowieku, nie zaś rozciąć na pół!”.

Lecz im dłużej Głokta się przyglądał, z tym większą mocą sobie uświadamiał, że potężne cięcia nie są tak nieporadne i niezgrabne, jak się to na pierwszy rzut oka wydawało. Były doskonale zgrane w czasie i niezwykle precyzyjne. Kurster roześmiał się, umykając tanecznym krokiem przed pierwszym zamachem rywala, uśmiechnął się przy trzecim, ale przy piątym uśmiech na dobre zniknął



z jego twarzy.

„I nie zanosi się na to, by miał kiedykolwiek powrócić”.

Nie wyglądało to ładnie.

„Ale siła tych uderzeń jest niezaprzeczalna”.

Kurster uchylił się rozpaczliwie przed kolejnym zamaszystym cięciem, które zakreśliło w powietrzu łuk.

„To było dostatecznie potężne, by odciąć mu głowę, nawet stępionym ostrzem”.

Ulubieniec tłumy starał się za wszelką cenę przejąć inicjatywę, rewanzując się przeciwnikowi z całych sił, ale Gorst doskonale sobie radził. Stęknął, parując ciosy krótkim ostrzem, potem, wydając warknięcie, przeciął ze świstem powietrze tym długim. Głokta skrzywił się, gdy stał uderzyła o miecz Kurstera z dźwięcznym trzaskiem, odpychając jego nadgarstek i niemal wytrącając mu broń z dłoni. Szermierz zatoczył się do tyłu pod wpływem siły ciosu, krzywiąc się z szoku i bólu.

„Teraz już wiem, dlaczego ostrza Gorsta wydają się takie starte i stępione”.

Kurster uskakiwał wewnątrz kręgu, starając się umknąć przed strasliwym uderzeniem, ale potężnie zbudowany przeciwnik był za szybki.

„O wiele za szybki”.

Gorst poznał już swego rywala i przewidywał trafnie każdy jego ruch, nękając go bezlitosnymi ciosami. Nie było przed nimi ucieczki.

Dwa ciężkie uderzenia wypchnęły nieszczęsnego oficera ku krawędzi koła, a cięcie przypominające ruch kosy wyrwało mu z dłoni długie ostrze, które wbiło się w trawę i zaczęło chwiać dziko na boki. Kurster zatoczył się, oczy miał szeroko otwarte, dłoń mu drżała; Gorst dopadł go, wydając ryk, i wpakował mu w żebra rękojęść broni, wkładając w cios całą siłę ciężkiego ramienia. Głokta zakrztusił się ze śmiechu.

„Nigdy wcześniej nie widziałem lecącego w powietrzu szermierza”.

Kurster rzeczywiście wykonał coś w rodzaju salta w tył; wrzasnął jak dziewczyna, po czym uniósł się bezwładnie i runął na ziemię z rozrzuconymi kończynami, by po chwili przekręcić się na brzuch. Ostatecznie wylądował na piasku poza kręgiem, dobre trzy kroki od miejsca, gdzie został uderzony przez Gorsta, i zajęczał słabo.

W tłumie zapadło tak pełne przerażenia i szoku milczenie, że nawet w tylnych rzędach można było usłyszeć skrzekliwy śmiech Głokty. Instruktor Kurstera podbiegł i ostrożnie odwrócił swego kontuzjowanego ucznia. Młody człowiek poruszył nieznacznie nogami, zaskamlał i złapał się za żebra. Gorst przyglądał się przez chwilę tej scenie, potem wzruszył ramionami i cofnął się z powrotem na swoje stanowisko.

Instruktor Kurstera zwrócił się do sędziego.

– Przykro mi – powiedział. – Ale mój uczeń nie może kontynuować walki.

Głokta nie mógł nad sobą zapanować. Musiał zakryć sobie usta obiema dłońmi. Jego ciałem wstrząsał bezgłośny śmiech. Każdy paroksyzm wesołości przyprawiał go o bolesny skurcz w szyi, ale nie zwracał na to uwagi. Wydawało się, że pozostali widzowie nie uważali tego spektaklu za równie zabawny. Wokół inkwizytora rozległy się gniewne pomruki. Mamrotanie przerodziło się w ogłuszające buczenie, kiedy Kurster opuszczał krąg szermierczy, podtrzymany przez swojego instruktora i sekundanta, potem zaś buczenie przeszło w chór gniewnych krzyków.

Gorst przesunął po widowni leniwym spojrzeniem swych półprzymkniętych oczu, po czym wzruszył ponownie ramionami i oddalił się powolnym krokiem w stronę balustrady odgradzającej miejsce dla szermierzy. Głokta wciąż trząsał się ze śmiechu, kiedy opuszczał kulawo trybuny, z sakiewką znacznie cięższą niż wówczas, gdy się tu zjawił. Od lat nie bawił się tak dobrze.

Uniwersytet stał w zapomnianym zakątku Agriontu, dokładnie w cieniu Domu Stwórcy, gdzie nawet ptaki wydawały się stare i zmęczone. Ogromny, walący się budynek, pokryty na wpół martwym bluszczem, o architekturze z poprzedniej epoki. Mówiło się, że to jedna z najstarszych budowli w mieście.

„I tak też wygląda”.

Dachy zapadały się pośrodku, dwa z nich były bliskie zawalenia. Delikatne iglice kruszały, grożąc runięciem na zaniedbane ogrody w dole. Tynk był wiekowy i brudny, gdzieniegdzie odpadły całe płyty, odsłaniając nagi kamień i niszczącą zaprawę. Po ścianie biegła wielka brązowa smuga, która zaczynała się w miejscu pęknięcia rynny. Był czas, gdy nauki ściśle przyciągały tu czołowych ludzi Unii i gdy ten budynek zaliczał się do najwspanialszych w mieście.

„A Sult uważa, że Inkwizycja jest przeżytkiem”.

Po obu stronach walącej się bramy stały dwa posągi starych ludzi, jeden trzymał lampę, drugi wskazywał coś w wielkiej księdze.

„Mądrość i postęp, albo podobne bzdury”.

Ten z księgą stracił swój nos w ciągu minionego wieku, ten drugi przechylał się pod kątem, wyciągając przed siebie lampę rozpaczliwym ruchem, jakby chcąc zachować równowagę.

Glokta uniósł pięść i zastukał do pradawnych drzwi. Zagruchotały i poruszyły się niebezpiecznie, jakby mogły lada chwila spaść z zawiasów. Glokta czekał. Czekał.

Rozległ się metaliczny dźwięk odciąganych zasuw i jedno skrzydło uchyliło się odrobinę. W szczelinie pojawiła się wiekowa twarz i spojrzała na niego, oświetlona od dołu przez jakiś nędzny ogarek trzymany w uschniętej dłoni. Zamglone starcze oczy obrzuciły gościa spojrzeniem od stóp do głów.

– Tak?

– Inkwizytor Glokta.

– Ach! Od arcylektora?

Glokta zmarszczył zaskoczony brwi.

– Tak, zgadza się.

„Nie są tak odcięci od świata, jak się wydaje. Ten człowiek wie, kim jestem”.

W środku było niebezpiecznie ciemno. Po obu stronach wejścia stały dwa ogromne mosiężne kandelabry, pozbawione jednak świec i od dawna niepolerowane, błyszcząc matowo w blasku małego ogarka, który trzymał odźwierny.

– Tędy, sir – zaświszczal starzec i poczłapał przed siebie, zgięty niemal wpół. Nawet Glokta dotrzymywał bez trudu kroku swemu przewodnikowi, zagłębiając się w mrok.

Kuśtykali zgodnie przez ciemne korytarze. Okna po jednej stronie były bardzo stare i składały się z maleńkich szybek, tak brudnych, że nawet w najbardziej słoneczny dzień nie wpuszczałyby wystarczająco dużo światła. Nie wpuszczały nawet odrobiny w ten ponury wieczór. Migoczący blask knota tańczył na zakurzonych malowidłach po przeciwnej stronie; widnieli na nich bladzi starzy ludzie w ciemnych szatach o szarej i czarnej barwie; spoglądali dzikim wzrokiem z oblażących ram, trzymając w starczych dłoniach flaszki, koła zębate i cyrkle.

– Dokąd idziemy? – spytał Glokta, kiedy już człapali mrocznymi korytarzami od kilku minut.

– Adeptci siedzą przy kolacji – wyjaśnił świszczącym głosem odźwierny, zerkając na Glokta bezbrzeżnie znużonymi oczami.

Jadalnia uniwersytecka była przepastną salą, w której odbijało się echo i gdzie mrok rozpraszało kilka kapiących świec. W ogromnym kominku płonął mały ogień, rzucając roztańczone cienie między belki stropowe. Przez całą długość pomieszczenia ciągnął się długi stół, wypolerowany latami służby i otoczony chwiejnymi krzesłami. Mógłby przy nim zasiąść bez trudu osiemdziesięciu ludzi, ale teraz było ich tylko pięciu, wszyscy zajęli miejsca przy jednym końcu, tuż obok kominka. Podnieśli wzrok, kiedy po sali przebiegło stukanie laski inkwizytora; zastygli nad swoim posiłkiem i spojrzeli z wielkim zainteresowaniem na nowo przybyłego. Człowiek zajmujący miejsce u szczytu stołu podniósł się i zbliżył pospiesznie, podciągając jedną dłoń brzeg swej długiej szaty.

– Gość – zaświszczą odzwierny, machając świeczką w stronę Glokty. – Ach, od arcylektora! Jestem Silber, administrator uniwersytetu! – oznajmił i uścisnął dłoń Glokty.

Jego towarzysze tymczasem poruszyli się i wstali, jakby zjawił się gość honorowy.

– Inkwizytor Glokta.

Popatrzył na skwapliwych starców.

„Okazują o wiele więcej szacunku, niż się spodziewałem. Trudno się dziwić, nazwisko arcylektora otwiera wszystkie drzwi”.

– Glokta, Glokta – wymamrotał jeden z mężczyzn. – Wydaje się, że pamiętam skądś jakiegoś Gloktę.

– Wszystko skądś pamiętasz, ale nigdy nie możesz sobie przypomnieć skąd – zażartował administrator przy akompaniamencie wymuszonych śmiechów. – Pozwoli pan, że dokonam prezentacji.

Zaczął obchodzić po kolei czterech naukowców w togach.

– Saurizin, nasz adept chemii.

Krzepki, niechlujny starzec z baczkami; miał poplamioną szatę i niejednen okrucz jedzenia w brodzie.

– Denka, adept metali.

Najmłodszy z czterech mężczyzn, ale już niemłody człowiek, miał na ustach arogancki grymas.

– Chayle, nasz adept mechaniki.

Glokta nigdy jeszcze nie widział człowieka o tak wielkiej głowie i jednocześnie małej twarzy. Zwłaszcza uszy miał ogromne, siwe włosy zaś sterczały mu na wszystkie strony.

– I Kandela, adept fizyki.

Chudy stary ptak z długą szyją i okularami na wygiętym dziobie nosa.

– Proszę się do nas przysiąść, inkwizytorze – oznajmił administrator, wskazując puste krzesło między dwoma adeptami.

– Może kieliszek wina? – podsunął przymilnie Chayle z wymuszonym uśmiechem na małych ustach, już nachylając się z karafką i nalewając z głośnym chlupotem trunku.

– Jak najbardziej.

– Właśnie dyskutowaliśmy o względnych korzyściach, które wynikają z reprezentowanych przez nas dziedzin nauki – mruknął Kandela, spoglądając na Gloktę przez migoczące okulary.

– Jak zawsze – poskarżył się administrator.

– Jedynym obszarem wartym badań jest, oczywiście, ciało ludzkie – ciągnął adept fizyki. – Trzeba docenić ukryte tajemnice, nim skupimy uwagę na świecie zewnętrznym. Wszyscy mamy ciało, inkwizytorze. Sposoby jego uzdrawiania i niszczenia budzą nasze najwyższe zainteresowanie. To właśnie ciało ludzkie jest przedmiotem mojej dziedziny.

– Ciała! Ciała! – zajęczał Chayle, wydymając wargi i przesuwając jedzenie po talerzu. –

Próbujemy się posilić!

– Święte słowa! Wprawiasz inkwizytora w zakłopotanie swoim upiornym bełkotem!

– Och, niełatwo przyprawić mnie o zakłopotanie. – Głokta nachylił się nad stołem, by adept metalu mógł przyjrzeć się dokładnie jego zdekompletowanemu uzębieniu. – Moja praca dla inkwizycji wymaga niejakej wiedzy anatomicznej.

Zapadła niezręczna cisza; po chwili Saurizin wziął do ręki talerz z mięsem i podsunął gościowi. Głokta spojrział na czerwone połyskliwe płyty, oblizując puste dziąsła.

– Dziękuję, nie.

– Czy to prawda? – spytał przyciszonym głosem adept chemii, patrząc znad swego talerza. – Będzie więcej funduszy? Teraz, gdy sprawa z kupcami bławatnymi została załatwiona?

Głokta zmarszczył czoło. Wszyscy patrzyli na niego, oczekując odpowiedzi. Jeden z adeptów zastął z widelcem przy ustach.

„A więc o to chodzi. O pieniądze. Ale dlaczego mieliby się spodziewać pieniędzy od arcylektora?”

Starcza dłoń trzymająca ciężki półmisek zaczęła drżeć.

„No cóż... jeśli skłoni ich to do słuchania”.

– Możemy pomówić o pieniądzach, w zależności od rezultatów, oczywiście.

Wokół stołu zaczęły pełznąć przyciszone pomruki. Adept chemii odstawił ostrożnie półmisek roztrzęsioną ręką.

– Ostatnio osiągnąłem spore sukcesy, jeśli chodzi o kwasy...

– Ha! – przerwał mu szyderczo Denka. – Rezultaty, to o nich mówił inkwizytor, o rezultatach! Moje nowe aliaże metalu będą mocniejsze niż stal, kiedy się je udoskonali!

– Zawsze aliaże! – westchnął Chyle, obracając maleńkie oczy na sufit. – Nikt nie docenia istoty trzeźwego mechanicznego myślenia!

Trzej pozostali adepci zwrócili się gniewnie przeciwko niemu, ale administrator wkroczył zdecydowanie.

– Panowie, proszę! Inkwizytora nie interesują nasze drobne spory! Każdy będzie miał sposobność przedyskutować swe ostatnie osiągnięcia i pochwalić się ich korzyściami. To nie rywalizacja, prawda, inkwizytorze?

Wszystkie twarze zwróciły się w stronę Głokty. Powiódł z wolna wzrokiem po tych starych, pełnych wyczekiwania twarzach i nic nie odpowiedział.

– Opracowałem maszynę do...

– Moje kwasy...

– Moje aliaże...

– Tajemnice ludzkiego ciała...

Głokta przerwał im:

– Szczerze powiedziawszy, przejawiam obecnie szczególne zainteresowanie dziedziną, którą, jak przypuszczam, nazwalibyście substancjami wybuchowymi...

Adept chemii zerwał się z miejsca.

– To moja specjalność! – zawołał, spoglądając triumfalnie na swoich kolegów. – Mam próbki! Mam przykłady! Proszę za mną, inkwizytorze!

Rzucił sztucę na talerz i ruszył w stronę drzwi.

Laboratorium Saurizina wyglądało dokładnie tak, jak można by oczekiwać, niemal do najmniejszego szczegółu. Długie pomieszczenie z łukowatym sklepieniem, poczernionym w niektórych miejscach kręgami i smugami sadzy. Ściany niemal w całości zakrywały półki, na których tłoczyły się pudełka, słoje i butelki, a wszystko to wypełniały proszki, płyny, pręty dziwnego metalu. Trudno było doszukać się w tym jakiegokolwiek porządku, a pojemniki nie nosiły żadnych etykiet.

„Dobra organizacja nie jest tu priorytetem”.

Na ławach pośrodku sali panował jeszcze większy bałagan: wysokie szklane konstrukcje i stara zbrązowiała miedz pod postacią rur, flaszek, półmisków i lamp – jedna paliła się nagim płomieniem. Cała ta rupieciarnia wyglądała tak, jakby miała się lada chwila zawalić, dusząc jakiegoś stojącego w pobliżu nieszczęśnika śmiertelnymi, bulgoczącymi truciznami.

Adept chemii buszował w tym bałaganie jak kret w swoim podziemnym labiryncie.

– Zaraz, zaraz – mamrotał do siebie, pociągając jedną ręką za niechlujną brodę. – Prochy wybuchowe muszą być gdzieś tutaj...

Glokta pokuśtykał za nim do pomieszczenia, rozglądając się podejrzliwie i patrząc na gąszcz rur, pokrywający każdą powierzchnię. Zmarszczył nos. Miejsce to było przesiąknięte odrażającym, gryzącym zapachem.

– Jest! – zaskrzeczał adept, potrząsając zakurzonym słojem, który był napełniony do połowy czarnymi granulami. Następnie zrobił miejsce na jednej z ław, usuwając zamaszystym ruchem ręki brzęczące szkło i metal. – Musi pan wiedzieć, że substancja ta jest niezwykle rzadka, inkwizytorze, niezwykle rzadka!

Wyciągnął korek ze słoika i wysypał na drewnianą ławę suchy strumyczek czarnego proszku.

– Tylko nieliczni mieli szczęście oglądać tę substancję w działaniu! Tylko nieliczni! A pan będzie za chwilę jednym z nich!

Glokta cofnął się na wszelki wypadek, wciąż mając świeżo w pamięci nierówną wyrwę w ścianie Wieży Łańcuchów.

– Mam nadzieję, że nic nam nie grozi z tej odległości?

– Absolutnie – mruknął Saurizin, wyciągając ostrożnie na długość ramienia płonący knot i przykładając płomień do smugi proszku z jednego końca. – Nie ma żadnego niebezpieczeństwa...

Rozległ się ostry trzask i w górę wzbiła się fontanna jasnych iskier. Adept chemii odskoczył, niemal wpadając na Głoktę i upuszczając zapalony knot na ziemię. Rozległ się kolejny trzask, jeszcze głośniejszy, w górę wystrzeliło jeszcze więcej iskier. Laboratorium zaczął wypełniać cuchnący dym. Potem pojawił się gwałtowny błysk przy akompaniamencie głośnego huk, który przeszedł w ciche skwierczenie. I to było wszystko.

Saurizin pomachał sobie przed twarzą długim rękawem togi, starając się rozgonić dym, który spowił całą komnatę w mroku.

– Niezwykle, prawda, inkwizytorze? – spytał, nim dopadł go atak kaszlu.

„Niezupełnie”.

Glokta zgniótł wciąż płonący knot pod butem i zbliżył się do ławki otoczonej kłębamii dymu. Odsunął kantem dłoni resztki szarego popiołu. Na powierzchni drewna widniał długi, czarny ślad spaleniwny, ale nic więcej. Na dobrą sprawę wrażenie robiły tylko cuchnące opary, które zaczęły gryźć go w krtań.

– Z pewnością daje mnóstwo dymu – zauważył chrapliwie.

– Owszem – kaszlnął z dumą adept. – I śmierdzi jak diabli.

Glokta wpatrywał się w czarną plamę na drewnie.

– Gdyby ktoś miał dostatecznie dużo tego prochu, to czy można przy jego zastosowaniu wyrwać

dziurę w ścianie, dajmy na to?

– Prawdopodobnie... gdyby ktoś zdołał zgromadzić znaczną ilość tej substancji, to kto wie, co dałoby się zrobić? O ile mi wiadomo, nikt tego nigdy nie próbował.

– W ścianie o znacznej grubości?

Adept zmarszczył czoło.

– Być może, ale musiałyby mieć całe beczki tej substancji! Beczki! Nie ma tyle w całej Unii, a koszt, nawet gdyby udało się zgromadzić odpowiednią ilość prochu, byłby niebotyczny! Proszę zrozumieć, inkwizytorze, że składniki trzeba sprowadzać z dalekiego południa, z Kanty, a nawet tam stanowią rzadkość. Byłbym szczęśliwy, mogąc przeprowadzić stosowny eksperyment, ale potrzebowałbym znacznych funduszy...

– Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić swój czas.

Glokta odwrócił się i zaczął kuśtykać przez kłęby dymu w stronę drzwi.

– Osiągnąłem ostatnio znaczne postępy w dziedzinie kwasów! – zawołał adept łamiącym się głosem. – Naprawdę powinien pan to zobaczyć! – Wziął urywany oddech. – Proszę to przekazać arcyilektorowi... znaczne postępy!

Znów dostał ataku kaszlu, Glokta zaś zamknął za sobą szczelnie drzwi laboratorium.

„Strata czasu. Nasz Bayaz nie mógł przemycić kilku beczek prochu do swoich komnat. A nawet gdyby zdołał, to ile by to wywołało dymu i smrodu? Strata mojego cennego czasu”.

Na korytarzu majaczyła postać Silbera.

– Czy możemy coś jeszcze panu pokazać, inkwizytorze?

Glokta zastanawiał się przez chwilę.

– Czy ktoś z tu obecnych wie cokolwiek o magii?

Administrator zacisnął szczękę.

– To żart, oczywiście. Być może...

– Magia, powiedziałem.

Silber zmrużył oczy.

– Musi pan zrozumieć, że jesteśmy instytucją naukową. Praktykowanie magii, jak to się mówi, byłoby wysoce... nieodpowiednie.

Glokta popatrzył na niego gniewnie.

„Nie chcę, byś wyjął swoją różdżkę, głupcze”.

– Chodzi mi o historyczny punkt widzenia – warknął. – Magowie i tak dalej. Bayaz!

– Ach, historyczny punkt widzenia. Rozumiem. – Napięta twarz administratora rozjaśniła się trochę. – Nasza biblioteka zawiera duży wybór starych tekstów, niektóre datują się z czasów, gdy magię uważano za... mniej niezwykłą.

– Kto może mi asystować?

Administrator uniósł brwi.

– Obawiam się, że adept historii jest, hm, niejakim przeżytkiem.

– Chodzi mi o rozmowę, nie zaś o pojedynek.

– Oczywiście, inkwizytorze, proszę za mną.

Glokta ujął kłamkę prastarych, nabijanych czarnymi nitami drzwi i zaczął je otwierać. Poczul nagle, jak Silber chwyta go za ramię.

– Nie! – rzucił pospiesznie, prowadząc Głoktę w głąb korytarza. – Zbiory są na dole.

Adept historii rzeczywiście jawił się jako część zamierzonych dziejów. Jego twarz była maską pobrużdżonej i obwisłej półprzezroczystej skóry. Z głowy sterczały mu rzadkie, śnieżnobiałe włosy. Było ich cztery raz mniej niż powinno, ale każdy był czterokrotnie dłuższy, niż można by się spodziewać; brwi miał cienkie, a jednocześnie rozrośnięte we wszystkich kierunkach, jak wąsy kota. Obwisłe usta były otwarte, słabe i bezzębne, dłonie przypominały stare i zniszczone rękawiczki, o wiele za duże. Cień życia zachował się tylko w oczach, które spoglądały na Gloktę i administratora, kiedy się zbliżali.

– Goście, co? – zaskrzeczał starzec, zwracając się najwidoczniej do czarnego kruka, usadowionego na jego biurku.

– To inkwizytor Glokta! – zagrzemiał administrator, nachylając się do ucha starego człowieka.

– Glokta?

– Od arcylektora!

– Naprawdę? – Adept historii spojrział swymi wiekowymi oczami.

– Jest nieco głuchy – mruknął Silber. – Ale nikt nie zna tak dobrze tych ksiązek jak on. – Zastanawiał się przez chwilę, spoglądając na zbiory, które ciągnęły się bez końca i ginęły gdzieś w mroku. – Nikt inny ich nie zna.

– Dziękuję – powiedział Glokta.

Administrator przytaknął i skierował się ku schodom. Glokta zrobił krok w stronę starego człowieka, a kruk zerwał się z biurka i poszybował w powietrze, rozrzucając pióra i uderzając szaleńczo skrzydłami pod sufitem. Glokta zatoczył się boleśnie do tyłu.

„Byłem pewien, że to diabelstwo jest wypchane”.

Obserwował podejrzliwie ptaka, dopóki ten nie przysiadł z łopotem na jednej z półek i znieruchomiał, przypatrując się inkwizytorowi żółtymi paciorkowatymi oczami.

Glokta przysunął sobie krzesło i osunął się na nie.

– Chcę się dowiedzieć czegoś o Bayazie.

– Bayaz – wymamrotał wiekowy adept. – Pierwsza litera w alfabecie starego języka, oczywiście.

– Nie wiedziałem o tym.

– Świat jest wypełniony po brzegi tym, czego nie wiesz, młody człowieku.

Ptak wydał z siebie niespodziewanie skrzekliwe krakanie, straszliwie głośnie w zakurzonej ciszy księgozbioru.

– Wypełniony po brzegi – powtórzył starzec.

– Więc zacznijmy od mojej edukacji. Chodzi o Bayaza. Muszę się o nim wszystkiego dowiedzieć. O Pierwszym z Magów.

– Bayaz. Imię, jakie wielki Jovens nadał swemu pierwszemu uczniowi. Jedna litera, jedno imię. Pierwszy uczeń, pierwsza litera alfabetu, rozumiesz?

– Staram się nadażyć. Czy naprawdę istniał?

Wiekowy adept skrzywił się.

– Niezaprzeczalnie. Nie miałeś nauczyciela w młodym wieku?

– Miałem, na nieszczęście.

– Nie uczył cię historii?

– Próbowałem, ale miałem w głowie szermierkę i dziewczęta.

– Ach. Już dawno straciłem zainteresowanie takimi sprawami.

– Ja też. Wróćmy do Bayaza.

Starzec westchnął.

– Dawno temu, jeszcze przed powstaniem Unii, Midderland składał się z wielu małych królestw, często pozostających ze sobą w stanie wojny, powstających i upadających wraz z upływem czasu. Jedno z nich było rządzone przez człowieka zwanego Harodem, późniejszego Haroda Wielkiego. Słyszałeś o nim, jak przypuszczam?

– Oczywiście.

– Bayaz zjawił się w jego sali tronowej i obiecał uczynić go królem całego Midderlandu, pod warunkiem, że zrobi to, co mu nakaze. Harod, wówczas młody i uparty, nie uwierzył, ale Bayaz za pomocą swojej Sztuki złamał długi stół.

– Magia, hę?

– Tak głosi wieść. Harod był pod wrażeniem...

– Zrozumiałe.

– ...i zgodził się przyjąć radę maga...

– To znaczy?

– Założyć stolicę tutaj, w Adule. Zawrzeć pokój z pewnymi sąsiadami, z innymi wszcząć wojnę, a także zrobić to w odpowiednim czasie i w odpowiedni sposób. – Starzec spojrział na Gloktę. – Ja opowiadam tę historię czy ty?

– Pan.

„I nie spieszysz się”.

– Bayaz dotrzymał słowa. Po jakimś czasie Midderland się zjednoczył, Harod został pierwszym wysokim królem, narodziła się Unia.

– I co się potem wydarzyło?

– Bayaz służył jako główny doradca Haroda. Nasze prawa i statuty, sama struktura naszej władzy, wszystko to jest podobno owocem jego myśli, nieznacznie zmienionym od czasu owych pradawnych dni. Ustanowił Rady, Zamkniętą i Otwartą, stworzył Inkwizycję. Wraz ze śmiercią Haroda opuścił Unię, obiecując powrócić pewnego dnia.

– Rozumiem. Ile z tego jest prawdą, jak pan myśli?

– Trudno powiedzieć. Mag? Czarnoksiężnik? Czarodziej? – Stary człowiek popatrzył na migotliwy płomień. – Dla jakiegoś barbarzyńcy ta świeca może być magią. Doprawdy, między magią a oszustwem przebiega cienka linia. Ale ten Bayaz był w swoim czasie przebiegłym umysłem, nie da się temu zaprzeczyć.

„To wszystko jest bez sensu”.

– A co było przedtem?

– Przed czym?

– Przed Unią. Przed Harodem.

Starzec wzruszył ramionami.

– Utrwalanie dziejów nie uchodziło za priorytet w tych ciemnych wiekach. Cały świat pogrążył się w chaosie w wyniku wojny między Juvensem i jego bratem Kanediasem...

– Kanediasem? Mistrzem Stwórcą?

– Zgadza się.

„Kanedias. Spogląda ze ścian mojego małego pokoju w piwnicach pod uroczą kamienicą Severarda. Juvens nie żyje, jego jedenastu uczniów – magów – maszeruje, by go pomścić. Znam tę opowieść”.

– Kanedias – mruknął Glokta, mając świeżo w pamięci ciemną postać na tle płomieni. – Mistrz Stwórca. Był postacią rzeczywistą?

– Trudno powiedzieć. Tkwi gdzieś pośrodku, między mitem a historią, jak przypuszczam.



Pewnie jest w tym ziarno prawdy. Ktoś musiał zbudować tę wielką cholerną wieżę, co?

– Wieżę?

– Dom Stwórcy! – oznajmił starzec, po czym wskazał otaczający ich pokój. – Powiadają też, że i to zbudował.

– Co, tę bibliotekę?

Starzec wybuchnął śmiechem.

– Cały Agriont albo przynajmniej skałę, na której stoi. Także uniwersytet. Wzniósł go, mianował pierwszych adeptów, by mu pomagali w jego dziełach, czymkolwiek były, i badali naturę rzeczy. My, tutaj, jesteśmy uczniami Stwórcy, choć wątpię, czy ci na górze o tym wiedzą. Odszedł, ale jego spuścizna trwa, nieprawdaż?

– W pewnym sensie. Co się z nim stało?

– Ha. Nie żyje. Bayaz go zabił.

Glokta uniósł brew.

– Naprawdę?

– Tak przynajmniej mówią. Czytałeś „Upadek Mistrza Stwórcy”?

– Te brednie? Myślałem, że to wszystko to jedno wielkie zmyślenie.

– Zgadza się. Gadanina obliczona na wywołanie wrażenia, ale oparta na pismach z epoki.

– Pismach? Przetrwały takie rzeczy?

Starzec zwęził oczy.

– Kilka.

– Kilka? Ma pan je tutaj?

– Szczególnie jedno.

Glokta wlepił wzrok w starego człowieka.

– Proszę mi je przynieść.

\* \* \*

Wiekowy papier zaszeleścił sucho, kiedy adept historii rozwinął ostrożnie zwój i rozpostarł go na stole. Pergamin był żółty i pocięty, krawędzie nadgryzione zębem czasu; pokrywało go gęste pismo: dziwne znaki, całkowicie nieczytelne dla oka Glokty.

– W jakim języku jest to napisane?

– W starym. Tylko nieliczni potrafią go odczytać. – Starzec wskazał pierwszy wers. – Opis upadku Kanediasa, o tym właśnie mówi trzeci z trzech.

– Trzeci z trzech?

– Trzeci z trzech zwojów, jak przypuszczam.

– Gdzie są dwa pozostałe?

– Zaginęły.

– Hm... – Glokta spojrział na bezkresny mrok księgozbiorów. „Dziwne, że cokolwiek da się tu znaleźć”. – O czym dokładnie mówi ten zwój?

Wiekowy bibliotekarz wlepił spojrzenie w dziwne pismo, słabo oświetlone blaskiem pojedynczej świecy. Jego drżący palec wodził po pergaminie, wargi poruszały się bezgłośnie.

– Wielka była furia.

– Co?

– Tak się zaczyna. Wielka była furia. – Zaczął powoli czytać. – „Magowie ścigali Kanediasa, wypędziwszy wcześniej jego wyznawców. Zburzyli jego fortecę, zamienili w ruinę jego budynki i zabili sługi. Sam Stwórca, poważnie ranny w bitwie, którą toczył ze swym bratem Juvensem, schronił się w Domu. – Starzec rozwinął jeszcze kawałek zwoju. – Dwanaście dni i dwanaście nocy magowie uderzali swym gniewem w bramy, nie mogli jednak ich pokonać. Wtedy Bayaz znalazł sposób, by dostać się do środka...”. – Adept przesunął z niezadowoleniem dłonią po pergaminie. Z powodu wilgoci lub czegoś innego znaki w następnym fragmencie były zamazane. – Nie potrafię tego odczytać... coś o córce Stwórcy.

– Jest pan pewien?

– Nie! – rzucił gniewnie starzec. – Brakuje całego kawałka!

– Wobec tego proszę to pominąć! Przejdźmy do następnego fragmentu, który da się odczytać.

– Zobaczmy... „Bayaz podążył za nim na dach i zrzucił go. – Stary człowiek odchrząknął głośno.

– Stwórca spadł w płomieniach i runął na most w dole. Magowie szukali wszędzie Nasienia, ale nie mogli go znaleźć”.

– Nasienia? – spytał Glokta, nic nie rozumiejąc.

– Tylko tyle jest napisane.

– Co to u diabła znaczy?

Starzec rozsiadł się wygodnie, najwidoczniej zadowolony, że ma rzadką okazję popisania się swoją wiedzą.

– Koniec epoki mitu, początek epoki rozumu. Bayaz, magowie, oni reprezentują porządek. Stwórca zaś jest postacią boską: przesady, ignorancja, nie wiem, jak to określić. Musi jednak w jego postaci być trochę prawdy. W końcu ktoś zbudował tę cholerną wieżę – oznajmił, po czym zaniósł się skrzekliwym i świszczącym śmiechem.

Glokta nie zamierzał zawracać sobie głowy przypominaniem, że adept kilka minut wcześniej zażartował w identyczny sposób.

„I nawet wtedy nie było to zabawne. Powtarzanie – przekleństwo ludzi starych”.

– Co z tym Nasieniem?

– Magia, sekrety, moc? To tylko metafora.

„Nie będę raczył arcyrektora metaforami. Zwłaszcza kiepskimi”.

– Nie ma tam nic więcej?

– Jest jeszcze trochę na ten temat, przekonajmy się. – Znów skierował wzrok na symbole. – Runął na most, oni szukali Nasienia...

– Tak, tak, to już było.

– Cierpliwości, inkwizytorze. – Jego starczy, wysuszony palec wodził po znakach. – Zapieczętowali Dom Stwórcy. Pochowali tych, którzy padli w walce, między innymi Kanediasa i jego córkę. To wszystko. – Wlepił wzrok w stronicę, jego palec zawisł nad kilkoma ostatnimi literami. – I Bayaz wziął klucz. To wszystko.

Glokta uniósł brwi.

– Co? Jak brzmiał ten ostatni fragment?

– Zapieczętowali bramy, pochowali zabitych i Bayaz wziął klucz.

– Klucz? Do Domu Stwórcy?

Adept ponownie spojrzał na stronę.

– Tak jest tu napisane.

„Nie ma klucza. Wieża stoi zapieczętowana od wieków, wszyscy to wiedzą. Nasz uzurpator nie ma klucza, to pewne”.

Glokta zaczął się powoli uśmiechać.

„To cieniutkie, bardzo cieniutkie, ale przy odpowiednim kontekście, przy odpowiednim nacisku powinno wystarczyć. Arcylektor będzie zadowolony”.

– Zabieram to. – Glokta przyciągnął do siebie starodawny pergamin i zaczął go zwijać.

– Co? – Oczy adepta były szeroko otwarte z przerażenia. – Nie możesz!

Podniósł się z wysiłkiem, jeszcze boleśniej, niż mógłby zrobić to Glokta. Jego kruk zerwał się wraz z nim, po czym zaczął trzepotać skrzydłami pod sufitem i skrzeczeć przeraźliwie, ale Glokta zignorował obu.

– Nie możesz tego zabrać! To niezastąpione! – wycharczał starzec, starając się bezradnie odzyskać zwój.

Glokta rozłożył szeroko ramiona.

– Powstrzymaj mnie! Dlaczego tego nie zrobisz? Chciałbym to zobaczyć! Możesz to sobie w ogóle wyobrazić? Nas, dwóch kalekich ludzi, którzy miotają się między tymi zbiorami i wyrrywają sobie stary papier, podczas gdy ptak paskudzi na nas z góry? – Zachichotał pod nosem. – Nie byłby to podniosły widok, co?

Adept historii, wyczerpany swoimi żalosnymi wysiłkami, opadł z powrotem na krzesło, oddychając ciężko.

– Nie pojmują, że przyszłość jest niemożliwa bez przeszłości.

„Jakież to głębokie”.

Glokta wsunął zwinięty pergamin pod płaszcz i odwrócił się do wyjścia.

– Kto będzie strzegł przeszłości, gdy mnie zabraknie? – spytał bezradnie starzec.

– A kogo to obchodzi? – spytał Glokta, zmierzając w stronę schodów. – Dopóki to nie będę ja.

# Niezwykłe talenty brata Długostopego

Już od tygodnia Logena budziły głośnie wiwaty. Zaczynało się wcześniej, wrywając go ze snu, niczym bitwa, która toczy się w pobliżu. Tak sobie pomyślał, usłyszawszy ten zgiełk po raz pierwszy, ale teraz wiedział, że to ta ich przekłeta głupia zabawa z ostrzami. Zamknięcie okna przynosiło trochę wytchnienia od hałasu, ale wkrótce upał stawał się nie do zniesienia. Miał do wyboru przespać się trochę albo nie zmrużyć oka, więc zostawiał okno otwarte.

Logen przetarł oczy, zaklął i dźwignął się z łóżka. Kolejny gorący, nudny dzień w Mieście Białych Wież. Na szlaku, w dziczy, byłby przytomny z chwilą uniesienia powiek, ale tutaj wszystko wyglądało inaczej. Nuda i upał sprawiały, że zrobił się powolny i leniwy. Powłókł się do salonu, potknąwszy o próg, ziewając przy tym szeroko i pocierając brodę. Nagle przystanął.

Ktoś tam był, ktoś obcy. Stał przy oknie, skąpany w blasku słońca, z rękami założonymi do tyłu. Niski, szczupły człowiek. Włosy na guzowatej głowie miał ogolone do skóry i był ubrany w dziwne, noszące ślady długiej podróży odzienie – spłowiałe, workowate sukno, które owijało kilkakrotnie jego ciało.

Nim Logen miał okazję się odezwać, tamten odwrócił się i podszedł sprężystym krokiem.

– A ty jesteś...? – spytał. Jego uśmiechnięta twarz była pomarszczona i ogorzała, przywodziła na myśl skórę starych, ulubionych butów. Nie sposób było odgadnąć jego wieku. Mógł mieć równie dobrze dwadzieścia pięć, jak i pięćdziesiąt lat.

– Dziewięciopalczy – mruknął Logen, cofając się przezornie pod ścianę.

– Dziewięciopalczy, tak. – Mały człowiek zbliżył się jeszcze bardziej i ujął dłoń Logena obiema rękami, ściskając mocno. – To niezwykle honor i przywilej – dodał, zamykając oczy i kłaniając się. – Móc cię poznać.

– Słyszałeś o mnie?

– Niestety nie, ale wszystkie boże stworzenia warte są najgłębszego szacunku. – Znów skłonił głowę. – Jestem brat Długostopy, podróżnik znamienitego zakonu nawigatorów. Istnieją pod słońcem tylko nieliczne lądy, których nie dotykałyby moje stopy. – Wskazał swoje znoszone buty, po czym rozłożył szeroko ramiona. – Od gór Tondy do pustyń Shamiru, od równin Starego Imperium do srebrnych wód Wysp Tysięcznych – cały świat jest moim domem! Naprawdę!

Biegłe władał językiem północnym, może nawet lepiej niż sam Logen.

– I Północ także?

– Jedna krótka wizyta, za młodu. Uznałem klimat za trochę nieprzychylny.

– Dobrze posługujesz się naszą mową.

– Istnieje niewiele języków, którymi ja, brat Długostopy, nie potrafię się posługiwać. Umiejętność szybkiego uczenia się języków jest jednym z moich wielu niezwykłych talentów. – Mężczyzna uśmiechnął się promiennie. – Bóg prawdziwie mnie pobłogosławił – dodał.

Logen zastanawiał się, czy nie jest to jakiś wyszukany żart.

– Co cię tu sprowadza?

– Przysłano po mnie! – Oczy mu błysnęły.

– Przysłano?

– W samej rzeczy! Na Bayaza, Pierwszego z Magów! Przysłano po mnie i przybyłem! Tak postępuję! Do skarbcza zakonu wpływały najbardziej szczodre datki w zamian za moje niezwykłe

talenty, ale i bez tego bym przybył. Słowo daję. Bez tego!

– Naprawdę?

– Naprawdę! – Mały człowiek cofnął się i zaczął krążyć po pokoju niebywale szybkim krokiem, zacierając dłonie. – To wyzwanie przemówiło tak samo do dumy zakonu, jak i jego powszechnie znanej chciwości! I to byłem ja! Ja, który zostałem wybrany spośród wszystkich nawigatorów w Kręgu Świata, do tego zadania! Ja, brat Długostopy! Ja, żaden inny! Kto o mojej pozycji, o mojej reputacji, mógłby oprzeć się takiemu wyzwaniu?

Staął przed Logenem i popatrzył na niego wyczekująco, jakby chciał usłyszeć odpowiedź na swoje pytanie.

– E...

– Nie ja! – zawołał Długostopy, znów obchodząc komnatę. – Nie oparłem się temu! Dlaczego miałbym się oprzeć? To nie w moim stylu! Oprzeć się pokusie podróży na samą krawędź świata? Cóż za opowieść się z tego zrodzi? Jaka inspiracja dla innych! Jaka...

– Krawędź świata? – spytał podejrzliwie Logen.

– Wiem! – Dziwny człowiek klepnął go w ramię. – Jesteśmy jednak podekscytowani!

– To zapewne nasz nawigator – oznajmił Bayaz, wyłaniając się ze swego pokoju.

– W samej rzeczy. Brat Długostopy, do usług. Ty zaś jesteś, przypuszczam, nikim innym jak tylko moim znakomitym pracodawcą, Bayzem, Pierwszym z Magów.

– Jestem nim.

– To dla mnie zaszczyt i niezwykle przywilej zapoznać się z tobą! – zawołał Długostopy, podbiegając do maga i ujmując jego dłoń.

– Mogę powiedzieć to samo. Ufam, że miałaś przyjemną podróż.

– Podróże są zawsze dla mnie czymś przyjemnym! Zawsze! A czas między jedną a drugą wydaje mi się niezwykle męczący. Zaręczam!

Bayaz zerknął ze zmarszczonym czołem na Logena, ale ten mógł tylko wzruszyć ramionami.

– Czy mogę spytać, kiedy wyruszamy w drogę? – ciągnął zakonnik. – Pragnę uczynić to jak najszybciej!

– Niebawem, jak mam nadzieję, zjawi się ostatni uczestnik naszej wyprawy. Będziemy musieli wynająć statek.

– Oczywiście! Zrobię to z najwyższą przyjemnością? Co mam powiedzieć kapitanowi o naszej trasie?

– Na zachód, przez Morze Kręgu, do Stariksy, potem zaś do Calcis w Starym Imperium – odparł Bayaz, a mały człowiek uśmiechnął się i skłonił. – Wyrażasz zgodę?

– Owszem, ale statki rzadko płyną teraz do Calcis. Niekończące się wojny Starego Imperium sprawiły, że tamtejsze wody są niezwykle niebezpieczne. Niestety, pleni się tam piractwo. Znalezienie kapitana chętnego do rejsu może okazać się trudne.

– To powinno pomóc. – Bayaz rzucił na stół pękata sakiewkę.

– W samej rzeczy.

– Upewnij się, że statek jest szybki. Kiedy już będziemy gotowi, nie zamierzam marnować choćby jednego dnia.

– Tego możesz być pewien – oznajmił nawigator, zabierając ze stołu ciężki woreczek z monetami. – Żeglowanie powolną jednostką to nie w moim stylu! Nie! Wyszukam ci najszybszy statek w Adule! Tak! Pomknie niczym oddech Boga! Będzie mknął po falach jak...

– Wystarczy, że będzie szybki.

Mały człowiek schylił głowę.

- Czas wypłynięcia w morze?
- W przeciągu miesiąca. – Bayaz spojrział na Logena. – Może pójdziesz z nim?
- Hm?
- Tak! – zakrzyknął nawigator. – Pójdziemy razem!

Chwycił Logena za łokieć i zaczął go ciągnąć w stronę drzwi.

– Spodziewam się, że w sakiewce coś pozostanie, bracie Długostopy! – zawołał Bayaz za ich plecami.

Nawigator odwrócił się w drzwiach.

– Pozostanie, tego możesz być pewien. Wycucie wartości, umiejętność targowania się, twarda postawa w negocjacjach! To jedynie trzy z moich rozlicznych talentów! – oznajmił z szerokim uśmiechem na ustach.

\* \* \*

– To bajkowe miejsce, owa Adua. Naprawdę. Tylko nieliczne miasta mogą się z nią równać. Shaffa jest być może większa, ale jakże zakurzona. Nikt nie zaprzeczy, że Wesport i Dagoska oferują wspaniałe widoki. Niektórzy uważają, że Ospria ze swymi zboczami górskimi jest najpiękniejszym miastem świata, ale serce brata Długostopego, trzeba powiedzieć, należy do wielkiego Talinsu. Byłeś tam, mistrzu Dziewięciopalcy, widziałeś ową szlachetną osadę?

– No... – Logen z trudem nadązał za małym człowieczkiem, manewrując w niekończącym się strumieniu ludzi.

Długostopy zatrzymał się tak gwałtownie, że Logen omal nie wpadł na niego. Nawigator odwrócił się z uniesionymi rękami i nieobecny spojrzeniem oczu.

– Talins o zachodzie słońca, od strony morza! Widziałem wiele niezwykłych rzeczy, wierz mi, ale zaklinam się, że jest to najpiękniejszy obraz w całym świecie. Słońce błyszczy na tysięcznych kanałach, na lśniących kopułach cytadeli wielkiego księcia, na strzelistych pałacach kupieckich książąt! Gdzie kończy się migotliwe morze, a zaczyna miasto? Och, Talins!

Odwrócił się i znów ruszył energicznie przed siebie, a Logen pospieszył za nim.

– Adua jest jednak wspaniałym miejscem i rozrasta się z każdym rokiem. Doprawdy, wiele się zmieniło od czasu, kiedy tu byłem ostatnim razem. Niegdyś mieszkali tu tylko arystokraci i gmin. Arystokraci posiadali ziemię, tak więc mieli pieniądze, a tym samym władzę. Ha. Proste, widzisz?

– No cóż... – Logen z trudem dostrzegał cokolwiek poza plecami Długostopego.

– Ale inni przejęli handel, niemal w całości. Kupcy, bankierzy i tak dalej. Wszędzie. Cała ich armia. Ludzie z gminu mogą się bogacić, pojmujesz? A bogaty człowiek z gminu ma władzę. Czy jest teraz człowiekiem z gminu, czy arystokratą? A może czymś innym? Ha. Bardzo skomplikowane, co?

– No...

– Tyle bogactwa. Tyle pieniędzy. Ale i ubóstwa, he? Tylu żebraków, tylu biednych. To niezbyt korzystne i zdrowe, bogaci i biedni tak blisko siebie, ale mimo wszystko to wspaniałe miejsce. I wciąż się rozwija.

– Uważam, że jest zbyt zatłoczone – mruknął Logen, gdy trąciło go jakieś ramię. – I zbyt gorące.

– Ba! Zatłoczone? Nazywasz je zatłoczonym? Szkoda, że nie widziałeś wielkiej świątyni w Shaffie podczas porannych modłów! Albo wielkiego dziedzińca przed pałacem imperatora, kiedy wystawia się na sprzedaż nowych niewolników! Gorące? Nazywasz je gorącym? W Ul-Saffayan, na

dalekim południu Gurkhulu, robi się tak gorąco w czasie letnich miesięcy, że można na progu swego domu ugotować jajko. Naprawdę! Tędy. – Przepisnął się przez płynący tłum i skierował w stronę wąskiej uliczki. – Będzie najszybciej!

Logen chwycił go za ramię.

– Tędy? – Wlepił wzrok w mroczny pasaż. – Jesteś pewien?

– Możesz w to wątpić? – spytał Długostopy, nagle przerażony. – Czyżbyś w to wątpił? Spośród moich licznych talentów umiejętność nawigacji jest niebywała! To właśnie przez wzgląd na nią Pierwszy z Magów tak szczerze obdarował skarbiec zakonu! Czyżbyś... – czekał. – Wyciągnął rękę i znów zaczął się uśmiechać, po czym postukał palcem wskazującym pierś Logena. – Nie znasz brata Długostopego. Jeszcze nie. Jesteś czujny i ostrożny, jak widzę, to doprawdy godne podziwu cechy. Nie mogę oczekiwać, byś żywił na równi ze mną niezachwianą wiarę w me umiejętności. Nie! To nie byłoby sprawiedliwe. niesprawiedliwość nie jest cechą godną pochwały. Nie! niesprawiedliwość nie jest w moim stylu.

– Chciałem powiedzieć...

– Przekonam cię! – zawołał Długostopy. – Naprawdę! Będiesz ufał memu słowu, nim zaufasz własnemu! Tak! Ta droga jest najkrótsza!

Po czym zagłębił się z niebywałą szybkością w obskurną uliczkę, Logen zaś starał się dotrzymać mu kroku, choć miał o wiele dłuższe nogi.

– Och, boczne uliczki! – zawołał nawigator przez ramię, gdy mijali ciemne, brudne przecznice i coraz bardziej stłoczone domy. – Boczne uliczki, he?

Alejki były coraz węższe, ciemniejsze, brudniejsze. Mały człowieczek skręcał w lewo i w prawo, ani na chwilę się nie zatrzymując, by pomyśleć nad kierunkiem.

– Czujesz to? Czujesz to, mistrzu Dziewięciopalcu? Pachnie jak... – pocierał kciuki o palce wskazujące obu dłoni, idąc uparcie przed siebie i szukając odpowiednich słów. – ...tajemnica! Przygoda!

Logenowi pachniało to gównem. W rynsztoku, twarzą do ziemi, leżał jakiś mężczyzna, być może pijany do nieprzytomności albo po prostu martwy. Mijali ich ludzie, kulawi i wychudzeni, inni stali na progach domów, trzymając okrągłe flaszki i wyglądając groźnie. Były tu też kobiety.

– Cztery marki i przychyłę ci nieba, człowieku z Północy! – zawołała jedna z nich do Logena, kiedy przechodzili obok. – Nieba, którego szybko nie zapomnisz! Niech będą trzy!

– Ladacznice – wyszeptał Długostopy, potrząsając głową. – I to tanie. Lubisz kobiety?

– No cóż...

– Powinieneś udać się do Ul-Nahb, mój przyjacielu! Do Ul-Nahb na wybrzeżach Morza Południowego! Możesz tam kupić sobie niewolnicę do łóżka. Naprawdę. Kosztują fortunę, ale te dziewczęta są szkolone przez lata!

– Można kupić dziewczynę? – spytał zdumiony Logen.

– Albo chłopca, jeśli twoje gusta zmiierzają w tym kierunku.

– He?

– Szkolą je przez lata, słowo daję. To istna dziedzina sztuki. Chcesz mieć prawdziwą nałożnicę? Chcesz? Te dziewczęta odznaczają się biegłością, o jakiej ci się nie śniło! Albo odwiedź Sipani! Są w tym mieście miejsca... phi! Kobiety są tam piękne, bez wyjątku! Prawdziwie! Jak księżniczki! I czyste – mruknął, spoglądając na jedną z niechlujnych kobiet.

Odrobiona brudu nie przeszkadzała Logenowi ani trochę. Biegłe w swym fachu i piękne – to było dla niego zbyt skomplikowane. Jego wzrok przykuła pewna dziewczyna, opierająca się o framugę drzwi z uniesionym ramieniem. Przyglądała im się z wymuszonym uśmiechem. Logenowi

wydała się w jakiś przewrotny sposób ładna. Ładniejsza w każdym razie niż on sam, poza tym minęło już dużo czasu od ostatniego razu. Trzeba patrzeć na pewne sprawy trzeźwo. Logen zatrzymał się.

– Bayaz powiedział, żeby oddać mu resztę pieniędzy.

– Owszem. Był w tej sprawie bardzo rzeczowy.

– A więc zostanie trochę?

Długostopy uniósł brwi.

– No, być może, zobaczymy...

Wyciągnął zamaszystym gestem sakiewkę i otworzył ją, rozglądając się wokół. Zabrzęczały głośno monety.

– Myślisz, że to dobry pomysł? – Logen rozejrzał się niespokojnie po ulicy i dostrzegł kilka twarzy, które obróciły się w ich stronę.

– Co my tu mamy? – spytał nawigator, wciąż grzebiąc w sakiewce. Wyciągnął kilka monet, podniósł do światła i przyjrzał się im z uwagą, po czym wcisnął je w dłoń Logena, który spytał:

– Subtelność nie jest jedną z twoich cech, co?

Kilku podejrzanych ludzi w uliczce zaczęło zbliżać się do nich z niejaką ciekawością, dwóch z przodu, jeden z tyłu.

– Nie, doprawdy! – roześmiał się Długostopy. – Doprawdy! Zawsze mówię wprost, taki już jestem. Doprawdy! Jestem... och. – Dostrzegł groźnie wyglądających osobników, którzy do nich podchodzili. – Och. To niefortunne. O, wielkie nieba.

Logen zwrócił się dziewczyny.

– Masz coś przeciwko temu, byśmy...

Zatrzasnęła mu drzwi przed samym nosem. Inni mieszkańcy zaczęli robić to samo, wzdłuż całej ulicy.

– Do diabła – rzucił przez zęby Logen. – Umiesz walczyć?

– Bóg uznał za stosowne obdarzyć mnie przeróżnymi talentami – mruknął nawigator. – Ale umiejętność walki nie jest jednym z nich.

Jeden z mężczyzn miał paskudnego zęza.

– To duża sakiewka jak na tak małego człowieka – zauważył, podchodząc bliżej.

– No, e... – wymamrotał Długostopy, chowając się za ramieniem Logena.

– Wielki ciężar do dźwigania – dodał drugi.

– A gdybyśmy tak wam pomogli?

Żaden z nich nie trzymał jakiegokolwiek broni, ale Logen zorientował się po ruchu ich rąk, że zamierzali jej dobyć. Za plecami miał trzeciego, czuł, jak tamten się zbliża. Był blisko. Bliżej niż tamci dwaj. Gdyby sobie z nim poradził, jego szanse wzrosłyby znacznie. Nie mógł jednak ryzykować i odwrócić się, poza tym chciał wykorzystać zaskoczenie. Liczył po prostu, że wszystko przebiegnie po jego myśli. Jak zawsze.

Logen zacisnął zęby i wykonał gwałtowny ruch łokciem, uderzając przeciwnika z tyłu prosto w szczękę, która wydała głośny chrzęst; chwycił go za nadgarstek drugą ręką, co było szczęśliwym trafem, bo tamten trzymał już nóż. Logen walnął go jeszcze raz łokciem w usta i wyrwał mu z osłabionych palców broń, kiedy mężczyzna osunął się na ulicę, uderzając głową o brudne kamienie bruku. Odwrócił się błyskawicznie, niemal oczekując ciosu, ale tamci dwaj nie poruszali się zbyt szybko. Mieli noże i jeden z nich zrobił w jego stronę niepewny krok, ale znieruchomiał, ujrawszy, że Logen trzyma ostrze, gotów do walki.

Była to kiepska broń, kawałek zardzewiałego żelaza, pozbawionego nawet osłony na dłoń, ale lepsza niż nic. O wiele lepsza. Logen pomachał nożem, żeby wszyscy mogli zobaczyć, że trzyma go w



dłoni. Poczul się pewniej. Jego szanse znacznie wzrosły.

– No dobra – rzucił. – Kto następny?

Dwaj mężczyźni rozdzielili się, próbując zająć go z obu stron, ważąc w dłoniach ostrza, ale nie spieszyło się im z atakiem.

– Możemy go załatwić – wyszeptał zezowaty, ale jego towarzysz nie wyglądał na zbyt pewnego siebie.

– Albo możecie wziąć to. – Logen otworzył zaciśniętą dłoń, pokazując monety, które dał mu Długostopy. – I zostawić nas w spokoju. Stać mnie na taki wydatek – Pomachał jeszcze nożem dla podkreślenia swych słów. – Tyle jesteście dla mnie warci, nie więcej. No i co?

Zezowaty splunął na ziemię.

– Możemy go załatwić! – syknął znowu. – Ty pierwszy!

– Sam go załatw, kurwa!

– Weźcie to, co wam proponuję – poradził Logen. – Wtedy nikt nie będzie musiał nikogo załatwiać.

Ten, którego walnął łokciem, jęknął i przekręcił się na plecy; zdawało się, że o wszystkim zdecydował los, jaki go spotkał.

– No dobra, pieprzony draniu z Północy, w porządku, weźmiemy to!

Logen wyszczerzył w uśmiechu zęby. Zastanawiał się, czy nie cisnąć monetami w zezowatego. Gdyby tamten zaczął je zbierać, mógłby dźgnąć go nożem. Tak postąpiłby w młodości, ale teraz zrezygnował z tego zamiaru. Po co się trudzić? Rozprostował palce i rzucił pieniądze za siebie, przysuwając się jednocześnie do najbliższej ściany. Obserwowali się czujnie, kiedy zmiierzali w przeciwne strony, złodzieje coraz bliżej monet, on zaś coraz bliżej ucieczki w bezpieczne miejsce. Niebawem zamienili się miejscami, Logen zaś ruszył pospiesznie w głąb ulicy, wciąż trzymając w wyciągniętej dłoni nóż. Kiedy dzieliło ich dziesięć kroków, dwaj mężczyźni schylili się i zaczęli zbierać z ziemi porozrzucone monety.

– Wciąż żyję – wyszeptał Logen, oddalając się pospiesznie.

Miał szczęście, wiedział o tym. Tylko głupiec sądzi, że walka nie oznacza dla niego śmierci, choćby był najtwardszy. Miał szczęście, że trafił tego za plecami. Miał szczęście, że tamci dwaj nie działali dość szybko. Zawsze mógł na nie liczyć w walce. I wierzyć, że wyjdzie z niej żywy. Nie mógł tylko liczyć na to, że walka go ominie. Mimo wszystko był zadowolony. Cieszył się, że nikogo nie zabił.

Poczul, jak ktoś klepie go po plecach, i odwrócił się błyskawicznie, trzymając nóż w pogotowiu.

– To tylko ja! – Brat Długostopy uniósł pospiesznie dłonie. Logen prawie zapomniał o nawigatorze, który stał pewnie cały czas z boku, nie odzywając się nawet słowem.

– Doskonała robota, mistrzu Dziewięciopalcy, doskonała! Naprawdę! Widzę, że nie jesteś pozbawiony pewnych talentów. Nie mogę się doczekać, kiedy wyruszymy razem w podróż, możesz mi wierzyć! Nabrzeże jest z tej strony! – krzyknął, już się oddalając.

Logen popatrzył po raz ostatni na dwóch mężczyzn, ale wciąż zbierali monety, wyrzucił więc nóż i pospieszył, by dogonić Długostopego.

– Nigdy nie walczyście, wy, nawigatorzy?

– Niektórzy spośród nas walczą, o tak, gołymi rękami i bronią wszelkiego rodzaju. Niektórzy są śmiertelnie niebezpieczni, ale nie ja. Nie. To nie w moim stylu.

– Nigdy?

– Nigdy. Moje umiejętności polegają na czym innym.

– Myślałem, że podróże naraziły cię na wiele niebezpieczeństw.

– Owszem – odparł wesoło Długostopy. – W rzeczy samej. Wtedy najbardziej przydatny jest mój talent do wyszukiwania kryjówek.

# Tacy jak ona walczą z każdym

Noc. Zimno. Słony wiatr zacinał bezlitośnie na szczycie wzgórza, a odzienie, które miała na sobie Ferro, było cienkie i podarte. Objęła się ramionami i przygarbiła, spoglądając ponuro w stronę morza. Dagoska była chmurą światełek w dali, otulającą stromą skałę między wielką, zakrzywioną zatoką i połyskliwym oceanem. Jej oczy dostrzegały niewyraźne, maleńkie kształty murów i wież, czarnych na tle ciemnego nieba, i cienką wstęgę suchej ziemi, która łączyła miasto z lądem. Było niemal wyspą. Między nimi i Dagoską płonęły ogniska. Obozowiska wokół dróg. Liczne obozowiska.

– Dagoska – wyszeptał Yulwei, usadowiony na skale obok niej. – Mały odprysk Unii, wepchnięty w Gurkhul jak cierń. Cierń w dumie imperatora.

– Hm... – mruknęła Ferro, garbiąc się jeszcze bardziej.

– Miasto jest obserwowane. Wielu żołnierzy. Więcej niż zwykle. Trudno będzie oszukać wszystkich.

– Może powinniśmy zawrócić – wymamrotała z nadzieją.

Stary człowiek jakby nie słyszał.

– Tutaj też są. Niejeden.

– Żercy?

– Muszę podejść bliżej. Znaleźć szczelinę. Poczekaj tu na mnie. – Urwał, chcąc usłyszeć jej odpowiedź. – Zaczekasz?

– W porządku! – syknęła. – W porządku, zaczekam!

Yulwei zsunął się ze skały i ruszył w dół zbocza, stąpając po miękkiej ziemi, prawie niewidoczny w atramentowej czerni. Kiedy dźwięk jego pobrzękujących bransolet ucichł w nocnej ciemności, odwróciła się od miasta, wzięła głęboki oddech i pospieszyła po zboczu ku południu, z powrotem do Gurkhulu.

Teraz Ferro mogła biec. Szybko jak wiatr, godzinami. Wielokrotnie biegała. Kiedy dotarła do podnóża góry, jej stopy zaczęły unosić się nad ziemią. Oddychała szybko i zawzięcie. Usłyszała nieodległy plusk, zsunęła się po brzegu i wskoczyła na płyciznę leniwie płynącej rzeki, rozbryzgując wodę. Ruszyła przed siebie, zanurzona po kolana w chłodnym nurcie. Niech ten stary drań spróbuje mnie tu wytropić, pomyślała.

Po chwili zawinęła swoją broń w tobołek i uniosła go nad głowę, po czym rzuciła się wpław, walcząc jedną ręką z prądem. Wygramoliła się na brzeg i pobiegła wzdłuż rzeki, ocierając twarz z wody.

Czas płynął powoli i niebo zaczęło się przejaśniać. Nadchodził poranek. Rzeka szemrała obok, a sandały Ferro wybijały szybki rytm w niewysokiej trawie. Zostawiła rzekę za sobą, przecinającą teraz płaski krajobraz, który przechodził z czerni w szarość.

Wpadła między drzewa i wśliznęła się w zarośla, dysząc chrapliwie. Drżała w półświatle brzasku, serce waliło jej w piersi. Pośród drzew było cicho. Dobrze. Sięgnęła pod ubranie i wyjęła kawałek chleba i skrawek mięsa, rozmiękle od wody, ale nie zważała na to. Uśmiechnęła się. Chowała w zanadru połowę wszystkiego, co od kilku dni dawał jej Yulwei.

– Głupi stary dureń – zachichotała między jednym kęsem a drugim, niemal się dławiąc. – Myślał, że zdoła przechytryć Ferro Maljinn.

Diabelnie chciało się jej pić. Nic nie mogła teraz na to poradzić, później postanowiła znaleźć

wodę. Była jednak zmęczona, bardzo zmęczona. Nawet Ferro czasem się męczyła. Zamierzała odpocząć, tylko chwilę. Odzyskać siły w nogach, a potem dalej, do... do... drgnęła zirytowana. O tym, dokąd się uda, mogła pomyśleć później. O miejscu, gdzie czeka zemsta. Tak.

Wpełzła głębiej w zarośla i usiadła pod drzewem. Oczy same się jej zamknęły. Odpocząć. Tylko chwilę. Zemsta później.

– Głupi stary drań – mruknęła. Głowa opadła jej na bok.

\* \* \*

– Bracie!

Ferro obudziła się raptownie, uderzając głową o pień drzewa. Było jasno, zbyt jasno. Jeszcze jeden słoneczny, gorący dzień. Jak długo spała?

– Bracie! – Kobięcy głos, gdzieś niedaleko. – Gdzie jesteś?

– Tutaj!

Ferro zamarła, napinając każdy mięsień. Męski głos, głęboki i silny. Usłyszała niespieszny stukot kopyt. Kilka wierzchowców, niedaleko.

– Co robisz, bracie?

– Jest blisko! – krzyknął znowu mężczyzna.

Ferro poczuła ucisk w gardle.

– Czuję ją!

Ferro wymacała w zaroślach swoją broń, wsunęła miecz i nóż za pas, drugi nóż zaś wetknęła sobie w jedyny, podarty rękaw.

– Wyczuwam ją, siostró! Jest bardzo blisko!

– Ale gdzie? – Kobięcy głos dobiegał z coraz bliższej odległości. – Myślisz, że nas słyszy?

– Może i tak! – roześmiał się mężczyzna. – Jesteś tam, Maljinn?

Zarzuciła sobie kołczan na ramię i ujęła łuk.

– Czekamy... – zawołał śpiewnie, zbliżając się jeszcze bardziej; był tuż za drzewami. – No dalej, Maljinn, wyjdź i przywitaj się z nami...

Rzuciła się do ucieczki, przedzierając się przez zarośla i pędząc po otwartej przestrzeni z rozpaczliwą szybkością.

– Tam jest! – krzyknęła kobieta za jej plecami. – Spójrz, ucieka!

– Złap ją! – wrzasnął mężczyzna.

Rozciągała się przed nią niczym niezmacona trawiasta połać. Nie było gdzie się schować. Odwróciła się z gardłowym pomrukiem, zakładając strzałę na cięciwę. Pędziło ku niej czterech jeźdźców, żołnierzy Gurkhulu; na ich hełmach i groźnych ostrzach włóczni połyskiwało słońce. Za nimi, w tyle, dostrzegła jeszcze dwóch konnych: kobietę i mężczyznę.

– Zatrzymaj się! W imieniu imperatora! – zawołał jeden z jeźdźców.

– Pieprzyć waszego imperatora!

Jej strzała ugodziła pierwszego żołnierza w szyję. Zwalił się do tyłu z pełnym zdumienia charkotem, wypuszczając włócznię z dłoni.

– Dobra robota! – krzyknęła kobieta.

Drugi jeździec dostał w pierś. Jego pancerz złagodził uderzenie grotu, ale ten i tak wszedł na tyle głęboko, by zabić. Żołnierz wrzasnął, upuszczając miecz w trawę. Chwycił za drzewce strzały i

zsunął się z siodła.

Trzeci nie wydał nawet dźwięku. Dostał w usta z odległości nie większej niż dziesięć kroków. Ostrze przeszło przez jego czaszkę i strąciło mu hełm, ale w tym momencie czwarty dopadł Ferro. Rzuciła łuk na ziemię i potoczyła się w bok, kiedy żołnierz zaatakował ją włócznią, potem dobyła miecza zza pasa, plując na trawę.

– Żywa! – zawołała kobieta, ponaglając leniwie konia. – Potrzebujemy jej żywej!

Żołnierz zawrócił prychającego konia i ruszył ostrożnie w stronę Ferro. Był potężnym mężczyzną z ciemnym zarostem na brodzie.

– Mam nadzieję, że pogodziłaś się z Bogiem, dziewczyno – powiedział.

– Pieprzyć twojego Boga!

Umykała przed nim, uskakiwała, poruszała się błyskawicznie, trzymała blisko ziemi. Żołnierz próbował dźgnąć ją włócznią, trzymać ją na dystans; jego wierzchowiec ubijał kopytami ziemię, ciskając kurz w twarz Ferro.

– Uderz ją! – usłyszała krzyk kobiety za plecami.

– Tak, uderz! – zawołał jej brat, chichocząc. – Ale nie za mocno! Jest nam potrzebna żywa!

Żołnierz warknął głucho, spinając konia ostrogami. Ferro uskoczyła przed wierzgającymi nogami. Ostrze włóczni dosięgło ją, godząc w ramię. Cięła z całej siły mieczem.

Zakrzywiono ostrze znalazło szczelinę między częściami zbroi i trafiło jeźdźca w nogę tuż poniżej kolana, otwierając przy tym głęboką ranę w boku konia. Człowiek i zwierzę wydali jednocześnie krzyk bólu i runęli na ziemię. Po trawie spłynęła ciemna krew.

– Trafiła go! – Kobieta wydawała się łagodnie rozczarowana.

– Wstawaj, człowieku! – roześmiał się jej brat. – Wstawaj i ruszaj na nią! Masz jeszcze szansę!

Żołnierz rzucał się na ziemi. Miecz Ferro ciął go w twarz, kładąc kres jego krzykom. Tuż obok, drugi jeździec wciąż utrzymywał się w siodle, twarz miał wykrzywioną, wydawał chrapliwie ostatnie tchnienia, jego dłoń zaciskała się kurczowo wokół zakrwawionego drzewca strzały. Koń, którego dosiadał, pochylił łeb i zaczął skubać suchą trawę pod kopytami.

– Pokonała wszystkich – zauważyła kobieta.

– Wiem. – Jej brat westchnął głęboko. – Czy człowiek musi sam wszystko robić?

Ferro spojrzała na nich, wsuwając zakrwawiony miecz z powrotem za pas. Siedzieli niedbale na swoich koniach niedaleko od niej, za ich plecami świeciło jasne słońce, na przystojnych twarzach widniał okrutny uśmiech. Byli ubrani jak lordowie, wiatr targał ich jedwabne, ciężkie od biżuterii stroje, ale żadne z nich nie było uzbrojone. Ferro sięgnęła po łuk.

– Bądź ostrożny, bracie – ostrzegła kobieta, oglądając sobie paznokcie. – Dobrze walczy.

– Jak sam diabeł! Ale nie może się równać ze mną, siostró, nie obawiaj się. – Zeskoczył z siodła. – A więc, Maljiin, czy...

Strzała trafiła go w pierś i zagłębiła się w ciało z głuchym dźwiękiem.

– ...zaczniemy?

Drzewce zadrgało, grot strzały połyskiwał mu za plecami, suchy i bez śladu krwi.

Mężczyzna ruszył w jej stronę. Następna strzała trafiła go w ramię, ale on tylko przyspieszył kroku, po czym zaczął biec, stawiając ogromne kroki. Odrzuciła łuk i zacisnęła palce na rękojeści miecza. Za wolno. Jego wyciągnięta ręka dosięgła jej piersi ze straszliwą siłą, rzucając ją na ziemię.

– Och, doskonale, bracie! – Kobieta klasnęła z radością w dłonie. – Doskonale!

Ferro przekręciła się na ziemi, zanosząc się kaszlem. Kiedy dźwigała się na nogi, ściskając w obu dłoniach miecz, zauważyła, że mężczyzna patrzy na nią. Wzięła zamach, zataczając nad głową wielki łuk. Ostrze wbiło się w ziemię. Jakimś cudem zdołał uskoczyć. Nagle, znikąd, pojawiła się

stopa i zagłębiła w jej brzuchu. Ferro zgięła się wpół, bezradna i pozbawiona tchu. Drżały jej palce, miecz tkwił uparcie w ziemi, kolana dygotały.

– A teraz...

Coś uderzyło ją z chrzęstem w nos. Nogi ugięły się pod nią i nagle ziemia rąbnęła ją boleśnie w plecy. Dźwignęła się półprzytomnie na kolana, świat wirował wokół niej. Na twarzy miała krew. Zamrugła i potrząsnęła głową, chcąc odzyskać równowagę. Mężczyzna zbliżał się do niej, jego postać była rozkołysana i niewyraźna. Wyrwał sobie strzałę z piersi i odrzucił na bok. Nie było nawet kropli krwi, tylko trochę kurzu. Tylko kurz unoszący się w powietrzu.

Żerca. Nie kto inny.

Ferro wstała z wysiłkiem, dobywając zza pasa noża. Dźgnęła przeciwnika, chybiła, znowu dźgnęła, znowu chybiła. Kręciło się jej w głowie. Krzyczała, zadając mu z całej siły ciosy ostrzem.

Chwycił ją za nadgarstek. Ich twarze niemal się stykały. Skórę miał doskonałą, gładką, niczym ciemne szkło. Wyglądał młodo, niemal dziecinnie, ale oczy miał wiekowe. Bezlitosne. Przyglądał się jej – zaciekawiony i rozbawiony, jak chłopiec, który znalazł niezwykłego chrabąszcza.

– Nie poddaje się, prawda, siostrze?

– Jest zawzięta! Prorok będzie nią zachwycony!

Mężczyzna powąchał ją i zmarszczył nos.

– Uh. Lepiej ją najpierw umyć.

Rąbnęła go w twarz. Jego głowa odskoczyła do tyłu, ale tylko się roześmiał. Chwycił ją za gardło drugą ręką i odsunął na odległość ramion. Próbowwała rozorać mu twarz, ale miał za długie ręce, nie mogła go sięgnąć. Zaczął odrywać jej palce od rękojeści noża. Trzymał jej szyję w żelaznym uścisku. Nie mogła oddychać. Obnażyła zęby, szarpiąc się, warcząc, wrywając. Wszystko na próżno.

– Żywa, bracie! Chcemy mieć ją żywą!

– Żywą – mruknął mężczyzna. – Co nie znaczy, że nie wolno jej tknąć.

Kobieta zachichotała. Stopy Ferro oderwały się od ziemi, wierzgając w powietrzu. Poczula, jak jeden z jej palców trzaska, a nóż wysuwa się z dłoni. Ręka na jej szyi zacisnęła się jeszcze bardziej, więc zaatakowała ją połamanymi paznokciami. Wszystko na próżno. Jasny świat zaczął ciemnieć.

Ferro usłyszała dobiegający gdzieś z daleka śmiech kobiety. Z mroku wyłoniła się twarz, dłoń pogłaskała jej policzek. Palce były miękkie, ciepłe, delikatne.

– Nie ruszaj się, dziecko – wyszeptała kobieta. Oczy miała ciemne i głębokie; Ferro czuła na swoim obliczu oddech, gorący i wonny. – Jesteś ranna, musisz odpocząć. Nie ruszaj się... śpij.

Nogi Ferro zrobiły się ciężkie jak z ołowiu. Kopnęła bezsilnie po raz ostatni, potem jej ciało zapadło się w siebie. Serce zwolniło biegu...

– Teraz odpoczywaj.

Powieki Ferro zaczęły opadać, piękna twarz kobiety traciła ostrość.

– Śpij.

Ferro zagryzła mocno język, a jej usta wypełnił kwaśny smak.

– Nie ruszaj się.

Ferro plunęła krwią na kobietę.

– Uh! – wrzasnęła kobieta z obrzydzenia, ocierając krew z oczu. – Walczy!

– Tacy jako ona walczą ze wszystkimi – dobiegł głos mężczyzny, tuż przy uchu Ferro.

– A teraz posłuchaj mnie, ladacznico! – syknęła kobieta, chwytając stalowymi palcami szczękę Ferro, i wykręcając jej twarz na wszystkie strony. – Idziesz z nami! Z nami! Tak czy inaczej! Słyszysz mnie?

– Nigdzie nie pójdzie.

Inny głos, głęboki i łagodny. Brzmiał znajomo. Ferro zamrugała i potrząsnęła głową półprzytomnie. Kobieta odwróciła się i spojrzała na starego człowieka, który stał niedaleko. Yulwei. Jego bransoletki brzęczały, kiedy szedł miękko po trawie.

– Żyjesz, Ferro?

– Ghh – zaskrzeczała w odpowiedzi.

Kobieta uśmiechnęła się szyderczo do Yulwei.

– Kim jesteś, stary draniu?

Yulwei westchnął.

– Jestem starym draniem.

– Wynoś się stąd, psie! – krzyknął mężczyzna. – Przychodzimy od Proroka. Od samego Khalula!

– A ona idzie z nami!

Yulwei spojrzał ze smutkiem.

– Nie mogę zmienić waszego postanowienia?

Roześmieli się obydwójce.

– Głupcze! – zawołał mężczyzna. – Nigdy nie zmieniamy postanowień!

Puścił ramię Ferro i zrobił ostrożny krok do przodu, ciągnąc ją za szyję.

– Fatalnie się składa – oznajmił Yulwei. – Powiedziałbym wam, żebyście przekazali ode mnie wyrazy szacunku Khalulowi.

– Prorok nie zadaje się z takimi jak ty, żebraku!

– Mógłbym was zadziwić. Zналиśmy się dobrze z Prorokiem, dawno temu.

– Przekażę zatem naszemu panu twe pozdrowienia – odezwała się szyderczo kobieta. – Wraz z wieścią o twej śmierci!

Ferro wykręciła nadgarstek i poczuła, jak nóż ukryty w rękawie zsuwa się jej w dłoń.

– Och, Khalul ucieszyłby się z tej wiadomości, ale musi jeszcze na nią poczekać. Wy dwoje obłożyliście się już klątwą. Złamaliście Drugie Prawo, spożywając mięso ludzkie, i musicie za to zapłacić.

– Stary głupcze! – zawołała ironicznie kobieta. – Twoje prawa nie stosują się do nas!

Yulwei potrząsnął z wolna głową.

– Słowo Euza rządzi wszystkim. Nie może być wyjątków. Żadne z was nie opuści tego miejsca żywe.

Powietrze wokół starego człowieka zabłysnęło, zawirowało, zmąciło się. Kobieta wydała gulgoczący dźwięk z głębi gardła i upadła nagle na ziemię, co nie było trafnym określeniem – raczej się roztopiła, rozplynęła, ciemny jedwab jej szaty załopotał wokół jej bezwładnego ciała.

– Siostro!

Mężczyzna puścił Ferro i rzucił się na Yulwei z wyciągniętymi ramionami. Nie posunął się dalej niż o krok. Wydał z siebie przeraźliwy krzyk i osunął się na kolana, chwytając się za głowę. Ferro zmusiła odporne stopy do ruchu, złapała go za włosy pogruchotaną dłonią i wbiła mu nóż w szyję. Wiatr porwał strumień kurzu. Fontannę kurzu. Wokół ust mężczyzny tańczyły płomienie, pokrywały czernią wargi i lizwały żarem palce. Runęła na niego, przygniatając do ziemi, krztusząc się, charcząc. Ostrze rozdarło mu brzuch, zazgrzytało o żebra, wbiło się w pierś. Trysnął ogień. Ogień i kurz. Dźgała to ciało z bezmyślną zawziętością swoim połamanym nożem, nawet wtedy, gdy już dawno przestało się ruszać.

Poczuła na ramieniu dotyk dłoni.

– On nie żyje, Ferro. Oboje nie żyją.

Zobaczyła, że to prawda. Mężczyzna leżał na plecach, wpatrzony w niebo, twarz miał zwęgloną wokół nosa i ust, z ziejących ran dobywał się kurz porywany przez podmuchy wiatru.

– Zabiłam go. – Jej głos zaskrzeczał i uwiązał w jej krtani.

– Nie, Ferro. Ja to zrobiłem. To byli młodzi żercy, słabi i głupi. Mimo wszystko masz szczęście, że chcieli cię tylko schwytać.

– Mam szczęście – wymamrotała; z jej ust ściekała na zwłoki krwawa ślina. Wypuściła z dłoni złamany nóż i odpełzła na czworakach. Obok spoczywało ciało kobiety, jeśli tak można było nazwać tę istotę. Pozbawiona kształtu, bryłowata masa ciała. Zobaczyła długie włosy, oko, wargi.

– Co zrobiłeś? – spytała chrapliwie skrwawionymi ustami.

– Zamieniłem jej kości w wodę. Jego zaś spaliłem. Woda dla jednego, ogień dla drugiego. Cokolwiek jest skuteczne w przypadku takich jak oni.

Ferro położyła się na trawie i spojrzała w jasne niebo. Podniosła do twarzy dłoń i potrząsnęła nią. Jeden z jej palców zakołysał się bezwładnie.

Ukazała się nad nią twarz Yulwei.

– Boli?

– Nie – wyszeptała, a jej ręka opadła bezwładnie na ziemię. – Nigdy nie boli. – Spojrzała na niego zdziwiona. – Dlaczego tak jest?

Stary człowiek zmarszczył czoło.

– Nie przestanę cię szukać, Ferro. Rozumiesz teraz, dlaczego musisz ze mną iść?

Przytaknęła powoli. Wysięk, jakiego to wymagało, był ogromny.

– Rozumiem...

Świat znów pociemniał.



# Kocha... nie kocha

Ach! – krzyknął Jezal, gdy czubek stali w dłoniach Filio zagłębił mu się w ramię. Zatoczył się do tyłu, krzywiąc twarz i przeklinając, Styriańczyk zaś uśmiechnął się do niego i wykonał teatralny ruch ostrzami.

– Trafienie na korzyść mistrza Filio! – zagrział sędzia. – Dwa dla każdego!

Rozległy się sporadyczne oklaski, kiedy Filio kroczył dumnie, z irytującym uśmiechem na twarzy, w stronę wiaty dla uczestników turnieju.

– Nieobliczalny drań – syknął pod nosem Jezal, podążając za przeciwnikiem. Powinien przewidzieć ten atak. Był nieostrożny i wiedział o tym.

– Dwa trafienia dla każdego? – rzucił wściekle Varuz, gdy Jezal osunął się na krzesło, dysząc z wysiłkiem. – Dwa trafienia? Z tym zerem? Nie pochodzi nawet z Unii!

Jezal miał dość rozumu, by nie nadmieniać, że Westport uchodził w tych dniach za część Unii. Wiedział, co Varuz ma na myśli, tak jak wszyscy na widowni. Tamten był dla nich obcym. Wyrwał gwałtownym ruchem chustę z wyciągniętej dłoni Westa i otarł sobie twarz. Pojedynek wymagający pięciu trafień trwał zawsze długo, ale Filio nie wyglądał na wyczerpanego. Podskakiwał teraz sprężysto na palcach stóp, przytakując swojemu instruktorowi, który udzielał mu głośno rad w ich języku.

– Możesz go pobić! – mruknął West, podając Jezalowi butelkę wody. – Możesz go pobić, a potem już tylko finał.

Finał. To oznaczało spotkanie z Gorstem. Jezal nie był wcale pewien, czy tego pragnie. Varuz jednak nie żywił żadnych wątpliwości.

– Po prostu go pokonaj! – syknął marszałek, kiedy Jezal łyknął z butelki i przepłukał sobie usta. – Po prostu go pokonaj!

Jezal wypluł połowę wody do wiadra, a drugą połknął. Po prostu go pokonać. Łatwo powiedzieć, ale ten Styriańczyk był diabelnym draniem.

– Możesz to zrobić! – powtórzył West, rozcierając ramię Jezala. – Zaszedłeś tak daleko!

– Zabij go! Po prostu go zabij! – Marszałek Varuz spojrział w oczy Jezala. – Jest pan nikiem, kapitanie Luthar? Czy marnowałem czas na pana? Czy też jest pan kimś? Nadszedł czas decyzji!

– Panowie, proszę! – zawołał sędzia. – Decydujące trafienie!

Jezal odetchnął głośno, wziął ostrza od Westa, podniósł się z miejsca. Słyszał, jak instruktor Filia dodaje mu głośno odwagi, przekrzykując wrzawę tłumu.

– Zabij go! – wrzasnął Varuz po raz ostatni, Jezal zaś ruszył w stronę kręgu.

Decydujące trafienie. Rozstrzygające. Pod wieloma względami. Oznaczało, czy Jezal znajdzie się w finale, czy nie. Był jednak zmęczony, bardzo zmęczony. Fechtował niemal od pół godziny, dając z siebie wszystko w tym straszliwym upale, który pozbawiał człowieka połowy sił. Znowu zaczął się pocić. Czuł, jak po twarzy spływają mu grube krople.

Ruszył w stronę wyznaczonego miejsca. Trochę kredy na wyschniętej trawie. Filio już czekał, wciąż się uśmiechając, w oczekiwaniu na swój triumf. Mały drań. Jeśli Gorst mógł gonić wokół kręgu swoich przeciwników, tłukąc ich bezlitośnie, to on, Jezal, mógł wgnieść twarz tego głupca w ziemię. Zacisnął palce na swoich ostrzach i skoncentrował się na tym nieznacznym i przyprawiającym o mdłości uśmiechu. Żałował przez chwilę, że stal jest stępiona, dopóki nie

uświadomił sobie, że sam może być tym, który zostanie trafiony.

– Zaczynajcie!

\* \* \*

Jezal układał karty, przesuwając je tam i z powrotem w dłoni, ledwie patrząc na symbole, ledwie zważając, czy ukrywa je przed wzrokiem pozostałych.

– Przebijam o dziesięć – powiedział Kasp, rzucając na stół kilka monet z wyrazem twarzy, który mówił... nieważne co, Jezala to nie obchodziło, nie koncentrował się na grze. Zapadło długie milczenie.

– Twój ruch, Jezal – mruknął Jalenhorm.

– Naprawdę? Och... – Przesunął wzrokiem po bezsensownych symbolach; nie potrafił traktować tego wszystkiego poważnie. – Hm... Pasuję.

Rzucił karty na stół. Był nieszczęśliwy, bardzo nieszczęśliwy, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Prawdopodobnie od zawsze. Myślał zbyt intensywnie o Ardee: zastanawiał się jak mógłby pójść z nią do łóżka, tak aby nie wyrządzić trwałej krzywdy ani sobie, ani jej, a zwłaszcza nie zginać z ręki Westa. Niestety, wciąż nie potrafił rozwiązać tego problemu. Kasp zgarnął monety, uśmiechając się szeroko z powodu tak nieprawdopodobnego zwycięstwa.

– Dobrze dziś walczyłeś, Jezal. Niewiele brakowało, ale dałeś sobie radę, co?

– Uhm... – mruknął Jezal i wziął swoją fajkę ze stołu.

– Słowo daję, już myślałem, że cię załatwi, i nagle – strzelił palcami pod nosem Brinta – ot tak! Zwaliłeś go z nóg. Widownia oszalała. Ja też oszalałem, i to tak bardzo, że o mało nie zlałem się w spodnie, przysięgam!

– Myślisz, że uda ci się pokonać Gorsta? – spytał Jalenhorm.

– Uhm... – Jezal wzruszył ramionami, zapalając fajkę i rozsiadając się wygodnie; spojrzał w szare niebo i pociągnął z cybucha.

– Zdajesz się traktować to wszystko bardzo spokojnie – zauważył Brint.

– Uhm.

Trzej oficerowie spojrzeli po sobie, rozczarowani, że rozmowa na ich ulubiony temat nie klei się za bardzo. Kasp podjął inny.

– Widzieliście już księżniczkę Terez?

Brint i Jalenhorm westchnęli i sapnęli, po czym cała trójka zaczęła wyrażać w prostacko sposób swoje uwielbienie dla tej kobiety.

– Czy ją widziałem? A jakże!

– Nazywają ją klejnotem Talinsu!

– Plotki nie kłamały w tym przypadku!

– Słyszałem, że sprawa jej małżeństwa z księciem Ladsilą jest przesądzona.

– Drań ma szczęście! I tak dalej.

Jezal siedział bez ruchu na swoim krześle i wydmuchiwał dym w stronę nieba. Nie podzielał zdania przyjaciół co do księżniczki Terez, opierając się na tym, co udało mu się jak dotąd zobaczyć. Piękna z daleka, bez wątplenia, ale przypuszczał, że jej twarz byłaby w dotyku jak szkło: zimna, twarda i krucha. Zupełnie inaczej niż Ardee...

– A jednak. – Jalenhorm nudził dalej. – Muszę powiedzieć, Kasp, że moje serce wciąż należy

do twojej kuzynki Ariss. Nie ma to jak dziewczyna z Unii, każda będzie lepsza od tych cudzoziemek.

– Nie ma to jak jej pieniądze, chciałeś powiedzieć – mruknął Jezal, wciąż odchylony na swoim krześle.

– Nie! – zaprzeczył gorąco potężny mężczyzna. – Jest damą w pełnym tego słowa znaczeniu! Słodka, poważna, dobrze wychowana.

Jezal uśmiechnął się do siebie. Jeśli Terez była zimna jak szkło, to Ariss była martwa jak ryba. Całowanie jej byłoby jak całowanie starej szmaty: bezwolnej i nudnej. Nie potrafiłaby całować tak jak Ardee. Nikt nie potrafił...

– No cóż, obie są piękne, bez wątpienia – głądził Brint. – Wspaniałe kobiety, o których można pomarzyć, jeśli marzenia to wszystko, czego pragniesz...

Pochylił się konspiracyjnie i rozejrzał ukradkiem, jakby miał coś tajemniczego i ekscytującego do powiedzenia. Dwaj pozostali przysunęli krzesła do stołu, ale Jezal nie ruszył się nawet. Nie interesowało go, z jaką dziwką ten głądzący idiota zamierza się przespać.

– Poznaliście siostrę Westa? – spytał cicho Brint, a Jezal poczuł, jak napinają mu się mięśnie. – Nie dorównuje tamtym dwóm, oczywiście, ale jest ładna w jakiś pospolity sposób i... wydaje mi się, że byłaby chętna.

Brint oblizwał wargi i trącił Jalenhorma w zębra. Olbrzym uśmiechnął się wstydliwie jak uczeń, który usłyszał właśnie nieprzyzwoity żart.

– O tak, robi wrażenie kobiety chętniej – zachichotał Kaspa.

Jezal odłożył fajkę, dostrzegając przy tym, że drży mu nieznacznie dłoń. Drugą zaciskał tak mocno na podłokietniku krzesła, że zbiełały mu kostki.

– Słowo daję – oznajmił Brint – gdybym się nie bał, że major nadzieje mnie na swój miecz, chętnie nadziałbym jego siostrę na swój. Co wy na to?

Jalenhorm zaniósł się śmiechem. Jezal poczuł, jak drga mu oko, kiedy Brint zwrócił ku niemu pogardliwie uśmiechniętą twarz.

– No i co, Jezal, jak myślisz? Poznałeś ją, prawda?

– Co myślę? – Głos Jezala zdawał się dochodzić z jakiejś nieprawdopodobnej dali, kiedy patrzył na te trzy rozbawione twarze. – Myślę, że powinieneś zważać na słowa, ty synu pieprzonej ladacznicy.

Stał teraz, zaciskając zęby tak mocno, że mogłyby pęknąć. Uśmiechy na twarzach trzech mężczyzn zawały się jakby i zgasły. Jezal poczuł na ramieniu dłoń Kaspy.

– Daj spokój, chciał tylko powiedzieć...

Jezal odepchnął jego rękę, chwycił brzeg stołu i szarpnął do góry. Monety, karty, butelki, kieliszki, wszystko poleciało w powietrze i spadło na trawę. Drugą dłoń zaciskał już na rękojeści miecza, którego na szczęście jeszcze nie wyjął, i pochylał się nad Brintem, obryzgując mu twarz śliną.

– A teraz mnie posłuchaj, mały draniu! – warknął. – Jeszcze słowo na ten temat, cokolwiek, a nie będziesz musiał się martwić o Westa! – Przycisnął do piersi Brinta dłoń, którą obejmował rękojeść miecza. – Pokroję cię jak pieprzonego kurczaka!

Trzej mężczyźni patrzyli na niego osłupiali szeroko otwartymi oczami, rozdziawiając usta; byli zdumieni tym wybuchem gniewu tak samo jak sam Jezal.

– Ale... – zaczął Jalenhorm.

– Co?! – wrzasnął Jezal, chwytając za kurtkę wielkiego mężczyzny i podnosząc go niemal z krzesła. – Co, kurwa, powiedziałaś?

– Nic – zapewnił piskliwym głosem Jalenhorm, podnosząc ręce. – Nic.

Jezał puścił go. Wściekłość przygasiała szybko. Zastanawiał się, czy nie przeprosić, ale gdy spojrział w poszarzałą twarz Brinta, jedyne, co przychodziło mu do głowy, to słowa „wydaje mi się, że byłaby chętna”.

– Pokroję cię jak pieprzonego kurczaka! – warknął ponownie, potem odwrócił się na pięcie i oddalił sztywnym krokiem. W połowie drogi do bramy uświadomił sobie, że zostawił swój płaszcz, ale nie mógł po niego w tej chwili wrócić. Zagłębił się w mrok tunelu, zrobił kilka kroków, po czym oparł się o ścianę, oddychając ciężko i drżąc, jakby pokonał właśnie biegiem ogromny dystans. Rozumiał teraz, co to znaczy ulegać gniewowi – rozumiał doskonale. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że skrywa go w sobie, ale teraz nie żywił żadnych wątpliwości.

– O co u diabła mu chodziło? – odbił się echem w tunelu przerażony głos Brinta, niemal zagłuszony przez łomot serca, które tłukło się w piersi Jezala. Musiał wstrzymać oddech, by dobrze słyszeć, co mówią tamci.

– Niech mnie diabli, jeśli wiem. – Jalenhorm wydawał się jeszcze bardziej zaskoczony. Rozległo się szuranie i stukot drewnianego stołu, podnoszonego z ziemi. – Nie wiedziałem, że skrywa taki temperament.

– Przypuszczam, że ma teraz dużo na głowie – powiedział bez przekonania Kaspas. – Turniej i w ogóle...

– To go nie usprawiedliwia! – przerwał mu ostro Brint.

– No cóż, są ze sobą blisko, prawda? On i West. Ćwiczą razem i Bóg wie co jeszcze, może zna jego siostrę... nie wiem!

– Istnieje jeszcze jedno wytłumaczenie – usłyszał pełen napięcia głos Brinta, jakby ten zamierzał powiedzieć coś zaskakującego. – Może jest w niej zakochany!

Wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem. Doprawdy, doskonały dowcip. Kapitan Jezał dan Luthar zakochany, i to w dziewczynie, która zajmowała pozycję o wiele niższą niż on. Co za idiotyczny pomysł! Co za absurdalne przypuszczenie! Co za żart!

– O, do diabła. – Jezał chwycił się za głowę. Nie miał ochoty do śmiechu. Jak u licha zrobiła mu coś takiego? Jak? Co w sobie skrywała? Była ładna, oczywiście, bystra i zabawna, ale to niczego nie tłumaczyło. – Nie mogę się więcej z nią spotkać – wyszeptał. – Nigdy.

Uderzył pięścią w ścianę. Jego postanowienie było żelazne. Jak zawsze. Wiedział, że nie zmieni zdania, dopóki nie otrzyma nowego liściku.

Jęknął i uderzył się w skroń. Dlaczego tak się czuł? Dlaczego... trudno mu było nawet zdobyć się na wypowiedzenie tego słowa... tak bardzo ją lubił? Wtedy mu zaświtało. Wiedział dlaczego.

Ona go nie lubiła.

Te szydercze uśmieški. Te spojrzenia z ukosa, które nieraz dostrzegał. Te żarty, czasami zbyt uszczypliwe. Nie wspominając już o sporadycznych przypadkach niekłamanej pogardy. Może lubiła jego pieniądze. Podobała się jej jego pozycja, oczywiście. I on się jej podobał, oczywiście. Ale, w gruncie rzecz, ta kobieta nim pogardzała.

Nigdy wcześniej nie doświadczył takiego uczucia w stosunku do swojej osoby. Zawsze zakładał, że wszyscy go kochają, nigdy nie miał powodu wątpić, że jest wspaniałym człowiekiem, godnym najwyższego szacunku. Lecz Ardee go nie lubiła, widział to teraz, i to kazało mu się zastanowić. Pomijając oczywiście doskonałą szczękę, pieniądze i stroje, co można było w nim lubić?

Traktowała go z pogardą, na którą, jak teraz zdawał sobie doskonale sprawę, w pełni zasłużył. I nie miał tego dosyć.

– Nie pojmuję – wymamrotał, opierając się bezradnie o ścianę tunelu. – Nie pojmuję.

To wszystko sprawiło, że zapragnął, by zmieniła zdanie na jego temat.



# Nasienie

Jak się czujesz, Sand?

Pułkownik Glokta otworzył oczy. W pokoju panowała ciemność. Do diabła, był spóźniony!

– Do diabła – zawołał, odrzucając pościel i zeskakując z łóżka. – Jestem spóźniony!

Chwycił spodnie od munduru, wsunął w nie nogi, mocując się z paskiem.

– Nie martw się, Sand! – Głos matki był kojący i jednocześnie niecierpliwy. – Gdzie jest Nasienie?

Glokta zmarszczył zdumiony brwi, wkładając koszulę.

– Nie mam czasu na te bzdury, matko! Dlaczego zawsze uważasz, że wiesz, co jest dla mnie najlepsze? – Rozejrzał się, szukając wzrokiem swojego miecza, ale nigdzie go nie widział. – Jesteśmy w stanie wojny!

– Rzeczywiście.

Pułkownik spojrzał, zdumiony. Był to głos arcylektora.

– Dwie wojny. Jedna prowadzona za pomocą ognia i stali, druga zaś tocząca się pod powierzchnią – odwieczna wojna, która trwa od wielu lat.

Glokta zmarszczył brwi. Jakim cudem pomylił tego starego gadułę z własną matką? I co on robił w jego prywatnej komnacie? Siedząc na krześle u stóp łóżka i gędząc o dawnych wojnach?

– Co u diabła robisz w mojej komnacie? – warknął pułkownik Glokta. – I co zrobiłeś z moim mieczem?

– Gdzie jest Nasienie?

Tym razem był to głos kobiety, ale nie należał do jego matki. Do kogoś innego. Nie rozpoznał go. Wlepił wzrok w ciemność, starając się dojrzeć postać na krześle. Widział niewyraźny zarys sylwetki, ale mrok był zbyt głęboki, by dało się zauważyć coś więcej.

– Kim jesteś? – spytał Glokta surowo.

– Kim byłam? Albo kim jestem? – Postać na krześle podniosła się powoli i płynnie ze swojego miejsca. – Byłam cierpliwą kobietą, ale już nią nie jestem; ciężkie lata skruszyły moją cierpliwość.

– Czego chcesz? – spytał Glokta piskliwym, słabym i drżącym głosem, i zaczął się cofać.

Postać ruszyła przed siebie, przechodząc przez snop księżycowego blasku, który wpadał przez okno. Postać kobieca, szczupła i zgrabna, ale twarz pogrążona w cieniu. Złapał go nagły strach; zatoczył się na ścianę, podnosząc ręce, by obronić się przed kobietą.

– Chcę Nasienia. – Z mroku wysunęła się błyskawicznym ruchem dłoń i zamknęła się na jego wyciągniętej ręce. Łagodny dotyk, ale zimny. Zimny jak kamień. Glokta zadrżał, westchnął, zacisnął powieki. – Potrzebuję go. Nie masz pojęcia jak bardzo. Gdzie jest?

Jego ubranie zaczęły szarpać palce, szybkie i sprawne; szukały, myszkowały, zagłębiały się w kieszenie, wsuwały pod koszulę, muskały mu skórę. Zimne. Zimne jak szkło.

– Nasienie? – pisnął Glokta na wpół sparaliżowany ze strachu.

– Wiesz, o czym mówię, pogruchotany człowieku. Gdzie jest?

– Stwórca spadł... – wyszeptał.

Słowa wypływały, a on nie wiedział skąd.

– Wiem o tym.

– ...płonąc, płonąc...

– Widziałam to.

Jej twarz była teraz tak blisko, że czuł na skórze oddech. Zimny. Zimny jak mróz.

– ...runął na most w dole...

– Pamiętam to.

– ...szukali Nasienia...

– Tak... – wyszeptał mu niecierpliwie do ucha głos. – Gdzie jest?

Coś musnęło mu twarz, policzek, powiekę, miękkie i śliskie. Język.

Zimny. Zimny jak lód. Poczul dreszcz na skórze.

– Nie wiem! Nie mogli go znaleźć!

– Nie mogli? – Palce objęły mocno jego gardło, zaciskając się, miażdżąc, pozbawiając go tchu. Zimne. Zimne jak żelazo i równie twarde. – Myślisz, że znasz ból, pogruchootany człowieku? Niczego nie znasz! – Lodowaty oddech owiewał mu ucho, lodowate palce zaciskały się coraz bardziej. – Ale mogę ci pokazać! Mogę ci pokazać!

\* \* \*

Glokta krzyczał, rzucał się, walczył. Podniósł się z najwyższym trudem, stał przez chwilę, zmagając się z zawrotami głowy, potem poczuł, jak uginają się pod nim nogi, i runął gdzieś w przestrzeń. Pograżony w mroku pokój zawirował i Glokta uderzył o podłogę ze straszliwym chrzęstem, przyciskając ramię do piersi i waląc czołem w drewno.

Dźwignął się, przytrzymując się nogi łóżka i opierając o ścianę, walcząc chrapliwie o oddech, spoglądając szeroko otwartymi oczami na krzesło, a jednocześnie bojąc się na nie patrzeć. Przez okno wpadał snop światła, przecinał zmiętą pościel i dobywał z mroku polerowane drewno siedziska.

„Jest puste”.

Glokta rozejrzał się po pokoju, przyzwyczajając oczy do ciemności i zaglądając w każdy zaciemiony kąt.

„Nic. Pustka. Sen”.

I teraz, kiedy walące młotem serce uspokoiło się, kiedy urywany oddech odzyskał swój powolny rytm, powrócił ból. Łomotało mu w głowie, nogi krzyczały ogłuszająco, ramię pulsowało tępo. Czuł w ustach krew, oczy piekły i łzawiły, wnętrzności podchodziły mu do gardła, przyprawiając o mdłości i zawroty głowy. Zaskamlał, wykonał straszliwie bolesny skok w stronę łóżka i padł na skąpany w blasku księżyca materac, wyczerpany i mokry od potu.

Rozległo się niecierpliwie pukanie do drzwi.

– Sir? Wszystko w porządku? – głos Barnama.

Znów pukanie.

„Niedobrze. Zawsze zamknięte, ale nie sądzę, bym się ruszył. Frost będzie musiał je wyważyć”.

Drzwi jednak otworzyły się na oścież i Glokta zasłonił oczy przed nagłym czerwonym blaskiem lampy w dłoni służącego.

– Wszystko w porządku?

– Upadłem – wymamrotał Glokta. – Moja ręka...

Stary sługa przysiadł na łóżku, ujmując delikatnie dłoń Glokty, i podciągnął rękaw koszuli nocnej. Glokta skrzywił się, a Barnam cmoknął. Wzdłuż ramienia biegł długi różowy ślad, który już

zaczął nabrzmiewać i czerwienieć.

– Nie wydaje mi się, by była złamana – oznajmił służący. – Powinienem jednak wezwać chirurga, tak na wszelki wypadek.

– Tak, tak. – Odesłał Barnama gestem zdrowej ręki. – Sprowadź go.

Glokta patrzył, jak jego służący spieszy przygarbiony w stronę drzwi, potem usłyszał, jak podąża przy akompaniamencie skrzypiącej podłogi w głąb korytarza i zstępuje po schodach. Trzasnęły drzwi. Zapadła cisza.

Spojrzał na zwój, który zabrał z biblioteki adepta historii, wciąż zwinięty i spoczywający na komodzie, jakby czekał, by zanieść go arcylektorowi.

„Stwórca spadał, płonąc. Uderzył o most w dole. Dziwne, jak elementy świata na jawie przenikają w nasze sny. Przeklęty człowiek z Północy i jego intruz. Kobieta i chłód. To właśnie przyprawiło mnie o ten koszmar”.

Glokta potarł delikatnie ramię, naciskając obolałe miejsce opuszkami palców.

„To nic. Tylko sen”.

Jednak coś nie dawało mu spokoju. Spojrzał na drzwi. Klucz wciąż tkwił w zamku, lśniąco pomarańczowo w blasku lampy.

„Nie są zamknięte, a jednak musiałem je zamknąć. Musiałem. Zawsze to robię”.

Glokta znów spojrzał na puste krzesło.

„Co powiedział ten głupi uczeń? Magia pochodzi z Drugiej Strony. Z podziemnego świata. Z piekła”.

Nie wiedział dlaczego, ale po tamtym śnie nie wydawało się to już takie trudne do zaakceptowania. Strach znów w nim narastał, teraz, kiedy został sam. Wyciągnął zdrową rękę w stronę krzesła. Trwało wieki, zanim dotarła do celu, drżąca, roztrzęciona. Jego palce dotknęły drewna.

„Chłodne, ale nie zimne. Nie zimne. Niczego tam nie ma”.

Cofnął powoli dłoń i objął nią pulsujące ramię.

„Nic. Pustka. To tylko koszmar senny”.

\* \* \*

– Co u licha się panu stało?

Glokta cmoknął cierpko, przesuwając językiem po bezzębnych dziąsłach.

– Spadłem z łóżka. – Podrapał się mimochodem po nadgarstku zakrytym opatrunkiem. Jeszcze przed chwilą dłoń pulsowała jak diabli, ale to, co miał przed oczami, kazało mu zapomnieć o bólu. Mogło skończyć się gorzej. O wiele gorzej. – Niezbyt przyjemny widok. Absolutnie.

– Ma pan cholerną rację. Nieprzyjemny. – Severard nie krył obrzydzenia, o ile było to możliwe przy zasłoniętej połowie twarzy. – Niemal się porzygałem. I to kto – ja!

Glokta spojrzał ze zmarszczonym czołem na skłębioną poćwiartowaną masę, opierając się o jedną ręką o pień drzewa i odsuwając laską paprocie, by lepiej widzieć.

– Jesteśmy pewni, że to mężczyzna?

– Może kobieta. W każdym razie istota ludzka. Tu jest stopa.

– Ach, rzeczywiście. Jak to znalezione?

– On to znalazł. – Severard wskazał głową ogrodnika: siedział na ziemi, poblady i wpatrzony



w przestrzeń; obok, na trawie, można było dostrzec zaschnięte wymiociny. – Leżało pomiędzy drzewami, ukryte w krzakach. Wygląda na to, że cokolwiek zabiło tę osobę, próbowało ją ukryć, ale niedawno. Zwłoki są świeże.

„Rzeczywiście – nie wydzielają na dobrą sprawę zapachu, much też jest niewiele. Bardzo świeże; być może stało się to nawet zeszłej nocy”.

– Mogłyby tu leżeć przez wiele dni, chyba że ktoś by poprosił ogrodnika, żeby na przykład przyciąć jedno z tych drzew, bo przysłaniało słońce. Widział pan już coś takiego?

Glokta wzruszył ramionami.

– W Anglandzie, jeden raz, to było jeszcze przed tobą. Jeden ze skazańców próbował uciec. Oddalił się od kopalni, potem wykończyło go zimno. Niedźwiedź zajął się jego zwłokami. To była niezła masakra, ale nie taka jak ta tutaj.

– Nie widziałem, by ktokolwiek zamarzył ostatniej nocy. Było gorąco jak w piekle.

– Hm... – mruknął Glokta. „Jeśli piekło jest gorące. Zawsze uważałem, że może być równie dobrze zimne. Zimne jak lód”. – Tak czy inaczej, w Agrioncie rzadko spotyka się niedźwiedzie. Czy wiemy cokolwiek na temat tożsamości tej... – wskazał laską zwłoki -... osoby?

– Nic.

– Ktoś jest poszukiwany? Zgłoszono czyjeś zaginięcie?

– Nic o tym nie wiem.

– A zatem nie mamy zielonego pojęcia, kim jest ofiara. Po co się w ogóle tym zajmujemy, do diabła? Nie mamy na głowie fałszywego maga?

– Właśnie o to chodzi. Ich nowe kwatery znajdują się w pobliżu. – Severard wskazał palcem w rękawiczce budynek oddalony niespełna o dwadzieścia kroków. – Obserwowałem ich, kiedy to ujawniono.

Glokta uniósł zaskoczony brwi.

– Rozumiem. I podejrzewasz jakiś związek, tak? – spytał, a praktyk wzruszył ramionami. – Zbrodniarz-intruz w środku nocy? Odrażające morderstwo niemal na samym ich progu? Nasi goście przyciągają kłopoty jak gównu przyciąga muchy.

– Hm – mruknął Severard, odganiając się od owadów. – Zająłem się także tą drugą sprawą. Pańskimi bankierami. Valint i Balk.

Glokta spojrzał na niego.

– Naprawdę? I co?

– Niewiele. Stary dom bankierski. Bardzo stary i szanowany. Ich notowania pośród kupców są równie wysokie jak złoto. Mają filie w całym Midderlandzie, Anglandzie, Stariklandzie, w Westporcie i Dagoście. Nawet poza granicami Unii. Potężni ludzie, wedle powszechnej opinii. Przypuszczam, że niejeden jest im winien pieniądze. Dziwna rzecz jednak, nikt nigdy nie spotkał samego Valinta czy Balka. Ale czy można powiedzieć coś pewnego o bankach? Uwielbiają tajemnice. Chce pan, żebym kopał głębiej?

„To może być niebezpieczne. Bardzo niebezpieczne. Zaczniemy kopać głębiej i okaże się, że wykopaliliśmy własne groby”.

– Nie. Lepiej sobie daruj. Chwilowo. Ale miej oczy otwarte.

– Moje oczy zawsze są otwarte, szefie. Na kogo stawia pan w turnieju?

Glokta popatrzył na praktyka.

– Jak możesz o tym myśleć, mając przed sobą coś takiego?

Praktyk wzruszył ramionami.

– Nie zaszkodzi już temu biedakowi, prawda?

Glokta znów rzucił okiem na zmasakrowane ciało. „Pewnie nie”.

– No śmiało, powinien pan wiedzieć. Luthar czy Gorst?

– Gorst.

„Mam nadzieję, że rozpląta tego małego drania na dwie połówki”.

– Naprawdę? Ludzie mówią, że jest niezgrabny jak wół. Ma tylko szczęście.

– No cóż, powiedziałbym, że to geniusz – oznajmił Glokta. – Za dwa lata wszyscy będą fechtować tak jak on, jeśli można to nazwać fechtunkiem. Wspomnisz moje słowa.

– Gorst, hę? Może postawię na niego niedużą sumkę?

– Zrób to. Ale tymczasem pozbieraj te resztki i zanieś je na uniwersytet. Poproś Frosta, żeby ci pomógł, ma silny żołądek.

– Na uniwersytet?

– Nie możemy tego tu zostawić. Jakaś modna dama, przechadzająca się po parku, mogłaby doznać szoku – wyjaśnił Glokta, a Severard zachichotał. – Poza tym jest chyba ktoś, kto mógłby rzucić trochę światła na tę małą tajemnicę.

\* \* \*

– Dokonał pan niezwykle ciekawego odkrycia, inkwizytorze. – Adept fizyki przerwał na chwilę robotę i zerknął na Glokta okiem wielokrotnie powiększonym przez soczewkę. – Fascynującego odkrycia – mruknął, znów pochylając się nad szczątkami i grzebiąc w nich swoimi instrumentami: podnosił, dźgał, wykręcał, badał wzrokiem lśniące mięso.

Glokta rozglądał się po laboratorium, wykrzywając wargi z obrzydzenia. Dwie ściany zakrywały od podłogi do sufitu szeregi słoików różnych rozmiarów, wypełnione kawałkami mięsa zanurzonymi w jakiejś cieczy. Niektóre z tych pływających eksponatów Glokta rozpoznał jako części ludzkiego ciała, z innymi miał problem. Nawet on czuł się niepewnie pośród tej makabrycznej wystawy.

„Ciekawe, jak Kandelau wszedł w posiadanie takiej kolekcji? Czy jego goście kończą jako poćwiartowane istoty, pływające w dziesiątkach różnych słoików? Czy i ja stanowiącym ciekawy okaz?”.

– Fascynujące. – Adept poluzował opaskę soczewki i przesunął ją na czubek głowy, po czym zaczął rozcierać różową obwódkę wokół oka. – Co może mi pan o tym powiedzieć?

Glokta zmarszczył brwi.

– Przyszedłem tutaj, by dowiedzieć się czegoś od pana.

– Oczywiście, oczywiście. – Kandelau wysunął wargi. – No cóż, e... jeśli chodzi o płeć naszego nieszczęsnego przyjaciela, to... – urwał zakłopotany.

– Więc?

– Hm, hm, no cóż, organy, które ułatwiłyby określenie płci, są... – wskazał mięso spoczywające na stole w ostrym świetle lamp – ...nieobecne, że tak powiem.

– I taki jest ostateczny rezultat pańskich badań?

– No, są jeszcze inne elementy: trzeci palec u mężczyzny jest zazwyczaj dłuższy niż pierwszy, co niekoniecznie musi występować u kobiety, ale, hm, nasze szczątki pozbawione są palców, więc nie sposób tego ocenić. A zatem, co do płci, bez palców jesteśmy zdani na nieco kaleki osąd! – Zachichotał nerwowo ze swego niewinnego żartu.

Glokta nie miał ochoty na śmiech.

– Młody czy starszy osobnik?

– No cóż, hm, znów trudno to określić, obawiam się. Zęby – adept trącił zwłoki szczypcami – są w dobrym stanie, poza tym resztki skóry, z jaką mamy tu do czynienia, pasowałaby raczej do młodej osoby, ale to tylko i wyłącznie...

– Co więc może mi pan powiedzieć o ofierze?

– No... nic. – Uśmiechnął się przepraszająco. – Jednak udało mi się ustalić bardzo ciekawe fakty co do przyczyn śmierci!

– Naprawdę?

– O tak, proszę spojrzeć!

„Wolałbym tego nie robić”.

Glokta przykuśtykał ostrożnie do stołu i spojrzał na miejsce wskazywane przez adepta fizyki.

– Widzi pan? Kształt tej rany? – Kandelau dźgnął szczypcami ochłap chrząstki.

– Nie, nie widzę – odparł Glokta. „Dla mnie to jedna wielka rana”.

Stary człowiek nachylił się ku niemu, oczy miał szeroko otwarte.

– Istota ludzka – oznajmił.

– Wiemy, że chodzi o istotę ludzką! To jest stopa!

– Nie, nie! Te ślady zębów, tutaj... to ugryzienie człowieka!

Glokta uniósł zdumiony brwi.

– Ugryzienie... człowieka?

– Bez wątpienia!

Promienny uśmiech na twarzy Kandelaua kontrastował upiornie z otoczeniem.

„I z przedmiotem tej sprawy, powiedziałbym”.

– Ten osobnik został zagryziony na śmierć przez inną osobę i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa – wskazał triumfalnym gestem śliską masę na stole – wzięwszy pod uwagę niekompletny charakter szczątków... częściowo zjedzony!

Glokta wpatrywał się przez kilka chwil w starego człowieka. „Zjedzony? Zjedzony? Dlaczego każde pytanie, na które znajduje się odpowiedź, rodzi dziesiątki innych?”.

– Chciałby pan, żebym to właśnie powiedział arcylektorowi?

Adept roześmiał się nerwowo.

– No cóż, hi, hi, to są fakty, tak jak je widzę...

– Osoba niezidentyfikowana, być może mężczyzna, być może kobieta, albo młoda, albo stara, została zaatakowana w parku przez nieznanego napastnika, a następnie zagryziona na śmierć w odległości niespełna stu kroków od pałacu królewskiego, a następnie częściowo... zjedzona?

– No... – Kandelau urwał i spojrzał z ukosa na drzwi, wyraźnie zaniepokojony.

Glokta odwrócił się i zmarszczył czoło. Na progu stał jakiś przybysz, którego nadejścia inkwizytor nie usłyszał. Kobieta pogrążona w cieniu, tuż przy krawędzi blasku rzucanego przez lampy, ze skrzyżowanymi ramionami. Wysoka, o krótkich sterczących włosach rudej barwy i z czarną maską na twarzy, przyglądała się spod zmrużonych powiek Glokcie i adeptowi. Praktyk.

„Ale taki, którego nie poznaję, poza tym kobiety to prawdziwa rzadkość w Inkwizycji. Myślałem, że...”.

– Dzień dobry, dzień dobry!

Do laboratorium wkroczył pospiesznym krokiem jakiś człowiek: chudy, łysiejący, w długim czarnym płaszczu i z wymuszonym uśmiechem na twarzy. Nieprzyjemnie znajomy człowiek.

„Goyle, niech go diabli. Nasz nowy superior Aduy, w końcu się zjawił. Wspaniałe wieści”.

– Inkwizytorze Glokta! – zamruczał jak kot. – Jakaż to radość znów pana widzieć!

– I pana, superiorze Goyle.

„Ty draniu”.

Za uśmiechniętym superiorem do pomieszczenia wkroczyli dwaj ludzie: ciemnoskóry, krępy Kantyk z wielkim złotym kolczykiem w uchu i potężnie zbudowany człowiek z Północy o twarzy jak kamienna płyta. Musiał się niemal schylić, by przecisnąć się przez drzwi. Obaj byli zamaskowani i odziani od stóp do głów w czarne płaszcze praktyków. Jasno oświetlona izba wydała się nagle zatłoczona.

– A to praktyk Vitari – zachichotał Goyle, wskazując rudowłosą kobietę, która zbliżyła się do rzędów słoï i zaczęła zaglądać do nich po kolei, stukając palcem w szkło i wprawiając eksponaty w drżenie. – To zaś jest praktyk Halim... – Południowiec prześliznął się obok Goyle'a i wszedł do pomieszczenia, wodząc wokół czujnym wzrokiem... i Byre.

Monstrualny człowiek spojrział na Gloktę niemal z wysokości sufitu.

– W jego własnym kraju nazywają go Rębaczem Kamieni, uwierzylibyscie? Nie sądzę jednak, by można to wykorzystać tutaj, a pan, Glokta? Praktyk Rębacz Kamieni, wyobraża pan sobie? – Roześmiał się sam do siebie i potrząsnął głową.

„I to ma być Inkwizycja? Nie wiedziałem, że do miasta zawitał cyrk. Ciekawe, czy jeden staje drugiemu na ramionach. Albo czy skaczą przez płonące obręcze?”.

– Niezwykle zróżnicowany dobór ludzi – zauważył Glokta.

– O tak – potwierdził rozbawiony Goyle. – Wyszukałem ich w trakcie rozlicznych podróży, prawda, moi przyjaciele?

Kobieta wzruszyła ramionami, grasując pośród słoïów. Ciemnoskóry praktyk skłonił głowę. Potężny człowiek z Północy stał tylko bez ruchu.

– W trakcie rozlicznych podróży! – zachichotał Goyle, jakby wszyscy obecni podzielali jego wesołość. – I to nie są wszyscy! Doprawdy, minęło sporo czasu! – Otarł łzę rozbawienia w kąciku oka i zbliżył się do stołu pośrodku pomieszczenia. Wydawało się, że wszystko stanowi dla niego źródło radości, nawet te szczątki. – Ale cóż to takiego? Ciało, chyba że się całkowicie mylę! – Podniósł gwałtownie wzrok, oczy mu się zaświeciły. – Ciało? Śmierć w obrębie miasta? Jestem superiorem Aduy, a zatem sprawa ta wchodzi w zakres moich kompetencji?

Glokta skłonił się.

– Naturalnie. Nie byłem świadomy, że pan przyjechał, superiorze Goyle. Uważałem też, że niezwykle okoliczności tego...

– Niezwykle? Nie widzę tu nic niezwykłego.

Glokta patrzył na niego w milczeniu. „Jaką grę prowadzi ten chichoczący idiota?”.

– Zgodzi się pan, jak przypuszczam, że mamy tu do czynienia z wyjątkowym... okrucieństwem działania – oznajmił.

Goyle wzruszył wymownie ramionami.

– Psy.

– Psy? – spytał Glokta, przekonany, że nie może zostawić tego bez komentarza. – Jacyś domowi pupile, którym nagle szaleństwo pomieszało zmysły, czy też dzikie bestie, które wspięły się na mur?

Superior uśmiechnął się tylko.

– Jak pan chce, inkwizytorze. Jak pan chce.

– Obawiam się, że to nie mogą być psy – zaczął wyjaśniać z emfazą adept fizyki. – Właśnie dowodziłem inkwizytorowi Glokcie... te ślady, tu, na skórze, widzi pan? To bez wątpienia ślady ludzkich zębów...

Kobieta odsunęła się od słoïów i zbliżyła wolnym krokiem do Kandelaua, po czym zaczęła

nachylać się ku niemu, aż niemal dotknęła maską czubka jego nosa. Adept uznał za stosowne zamilknąć.

– Psy – wyszeptła, po czym szczerknęła mu prosto w twarz. Adept odskoczył jak oparzony.

– No cóż, przypuszczam, że mogłem się mylić... oczywiście... – wyjąkał i zaczął się cofać, wpadając na potężną pierś człowieka z Północy, który stanął błyskawicznie tuż za nim. Kandelau obrócił się powoli i spojrzał na olbrzyma z przerażeniem.

– Psy – oznajmił śpiewnie gigant.

– Psy, psy, psy – zanucił Południowiec swoim ciężkim akcentem.

– Oczywiście – pisnął Kandelau. – Psy, oczywiście, jakże mogłem być tak głupi!

– Psy! – krzyknął radośnie Glokta, wyrzucając w górę dłonie. – Tajemnica rozwiązana!

Ku zdumieniu inkwizytora, jego słowa spotkały się z grzecznym aplauzem obu praktyków. Kobieta zachowała milczenie.

„Nigdy nie przypuszczałem, że będzie mi brakowało superiora Kalyne'a, ale nagle odczuwam głęboką tęsknotę za tym człowiekiem”.

Goyle zaczął obracać się z wolna i kłaniać nisko.

– Mój pierwszy dzień tutaj, a już wdrożyłem się do pracy! Możecie to zakopać – powiedział, wskazując zwłoki i uśmiechając się szeroko do skulonego adepta. – Najlepiej zakopać, he? – Spojrzał na człowieka z Północy. – Z powrotem do ziemi, jak powiadają w twoim kraju!

Potężny praktyk nie dał niczym po sobie poznać, że ktokolwiek wypowiedział te słowa. Kantyk stał nieruchomo, bawiąc się kolczykiem w uchu. Kobieta przyglądała się z bliska szczątkom na stole, obwąchując je przez maskę. Adept opierał się o półkę ze słojami, spocony jak mysz.

„Dosyć tej pantomimy. Mam robotę na głowie”.

– No cóż – oznajmił Glokta, kuśtykając w stronę drzwi. – Tajemnica została rozwiązana. Nie potrzebujecie mnie już dłużej.

Superior Goyle odwrócił się i popatrzył na inkwizytora. Jego dobry humor ulotnił się bez śladu.

– Nie! – syknął, a wściekłe małe oczka niemal wyskoczyły mu z głowy. – Nie potrzebujemy pana już dłużej!

# Nigdy nie zakładaj się z magiem

Logen siedział w gorącym słońcu, garbiąc się na swojej ławce, i oblewał się potem. Śmieszne szaty nie chroniły przed upałem ani przed niczym innym. W tym stroju nie dało się siedzieć, a sztywna skóra wrzynała się boleśnie w jego krocze, ilekroć próbował choćby się poruszyć.

– Pieprzone odzienie – warknął, szarpiąc za ubranie chyba po raz dwudziesty.

Quai nie wyglądał wiele lepiej w swoim magicznym rynsztunku – migotanie złotych i srebrnych symboli sprawiało tylko, że jego twarz wydawała się jeszcze bledsza i bardziej chorowita, oczy bardziej niespokojne i wypukłe. Przez cały ranek nie odezwał się nawet słowem. Z całej trójki tylko Bayaz doskonale się bawił, wodząc rozpromienionym wzrokiem po ruchliwych rzędach widzów i migocząc opaloną łysiną.

Wyróżniali się spośród falującej widowni niczym zgniły owoc i cieszyli się podobną popularnością. Choć ławki zajęte były do ostatniego miejsca, wokół nich utworzyła się niewielka i pełna niepokoju przestrzeń, gdzie nikt nie miał zamiaru usiąść.

Wrzawa była jeszcze bardziej przygniatająca niż upał i ciżba. W głowie Logena rozbrzmiewał dokuczliwy gwar. Miał ochotę zasłonić sobie uszy dłońmi i schować się pod ławką. Bayaz nachylił się ku niemu.

– Tak wyglądały wasze pojedynki? – Musiał niemal krzyczeć, choć przysunął usta tuż do ucha Logena.

– Mhm.

Nawet kiedy Logen walczył z Ruddem Trójdrzewcem, podczas gdy otaczała ich ogromnym półkolem niemal cała armia Bethoda, drąc się, wrzeszcząc i waląc bronią o tarcze, a mury Uffrithu roily się od gapiów, jego widownia była o połowę mniejsza, podobnie jak wrzawa. Niespełna trzydziestu ludzi patrzyło, jak zabijał Shamę Bezlitosnego, a potem ćwiartował niczym świnię. Logen skrzywił się, drgnął i przygarbił na to wspomnienie. Ciął, ciął bez końca i oblizywał palce z krwi, podczas gdy Wilczarz patrzył z przerażeniem, Bethod zaś śmiał się i zachęcał go. Czuł teraz metaliczny smak; zadrżał i otarł usta.

Wówczas ludzi było znacznie mniej, ale stawki o wiele wyższe. Przede wszystkim życie wojowników, a także własność ziemi, wiosek, miast i przyszłość całych klanów. Kiedy walczył z Tulem Duru, patrzyła na to nie więcej niż setka ludzi, ale być może zależał od tej krwawej pół godziny los Północy. Gdyby wtedy przegrał, gdyby Grzmot go zabił, czy wszystko wyglądałoby tak samo? Gdyby Czarny Dow albo Harding Ponurak, albo którykolwiek z pozostałych złożył go do ziemi, to czy Bethod miałby teraz złoty łańcuch i nazywał się królem? Czy Unia prowadziłaby wojnę z Północą? Ta myśl przyprawiła go o ból głowy. Ból jeszcze większy.

– Dobrze się czujesz? – spytał go Bayaz.

– Mhm... – mruknął Logen, ale drżał pomimo upału. Po co przyszli tutaj ci wszyscy ludzie? Tylko dla zabawy. Nieliczni mogli uznać bitwy Logena za zabawne, z wyjątkiem może samego Bethoda. I jeszcze kilku innych. – To nie przypomina moich walk.

– Co mówisz? – spytał Bayaz.

– Nic.

– Hm. – Stary człowiek przesunął rozpromienionym spojrzeniem po tłumie, głaszcząc się po krótkiej siwej brodzie. – Jak myślisz, kto wygra?

Logena nie obchodziło to właściwie, ale pomyślał, że dobrze byłoby się oderwać od wspomnień. Spojrzał w stronę zadaszania, gdzie przygotowywali się dwaj przeciwnicy, niedaleko od miejsca, w którym siedział. Jednym z nich był przystojny, dumny młody człowiek, którego spotkali przy bramie. Drugim był ciężki i wyglądający na nieprawdopodobnie silnego mężczyzna o byczym karku i niemal znudzonym spojrzeniu. Wzruszył ramionami.

– Nie znam się na tym.

– Co, ty? Krwawy-dziewięć? Czempion, który stoczył i wygrał dziesięć pojedynków? Najgroźniejszy człowiek Północy? Nie ma zdania? Jestem pewien, że walka jeden na jednego wszędzie wygląda tak samo!

Logen skrzywił się i oblizał wargi. Krwawy-dziewięć. Było to dawno temu, ale nie tak bardzo, jakby pragnął. W ustach wciąż czuł smak metalu, soli, krwi. Dotknięcie człowieka mieczem to jedno, a rozplatanie go na pół to drugie, ale jeszcze raz przyjrzał się obu przeciwnikom.

Dumny młody człowiek podwinął rękawy, dotknął palców u nóg, wykręcał ciało to w jedną, to w drugą stronę i robił ramionami szybkiego młynka, obserwowany bacznie przez surowego starego żołnierza w nieskazitelnym czerwonym mundurze. Jakiś wysoki, zatroskany mężczyzna podał szermierzowi dwa cienkie miecze, jeden dłuższy, drugi krótszy, młody człowiek zaś przeciął nimi kilka razy powietrze z zaskakującą szybkością, błyskając ostrzami.

Jego przeciwnik opierał się o drewnianą ścianę zadaszania, rozciągając bez pośpiechu mięśnie byczego karku i wodząc wkoło rozleniwionym wzrokiem.

– Kto jest kim? – spytał Logen.

– Ten pompatyczny osioł spod bramy to Luthar. Ten, który prawie śpi, to Gorst.

Było jasne, za kim opowiada się widowia. Pośród wrzawy można było często usłyszeć imię Luthara, a każdy ruch jego cienkich mieczy był przyjmowany głośnymi okrzykami i brawami. Sprawiał wrażenie szybkiego, zwinnego i bystrego, ale było coś niebezpiecznego w niedbałej i leniwej postawie krępego mężczyzny, coś mrocznego w oczach przysłoniętych ciężkimi powiekami. Logen wolałby walczyć z Lutharem, pomimo jego szybkości.

– Stawiam na Gorsta.

– Na Gorsta, naprawdę? – spytał Bayaz z błyskiem oka. – Co powiesz na mały zakład?

Logen posłyszał, jak Quai wciąga ze świstem powietrze w płuca.

– Nigdy się nie zakładaj z magiem – wyszeptał uczeń. Wydawało się, że nie ma to większego znaczenia dla Logena.

– A o co u diabła miałbym postawić?

Bayaz wzruszył ramionami.

– Może założymy się o honor?

– Jeśli chcesz.

Honor? Logen nigdy nie miał go w nadmiarze, nie zależało mu więc szczególnie na tym, co jeszcze pozostało.

\* \* \*

– Bremer dan Gorst!

Rzadkie oklaski zagłuszyła fala posykiwań i buczenia, gdy wielki wół zmierzał ciężkim krokiem w stronę swojego miejsca, wpatrzony zmrużonymi oczami w ziemię, trzymając niedbale wielkie,

nieporęczne ostrza w ciężkich dłoniach. Między krótko przystrzyżonymi włosami i kołnierzem koszuli, w miejscu szyi, widniała gruba umięśniona fałda.

– Odrażający drań – mruknął Jezal do siebie, patrząc, jak jego przeciwnik zmierza w stronę koła. – Cholernie głupi i odrażający drań.

Jednak te przekleństwa brzmiały pusto, nawet w jego własnych uszach. Widział, jak ten człowiek stoczył trzy pojedynki i dosłownie zmiażdżył swoich rywali. Jeden z nich wciąż leżał w łóżku i miał w nim pozostać jeszcze tydzień. Jezal ćwiczył w ciągu ostatnich dni obronę przed tępym i brutalnym stylem Gorsta: Varuz i West wymachiwali na niego kijami od mioteł, a on uchylał się na wszystkie strony. Nie raz oberwał i wciąż cierpiał z powodu siniaków.

– Gorst? – zawołał sędzia żałościwie, starając się za wszelką cenę nakłonić widownię do jakiegoś aplauzu, ale nic nie wskórał. Buczenie stało się jeszcze głośniejsze, towarzyszyły mu szydercze krzyki i zaczepki, gdy Gorst zajmował spokojnie swoje miejsce.

– Ty niezdamny wole!

– Wracaj na farmę i ciągnij pług!

– Bremer brutal!

Szeregi ludzi ciągnęły się bez końca i niknęły gdzieś w dali. Wszyscy tu byli. Wszyscy ludzie świata, jak się zdawało. Każdy człowiek z gminu na odległych końcach trybun. Każdy szlachcic, rzemieślnik i kupiec pośrodku. Każdy arystokrata – kobieta czy mężczyzna – z Agriontu blisko pierwszych rzędów, począwszy od piątych synów wysoko urodzonych po wielkich magnatów z Otwartej i Zamkniętej Rady. Królewska loża była pełna: królowa, dwaj książęta, marszałek dworu Hoff, księżniczka Terez. Nawet król sprawiał przez chwilę wrażenie przytomnego, co było wielkim zaszczytem, i toczył wokół pełnymi zdumienia wybałuszonymi oczami. Gdzieś w tłumie siedział ojciec i bracia Jezala, jego przyjaciele i oficerowie, innymi słowy wszyscy, których znał. I miał nadzieję, że Ardee też tu jest i patrzy...”

Biorąc wszystko pod uwagę, była to niezła widownia.

– Jezal dan Luthar! – zagrzniał sędzia.

Niezrozumiały szwargot publiczności zamienił się w burzę wiwatów, ogłuszający wybuch poparcia. Arena rozbrzmiewała echem krzyków i wrzasków, od których łomotało Jezalowi w głowie.

– Dalej, Luthar!

– Luthar!

– Zabij drania!

– Ruszaj, Jezal – szepnął mu w ucho marszałek Varuz, klepiąc go po plecach i popychając łagodnie w stronę kręgu. – I powodzenia!

Jezal szedł oszołomiony, wrzawa tłumu waliła go w uszy, aż w końcu zaczęło mu się wydawać, że lada chwila jego głowa rozpadnie się na kawałki. Pomyślał o ćwiczeniach, którym poddawał się przez ostatnie miesiące. Biegi, pływanie, podnoszenie ciężkiej sztangi. Sparingi, równoważnia, niekończące się pchnięcia i ruchy. Kary, nauki, pot i ból. Tylko po to, by mógł tu stanąć. Siedem trafień. Do czterech zwycięskich. Wszystko sprowadzało się wyłącznie do tego.

Zajął miejsce naprzeciwko Gorsta i spojrział w te oczy pod ciężkimi powiekami. Odwzajemniły mu spojrzenie, zimne i spokojne, patrząc niemal obok niego, jakby nie istniał. Poczł się dotknięty; stłumił wszelkie myśli i uniósł wysoko swą arystokratyczną brodę. Nie zamierzał, nie mógł pozwolić, by ten prostak go pokonał. Musiał pokazać tym wszystkim ludziom swoją krew, talent, determinację. Nazywał się Jezal dan Luthar. Jego przeznaczeniem było zwycięstwo. Nikt nie mógł temu zaprzeczyć. Wiedział o tym.



– Zaczynajcie!

Pierwsze cięcie pozbawiło go władzy w nogach, zmiażdżyło jego pewność siebie, równowagę i niemal nadgarstek. Oglądał wcześniej fechtunek Gorsta, jeśli tak to można nazwać, wiedział więc doskonale, że człowiek ten będzie od początku wywijał ostrzami jak siekierą, ale nic go nie przygotowało na tak druzgocący atak. Tłum sapnął wraz z nim, kiedy zatoczył się do tyłu. Wszystkie, tak starannie obmyślane plany, wszelkie jasno formułowane rady marszałka Varuza rozplynęły się w powietrzu. Skrzywił się z bólu i szoku, wciąż czując w ramieniu wibrację od tego potężnego ciosu. W uszach rozbrzmiewał mu jego ogluszający dźwięk, szczęki były rozwarłe, kolana drżały.

Nie był to zbyt obiecujący początek, ale następny cios spadł na niego w chwilę potem, uderzając jeszcze mocniej niż ten pierwszy. Jezal odskakiwał i cofał się, próbując znaleźć dla siebie więcej miejsca i zyskać na czasie. Zyskać na czasie i opracować jakąś taktykę, znaleźć jakiś sposób, by powstrzymać bezlitosny atak ruchliwego metalu. Ale Gorst nie zamierzał dawać mu chwili wytchnienia. Wydał z głębi gardła chrapliwe warknięcie, a jego długie ostrze już zaczęło przecinać powietrze swym obezwładniającym łukiem.

Jezal uskakiwał tam, gdzie się dało, i blokował w miarę możliwości, czując ból w nadgarstku od bezustannej kary ciosów. Przede wszystkim liczył na to, że Gorst się zmęczy. Nikt nie mógł wymachiwać długo tymi wielkimi płachtami metalu, tak jak on to robił. Jezal miał nadzieję, że to bezlitosne i gwałtowne tempo zacznie niebawem odciskać się na tym potężnie zbudowanym człowieku, który zwolni, osłabnie, a ciężkie ostrza stracą swój jad. Zamierzał wtedy ruszyć do zawziętego ataku, zmordować przeciwnika i wygrać. Agriont rozpadłby się od triumfalnego ryku tłumów. Klasyczna opowieść o zwycięstwie wbrew wszelkim przeciwnościom.

Tyle że Gorst się nie męczył. Ten człowiek był maszyną. Po kilku minutach walki w tych leniwych oczach pod ciężkimi powiekami nie było najmniejszego śladu znużenia. Jezal nie dostrzegał oznak jakichkolwiek emocji, nawet w tych rzadkich chwilach, gdy miał odwagę oderwać na chwilę wzrok od błyskającej stali. Wielkie długie ostrze cięło, cięło, cięło, zataczając brutalne kręgi, to krótsze zaś nieodmiennie parowało słabe pchnięcia, które Jezalowi udawało się czasem zadać, i nigdy się nie zawahało ani nie opadło choć odrobinę. Siła uderzeń nie zmniejszyła się nawet trochę, a chrapliwe sapnięcia, które dobywały się z gardła Gorsta, były pełne wigoru jak zawsze. Tłum nie miał żadnej okazji do wiwatowania i tylko pomrukiwał gniewnie. To Jezal poczuł, jak nogi poruszają mu się coraz wolniej, jak pot zalewa mu czoło, jak słabnie jego uchwyt na rękojeściach ostrzy.

Widział z daleka, jak zbliża się pierwsza klęska, ale nie mógł nic zrobić. Cofał się, aż wyszedł poza krąg. Blokował i parował, aż stracił czucie w palcach. Tym razem, kiedy podniósł obolałe ramię i rozległ się zgrzyt metalu o metal, jego zmęczona stopa pośliznęła się, on sam zaś poleciał z jękiem poza krąg i runął bokiem, wypuszczając z drżącej dłoni krótsze ostrze. Uderzył twarzą o ziemię i poczuł w ustach ziarnisty piach. Był to bolesny i zawstydzający upadek, ale czuł się zbyt wyczerpany i poobijany, by doznawać jakiegokolwiek rozczarowania. Ogarnęła go niemal ulga, że kara dobiegła końca, choćby na krótką chwilę.

– Jeden dla Gorsta! – zawołał sędzia.

Nieznaczny aplauz zniknął w tumultie szyderczego buczenia, ale krępy mężczyzna zdawał się tego niemal nie dostrzegać, przesuwał się z pochyloną głową na swoje miejsce i gotując do następnego starcia.

Jezal przekręcił się z wolna i wsparł na dłoniach i kolanach, rozluźniając obolałe ręce i nie spiesząc się ze wstaniem. Potrzebował chwili, by odetchnąć i odzyskać siły, obmyślić jakąś strategię. Gorst czekał na niego: wielki, milczący, nieruchomy. Jezal otrzepał koszulę z piasku, zastanawiając się gorączkowo. Jak go pobić? Jak? Stał z rozwągą na swoim miejscu i uniósł ostrza.

– Zaczynajcie!

Tym razem Gorst ruszył jeszcze gwałtowniej, wymachując stałą, jakby kosił pszenicę, i zmuszając Jezala do tańca wzdłuż wewnętrznej linii kręgu. Jeden cios minął tak blisko jego lewy bok, że poczuł na policzku pęd powietrza. Drugi minął go z prawej w identycznej odległości. Potem Gorst wziął ogromny zamach, celując w jego głowę, i Jezal dostrzegł furtkę. Uchylił się pod ostrzem, pewien, że ścięło mu włosy na czubku głowy. Zmniejszył dystans do przeciwnika, gdy ciężka stal go minęła, niemal uderzając przy tym sędziego i odsłaniając całkowicie prawy bok Gorsta.

Jezal doskoczył do wielkiego drania, przekonany, że wreszcie przedarł się przez mur obronny i że obaj mają zaliczone trafienie. Lecz Gorst przyjął cios na krótkie ostrze i odepchnął je z równą mocą; gardy obu stali zazgrzytały i zwarły się ze sobą. Jezal ciął go wściekle krótką bronią, ale Gorst zdołał jakoś i ją zablokować; podniósł w ostatniej chwili drugie ostrze, chwytając miecz Jezala i przytrzymując go przy swojej piersi.

Przez chwilę cztery ostrza trwały w zwarciu, rękojeści zgrzytały o siebie, twarze przeciwników niemal się stykały. Jezal warczał jak pies, zęby miał obnażone, mięśnie twarzy przypominały sztywną maskę. Ciężkie rysy Gorsta nie zdradzały oznak zmęczenia. Wyglądał jak człowiek, który oddaje mocz: pochłonięty przyziemną i nieco odrażającą czynnością, którą należy wykonać tak szybko, jak to możliwe.

Na mgnienie oka ich ostrza pozostały złączone; Jezal napierał z wszystkich sił, napinając każdy wytrenowany mięsień, wbijając nogi w ziemię – prężył brzuch, by dać siłę ramionom, prężył ramiona, by dać siłę dłoniom, które zaciskał kurczowo na rękojeściach. Każdy mięsień, każde ścięgno, każde więzadło. Wiedział, że ma lepszą pozycję, że jego wielki przeciwnik traci równowagę; gdyby tylko mógł odepchnąć go o krok... o pół kroku...

Ich ostrza pozostały przez chwilę złączone, nagle Gorst pochylił ramię i stęknął, po czym odrzucił przeciwnika, jak dziecko odrzuca zabawkę, którą się znudziło.

Jezal poleciał do tyłu, otwierając usta i oczy ze zdumienia; zarył stopami w ziemi, skupiając całą uwagę na tym, by się nie przewrócić. Usłyszał, jak Gorst znowu stęka, i z przerażeniem zobaczył, że ciężkie długie ostrze już przecina powietrze, zacierając nieubłagane w jego stronę. Nie miał żadnej możliwości się zasłonić, nie zdążyłby zresztą. Uniósł instynktownie lewe ramię, ale gruba stępiona stal wyszarpnęła mu krótkie ostrze, jak wiatr porywa słomkę, i walnęła go w żebra, pozbawiając tchu i wyrywając z ust jęk bólu, który odbił się echem wokół milczącej areny. Nogi ugięły się pod nim i padł na ziemię, wymachując kończynami i sapiąc niczym rozdarty miech.

Tym razem nie było słyhać nawet cienia aplauzu. Tłum dał wyraz swej nienawiści; kiedy Gorst zmierzał w stronę zadaszenia, odprowadzało go ogłuszające buczenie i gwizdy.

– Niech cię diabli, Gorst, ty bandyto!

– Wstawaj, Luthar! Wstawaj i ruszaj na niego!

– Wracaj do domu, bydlaku!

– Przeklęty dzikusie!

Ich szydercze krzyki przerodziły się w wymuszone wiwaty, gdy Jezal podniósł się z trawy, czując, jak pulsuje mu bok. Krzyczałby z bólu, gdyby starczyło mu tchu w piersiach. Pomimo ogromnego wysiłku, pomimo wyszkolenia, został zdeklasowany i wiedział o tym. Myśl, że miałby przechodzić przez to wszystko jeszcze raz w przyszłym roku, przyprawiała go o mdłości. Starał się za wszelką cenę zachować obojętność, kiedy zmierzał w stronę swojego miejsca pod wiatą, ale nie zdołał się opanować i osunął się ciężko na krzesło, kiedy tam dotarł; rzucił wyszczerbione ostrza na sukno, łapiąc spazmatycznie oddech.

West pochylił się nad nim i podciągnął mu koszulę, by sprawdzić obrażenia. Jezal spuścił

ostrożnie wzrok, spodziewając się niemal, że ujrzy w swoim boku wielką dziurę, ale żebra przecinała tylko czerwona pręga, wokół której zaczęło pojawiać się zsinienie.

– Jakies złamania? – spytał marszałek Varuz, zagładając Westowi przez ramię.

Jezal powstrzymywał łzy, gdy major obmacywał mu bok.

– Nie wydaje mi się, ale do diabła z tym! – West rzucił z niechęcią ręcznik. – I to ma być piękny sport? Istnieje jakiś przepis zabraniający używania tak ciężkich ostrzy?

Varuz pokręcił zasepiony głową.

– Muszą mieć tę samą długość, ale wagi nie określają żadne zasady. Komu przyszłoby do głowy posługiwać się tak ciężkim żelastwem?

– Teraz już wiemy! – rzucił gniewnie West. – Jest pan pewien, że nie powinniśmy tego przerwać, zanim ten drań zetnie mu głowę?

Varuz zignorował słowa majora.

– Posłuchaj – powiedział stary marszałek, nachylając się do twarzy Jezala. – Siedem trafień! Wygra ten, kto zada cztery! Jest jeszcze szansa!

Szansa na co? Żeby tamten mógł przeciąć go na pół, tępym ostrzem czy innym?

– Jest za silny! – sapnął.

– Za silny? Nikt nie jest dla ciebie za silny! – zapewnił Varuz, ale i on stracił pewność siebie. – Masz jeszcze szansę! Możesz go pobić! – Stary marszałek szarpnął wąsy. – Możesz go pobić!

Jezal zauważył jednak, że Varuz nie powiedział, jak to zrobić.

\* \* \*

Glokta zaczął się już obawiać, że się udławi konwulsyjnym śmiechem, który go ogarnął. Próbował sobie wyobrazić coś, co sprawiłoby mu większą przyjemność niż widok Jezala dan Luthara, który obrywał bezlitośnie w szermierczym kręgu. Młody człowiek skrzywił się, ledwie blokując straszliwy cios. Praktycznie nie operował lewym bokiem od czasu, gdy oberwał po żebrach, i Glokta niemal czuł jego ból.

„No, no, jakie to miłe, doznawać czyjegoś cierpienia zamiast własnego”.

Tłum był nadąsany, milczący i zasepiony, gdy Gorst prześladował swego przeciwnika brutalnymi cięciami, podczas gdy Glokta chichotał przez zaciśnięte dziąsła.

Luthar był szybki i zwinny, i poruszał się dobrze, kiedy już widział zbliżające się ostrze.

„Dobry szermierz. Dostatecznie dobry, by wygrać turniej w przeciętnym roku, bez wątpienia. Szybkie stopy i szybkie ręce, ale umysł nie jest dostatecznie bystry. Tak bystry, jak wymaga tego sytuacja. Ten człowiek jest zbyt przewidywalny”.

Gorst był całkowicie innym szermierzem. Wydawało się, że macha bronią jak cepem, bezustannie, nie poświęcając temu nawet jednej myśli. Ale Glokta wiedział, że tak nie jest.

„Walczy w zupełnie nowy sposób. Za moich czasów wykonywało się tylko pchnięcia. W przyszlórocznym turnieju wszyscy będą rąbać tymi dużymi, ciężkimi ostrzami”.

Glokta zastanawiał się mimochodem, czy pokonałby Gorsta, będąc w swej najlepszej formie.

„Byłby to w każdym razie pojedynek wart obejrzenia – o wiele lepszy niż ta nierówna walka”.

Gorst bez trudu poradził sobie z dwoma pozbawionymi siły pchnięciami, potem Glokta skrzywił się, a tłum syknął, gdy Luthar z najwyższym trudem sparował potężny rzeźnicki cios, którego siła niemal uniosła go w górę. Nie miał absolutnie szansy umknąć przed kolejnym uderzeniem, zepchnięty

na samą krawędź koła, i musiał uskoczyć na piach.

– Trzy do zera! – krzyknął sędzia.

Glokta potrząsnął z zadowoleniem głową, widząc, jak wściekły Luthar wali ostrzem o ziemię, wzbijając w górę fontannę ziemi, niczym rozkapryszone dziecko. Jego twarz była bladą maską żalości.

„Mój Boże, kapitanie Luthar, będzie cztery do zera. Klęska. Wstyd. Być może nauczy to tego małego szczeniaka odrobiny pokory. Niektórym ludziom porządne lanie wychodzi tylko na dobre. Wystarczy spojrzeć na mnie”.

– Zaczynajcie!

Czwarte starcie zaczęło się tak, jak skończyło się trzecie.

„Ciosy spadają na Luthara niczym bezlitosny młot”.

Glokta dostrzegł to bez trudu: ten człowiek nie miał już jakiegokolwiek pomysłu na walkę. Jego lewe ramię poruszało się wolno i boleśnie, stopy sprawiały wrażenie ociężałych. Kolejny obezwładniający cios uderzył w jego długą stal, spychając go ku krawędzi koła, pozbawiając równowagi i wrywając mu z ust gwałtowne westchnienie. Gorst musiał tylko zintensyfikować atak.

„I coś mi mówi, że nie jest człowiekiem, który z tego zrezygnuje, mając taką przewagę”.

Glokta ujął laskę i dzwignął się ze swojego miejsca. Wszyscy widzieli, że to już koniec, on zaś nie miał ochoty znaleźć się w miażdżącej ciżbie tłumu, gdy ten zacznie opuszczać trybuny.

Długie ostrze Gorsta przecięło z błyskiem powietrze.

„Ostatni cios, to pewne”.

Luthar miał tylko jedno do wyboru: zablokować cios i tym samym dać się wypchnąć poza koło.

„Albo dać sobie rozłupać tępą głowę. Miejmy nadzieję, że tak się właśnie stanie”.

Glokta uśmiechnął się i niemal odwrócił, by odejść. Jednak jakimś zrzędzeniem losu dostrzegł kątem oka, że straszliwe cięcie ominęło cel. Gorst zamrugał, gdy długie ciężkie ostrze wbiło się z głuchym pomrukiem w ziemię, potem zaś stęknął, kiedy Luthar ciał go w nogę stalą trzymaną w lewej dłoni. Po raz pierwszy w trakcie walki olbrzym okazał jakiegokolwiek emocje.

– Jeden dla Luthara! – zawołał sędzia po krótkiej przerwie, nie mogąc ukryć zdumienia w swym głosie.

– Nie – mruknął Glokta do siebie, podczas gdy tłum wokół niego wybuchnął ogłuszającym aplauzem.

„Nie”.

Stoczył setki pojedynków w młodości, był świadkiem tysięcy, ale nigdy nie widział czegoś takiego, nigdy nie widział, by ktokolwiek poruszał się tak szybko. Luthar był niezłym szermierzem, Glokta wiedział o tym.

„Ale nikt nie jest aż tak dobry”.

Patrzył ze zmarszczonym czołem, jak obaj przeciwnicy opuszczają wiatę po drugiej przerwie i zajmują swoje miejsca.

– Zaczynajcie!

Luthar uległ cudownej przemianie. Zaczął gnębić Gorsta wściekłymi, błyskawicznymi pchnięciami, nie dając mu czasu na jakiegokolwiek działanie. Teraz to potężnie zbudowany człowiek znalazł się na granicy swych możliwości: blokował i uskakiwał, starając się pozostać poza zasięgiem broni przeciwnika. Wydawało się, jakby usunęli w tajemnicy dawnego Luthara i zastąpili go całkowicie innym człowiekiem: szybszym i znacznie pewniejszym siebie bratem bliźniakiem.

Widzowie, tak długo pozbawieni okazji do wiwatowania, teraz darli się i wyli, zdzierając sobie gardła. Glokta nie podzielał tego entuzjazmu.

„Coś tu jest nie tak. Coś jest nie tak”.

Zerknął na otaczające go twarze, ale zdawało się, że nikt niczego nie wyczuwa.

Ludzie widzieli tylko to, co chcieli widzieć: Luthara, który sprawiał temu brutalnemu draniowi zasłużone lanie. Głokta wodził wzrokiem po ławkach, nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje.

„Bayaz, tak zwany”.

Zajmował miejsce blisko przednich rzędów, wychylając się i wpatrując w obu rywali z niezwykle koncentracją, obok siedział jego „uczeń” i poznaczony bliznami człowiek z Północy. Nikt inny tego nie zauważył, wszyscy skupili uwagę na przeciwnikach, lecz Głokta to dostrzegł. Przetarł oczy i spojrzał jeszcze raz.

„Coś jest nie tak”.

\* \* \*

– Niech mnie diabli, Pierwszy z Magów to drań i oszust – warknął Logen.

Bayaz otarł pot z czoła; w kącikach jego ust błąkał się nieznaczny uśmiech.

– A kto powiedział, że nie jest?

Luthar znów był w tarapatach. Poważnych tarapatach. Ilekroć blokował jedno z tych potężnych cięć, jego miecze cofały się coraz bardziej, jego uchwyt wydawał się coraz słabszy. Za każdym razem, gdy robił unik, zbliżał się coraz bardziej do linii kręgu.

I wtedy, gdy koniec zdawał się bliski, Logen dostrzegł kątem oka, że powietrze nad ramionami Bayaza zadrgało, jak na tamtej drodze na południu, gdy płonęły pnie drzew, i poczuł dziwne szarpnięcie w trzewiach.

Luthar znalazł nagle jakby nowe siły i wigor do walki. Sparował kolejny potężny cios gardą krótkiego ostrza. Zaledwie chwilę wcześniej taki atak mógł wytrącić mu broń z dłoni. Teraz trzymał je chwilę bez ruchu, po czym pchnął z krzykiem, pozbawiając swego przeciwnika równowagi i skacząc do przodu, przypuściwszy gwałtowny atak.

– Gdyby cię przyłapano na oszustwie podczas jakiegoś pojedynku na Północy – warknął Logen, potrząsając głową – to wycięliby ci na brzuchu krwawy krzyż i wyrwali flaki.

– No to mam szczęście, że nie jesteśmy już na Północy – mruknął Bayaz przez zaciśnięte zęby, nie odrywając wzroku od szermierzy.

Czoło znów zrosił mu pot, który spływał grubymi kroplami po jego twarzy. Zaciśnięte pięści drżały z wysiłku.

Luthar uderzał wściekle, raz za razem, jego miecze przypominały migotliwą plamę o niewyraźnych konturach. Gorst stękał i warczał, parując pchnięcia, ale Luthar był teraz dla niego za szybki i za mocny. Gonił go bezlitośnie wzdłuż okręgu niczym wściekły pies krowę.

– Cholerne oszustwo – mruknął Logen ponownie, kiedy ostrze Luthara błysnęło w powietrzu, pozostawiając na policzku przeciwnika jasnoczerwoną pręgę.

Tłum siedzący po lewej stronie obryzgało kilka kropel krwi; gardła eksplodowały ogłuszającym rykiem. Przez chwilę ta walka była cieniem pojedynków Logena. Krzyk sędziego, który ogłaszał po trzy trafienia z obu stron, zagubił się w ogólnej wrzawie. Gorst zmarszczył się nieznacznie i dotknął dłonią twarzy.

Logen dosłyszał w tym hałasie szept Quaia:

– Nigdy nie zakładaj się z magiem...

Jezal wiedział, że jest dobry, ale nigdy mu się nie marzyło, że będzie aż tak dobry. Był przebiegły jak kot, zwinny jak mucha, silny jak niedźwiedź. Żebra już go nie bolały, tak jak i nadgarstki, wszelkie oznaki zmęczenia zniknęły, podobnie wątpliwości. Czuł się nieustraszony, niezrównany, niepowstrzymany. Ze wszystkich stron otaczała go wrzawa i aplauz, a mimo to potrafił zrozumieć każde słowo, dostrzec najdrobniejszy szczegół na każdej twarzy w tym tłumie. Jego serce, zamiast krwi, pompowało mrowiący ogień, płuca wchłaniały same chmury.

Nie usiadł nawet w czasie przerwy, tak bardzo pragnął wrócić w obręb koła. Krzesło stanowiło dla niego obrazę. Nie słuchał tego, co mówili mu West i Varuz. Nie liczyli się. Mali ludzie, gdzieś nisko w dole. Wpatrywali się w niego: zdumieni i zaczerwienieni, co było całkowicie zrozumiałe. Mieli przed sobą największego szermierza wszechczasów.

Ten kaleka, Glokta, nie wiedział nawet, ile prawdy kryło się w jego słowach: wystarczyło tylko spróbować, a można było mieć wszystko, czego się zapragnęło. Zaśmiał się cicho, zmiernając w stronę swojego miejsca. Wszystko wyglądało tak jak poprzednio: te oczy wciąż kryły się pod ciężkimi powiekami, spoglądając leniwie ponad czerwoną pręgą, którą uczyniła dłoń Jezala, lecz pojawiło się także coś nowego: cień zaskoczenia, zmęczenia, szacunku. Rzecz całkowicie rozumiała.

Nie istniało nic, czego Jezal nie mógłby dokonać. Był niezwyciężony. Niepowstrzymany. Był...

– Zaczynajcie!

...całkowicie zagubiony. Bok przeszył mu straszliwy ból, wyrwijąc z krtani gwałtowne westchnienie. Gorst warknął i rozpętało się piekło jego pchnięć; walił w ostrza Jezala i zmuszał rywala do panicznych ruchów, które przywodziły na myśl wystraszonego królika. Mistrzostwo zniknęło, tak jak opanowanie i umiejętność przewidywania, ataki Gorsta zaś wydawały się brutalniejsze niż kiedykolwiek. Jezal poczuł straszliwe ukłucie rozpacz, gdy z jego mrowiących palców wyrwano długie ostrze, które pofrunęło przez powietrze i uderzyło z trzaskiem o barierę. Jezal został powalony na kolana. Tłum sapnął z wrażenia. To był koniec...

...To nie był koniec. W stronę Jezala zmierzał cios, ostrze zataczało łuk w powietrzu. Ostateczny, rozstrzygający cios. Jezal uśmiechnął się. Wiedział, że wystarczy odepchnąć go krótką stalą. Znowu poczuł przypływ siły. Skoczył do góry, pchnął Gorsta wolną ręką, drugą sparował cios, potem jeszcze jeden, jego krótki miecz odgrywał rolę obu ostrzy i czynił to w mgnieniu oka. Panowała niczym niezmacona cisza, słychać było tylko szybkie uderzenia stali. W prawo, w lewo, w prawo, w lewo śmigało krótkie ostrze, rzucając błyski, których nie mogło uchwycić ludzkie oko, za którymi nie nadążał nawet jego własny umysł; zdawały się kierować niemal nim samym.

Rozległ się jęk metalu, gdy z dłoni Gorsta zostało wytrącone długie ostrze, potem jeszcze jeden, gdy krótka stal Jezala wykonała błyskawiczny ruch i wytrąciła przeciwnikowi drugie. Przez chwilę wszystko trwało w całkowitym bezruchu. Potężnie zbudowany człowiek, rozbrojony i zepchnięty na krawędź koła, spojrzął na Jezala. Tłum milczał.

Wtedy Jezal wzniosł powoli krótkie ostrze, które nagle zdawało się ważyć tonę, i łagodnie pchnął Gorsta w żebra.

– Huu... – sapnął olbrzym, unosząc brwi.

Widownia eksplodowała ogłuszającym aplauzem. Wrzawa narastała, potęgowała się, zalewając Jezala swoją niepowstrzymaną falą. Teraz, kiedy było już po wszystkim, czuł się bezdennie wyczerpany. Zamknął oczy, chwiejąc się, wypuścił z pozbawionych czucia palców krótki miecz, po

czym osunął się na kolana. Nie znajdował słów dla zmęczenia, które go ogarnęło. Jakby zużył siły gromadzone przez cały tydzień w ciągu kilku chwil. Wydawało mu się, że nie zdoła długo nawet klęczeć i że jeśli upadnie, to nigdy więcej się nie podniesie.

Wtedy poczuł, jak biorą go pod pachy jakieś silne dłonie i jak ktoś podnosi go z ziemi. Ryk tłumu osiągnął apogeum, gdy Jezal uniósł się w górę. Otworzył oczy – obracał się z wolna, a wokół przesuwwały się rozmazane, niewyraźne plamy koloru. W głowie dzwoniło mu od wrzawy. Spoczywał w czyichś ramionach. Ogolona głowa. Gorst. Wielki mężczyzna podniósł go, tak jak ojciec podnosi dziecko, i pokazywał tłumowi, obdarzając swego niedawnego przeciwnika szerokim, brzydkim uśmiechem. Jezal, jakby wbrew sobie, odpowiedział mu tym samym. Była to, wzięwszy wszystko pod uwagę, bardzo dziwna chwila.

– Luthar wygrywa! – zawołał niepotrzebnie sędzia. Jego głos niemal utonął w ogólnym hałasie.  
– Luthar wygrywa!

Aplauz przerodził się w skandowanie: „Luthar! Luthar! Luthar!”. Trybuny trzęsły się od tego krzyku. Jezal czuł, jak kręci mu się od niego w głowie. Miał wrażenie, że jest pijany. Pijany zwycięstwem. Pijany sobą.

Gorst postawił go z powrotem na ziemi, kiedy wiwaty zaczęły z wolna cichnąć.

– Pokonałeś mnie – oznajmił, uśmiechając się szeroko. Jego głos był dziwnie wysoki i miękki, niemal kobiecy. – Uczciwie i zasłużenie. Chciałbym pogratulować ci j ako pierwszy.

Skłonił swą wielką głowę i ponownie się uśmiechnął, pocierając szramę pod okiem bez cienia pretensji.

– Zasługujesz na to – powiedział i wyciągnął dłoń.

– Dziękuję – odparł Jezal, uśmiechając się kwaśno i ściskając potężną łapę przeciwnika tak nieznacznie, jak to było tylko możliwe, po czym ruszył w stronę wiaty. Oczywiście, że na to zasłużył, do diabła; niech go licho, jeśli miał choć odrobinę dłużej pozwalać, by ten drań pławił się w blasku jego własnej chwały.

– Dzielnie się spisałeś, chłopcze, bardzo dzielnie! – bełkotał niemal marszałek Varuz, poklepując Jezala po ramieniu, gdy ten podszedł na uginających się nogach do swojego krzesła. – Wiedziałem, że dasz radę!

West podał mu ręcznik z uśmiechem.

– Będą o tym mówić przez lata.

Wokół tłoczyli się inni z gratulacjami, wychylając się za barierkę. Kalejdoskop uśmiechniętych twarzy, między nimi twarz jego ojca, promieniejąca dumą.

– Wiedziałem, że zdołasz tego dokonać, Jezal! Nigdy w to nie wątpiłem! Nawet przez chwilę! Przyniosłeś rodzinie zaszczyt!

Jezal zauważył jednak, że jego straszy brat w ogóle nie wygląda na zadowolonego. Miał na twarzy ten swój drętwy, pełen zazdrości wyraz, nawet teraz, w chwili triumfu Jezala. Nie mógłby okazać zadowolenia z powodu młodszego brata, choćby przez jeden dzień?

– Czy i ja mogę pogratulować zwycięzcy? – rozległ się za jego ramieniem jakiś głos. To był ten stary głupiec spod bramy, ten, którego Sulfur nazwał swoim mistrzem. Ten, który posługiwał się imieniem Bayaza. Miał pot na łysej czaszce, mnóstwo potu. Jego twarz była blada, oczy zapadnięte. Jakby sam stoczył pojedynek, w którym zadano siedem pchnięć. – Doskonale się spisałeś, młody przyjacielu. To było niemal... magiczne przedstawienie.

– Dziękuję – wymamrotał Jezal. Nie bardzo wiedział, kim jest ten stary człowiek albo czego chce, ale nie ufał mu ani trochę. – Przepraszam, muszę...

– Oczywiście. Porozmawiamy później.

Oznajmił to z niepokojącą ostatecznością, jakby rzecz była już postanowiona. Potem się odwrócił i wniknął zgrabnie w tłum. Ojciec Jezala popatrzył w ślad za nim, poszarzały na twarzy, jakby nagle zobaczył ducha.

– Znasz go, ojczy?

– Ja...

– Jezal! – Varuz chwycił go podniecony za ramię. – Chodź! Król pragnie ci pogratulować!

Odciągnął Jezala od rodziny i powiódł w stronę kręgu szermierczego. Kiedy przecięli koło suchej trawy, miejsce zwycięstwa Jezala, znów zerwał się aplauz. Lord marszałek objął swego podopiecznego ojcowskim ramieniem i uśmiechnął się do tłumów, jakby wiwaty były przeznaczone dla niego. Wszyscy chcieli uszczknąć dla siebie odrobinę chwały, jaka przypadła zwycięzcy, Jezal jednak uwolnił się z uścisku starego człowieka, wstępując na schody, które prowadziły do łoża królewskiej.

Książę Raynault, najmłodszy syn króla, stał jako pierwszy w szeregu; skromnie ubrany, prostolinijny i sprawiający wrażenie rozsądnego, nie przypominał w niczym potomka władcy.

– Doskonała robota! – zawołał, przekrzykując tłum, szczerze zadowolony z powodu zwycięstwa Jezala. – Doskonała robota, doprawdy!

Jego starszy brat był jeszcze bardziej wylewny.

– Niewiarygodne! – krzyknął książę Ladisła; na złotych guzikach jego kurtki zamigotał blask słońca. – Kapitalne! Zdumiewające. Spektakularne! Nigdy nie widziałem czegoś takiego!

Jezal uśmiechnął się szeroko i skłonił z pokorą, przechodząc obok i garbiąc się nieco, gdy następca tronu klepnął go odrobinę za mocno w plecy.

– Zawsze wiedziałem, że tego dokonasz! Zawsze byłem tego pewien!

Księżniczka Terez, jedyna córka wielkiego diuka Orso z Talinsu, obserwowała Jezala z nieznacznym i pogardliwym uśmiechem, postukując dwoma ospałymi palcami o dłoń drugiej ręki, co miało imitować pozbawione entuzjazmu klaskanie. Brodę miała uniesioną boleśnie wysoko, jakby fakt, że na niego patrzyła, stanowił zaszczyt, którego nigdy nie potrafiłby w pełni docenić i na który z pewnością nie zasługiwał.

Wreszcie dotarł do wysokiego tronu Guslava Piątego, króla Unii. Głowa władcy przechylała się bezwładnie na bok, jakby przygnieciona migoczącą koroną. Jego ziemiste palce podrygiwały na szkarłatnym jedwabnym płaszczu jak białe ślimaki. Oczy miał zamknięte, pierś unosiła się i opadała łagodnie przy akompaniamencie cichych parsknięć; spomiędzy zwiotczałych warg skapywała ślina i spływała mu po brodzie, mieszając się z potem na wydatnych żuchwach i pokrywając ciemnymi plamami wysoki kołnierz.

Doprawdy, Jezal stanął w całym majestacie królewskiej wielkości.

– Wasza Wysokość – mruknął lord Hoff.

Władca nie odpowiedział. Jego żona, królowa, patrzyła bez słowa, boleśnie wyprostowana, z przyklejonym do upudrowanej twarzy sztucznym uśmiechem. Jezal nie bardzo wiedział, gdzie obrócić oczy, i w końcu skupił się na swoich zakurzonych butach. Marszałek dworu zakaszał głośno. Mięsień na spoconej twarzy króla drgnął nieznacznie, ale władca się nie ocknął. Hoff zrobił nieznaczny grymas, po czym, rozejrzawszy się, by sprawdzić, czy nikt nie patrzy, dźgnął palcem królewskie zębra.

Król podskoczył, unosząc gwałtownie powieki i poruszając spazmatycznie ciężkimi żuchwami, po czym spojrzął na Jezala nieprzytomnymi, podkrążonymi oczami w czerwonych obwódkach.

– Wasza Wysokość, to jest kapitan...

– Raynault! – wykrzyknął król. – Mój syn!



Jezal przełknął nerwowo, starając się za wszelką cenę zachować na twarzy uśmiech. Ten stetryczały głupiec pomylił go z własnym synem. Co gorsza, sam książę stał zaledwie cztery kroki dalej. Drewniany grymas na twarzy królowej drgnął nieznacznie. Księżniczka Terez skrzywiła pogardliwie wargi. Marszałek dworu zakaszłał niezręcznie.

– Hm, nie, Wasza Wysokość, to jest...

Było jednak za późno. Monarach dźwignął się raptownie z miejsca i objął młodego człowieka w radosnym uścisku ramion; ciężka korona zsunęła mu się na bok, a jeden z jej bogato zdobionych ostrych szpiculców omal nie wybił Jezalowi oka. Lord Hoff otworzył bezgłośnie usta. Dwaj książęta zachichotali. Jezal zdobył się tylko na bezradne westchnienie.

– Mój syn! – wybełkotał król głosem zdławionym z przejęcia. – Raynault, tak się cieszę, że wróciłeś! Kiedy już odejdę, Ladisła będzie potrzebował twojej pomocy. Jest taki słaby, korona zaś to ogromny ciężar! Zawsze byłeś odpowiedniejszym kandydatem do tronu! Ogromny ciężar! – załkał w ramię Jezala.

Było to jak okropny koszmar senny. Ladsila i Raynault gapili się na siebie z otwartymi ustami, potem spojrzeli z odrazą na ojca. Terez spoglądała na swego przyszłego teścia z nieskrywaną pogardą. Było coraz gorzej. Co u diabła robiło się w takiej sytuacji? Czy istniała w tym wypadku jakakolwiek etykieta? Jezal poklepał króla niezgrabnie po plecach. Co innego mógł zrobić? Posadzić stetryczalego idiotę z powrotem na tyłek, na oczach niemal połowy jego poddanych? Kusiło go, by tak uczynić.

Stanowiło pewną pociechę, że widzowie poczytali królewską czułość wobec Jezala za uznanie dla jego szermierczych umiejętności i zagłuszyli słowa monarchy nowym wybuchem aplauzu. Nikt poza obecnymi w loży nie usłyszał słów władcy. Wszystkim umknęło znaczenie najbardziej żenującej chwili w życiu Jezala.

# Idealna publiczność

Gdy zjawił się Glokta, arcylektor Sult stał przy wielkim oknie, wysoki i majestatyczny jak zawsze w swym nieskazitelnie białym płaszczu, spoglądając ponad iglicami uniwersytetu na Dom Stwórcy. Przepastna okrągła sala tonęła w podmuchach przyjemnego wiatorku, który marszczył burzę siwych włosów na głowie starego człowieka i poruszał z szelestem papierami leżącymi na ogromnym biurku.

Odwrocił się, gdy Glokta wszedł kuśtykającym krokiem do komnaty.

– Inkwizytorze – powiedział po prostu, wyciągając dłoń w białej rękawiczce. Wielki kamień na pierścieniu, symbolu urzędu, błysnął w jasnym świetle okna i zamigotał liliowym ogniem.

– Służę i jestem posłuszny, Wasza Eminencjo – odrzekł Glokta i ujął dłoń zwierzchnika; twarz wykrzywił mu grymas bólu, gdy się schylił, by ucałować pierścień, wspierając na lasce rękę, która drżała z wysiłku.

„Niech mnie diabli, jeśli ten stary drań nie zniża za każdym razem dłoni coraz bardziej, tylko po to, by widzieć, jak się męczę”.

Sult płynnym ruchem posadził swą postać na wysokim fotelu, po czym oparł łokcie o blat stołu i splótł przed sobą palce. Glokta mógł tylko stać i patrzeć, czując, jak płonie mu noga od wspinaczki po schodach Domu Pytań, a pot oblewa czaszkę. Stać i czekać, aż go poproszą, by usiadł.

– Proszę, spocznij – mruknął arcylektor, potem zaś patrzył w milczeniu, gdy Glokta zbliżył się z grymasem cierpienia do jednego z niższych krzeseł przy okrągłym stole. – A teraz mi powiedz, czy odniosłeś jakieś sukcesy w swoim śledztwie.

– Można się tak wyrazić. Którejś nocy doszło do niejakiego zamieszania w komnatach naszych gości. Twierdzą, że...

– Próbowali z pewnością nadać pozory wiarygodności tej nieprawdopodobnej historii. Magia! – parsknął pogardliwie Sult. – Odkryłeś, jak wybito tę dziurę w ścianie?

„Może właśnie za pomocą magii?”.

– Obawiam się, że nie, arcylektorze.

– To bardzo niefortunne. Dowód świadczący o tym, jak dokonano tej sztuczki, mógłby się nam bardzo przydać. Z drugiej strony... – Sult westchnął, jakby nie spodziewał się niczego lepszego – ...nie można mieć wszystkiego. Rozmawiałeś z tymi... ludźmi?

– Rozmawiałem. Bayaz, jeśli mogę posługiwać się tym imieniem, to niebywale przebiegły rozmówca. Nie dysponując jakimikolwiek środkami perswazji z wyłączeniem pytań, nie mogłem nic z niego wydobyć. Jego przyjacielowi, temu z Północy, też warto się przyjrzeć bliżej.

Na gładkim czole arcylektora pojawiła się pojedyncza bruzda.

– Podejrzewasz jakiś związek z tym dzikusiem Bethodem?

– Możliwe.

– Możliwe? – powtórzył jak echo arcylektor, nie kryjąc zniechęcenia, jakby samo słowo było trucizną. – Co jeszcze?

– Ta wesoła kompania wzbogaciła się o nowy nabytek.

– Wiem. O nawigatora.

„Po co w ogóle tu jestem?”.

– Tak, Wasza Eminencjo, o nawigatora.

– Do diabła z nimi. Ci przebiegły jasnowidze zawsze sprawiają więcej kłopotu niż są tego

warci. Bełkoczą o Bogu i innych bzdurach. Chciwe dzikusy.

– Zgadzą się całkowicie. Sprawiają więcej kłopotów, niż są tego warci, arcyklektorze, choć przydałoby się wiedzieć, dlaczego zatrudnili nawigatora.

– No i dlaczego zatrudnili?

Glokta milczał przez chwilę.

– Nie wiem.

– Hm – mruknął arcyklektor. – Jeszcze coś?

– W konsekwencji owej nocnej wizyty nasi przyjaciele zostali przeniesieni do nowego lokum niedaleko parku. Doszło tam kilka nocy temu do wyjątkowo odrażającego mordu, w odległości zaledwie dwudziestu kroków od ich okien.

– Superior Goyle wspominał mi o tym. Powiedział, że nie powinienem sobie zawracać tym głowy, że nie ma to żadnego związku z naszymi gośćmi. Pozostawiłem sprawę w jego gestii. – Spojrzał ze zmarszczonym czołem na Glokę. – Czyżbym podjął niewłaściwą decyzję?

„Dobry Boże, nie muszę się nad tym dłużej zastanawiać”.

– Absolutnie nie, arcyklektorze. – Glokta skłonił z głębokim szacunkiem głowę. – Jeśli superior jest usatysfakcjonowany, to i ja także.

– Hm. A zatem wzięwszy wszystko pod uwagę, chcesz mi powiedzieć, że niczego na dobrą sprawę nie mamy?

„Niezupełnie”.

– Jest to – oznajmił Glokta, po czym wygrzebał z wewnętrznej kieszeni płaszcza zwój i podał go swemu rozmówcy.

Na twarzy Sulta pojawił się wyraz nieznacznej ciekawości, kiedy wziął pergaminowy rulon do ręki i rozpostarł go na stole, po czym rzucił okiem na niezrozumiałe symbole.

– Co to takiego?

„Ha. A więc nie wiesz wszystkiego”.

– Przypuszczam, że jest to kawałek historii, by się tak wyrazić. Relacja z wydarzenia, jakim było zwycięstwo Bayaza nad Mistrzem Stwórcą.

– Kawałek historii. – Sult postukał w zamyśleniu palcami po stole. – Jak może nam to pomóc?

„Jak może pomóc tobie, chciałeś powiedzieć?”.

– Z tego, co tu napisano, wynika, że to Bayaz zapieczętował Dom Stwórcy. – Glokta wskazał głową majaczący za oknem kształt. – Zapieczętował... i zabrał klucz.

– Klucz? Wieża zawsze była zapieczętowana. Zawsze. O ile się orientuję, w drzwiach nie ma nawet zamka.

– Pomyślałem sobie dokładnie to samo, Wasza Eminencjo.

– Hm... – Sult zaczął się z wolna uśmiechać. – Sens opowieści zawiera się w tym, jak się ją opowiada, he? Nasz przyjaciel Bayaz wie o tym doskonale, śmiem twierdzić. Chętnie wykorzystałby przeciwko nam swoje własne historie, ale teraz uprzedzimy jego ruch. Podoba mi się ironia tej sytuacji. – Podniósł zwój ponownie. – Czy jest autentyczny?

– A czy ma to jakiegokolwiek znaczenie?

– Oczywiście, że nie.

Sult wstał bez wysiłku ze swego krzesła i zbliżył się powolnym krokiem do okna, stukając zwiniętym rulonem o palce. Stał tam przez dłuższą chwilę, wyglądając na zewnątrz. Kiedy się odwrócił, na jego twarzy można było dostrzec niezwykle głębokie samozadowolenie.

– O ile się orientuję, jutro wieczorem odbędzie się uczta na cześć naszego nowego czempiona, kapitana Luthara.

„Tego małego oszusta”.

– Wezmą w niej udział przeróżne osobistości: królowa, obaj książęta, większość członków Zamkniętej Rady, kilku czołowych arystokratów.

„Nie zapominając o samym królu. To daje do myślenia, jeśli jego obecność na kolacji nie jest warta nawet wzmianki”.

– Będzie to idealna publiczność dla naszej małej demaskacji, jak pan sądzi?

Glokta skinął ostrożnie głową.

– Oczywiście, arcykantorze. Idealna publiczność.

„Zakładając, że wszystko się uda. Bo w przeciwnym razie publiczność okaże się wyjątkowo niefortunna”.

Sult był jednak pewien triumfu.

– Doskonała okazja, poza tym mamy mnóstwo czasu, by poczynić odpowiednie przygotowania. Wyślij posłańca do Pierwszego z Magów, niech go powiadomi, że wraz ze swymi towarzyszami jest serdecznie proszony na przyjęcie jutro wieczorem. Ufam, że i ty weźmiesz w nim udział?

„Ja?”.

Glokta znów skłonił głowę.

– Nie przepuściłabym za nic takiej okazji, Wasza Eminencjo.

– Doskonale. Przyrowadź ze sobą swoich praktyków. Nasi przyjaciele mogą zareagować gwałtownie, kiedy sobie uświadomią, że gra jest skończona. Tacy barbarzyńcy... kto wie, do czego są zdolni?

Ledwie dostrzegalny ruch dłoni arcykantara był znakiem, że audyencja dobiegła końca.

„Wszystkie te stopnie schodów na nic?”.

Sult studiował z uwagą zwój, gdy Glokta dotarł wreszcie do progu komnaty.

– Idealna publiczność – mruknął do siebie, kiedy ciężkie drzwi zamknęły się za nim.

\* \* \*

Na Północy, co wieczór, wódz zasiadał w głównej sali zamkowej ze swymi wojownikami. Kobiety roznosiły jadło w drewnianych misach. Każdy brał kawały mięsa nożem i je kroił, a potem wsadzał kęsy do ust palcami. Jeśli znalazł kość albo chrząstkę, to rzucał ją na słomę, psom. Stół, jeśli w ogóle się tam znajdował, składał się z kilku drewnianych, źle dopasowanych desek, poplamionych, podziurawionych i poznaczonych ostrzami wbijanych noży. Wojownicy siedzieli na długich ławach, były może ze dwa krzesła dla Ludzi Imiennych. Zwykle panował mrok, zwłaszcza podczas długich zim, i wszędzie unosił się dym z paleniska i fajek. Były pieśni, wykrzykiwano żartobliwie obelgi, czasem krzyczał ktoś porywczy i zawsze dużo się piło. Obowiązywała jedna zasada – należało czekać, aż zacznie wódz.

Logen nie miał pojęcia, jakie zasady będą obowiązywać teraz, ale domyślał się, że jest ich dużo.

Goście zasiedli wokół trzech długich stołów ustawionych w podkowę, sześćdziesięcioro ludzi, może nawet więcej. Każdy miał własne krzesło, a ciemne blaty wypolerowano na wysoki połysk – Logen widział w drewnie niewyraźny zarys swej twarzy; zewsząd otaczał go blask świec wokół ścian i stołów. Przed zaproszonymi położono co najmniej trzy tępe noże i kilka innych narzędzi, których przeznaczenia Logen się nawet nie domyślał, nie wyłączając wielkiego płaskiego koła z

lśniącego metalu.

Nie było wrzasków ani śpiewu, jedynie cichy szum jak w ulu; ludzie rozmawiali zniżonymi głosami, nachylając się do siebie, jakby pragnęli dzielić się jakimiś sekretami. Stroje były dziwniejsze niż kiedykolwiek. Starsi ludzie nosili ciężkie szaty w czarnym, czerwonym i złotym kolorze, obszyte paskami lśniącego futra, nawet przy tej upalnej pogodzie. Młodzi byli ubrani w obcisłe jasnoszkarłatne, zielone albo niebieskie stroje, przyozdobione sznurami i węzłami ze złotej i srebrnej nici. Kobiety były obwieszane łańcuchami, pierścieniami z migoczącego złota i połyskliwymi klejnotami; miały na sobie dziwne suknie z bogatego materiału, miejscami śmiesznie luźne i bufiaste, miejscami niezwykle obcisłe, miejscami zaś skąpe i odsłaniające dyskretnie fragmenty ciała.

Nawet służący przypominali pod względem ubioru lordów, kiedy krążyli wokół stołów i nachylali się bezgłośnie, by napełnić kielichy słodkim, cienkim winem. Logen zdążył już sporo wypić i teraz komnata w jego oczach nabrała przyjemnego blasku.

Najgorszy był brak jadła. Logen nie miał nic w ustach od rana i burczało mu w brzuchu. Patrzył na słoje z roślinami, ustawione na stole przed gośćmi. Rośliny miały kwiaty, ale nie przypominały jedzenia, z drugiej jednak strony spożywano w tym kraju przedziwne rzeczy.

Nie było innego wyjścia, jak tylko spróbować. Wziął z miski jedną z tych roślin, długą i zieloną, z żółtym kwiatem na końcu. Odgryzł kawałeczek z drugiego końca. Był bez smaku i wodnisty, ale przynajmniej chrupki. Odgryzł więcej i zaczął przeżuwać bez jakiegokolwiek przyjemności.

– Nie wydaje mi się, by były przeznaczone do spożycia.

Logen rozejrzał się, zdziwiony, że słyszy w tym miejscu język Północy, i zaskoczony, że ktoś w ogóle się do niego odezwał. Jego sąsiad, wysoki, chudy mężczyzna o ostrej, pobrużdżonej twarzy, nachylał się ku niemu z uśmiechem zakłopotania. Logen przypominał go sobie mgliście. Był obecny podczas tej zabawy z mieczami – podawał ostrza młodzieńcowi spod bramy.

– Och – wymamrotał Logen z pełnymi ustami. Smak tego jadła z każdą chwilą stawał się coraz bardziej nieznośny. Zmusił się do przełknięcia i wyznał: – Nie znam się na tym.

– Szczerze powiedziawszy, ja też nie. Jak smakowało?

– Jak gówno.

Logen trzymał niepewnie na wpół zjedzony kwiat w palcach. Wyłożona płytami posadzka była nieskazitelnie czysta. Nie wydawało się rzeczą słuszną rzucać cokolwiek pod stół. Nie było psów, a nawet gdyby były, to i tak nie przypuszczał, by zżarły coś takiego. Pies miałby więcej rozumu od niego. Rzucił roślinę na metalowy talerz i otarł palce o pierś, mając nadzieję, że nikt tego nie zauważył.

– Nazywam się West – powiedział mężczyzna, wyciągając rękę. – Pochodzę z Anglandu.

Logen uściśnął mu dłoń.

– Dziewięciopalcy. Jestem Brynnem, z ziem leżących na północ od Wysokich Szczytów.

– Dziewięciopalcy?

Logen pokiwał znacząco swoim kikutem; jego rozmówca przytaknął.

– Ach, rozumiem. – Uśmiechnął się, jakby przypomniał sobie coś zabawnego. – Słyszałem kiedyś pieśń, to było w Anglandzie, mówiła o człowieku, który miał dziewięć palców. Jak to on się nazywał? Krwawy-dziewięć! Tak, właśnie!

Logen poczuł, jak na twarzy gaśnie mu uśmiech. West ciągnął:

– To była jedna z tych północnych pieśni, znasz je; są pełne przemocy. Obcinał głowy, ten Krwawy-dziewięć, były ich całe stosy, i palił miasta, mieszał krew z piwem i tak dalej. To nie o ciebie chodzi, prawda?

Tamten żartował. Logen roześmiał się nerwowo.

– Nie, nie, nigdy o nim nie słyszałem – wyjaśnił pospiesznie, ale West na szczęście zaczął mówić o czymś innym.

– Powiedz mi... wyglądasz na kogoś, który widział w swym życiu wiele bitew.

– Owszem, brałem udział w kilku starciach. – Nie było sensu zaprzeczać.

– Wiesz coś o człowieku, którego zwą królem Północy? Imieniem Bethod?

Logen spojrział z ukosa.

– Wiem.

– Walczyłeś przeciwko niemu?

Logen skrzywił się. Miał wrażenie, że kwaśny smak rośliny w jego ustach nie znika. Podniósł kielich i łyknął wina.

– Gorzej – odparł z namysłem, odstawiając naczynie. – Walczyłem dla niego.

Zdawało się, że rozmówca Logena jest bardziej zaintrygowany niż przedtem.

– A zatem masz pojęcie o jego taktyce i oddziałach? O tym, jak prowadzi wojnę?

Logen przytaknął.

– Co możesz mi o nim powiedzieć? – spytał West.

– To, że jest najbardziej przebiegłym i bezwzględny przeciwnikiem, bez cienia litości czy skrupułów. Nie zrozum mnie źle, nienawidzę tego człowieka, ale nie było większego wodza od czasu Skarlinga Bez Kaptura. Ma w sobie coś, co wzbudza szacunek, strach albo przynajmniej posłuszeństwo. Nie oszczędza swoich ludzi, chcąc jako pierwszy ruszyć do boju i zdobywać pole, ale oni maszerują dla niego niezmordowanie, ponieważ przynosi im zwycięstwa. Jest ostrożny, kiedy trzeba, i nieustraszony, kiedy trzeba, ale nie zaniedbuje szczegółów. Uwielbia każdy wojenny podstęp – pułapki i zasadzki, pozorowany atak i wszelkiego rodzaju oszustwa, nagłe wypadki na nieostrożnych. Szukajcie go tam, gdzie się go najmniej spodziewacie, i oczekujcie, że będzie najsilniejszy, gdy wydaje się najslabszy. Najbardziej wystrzegajcie się go, kiedy zdaje się uciekać. Większość ludzi się go boi, a ci którzy się nie boją, są głupcami. – Logen wziął ze swojego talerza kwiat i zaczął go rozrywać po kawałeczku. – Jego armie są skupione wokół wodzów klanowych, a niektórzy z nich są sami dla siebie potężnymi wojownikami. Większość jego zbrojnych to Trallowie, wieśniacy wcieleni do służby, lekko uzbrojeni we włócznie albo łuki; poruszają się szybko w małych grupach. W przeszłości byli źle wyszkoleni, opuszczali swoje farmy tylko na krótki czas, ale wojny toczą się od tak dawna, że wielu z nich stało się zaprawionymi w bojach żołnierzami, którzy nie okazują litości.

Zaczął układać drobinki rośliny, wyobrażając sobie, że to oddziały, talerz zaś – wzgórze.

– Poza tym każdy wódz klanowy utrzymuje Carlów, własnych wojowników, dobrze uzbrojonych i opancerzonych, sprawnych w posługiwaniu się toporem i włócznią, i zdyscyplinowanych. Nieliczni mają konie, ale Bethod skrywa jeźdźców przed obcym wzrokiem, czekając na odpowiedni moment ataku albo pościgu.

Oderwał żółte płatki od kwiatu – byli to jeźdźcy ukryci na flankach.

– Na końcu są Ludzie Znani, Ludzie Imienni, ci, którzy zdobyli w boju wielki szacunek. Mogą prowadzić w polu oddziały Carlów albo działać jako zwiadowcy czy samotni jeźdźcy, czasem głęboko na tyłach wroga.

Uświadomił sobie, że jego talerz jest pokryty mnóstwem kawałków rośliny i czym prędzej strzepnął je na stół.

– Taka jest tradycja wojny na Północy, ale Bethod zawsze miał zamiłowanie do nowych pomysłów. Czyta księgi i studiuje inne sposoby walki, często mówi o tym, by nabyć od kupców z

południa łuki, ciężkie zbroje i silne konie bojowe. A także o tym, by stworzyć armię, która będzie budzić strach na całym świecie.

Logen uświadomił sobie, że usta mu się nie zamykały bardzo długo. Nie powiedział tyle przez lata, ale West patrzył na niego z niekłamanym zainteresowaniem i skupieniem.

– Mówisz jak człowiek, który zna się na rzeczy.

– No cóż, poruszyłeś przypadkowo temat, w którym jestem biegły.

– Jaką radę dałbyś człowiekowi, zmuszonemu prowadzić wojnę przeciwko Bethodowi?

Logen zmarszczył brwi.

– Żeby był ostrożny. I zważał na tyły.

\* \* \*

Jezał nie bawił się dobrze. Na początku, oczywiście, wydawało się to wspaniałą rzeczą, o jakiej zawsze marzył: uroczystość na jego cześć, z udziałem wielu najbardziej znamienitych mieszkańców Unii. Z pewnością był to dopiero początek nowego życia w roli czempiona turnieju. Zaszczoty, które wszyscy mu przepowiadali, czy wręcz obiecywali, były niemal na wyciągnięcie ręki. Przyszło mu do głowy, że to dojrzały owoc, który spadnie za chwilę z drzewa, wprost w jego dłonie, a wraz z nim awanse i chwała. Może nawet zrobią go tego wieczoru majorem, on zaś pójdzie na wojnę w Anglandzie jako dowódca batalionu...

Dziwne jednak, większość gości wydawała się bardziej zainteresowana swoimi sprawami. Rozmawiali ze sobą o kwestiach państwa, o interesach domów kupieckich, o zagadnieniach związanych z ziemią, polityką i przywilejami. O szermierce i jego niebywałych umiejętnościach nikt prawie nie wspominał. Nic nie zapowiadało bliskiego awansu. Musiał tylko siedzieć, uśmiechać się i przyjmować dziwnie wstrzemięźliwe gratulacje od obcych ludzi we wspaniałych strojach, którzy nieledwie patrzyli mu w oczy. Na jego miejscu mogła równie dobrze siedzieć figura woskowa. Musiał przyznać, że uwielbienie gminu na arenie było o wiele bardziej satysfakcjonujące. Przynajmniej nikt nie udawał.

Z drugiej strony nigdy wcześniej nie przebywał w pałacu, tej fortecy wewnątrz fortecy Agriontu, gdzie pozwalano wchodzić tylko nielicznym. Teraz zaś siedział u szczytu stołu w królewskiej jadalni, choć nie wątpił, że Jego Wysokość spożywa większość posiłków w łóżku, oparty o poduszki i karmiony łyżeczką.

W głębi sali, przy ścianie, ustawiono scenę. Jezał słyszał kiedyś, że Ostus, jeszcze jako dziecko królewskie, oglądał przy każdym posiłku błaznów. Morlic Szalony, wręcz przeciwnie, porę obiadu urozmaicał sobie egzekucjami. Król Casamir, jak mówiono, spożywając śniadanie, kazał sobowtórom największych wrogów wykrzykiwać pod swoim adresem obelgi, by potęgować w sobie nienawiść. Teraz jednak kurtyny były zaciągnięte. Jezał musiał szukać rozrywki gdzie indziej i pod tym względem nie miał wielkiego wyboru.

Do ucha głądził mu marszałek Varuz. On przynajmniej wciąż interesował się szermierką. Na nieszczęście nie mówił o niczym innym.

– Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś takiego. Całe miasto o tym huczy. Najbardziej niezwykły pojedynek, jaki kiedykolwiek się odbył! Przysięgam, jesteś lepszy niż Sand dan Glokta w swoim czasie, a nigdy nie przypuszczałem, że ujrzę jeszcze kogoś takiego jak on. Nie śniło mi się, że potrafisz tak walczyć, Jezał, nawet w głowie mi to nie powstało!

– Mhm... – mruknął Jezal.

Następca tronu księżę Ladisła i jego przyszła narzeczona, Terez z Talinsu, stanowili olśniewającą parę u szczytu stołu, tuż obok drzemiącego króla. Nie zwracali uwagi na to, co dzieje się wokół nich, ale nie tak, jak ktoś mógłby się spodziewać po dwojgu młodych kochankach. Spierali się zajadle przyciszonymi głosami, podczas gdy ich sąsiedzi udawali, że nie chłoną każdego słowa.

– ...no cóż, niebawem wyruszę na wojnę do Anglandu, więc nie będziesz musiała znosić mnie już długo! – zaskamlał Ladisła. – Mogę zginąć! Może to uszczęśliwi Waszą Wysokość?

– Proszę, nie umieraj z mojego powodu – odcięła się Terez. Jej styriański akcent ociekał jadem.

– Ale jeśli musisz, to trudno. Przypuszczam, że jakoś zniosę smutek...

Ktoś siedzący niedaleko Jezala zwrócił jego uwagę, waląc pięścią w stół.

– Niech diabli tych prostaków z gminu! Niech diabli to chłopstwo pod bronią w Stariklandzie! Leniwe psy, nie chcą nawet kiwnąć palcem!

– Wszystko przez te podatki – mruknął jego sąsiad. – To z powodu tych wojennych podatków tak się burzą. Słyszałeś o tym przeklętym osobniku, którego nazywają Garbarzem? Jakiś cholerny wieśniak głoszący rewolucję, i to otwarcie! Podobno jeden z królewskich poborców został zaatakowany przez tłum, niespełna milę od murów Kelnu. Jeden z królewskich poborców, powiadam! Przez tłum! Niespełna milę od murów miasta...

– Sami to sobie ściągnęliśmy na głowy! – Twarz mówiącego była skryta przed wzrokiem Jezala, ale rozpoznał go po złoconym szamerunku na rękawach. – Traktuj człowieka jak psa, a prędzej czy później cię ugryzie, to jasne jak słońce. Nasza rola jako namiestników, jako szlachetnie urodzonych, polega bez wątpienia na tym, by szanować i chronić prostego człowieka, nie zaś uciskać go i okazywać mu pogardę.

– Nie mówiłem o pogardzie, lordzie Marovia, czy też ucisku, tylko o tym, co nam się od nich należy jako właścicielom ziemskim, a tym samym ich naturalnym i przyrodzonym zwierzchnikom...

Tymczasem marszałek Varuz nie przestawał mówić o pojedynku.

– To było niezwykle, co? Sposób, w jaki go pokonałeś, jedno ostrze przeciwko dwóm! – Stary żołnierz przeciął powietrze ręką. – Całe miasto o tym mówi. Czeka cię wspaniała przyszłość, mój chłopcze, zapamiętaj sobie te słowa. Niech mnie diabli, jeśli nie zajmiesz któregoś dnia mojego miejsca w Zamkniętej Radzie!

Jezal miał dość. Znosił tego człowieka od wielu miesięcy. Wyobrażał sobie wcześniej, że jeśli wygra, to będzie to oznaczało koniec tej męki, ale widocznie czekało go rozczarowanie. Dziwne, że Jezal nie zdawał sobie wcześniej sprawy, jak nudnym starym głupcem jest lord marszałek. Teraz jednak uświadomił to sobie, i to z całą mocą.

Co gorsza, w różnych miejscach siedzieli ludzie, których z pewnością by nie zaprosił na tę uroczystość. Przypuszczał, że zrobiłby wyjątek dla Sulta, arcylektora Inkwizycji, gdyż człowiek ten zasiadał w Zamkniętej Radzie i był bez wątpienia potężną figurą, ale Jezal nie mógł pojąć, dlaczego Sult przyprowadził ze sobą tego drania Gloktę. Kaleka wyglądał na jeszcze bardziej chorego niż zazwyczaj, mrugając bezustannie podkrążonymi, zapadniętymi oczami. Z jakiegoś powodu rzucał posępne i podejrzliwe spojrzenia na Jezala, jakby podejrzewał go o taką czy inną zbrodnię. Był to dla niego policzek, biorąc pod uwagę charakter uroczystości.

Co gorsza, po drugiej stronie sali siedział ten stary, łysy człowiek, ten, który nazywał siebie Bayazem. Jezal wciąż nie potrafił zrozumieć jego dziwnych słów, towarzyszących gratulacjom podczas turnieju – ani reakcji ojca na obecność tego człowieka, jeśli już o tym mowa. I był jeszcze ten jego odrażający przyjaciel, dziewięciopalczy barbarzyńca, który zajmował sąsiednie miejsce.

Major West miał to nieszczęście, że posadzono go obok tego prymitywnego osobnika, ale widać



było, że świetnie sobie radzi w tak trudnej sytuacji; obaj sprawiali wrażenie pochłoniętych ożywioną rozmową. Człowiek z Północy wybuchał czasem ogłuszającym śmiechem i walił w stół wielką pięścią, wprawiając w drzenie kielichy. Przynajmniej się dobrze bawią, pomyślał kwaśno Jezal i niemal żałował, że z nimi nie siedzi.

Mimo wszystko wiedział, że chce być któregoś dnia kimś wielkim i ważnym. I nosić szaty obszyte futrem i ciężkie złote łańcuchy – oznakę urzędu. Patrząc, jak ludzie kłaniają mu się, przypochebiają i płaszcą. Dawno już to postanowił i miał wrażenie, że wciąż podoba mu się ta myśl. Chodziło tylko o to, że z bliska cała rzecz wydawała się straszliwie fałszywa i nudna. O wiele bardziej wolałby przebywać sama na sam z Ardee, choć widział ją zaledwie dzień wcześniej. Nie miała w sobie nic nudnego...

– ...barbarzyńcy zaciskają pierścień wokół Ostenhormu, tak słyszałem! – krzyknął ktoś siedzący po lewej stronie Jezala. – Lord gubernator Meed zbiera armię; przysiągł, że wygna ich z Anglandu!

– Ha! Meed? Ten przemądrzały stary głupiec nie nadaje się do niczego!

– Ale zdoła pobić te zwierzęta z Północy. Jeden porządny człowiek z Unii jest wart dziesięciu tych barbarzyńców...

Jezal usłyszał nagle głos Terez, który wzniósł się ponad gwarem rozmów. Słysząc go było nawet na drugim końcu sali:

– ...oczywiście, wyjdę za mąż, jeśli ojciec mi rozkaże, ale nie muszę być z tego powodu zachwycona!

Wydawała się w tym momencie tak zajadła, że Jezal nie zdziwiłby się, gdyby ujrzał nagle, jak wbija następcy tronu widelec w twarz. Odczuł niejaki zadowolenie, uświadomiwszy sobie, że nie on jeden ma kłopoty z kobietami.

– ...o tak, wspaniały występ! Wszyscy o tym mówią – głądził wciąż Varuz.

Jezal wiercił się niespokojnie na swoim miejscu. Jak długo ta przekłeta męka miała jeszcze trwać? Odnosił wrażenie, że się dusi. Przesunął spojrzeniem po twarzach i uchwycił spojrzenie Głokty, który przyglądał mu się z ponurym i podejrzliwym wyrazem zniszczonej twarzy. Jezal nie potrafił długo znosić wzroku tego człowieka. Co u diabła ten kaleka miał przeciwko niemu?

\* \* \*

„Mały łajdak. Oszukiwał. W jakiś niepojęty sposób. Wiem o tym”.

Oczy Głokty wodziły z wolna po ludziach siedzących naprzeciwko, aż zatrzymały się na postaci Bayaza. Ten stary krętacz czuł się jak u siebie w domu.

„I miał w tym swój udział. Oszukiwali, razem. W jakiś niepojęty sposób”.

– Moi panowie i panie! – Rozmowy ucichły, gdy marszałek dworu podniósł się z miejsca, by wygłosić mowę. – Chciałbym was wszystkich powitać w imieniu Jego Wysokości na tym skromnym przyjęciu.

Król drgnął niespokojnie, popatrzył wokół błędnym wzrokiem, zamrugał, potem zamknął oczy.

– Zebraliśmy się tu na cześć kapitana Jezala dan Luthara, oczywiście, który dopisał ostatnio swe nazwisko do najbardziej honorowej listy: zwycięzców letniego turnieju.

W górę uniosło się kilka kielichów, z kilku miejsc dobiegły słowa uznania.

– Widzę dzisiaj kilku poprzednich triumfatorów, z których wielu piastuje obecnie wysokie urzędy i godności: lorda marszałka Varuza, komendanta Valdisa z kompanii heroldów królewskich,

majora Westa, obecnie przydzielonego do sztabu marszałka Burra. Nawet ja byłem zwycięzcą swojego czasu. – Uśmiechnął się i popatrzył na swój wystający brzuch. – Choć to dość dawne dzieje.

Po sali przebiegł uprzejmy śmiech.

„Zauważyłem, że nie wspomniano o mnie. Nie wszystkim czempionom się zazdrości, he?”

– Ci, którzy odnieśli w turnieju zwycięstwo – ciągnął marszałek dworu – dochodzili wielokrotnie do wielkich zaszczytów. Mam nadzieję, tak jak wszyscy, że okaże się to prawdą także w przypadku naszego młodego przyjaciela, kapitana Luthara.

„Mam nadzieję, że spotka go powolna śmierć w Anglandzie. Mały kłamliwy drań”.

Lecz Glokta podniósł swój kielich wraz z innymi, by wznieść toast na cześć tego aroganta, podczas gdy Luthar siedział na swoim miejscu, rozkoszując się każdą sekundą tej chwili.

„I pomyśleć, że ja też siedziałem na tym samym krześle, że byłem oklaskiwany, że budziłem zazdrość i że klepano mnie po plecach, kiedy wygrałem turniej. Inni ludzie w tych wspaniałych strojach, inne twarze oblewające się potem w tym upale, ale poza tym niewiele się zmieniło. Czy uśmiechałem się z mniejszym zadowoleniem? Oczywiście, że nie. Byłem jeszcze bardziej z siebie zadowolony. Ale przynajmniej zasłużyłem na to”.

Lord Hoff był tak przejęty, że nie przestał wznosić toastów do chwili, gdy opróżnił swój kielich. Potem odstawił go na stół i oblizął wargi.

– A teraz, nim podadzą posiłek, czeka nas mała niespodzianka, przygotowana przez mego przyjaciela, arcylektora Sulta, na cześć innego z naszych gości. Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawić – oznajmił marszałek dworu, po czym usiadł ciężko i wyciągnął rękę z kielichem, by dolano mu wina.

Glokta zerknął na Sulta.

„Niespodzianka autorstwa arylektora? Złe wieści dla kogoś”.

Ciężkie czerwone kotary zakrywające scenę rozsunęły się z wolna. Widzowie ujrzeli starego człowieka, który leżał na deskach w białym odzieniu splamionym krwią o żywej barwie. Tło stanowiło duże malowidło, przedstawiające leśną scenę pod rozgwieżdżonym niebem. Przypominało Głokcie, w niezbyt przyjemny sposób, obraz na ścianie w okrągłej komnacie. W komnacie pod kamienną ruiną Severarda niedaleko doków.

Zza kulis wyłonił się drugi starzec: wysoki, chudy mężczyzna o niezwykle szlachetnych i ostrych rysach. Miał ogoloną głowę i krótką siwą brodę, ale Glokta rozpoznał go od razu.

„Iosiv Lestek, jeden z najbardziej szanowanych aktorów w mieście”.

Stary człowiek drgnął z manieryczną przesadą na widok skrwawionego trupa.

– Ooooo! – załkał, rozkładając szeroko ramiona w teatralnym geście rozpaczy i przerażenia. Odznaczał się doprawdy potężnym głosem, zdolnym wstrząsnąć belkami podtrzymującymi strop. Pewien, że skupia na sobie uwagę całej widowni, Lestek zaczął recytować swoje kwestie, wymachując rękami w powietrzu, podczas gdy na jego twarzy uwidaczniały się emocje i pasje.

*Więc tu mój pan, Juvens, spoczywa,  
Z jego śmiercią nadzieja pokoju dogorywa,  
Za sprawą zdrady Kanediasa, tego nikczemnika.  
Odszedł mistrz – słońce zanika,  
Co wiek cały oświecało swym blaskiem.*

Starzec odrzucił do tyłu głowę, Glokta zaś dojrzał łzy w jego oczach. „Niezła sztuczka, płakać tak na zawołanie”.

Po policzku aktora spłynęła pojedyncza łza; widownia patrzyła jak oczarowana. Ponownie zwrócił się w stronę ciała na deskach.

*Oto brat zabija brata. Czas w swej wieczności  
Nie zna takiej potworności.  
Czemu gwiazdy nie zamierają?  
Czemu ziemią nie wstrząsają  
Wściekłe ognie gniewu?*

Rzucił się na kolana i uderzył w starczą pierś.

*Och, gorzki losie! Jakiż byłbym szczęśliwy,  
Gdyby mnie z panem więzy śmierci połączyły!  
Lecz gdy człowiek wieki umiera, ci, co pozostają  
W świecie ubogim z bólem się zmagają,  
By dalej walczyć uparcie.*

Lestek podniósł z wolna głowę i popatrzył na widownię, po czym dźwignął się na nogi, najgłębszy smutek na jego twarzy przemienił się w zaciętą determinację.

*Bo choć Dom Stwórcy na głucho zamknięty,  
A mury jego ze stali wycięte,  
Jeśli mi przyjdzie czekać, aż rdza stal pokona  
Czy rozbić kamień gołymi rękoma,  
Dokonom zemsty!*

Oczy aktora błysnęły ogniem, kiedy ogarnął swe szaty i zszedł ze sceny przy ogłuszających owacjach. Występ był skróconą wersją pewnego znanego przedstawiania, często granego.

„Choć rzadko tak dobrze”.

Glokta przyłapał się zaskoczony na tym, że bije brawo.

„Jak na razie, doskonały występ. Szlachetność, pasja, siła. O wiele bardziej przekonujące niż kolejny fałszywy Bayaz”.

Rozsiadł się wygodnie, wsuwając lewą nogę pod stół, i przygotował się na dalszą część przedstawienia.

Logen patrzył na to wszystko z grymasem zdziwienia na twarzy. Domyślał się, że jest to jeden ze spektakli, o których mówił Bayaz, ale za słabo znał język, by zrozumieć każde słowo.

Krążyli po scenie, wzdychając i machając rękami w jaskrawych kostiumach, i mówili śpiewnie. Dwaj mieli być ciemnoskórzy, jak się zorientował, ale tak naprawdę byli bladymi mężczyznami z ciemną farbą na twarzach. W innej scenie ten, który grał Bayaza, szeptał do jakiejś kobiety przez drzwi, jakby błagał ją, by je otworzyła, tyle że drzwi były kawałkiem pomalowanego drewna, który stał na środku sceny, kobieta zaś była chłopcem w sukni. Logenowi przyszło do głowy, że byłoby znacznie łatwiej obejść przeszkodę i pomówić z nim czy z nią twarzą w twarz.

Jednego był pewien – prawdziwy Bayaz nie krył, że to wszystko mu się nie podoba. Logen wyczuwał w nim irytację, która narastała z każdą kolejną sceną. Irytacja ta przerodziła się w zgrzytanie zębami, gdy jakiś złoczyńca na scenie, wielki mężczyzna w rękawiczce i z przepaską na oku, zepchnął chłopca w sukni z drewnianych blanków. Było jasne, że on lub ona spada z wielkiej wysokości, choć Logen wyraźnie usłyszał, jak uderza o coś miękkiego za sceną.

– Jak śmieli, do diabła? – warknął pod nosem prawdziwy Bayaz. Logen najchętniej uciekłby z sali, gdyby mógł, ale wszystko, co był w stanie zrobić, to przysunąć się ze swoim krzesłem do Westa, byle dalej od wściekłego maga.

Na scenie ten drugi Bayaz walczył z człowiekiem w rękawiczce i z przepaską na oku, choć starcie polegało na tym, że chodzili w kółko i dużo rozmawiali. W końcu złoczyńca spadł w ślad za chłopcem ze sceny, wcześniej jednak jego przeciwnik zabrał mu ogromny złoty klucz.

– Jest tu więcej szczegółów niż w oryginale – mruknął prawdziwy Bayaz, gdy jego odpowiednik sceniczny podniósł klucz wysoko do góry, wyrzucając z siebie kolejne wersy.

Logen wciąż niewiele rozumiał, gdy przedstawienie zbliżało się do końca, ale uchwycił ostatnie słowa, tuż przed tym, jak stary aktor skłonił się nisko:

*O wyrozumiałość błagamy wraz z finałem opowieści,  
Niechaj nikt nie będzie urażony z powodu jej treści.*

– Niech mnie diabli, jeśli to prawda – syknął Bayaz przez zaciśnięte zęby, krzywiąc jednocześnie twarz w uśmiechu i klaszcząc z zapalem.

\* \* \*

Glokta patrzył, jak Lestek kłania się po raz ostatni, trzymając w dłoni złoty klucz, a zasłony zasuwają się powoli, zakrywając jego postać. Kiedy brawa ucichły, arcylektor podniósł się ze swego miejsca.

– Cieszę się niezmiernie, że nasza mała niespodzianka tak bardzo się wam podobała – oświadczył, rozglądając się z gładkim uśmiechem po zebranych. – Nie wątpię, że wielu z was widziało już ten utwór, ale ma on dzisiejszego wieczoru znaczenie szczególne. Kapitan Luthar nie jest jedynym gościem honorowym pośród obecnych, mamy jeszcze jednego. To nikt inny jak bohater naszego przedstawienia – Bayaz we własnej osobie, Pierwszy z Magów!

Sult uśmiechnął się i wyciągnął ramiona do starego oszusta na drugim końcu sali. Rozległ się szmer, gdy wszyscy goście obrócili się, by popatrzeć na niego. Bayaz odpowiedział uśmiechem.

– Dobry wieczór – oznajmił.

Kilku co znamienitszych gości roześmiało się, podejrzewając, że to dalszy ciąg przedstawienia, ale Sult im nie zawtórował i chwila rozbawienia przeminęła. W komnacie zapanowała niezręczna cisza.

„Śmiertelna cisza, powiedziałbym”.

– Pierwszy z Magów. Jest z nami w Agrioncie od kilku tygodni. On i jego... towarzysze. – Sult popatrzył krytycznie na poznanego bliznami człowieka z Północy, a potem znów skupił wzrok na magu. – Bayaz – powiedział wolno, tak aby imię to zapadło obecnym w pamięć. – Pierwsza litera alfabetu starego języka. Pierwszy uczeń Juvensa, pierwsza litera alfabetu, czyż nie tak, mistrzu Bayazie?

– Cóż to, arcylektorze? – spytał stary człowiek, wciąż się uśmiechając. – Czyżbyś mnie sprawdzał?

„Zdumiewające. Nawet teraz, kiedy musi wyczuwać, że gra zbliża się do końca, trwa uparcie w swojej roli”.

Sult pozostał jednak niewzruszony.

– Jest moim obowiązkiem sprawdzać każdego, kto może stanowić zagrożenie dla króla albo kraju – oświadczył sztywno.

– Jakie to przerażająco patriotyczne z twojej strony. Twoje śledztwo ustaliło bez wątpienia, że jestem wciąż członkiem Zamkniętej Rady, nawet jeśli moje krzesło stoi chwilowo puste. Uważam, że właściwiej byłoby się zwracać do mnie „lordzie Bayaz”.

Zimny uśmiech na twarzy Sulta nie przygasł nawet o cień.

– A kiedyż to odwiedziłeś nas ostatnim razem, lordzie Bayaz? Wydawałoby się, że ktoś tak głęboko zaangażowany w naszą historię wykazałby się większym zainteresowaniem przez te wszystkie lata. Dlaczego, jeśli wolno spytać, w ciągu tych wieków od narodzin Unii i czasów Haroda Wielkiego nie odwiedziłeś nas?

„Dobre pytanie. Szkoda, że nie przyszło mi do głowy”.

– Och, odwiedziłem was. Za panowania króla Morlica Szalonego. Podczas zaś wojny domowej, która potem wybuchła, byłem nauczycielem młodego człowieka imieniem Arnault. Później, kiedy Morlic został zamordowany, a Arnault decyzją Otwartej Rady wyniesiony na tron, służyłem jako jego marszałek dworu. Nosilem wtedy imię Bialovelda. Ponownie zjawiłem się tutaj za panowania króla Casamira. Nazywał mnie Zollerem, a ja pełniłem twoją funkcję, arcylektorze.

Glokta z trudem zapanował nad westchnieniem oburzenia, którego nie kryli ci, którzy siedzieli obok niego.

„Nie ma wstydu, to muszę mu przyznać. Bialoveld i Zoller, dwóch najbardziej szanowanych ludzi, którzy służyli Unii. Jak śmiał? A jednak... – Wyobraził sobie portret Zollera w gabinecie arcylektora i posąg Bialovelda przy Drodze Królewskiej. – Obaj łysi, obaj srodzy, obaj brodaci... Boże, o czym ja myślę? Major West też łysieje na czubku głowy. Czy staje się przez to legendarnym czarnoksiężnikiem? Najprawdopodobniej ten szarlatan wybrał dwóch najbardziej łysych ludzi, jakich tylko mógł znaleźć”.

Sult tymczasem spróbował innej taktyki.

– Jeszcze jedno, Bayazie; jest powszechnie wiadomo, że sam Harod miał wątpliwości co do twojej osoby, kiedy pierwszy raz stanąłeś w jego salach, przed wielu laty. By udowodnić swoją moc, przełamałeś blat jego długiego stołu na pół. Niewykluczone, że wśród nas zasiada kilku sceptyków. Czy nie zdobyłbyś się na podobny pokaz z myślą o nas?

Im chłodniejszym tonem Sult przemawiał, tym bardziej beztroski wydawał się stary oszust. Zbyt

tę ostatnią próbę ze strony arcylektora lekceważącym ruchem ręki.

– To, o czym mówisz, arcylektorze, to nie żonglerka ani gra na scenie. Zawsze istnieje ryzyko i koszty. Poza tym byłoby czymś hańbiącym popsuć uroczystość na cześć kapitana Luthara tylko po to, bym mógł się popisać, nie sądzisz? Nie wspominając już o zniszczeniu cennego mebla. Ja, w przeciwieństwie do tak wielu żyjących obecnie, darzę zdrowym szacunkiem przeszłość.

Niektórzy goście uśmiechali się niepewnie, obserwując ten słowny pojedynek dwóch starych ludzi i być może spodziewając się jakiegoś wyrafinowanego żartu. Inni, bardziej domyślni, marszczyli w skupieniu czoła, próbując się zorientować, o co w tym wszystkim chodzi i kto ma przewagę. Glokta zauważył, że sędzia Marovia świetnie się bawi.

„Niemał jakby wiedział coś, czego my nie wiemy”.

Glokta poruszył się niespokojnie na swoim krześle, nie odrywając wzroku od łysego aktora. Sprawy nie przebiegają tak dobrze, jak powinny. Kiedy się zaczniesz pocić? Kiedy?

\* \* \*

Ktoś postawił przed Logenem miskę parującej zupy. Była bez wątpienia przeznaczona do spożycia, ale on stracił już apetyt. Może nie był dworzaniem, ale wiedział, kiedy w ludziach zaczyna odzywać się przemoc. Z każdą wymianą zdań uśmiechy na twarzach obu starców gasły coraz bardziej, w ich głosach coraz częściej pojawiała się twarda nuta, sala zaś wydawała się coraz ciaśniejsza, a jej atmosfera coraz bardziej duszna. Wszyscy obecni sprawiali teraz wrażenie zatroskanych – West, dumny młodzieniec, który wygrał zabawę z mieczami dzięki sztuczkom Bayaza, ten ogarnięty gorączką kaleka, który zadawał im wcześniej pytania...

Logen poczuł dreszcz na karku. Obok najbliższych drzwi dostrzegł dwie postaci. W czarnych szatach i czarnych maskach. Zerknął ku pozostałym wyjściom. Przy każdym stali dwaj zamaskowani osobnicy. Co najmniej dwaj. Podejrzewał, że nie pojawili się po to, by zbierać talerze.

Przyszli po niego. Po niego i Bayaza, czuł to. Żaden człowiek nie zakłada maski, jeśli nie skrywa czegoś mrocznego w swoim umyśle. Wiedział, że nie poradzi sobie nawet z połową tych ludzi, ale wysunął nóż zza talerza i schował go sobie pod ręką. Wiedział, że jeśli będą próbowali go stąd wyprowadzić, to będzie walczył. Nad tym nie musiał się zastanawiać.

Bayaz zaczął sprawiać wrażenie rozgniewanego.

– Dostarczyłem wszystkie dowody, o jakie prosiłeś, arcylektorze!

– Dowody! – Wysoki człowiek, którego nazywano Sultem, roześmiał się lodowato. – Twoją specjalnością są słowa i zakurzone papiery! To coś dla żalostnego urzędnika, a nie legendarnego czarnoksiężnika. Można by powiedzieć, że mag bez magii jest po prostu bezradnym starcem! Prowadzimy wojnę i nie możemy ryzykować! Wspomniałeś o arcylektorze Zollerze. Słyszał z wytrwałości w dochodzeniu do prawdy. Jestem pewien, że rozumiesz także moją wytrwałość w tym względzie. – Pochylił się, opierając pięściami o stół. – Pokaż nam magię, Bayazie, albo pokaż nam klucz!

Logen przełknął z wysiłkiem. Nie podobało mu się to wszystko, z drugiej strony jednak nie rozumiał zasad tej gry. Zaufał Bayazowi z jakiegoś powodu i tak musiało pozostać. Było za późno, by zmieniać strony.

– Nie masz nic więcej do powiedzenia? – spytał ostro Sult i zaczął z wolna siadać. Jego spojrzenie powędrowało w stronę łukowatych wejść i Logen zauważył, że zamaskowane postaci

przesunęły się nieznacznie, jakby gotowe do ataku. – Zabrakło ci słów? Zabrakło ci sztuczek?

– Mam jeszcze jedną w zanadru – oznajmił Bayaz, sięgając do swego kołnierza. Ujął coś w dłoń i wyciągnął – długi, cienki łańcuch.

Jedna z zamaskowanych postaci postąpiła krok do przodu, spodziewając się, że stary człowiek dobędzie jakiejś broni, Logen zaś zacisnął dłoń na rękojeści noża, ale gdy łańcuch ukazał się w całości, na jego końcu kołysał się tylko pręt ciemnego metalu.

– Klucz – oznajmił Bayaz, przysuwając do płomienia świecy ten przedmiot, który ledwie rzucił blask. – Nie tak błyszczący jak w twojej sztuce, ale autentyczny, zapewniam cię. Kanedias nigdy nie zajmował się złotem. Nie lubił ładnych rzeczy. Lubił rzeczy, które działają.

Arcylektor wykrzywił wargi.

– Oczekujesz, że uwierzemy ci na słowo?

– Oczywiście, że nie. Na tym polega twoja praca, by wszystkich podejrzewać, i muszę przyznać, że wykonujesz ją nadzwyczaj dobrze. Robi się jednak późno, poczekam więc do rana z otwarciem drzwi Domu Stwórcy.

Ktoś upuścił łyżeczkę, która spadła z brzękiem na płyty posadzki.

– Będą oczywiście potrzebni świadkowie, by zagwarantować, że nie ucieknę się do żadnego podstępu. Co powiesz na... – Bayaz przesunął spojrzeniem swych zielonych oczu wzdłuż stołu. – Inkwizytora Gloktę i... waszego nowego czempiona, kapitana Luthara?

Kaleka zmarszczył czoło na dźwięk swego nazwiska. Luthar sprawiał wrażenie szczerze zdumionego. Arcylektor usiadł, a jego pogarda zniknęła pod maską kamiennej obojętności. Przeniósł spojrzenie z uśmiechniętej twarzy Bayaza na łagodnie kołyszący się pręt ciemnego metalu, potem znów na oblicze maga. Obrócił wzrok ku jednemu z wejść i prawie niedostrzegalnie potrząsnął głową. Tajemnicze postaci cofnęły się w cień. Logen rozwarł zaciśnięte szczęki, po czym szybko odłożył nóż na stół. Bayaz uśmiechnął się szeroko.

– Doprawdy, mistrzu Sult, trudno cię zadowolić.

– Przypuszczam, że zwrot „Wasza Eminencjo” jest bardziej stosowny – syknął arcylektor.

– Racja, racja. Jestem przekonany, że nie będziesz zadowolony, dopóki nie zniszczę jakiegoś mebla. Nie chciałbym jednak rozlać wszystkim zupy...

Krzesło arcylektora załamało się z głośnym trzaskiem. Wysunął gwałtownym ruchem dłoń i chwycił się obrusa, po czym runął na podłogę w klekoczącej masie drewna i rozłożył się jak długi pośród pobojuwiska, wydając przy tym głuchy jęk. Król ocknął się nagle, jego goście zamrugali, westchnęli i otworzyli szeroko oczy. Bayaz zdawał się ich nie dostrzegać.

– Doprawdy, doskonała zupa – oświadczył i zaczął głośno siorbać.

# Dom Stwórcy

Dzień był ponury i Dom Stwórcy wznosił się mroczny i posępny, niczym ogromny ciemny kształt na tle postrzępionych chmur. Między budynkami i po dziedzińcach Agriontu świstał zimny wiatr, porywając poły czarnego płaszcza Glokty, gdy ten kuśtykał w ślad za kapitanem Lutharem, domniemanym magiem i poznaczonym bliznami człowiekiem z Północy. Wiedział, że są obserwowani.

„Obserwowani przez całą drogę. Z okien, zza drzwi, z dachów”.

Praktycy byli wszędzie, czuł na sobie ich spojrzenia.

Glokta po trochu oczekiwał, a po trochu miał nadzieję, że Bayaz i jego towarzysze znikną w nocy, ale nie zrobili tego. Łysy człowiek wydawał się tak odprężony, jakby zamierzał otworzyć piwnicę na owoce, i Glokcie się to nie podobało.

„Kiedy ten bluff się skończy? Kiedy wyrzuci ręce w górę i przyzna, że to wszystko było tylko grą? Wtedy, gdy dotrzemy do uniwersytetu? Kiedy przekroczymy most? Kiedy staniemy przed bramą Domu Stwórcy, a jego klucz nie będzie pasował?”. Gdzieś jednak w głębi jego umysłu kołatało się pytanie: „A jeśli się nie skończy? A jeśli drzwi się otworzą? A jeśli naprawdę jest tym, za którego się podaje?”.

Bayaz gawędził z Lutharem, kiedy przemierzali pusty dziedziniec, kierując się w stronę uniwersytetu.

„Pod każdym względem tak swobodny jak dziadek ze swoim ulubionym wnukiem i pod każdym tak nudny”.

– ...oczywiście, miasto jest o wiele większe niż wtedy, kiedy odwiedziłem je poprzednim razem. Ta dzielnica, którą nazywacie Trzema Farmami, tak gwarna i rojna. Pamiętam czasy, gdy znajdowały się tu tylko trzy farmy! Naprawdę! I to z dala od murów miejskich!

– No... – zaczął Luthar.

– A jeśli chodzi o nową siedzibę kupców korzennych, to nigdy nie widziałem takiej ostentacji...

Glokta rozmyślał gorączkowo, kuśtykając za nimi i doszukując się ukrytego znaczenia w tym morzu gadaniny, jakiegoś porządku w tym chaosie. Pytania mnożyły się bez końca.

„Dlaczego wybrał mnie na świadka? Dlaczego nie samego arcylektora? Czy ten Bayaz przypuszcza, że łatwo będzie mnie oszukać? I dlaczego Luthar? Bo zwyciężył w turnieju? I jak zwyciężył? Czy jego osoba jest częścią tego oszustwa?”.

Lecz jeśli Luthar należał do jakiegoś mrocznego planu, to niczym się nie zdradzał. Glokta też ani razu nie dostrzegł niczego, co wskazywałoby, że ma do czynienia z kimś innym niż tylko młodym głupcem, który żywi na swoim punkcie obsesję.

„I oto dochodzimy do zagadki”.

Glokta zerknął ukradkiem na wielkiego człowieka z Północy. Na jego poznaczonej bliznami twarzy nie widać było śladu jakiegoś podstępного zamiaru, najmniejszego znaku, że coś się w tej głowie roi.

„Jest bardzo głupi czy bardzo przebiegły? Należy go zignorować czy bać się go? Czy jest sługą czy panem?”.

Na żadne z tych pytań Glokta nie znalazł odpowiedzi. Na razie.

– No cóż, to miejsce jest cieniem swej dawnej świetności – oznajmił Bayaz, gdy zatrzymali się



przed drzwiami uniwersytetu, i spojrzął z troską na pokryte brudem, pochylające się posągi. Zapukał szybko w wyblakłe drewno i po chwili jęknęły zawiasy. Ku zdziwieniu Glokty, wrota otworzyły się niemal natychmiast.

– Jesteście oczekiwani – zaskrzeczał wiekowy odźwierny, oni zaś weszli do środka. Mężczyzna zaczął zmagać się ze skrzypiącymi drzwiami. – Zaprowadzę was do...

– Nie ma potrzeby – rzucił przez ramię Bayaz, który kroczył już szybko zakurczonym korytarzem. – Znam drogę!

Glokta starał się nadażyć, pocąc się pomimo zimna, które panowało na dworze. Noga paliła go żywym ogniem. Wysilek związany z dotrzymaniem Bayazowi kroku nie pozwalał mu się zastanowić, jakim cudem ten łysy łajdak tak dobrze zna budynek uniwersytetu.

„Ale nie ulega wątpliwości, że go zna”.

Przemierzał korytarze, jakby spędzał tu niegdyś każdą chwilę swego życia; cmokał zniechęcony nad opłakanym stanem wnętrza i cały czas głądził.

– ...nigdy nie widziałem takiego kurzu, kapitanie Luthar. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że nie sprzątno tu od moich ostatnich odwiedzin! Nie pojmuję, jak człowiek może rozmyślać w tych warunkach! Absolutnie...

Z obrazów ponuro spoglądali martwi od wieków i zapomniani adepci wiedzy, jakby zirytowani całym tym hałasem.

\* \* \*

Mijali korytarze uniwersytetu, tego starodawnego, zakurzonego, opuszczonego na pierwszy rzut oka miejsca, gdzie pozostały jedynie brudne wiekowe malowidła i zatęchłe księgi. Jezal nie przepadał za książkami. Przeczytał kilka o szermierce i jeździe konnej, ze dwie o kampaniach wojennych, raz otworzył wielkie dzieło historyczne o Unii, które znalazł w gabinecie ojca, ale znudziło go po trzech czy czterech stronach.

Bayaz nie przestawał mówić.

– Tu walczyliśmy ze sługami Stwórcy. Pamiętam to dobrze. Wołali do Kanediasa, żeby ich ocalił, ale nie zszedł na dół. Sale tamtego dnia spływały krwią, rozbrzmiewały krzykami, tonęły w kłębach dymu.

Jezal nie miał pojęcia, dlaczego ten stary głupiec wybrał go na słuchacza swych fantastycznych opowieści, a jeszcze mniej wiedział, jak ma mu odpowiadać.

– Wydaje się, że było to... okrutne.

Bayaz przytaknął.

– Owszem. Nie jestem z tego dumny. Ale dobrzy ludzie muszą czasem popełniać okrutne czyny.

– Uhm – mruknął nagle człowiek z Północy.

Jezal nie zdawał sobie nawet sprawy, że tamten słucha cały czas.

– Poza tym była to inna epoka. Pełna przemocy. Tylko w Starym Imperium ludzie osiągnęli poziom wyższy od prymitywnego. Midderland, serce Unii, był istnym chlewem, wierzcie lub nie. Nieużytkami, gdzie panowały wojownicze, barbarzyńskie plemiona. Te, które miały najwięcej szczęścia, zostały przyjęte na służbę do Stwórcy. Pozostałe skupiały dzikusów o pomalowanych twarzach, nieobytych z piśmem, nauką, z niczym, co odróżniałoby ich od zwierząt.

Jezal zerknął ukradkiem na Dziewięciopalcego. Nietrudno było sobie wyobrazić to

barbarzyńskie życie, mając przy boku tak brutalnego osobnika, ale chciało mu się śmiać, gdy pomyślał, że jego piękny dom stał kiedyś na jałowej ziemi, że on sam pochodzi od jakichś dzikusów. Ten łysy stary człowiek był bezczelnym kłamcą albo szaleńcem, ale niektórzy wielcy ludzie zdawali się traktować go poważnie.

\* \* \*

Logen ruszył za innymi na zaniedbany dziedziniec, otoczony z trzech stron przez rozpadające się budynki uniwersytetu, z czwartej zaś przez mur Agriontu od wewnętrznej strony. Wszystko pokrywał stary mech, gęsty bluszcz, wyschnięte krzewy dzikiej róży. Pośród chwastów, na rozklekotanym krześle, siedział jakiś człowiek.

– Oczekiwałem was – oznajmił, podnosząc się z niejakim wysiłkiem. – Przeklęte kolana, nie jestem już taki zdrowy jak niegdyś.

Niczym niewyróżniający się człowiek, który średni wiek miał dawno za sobą, w wytartej i poplamionej na piersi koszuli. Bayaz spojrział na niego z uwagą.

– Jesteś głównym strażnikiem?

– To ja.

– A gdzie są pozostali?

– Moja żona przygotowuje śniadanie, ale pomijając jej osobę, jestem sam. To jajka – oznajmił z zadowoleniem, klepiąc się po brzuchu.

– Co?

– Na śniadanie. Lubię jajka.

– Cieszę się – mruknął Bayaz nieco zawiedziony. – Za panowania króla Casamira pięćdziesięciu najdzielniejszych ludzi z gwardii królewskiej mianowano strażnikami domu, by strzegli jego bramy. Uważano, że nie istnieje większy zaszczyt.

– To dawne dzieje – zauważył ostatni i jedyny strażnik, skubiąc poplamioną koszulę. – Było nas dziewięciu za moich lat młodzieńczych, ale pozostali zajęli się czymś innym albo umarli, i nigdy nikt ich nie zastąpił. Nie wiem, kto przejmie moje obowiązki, kiedy odejdę. Nie było ostatnio zbyt wielu kandydatów.

– Zaskakujesz mnie. – Bayaz odchrząknął znacząco. – Och, główny strażniku! Ja, Bayaz, Pierwszy z Magów, pragnę uzyskać od ciebie pozwolenie, bym mógł dotrzeć schodami do piątej bramy, przekroczyć ją, wejść na most i przedostać się na drugą stronę, do drzwi Domu Stwórcy.

Główny strażnik spojrział na niego zmrużonymi oczami.

– Jesteś pewien?

Bayaz zaczął się niecierpliwić.

– Tak, dlaczego pytasz?

– Pamiętam ostatniego człowieka, który tego próbował za moich młodych lat. Był wielki, jak sądzę, jawił się jako myśliciel. Ruszył po tych schodach wraz z dziesięcioma silnymi robotnikami uzbrojonymi w dłuta, młoty, kilofy i wszelkie narzędzia, mówiąc nam, że zamierza otworzyć Dom i wynieść z niego skarby. Po pięciu minutach wrócili w milczeniu, jakby ujrzeli martwych, którzy nagle ożyli.

– Co się stało? – spytał cicho Luthar.

– Nie wiem, ale nie znaleźli żadnych skarbów, tyle wiem.

– To bez wątplenia zniechęcająca opowieść – przyznał Bayaz. – Ale idziemy.

– Wasza sprawa, że tak powiem.

Z tymi słowami stary człowiek odwrócił się i ruszył przygarbiony przez żałośnie wyglądający dziedziniec. Zaczęli się wspinać po wąskich schodach, których stopnie były wgłębione i starte pośrodku, i dotarli do tunelu w wysokim murze Agriontu, wreszcie do niewielkiej i pogrążonej w mroku bramy.

Logen poczuł, jak ogarnia go dziwny niepokój, kiedy zazgrzytały zasuwy. Wstrząsnął ramionami, by pozbyć się tego wrażenia, strażnik zaś uśmiechnął się do niego szeroko.

– Już to czujesz, prawda?

– To znaczy?

– Tchnienie Stwórcy, jak powiadają. – Pchnął delikatnie drzwi, które otworzyły się, wpuszczając do wnętrza światło. – Tchnienie Stwórcy.

\* \* \*

Glokta szedł chwiejnym krokiem po moście i wbijał zęby w dziąsła, boleśnie świadomy, że pod jego stopami rozciąga się powietrzna przepaść. Most miał postać łagodnie wygiętego łuku, łączącego szczyt muru, który otaczał Agriont, z bramą Domu Stwórcy. Podziwiał go często z perspektywy miasta, od strony przeciwległego brzegu jeziora, i zastanawiał się, jakim cudem ta konstrukcja przetrwała te wszystkie lata. Efektowna, niezwykła, piękna.

„Teraz jednak nie wydaje się już taka”.

Była niewiele szersza od leżącego człowieka, zbyt wąska, by zapewniać wygodę, straszliwie odległa od wody w dole. Co gorsza, nie miała balustrady, a nawet zwykłej drewnianej poręczy.

„A wiatr jest dzisiaj dość porywisty”.

Luthar i Dziewięciopalcy też nie kryli niepokoju.

„A przecież obaj mogą bez trudu i bólu poruszać się na swoich nogach”.

Tylko Bayaz nie zdradzał troski, pokonując tę długą ścieżkę ku bramie, jakby kroczył po polnej drodze.

Cały czas podążali w cieniu, który rzucał Dom Stwórcy. Im bardziej się do niego zbliżali, tym potężniejszy się wydawał; jego najniższe przedpiersie wznosiło się wyżej niż mur Agriontu. Naga czarna góra, wyrastając wprost z jeziora w dole i przysłaniająca słońce. Budowla z innej epoki, wzniesiona w oparciu o nieznaną już skalę.

Glokta zerknął za siebie, ku bramie za plecami. Czyżby dostrzegł coś między krenelażami wieńczącymi mur?

„Jakiś czujny praktyk?”.

Widzieliby, jak temu staremu magowi nie udaje się otworzyć drzwi. Już czekali na niego w drodze powrotnej.

„Ale do tej chwili jestem bezradny”.

Nie była to pocieszająca myśl.

A Glokta potrzebował pocieszenia. Podążając niepewnym krokiem po moście, czuł, jak wzbiera w nim dokuczliwy strach. Nie chodziło o wysokość, o dziwne towarzystwo ani o potężną wieżę, która wznosiła się groźnie nad ich głowami. Był to jakiś pierwotny lęk, pozbawiony przyczyny. Zwierzęce przerażenie wywołane koszmarem sennym. Wrażenie to narastało z każdym kulejącym

krokiem inkwizytora. Widział już drzwi, kwadrat ciemnego metalu, osadzonego w gładkim kamieniu wieży. Pośrodku dostrzegł krąg wytrawionych liter. Z jakiegoś powodu Glokta poczuł mdłości, mimo wszystko jednak dowlókł się bliżej. Dwa kręgi: duże litery i małe, koślawe pismo, którego nie rozpoznał. Poczuł, jak przewraca się w nim żołądek. Liczne kręgi: litery i wersy, zbyt szczegółowe, by można było je ogarnąć jednym spojrzeniem. Pływały przed jego piekącymi, załzawionymi oczami. Glokta nie mógł iść już dalej. Stał w miejscu, wsparty na swojej lasce, zwalczając każdą cząstką woli pragnienie, by opaść na kolana, odwrócić się i odpelznąć stąd jak najszybciej.

Dziewięciopalczy znosił to nieco lepiej, choć i on oddychał ciężko, a na jego twarzy malowało się głębokie przerażenie i odraza. Luthar wyglądał znacznie gorzej: miał zaciśnięte zęby, był blady na twarzy i jakby porażony. Osunął się z wolna na jedno kolano, gdy Glokta przecisnął się obok niego.

Bayaz nie wydawał się poruszony. Podeszedł prosto do drzwi i przesunął palcami po większych symbolach.

– Jedenaście sal i jedenaście sal wspak. – Zaczął wodzić palcem po kręgu mniejszych liter. – I jedenaście razy jedenaście.

Glokta zauważył, że palec maga przesuwają się po drobniutkim wersie poza kołem znaków.

„Czy to możliwe, by ten wers też składał się z maleńkich liter?”

– Kto potrafi powiedzieć, ile ich tu jest? Setki? Doprawdy, niezwykle skuteczne zaklęcie!

Wrażenie niesamowitości ustąpiło tylko nieznacznie, gdy Luthar wychylił się poza most i zwymiotował głośno.

– Co tam jest napisane? – spytał skrzeczącym głosem Glokta, przełykając żółć.

Stary człowiek uśmiechnął się do niego.

– Nie czujesz tego, inkwizytorze? Tu jest napisane, żeby zawrócić. Żeby stąd odejść. Ten wers mówi... nikt... nie... przejdzie. Ale to przesłanie nie jest dla nas.

Sięgnął do kołnierza i wyciągnął metalowy pręt. Z tego samego metalu, z jakiego wykonane były drzwi.

– Nie wolno nam tu być – warknął Dziewięciopalczy z za ich pleców. – To miejsce jest martwe. Powinniśmy odejść.

Bayaz jednak zdawał się go nie słyszeć i po chwili do uszu Glokty dotarły jego słowa.

– Magia wyciekła ze świata – mruknął. – I wszelkie osiągnięcia Juvensa legły w gruzach. – Wążył klucz w dłoni, a potem uniósł go powoli. – Lecz dzieła Stwórcy zachowują wieczną moc. Czas ich nie umniejszył... i nigdy tego nie dokona.

Wydawało się, że w drzwiach nie ma żadnego otworu, ale klucz wniknął z wolna w ich powierzchnię. Powoli, powoli, w sam środek kręgów. Glokta wstrzymał oddech.

Trzask.

I nic się nie stało. Drzwi się nie otworzyły.

„A zatem po wszystkim. Koniec gry”.

Glokta poczuł przyływ ulgi, odwracając się w stronę Agriontu i unosząc dłoń, by dać znak praktykom na murze.

„Nie muszę iść dalej. Nie muszę”.

Nagle gdzieś z głębi wieży dobiegło echo.

Trzask.

Glokta poczuł, że drga mu twarz, jakby w zgodnym rytmie z tym dźwiękiem.

„Czy go sobie tylko wyobraziłem?”.

Pragnął całą swą istotą, by tak było.

Trzask.

Znowu.

„Nie ma mowy o pomyłce”.

I oto teraz, na jego oczach, kręgi na drzwiach zaczęły się obracać. Glokta cofnął się zdumiony, zgrzytając łaską o kamienie mostu.

Trzask, trzask.

Nie było najmniejszego śladu, który świadczyłby o tym, że drzwi nie są jednym kawałkiem metalu, żadnych pęknięć, złobień, jakiegokolwiek mechanizmu, a jednak kręgi się obracały, każdy z inną szybkością.

Trzask, trzask, trzask...

Coraz szybciej. Glokta poczuł, jak kręci mu się w głowie. Ten wewnętrzny krąg, z największymi literami, wciąż obracał się leniwie. Ten zewnętrzny, najcieńszy, wirował zbyt szybko, by oczy inkwizytora mogły za nim nadążyć.

...trzask, trzask, trzask, trzask, trzask...

Na drzwiach pojawiały się różne kształty, gdy symbole mijały się w ruchu: linie, kwadraty, trójkąty, niewiarygodnie zawile, tańcząc przed jego oczami, potem znikając, koła zaś obracały się...

Trzask.

I oto kręgi znieruchomiały, przybrawszy nowy wzór. Bayaz sięgnął do drzwi i wyciągnął z nich klucz. Rozległ się nieznaczny syk, ledwie słyszalny, jakby odległej wody, w drzwiach zaś ukazała się długa szczelina. Dwa skrzydła poruszyły się z wolna i zaczęły rozsuwać. Przestrzeń między nimi powiększała się z każdą chwilą.

Trzask.

Połówki wsunęły się w ściany, ich krawędzie tworzyły jedną linię z kamienną framugą wejścia. Dom Stwórcy stał otworem.

– No, no – powiedział Bayaz cicho. – To się nazywa rzemiosło.

Z wnętrza nie wydostał się stęchły powiew, woń rozkładu czy zgnilizny, jakikolwiek ślad długich lat zamknięcia, tylko tchnienie chłodnego, suchego powietrza.

„A jednak można odnieść wrażenie, że uchylono wieko trumny”.

Cisza; słyhać tylko wiatr myszkujący w starych kamieniach, westchnienie oddechu w suchym gardle Glokty, odległy plusk wody daleko w dole. Nieziemskie przerażenie zniknęło. Czuł jedynie głęboki niepokój, spoglądając w otwarte przejście.

„Ale nie gorszy niż wtedy, gdy czekam pod drzwiami gabinetu arcylektora”.

Bayaz odwrócił się z uśmiechem.

– Uplętnęło wiele lat od chwili, gdy zapieczętowałem to miejsce, i przez cały ten czas żaden człowiek nie przekroczył jego progu. Was trzech spotkał doprawdy wielki honor.

Glokta wcale nie czuł się zaszczycony. Czuł się chory.

– W środku czyhają jednak różne niebezpieczeństwa – ciągnął Bayaz. – Niczego nie dotykajcie i idźcie tylko tam, gdzie wam powiem. Podążajcie tuż za mną, gdyż korytarze i drogi nie zawsze są tu takie same.

– Nie są takie same? – zdziwił się Glokta. – Jak to możliwe?

Stary człowiek wzruszył ramionami.

– Jestem tylko odźwiernym – powiedział, wsuwając łańcuch z kluczem z powrotem za koszulę.

– Nie architektem.

Rzekłszy to, wkroczył w mrok Domu Stwórcy.

Jezal nie czuł się dobrze. Nie chodziło o obrzydliwe mdłości, wywołane w jakiś tajemniczy sposób przez litery na drzwiach, lecz o coś więcej. Przypominało to gwałtowny szok i wstręt, jaki odczuwa człowiek, gdy bierze do ręki filiżankę, spodziewając się wody, a znajduje w niej coś innego. Chociażby czyjeś szczyny. Ta sama fala odrażającego zdumienia, lecz trwająca minuty, nawet godziny. To, co zawsze zbywał lekceważeniem jako brednie czy też stare legendy, odsłoniło się nagle przed jego oczami jako fakty. Świat był już innym miejscem niż dzień wcześniej, miejscem dziwnym i niepokojącym, on zaś wolał zdecydowanie jego dawniejszą postać.

Nie potrafił zrozumieć, dlaczego musi tu być. Jezal znał historię bardzo słabo. Kanedias, Juvens, nawet Bayaz, były to tylko imiona ze starych zakurzonych ksiąg, zasłyszane w dzieciństwie i nawet wówczas nie wzbudzające większego zainteresowania. Wszystko to wydawało mu się po prostu złym zrządzeniem losu. Wygrał turniej i oto znalazł się tutaj, zmuszony do wędrówki po jakiejś starej wieży. Nic więcej. Starej dziwnej wieży.

– Witajcie – oznajmił Bayaz. – W Domu Stwórcy.

Jezal oderwał wzrok od posadzki i bezwiednie otworzył usta. Słowo „dom” nie oddawało ogromu mrocznej przestrzeni, w której się znalazł. Nawet Rotunda Lordów pomieściłaby się tutaj bez trudu, cały budynek, i jeszcze zostałyby sporo miejsca. Ściany były zrobione z surowych kamieni, nieobrobionych i niezwiązanych zaprawą, poukładanych przypadkowo jeden na drugim, wznoszących się jednak coraz wyżej, bez końca. Nad środkiem ogromnej sali, wysoko w górze, zawieszono coś pod sklepieniem. Coś wielkiego i fascynującego.

Jezalowi przywodziło to na myśl instrumenty nawigacyjne, tyle że odwzorowane w niebotycznej skali – system gigantycznych metalowych pierścieni, błyszczących w przyćmionym świetle, jeden obok drugiego, z mniejszymi, które umocowano między nimi, wewnątrz nich, wokół nich. Może były ich setki; widniały na nich jakieś znaki: pismo albo pozbawione sensu nacięcia. Pośrodku zwisała wielka czarna kula.

Bayaz już wkraczał w rozległy krąg podłogi, pokryty zawiłymi liniami, które miały postać jasnego metalu, wpuszczonego w kamienną posadzkę. Ich kroki odbijały się wysoko w górze donośnym echem. Jezal podążał za magiem. Było coś przerażającego, coś przyprawiającego o zawrót głowy w tej wędrówce przez tak ogromną przestrzeń.

– To jest Midderland – wyjaśnił Bayaz.

– Co?

Stary człowiek wskazał podłogę. Zakręcone i splątane linie metalu zaczęły nabierać jakiegoś sensu. Wybrzeża, góry, rzeki, ląd i morze. U stóp Jezala widniał kształt Midderlandu, zapamiętany doskonale z setek map.

– Cały Krąg Świata. – Bayaz objął ruchem ręki niekończącą się posadzkę. – Tam leży Angland, za nim Północ. Gurkhul jest tutaj. Dalej widzicie Starikland i Stare Imperium, a tam miasta-państwa Styrii, za nią znajduje się Suljuk i odległy Thond. Kanedias zauważył, że lądy znanego świata tworzą koło, a środek owego koła znajduje się w tym miejscu, w Domu, zewnętrzna zaś krawędź przechodzi przez wyspę Shabulyan, daleko na zachodzie, poza granicami Starego Imperium.

– Krawędź świata – mruknął Logen, przytakując z wolna.

– Cóż za arogancja – prychnął Glokta. – Uważać swój dom za centrum wszechrzeczy.

– Hm... – Bayaz rozejrzał się wokół, wodząc spojrzeniem po ogromie tego wnętrza. – Stwórcy nigdy nie brakowało arogancji. Ani jego braciom.

Jezał spojrział tępo ku górze. Wysokość pomieszczenia przekraczała jego szerokość, sklepienie zaś, jeśli takowe istniało, ginęło w mroku. Wokół surowych kamiennych ścian biegła żelazna poręcz, być może otaczająca galerię, dwadzieścia kroków ponad ich głowami. Powyżej widać było następną galerię, wyżej jeszcze jedną i jeszcze jedną, i jeszcze jedną, majaczące w przyćmionym świetle. Nad tym wszystkim zwieszało się owo dziwne urządzenie.

Nagle drgnął. To się poruszało! Poruszała się każda część! Powoli, płynnie, cicho, pierścienie przesuwały się, kręciły, obracały wokół siebie. Nie potrafił sobie wyobrazić, co wprawiaje w ruch. Pewnie ożywił je klucz przekręcający się w zamku albo... czyżby poruszały się przez te wszystkie lata?

Doznał zawrotu głowy. Cały mechanizm zdawał się teraz wirować, coraz szybciej, a wraz z nim galerie, przesuając się w przeciwnych kierunkach. Spoglądanie prosto w górę nie pomagało w żaden sposób odzyskać orientacji, wlepił więc spojrzenie zmęczonych oczu w podłogę, w mapę Midderlandu u swych stóp. Sapnął gwałtownie. Było jeszcze gorzej! Teraz miał wrażenie, że obraca się nawet podłoga! Kręciła się wokół niego cała ta przepastna komnata! Zwieńczone łukami wejścia prowadzące na zewnątrz były bez wyjątku identyczne, w liczbie dwunastu czy jeszcze większej. Nie potrafił się teraz domyślić, przez które z nich weszli do środka. Ogarnęła go fala straszliwej paniki. Tylko ta odległa czarna kula pośrodku urządzenia pozostawała nieruchoma. Przywarł do niej rozpaczliwie zmęczonym i załzawionym wzrokiem, starając się oddychać powoli.

Uczucie niepokoju ustępowało z wolna. Rozległa sala znów była nieruchoma. Pierścienie jednak wciąż się obracały, prawie niedostrzegalnie, przesuając się o maleńki, lecz nieubłagany stopień. Przełknął ślinę, która zebrała mu się w ustach, przygarbił ramiona i pospieszył za pozostałymi, nie odrywając oczu od podłogi.

– Nie tędy! – zagrzmiął nagle Bayaz, którego głos eksplodował niemal w gęstej i nieprzeniknionej ciszy, rozchodząc się tysięcznym echem wokół ścian tej niezmierzonej przestrzeni:

„Nie tędy! Nie tędy!”

Jezał odskoczył do tyłu. Sklepienie łukowato przejście i mroczna sala w jego głębi wyglądały identycznie jak to, w które skierowali się pozostali, dostrzegł jednak teraz, że znajdują się nieco bardziej na prawo od niego. Musiał się wcześniej obrócić w jakiś niezrozumiały sposób.

– Idź tylko tam, gdzie ci powiem – syknął stary człowiek. – Nie tędy!

„Nie tędy!”

– Przepraszam – wyjąkał Jezał, a jego głos zabrzmiał żałośnie słabo w tej rozległej pustce. – Myślałem... Wszystkie wyjścia wyglądają tak samo!

Bayaz dodał mu odwagi, położywszy dłoń na ramieniu, i skierował we właściwą stronę.

– Nie zamierzałem cię przestraszyć, mój przyjacielu, ale byłoby doprawdy hańbą, gdyby ktoś tak obiecujący został nam odebrany w tak młodym wieku.

Jezał przełknął z wysiłkiem i wlepił wzrok w mroczną salę, zastanawiając się, co może ich tam czekać. Umysł podsunął mu mnóstwo niezbyt przyjemnych możliwości.

Echo wciąż szeptało mu do ucha, kiedy się odwracał... „nie tędy, nie tędy, nie tędy...”

\* \* \*

Logen nienawidził tego miejsca. Kamienie były zimne i martwe, powietrze nieruchome i też martwe, nawet dźwięki towarzyszące ich wędrówce wydawały się stłumione i pozbawione życia.

Nie było zimno i nie było też ciepło, a mimo to plecy ociekały mu potem, na karku zaś czuł dreszcz niepojętego strachu. Wzdrygał się co kilka kroków pod wpływem nagłego wrażenia, że jest obserwowany, ale ani razu nie udało mu się dostrzec gdzieś z tyłu kogokolwiek. Widział tylko tego chłopca Luthara i kalekę Gloktę, którzy wyglądali na równie zaniepokojonych i zagubionych jak on.

– Ścigaliśmy go po tych salach – mruknął cicho Bayaz. – Było nas jedenastu. Wszyscy magowie z wyjątkiem Khalula. Zacharus i Cawneil walczyli tu ze Stwórcą i obaj przegrali. Zdołali jednak ująć z życiem. Anselmi i Złamany Ząb mieli mniej szczęścia. Kanedias oznaczał dla nich śmierć. Straciłem tamtego dnia dwóch dobrych przyjaciół, dwóch braci.

Posuwali się wzdłuż wąskiego balkonu, oświetlonego bladą kurtyną blasku. Po jednej stronie wznosiły się surowe gładkie kamienie, po drugiej schodziły w dół i ginęły w ciemności – w czarnej i pełnej mroku otchłani, pozbawionej przeciwległej strony, sklepienia, dna. Pomimo ogromu przestrzeni nie odbijało się echo. Nie wyczuwało się ruchu powietrza. Najdrobniejszego powiewu. Atmosfera była zatechła i przywodziła na myśl grobowiec.

– Z pewnością jest w dole woda – mruknął Glokta, spoglądając ze zmarszczonym czołem za poręcz. – Coś powinno być, prawda? – Spojrzał w górę. – Gdzie jest sufit?

– To miejsce cuchnie – zaskamlał Luthar, przyciskając dłoń do nosa.

Logen zgadzał się z nim, przynajmniej ten jeden raz. Była to woń, którą znał dobrze. Poczul, jak nienawiść wykrzywia mu wargi.

– Cuchnie jak pieprzeni płaskogłowi.

– O tak – zgodził się Bayaz. – Szankowie to także dzieło Stwórcy.

– Jego dzieło?

– W rzeczy samej. Wziął glinę, metal i resztki ciał, po czym ich stworzył.

Logen spojrzał na niego zdumiony.

– Stworzył?

– By walczyli w jego wojnie. Przeciwno nam. Przeciwno magom. Przeciwno jego własnemu bratu Juvensowi. To tutaj powołał do życia pierwszych szanków i wysłał w świat – by rośli, rozmnażali się i niszczyli. Taki przyświecał im cel. Przez wiele lat po śmierci Kanediasa ścigaliśmy ich, ale nie udało się nam wyłapać wszystkich. Zagnaliśmy ich w najciemniejsze zakątki świata, tam zaś znowu zaczęli się rozmnażać, i teraz rosną, rozmnażają się i niszczą, tak jak zawsze.

Logen patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

– Szankowie – zachichotał Luthar.

Płaskogłowi nie byli niczym zabawnym. Logen odwrócił się nagle, zagradzając wąski balkon swoim ciałem, i pochylił się groźnie nad Lutharem w mroku wnętrza.

– Coś cię śmieszy?

– No cóż, po prostu wszyscy wiedzą, że coś takiego nie istnieje.

– Walczyłem z nimi własnymi rękami – warknął Logen. – Przez całe życie. Zabili mi żonę, dzieci, przyjaciół. Północ roi się od przeklętych szanków. – Nachylił się jeszcze bardziej. – Nie mów mi więc, że coś takiego nie istnieje!

Luthar pobladał. Spojrzał na Gloktę, szukając u niego pomocy, ale inkwizytor osunął się na ścianę i rozcierał sobie nogę, zacisnąwszy wąskie wargi; jego zapadniętą twarz pokrywały kropelki potu.

– I tak mam to gdzieś! – rzucił wściekle.

– Na świecie jest mnóstwo szanków – syknął Logen, przysuwając twarz jeszcze bliżej do Luthara. – Może któregoś dnia spotkasz kilku.

Odwrócił się i ruszył za Bayazem, który już zniknął w łukowatym przejściu na drugim końcu



balkonu. Nie zamierzał zostawać sam w takim miejscu.

„Jeszcze jedna sala”.

Ogromna, podparta z obu stron milczącym lasem kolumn, zaludniona niezliczonymi cieniami. Z góry padały ostre strugi światła, malując na kamiennej podłodze zawile wzory, kształty światła i mroku, linie czerni i bieli.

„Niemal jak pismo. Czy jest w tym zawarte jakieś przesłanie? Dla mnie?”.

Glokta drżał.

„Gdybym przyjrzał się dłużej, może zdołałbym coś zrozumieć...”.

Luthar przeszedł obok niego, rzucając na posadzkę swój cień, linie się przełamały, a wrażenie, że coś znaczą, minęło. Glokta otrząsnął się z zamyślenia.

„Tracę głowę w tym przeklętym miejscu. Muszę rozumować jasno. Tylko fakty, Glokta, tylko fakty”.

– Skąd płynie to światło? – spytał.

Bayaz tylko machnął ręką.

– Z góry.

– Są tam okna?

– Być może.

Laska Glokty stuknęła o światło, stuknęła o ciemność, lewy but ciągnął się za nim uparcie.

– Nie ma tu nic prócz tych sal? Jaki jest w tym wszystkim sens?

– Kto może zgłębić umysł Stwórcy albo przejrzeć jego wielki zamiar? – rzucił podniosłym tonem Bayaz, czerpiąc niemal dumę z udzielania niejasnych odpowiedzi.

Glokta pomyślał, że całe to miejsce było jednym wielkim marnotrawieniem wysiłku.

– Ilu ludzi tu mieszkało?

– Dawno temu, w szczęśliwszych czasach, setki. Wszelkiego rodzaju ludzie, którzy służyli Kanediasowi i pomagali mu przy jego dziełach. Lecz Stwórca był zawsze nieufny i zazdrosny o swoje sekrety. Stopniowo, po trochu, umieszczał swoich wyznawców w Agrioncie i na uniwersytecie. Pod koniec mieszkały tu tylko trzy osoby. Sam Kanedias, jego pomocnik Jaremius... – Bayaz umilkł na chwilę. – I jego córka Tolomei.

– Córka Stwórcy?

– I co z tego? – warknął stary człowiek.

– Nic, absolutnie – zapewnił Glokta. „A jednak fasada opadła, nawet jeśli trwało to przez mgnienie oka. Dziwne, że tak dobrze wie, co się tu działo”. – Kiedy tu mieszkałeś?

Bayaz zmarszczył głęboko czoło.

– Istnieje coś takiego jak zbyt wiele pytań.

Glokta patrzył w ślad za odchodzącym magiem.

„Sult nie miał racji. Arcylektor, wreszcie omylny. Nie docenił tego Bayaza i dużo go to kosztowało. Kim jest ten łysy, irytujący głupiec, który potrafi zrobić skończonego idiotę z najpotężniejszego człowieka w Unii?”.

Kiedy tak stał tutaj, głęboko w trzewiach tego niezemskiego miejsca, odpowiedź nie wydawała mu się taka dziwna.

Pierwszym z Magów.

– To właśnie tutaj.

– Co? – spytał Logen.

Hol ciągnął się w obie strony, łagodnie wygięty, i nikał w ciemności: ściany z ogromnych kamiennych bloków były gładkie.

Bayza nie odpowiedział. Przesuwał delikatnie dłońmi po kamieniach, szukając czegoś.

– Tak. To jest to. – Bayaz wyciągnął zza koszuli klucz. – Być może powinniście się przygotować.

– Na co?

Mag wsunął klucz w niewidzialny otwór. Jeden z bloków ściany przesunął się nagle i pofrunął pod sufit z ogłuszającym trzaskiem. Logen zachwiał się i potrząsnął głową. Zobaczył, jak Luthar pochyła się gwałtownie, zatykając sobie uszy dłońmi. Zdawało się, że cały korytarz rozbrzmiewa donośnym echem, które odbijało się bez końca.

– Zaczekajcie tutaj – rozkazał Bayaz, choć jego głos z trudem docierał do dzwoniących uszu Logena. – Niczego nie dotykajcie. Nigdzie nie idźcie.

Wkroczył w szczelinę, zostawiając klucz w ścianie. Logen zajął się śladem za nim. W głębi wąskiego przejścia migotało jakieś światełko i słychać było szum przypominający szemranie strumienia. Logen poczuł przyływ dziwnej ciekawości. Zerknął na dwóch pozostałych. Może Bayaz miał tylko ich na myśli, każąc czekać? Zanurkował w szczelinę.

I oto rozglądał się zdumiony po jasnej, okrągłej sali. Z góry spływało oślepiające światło, niemal przyprawiające oczy o ból po tym całym mroku, który zostawili za sobą. Zakrzywione ściany były idealnie gładkie – czysty biały kamień – i ociekały struzkami wody, która zbierała się w okrągłym zbiorniku u dołu. Logen czuł na skórze chłodne, wilgotne powietrze. W głębi widać było wąski mostek, którego stopnie prowadziły w górę i kończyły się na szczycie wysokiego białego filaru, wyrastającego z wody. Stał tam Bayaz, spoglądając na coś z pochyloną głową.

Logen wszedł po cichu za magiem, oddychając jak najciszej. Znajdował się tam biały kamienny blok. Na jego gładki, twardy środek skapywała z góry woda. Monotonne kap, kap, kap, w to samo miejsce. Na cienkiej warstwie wilgoci leżały dwa przedmioty. Pierwszym było kwadratowe pudełko z ciemnego metalu, dostatecznie duże, by skrywać w swym wnętrzu być może ludzką głowę. Drugi przedmiot wydawał się znacznie dziwniejszy.

Przypominał broń, coś w rodzaju topora. Długie drzewce, wykonane z maleńkich metalowych rurek, pozwijanych wokół siebie jak łodygi starych winorośli. Z jednego końca karbowany uchwyt, z drugiego płaski kawałek metalu z wieloma małymi otworami; sterczał z niego długi, cienki i zakrzywiony hak. Na ciemnych powierzchniach tańczyło światło, migocząc w kropelkach wilgoci. Dziwny, piękny, fascynujący przedmiot. Na rękojeści lśniła jedna litera, srebrna na tle ciemnego metalu. Logen rozpoznał ją ze swojego miecza. Znak Kanediasa. Dzieło Mistrza Stwórcy.

– Co to jest? – spytał, sięgając po przedmiot.

– Nie dotykaj tego! – wrzasnął Bayaz, odsuwając gwałtownym ruchem dłoń Logena. – Czy nie kazałem ci czekać?

Logen cofnął się niepewnie. Nigdy jeszcze nie widział, by mag był tak poruszony, nie mógł jednak oderwać wzroku od tego dziwnego przedmiotu na kamiennym postumencie.

– Czy to broń?

Bayaz odetchnął przeciągle.

– Najstraszniejsza, mój przyjacielu. Broń, przed którą nie ochroni cię ani stal, ani kamień, ani magia. Nawet się do niej nie zbliżaj, ostrzegam. To niebezpieczne. Rozcinacz, tak nazywał ją Kanedias, i za jej pomocą zabił swego brata, a mego mistrza Juvensa. Wyznał mi kiedyś, że owa broń

ma dwa ostrza, jedno tutaj, a jedno po Drugiej Stronie.

– Co to u diabła znaczy? – mruknął Logen. Nie widział żadnego ostrza, którym można by cokolwiek przeciąć.

Bayaz wzruszył ramionami.

– Przypuszczam, że gdybym to wiedział, byłbym samym Mistrzem Stwórcą, zamiast po prostu Pierwszym z Magów. – Wyciągnął rękę i podniósł pudełko, krzywiąc się przy tym, jakby dźwigał ogromny ciężar. – Możesz mi pomóc?

Logen wsunął pod spód dłonie i stęknął z wysiłku. Kawał litego żelaza nie mógłby chyba ważyć więcej.

– Ciężkie – mruknął.

– Kanedias uformował je tak, by było solidne. Tak solidne, jak na to pozwalała jego sztuka. Nie po to, by chronić jego zawartość przed światem. – Nachylił się i powiedział cicho: – Lecz by chronić świat przed jego zawartością.

Logen spojrział na pudełko ze zmarszczonym czołem.

– Co w nim jest?

– Nic – odparł Bayaz. – Na razie.

\* \* \*

Jezal próbował pomyśleć o trzech ludziach, których nienawidził bardziej. Brint? To był tylko nadęty idiota. Gorst? Niewiele brakowało, by został przez niego pokonany w pojedynku. Varuz? Był pompatycznym starym osłem.

Nie. Ci tutaj znajdowali się na czele jego listy. Arogancki stary człowiek ze swoją idiotyczną gadaniną i tajemniczością pełną zarozumialstwa. Wielki dzikus z paskudnymi bliznami i groźną miną. Protekcyjny kaleka ze swoimi przemądrzałymi uwagami i udawaniem, że wie wszystko o życiu. Owa trójka, w połączeniu z zastarzałym powietrzem i bezustannym mrokiem tego koszmarnego miejsca, stanowiła dostateczny powód, by Jezal miał ochotę znowu się wyrzygać. Jedyne, co wydawało mu się czymś gorszym od tego towarzystwa, był jego brak. Spoglądał na otaczające go zewsząd cienie i drżał na tę myśl.

Jednak nastrój mu się trochę poprawił, kiedy minęli kolejny narożnik. W dali widać było niewielki kwadrat dziennego światła. Ruszył pospiesznie w tamtą stronę, wyprzedzając Gloktę, który kuśtykał wsparty na swojej lasce; myśl o tym, że znów znajdzie się pod gołym niebem, przyprawiała go o żywsze bicie serca.

Jezal zamknął z rozkoszą oczy, wychodząc na otwartą przestrzeń. Poczul na twarzy chłodny powiew i zaczerpnął haust powietrza w płuca. Ulga była wprost niewyobrażalna, jakby przebywał uwięziony na dole tygodniami, jakby palce zaciskające się na jego szyi nagle rozluźniły uchwyt. Ruszył po szerokiej, odsłoniętej przestrzeni, wyłożonej surowymi, prostymi płytami z kamienia. Nieco dalej stał Bayaz, obok Dziewięciopalcego, przy balustradzie sięgającej im do pasa, dalej zaś...

W dole rozciągał się Agriont. Bezmiar białych domów, szarych dachów, migoczących okien, zielonych ogrodów. Nie znajdowali się zbyt blisko samego szczytu Domu Stwórcy, to był dopiero jeden z jego niższych dachów, nad bramą, ale i tak towarzyszyło im wrażenie przerażającej wysokości. Jezal rozpoznał rozsypujący się budynek uniwersytetu, lśniąca kopułę Rotundy Lordów,

przysadziłą bryłę Domu Pytań. Widział plac Marszałków, drewnianą trybunę w kształcie misy, może nawet złoty błysk kręgu szermierczego pośrodku. Za cytadelą otoczoną białym murem i migoczącą fosą rozlewała się szara masa miasta pod brudnym i równie szarym niebem, sięgając samego brzegu morza.

Jezal roześmiał się z niedowierzania. Wieża Łańcuchów, w porównaniu z tym miejscem, wydawała się zwykłą drabiną. Znajdował się tak wysoko nad światem, że wszystko jawiło mu się jako nieruchome, zastygłe w czasie. Miał wrażenie, że jest królem. Żaden człowiek nie oglądał tego widoku od setek lat. Pomyślał, że on, Jezal, jest wielki, wspaniały, o wiele ważniejszy niż maleńcy ludzie, którzy muszą pracować i mieszkać w tych maciupeńkich domach w dole. Odwrócił się do Glokty, ale kaleka się nie uśmiechał. Był jeszcze bledszy niż zwykle, kiedy wpatrywał się ze zmarszczonym czołem w to miasto przypominające dziecięce klocki; lewa powieka drgała mu nerwowo.

– Przerażony wysokością? – spytał ze śmiechem Jezal. Glokta obrócił ku niemu poszarzałą twarz.

– Nie było schodów. Nie wspinaliśmy się po żadnych stopniach, by się tu dostać! – rzucił, a Jezal poczuł, jak na twarzy gaśnie mu uśmiech. – Żadnych stopni, rozumiesz? Jak to możliwe? Jak? Powiedz mi!

Jezal przełknął, zastanawiając się jednocześnie, jak tu dotarli. Kaleka miał rację. Żadnych schodów, żadnych ramp, nie szli ani pod górę, ani w dół. A jednak stali teraz tutaj, ponad najwyższą wieżą Agriontu. Znowu zrobiło mu się niedobrze. Widok mógł teraz przyprawić o mdłości, wydawał się odrażający i obsceniczny. Jezal odsunął się chwiejnie od balustrady. Chciał wrócić do domu.

\* \* \*

– Podążałem za nim przez ciemność, sam, i tutaj się spotkaliśmy, twarzą w twarz. Z Kanediasem. Mistrzem Stwórcą. Tutaj walczyliśmy. Ogniem, stalą, ciałem. Tu staliśmy. Zrzucił Tolomei z dachu na moich oczach. Widziałem to, ale nie mogłem go powstrzymać. Swoją własną córkę. Wyobrażacie to sobie? Trudno pomyśleć o kimś, kto mniej by na to od niej zasłużył. Nigdy nie istniała bardziej niewinna istota.

Logen zmarszczył czoło. Nie bardzo wiedział, co na to powiedzieć.

– Tu walczyliśmy – mruknął Bayaz, zaciskając mięsiste dłonie na nagiej balustradzie. – Atakowałem go ogniem, stalą i ciałem, a on mnie. Zrzuciłem go. Spadał płonąć i roztrzaskał się o ten most w dole. I tak piąty z ostatnich synów Euza odszedł ze świata, a wraz z nim na zawsze przepadły ich sekrety. Zniszczyli się nawzajem, wszyscy czterej. Cóż za strata.

Odwrócił się i spojrzał na Logena.

– Ale to było dawno temu, co, mój przyjacielu? Dawno temu. – Wydał policzki i przygarbił ramiona. – Opuśćmy to miejsce. Wydaje się grobem. Jest grobem. Zapieczętujmy je jeszcze raz, a także wspomnienia, które się z nim łączą. Wszystko to należy do przeszłości.

– Hm – mruknął zamyślony Logen. – Mój ojciec powiadał, że ziarna przeszłości rodzą w teraźniejszości owoce.

– To prawda. – Bayaz wyciągnął dłoń, a jego palce musnęły chłodny, ciemny metal pudełka w rękach Logena. – To prawda. Twój ojciec był mądrym człowiekiem.

Glokta czuł, jak pali go noga, jego poskręcany kręgosłup był rzeką ognia, od krzyża do czaszki. Usta miał suche niczym trociny, twarz spoconą i wykrzywioną nerwowym drganiem, z nosa dobywał mu się świszczący oddech. Lecz przemierzał uparcie ciemność, byle dalej od przepastnej sali z jej czarną kulą i dziwnym urządzeniem, ku otwartym drzwiom.

„Ku światłu”.

Stał tam z odchyłoną głową, na wąskim mostku przed równie wąską bramą, opierając drżącą dłoń na lasce, mrugając i pocierając oczy, wdychając świeże powietrze i czując na twarzy powiew chłodnego wiatru.

„Kto by pomyślał, że wiatr może sprawić tyle przyjemności? Właściwie to dobrze, że nie było tam żadnych schodów. Mógłbym nie dać rady”.

Luthar był już w połowie mostu, spiesząc się, jakby gonił go sam diabeł. Dziewięciopalcy stał tuż obok, oddychał ciężko i mrucał coś w języku Północy, raz za razem. „Wciąż żyję” – tak przynajmniej zdawało się Glokcie. Jego wielkie dłonie zaciskały się na kwadratowym metalowym pudełku, mięśnie ramion były naprężone, jakby musiały utrzymać kowadło.

„W tej całej wędrówce chodziło o coś więcej niż tylko o udowodnienie swojej racji. Co takiego stamtąd wynieśli? Co może tyle ważyć?”.

Zerknął za siebie, w mrok, i zadrzał. Nie był nawet pewien, czy chce to wiedzieć.

Bayaz wyłonił się z tunelu i wyszedł na otwartą przestrzeń, zadowolony jak zawsze.

– No i co, inkwizytorze? – rzucił z werwą. – Jak znajdujesz naszą wyprawę do Domu Stwórcy?

„Poplątany, dziwaczny i straszny koszmar. Wolałbym już nawet wrócić na parę godzin do więzienia Imperatora”.

– Miła poranna przechadzka – odwarknął.

– Cieszę się, że sprawiła ci przyjemność – parsknął śmiechem Bayaz, wyciągając spod koszuli pręt ciemnego metalu. – Powiedz mi, wciąż uważasz, że jestem kłamcą? Czy też twoje podejrzenia wreszcie zniknęły?

Glokta popatrzył w skupieniu na klucz. Popatrzył w skupieniu na starego człowieka. Popatrzył w skupieniu na mrok Domu Stwórcy.

„Moje podejrzenia narastają z każdą upływającą chwilą. Nigdy nie znikają. Zmieniają tylko kształt”.

– Szczerze? Nie wiem, co mam sądzić.

– To dobrze. Uświadomienie sobie własnej ignorancji to pierwszy krok ku oświeceniu. Ale tak między nami, zastanowiłbym się nad czymś innym, co mógłbym powiedzieć arcylektorowi.

Glokta poczuł, jak drga mu powieka.

– Może ruszysz na drugą stronę mostu, kiedy będę zamykał bramę? – podsunął Bayaz. Myśl o upadku w zimną wodę w dole nie budziła już strachu.

„Gdybym miał zginać, to przynajmniej stałoby się to w blasku dnia”.

Glokta spojrzął za siebie tylko raz, usłyszawszy, jak drzwi Domu Stwórcy zamykają się z cichym trzaskiem, kiedy skrzydła wsunęły się na dawne miejsce.

„Wszystko jak dawniej, nim się tu zjawiliśmy”.

Odwrócił się do maga plecami, na których czuł dreszcz, przesunął językiem po dziąsłach, walcząc ze znajomą falą mdłości, zaklął i ruszył niepewnym, rozkołysanym krokiem po moście.

Luthar walił zdesperowany pięściami w starą bramę na drugim końcu wąskiej kładki.

– Wpuście nas! – niemal łkał, kiedy Glokta przykuśtykał do niego. W głosie kapitana pobrzmiwała nuta paniki. – Wpuście nas!

Drzwi uchyliły się w końcu, z drugiej strony zaś wyjrzała zdjeta przerażeniem twarz strażnika.

„Taki wstyd. Byłem prawie pewien, że kapitan Luthar wybuchnie płaczem. Dumny zwycięzca turnieju, najdzielniejszy młody syn Unii, kwiat męskości, beczący jak dziecko na kolanach. Dla tego widoku warto było niemal odbyć tę wędrówkę”.

Luthar wpadł w otwarte wrota, Dziewięciopalcy zaś podążył za nim z posępną miną, ściskając w ramionach metalowe pudełko. Strażnik spojrział na Gloktę, gdy ten przykuśtykał do bramy.

– Tak szybko z powrotem?

„Stary dureń”.

– Co u diabła znaczy „tak szybko?”.

– Ledwie zdążyłem zjeść do połowy swoje jajka. Nie było was pół godziny.

Glokta parsknął szyderczym śmiechem.

– Chyba pół dnia – powiedział, ale jednocześnie spojrział zdziwiony na dziedziniec. Cienie zalegały dokładnie tam, gdzie wówczas, kiedy szli do Domu Stwórcy.

„Wciąż wczesny poranek, ale jakim cudem?”.

– Stwórca powiedział mi kiedyś, że czas istnieje tylko w umyśle – usłyszał za plecami.

Glokta skrzywił się, odwracając głowę. Bayaz podszedł do niego, stukając się grubym palcem w ogoloną czaszkę.

– Proszę mi wierzyć, mogło być gorzej. Człowiek naprawdę zaczyna się martwić, kiedy wychodzi stamtąd, zanim jeszcze wszedł. – Uśmiechnął się, oczy mu błysnęły w świetle płynącym z otwartych drzwi.

„Udaje głupca? Czy próbuje zrobić go ze mnie? Tak czy inaczej, te gry zaczynają mnie nużyć”.

– Dostyc tych zagadek – uśmiechnął się szyderczo. – Dlaczego mi nie powiesz, o co ci chodzi?

Pierwszy z Magów, jeśli był nim, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Lubię cię, inkwizytorze. Naprawdę. Nie zdziwiłbym się, gdybyś był ostatnim uczciwym człowiekiem w całym tym cholernym kraju. Powinniśmy kiedyś ze sobą porozmawiać, ty i ja. O tym, czego chcę, i czego ty chcesz. – Jego uśmiech przygasł. – Ale nie dzisiaj.

Zniknął w otwartych drzwiach, pozostawiając Gloktę w cieniu.

# Niczny pies

Dlaczego ja? – West mruknął do siebie przez zaciśnięte zęby, spoglądając ponad mostem ku Południowej Bramie. Ten nonsens w dokach zabrał mu więcej czasu, niż się spodziewał, o wiele więcej, ale czy tak nie jest z wszystkim w dzisiejszych czasach? Wydawało mu się niekiedy, że jest jedynym człowiekiem w Unii, który poważnie przygotowuje się do wojny, i że musi sam wszystkim się zajmować, łącznie z liczeniem gwoździ potrzebnych do końskich podków. Był niemal spóźniony na codzienne spotkanie z marszałkiem Burrem i wiedział, że czeka go w tym dniu tysiąc niemożliwych rzeczy do zrobienia. Zawsze tak było. Zajmowanie się jakimś bezsensownym aresztowaniem u samych bram Agriontu rzeczywiście było mu potrzebne.

– Dlaczego u diabła to ja muszę zajmować się czymś takim?

Znowu zaczęła boleć go głowa. Czuł to znajome pulsowanie w głębi oczu. Każdego dnia zdawało się zaczynać wcześniej, a kończyć później.

Z powodu panujących od kilku dni upałów wartownikom pozwolono pełnić straż bez pełnego uzbrojenia. West przypuszczał, że przynajmniej dwaj z nich tego żałują. Jeden leżał skulony na ziemi obok bramy, dłonie miał wciśnięte między nogi i pojękiwał głośno. Jego sierżant stał nad nim pochylony, z nosa ciekła mu krew i spadała ciemnymi czerwonymi kroplami na kamienie mostu. Dwaj pozostali żołnierze pododdziału trzymali opuszczone włócznie, mierząc ostrzami w chudego, ciemnoskórego młodzieńca. Obok stał inny południowiec, stary człowiek o długich siwych włosach; opierał się o balustradę i obserwował scenę z wyrazem głębokiej rezygnacji na twarzy.

Młodzieniec zerknął pospiesznie przez ramię i West nie mógł ukryć zaskoczenia. Kobieta: czarne włosy ścięte na krótko i sterczące z jej głowy niczym masa tłustych kolców. Jeden rękaw był oderwany wokół ramienia; widać było chudą brązową rękę i pięść zaciśniętą na rękojeści zakrzywionego noża. Stał lśniła jak zwierciadło i odznaczała się okrutną ostrością. Tylko ona wyglądała czysto, jeśli chodzi o tę kobietę. Twarz z jednego boku zeszczocona była cienką, szarą blizną, która przecinała brew i wykrzywioną wargę. Lecz to jej oczy wydały się Westowi najbardziej niepokojące: lekko skośne, zwężone pod wpływem najgłębszej wrogości i podejrzliwości, i żółte. Widział w swoim czasie, podczas wojny w Gurkhulu, wszelkie typy Kantyków, ale nigdy wcześniej nie spotkał takich oczu. Głębokich, pełnych wyrazu, złotożółtych jak...

Mocz. Taki był zapach, kiedy podszedł bliżej. Mocz, brud i kwaśny, zastarzały pot. Doskonale pamiętał to z wojny, smród mężczyzn, którzy nie myli się od bardzo dawna. West z trudem się powstrzymał, by nie zmarszczyć nosa i oddychać przez usta; miał ochotę obejść tę kobietę szerokim łukiem, trzymając się z dala od błyszczącego ostrza. Nie wolno okazywać strachu, kiedy pragnie się opanować niebezpieczną sytuację, nawet jeśli człowiek bardzo się boi. Wiedział z doświadczenia, że jeśli ktoś sprawia wrażenie pewnego siebie, to jest to połowa sukcesu.

– Co tu się u diabła dzieje? – warknął do sierżanta o zakrwawionej twarzy. Nie musiał udawać irytacji, był coraz bardziej spóźniony i coraz bardziej zagniewany z każdą sekundą.

– Ci śmierdzący żebracy chcieli wejść do Agriontu, sir! Próbowałem ich oczywiście odprawić, ale mają listy!

– Listy?

Dziwny starzec klepnął Westa w ramię i podał mu złożoną kartkę papieru, nieco przybrudzoną na krawędziach. Major zapoznał się z jej treścią, coraz bardziej marszcząc czoło.

– To list podpisany przez samego lorda Hoffa. Muszą zostać wpuszczeni.

– Ale bez broni, sir! Powiedziałem, że nie mogą wejść uzbrojeni! – Sierżant podniósł do góry dziwnie wyglądający łuk z ciemnego drewna, który trzymał w jednym ręku, a w drugim zakrzywiony miecz. – I tak się natrudziliśmy, żeby to oddać, ale kiedy próbowałem ją obszukać... tę ladacznicę...

Kobieta zasyczała i postąpiła szybki krok naprzód, a sierżant i jego dwaj wartownicy cofnęli się nerwowo i zbili w małą gromadkę.

– Spokojnie, Ferro – westchnął stary człowiek w języku kantyckim. – Na litość boską, spokojnie.

Kobieta splunęła na kamienie mostu i rzuciła sykliwym głosem jakieś przekleństwo, którego West nie potrafił zrozumieć, po czym zaczęła wywijać zakrzywionym ostrzem, jakby chcąc dać do zrozumienia, że wie, jak się nim posługiwać, i że ma na to ochotę.

– Dlaczego ja? – mruknął West pod nosem. Było jasne, że niczego nie wskóra, dopóki nie rozwiąże tej sytuacji. Jakby nie miał dość zmartwień na głowie. Wziął głęboki oddech i spróbował postawić się na miejscu cuchnącej kobiety: obcej w tym mieście, otoczonej przez dziwnie wyglądających ludzi, którzy wypowiadali niezrozumiałe słowa, wymachiwali włóczniami i próbowali ją przeszukać. Pewnie uważała, że on, West, cuchnie paskudnie. Bardziej zapewne zdezorientowana i wystraszona niż niebezpieczna. Wyglądała jednak na niebezpieczną i nie sprawiała wrażenia wystraszonej.

Stary człowiek wyglądał na bardziej rozsądnego z tej dwójki, więc West zwrócił się najpierw do niego.

– Jesteście oboje z Gurkhulu? – spytał łamanym językiem kantyckim.

Starzec obrócił zmęczone oczy na majora.

– Nie. Południe to nie tylko Gurkhulczycy.

– A zatem z Kadiru? Z Tauriszu?

– Znasz Południe?

– Trochę. Walczyłem tam w czasie wojny.

Stary człowiek zerknął na kobietę, która obserwowała ich podejrzliwie skośnymi żółtymi oczami.

– Pochodzi z miejsca zwanego Muntaz.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Dlaczego miałbyś słyszeć? – Stary człowiek wzruszył kościstymi ramionami. – To niewielki kraj, nad morzem, daleko na wschód od Shaffy, za górami. Gurkhulczycy podbili go wiele lat temu, jego lud się rozproszył albo trafił do niewoli. Podejrzewam, że od tamtej pory moja towarzyszka jest w złym nastroju.

Kobieta zerknęła na nich spode łba, ale cały czas przyglądała się z uwagą żołnierzom. – A ty?

– Och, pochodzę z jeszcze głębszego Południa, z pewnego miejsca za Kanta, za pustynią, nawet za Kręgiem Świata. Kraj, gdzie się urodziłem, nie widnieje na twoich mapach, przyjacielu. Na imię mam Yulwei – powiedział i wyciągnął długą, śniadą rękę.

– CollemWest.

Kobieta przyglądała się im nieufnie, kiedy wymieniali uścisk dłoni.

– Ten tutaj nazywa się West, Ferro! Walczył z Gurkhulczykami! Zaufasz mu?

Yulwei nie wydawał się zbyt przekonany, a i kobieta wciąż była groźnie przygarbiona, jakby się szykowała do skoku, ściskając mocno nóż w dłoni. Jeden z żołnierzy wybrał nieszczęśliwie ten akurat moment, by zrobić krok do przodu, dźgając powietrze włócznią, kobieta zaś warknęła i znów splunęła, wykrzykując jeszcze więcej niezrozumiałych przekleństw.



– Wystarczy! – West ryknął odruchowo na wartownika. – Unieść te cholerne włócznie!

Spojrzeni na niego zdumieni i zaszokowani; starał się zapanować nad głosem.

– Nie wydaje mi się, by to była inwazja! Unieście włócznie!

Ostrza odsunęły się z niechęcią od kobiety. West ruszył zdecydowanym krokiem w jej stronę, nie odrywając spojrzenia od jej oczu i siląc się na władcze spojrzenie. Nie okazuj strachu, powiedział sobie w duchu, ale serce waliło mu młotem. Wyciągnął otwartą dłoń, niemal dotykając kobietę.

– Nóż – powiedział swoim łamanym kantyckim językiem. – Proszę. Nic ci się nie stanie, masz na to moje słowo.

Kobieta popatrzyła na niego swoimi skośnymi żółtymi oczami, potem na strażników z włóczniami, potem znów na niego. Potrzebowała bardzo dużo czasu, żeby się nad tym zastanowić. West stał tylko, czując suchość w ustach i łupanie w głowie, spóźniając się coraz bardziej, pocąc się pod mundurem w upalnym słońcu, starając się ignorować woń kobiety. Czas mijał.

– Na Boga, Ferro! – warknął nagle stary człowiek. – Jestem stary! Zlituj się nade mną! Być może zostało mi tylko parę lat. Daj temu człowiekowi nóż, zanim umrę!

– Ssss... – syknęła, wykrzywiając wargi.

Przez jedną niepewną i przeciąglą chwilę nóż się unosił, a potem jego rękojeść wylądowała w dłoni Westa. Przełknął z wysiłkiem, pozwalając sobie na westchnienie ulgi. Aż do ostatniej sekundy był niemal pewien, że skieruje ostrze przeciwko niemu.

– Dziękuję – powiedział spokojniej, niż się czuł. Oddał nóż sierżantowi. – Weźcie broń na przechowanie i odprowadźcie naszych gości do Agriontu. Jeśli komukolwiek z nich stanie się krzywda, wy będziecie za to odpowiedzialni, zrozumiano?

Patrzył przez chwilę groźnym wzrokiem na podoficera, po czym skierował się ku bramie i zniknął w tunelu, mając nadzieję, że nic złego już się nie wydarzy, i pozostawiając starego człowieka i cuchnącą kobietę za plecami. W głowie waliło mu bardziej niż kiedykolwiek. Do diabła, był spóźniony.

– Dlaczego u licha ja? – mruczał do siebie.

\* \* \*

– Obawiam się, że nasze zbrojownie są zamknięte na cały dzień – uśmiechnął się szyderczo major Vallimir, spoglądając na Westa jak na żebraka błagającego o jałmużnę. – Nasze zapasy są już rozdzielone i nie będziemy rozniecać palenisk w tym tygodniu. Może gdyby zjawił się pan na czas...

Łupanie w głowie Westa stało się nieznośne. Zmusił się do tego, by oddychać powoli i panować nad głosem. Nic by nie zyskał, wpadając w gniew. Nic nie można było w ten sposób osiągnąć. Nigdy.

– Rozumiem, majorze – odparł cierpliwie West. – Ale toczy się wojna. Wielu spośród pospolitego ruszenia, którzy trafili pod nasze rozkazy, jest źle uzbrojonych, a lord marszałek Burr prosi, by rozniecono paleniska w celu dostarczenia im sprzętu.

Nie była to do końca prawda, ale od czasu gdy znalazł się w sztabie marszałka, zrezygnował z mówienia całej prawdy komukolwiek. W ten sposób nie można było niczego załatwić. Posługiwał się teraz namowami, przechwałkami, bezczelnym kłamstwem, pokornym błaganiem i zawołowanymi groźbami; potrafił z wielką biegłością ocenić, którą z tych metod należy zastosować w przypadku

konkretnego człowieka.

Na nieszczęście nie bardzo wiedział, w którą strunę uderzyć, rozmawiając z majorem Vallimirem, Mistrzem Zbrojowni Królewskich. Fakt, że mieli identyczne rangi, utrudniał tylko sytuację: Nie bardzo mógł zastraszać tego oficera, ale nie mógł też się przed nim płaszczyć.

Co więcej, pod względem pozycji społecznej nie byli sobie absolutnie równi. Vallimir pochodził ze starej i wpływowej rodziny arystokratycznej i był arogancki ponad wszelkie wyobrażenie. Przy nim Jezal dan Luthar wydawał się skromny i bezinteresowny, a całkowity brak doświadczenia bojowego w przypadku majora jeszcze bardziej komplikował sprawę: by zrekompensować sobie ten brak, zachowywał się w dwójnasób jak skończony dureń. Polecenia majora Westa, choć pochodzące od samego marszałka Burra, przyjmował tak, jakby padały z ust cuchnącego świniopasa. Dzisiejszy dzień nie stanowił wyjątku.

– Zapasy na ten tydzień są rozdzielone, majorze West. – Vallimir wymówił to nazwisko z ironicznym akcentem. – A paleniska są nieczynne. To wszystko.

– I to mam oznajmić lordowi marszałkowi?

– Uzbrojenie pospolitego ruszenia spoczywa na tych lordach, którym podlegają ci ludzie – wyrecytował sztywno Vallimir. – Nie można mnie winić, jeśli nie wywiązują się ze swoich obowiązków. To nie jest po prostu nasz problem, majorze West, i może to pan powiedzieć lordowi marszałkowi.

I tak było zawsze. Tam i z powrotem: ze sztabu Burra do różnych departamentów, do dowódców kompanii, batalionów, regimentów, do magazynów rozrzuconych po całym Agrioncie i mieście, do zbrojowni, koszar, stajni, doków, gdzie żołnierze wraz ze swym uzbrojeniem mieli za kilka dni się zaokrętować, do innych departamentów i z powrotem tam, skąd zaczął, pokonując długie mile i nic nie mogąc wskórać. Każdej nocy walił się na łóżko jak kamień, tylko po to, by po kilku godzinach wstać i zaczynać wszystko od początku.

Jego zadaniem jako dowódcy batalionu było walczyć z wrogiem za pomocą stali. Miał wrażenie, że jako oficer sztabu walczy za pomocą papieru, pełniąc bardziej rolę sekretarza niż żołnierza. Czuł się jak człowiek, który próbuje wepchnąć ogromny kamień na wzgórze. I nigdzie nie dociera, pomimo ogromnego wysiłku, nie mogąc jednak przystanąć, by głaz nie runął w dół i go nie przygniótł. Jednocześnie pełni arogancji dranie, którzy znajdowali się w takim samym niebezpieczeństwie, siedzieli leniwie na zboczu obok niego i mówili: „No cóż, to nie jest mój kamień”.

Rozumiał teraz, dlaczego podczas wojny z Gurkhulem nie zawsze starczało dla ludzi żywności albo ubrań, albo wozów, którymi można by dostarczyć zaopatrzenie, albo koni, które mogłyby je pociągnąć, czy innych rzeczy, tak potrzebnych i tak wyczekiwanych.

West nie chciał dopuścić, by coś takiego wydarzyło się ponownie z powodu jego niedopatrzeń. I na pewno by sobie nie darował, gdyby musiał patrzeć, jak ludzie giną z braku broni. Mimo wszystko próbował nad sobą zapanować, ale jeszcze bardziej rozboleła go głowa, a głos łamał mu się ze zmęczenia.

– A jeśli utkniemy w Anglandzie z tłumem półnagich i nieuzbrojonych wieśniaków, co wtedy, majorze Vallimir? Czyj to będzie problem? Nie pański, śmiem przypuszczać! Wciąż będzie pan siedział w tym miejscu, mając za towarzyszy zimne paleniska!

West, wypowiedziawszy te słowa, zrozumiał, że posunął się za daleko: jego rozmówca dosłownie się zjeżył.

– Jak pan śmie! Moja rodzina służy w gwardii królewskiej od dziewięciu pokoleń!

West potarł sobie oczy; nie wiedział, czy ma ochotę się śmiać, czy płakać.

– Nie podaję w wątpliwość pańskiej odwagi, zapewniam, że nie to miałem na myśli. – Próbował postawić się na miejscu Vallimira. Nie mógł sobie nawet wyobrazić tych wszystkich nacisków, jakim ten człowiek był poddawany; prawdopodobnie wolałby dowodzić żołnierzami niż kowalami, prawdopodobnie... to było bez sensu. Oficer był zerem i West go nienawdził. – To nie jest kwestia pańskiego honoru, majorze, czy honoru pańskiej rodziny. To kwestia naszych przygotowań do wojny!

W oczach Vallimira pojawił się lodowaty błysk.

– Nie zapominaj, do kogo mówisz, ty brudny plebejusz. Swoje wpływy zawdzięczasz Burrowi, a kim on jest, jeśli nie prostakiem z prowincji, wyniesionym do swojej rangi tylko zrządzeniem losu?

West zamrugał zdumiony. Domyślał się oczywiście, co mówi się za jego plecami, ale czym innym była sytuacja, gdy ktoś rzucał mu to prosto w twarz.

– A kiedy Burr już odejdzie, co się z tobą stanie? He? Co zrobisz, kiedy nie będziesz mógł się schować za jego plecami? Nie masz w sobie szlachetnej krwi, nie masz rodziny! – Vallimir skrzywił wargi w szyderczym uśmiechu. – Pomijając oczywiście tę twoją siostrę, a z tego, co słyszę...

West ruszył bezwiednie do przodu, i to szybko.

– Co? – warknął. – Co to miało znaczyć?

Musiał wyglądać naprawdę groźnie: zobaczył, że twarz Vallimira pokrywa się bladością.

– Ja... ja...

– Myślisz, że potrzebuję Burra, by walczyć, ty pieprzony tchórzliwy robaku?

Nim zdążył się zorientować, znów ruszył do przodu, Vallimir zaś zatoczył się na ścianę, kuląc się bokiem i zasłaniając ręką, jakby w obronie przed spodziewanym ciosem. West z trudem się opanował, by nie chwycić tego małego drania i potrząsać nim tak długo, aż spadnie mu głowa. Czuł pulsowanie w czaszce. Miał wrażenie, że ciśnienie krwi wysadzi mu oczy z orbit. Oddychał przeciągle przez nozdrza i zaciskał do bólu pięści. Gniew przemijał powoli, nie grożąc już wybuchem, który mógł doprowadzić do utraty kontroli nad ciałem. Pulsował tylko w piersi, powodując bolesny ucisk.

– Jeśli masz coś do powiedzenia na temat mojej siostry – powiedział cicho – to powiedz. Powiedz teraz. – Jego lewa dłoń osunęła się na rękojeść miecza. – Będziemy mogli załatwić sprawę poza murami miasta.

Major Vallimir skulił się jeszcze bardziej.

– Nic nie słyszałem – wyszeptał. – Absolutnie nic.

– Absolutnie nic – powtórzył West i jeszcze przez chwilę wpatrywał się w bladą jak ściana twarz rozmówcy. Potem cofnął się o krok. – Czy zechciałby pan być tak uprzejmy i uruchomić paleniska? Mamy mnóstwo roboty.

Vallimir zamrugał.

– Oczywiście. Każę natychmiast rozniecić ogień.

West obrócił się na pięcie i wyszedł, wiedząc doskonale, że jest odprowadzany nienawistnym wzrokiem i że tylko pogorszył sytuację. Jeszcze jeden wróg pośród wysoko urodzonych. Naprawdę irytujące było to, że Vallimir miał rację. Gdyby zabrakło Burra, on, West, byłby skończony. Nie miał żadnej rodziny prócz... tej swojej siostry. Do diabła, poczuł ból w sercu.

– Dlaczego ja? – syknął pod nosem. – Dlaczego?

Było jeszcze mnóstwo roboty. Starczyłoby tego na cały dzień, ale West miał dosyć. Głowa bolała go tak bardzo, że ledwie widział na oczy. Pragnął położyć się w ciemnościach z mokrą szmatą na twarzy, choćby na godzinę, choćby na minutę. Grzebał w kieszeni, szukając klucza, drugą dłonią zasłaniając sobie piekące oczy i zaciskając zęby. Usłyszał po drugiej stronie drzwi jakiś dźwięk. Cichy brzęk szkła. Ardee.

– Nie – mruknął wściekle pod nosem. Nie teraz! Po co u diabła dawał jej drugi klucz? Przeklinając cicho, uniósł pięść, by zapukać do drzwi. Do własnych drzwi, oto, do czego doszło. Jednak jego dłoń nie uderzyła w drewno. Ujrzał nagle w wyobraźni odrażający obraz: Ardee i Luthar, nadzy i spoceni, wijący się na jego dywanie. Przekręcił cicho w zamku swój klucz i pchnął drzwi na oścież.

Stała przy oknie, sama i, jak stwierdził z ulgą, ubrana. Z mniejszym już zadowoleniem zauważył, że naląła sobie z karafki wina po same brzegi kieliszka. Spojrzała na niego zdziwiona, kiedy wtargnął do pokoju.

– Och, to ty.

– A kto miałby być, do diabła? – warknął West. – To moja kwatery, prawda?

– Ktoś jest dziś rano w nienajlepszym humorze.

Trochę wina przelało się przez brzeg kieliszka i wylądowało na stole. Wytarła je dłonią i oblizwała palce, potem jeszcze wzięła spory łyk. Każdy jej ruch go drażnił. West skrzywił się i zatrzasnął za sobą drzwi.

– Musisz tyle pić?

– Rozumiem, że młoda dama powinna oddawać się pożytecznym rozrywkom.

Wypowiedziała te słowa w typowy dla siebie niedbały sposób, ale mógł dostrzec, nawet zamroczony bólem głowy, że coś jest nie tak. Wciąż zerkała w stronę biurka, potem ruszyła w tamtą stronę. Doskoczył tam pierwszy i chwycił jakąś kartkę, która leżała na blacie. Widniało na niej tylko jedno zdanie.

– Co to jest?

– Nic! Oddaj to!

Powstrzymał ją jedną ręką i przeczytał: „Jutro wieczorem, w tym samym miejscu – A”.

West poczuł dreszcz nienawiści na skórze.

– Nic? Nic?

Podsunał list pod nos swojej siostrze. Ardee odwróciła się od niego, wykonując gwałtowny ruch głową, jakby uciekała przez namolną muchą. Nie odezwała się, ale siorbnęła hałaśliwie z kieliszka. West zacisnął zęby.

– Chodzi o Luthara, tak?

– Nie powiedziałam tego.

– Nie musiałś.

Zmiał papier pobielającą dłonią. Obrócił się w stronę drzwi; czuł, jak naprężają mu się mięśnie, jak drżą. Z trudem się powstrzymywał, by nie wybiec stąd i nie udusić tego małego drania; stać go było tylko na to, by zastanowić się przez chwilę.

Jezał go zawiódł, i to straszliwie, niewdzięczny łajdak. Ale nie było to jakoś szczególnie szokujące – ten człowiek był osłem. Jeśli przechowuje się wino w papierowej torbie, to nie można się dziwić, że przecieka. Poza tym to nie Jezał pisał listy. Co by to dało, gdyby skręcił mu kark? Na świecie roiło się od takich głupców.

– Do czego cię to doprowadzi, Ardee?

Usiadła na sofie i spojrzała na niego lodowato znad brzegu kieliszka.

– Co, bracie?

– Wiesz co!

– Czyż nie jesteśmy rodziną? Nie możemy być wobec siebie otwarci? Jeśli chcesz coś powiedzieć, zrób to! Do czego według ciebie mnie to doprowadzi?

– Myślę, że wylądujesz na dnie, jeśli chcesz wiedzieć! – Zapanował nad głosem z najwyższym wysiłkiem. – Ta historia z Lutharem zaszła za daleko. Listy? Listy? Ostrzegałem go, ale wydaje się, że to nie on stanowił w tym przypadku problem! Co ty sobie myślisz? Czy ty w ogóle myślisz? To musi się skończyć, zanim ludzie zaczną mówić! – Poczul dławiący ucisk w piersi i wziął głęboki oddech, ale wyrzucił z siebie gniewnie: – Już gadają do diabła! Koniec z tym! Słyszysz mnie?

– Słyszę – odparła niedbale. – Ale kogo obchodzi, co sobie myślą?

– Mnie obchodzi! – niemal wrzasnął. – Wiesz, jak ciężko muszę pracować? Myślisz, że jestem głupcem? Wiem, o co ci chodzi, Ardee! – Na jej twarzy odmalowała się głęboka uraza, ale on brnął dalej. – To nie jest pierwszy raz! Mam ci przypominać, że nigdy nie miałaś szczęścia do mężczyzn?

– Na pewno nie do mężczyzn z własnej rodziny! – Siedziała teraz wyprostowana, twarz miała ściągniętą i bladą z gniewu. – I co ty wiesz o moim szczęściu? Prawie nie rozmawialiśmy przez dziesięć lat!

– Rozmawiamy teraz! – wrzasnął West, rzucając przez cały pokój zmiętą kartkę. – Nie pomyślałaś o tym, czym się to może skończyć? A gdybyś go zdobyła? Zastanawiałaś się nad tym? Jak ci się wydaje, czy jego rodzina byłaby zachwycona panną młodą w pąsach? W najlepszym razie nie odzywaliby się do ciebie. W najgorszym zerwaliby z wami wszelkie stosunki! – Wskazał drżącym palcem drzwi. – Czy nie zauważyłaś, że to próżny, arogancki wieprz? Wszyscy są tacy! Myślisz, że dałby sobie radę bez ich pieniędzy? Bez wysoko postawionych przyjaciół? Nie wiedziałby, co robić! Jak moglibyście być ze sobą szczęśliwi? – Zdawało mu się, że głowa pęknie mu na pół, ale grzmiał dalej. – A jeśli, co wydaje się bardziej prawdopodobne, nie zdobędziesz go? Co wtedy? To dla ciebie koniec, rozumiesz? Niewiele już brakowało! A podobno jesteś taka bystra! Robisz z siebie pośmiewisko! – Niemal dławił się wściekłością. – Z nas obojga!

Ardee westchnęła gwałtownie.

– Teraz wszystko jasne! – krzyknęła niemal. – O mnie się nikt nie troszczy, ale jeśli twoja reputacja jest zagrożona...

– Ty pieprzona głupia dziwko!

Karafka poleciała przez cały pokój i roztrzaskała się o ścianę tuż przy głowie Ardee; w powietrze wytrysnęła fontanna szkła, a po ścianie zaczęły spływać strużki wina.

– Dlaczego nie słuchasz?!

Dopadł jej w mgnieniu oka. Ardee wydawała się przez krótką chwilę zaskoczona, potem rozległ się ostry i suchy dźwięk – nim zdążyła się podnieść z kanapy, jego pięść dosięgła jej twarzy. Nie upadła, jego dłonie zdążyły ją złapać, postawiły jednym szarpnięciem na nogi i rzuciły na ścianę.

– Wykończysz nas!

Jej głowa uderzała o ścianę – raz, dwa razy, trzy razy. Jego dłoń chwyciła ją za szyję. Obnażone zęby. Ciało przygniatające ją do ściany. Cichy charczący odgłos, dobywający się z jej gardła, gdy jego place zaczęły się zaciskać.

– Ty samolubna, bezużyteczna... pieprzona... dziwko!

Jej twarz zasłaniały splątane włosy. Widział tylko wąski pasek skóry, kącik ust, ciemne oko.

Odwzajemniło mu spojrzenie. Bezbolesne. Nieustraszone. Puste, obojętne jak u trupa.

Zaciskające się palce. Charkot. Zaciskające się palce.

Zaciskające się coraz bardziej...

Oprzytomniał z gwałtownym wstrząsem. Palce rozwarły się nagle, cofnął pospiesznie dłoń. Jego siostra nie ruszyła się spod ściany, stała wyprostowana. Słyszał jej oddech. Krótkie westchnienia. A może to z jego ust się dobywały? Pękała mu głowa. Oko wciąż patrzyło na niego.

Musiał sobie to wszystko wyobrazić. Nie inaczej. Miał wrażenie, że obudzi się lada chwila, koszmar minie. Sen. Wtedy odsunęła włosy sprzed twarzy.

Jej skóra miała kolor wosku, była ziemista i biała. Strużka krwi z nosa wyglądała na jej tle jak czerń. Na szyi widać było różowe ślady. Ślady palców. Jego palców. A więc wszystko wydarzyło się naprawdę.

Poczuł, jak ściska go w żołądku. Otworzył usta, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Spojrzał na krew na jej wardze i zrobiło mu się niedobrze.

– Ardee... – Czuł taką odrazę, że omal nie zwymiotował, wypowiadając to słowo. Gardło zalewała mu żółć, ale jego głos przebił się gdzieś z głębi krtani. – Przykro mi... tak bardzo mi przykro... Nic ci się nie stało?

– Bywało gorzej. – Podniosła wolno dłoń i dotknęła koniuszkiem palca wargi, rozmazując sobie krew na ustach.

– Ardee... – Wyciągnął rękę i cofnął ją gwałtownie, nie wiedząc, co ona robi. – Przykro mi...

– Zawsze mu było przykro. Nie pamiętasz? Trzymał nas w ramionach i płakał potem. Zawsze było mu przykro. Ale to nigdy nie powstrzymało go przed następnym razem. Zapomniałeś już?

West zakrzusił się, ponownie walcząc z torsjami. Gdyby płakała, wściekała się i tłukła go pięściami, byłoby mu o wiele łatwiej. Wszystko, tylko nie to. Starał się nigdy o tym nie myśleć, ale nie zapomniał.

– Nie – wyszeptał. – Pamiętam.

– Myślisz, że przestał, kiedy wyjechałeś? Stał się jeszcze gorszy. Tyle że wtedy musiałam skrywać to sama. Marzyłam, że wrócisz, wrócisz i mnie ocalisz. Ale gdy wracałeś, to nie na długo, i wszystko było inaczej między nami, i nic nie zrobiłeś.

– Ardee... nie wiedziałem...

– Wiedziałeś, ale uciekłeś. Łatwiej było nic nie robić. Udawać. Rozumiem i nawet cię nie winię, wiesz? To była dla mnie niejaka pociecha, wówczas. Świadomość, że przynajmniej tobie udało się uciec. Dzień, w którym umarł, był najszcześniejszym w moim życiu.

– Był naszym ojcem...

– O tak. Mój pech. Pech, jeśli chodzi o mężczyzn. Płakałam na pogrzebie jak posłuszna córka. Tak bardzo, że żałobnicy obawiali się o moje zmysły. Potem leżałam w łóżku z szeroko otwartymi oczami, aż wszyscy zasnęli. Wymknęłam się z domu, wróciłam na jego grób, postąpiłam chwilę, patrząc na mogiłę... a potem nasikałam na nią! Podciągnęłam suknię, kucnęłam i nasikałam na niego! I cały czas myślałam – nigdy więcej nie będę niczym psem! – Otarła usta z krwi wierzchem dłoni – Szkoda, że nie widziałeś, jaka byłam szczęśliwa, kiedy po mnie posłałeś! Czytałam twój list raz za razem. Żałosne marzenia znów ożyły. Nadzieja, he? Co za cholerne przekleństwo! Mieszkać z bratem. Moim obrońcą! Zaopiekuje się mną, pomoże mi. Może uda mi się żyć normalnie! Ale przekonałam się, że jesteś inny niż kiedyś. Dorosłeś. Najpierw mnie ignorujesz, potem pouczasz, potem bijesz, a teraz mówisz, że jest ci przykro. Nieodrodny syn swego ojca!

Jęknął. Jakby wsadzała mu szpilkę, prosto w czaszkę. Zasłużył na to. Miała rację. Zawiódł ją. I to znacznie wcześniej niż dzisiaj. Kiedy on bawił się swoimi mieczami i całował tyłki ludziom, którzy nim pogardzali, ona cierpiała. Wystarczyło trochę się wysilić, ale nie potrafił się na to zdobyć. Podczas każdej spędzonej z nią minuty odczuwał brzemie winy, jak kamień w trzewiach, który straszliwie mu ciążył. Nieznośnie.

Odsunęła się od ściany.

– Być może spotkam się z Jezalem. Pewnie jest największym idiotą w całym mieście, ale nie wydaje mi się, by kiedykolwiek podniósł na mnie rękę.

Odepchnęła go i ruszyła w stronę drzwi.

– Ardee! – Chwycił ją za ramię. – Proszę... Ardee... Przepraszam...

Wysunęła język, zwinęła go i splunęła na niego krwawą śliną, która obryzgała mu mundur, wydając cichy odgłos.

– To zapłata za twoje „przepraszam”, łajdaku.

Drzwi trzasnęły mu przed samym nosem.

# Każdy człowiek czci samego siebie

Ferro patrzyła spod półprzymkniętych powiek na ogromnego różowego człowieka, on zaś odpowiadał jej nieugiętym spojrzeniem. Trwało to już od dobrej chwili, może nie przez cały czas, ale bardzo często. Uporczywy wzrok. Byli paskudni, ci biali ludzie o miękkich ciałach, ale ten wydawał się szczególny.

Odrażający.

Wiedziała, że jest poznaczona bliznami, ogorzała od słońca i wiatru, zniszczona przez lata spędzone w dziczy, ale blada skóra na twarzy tego człowieka wyglądała jak tarcza, która przetrwała niejedną bitwę – porąbana, wyłobiona, pocięta, powgniatana. Było zdumiewające, że oczy w tak pokiereszowanym obliczu wciąż jeszcze żyły, ale spoglądały, i to na nią.

Doszła do wniosku, że jest niebezpieczny.

Nie tyle wielki, ile silny. Brutalnie silny. Być może dwukrotnie cięższy od niej, o grubym karku, który tworzyły wyłącznie węzły mięśni. Czowała płynącą z niego moc. Nie zdziwiłaby się, gdyby zdołał podnieść ją jedną ręką, ale nie martwiła się tym zbytnio. Najpierw musiałby ją złapać. Wielkość i siła sprawiają czasem, że człowiek jest powolny.

Powolność i niebezpieczeństwo nie idą w parze.

Blizny też nie robiły na niej wrażenia. Oznaczały jedynie, że brał często udział w walkach, nie dowodziły natomiast, że wygrywał. To były dwie różne sprawy. Sposób, w jaki siedział – nieruchomy, ale nie odprężony. Gotowy. Cierpliwy. Ruch jego oczu – ukradkowy i uważny; patrzyły to na nią, to na otoczenie, i znów na nią. Ciemne oczy, czujne i zamyślane. Oczy, które ją oceniały. Grube żyły na jego dłoniach, ale długie i zwinne palce, smugi brudu pod paznokciami. Brak jednego palca. Biały kikut. Nie podobało jej się to wszystko. Pachniało niebezpieczeństwem.

Nie chciałyby z nim walczyć nieuzbrojona.

Ale oddała swój nóż temu różowemu na moście. Niewiele brakowało, by go dźgnęła, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła. Miał w oczach coś, co przypominało jej o Arufie, nim jakiś Gurkhulczyk nadział jego głowę na włócznię. Coś smutnego i spokojnego, jakby ją rozumiał. Jakby była istotą ludzką, a nie przedmiotem. W ostatniej chwili, wbrew sobie, oddała swoje ostrze. Pozwoliła się tu przyprowadzić.

Głupia!

Teraz tego żałowała, i to gorzko, ale walczyłyby do ostatka. Ludzie nie zdawali sobie sprawy, ile na świecie jest przeróżnej broni. Takiej, którą można rzucać na wroga albo rzucać wroga na nią. Broni, którą można łamać kości, używać jak pałki. Zwiniętego ubrania, którym można dusić. Ziemi, którą można ciskać w twarz. Gdyby to zawiodło, mogłaby przegryźć mu gardło. Rozsunęła wargi i pokazała mu zęby, by to udowodnić, ale zdawał się tego nie dostrzegać. Milczący, nieruchomy, brzydki i niebezpieczny.

– Różowe świnię – syknęła pod nosem.

Ten chudy natomiast w ogóle nie wyglądał na niebezpiecznego. Wydawał się chory i miał włosy długie jak kobieta. Nieporadny i nerwowy, bezustannie oblizywał wargi. Rzucił czasem spojrzenie w jej stronę, ale natychmiast odwracał wzrok, gdy tylko popatrzyła na niego groźnie, i przetykał, poruszając przy tym grudą w gardle, która wędrowała w górę i w dół. Wydawał się bardziej wystraszony niż groźny, ale Ferro patrzyła na niego kątem oka, nie odrywając spojrzenia od tego



wielkiego. Lepiej nie lekceważyć chudego. Życie nauczyło ją oczekiwać niespodzianek.

Był jeszcze stary człowiek. Nie ufała żadnemu z tych różowych, ale najmniej temu łysemu. Mnóstwo zmarszczek na jego twarzy, wokół oczu, wokół nosa. Okrutnych zmarszczek. Twarde, ciężkie kości na policzkach. Wielkie grube ręce, porośnięte włosami. Gdyby musiała zabić tych trzech, to pomimo zagrożenia, jakie stanowił ten wielki, najpierw zabiłaby łysego. Miał w oczach błysk pana niewolników, kiedy przesuwiał po niej wzrokiem od stóp do głów. Zimny błysk, jakby oceniał, ile może być warta.

Łajdak.

Bayaz, tak nazywał go Yulwei; wydawało się, że obaj dobrze się znają.

– A więc, bracie – powiedział łysy w kantyckim języku, choć nie ulegało wątpliwości, że nie są ze sobą spokrewnieni – co słysząc w wielkim imperium Gurkhulu?

Yulwei westchnął.

– Upłynął zaledwie rok od koronacji, a Uthman zdążył pokonać ostatnich rebeliantów i zmusił do posłuszeństwa gubernatorów. Już teraz młody imperator wzbudza większy strach niż jego ojciec. Uthman-ul-Dosht, jak nazywają go żołnierze, i to z dumą. Niemal cała Kanta jest w jego ręku. Rządzi niepodzielnie nad ziemiami wokół Morza Południowego.

– Prócz Dagoski.

– To prawda, ale ostrzy sobie na nią zęby. Jego armie podążają ku półwyspowi, a szpiedzy nie próżnują za wielkimi murami miasta. Teraz, kiedy na Północy toczy się wojna, nie upłynie dużo czasu, nim uzna, że nadeszła stosowna chwila, by przypuścić szturm, a gdy się to stanie, Dagoska nie wytrzyma długo, jak sądzę.

– Jesteś pewien? Unia wciąż kontroluje morza.

Yulwei zmarszczył czoło.

– Widzieliśmy statki, bracie. Wiele dużych statków. Gurkhulczycy zbudowali flotę. Potężną flotę, i stworzyli ją w tajemnicy. Musieli zacząć wiele lat temu, podczas ostatniej wojny. Obawiam się, że Unia już niedługo będzie kontrolować morza.

– Flota? Miałem nadzieję, że pozostało mi jeszcze trochę czasu na przygotowania. – Łysy sposepniał, jak się zdawało. – Muszę zatem przyspieszyć realizację swoich planów.

Nudziła ją ich rozmowa. Przywykła do bezustannego ruchu, do tego, że wyprzedza wszystkich o krok; nienawidziła stać nieruchomo. Pozostań zbyt długo w jednym miejscu, a Gurkhulczycy cię złapią. Nie podobało się jej, że ci różowi patrzyli na nią jak na jakiś okaz. Krążyła po sali, krzywiąc się i sycząc przez zęby, podczas gdy dwaj starzy ludzie wymieniali bezsensowne słowa. Wymachiwała ramionami. Kopała w zdarte deski na podłodze. Dźgała zasłony na ścianach i zaglądała pod spód, przesuwiała palcami po krawędziach mebli, cmokała językiem i zaciskała szczęki.

Wzbudzając we wszystkich niepokój.

Przeszła obok wielkiego i brzydkiego człowieka na krzesło, niemal tak blisko, że mogła dotknąć ruchliwą dłoń jego pobrużdżonej skóry. Żeby mu pokazać, że ma gdzieś jego wielkość, jego blizny czy cokolwiek innego. Potem ruszyła wprost na tego drugiego. Tego chudego z długimi włosami. Przełknął nerwowo, kiedy się zbliżyła.

– Sss! – syknęła mu w twarz.

Mruknął coś i odsunął się, a ona podeszła do otwartego okna. Wyjrzała, odwracając się do wnętrza plecami. By pokazać, że ma ich wszystkich gdzieś.

Za oknem widać było ogrody. Drzewa, rośliny, rozległe i starannie przystrzyżone trawniki. Po tej schludnej murawie krążyły w słońcu leniwie grupki tłustych, białych mężczyzn i kobiet,

napychając spocone twarze jedzeniem. Chlepcząc jakieś napoje. Patrzyła na nich z gniewnym grymasem. Grubi, odrażający, leniwi ludzie o różowej skórze, nie znający innego Boga prócz jadła i gnuśności.

– Ogrody – prychnęła pogardliwie.

Przy pałacu Uthmana też były ogrody. Przyglądała im się przez małe okienko swojego pokoju. Swojej celi. Na długo przed tym, nim został Uthmanem-ul-Doshtem. Gdy był jedynie najmłodszym synem imperatora, ona zaś jedną z jego licznych niewolnic. Jego więźniem. Ferro wychyliła się i splunęła przez okno.

Nienawidziła ogrodów. Tak jak nienawidziła miast. Miejsc, gdzie rządziła niewola, strach, poniżenie. Ich mury były ścianami więzienia. Wiedziała, że im prędzej się stąd wydostanie, tym prędzej poczuje się szczęśliwa. Albo w każdym razie mniej nieszczęśliwa. Odwróciła się od okna i znów wykrzywiła twarz w grymasie. Wszyscy na nią patrzyli. Ten nazywany Bayazem odezwał się pierwszy.

– To, co odkryłeś, jest z pewnością niezwykle, bracie. Nie przeoczyłbyś jej w tłumie ludzi, he? Jesteś pewien, że właśnie jej szukam?

Yulwei przyglądał się jej przez chwilę.

– Tak pewien jak tego, że z tobą rozmawiam.

– Stoję tu! – warknęła do nich, ale ten łysy mówił dalej, jakby jej słowa w ogóle do niego nie dotarły.

– Odczuwa ból?

– Owszem, ale niewiele. Pokonała żercę, kiedy tu wędrowaliśmy.

– Naprawdę? – Bayaz zachichotał pod nosem. – Bardzo ją poharatał?

– Bardzo, ale po dwóch dniach trzymała się już na nogach, a po tygodniu była zdrowa. Nie pozostał na niej nawet ślad. To nie jest coś zwykłego.

– Obaj widzieliśmy w swoim czasie rzeczy, które nie były zwykłe. Musimy mieć pewność.

Łysy człowiek sięgnął do kieszeni. Ferro przyglądała się podejrzliwie, jak wyciąga pięść i kładzie dłoń na stole. Kiedy ją cofnął, na blacie pozostały dwa gładkie, wypolerowane kamienie. Łysy człowiek nachylił się.

– Powiedz mi, Ferro, który z nich to kamień niebieski? Patrzyła na niego twardym wzrokiem, potem spojrzała na kamienie.

Niczym się nie różniły. Wszyscy się jej przyglądali, uważniej niż kiedykolwiek; zacisnęła zęby.

– Ten – wskazała kamień po lewej stronie.

Bayaz uśmiechnął się.

– To dokładnie odpowiedź, jaką miałem nadzieję usłyszeć.

Ferro wzruszyła ramionami. To tylko szczęście, że wskazała właściwy, przyszło jej do głowy. Wtedy dostrzegła wyraz twarzy tego dużego. Patrzył ze zmarszczonym czołem na kamienie, jakby nie rozumiał.

– Oba są czerwone – oznajmił Bayaz. – Nie widzisz kolorów, prawda, Ferro?

A zatem łysy człowiek podszedł ją za pomocą tej sztuczki. Nie miała pojęcia, skąd mógł wiedzieć, ale była pewna, że się jej to nie podoba. Nikt nie płała bezkarnie figli Ferro Maljiin. Zaczęła się śmiać. Przypominało to chrapliwy, nieprzyjemny dźwięk.

Chwilę później skoczyła ponad stołem.

Kiedy jej pięść trafiła go w nos, na jego twarzy ledwie zaczął pojawiać się grymas zaskoczenia. Wydał z siebie jęk, przechylił się z krzesłem do tyłu i runął jak długi na podłogę. Gramoliła się po stole, by go dopaść, ale Yulwei chwycił ją za nogę i odciągnął. Jej rozcapierzone place nie zdołały

zaczynać się na szyi łysego drania, tylko szarpnęły za stół i przewróciły go z hukiem; dwa kamienie potoczyły się na podłogę.

Wyszarpnęła nogę z uścisku Yulwei i znów ruszyła na starego łajdaka, który zbierał się z podłogi, ale Yulwei złapał ją za ramię i znów odciągnął, cały czas krzycząc: „Spokojnie!”. Wskórał tylko tyle, że dostał w twarz łokciem i runął na ścianę, przygnieciony jej ciałem. Pierwsza zerwała się na równe nogi, gotowa znów zaatakować łysego człowieka.

Teraz jednak ten wielki podniósł się z miejsca i ruszył, nie spuszczać jej z oka. Ferro uśmiechnęła się do niego, trzymając przy boku zaciśnięte pięści. Mogła się teraz przekonać, jak bardzo jest niebezpieczny.

Zrobił jeszcze jeden krok.

Bayaz wyciągnął rękę i powstrzymał go. Drugą przyciskał do nosa, próbując zatamować krwotok. Zaczął chichotać.

– Bardzo dobrze! – Zakaszłał. – Porywcza i diabelnie szybka. Bez wątpienia jesteś tą, której szukamy! Mam nadzieję, że przyjmiesz moje przeprosiny, Ferro.

– Co?

– Przeprosiny za moje okropne maniery. – Otarł krew z górnej wargi. – Zasłużyłem na to, ale musiałem mieć pewność. Przepraszam. Czy mogę liczyć na wybaczenie?

Wyglądał teraz inaczej, choć nic się nie zmieniło. Był przyjacielski, troskliwy, szczery. Okazywał żal. Ale trzeba było czegoś więcej, by zyskać jej zaufanie. Znacznie więcej.

– Zobaczymy – syknęła.

– To wszystko, o co proszę. I żebyś dała mi jeszcze chwilę, byśmy mogli omówić z Yulwei pewne... sprawy. Sprawy, które najlepiej omawiać sam na sam.

– W porządku, Ferro – powiedział Yulwei. – To przyjaciele.

Była cholernie pewna, że nie są jej przyjaciółmi, ale pozwoliła się wyprowadzić za drzwi razem z tamtymi dwoma.

– Spróbuj ich nie zamordować.

Pokój był podobny do poprzedniego. Musieli być bogaci, ci różowi, pomimo swojego wyglądu. Ogromny kominek z ciemnego żyłkowanego kamienia. Poduszki i miękkie zasłony wokół okien, pokryte kwiatami i ptakami wyszytymi drobną nicią. Był tam też obraz jakiegoś surowego człowieka z koroną na głowie, spoglądającego ze ściany na Ferro. Popatrzyła na niego. Przepych.

Ferro nienawidziła przepychu jeszcze bardziej niż ogrodów.

Przepych oznaczał niewolę jeszcze bardziej niż kraty celi. Miękkie meble były niebezpieczniejsze niż broń. Twarda ziemia i zimna woda – oto, czego potrzebowała. Delikatne rzeczy czynią człowieka delikatnym, ona zaś pragnęła uniknąć tego za wszelką cenę.

Czekał tu jeszcze jeden człowiek; krążył z rękami na plecach, jakby nie potrafił długo ustać w miejscu. Nie był całkiem różowy, jego szorstka skóra miała odcień, który był mieszaniną jej i ich koloru. Golił głowę, jak kapłan. Ferro nie podobało się to.

Kapłanów nienawidziła najbardziej.

Jednak jego oczy błysnęły, kiedy ją zobaczył, i choć uśmiechała się do niego szyderczo, pospieszył ku niej. Mały dziwny człowieczek, którego czubek głowy nie sięgał ust Ferro.

– Jestem brat Długostopy – przedstawił się, wymachując rękami. – Z wielkiego zakonu nawigatorów.

– Masz szczęście. – Ferro obróciła się do niego ramieniem, starając się dosłyszeć, o czym mówią dwaj starzy ludzie za drzwiami, ale Długostopy nie dał się tak łatwo zniechęcić.

– Oczywiście! Tak, tak, święte słowa! Bóg prawdziwie mnie obdarował! Zaręczam, że nigdy, w

całej historii, żaden człowiek nie był bardziej predestynowany do profesji, a profesja do człowieka, niż ja, brat Długostopy, jestem predestynowany do szlachetnej nauki nawigacji! Od pokrytych śniegiem szczytów górskich Północy do spalonych słońcem piasków najdalszego Południa, cały świat jest moim domem, zaprawdę!

Uśmiechnął się do niej z przyprawiającym o mdłości samozadowoleniem. Ferro zignorowała go. Dwaj różowi, duży i chudy, rozmawiali ze sobą na drugim końcu pokoju. Posługiwali się jakimś językiem, którego nie rozumiała. Brzmiał jak pochrząkiwania świń. Może rozmawiali o niej, ale nie dbała o to. Zniknęli za innymi drzwiami, zostawiając ją samą z tym kapłanem, który wciąż niezmiernie poruszał wargami.

– Są nieliczne kraje w obrębie Kręgu Świata, których ja, brat Długostopy, nie znam, a mimo to nie potrafię określić twego pochodzenia. – Czekał z nadzieją, ale Ferro się nie odzywała. – A więc chcesz, bym się domyślił? To zagadka, tak? Pozwól mi się zastanowić... twoje oczy przypominają kształtem oczy mieszkańców dalekiego Suljuku, gdzie czarne góry wyrastają wprost z migoczącego morza, zaprawdę, a jednak twoja skóra...

– Zamknij się, ty cipo.

Mężczyzna urwał w pół zdania, zakaształ i odsunął się, Ferro zaś zaczęła się wsłuchiwać w głosy po drugiej stronie drzwi. Uśmiechnęła się do siebie. Drewno było grube, dźwięki zaś przytłumione, ale dwaj starzy ludzie nie pomyśleli o tym, jak doskonałym słuchem się odznacza. Wciąż rozmawiali po kantycku. Teraz, kiedy ten głupiec nawigator siedział cicho, potrafiła rozpoznać każde słowo, jakie wypowiadał Yulwei.

– ...Khalul łamie Drugie Prawo, więc ty musisz łamać Pierwsze? Nie podoba mi się to, Bayazie! Jovens nigdy by na to nie pozwolił!

Ferro zmarszczyła z namysłem czoło. W głosie Yulweia pobrzmiwała dziwna nuta. Nuta strachu. Drugie Prawo. Mówił o tym źercom, przypomniawszy sobie. Jest rzeczą zakazaną spożywać ciało ludzkie. Po chwili usłyszała łysego starca.

– Pierwsze Prawo jest paradoksem. Wszelka magia pochodzi z Drugiej Strony, nawet nasza. Ilekroć coś zmieniasz, dotykasz świata podziemnego, ilekroć coś stwarzasz, czerpiesz z Drugiej Strony i zawsze dzieje się to jakimś kosztem.

– Ale tym razem koszt może być zbyt wysoki! To przeklęta rzecz, to Nasienie, iście przeklęta. Wyniknie z tego chaos, nic więcej! Synowie Euza... tak potężni wiedzą i mocą, a jednak Nasienie było ich końcem, wszystkich, w taki czy inny sposób. Jesteś mądrzejszy od Jovens, Bayazie? Jesteś bardziej przebiegły od Kanediasa? Silniejszy od Glustroda?

– Pod żadnym względem, bracie, ale powiedz mi... ilu źerców stworzył Khalul?

Długa chwila milczenia.

– Nie jestem pewien.

– Ilu?

Znów milczenie. Potem zaś:

– Być może dwustu. Być może jeszcze więcej. Kapłani przetrząsnęli Południe, szukając tych, którzy rokowali nadzieję. Tworzy ich coraz szybciej, ale większość jest młoda i słaba.

– Dwustu albo więcej, i cały czas dorastają. Wielu jest słabych, ale wśród nich jest kilku, którzy mogą dorównać tobie albo mnie. Ci, którzy w Dawnym Czasie byli uczniami Khalula – ten zwany Wschodnim Wiatrem i te przeklęte bliźnięta krwi.

– Niech diabli wezmą te suki! – warknął Yulwei.

– Nie wspominając już o Mamunie, którego kłamstwa doprowadziły do tego chaosu.

– Zło załęgło się na długo przed jego narodzinami, wiesz o tym, Bayazie. Mimo to Mamun był

na Pustkowiach. Czuję jego obecność. Stał się przerażająco silny.

– Wiesz, że mam rację. A tymczasem nasza liczba ledwie się powiększyła.

– Wydawało mi się, że ten jeden, imieniem Quai, rokuje jakieś nadzieje.

– Potrzebujemy stu takich jak on i dwudziestu lat, by ich wyszkolić. Wtedy im dorównamy. Nie, bracie. Musimy użyć ognia przeciwko ogniovi.

– Nawet jeśli ten ogień spali ciebie i wszelkie stworzenie? Pozwól mi jechać do Sarkantu. Khalul być może wysłucha głosu rozsądku...

Śmiech.

– Zniewolił pół świata! Kiedy się ockniesz, Yulwei? Wtedy, gdy zniewoli resztę? Nie mogę dopuścić do tego, by cię stracić, bracie!

– Pamiętaj, Bayazie, że są rzeczy gorsze od Khalula. Znacznie gorsze. – Jego głos zniżył się do szeptu i Ferro wytężyła słuch. – Głosiciele Sekretów słuchają bezustannie...

– Dosyć, Yulwei! Lepiej nawet o tym nie myśleć!

Ferro zmarszczyła czoło. Co to za bzdury? Głosiciele Sekretów? Jakich sekretów?

– Przypomnij sobie, co powiedział ci Juvens, Bayazie. Wystrzegaj się dumy. Posługiwałeś się Sztuką. Wiem o tym. Widziałem na tobie cień.

– Niech diabli twoje cienie! Robię to, co muszę! Przypomnij sobie, co Juvens powiedział tobie, Yulwei. Nie można wiecznie stać z boku i się przyglądać. Czasu jest niewiele, a ja nie będę się przyglądał. Jestem pierwszy. Moja decyzja jest najważniejsza.

– Czyż nie szedłem zawsze tam, gdzie mnie prowadziłeś? Zawsze, nawet wówczas, gdy sumienie mówiło mi inaczej?

– A czy kiedykolwiek zaprowadziłem cię w niewłaściwe miejsce?

– To się jeszcze okaże. Jesteś pierwszy, Bayazie, ale nie jesteś Juvensem. Do mnie należy zadawanie pytań, a także do Zacharusa. Jemu nie spodoba się to jeszcze bardziej niż mnie. Znacznie bardziej.

– Trzeba to zrobić.

– Ale inni zapłacą cenę, tak jak zawsze. Ten człowiek z Północy, ten Dziewięciopalcy, potrafi rozmawiać z duchami?

– Tak.

Ferro zmarszczyła czoło. Duchy? Ten Dziewięciopalcy nie wyglądał nawet na takiego, który potrafiłby rozmawiać z ludźmi.

– A jeśli znajdziesz Nasienie – dobiegł zza drzwi głos Yulwei – to zamierzasz sprawić, by właśnie Ferro była jego nosicielką?

– Ma odpowiednią krew, a ktoś musi.

– Bądź ostrożny, Bayazie. Znam cię, pamiętaj. Nielicznych znam lepiej niż ciebie. Daj mi słowo, że będziesz ją chronił, nawet wtedy, gdy już przysłuży się naszemu celowi.

– Będę jej strzegł pilniej, niż strzegłbym własnego dziecka.

– Strzeż jej pilniej niż strzegłeś dziecka Stwórcy, a będę usatysfakcjonowany.

Długa chwila milczenia. Ferro poruszała w zamyśleniu szczęką, zastanawiając się nad tym, co usłyszała. Juvens, Kanedias, Zacharus – dziwne imiona, które nic jej nie mówiły. I jakie to Nasienie mogło spalić całe stworzenie na popiół? Nie zamierzała uczestniczyć w czymś takim, tego była pewna. Jej miejscem było Południe, gdzie mogłaby walczyć z Gurkhulczykami bronią, którą rozumiała.

Drzwi otworzyły się i z pokoju wyszli obaj starzy ludzie. Różnili się pod każdym względem. Jeden był ciemnoskóry, wysoki, kościsty i miał długie włosy, drugi był białoskóry, tęgi i łysy.

Popatrzyła na nich podejrzliwie. Ten biały odezwał się pierwszy.

– Ferro, mam pewną propozycję...

– Nie idę z tobą, stary głupcze.

Po twarzy łysego człowieka przemknął cień zniechęcenia, ale szybko zniknął.

– Dlaczego? Co jest dla ciebie tak ważne i niecierpiące zwłoki?

Odpowiedź nie wymagała zastanowienia.

– Zemsta. – Jej ulubione słowo.

– Ach, rozumiem. Nienawidzisz Gurkhulczyków?

– Tak.

– Chcesz, by zapłacili za to, co z tobą zrobili?

– Tak.

– Za to, że odebrali ci rodzinę, rodaków, kraj?

– Tak.

– Za to, że zrobili z ciebie niewolnicę – wyszeptał, a ona spojrzała na niego gniewnie, zastanawiając się, skąd tyle o niej wie, i zadając sobie pytanie, czy znów się na niego nie rzucić. – Okradli cię, Ferro, okradli ze wszystkiego. Obrabowali cię z życia. Na twoim miejscu... gdybym cierpiał tak jak ty... za mało byłoby dla mnie krwi na całym Południu. Nie poczułbym zadowolenia, dopóki bym nie zobaczył zwłok każdego gurkhulskiego żołnierza. Popiołów każdego gurkhulskiego miasta. I samego imperatora gnijącego w klatce przed własnym pałacem!

– Tak! – syknęła z okrutnym uśmiechem na twarzy. Teraz przemawiał jej językiem. Yulwei nigdy tak nie mówił; być może ten biały starzec nie był ostatecznie taki zły. – Rozumiesz! Dlatego muszę wyruszyć na Południe!

– Nie, Ferro! – Łysy człowiek uśmiechał się teraz. – Nie uświadamiasz sobie szansy, jaką ci daję. Imperator tak naprawdę wcale nie rządzi w Kancie. Choć wydaje się potężny, tańczy tak, jak zagra mu kto inny, dłonią dobrze ukrytą. Zwią go Khalul.

– Prorok.

Bayaz przytaknął.

– Jeśli ktoś cię tnie ostrzem, to nienawidzisz noża, czy tego, kto go trzymał? Imperator, Gurkhulczycy, to tylko narzędzia Khalula, Ferro. Imperatorzy przychodzą i odchodzą, ale Prorok trwa niezmiennie za ich plecami. Szepcze. Sugeruje. Rozkazuje. To on jest ci winien zapłatę.

– Khalul... tak.

Żercy wymienili to imię, Khalul. Prorok. Pałac imperatora pełen był kapłanów, wszyscy o tym wiedzieli. Także pałace gubernatorów. Kapłani byli wszędzie, roili się jak insekty. W miastach, w wioskach, między żołnierzami, bezustannie rozsiewając swoje kłamstwa. Szeptali. Sugerowali. Rozkazywali. Yulwei marszczył czoło, niezadowolony, ale Ferro wiedziała, że łysy starzec ma rację.

– Tak, pojmuję to!

– Pomóż mi, a ja pomogę ci dokonać zemsty, Ferro. Prawdziwej zemsty. Niejeden martwy żołnierz, nie dziesięciu, ale tysiące. Dziesiątki tysięcy! Być może sam imperator, kto wie? – Wzruszył ramionami i spojrzał w bok. – Mimo wszystko nie mogę cię do niczego zmusić. Wracaj na Pustkowie, jeśli pragniesz – kryj się, uciekaj i zagrzebuj się w ziemi jak szczur. Jeśli cię to zadawała. Jeśli jest to kres twojej zemsty. Żercy chcą cię teraz schwytać. Dzieci Khalula. Bez nas cię dopadną, i to prędzej niż później. Mimo wszystko wybór należy do ciebie.

Ferro zmarszczyła w zamyśleniu czoło. Wszystkie te lata spędzone w dziczy i na Pustkowiach, kiedy walczyła na śmierć i życie, bezustannie ścigana, nic jej nie przyniosły. Żadnej zemsty wartiej tego słowa. Gdyby nie Yulwei, już by nie istniała. Jej białe kości leżałyby na pustyni, a jej ciało

zamieniłoby się w mięso w brzuchach żerców. W klatce przed pałacem imperatora. Gniłaby.

Nie mogła powiedzieć „nie”, zdawała sobie z tego doskonale sprawę, ale jej się to nie podobało. Ten stary człowiek wiedział dokładnie, co ma jej do zaoferowania. Nienawidziła jednak, gdy pozbawiano ją jakiegokolwiek wyboru.

– Pomyślę o tym – oznajmiła.

I znów ten przelotny cień gniewu na twarzy starego człowieka.

– Więc pomyśl, tylko nie za długo. Żołnierze imperatora rosną w siłę, a czasu jest mało – uprzedził i wyszedł z pozostałymi z pokoju, zostawiając ją samą z Yulwei.

– Nie lubię tych różowych – wyznała dostatecznie głośno, by łysy starzec usłyszał ją na korytarzu, a potem dodała już ciszej: – Musimy z nim iść?

– Ty musisz. Ja wracam na Południe.

– Co?

– Ktoś musi obserwować Gurkhulczyków.

– Nie!

Yulwei zaczął się śmiać.

– Dwa razy próbowałaś mnie zabić. Raz próbowałaś przede mną uciec, a teraz, gdy odchodzę, pragniesz, bym pozostał? Trudno cię pojąć, Ferro.

Zmarszczyła czoło.

– Ten łysy mówi, że chce dać mi szansę zemsty. Kłamie?

– Nie.

– Więc muszę z nim iść.

– Owszem. Dlatego cię tu przywiodłem.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Wbiła wzrok w podłogę, ale Yulewi zaskoczył ją, podchodząc nagle bliżej. Uniósł dłoń, by osłonić się przed ciosem, ale on tylko objął ją ramionami i uściskał mocno. Dziwne uczucie. Być tak blisko kogoś. Czuć ciepło. Po chwili Yulewi odsunął się od niej, trzymając dłoń na jej barku.

– Podążaj śladami Boga, Ferro Maljiin.

– Hm. Nie mają tu Boga.

– Powiedz raczej, że mają wielu.

– Wielu?

– Nie zauważyłaś? Tutaj każdy człowiek czci samego siebie.

Przytaknęła. Wydawało się to bliskie prawdy.

– Bądź ostrożna, Ferro. I słuchaj Bayaza. Jest pierwszym z mego zakonu i nieliczni dorównują mu mądrością.

– Nie ufam mu.

Yulwei przysunął się bliżej.

– Nie każę ci mu ufać.

Uśmiechnął się i odwrócił. Patrzyła, jak podchodzi wolno do drzwi i znika w korytarzu. Usłyszała kroki bosych stóp na kamiennych płytach i ciche pobrzękiwanie bransolet na jego nadgarstkach.

Pozostawił ją samą z przepychem, ogrodami i różowymi.

# Starzy przyjaciele

Rozległo się głucho walenie do drzwi i Glokta poderwał głowę. Lewe oko zadrgało mu gwałtownie. „Kto u diabła dobija się do mnie o tej porze? Frost? Severard? Czy też ktoś inny? Superior Goyle, który przyszedł złożyć mi wizytę ze swoim cyrkiem dziwadła? Czyżby arcylektor Sult zmęczył się już swoją kaleką zabawką? Trudno powiedzieć, by ucztą przebiegła zgodnie z planem, a Jego Eminencja nie należy do tych, co zapominają. Ciało unoszone na falach niedaleko doków...”. Pukanie znów się rozległo. Głośne, pewne siebie. „Takie, które domaga się otwarcia drzwi, nim zostaną wyłamane”.

– Już idę! – zawołał łamiącym się odrobinę głosem, gdy wstawał na chwiejnych nogach zza stołu. – Już idę!

Chwycił swoją laskę i pokuśtykał do drzwi; wziął głęboki oddech i zaczął manipulować przy zasuwie.

Nie był to Frost ani Severard. Ani też Goyle czy jeden z jego dziwacznych praktyków. Był to ktoś o wiele bardziej nieoczekiwany. Glokta uniósł zdumiony brew, po czym oparł się o framugę drzwi.

– Major West, cóż za niespodzianka.

Czasem, gdy spotykają się starzy przyjaciele, wszystko staje się takie, jak przed laty. Powraca dawna zażyłość, nietknięta, jakby upływ czasu nigdy nie istniał. Zdarza się, ale teraz tak nie było.

– Inkwizytor Glokta – wymamrotał West, pełen wahania, nieporadny, zakłopotany. – Przepraszam, że niepokoję cię o tak późnej porze.

– Nic się nie stało – zapewnił Glokta z lodowatą oficjalnością. Major się niemal skrzywił.

– Mogę wejść?

– Oczywiście.

Glokta zamknął drzwi, a potem pokuśtykał w ślad za Westem do jadalni. Major wcisnął się w jedno z krzesel, a Glokta usadowił się na drugim. Siedzieli naprzeciwko siebie, nie odzywając się.

„Czego on u diabła chce o tej porze czy jakiegokolwiek innej?”.

Glokta przyglądał się uważnie twarzy majora w blasku ognia na kominku i pojedynczej migotliwej świecy. Teraz, kiedy widział Westa wyraźniej, uświadomił sobie, jak bardzo się zmienił.

„Wygląda staro”.

Włosy przerzedziły mu się na skroniach i posiwiały wokół uszu. Twarz miał bladą, ściągniętą, nieco zapadniętą.

„Sprawia wrażenie zmartwionego. Wycieńczonego. Bliskiego załamania”.

West powiódł wzrokiem po nędznym pokoju, nędznym ogniu, nędznym umeblowaniu; spojrzął ostrożnie na Głoktę, po czym wlepił szybko wzrok w podłogę. Nie krył zdenerwowania, jakby coś nie dawało mu spokoju.

„Nie czuje się swobodnie. I nic dziwnego”.

Nie wydawało się, by pierwszy zamierzał przerwać milczenie, więc Glokta zrobił to za niego.

– A więc ile to już lat minęło, he? Pomijając to nocne spotkanie w mieście, ale tego raczej nie liczymy, prawda?

Wspomnienie owego niefortunnego spotkania zawisło między nimi niczym kamień; po chwili West odchrząknął znacząco.

– Dziewięć lat.



– Dziewięć. Coś takiego. Od dnia, gdy staliśmy na tej grani, starzy przyjaciele, spoglądając ku rzece. W stronę mostu i tych wszystkich Gurkhulczyków po drugiej stronie. Wydaje się, jakby upłynęło całe życie, co? Dziewięć lat. Pamiętam, jak mnie błagałeś, by tam nie schodzić, ale nie chciałem słuchać. Jakim byłem głupcem, nieprawdaż? Sądziłem, że jestem naszą ostatnią szansą. Sądziłem, że jestem niepokonany.

– Ocaliłeś nas wszystkich tamtego dnia, ocaliłeś całą armię.

– Naprawdę? Jakie to wspaniałe. Śmiem twierdzić, że gdybym poległ na tym moście, wszędzie stałyby moje pomniki. Fatalnie, że się tak nie stało. Fatalnie dla wszystkich.

West skrzywił się i poruszył niespokojnie na krześle, sprawiając wrażenie jeszcze bardziej zakłopotanego.

– Szukałem cię potem... – wymamrotał.

„Szukałeś mnie? Jakież to szlachetne z twojej strony, do diabła. Prawdziwy przyjaciel. Niewiele mi to pomogło, kiedy ciągnęli mnie z nogą pociętą na miazgę. A to był dopiero początek”.

– Nie przyszedłeś tu, by rozmawiać o starych czasach, West.

– Nie... rzeczywiście. Przyszedłem w sprawie swojej siostry.

Glokta nie krył zdziwienia. Z pewnością nie takiej spodziewał się odpowiedzi.

– Ardee?

– Tak, Ardee. Wyruszam niebawem do Anglandu i... pomyślałem sobie, że być może mógłbyś się nią zaopiekować pod moją nieobecność. – Zamrugnął nerwowo. – Zawsze miałeś podejście do kobiet... Sand.

Glokta skrzywił się na dźwięk swojego imienia. Nikt już go tak nie nazywał.

„Nikt prócz mojej matki”.

– Zawsze wiedziałeś, co powiedzieć – ciągnął West. – Pamiętasz te trzy siostry? Jak brzmiały ich imiona...? Jadły ci z ręki. – West uśmiechnął się, ale Glokta nie mógł.

Pamiętał, ale wspomnienia były teraz słabe, bezbarwne, wyblakłe.

„Wspomnienia innego człowieka. Martwego człowieka. Moje życie zaczęło się w Gurkhulu, w więzieniu imperatora. Wspomnienia z tamtego czasu są o wiele żywsze. Leżałem po powrocie na łóżku jak trup, w ciemności, czekając na przyjaciół, którzy się nigdy nie zjawili”.

Spojrzał na Westa, świadomy swego lodowatego spojrzenia.

„Myślisz, że przekonasz mnie swoją szczerą twarzą i rozmową o dawnych czasach? Niczym dawno zaginiony pies, który wraca w końcu pełen ufności do domu? Nie zwiedzisz mnie. Cuchniesz, West. Rozsiewasz zapach zdrady. Tamto wspomnienie jest przynajmniej moje”.

Glokta odchylił się z wolna na swoim krześle.

– Sand dan Glokta – mruknął, jakby przypominając sobie kogoś, kogo kiedyś znał. – Co się z nim stało, West? Wiesz, z tym twoim przyjacielem, tym pełnym fantazji młodym człowiekiem, przystojnym i nieustraszonym? Obdarzonym magiczną umiejętnością zdobywania kobiet? Kochanym i szanowanym przez wszystkich, predestynowanym do wielkich rzeczy? Gdzie on się podział?

West odwrócił wzrok, zaskoczony i niepewny siebie, i milczał. Glokta nachylił się ku niemu, oparłszy dłonie o stół i rozchyliwszy wargi, by pokazać swe zniszczone usta.

– Jest martwy! Umarł na tamtym moście! A co pozostało? Pieprzona ruina z jego nazwiskiem! Kulawy, skradający się cień! Kaleki duch, przywierający do życia, tak jak do żebraka przywiera smród jego moczu. Nie ma przyjaciół, ten odrażający, cholerny wrak, i nie pragnie żadnych! Odejdź, West! Wracaj do Varuza, do Luthara i reszty tych pustogłowych łajdaków! Nie ma tu nikogo, kogo byś znał!

Usta Glokty drżały, zaślinione z odrazy. Nie bardzo wiedział, kim brzydzi się bardziej – Westem

czy sobą.

Major zamrugał, mięśnie jego szczęki poruszały się wolno. Podniósł się niepewnie od stołu.

– Przepraszam – rzucił przez ramię.

– Powiedz mi! – krzyknął Glokta, a major przystanął tuż przy drzwiach. – Tamci trzymali się mnie, dopóki byłem użyteczny, dopóki się piałem w górę. Zawsze o tym wiedziałem. Nie byłem szczególnie zdziwiony, że nie chcą mieć ze mną nic wspólnego, kiedy wróciłem. Ale ty, West... zawsze sądziłem, że jesteś lepszym przyjacielem niż oni, lepszym człowiekiem. Zawsze sądziłem, że przynajmniej ty – ty jeden – odwiedzisz mnie. – Wzruszył ramionami. – Okazało się, że jestem w błędzie.

Glokta odwrócił się, wlepiając spojrzenie w ogień, i czekał na dźwięk zamykanych drzwi.

– Nie powiedziała ci?

Glokta spojrzał na niego.

– Kto?

– Twoja matka.

Parsknął pogardliwie.

– Moja matka? Co miała mi powiedzieć?

– Przyszedłem do ciebie. Dwukrotnie. Jak tylko się dowiedziałem, że wróciłeś. Twoja matka odprawiła mnie spod bramy waszego majątku. Powiedziała, że jesteś zbyt chory, by przyjmować gości, i że tak czy owak nie chcesz mieć nic wspólnego z wojskiem, a zwłaszcza ze mną. Przyszedłem jeszcze raz, po kilku miesiącach. Wydawało mi się, że tyle przynajmniej jestem ci winien. Tym razem na spotkanie wyszedł mi służący. Potem się dowiedziałem, że wstąpiłeś do Inkwizycji i wyjechałeś do Anglandu. Przestałem o tobie myśleć... aż do spotkania... tamtej nocy w mieście... – West urwał niepewnie.

Upłynęła chwila, nim sens tych słów dotarł do Glokty; stwierdził, że ma szeroko otwarte usta.

„Takie proste. Żadnego spisku. Żadnej zdradzieckiej pajęczyny”.

Chciał się niemal roześmiać z głupoty swych podejrzeń.

„Moja matka odesłała go spod bramy, a ja nigdy nie podałem w wątpliwość tego, że nikt się nie zjawił. Zawsze nienawidziła Westa. Najbardziej nieodpowiedniego przyjaciela, stojącego tak niżej od jej ukochanego syna. Z pewnością winiła go za to, co się ze mną stało. Powinienem się wtedy domyślić, ale za bardzo upajałem się własnym bólem i goryczą. Za bardzo upajałem się swoją tragedią”.

Przełknął z wysiłkiem.

– Przyszedłeś do mnie?

West wzruszył ramionami.

– Jeśli ma to dla ciebie jakąkolwiek wartość...

„No cóż. Czy pozostaje nam coś innego niż podjąć próbę, by było lepiej?”.

Glokta zamrugał i odetchnął głęboko.

– Ja... e, przepraszam. Zapomnij o tym, co ci powiedziałem, jeśli możesz. Proszę. Usiądź. Mówiłeś coś o swojej siostrze.

– Tak, tak. O siostrze. – West wrócił niezgrabnie na swoje miejsce, spoglądając w podłogę. Na jego twarzy znów pojawił się ten grymas zatroskania i winy. – Niedługo wyruszamy do Anglandu i nie wiem, kiedy wrócę... albo czy w ogóle wrócę... Pozostanie w mieście bez przyjaciół i, no cóż... chyba ją raz spotkałeś, kiedy zjawiłeś się w naszym domu.

– Oczywiście, a także całkiem niedawno, prawdę powiedziawszy.

– Widziałeś ją?

– Tak. Z naszym wspólnym przyjacielem, kapitanem Lutharem.

West zrobił się jeszcze bledszy.

„Nie mówi mi wszystkiego”.

Ale Glokta nie chciał jeszcze narażać na szwank swej jedynej przyjaźni, nie w chwili, gdy się ledwie odrodziła. Zachował milczenie i po chwili major znów zaczął mówić.

– Życie... obeszło się z nią niezbyt łaskawie. Mogłem coś zrobić. Powinienem coś zrobić.

Wlepił żalosne spojrzenie w stół, a po twarzy przemknął mu odrażający spazm.

„Znam to. Jeden z moich faworytów. Obrzydzenie do samego siebie”.

– Ale woląłem zająć się czymś innym i próbowałem zapomnieć, udając, że wszystko jest w porządku. Cierpiała i to ja ponoszę za to winę. – Odkaslnął, potem przełknął nieporadnie. Czując, że zaczyna mu drżeć warga, zasłonił twarz rękami. – Moja вина... gdyby coś miało się jej stać.

Jego ramionami wstrząsnął bezgłośny szloch, a Glokta uniósł zdziwiony brwi. Był przyzwyczajony do widoku płaczących w jego obecności mężczyzn.

„Ale zwykle musiałem wpierw pokazać im swoje instrumenty”.

– Daj spokój, Collem, to do ciebie niepodobne. – Wyciągnął rękę nad stołem; niemal cofnął dłoń, ale w końcu poklepał niezgrabnie łkającego przyjaciela po ramieniu. – Popełniłeś pewne błędy, ale czyż wszyscy ich nie popełniamy? Należą do przeszłości i nie można ich cofnąć. Nic się nie da zrobić, można tylko starać się ich unikać, prawda?

„Co? Czy to ja mówię takie rzeczy? Inkwizytor Glokta, pocieszycielem strapionych?”.

West jednak był wyraźnie podniesiony na duchu. Uniósł głowę, wytarł ciekący nos i popatrzył z nadzieją na Gloktę wilgotnymi oczami.

– Masz rację, oczywiście. Muszę to naprawić. Muszę! Pomożesz mi, Sand? Zaopiekujesz się nią, kiedy mnie nie będzie?

– Zrobię dla niej, co w mojej mocy, Collem, możesz na mnie polegać. Byłem kiedyś dumny, mogąc nazywać cię swoim przyjacielem i... byłbym znowu dumny.

Wydawało się to dziwne, ale Glokta niemal czuł łzę w oku.

„Ja? Czy to możliwe? Inkwizytor Glokta, godny zaufania przyjaciel? Inkwizytor Glokta, protektor bezbronnych młodych kobiet?”.

Niemal wybuchnął śmiechem na tę myśl, a jednak była to prawda. Nigdy nie przypuszczał, że będzie potrzebował przyjaciela, ale musiał przyznać, że dobrze go mieć.

– Hollit – powiedział.

– Co?

– Te trzy siostry, nazywały się Hollit. – Zachichotał pod nosem na to wspomnienie, teraz już znacznie wyrazistsze. – Miały obsesję na punkcie szermierki. Uwielbiały ją. Może pociągał je zapach potu.

– Chyba właśnie wtedy postanowiłem ćwiczyć. – West wybuchnął śmiechem, a potem zmarszczył się, jakby próbując sobie coś przypomnieć. – Jak się nazywał nasz kwatermistrz? Zwariował na punkcie najmłodszej, szalał z zazdrości. Jak on się u diabła nazywał? Był gruby.

Glokta przypomniał sobie bez trudu.

– Rews. Salem Rews.

– Rews, właśnie! Zupełnie wyleciało mi z głowy. Rews! Potrafił opowiadać jak nikt inny. Siedzieliśmy całą noc i słuchaliśmy go, skręcając się ze śmiechu. Co się z nim stało, tak przy okazji?

Glokta milczał przez chwilę.

– Wydaje mi się, że odszedł z wojska... został jakimś kupcem. – Machnął lekceważąco ręką. – Słyszałem, że przeniósł się na północ.



# Z powrotem do ziemi

Carleon wyglądał inaczej, niż zapamiętał go Wilczarz, ale w końcu ostatni raz widział miasto w płomieniach. Takie wspomnienie czepia się uparcie człowieka. Zapadające się dachy, pękające okna, wszędzie tłumy wojowników spragnionych bólu, zwycięstwa i trunków – plądrowali, mordowali, podkładali ogień i robili całą resztę, niezbyt przyjemną. Wrzask kobiet, krzyki mężczyzn cuchnących dymem i strachem. Innymi słowy, jedna wielka grabież, on zaś i Logen w samym jej sercu.

Bethod ugasił pożary i uczynił miasto swoim. Wkroczył doń i zaczął odbudowę. Nie upłynęło dużo czasu, nim skazał Logena, Wilczarza i pozostałych na wygnanie, ale w pierw musieli budować. Teraz miasto było dwukrotnie większe niż kiedyś, nawet przed pożarem, zakrywając całe wzgórze i jego zbocza do samej rzeki. Większe niż Uffrith. Większe niż każde miasto, które Wilczarz kiedykolwiek widział. Tam, skąd patrzył, spomiędzy drzew po drugiej stronie doliny, nie mógł dostrzec ludzi, ale musiało być ich tam bez liku. Od bramy wiodły trzy nowe drogi. Dwa nowe mosty. Wszędzie nowe budynki, w miejsce zaś małych duże. Niezliczone. Wzniesione głównie z kamienia, dachy kryte gontem, nawet gdzieniegdzie szkła w oknach.

– Nie próżnowali – zauważył Trójdzwieć.

– Nowe mury – rzucił lakonicznie Ponurak.

– Całe mnóstwo – mruknął Wilczarz.

Wznosiły się wszędzie. Ten wielki biegł na zewnątrz, z wieżami i wszystkim, co potrzeba, i głębokim rowem u podnóża. Jeszcze większy otaczał wzgórze, gdzie niegdyś stał pałac Skarlinga. Potężna budowla. Wilczarz nie mógł się nadziwić, skąd wzięli tyle kamienia na jego wzniesienie.

– Największy cholerny mur, jaki kiedykolwiek widziałem – oznajmił. Trójdzwieć potrząsnął głową.

– Nie podoba mi się to. Jeśli złapią Forleya, nigdy go nie wydostaniemy.

– Jeśli Forleya złapią, to pozostanie nas pięciu, wodzu, i zaczną nas szukać. Nie jest zagrożeniem dla nikogo. My jesteśmy. Wydostanie go stamtąd będzie najmniejszym z naszych zmartwień. Da sobie radę, jak zwykle. Najpewniej przeżyje wszystkich z nas.

– Nie zdziwiłoby mnie to – mruknął Trójdzwieć. – Zajmujemy się niebezpieczną robotą.

Wśliznęli się z powrotem w zarośla i ruszyli w stronę obozu. Siedział tam Czarny Dow, zły bardziej niż kiedykolwiek. Także Tul Duru, który grzebał igłą w dziurze swego płaszcza ze zmarszczoną twarzą, ściskając w grubych palcach mały kawałek metalu. Forley przycupnął w pobliżu niego, patrząc przez liście na niebo.

– Jak się czujesz, Forley? – spytał Wilczarz.

– Źle, ale trzeba mieć w sobie strach, żeby znaleźć odwagę.

Wilczarz wyszczerzył do niego zęby.

– Tak słyszałem. Wychodzi na to, że obaj jesteśmy bohaterami, he?

– Pewnie tak – odparł Forley z uśmiechem.

Trójdzwieć myślał tylko o jednym.

– Jesteś pewien, Forley? Pewien, że chcesz tam iść? Jak już tam wleziesz, to może nigdy więcej się stamtąd nie wydostaniesz, nawet jeśli umiesz gadać jak mało kto.

– Jestem pewien. Może i robię po nogach ze strachu, ale idę. Bardziej się przydam tam niż tutaj. Ktoś musi ich ostrzec przed szankami. Wiesz o tym, wodzu. Kto inny mógłby to zrobić?

Starszy mężczyzna przytaknął, tak powoli, jak powoli wschodziło słońce. Potrzebował jak zwykle chwili na zastanowienie.

– Dobra. W porządku. Powiedz im, że czekam tutaj, przy starym moście. Powiedz im, że jestem sam. Tak na wypadek, gdyby Bethod nie ucieszył się na twój widok, rozumiesz?

– Rozumiem. Jesteś sam, Trójdrzewiec. Tylko my dwaj przedostaliśmy się przez góry.

Zebrali się teraz wszyscy, a Forley popatrzył na nich z uśmiechem.

– No cóż, bracia, kawał czasu spędziliśmy razem, co?

– Zamknij się, Najśłabszy – zmarszczył brwi Dow. – Bethod nic do ciebie nie ma. Wrócisz.

– Ale gdybym nie wrócił... spędziliśmy razem kawał czasu, co?

Wilczarz przytaknął niezręcznie. Widział te same, poznaczone bliznami brudne twarze co zawsze, ale teraz posępniejsze niż kiedykolwiek. Żaden z nich nie lubił, gdy jeden z nich narażał się na niebezpieczeństwo, ale Forley miał rację, ktoś musiał to zrobić, a on się najlepiej do tego nadawał. Czasem słabość jest lepszą tarczą niż siła, rozumował Wilczarz. Bethod był łajdakiem, ale niegłupim. Nadchodzili szankowie i trzeba było go ostrzec. Przy odrobinie szczęścia okazałby wdzięczność.

Zbliżyli się razem aż do granicy drzew, spoglądając w stronę ścieżki. Przechodziła przez most i wiała się w dół doliny. A stamtąd prowadziła do bram Carleonu. W głąb fortecy Bethoda.

Forley odetchnął głęboko, a Wilczarz klepnął go w ramię.

– Powodzenia, Forley. Powodzenia.

– I tobie niech szczęście sprzyja. – Ścisnął przez chwilę dłoń Wilczarza. – I wam wszystkim, chłopcy.

Odwrócił się i ruszył w stronę mostu z wysoko podniesioną głową.

– Powodzenia, Forley! – wrzasnął Czarny Dow, strasząc wszystkich przy okazji.

Najśłabszy stanął na moście i odwrócił się na chwilę, a potem uśmiechnął. I odszedł.

Trójdrzewiec wziął głęboki oddech.

– Szykować broń – powiedział. – Na wypadek, gdyby Bethod nie chciał posłuchać mądrej rady. I czekajcie na sygnał, jasne?

Czas włókł się niemiłosiernie, tu, między liśćmi, kiedy trzeba było siedzieć cicho i nieruchomo, i spoglądać na nowe mury. Wilczarz leżał na brzuchu, z łukiem pod ręką; obserwował, czekał i zastanawiał się, jak sobie radzi Forley. Długa, pełna napięcia chwila. I wtedy ich zobaczył. Jeźdźców wyłaniających się z najbliższej bramy – przegalopowali po moście i znaleźli się na drugim brzegu rzeki. Z tyłu ciągnął się wóz. Wilczarz nie bardzo rozumiał, do czego ma służyć, ale bardzo mu się to nie podobało. Ani śladu Forleya; nie był pewien, czy to dobry znak, czy też zły.

Nadjechali szybko, popędzając konie zboczem doliny, w górę stromej ścieżki, która biegła ku drzewom, strumieniowi i staremu kamiennemu mostkowi, który się wznosił nad wodą. Prosto na niego, Wilczarza. Słyszał tętent kopyt uderzających o ziemię. Znajdowali się dostatecznie blisko, by można było ich policzyć, i teraz przyjrzał im się dobrze. Włócznie, tarcze i solidne zbroje. Hełmy i kolczugi. Dziesięciu i jeszcze dwóch na wozie, po drugiej stronie rzeki; wieźli coś, co wyglądało jak małe łuki i kłoc drewna. Nie wiedział, co zamierzają zrobić, i nie był z tego powodu zadowolony. To on chciał ich zaskoczyć.

Wycofał się na brzuchu w zarośla, przebiegł strumień, rozchlapując wodę, i popędził ku drzewom, skąd miał dobry widok na stary most. Przy bliższym jego końcu stali Trójdrzewiec, Tul i Dow, a on pomachał do nich. Nie widział Ponuraka, musiał się pewnie chować gdzieś w krzewach. Wykonał gest oznaczający jeźdźców, podniósł pięść, co oznaczało „dziesięć”, a potem przyłożył sobie dłoń płasko do brzucha, dając do zrozumienia, że mają na sobie zbroje.

Dow chwycił swój topór i miecz, po czym ruszył biegiem w stronę potraskanych głazów obok mostu, nisko pochylony i bezgłośny. Tul ześliznął się po brzegu do strumienia, który na szczęście sięgał mu w tym miejscu do kolan, i przywarł potężnym ciałem do zewnętrznej strony przęsła, trzymając nad wodą wielki długi miecz. Wilczarz czuł się nieco podenerwowany, widząc olbrzyma tak wyraźnie, ale wierzył, że jeźdźcy go nie dostrzegą, jeśli nie zбочą ze ścieżki. W końcu spodziewali się tylko jednego człowieka i Wilczarz miał w duchu nadzieję, że nie będą zbyt ostrożni. Miał nadzieję, bo gdyby zechcieli dokładnie sprawdzić, to oznaczałoby to pieprzoną klęskę.

Widział, jak Trójdzwiecz zakłada sobie tarczę na ramię, dobywa miecza i wyciąga szyję, a potem stoi wyczekująco, wielki i zwalisty, zagradzając drogę przy bliższym końcu mostu, na pierwszy rzut oka sam jak palec.

Wilczarz słyszał teraz tętent wyraźnie, a także turkot powozu, dobiegający zza drzew. Wyciągnął kilka strzał i wbił je grotami w ziemię, by łatwo było po nie sięgnąć. Starał się stłumić w sobie strach. Palce drżały mu cały czas, ale nie miało to znaczenia. Wszyscy działali jak należy, gdy zachodziła taka potrzeba.

– Czekaj na sygnał – szepnął do siebie. – Czekaj na sygnał.

Założył drzewce na cięciwę i napiął łuk do połowy, celując w stronę mostu. Do diabła, cholernie chciało mu się lać.

Znad szczytu pagórka wyłoniło się ostrze pierwszej włóczni, potem kolejne. Podskakujące hełmy, opięte kolczugami piersi, łby końskie – jeźdźcy nieubłagani zbliżali się do mostu. Wóz ciągniony przez wielkiego kosmatego konia toczył się za nimi, z woźnicą i dwoma dziwnymi ludźmi.

Jeździec na czele zdążył już zobaczyć Trójdzwiewca ponad wybrzuszeniem mostu i ponaglił wierzchowca ostrogami. Wilczarz zaczął oddychać nieco swobodniej, gdy pozostali ruszyli za swoim wodzem zwartą grupą. Forley powiedział zapewne to, co mu przykazano – spodziewali się tylko jednego. Wilczarz zauważył, jak Tul wygląda zza omszałego przęsła, kiedy konie przegalopowały mu nad głową. Na spokój zmarłych, drżały mu dłonie. Bał się, że wypuści strzałę z na wpół napiętego łuku i wszystko popsuje.

Wóz zatrzymał się na drugim końcu mostu, dwaj jadący na nim ludzie wstali i wymierzili ze swych dziwnych łuków do Trójdzwiewca. Wilczarz wycelował do jednego z nich, mając go jak na dłoni, i naciągnął cięciwę do końca. Większość jeźdźców znajdowała się już na moście, ich konie płoszyły się i kręciły nerwowo, niezadowolone z tak niewielkiej przestrzeni. Jadący na przedzie wstrzymał swojego wierzchowca tuż przed Trójdzwiewcem i pochylił ku niemu włócznię. Ten jednak nie cofnął się nawet o krok. Każdy by się cofnął, ale nie on. Zmarszczył tylko czoło, zagradzając drogę jeźdźcom, którzy byli zmuszeni tłoczyć się na moście.

– Patrzcie, patrzcie – usłyszał Wilczarz słowa dowodzącego. – Rudd Trójdzwiecz. Myśleliśmy, że już dawno nie żyjesz, chłopie.

Znał ten głos. Należał do jednego z poddanych Bethoda, jeszcze z dawnych czasów. Nazywali go Dość-złym.

– Mam jeszcze chyba w sobie co nieco siły – odparł Trójdzwiecz, wciąż nie ustępując drogi.

Dość-zły rozejrzał się wkoło, spoglądając z uwagą na zarośla. Był na tyle rozsądny, by wiedzieć, że nie znajduje się w zbyt korzystnej sytuacji, ale mimo wszystko nie wykazywał przesadnej ostrożności.

– Gdzie pozostali? Gdzie ten pieprzony Dow, hę?

Trójdzwiecz wzruszył ramionami.

– Jestem sam.

– Z powrotem do ziemi, co? – Wilczarz niemal zobaczył, jak Dość-zły uśmiecha się pod swoim

hełmem. – Szkoda. Miałem nadzieję, że to ja zabiję tego brudnego łajdaka.

Wilczarz się skrzywił, oczekując niemal, że Dow wypadnie zza kamieni wprost na nich, ale nigdzie nie dostrzegł śladu towarzysza. Przynajmniej ten jeden raz czekał na sygnał.

– Gdzie jest Bethod? – spytał Trójdzwiecz.

– Król nie wychodzi na spotkanie takim jak wy! Zresztą, przebywa w Anglandzie, gdzie kopie w tyłek Unię. Rządy pod jego nieobecność sprawuje książę Calder.

Trójdzwiecz parsknął z pogardą.

– A więc jest teraz księciem? Pamiętam, jak ssał cycek matki. Nawet tego nie potrafił porządnie zrobić.

– Wiele się zmieniło, stary. Naprawdę wiele.

Na pamięć zmarłych, Wilczarz pragnął, by już się zaczęło, nieważne jak. Z trudem powstrzymywał mocz. „Czekaj na sygnał” – powtarzał sobie bezgłośnie, starając się zapanować nad drżeniem dłoni.

– Płaskogłowi są wszędzie – powiedział Trójdzwiecz. – Nadejdą od południa przed następnym latem, może nawet wcześniej. Trzeba coś zrobić.

– Może pójdziesz z nami, co? Sam będziesz mógł ostrzec Caldera. Wzięliśmy wóz z myślą o tobie. Człowiek w twoim wieku nie powinien dużo chodzić.

Kilku jeźdźców wybuchnęło śmiechem, ale Trójdzwiecz nie przyłączył się do nich.

– Gdzie Forley? – warknął. – Gdzie Najśłabszy?

Jeźdźcy znów parsknęli rozbawieni.

– Och, jest niedaleko – oznajmił Dość-zły. – Bardzo blisko. Wsiądź na wóz, to cię do niego zawieziemy. Potem będziemy mogli wszyscy usiąść i pogadać o płaskogłowych, spokojnie i przyjaźnie.

Wilczarzowi się to nie podobało. Ani trochę. Ogarnęło go nieprzyjemne uczucie.

– Bierzesz mnie chyba za głupca – oznajmił Trójdzwiecz. – Nigdzie nie pójde, dopóki nie zobaczę Forleya.

Dość-zły zmarszczył czoło.

– Nie tobie mówić, co mamy robić. Może i kiedyś był z ciebie kawał chłopca, ale teraz jesteś niczym, to pewne. Oddaj miecz i wsiadaj na ten cholerny wóz, tak jak ci rozkazuję, zanim stracę cierpliwość.

Próbował zmusić konia do zrobienia kroku, ale Trójdzwiecz nie zamierzał ustępować drogi.

– Gdzie jest Forley? – warknął. – Odpowiesz mi na to pytanie, bo inaczej wypruję ci flaki.

Dość-zły uśmiechnął się przez ramię na swoich towarzyszy, oni zaś odpowiedzieli mu tym samym.

– No dobra, stary, skoro prosisz. Calder chciał, żebyśmy z tym zaczekali, ale chętnie zobaczę twoją minę. Najśłabszy leży na wozie. Przynajmniej to, co z niego pozostało.

Znów się uśmiechnął i w tym momencie zrzucił coś przypiętego do siodła. Worek z jakąś zawartością. Wilczarz od razu się domyślił, co to jest. Pakunek upadł u stóp Trójdzwiewca. Ze środka coś się wytoczyło i Wilczarz zorientował się po twarzy swego wodza, że się nie pomylił. Głowa Forleya.

Nie było już na co czekać. Pieprzyć sygnał. Pierwsza strzała Wilczarza przeszła pierś jednego z ludzi na wozie; wrzasnął i runął bezwładnie na plecy, pociągając za sobą woźnicę. Grot ugodził celnie, ale Wilczarz nie miał czasu o tym myśleć, już zakładał drugą strzałę i krzyczał. Nie wiedział nawet co, zdawał sobie tylko sprawę, że krzyczy na całe gardło. Ponurak też musiał użyć swego łuku, gdyż jeden ze zbrojnych na moście zawył, spadł z konia i runął do strumienia.



Trójdrzewiec krył się na ugiętych kolanach za swoją tarczą, cofając się, podczas gdy Dość-zły starał się dźgnąć go włócznią. Kłuł konia ostrogami, by zmusić go do zejścia z mostu, na ścieżkę po drugiej stronie. Jeździec z tyłu przepychał się bokiem, też pragnąc jak najszybciej opuścić most, i zbliżał się do głązów.

– Przekłęci dranie!

Dow wskoczył na kamienie i runął najeźdźca. Spadli na ziemię zwarci w uścisku, splątane kłębowisko kończyn i ostrzy, ale Wilczarz mógł dojrzeć, że Dow jest na górze. Jego topór wznosił się i opadał raz za razem, szybki jak błyskawica. Jednego mniej.

Druga strzała Wilczarza ominęła cel, i to znacznie, za bardzo krzyczał, ale grot utkwiał w zadzie jednego z koni, co okazało się niezwykle korzystnym zrzędzeniem losu. Wierzchowiec zaczął się cofać i miotać, i niebawem wszystkie konie kręciły się w panice i rżały, ich jeźdźcy zaś przeklinali i chwiali się w siodłach, wymachując na wszystkie strony włóczniami; most zamienił się w ogłuszającą wrzawę i chaos.

Nagle jeden z jeźdźców na początku mostu został rozplątany na pół, tryskając krwią. To Grzmot wyskoczył ze strumienia i zaszedł ich od tyłu. Żadna zbroja nie powstrzymałaby takiego ciosu. Olbrzym ryknął i znów uniósł nad głową długie skrwawione ostrze. Drugi wojownik zdążył zasłonić się tarczą, ale równie dobrze mógł tego nie robić. Miecz odrąbał z niej wielki kawał, rozplątał mu głowę i rzucił z siodła. Cios był tak potężny, że zwałił z nóg samego wierzchowca.

Jeden ze zbrojnych zdołał obrócić konia i uniósł włócznię, by dźgnąć Tula z boku. Nim zdążył to zrobić, jęknął i wygiął gwałtownie plecy. Wilczarz dostrzegł pierzaste lotki sterczące z jego boku. Musiał trafić go Ponurak. Jeździec zwałił się na ziemię. Jego stopa utkwiała w strzemieniu; kołysał się, zwisając głową w dół. Jęczał, zawodził i próbował się wyprostować, ale teraz jego koń zaczął szaleć, tak jak pozostałe wierzchowce. Wojownik obracał się bezradnie, uderzając głową o kamienną balustradę mostu. Wypuścił z rąk włócznię, która wpadła do strumienia. Próbował się dźwignąć, ale koń kopnął go w ramię i uwolnił ze strzemienia. Jeździec runął pod młócające kopyta i Wilczarz przestał zwracać na niego uwagę.

Drugi łucznik wciąż siedział na wozie. Zdążył się już otrząsnąć z pierwszego przerażenia i teraz mierzył ze swego dziwnego łuku do Trójdrzewca, wciąż przykucniętego za tarczą. Wilczarz posłał w niego strzałę, ale spieszył się za bardzo, wrzeszcząc przy tym, i grot ominął cel, trafiając woźnicę w ramię, a ten zerwał się i runął z powrotem do tyłu.

Rozległ się śpiew cięciwy dziwnego łuku i Trójdrzewiec szarpnął się gwałtownie do tyłu za swoją tarczą. Wilczarz odczuwał przez chwilę niepokój, potem zobaczył, że strzała przebiła ciężkie drewno i przeszła na wylot, zatrzymując się tuż przed twarzą Trójdrzewca. Tkwiła w tarczy, lotki z jednej strony, grot z drugiej. Mały groźny łuk, pomyślał Wilczarz.

Usłyszał ryk Tula i ujrzał, jak kolejny jeździec leci do strumienia. Inny runął ze strzałą Ponuraka w plecach. Dow odwrócił się i ciął mieczem tylne nogi konia pod Dość-złym; zwierzę zachwiało się i przysiadło, zrzucając jeźdźca na ziemię. Dwaj ostatni wojownicy znaleźli się w potrzasku – z jednej strony drogę zagradzali Dow i Trójdrzewiec, z drugiej Tul, na moście zaś tłoczyły się przerażone konie, nie pozwalając na jakikolwiek ruch – i był jeszcze Ponurak ukryty w zaroślach. Wydawało się, że nie przejawia wobec wrogów jakiegokolwiek litości; nie upłynęło dużo czasu, nim ich trafił, strącając z wierzchowców.

Ten z łukiem próbował uciec; odrzucił swą broń i zeskoczył z wozu. Tym razem Wilczarz wymierzył starannie i jego strzała dosięgła łuczника między łopatkami, zwałając na ziemię, nim zdołał uczynić kilka kroków.

Przez chwilę próbował się czołgać, ale nie na wiele się to zdało. Woźnica znów ukazał swoją

twarz; jęczał i próbował wyjąć sobie strzałę z ramienia. Wilczarz zwykle nie dobijał ugodzonych ludzi, ale uznał, że ten dzień jest wyjątkowy. Trafił woźnice prosto w usta, co dokończyło sprawę.

Zobaczył, jak jeden z jeźdźców kuśtyka ze strzałą Ponuraka w nodze, i wymierzył do niego. Jednak Trójdrzewiec dopadł go pierwszy i wbił mu miecz w plecy. Ruszał się jeszcze jeden, dźwigając na kolana, i Wilczarz znów wycelował. Nim zdążył puścić cięciwę, do wojownika zbliżył się Dow i odciął mu głowę. Wszędzie krew. Tłoczące się konie, rżące z przerażenia, ślizgające się na mokrych kamieniach mostu.

Wilczarz dostrzegł teraz Dość-złego, ostatniego z żywych. Musiał stracić swój hełm, kiedy spadł z wierzchowca. Brnął w strumieniu na czworakach, przygnieciony ciężarem zbroi i kolczugi. Wcześniej wypuścił z dłoni tarczę i włócznię, by łatwiej było mu uciekać, ale nie uświadamiał sobie, że zmierza wprost na Wilczarza.

– Brać go żywcem! – wrzasnął Trójdrzewiec.

Tul zsuwał się po brzegu, ale szło mu powoli, ślizgał się w błocie.

– Brać go żywcem!

Dow też biegł za wojownikiem, rozchlapując wodę i przeklinając. Dość-zły był teraz dostatecznie blisko. Wilczarz słyszał pełne strachu sapanie, kiedy ten człowiek brnął z biegiem strumienia.

– Aaa! – zawył, gdy strzała Wilczarza wbiła mu się z głuchym dźwiękiem w nogę, tuż pod brzegiem kolczugi. Runął bokiem na brzeg, błotnista woda zabarwiła się czerwienią jego krwi. Zaczął wspinać się po mokrej darni.

– Wystarczy, Wilczarz! – krzyknął Trójdrzewiec. – Żywcem!

Wilczarz wynurzył się spomiędzy drzew, zsunął po brzegu i ruszył przez wodę. Wyciągnął nóż. Tul i Dow wciąż znajdowali się w pewnej odległości, spiesząc ku niemu. Dość-zły przekręcił się w błocie, twarz miał wykrzywioną grymasem bólu, jaki sprawiała mu strzała tkwiąca w nodze. Podniósł dłonie.

– W porządku, w porządku ja... ghhh...

– Co chciałeś powiedzieć? – spytał Wilczarz, spoglądając na niego z góry.

– Ghi... – wycharczał znowu, szczerze zdumiony, trzymając się za gardło. Spomiędzy palców płynęła mu krew i broczyła na mokrą kolczugę.

Dow podbiegł do nich, rozchlapując wodę, i przystanął.

– No i koniec – oznajmił.

– Po coś to zrobił? – wrzasnął Trójdrzewiec, zbliżając się pospiesznie.

– Hę? – zdziwił się Wilczarz. Potem spojrzął na swój nóż, cały zakrwawiony. – Ach.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że to właśnie on poderznął gardło Dość-złemu.

– Mogliśmy go przepytac! – powiedział Trójdrzewiec. – Mógł zanieść wiadomość Calderowi, przekazać mu, kto to zrobił i dlaczego.

– Ocknij się, wodzu – mruknął Tul Duru, który ocierał już miecz z krwi. – Nikt nie zważa na dawne obyczaje. Zresztą niedługą ruszą za nami. Po co mają wiedzieć więcej niż potrzeba?

Dow poklepał Wilczarza po ramieniu.

– Słusznie zrobiłeś. Głowa tego drania starczy za wiadomość. Wilczarz nie był do końca pewien, czy zależy mu na pochwiele ze strony Dowa, ale uznał, że jest trochę za późno na takie rozważania. Dow potrzebował dwóch cięć, by odrąbać głowę Dość-złego. Ruszył przed siebie, trzymając ją niedbale za włosy, jakby chodziło o worek rzepy. Po drodze wyszarpnął z dna strumienia jedną z włóczni i znalazł odpowiednie miejsce.

– Nic już nie jest takie jak dawniej – mruknął Trójdrzewiec, ruszając w stronę mostu, gdzie

Ponurak już grzebał przy ciałach.

Wilczarz podążył za nim i spojrzął na Dowa, który zatknął głowę Dość-złego na włócznię, wbił tępy koniec w ziemię, po czym cofnął się, oparłszy ręce na biodrach, by podziwiać swe dzieło. Po chwili przesunął drzewce trochę w prawo, potem w lewo, aż w końcu uznał, że stoi prosto. Uśmiechnął się do Wilczarza.

– Doskonale – oznajmił.

– Co teraz, wodzu? – spytał Tul. – Co teraz?

Trójdrzewiec stał pochylony nad brzegiem i obmywał w strumieniu skrwawione dłonie.

– Co robimy? – spytał Wilczarz.

Stary wojownik wyprostował się powoli, otarł dłonie o płaszcz i poświęcił dłuższą chwilę na rozmyślania.

– Idziemy na południe. Po drodze pogrzebiemy Forleya. Weźmiemy te konie, bo tamci ruszą za nami, i skierujemy się na południe. Tul, lepiej wyprzęgnij tego, który ciągnął wóz, tylko on cię udźwignie.

– Na południe? – spytał Grzmot, nie rozumując. – Gdzie dokładnie?

– Angland.

– Angland? – spytał Wilczarz, pewien, że wszyscy się nad tym zastanawiają. – Po co? Przecież tam walczą.

– Jasne, że walczą, dlatego zamierzam tam dotrzeć.

Wilczarz zmarszczył czoło.

– My? Co mamy przeciwko Unii?

– Nic, durniu – odparł Trójdrzewiec. – Zamierzam walczyć razem z nimi.

– Z Unią? – zdumiał się Tul, krzywiąc wargi. – U boku tych cholernych kobiet? To nie nasza wojna, wodzu!

– Każda wojna przeciwko Bethodowi jest teraz moją wojną. Chcę zobaczyć jego koniec.

Wilczarz, zastanowiwszy się, nie przypominał sobie, by Trójdrzewiec zmienił kiedykolwiek zdanie. Ani razu.

– Kto idzie ze mną? – spytał ich wódz.

Wszyscy. Nie podlegało to dyskusji.

\* \* \*

Padał deszcz. Rzadki deszcz, od którego cały świat nasiąkał wilgocią. Miękki niczym pocałunek dziewicy, powiadali, choć Wilczarz z trudem sobie przypominał, jak taki smakuje. Deszcz. Wydawał się odpowiedni w tej sytuacji. Dow uporał się z usypywaniem ziemi; pociągnął nosem i wbił łopatę obok mogiły. Znajdowali się daleko od drogi. Spory kawał. Nie chcieli, by ktokolwiek znalazł grób i wykopał Forleya. Zebrali się wszyscy wokół pagórka, spoglądając w dół. Upłynęło dużo czasu, od kiedy musieli pochować kogoś spośród siebie. Szankowie dopadli Logena, niezbyt dawno, ale oni nigdy nie znaleźli ciała. Zabrakło tylko jednego, ale Wilczarz miał wrażenie ogromnej pustki.

Trójdrzewiec zmarszczył czoło, zastanawiając się nad tym, co powiedzieć. Na szczęście był wodzem i musiał znaleźć jakieś słowa, bo Wilczarzowi nie przychodziło nic do głowy. Po chwili Trójdrzewiec zaczął mówić, powoli jak gasnące światło o zachodzie słońca.

– To był słaby człowiek, ten, który tu leży. Najsłabszy, to prawda. Takie nosił imię i teraz jest to

śmiechu warte. Najgorszy wojownik, jakiego można znaleźć i jaki poddał się Dziewięciopalcemu. Słaby wojownik, bez wątpienia, ale silne serce, powiadam.

– Tak – mruknał Ponurak.

– Silne serce – potwierdził Tul Duru.

– Najsilniejsze – wymamrotał Wilczarz. Czuł w krtani grudeę, szczerze powiedziawszy.

Trójdzwiecz przytaknał.

– Potrzeba odwagi, żeby spotkać śmierć, tak jak on ją spotkał. Wyruszyć ku niej bez słowa skargi. I to nie dla siebie, ale dla innych, których nawet nie znał. – Trójdzwiecz zacisnął zęby i zamilkł, wpatrując się w ziemię, tak jak pozostali. – To wszystko, co mam do powiedzenia. Z powrotem do ziemi, Forley. My zbiednieliśmy, ale ona jest bogatsza.

Dow przyklęknął i położył dłoń na świeżo wykopanej glebie.

– Z powrotem do ziemi – powiedział.

Wilczarz myślał przez chwilę, że jego towarzyszowi spływa z nosa łza, ale musiała to być tylko kropla deszczu. Bądź co bądź, to był Czarny Dow; podniósł się i odszedł ze spuszczoną głową w stronę koni, inni zaś ruszyli po kolei za nim.

– Żegnaj, Forley – rzekł Wilczarz. – Nie będzie już więcej strachu.

Przyszło mu do głowy, że teraz on jest największym tchórzem z nich wszystkich.

# Ból i cierpienie

Jezal zmarszczył czoło. Ardee się spóźniała. A przecież nigdy się nie spóźniała. Zawsze była na miejscu, kiedy się zjawiał, gdziekolwiek się umówili. Nie lubił na nią czekać, ani trochę. Zawsze musiał czekać na jej listy, a już samo to było dla niego trudne do zniesienia. Kiedy tak stał tu jak skończony idiota, zdawało mu się jeszcze bardziej, że jest niewolnikiem.

Popatrzył na szare niebo. Pojawiły się zwiastuny deszczu, jakby w odpowiedzi na jego posępny nastrój. Czuł od czasu do czasu ukłucie kropel na twarzy. Widział, jak rzucają kręgi na wodę jeziora i spadają bladymi strużkami na tle zieleni drzew i szarości budynków. Otaczały mglistością ciemny kształt Domu Stwórcy. Popatrzył na budynek ze szczególną niechęcią.

Nie bardzo wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Cała ta sprawa przypominała teraz jakiś gorączkowy koszmar senny, on zaś, jak to w przypadku koszmaru, postanowił ją zignorować i udawać, że nigdy się nie wydarzyła. Może by mu się to udało, tyle że ten przeklęty budynek trwał bezustannie gdzieś w polu jego widzenia, ilekroć wychodził na ulicę, przypominając mu, że świat jest pełen tajemnic, których nie pojmował, a które kryją gdzieś pod powierzchnią.

– Niech to diabli – mruknął. – I niech diabli tego wariata Bayaza.

Popatrzył na mokre trawniki. Deszcz odstraszał ludzi od parku, który wydawał mu się teraz bardziej pusty niż kiedykolwiek. Na ławkach siedzieli dwaj smutni mężczyźni, pławiąc się w swoich osobistych tragediach, po ścieżkach przemykali nieliczni przechodnie, spieszący skądś dokądś. Jeden z nich zmierzał teraz w jego stronę, owinięty czarną peleryną.

Troska zniknęła z twarzy Jezala. To była ona, wiedział o tym. Ukryła twarz pod kapturem. Dzień był co prawda zimny, ale mimo wszystko wydawało się to nieco przesadne. Nigdy nie podejrzewał, że należy do ludzi, którzy czuliby się zniechęceni z powodu lekkiego deszczu. Był jednak zadowolony, widząc ją. Śmiesznie zadowolony. Uśmiechnął się i ruszył pospiesznie w jej stronę. Kiedy dzieliło ich kilka kroków, zarzuciła sobie kaptur na plecy.

Jezal sapnął z przerażenia. Na policzku miała wielki liliowy siniec, także wokół oka i w kącie ust! Stał przez chwilę przykuty do miejsca i żałował w jakiś niemądry sposób, że to nie on jest tak pokiereszowany. Ból byłby wówczas znacznie mniejszy. Uświadomił sobie, że zaciska dłońią usta i że wybałusza oczy jak mała dziewczynka na widok pająka w wannie, ale nie mógł się powstrzymać.

Ardee się tylko skrzywiła.

– Co? Nie widziałeś nigdy sińca?

– Owszem, ale... nic ci nie jest?

– Oczywiście, że nic. – Wyminęła go i ruszyła przed siebie ścieżką, a on musiał ją dogonić. – To nic takiego. Upadłam, nie ma o czym mówić. Niezgrabna idiotka ze mnie. Zawsze taka byłam. Całe życie.

Wydawało mu się, że powiedziała to z jakąś goryczą.

– Mogę ci w czymś pomóc?

– A w czym? Pocałowałbyś mnie bardziej czule?

Gdyby byli sami, nie miałby nic przeciwko temu, ale wyczytał bez trudu z jej twarzy, co o tym myśli. Wydawało się to dziwne: te sińce powinny go zniechęcać, ale tak nie było. Ani trochę. Co więcej, odczuwał niemal nieprzepartą chęć, by wziąć ją w ramiona, pogłaskać jej włosy, wyszeptać słowa pocieszenia. Żalotne. Zapewne dałaby mu w twarz, gdyby tego spróbował. Prawdopodobnie

by na to zasłużył. Nie potrzebowała jego pomocy, poza tym nie mógł jej dotknąć. Wokół byli ludzie, do diabła, wszędzie spoglądały jakieś oczy. Nigdy nie wiadomo, kto może patrzeć. Ta myśl przyprawiała go o niepokój.

– Ardee... czy nie ryzykujemy za bardzo? Chodzi mi o to, że gdyby twój brat miał...

Parsknęła.

– Zapomnij o nim. Nic nie robi. Powiedziałam mu, żeby nie wtrącał się w moje sprawy.

Jezal uśmiechnął się mimowolnie. Musiała to być niezwykle zabawna scena, tak sobie przynajmniej wyobrażał.

– Poza tym słyszałam, że wyruszenie niebawem do Anglandu, a nie mogłam pozwolić, byś odszedł bez pożegnania, prawda?

– Nie zrobiłbym tego! – odparł z takim samym przerażeniem, jakie odczuł na jej widok. – Już prędzej mogliby wypłynąć beze mnie!

– Hm.

Szli przez chwilę w milczeniu, spacerując wzdłuż brzegu jeziora, oboje ze wzrokiem wbitym w ziemię. Nie było to jak dotąd słodko-gorzkie pożegnanie, które sobie wcześniej wyobrażał. Tylko gorzkie. Znaleźli się między wierzbnami, których gałęzie zwieszały się do samej wody. Było to odosobnione miejsce, zakryte przed ciekawskim wzrokiem postronnych. Jezal uznał, że doskonale nadaje się do tego, co pragnął powiedzieć. Zerknął na nią ukradkiem i wziął głęboki oddech.

– Ardee, e, nie wiem, jak długo mnie nie będzie. Przypuszczam, że może to potrwać nawet miesiące... – Zagryzł wargę. Nie wychodziło mu tak, jak zamierzał. Ćwiczył sobie tę przemowę ze dwadzieścia razy, spoglądając w lustro, aż uzyskał właściwy wyraz twarzy: poważny, pewny siebie, odrobinę błagalny. Teraz jednak słowa płynęły z jego ust w sposób głupi i nieprzemyślany. – Mam nadzieję, że, to znaczy, mam nadzieję, że będziesz na mnie czekać?

– Zapewne tu pozostanę. Nie mam nic innego do roboty. Ale nie martw się, będziesz miał się nad czym zastanawiać w Anglandzie – wojna, honor, chwała i tak dalej. Wkrótce o mnie zapomnisz.

– Nie! – krzyknął, chwytając ją za ramię. – Nie, nie zapomnę!

Cofnął pospiesznie dłoń, obawiając się, że ktoś może zobaczyć. Przynajmniej patrzyła teraz na niego, być może nieco zaskoczona jego gorącym zaprzeczeniem – choć nie tak bardzo jak on sam.

Spoglądał na nią z góry. Była z pewnością ładną dziewczyną, ale zbyt ciemną, zbyt opaloną, zbyt bystrą, ubraną prosto i skromnie, bez biżuterii, w dodatku miała paskudny siniec na twarzy. Nie wzbudziłaby większego zainteresowania w kasynie oficerskiej. Jakim cudem wydawała mu się najpiękniejszą kobietą na świecie? Księżniczka Terez w porównaniu z nią była brudnym psem. Poczul, jak umykają mu celne słowa; przemówił bez zastanowienia, patrząc jej prosto w oczy; może na tym właśnie polegała szczerłość.

– Posłuchaj Ardee, wiem, że uważasz mnie za osła i, co tu dużo mówić, zdaję sobie sprawę, że nim jestem, ale nie zamierzam pozostać taki na zawsze. Nie wiem nawet, dlaczego w ogóle patrzysz na mnie, i nie znam się na tym za bardzo, ale... myślę o tobie cały czas. Prawie nie myślę o czymkolwiek innym. – Znowu odetchnął głęboko. – Sądzę... – Rozejrzał się wkoło, by mieć pewność, że nikt nie patrzy. – Sądzę, że cię kocham!

Zaniosła się śmiechem.

– Naprawdę jesteś osłem – oznajmiła.

Rozpacz. Był całkowicie zdruzgotany. Z rozczarowania utkwiał mu oddech w krtani. Twarz wykrzywił mu grymas; spuścił bezwiednie głowę i wbił wzrok w ziemię. W oczach zaśniły mu łzy. Najprawdziwsze łzy. Żalotne.

– Ale będę czekała.

Radość. Wezbrała mu gwałtownie w piersi i wybuchnęła cichym dziecinnym szlochem. Był bezradny. Śmieszne, jaką władzę miała nad nim ta dziewczyna. Uosabiała różnicę między bólem a szczęściem. Znow się roześmiała.

– Spójrz na siebie, głuptasie. – Wyciągnęła rękę i starła mu kciukiem łzę z policzka. – Będę czekać – powiedziała i uśmiechnęła się do niego tym swoim krzywym uśmiechem.

Ludzie gdzieś zniknęli, tak jak park i cały świat. Jezal patrzył na Ardee, nie wiedział nawet jak długo, starając się powierzyć swej pamięci każdy szczegół jej twarzy. Czuł z jakiegoś powodu, że ten uśmiech pomoże mu przetrwać niejedno.

\* \* \*

W dokach było gwarno, nawet jak na doki. Nabrzeża roiły się od ludzi, powietrze drgało od ich wrzawy. Po rozchybotanych trapach wlewał się do wnętrz statków strumień żołnierzy i zaopatrzenia. Dźwigano skrzynie, toczono beczki, ciągnięto i wpychano na pokłady setki koni o wybałuszonych oczach i spienionych pyskach. Robotnicy portowi stękali i jęczeli, ciągnąc mokre liny, dźwigając mokre belki, pocąc się i krzycząc w ulewnym deszczu, ślizgając się na mokrych pokładach, biegając tam i z powrotem w nieogarniętym chaosie.

Wszędzie widać było ludzi, którzy się obejmowali, całowali, machali do siebie. Żony żegnały się z mężami, matki z synami, dzieci z ojcami, wszyscy jednakowo przemoczeni. Niektórzy silili się na spokój, inni płakali i szlochali, a jeszcze inni zachowywali całkowitą obojętność: widzowie, którzy zjawili się tylko po to, by oglądać owo szaleństwo.

Nie miało to żadnego znaczenia dla Jezala wychylającego się poza naruszony zębem czasu reling statku, którym miał popłynąć do Anglandu. Ogarnął go straszliwie posępny nastrój, ciekło mu z nosa, mokre włosy kleiły się do głowy. Ardee nie było tutaj, a jednocześnie była wszędzie. Zdawało mu się, że słyszy jej głos ponad tą wrzawą, głos wołający jego imię. Że dostrzega ją kątem oka, jak spogląda na niego, a wtedy oddech wiązał mu w gardle. Uśmiechał się i unosił dłoń, by jej pomachać, a potem dostrzegał, że to nie ona. Jakaś inna ciemnowłosa kobieta, którą uśmiechała się do innego żołnierza. Znow garbił ramiona. Za każdym razem rozczarowanie sprawiało mu więcej bólu.

Uświadomił sobie teraz, że popełnił straszliwy błąd. Dlaczego u diabła prosił ją, by czekała na niego? Czekala na co? Nie mógł się z nią ożenić, to nie ulegało wątpliwości. Było wykluczone. Ale myśl, że mogłaby choćby spojrzeć na innego mężczyznę, przyprawiała go o mdłości. Był nieszczęśliwy.

Miłość. Przyznawał to z najwyższą niechęcią, nie mogło być inaczej. Zawsze traktował to określenie z pogardą. Głupie słowo. Odpowiednie dla kiepskich poetów i ich nudnych wersów, dla głupich kobiet i ich bezmyślnych rozmów. Miłość, którą można było znaleźć w dziecinnych opowieściach i która nie miała nic wspólnego z prawdziwym światem, gdzie relacje między mężczyznami i kobietami sprowadzały się do pieprzenia i pieniędzy. A jednak tkwił tu, pogrążony w bagnie strachu i winy, pożądania i zagubienia, straty i bólu. Miłość. Co za przekleństwo.

– Chciałbym zobaczyć Ardee – mruknął tęsknie Kaspas. Jezal odwrócił się i spojrzał na niego.

– Co? Co powiedziałeś?

– Miło na nią popatrzeć – odparł porucznik, podnosząc dłonie. – To wszystko.

Od czasu pamiętnej gry w karty Jezal był traktowany z niejakim respektem, jakby mógł wybuchnąć w każdej chwili.

Jezal znów spojrzął z posępną miną na tłumy w dole. Dostrzegł tam jakieś zamieszanie. Przez ciżbę przedzierał się samotny jeździec, ponagłając spienionego konia okrzykiem „Jazda!”. Nawet w deszczu skrzydła przy jego hełmie połyskiwały. Herold królewski.

– Złe wieści dla kogoś – mruknął Kaspia.

Jezal przytaknął.

– Wygląda, że dla nas.

Herold rzeczywiście zmierzał w stronę ich statku, pozostawiając za sobą szlak skonsternowanych i zagniewanych żołnierzy i robotników portowych. Zeskoczył z siodła i ruszył zdecydowanym krokiem po trapie, kierując się ku Jezalowi i Kaspie; twarz miał zaciętą, wypolerowana zbroja lśniła wilgocią i pobrzękiwała przy każdym ruchu.

– Kapitan Luthar? – spytał.

– Tak – odparł Jezal. – Zawołam pułkownika.

– Nie trzeba. Mam wiadomość dla pana.

– Dla mnie?

– Wysoki sędzia Marovia chce pana widzieć w swoim gabinecie. Bezzwłocznie. Byłoby najlepiej, gdyby wziął pan mojego wierzchowca.

Jezal zmarszczył zdziwiony czoło. Nie podobało mu się to wszystko. Nie widział powodu, dla którego herold królewski miałby przynosić mu wiadomości, pomijając odwiedziny w Domu Stwórcy. Nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Pragnął zostawić to w przeszłości, zapomniane wraz z Bayazem, człowiekiem z Północy i tym odrażającym kaleką.

– Wysoki sędzia czeka, kapitanie.

– Tak, oczywiście.

Wydawało się, że nic nie można na to poradzić.

\* \* \*

– Ach, kapitan Luthar! To zaszczyt dla mnie, że znów się spotykamy!

Jezal bez szczególnego zdziwienia wpadł na tego szaleńca Sulfura, nawet tutaj, niedaleko apartamentów sędziego. Człowiek ten nie wydawał się już nawet obłąkany, po prostu stanowił część świata, który zwariował.

– Cóż za honor! – rozplęwał się z zadowolenia.

– Mogę powiedzieć to samo – mruknął Jezal.

– Mam szczęście, że cię złapałem, wzięwszy pod uwagę fakt, że wyruszacie tak niedługo! Mój mistrz zawsze zleca mi zadania wszelkiego rodzaju. – Westchnął głęboko. – Ani chwili spokoju, co?

– Tak, wiem, co masz na myśli.

– Mimo wszystko to zaszczyt znów cię widzieć, zwycięzcę turnieju! Oglądałem cały pojedynek, to prawdziwy przywilej być świadkiem czegoś takiego. – Uśmiechnął się szeroko, oczy o odmiennych barwach błysnęły. – I pomyśleć, że zamierzałeś porzucić szermierkę. Ha! Ale wytrwałeś, tak jak ci przepowiedziałem! Tak, wytrwałeś, a teraz zbierasz owoce! Kraniec świata – wyszeptał, jakby wypowiedzenie tych słów głośno mogło sprowadzić klęskę. – Kraniec świata. Możesz sobie wyobrazić? Zazdroszczę ci, doprawdy!

Jezal zamrugnął zdumiony.

– Co?



– Co! Ha! Pyta „co?”. Jesteś nieustraszony, sir! Nieustraszony!

I Sulfur pomaszerował przez mokry plac Marszałków, chichocząc pod nosem. Jezal był tak zaskoczony, że zapomniał go nazwać idiotą, gdy tamten znalazł się już poza zasięgiem jego głosu.

Jeden z wielu urzędników Marovii poprowadził go pustymi, odbijającymi echo korytarzami do ogromnych drzwi. Zatrzymał się przed nimi i zapukał. Gdy odpowiedziano głośno z drugiej strony, nacisnął klamkę i pchnął jedno ze skrzydeł, odsuwając się grzecznie na bok, by Jezal mógł przejść.

– Może pan wejść – powiedział cicho po dłuższej chwili.

– Tak, tak, oczywiście.

W przepastnej komnacie panowała niesamowita cisza. Umeblowanie tej wielkiej, wyłożonej drewnem przestrzeni było dziwnie skromne i wydawało się ogromne, jakby przeznaczone dla ludzi znacznie większych od Jezala. Miał wrażenie, że zjawił się na własnej rozprawie.

Sędzia Marovia siedział za ogromnym stołem o wypolerowanej olśniewająco powierzchni, uśmiechając się do Jezala uprzejmie, choć z nieco współczującą miną. Marszałek Varuz siedział po jego lewej stronie, wpatrując się pełnym winy wzrokiem w swoje niewyraźne odbicie. Jezal nie podejrzewał, że może poczuć się jeszcze bardziej przygnębiony, ale ujrzawszy trzeciego z obecnych, uświadomił sobie, że się mylił. Bayaz, z tym swoim uśmieszkiem zadowolenia na ustach. Poczul nagły przyływa paniki, gdy zamknęły się za nim drzwi: cichy brzęk zamka przypominał mu głuchy łomot rygła w celi więziennej.

Bayaz wstał z krzesła i obszedł stół.

– Kapitanie Luthar, tak się cieszę, że mogłeś się do nas przyłączyć. – Stary człowiek ujął wilgotną dłoń Jezala obiema rękami i ścisnął mocno, prowadząc go w głąb pokoju. – Dziękuję za przybycie. Szczerze dziękuję.

– Tak, oczywiście – wymamrotał Jezal, jakby miał jakikolwiek wybór.

– No cóż, zastanawiasz się zapewne, o co tu chodzi. Pozwól, że ci wyjaśnię. – Cofnął się i oparł o krawędź stołu, jak wyrozumiały wuj, który zamierza porozmawiać z dzieckiem. – Ja i kilku dzielnych kompanów – ludzi wybranych, pojmujesz, ludzi wartościowych – wyruszamy w wielką podróż! Nie wątpię, że w razie powodzenia będą o tym opowiadać przez długie lata. Przez wiele lat. – Bayaz zmarszczył pytająco brwi. – Co ty na to?

– E... – Jezal zerknął nerwowo na Marovię i Varuza, ale nie zdołał wyczytać czegokolwiek z ich twarzy. – Jeśli mogę?

– Oczywiście, Jezal – wolno mi się tak do ciebie zwracać?

– Tak, oczywiście, chyba tak. Chodzi o to, że... zastanawiałem się, co to ma wszystko wspólnego ze mną?

Bayaz uśmiechnął się.

– Brakuje nam człowieka.

Zapadła długa, ciężka cisza. Z głowy Jezala spłynęła kropla wody, zsunęła się po włosach, skapnęła z nosa i uderzyła o posadzkę pod jego stopami. Poczul, jak pełźnie po nim dreszcz przerażenia, od wnętrza aż po koniuszki palców.

– Mnie? – spytał chrapliwym głosem.

– Droga będzie długa i trudna, najprawdopodobniej najeżona niebezpieczeństwami. Mamy tam wrogów, ty i ja. Więcej, niż sobie wyobrażasz. Któż bardziej by się do tego nadawał niż uznany szermierz, taki jak ty? Sam zwycięzca turnieju!

Jezal przełknął.

– Doceniam propozycję, mówię to szczerze, ale obawiam się, że muszę odmówić. Moje miejsce jest w armii. – Postąpił niepewnym krokiem w stronę drzwi. – Muszę ruszać na Północ. Mój statek

odpływa niedługo...

– Obawiam się, że już odpłynął, kapitanie – powiedział Marovia, którego ciepły głos wstrzymał Jezala w miejscu. – Nie musi pan się już o to troszczyć. Nie popłynie pan do Anglandu.

– Ależ Wasza Ekscelencjo, moja kompania...

– Znajdzie sobie innego dowódcę – przerwał mu z uśmiechem sędzia: wyrozumiąły, pełen współczucia, ale straszliwie nieubłagany. – Doceniam pańskie uczucia, naprawdę, ale uważamy tę sprawę za pilniejszą. Jest rzeczą bardzo ważną, by ktoś reprezentował w niej Unię.

– Niezwykle ważną – mruknął Varuz bez przekonania.

Jezal spojrział na trzech starych ludzi. Nie było ucieczki. A więc tak wyglądała jego nagroda za zwycięstwo w turnieju? Jakaś zwariowana wyprawa w towarzystwie stetryczalego starca i bandy dzikusów? Jakże żałował w tej chwili, że w ogóle zajął się szermierką! Że kiedykolwiek ujrzał na oczy stal! Ale żal nie zdał mu się teraz na nic. Nie było wyjścia.

– Muszę służyć swemu krajowi... – wymamrotał.

Bayaz roześmiał się.

– Krajowi można służyć inaczej, mój chłopcze, niż jako trup na stosie zwłok, gdzieś na dalekiej i zimnej Północy. Wyruszamy jutro.

– Jutro? Ale moje rzeczy...

– Nie martw się, kapitanie – przerwał mu stary człowiek, po czym odsunął się od stołu i poklepał Jezala po ramieniu. – Wszystko jest załatwione. Twoje bagaże zniesiono ze statku, nim odbił od brzegu. Masz dzisiejszy wieczór na to, by zabrać kilka niezbędnych rzeczy, ale uprzedzam, że będziemy wędrować bez zbytniego obciążenia. Nie zapomnij zabrać pary porządnych butów. Żadnych mundurów, niestety, gdyż mogłyby przyciągnąć niepożądaną uwagę tam, dokąd się wybieramy.

– Nie, oczywiście – odparł Jezal żałośnie. – A dokąd się wybieramy... jeśli wolno spytać?

– Na kraniec świata, mój chłopcze, na kraniec świata! – Oczy Bayaza błysnęły. – I z powrotem, oczywiście... mam nadzieję.

# Krwawy-dziewięć

Jedno można było powiedzieć o Logenie Dziewięciopalcym, a mianowicie to, że był szczęśliwy. Wreszcie wyjeżdżali. Pomijając niejasne wzmianki o Starym Imperium i krańcu świata, nie miał pojęcia, dokąd się wybierają, i nie obchodziło go to zbytnio. Wszędzie, byle z dala od tego przeklętego miejsca. Im szybciej, tym lepiej.

Ostatni człowiek z ich grupy najwyraźniej nie podzielał jego doskonałego nastroju. Luthar, dumny młody człowiek spod bramy. Ten, który wygrał grę na miecze dzięki oszustwu Bayaza. Ledwie wypowiedział dwa słowa od chwili, gdy się zjawił. Stał tylko przy oknie, sztywny jakby kij połknął, z twarzą kamienną i kredowo białą.

Logen podszedł do niego. Jeśli człowiek zamierza z kimś podróżować i być może walczyć u jego boku, to najlepiej wpierw porozmawiać i pośmiać się, jeśli to możliwe. W ten sposób można zyskać zrozumienie, a potem zaufanie. Zaufanie jest tym, co łączy każdą grupę, a tam, w dziczy, może to oznaczać różnicę między życiem a śmiercią. Zdobycie takiego zaufania wymaga czasu i wysiłku. Logen uznał, że najlepiej zacząć od razu, poza tym był w doskonałym nastroju, stanął więc obok Luthara i spojrzął na park, starając się znaleźć jakiś wspólny grunt, na którym udałoby się zasiać ziarno niezbyt prawdopodobnej przyjaźni.

– Pięknie tu. – Wcale nie uważał, by tak było, ale nic innego nie przyszło mu do głowy.

Luthar odwrócił się od okna i obrzucił Logena niezbyt grzecznym spojrzeniem.

– Co ty o tym wiesz?

– Wydaje mi się, że myśli jednego człowieka są warte tyle, ile myśli drugiego.

– Hm! – parsknął zimno młody człowiek. – Przypuszczam, że pod tym względem się różnimy.

Logen odetchnął głęboko. Zaufanie musiało jeszcze poczekać. Zostawił Luthara samemu sobie i dla odmiany spróbował z Quaiem, ale uczeń nie rokował wielkich nadziei: siedział zgrabiony na krześle i spoglądał obojętnie. Logen usiadł obok niego.

– Nie cieszysz się, że wracasz do domu?

– Dom – wymamrotał młodzieniec drewnianym głosem.

– Tak, Stare Imperium... czy gdziekolwiek.

– Nie wiesz, jak tam jest.

– Mógłbyś mi powiedzieć – podsunął Logen, mając nadzieję usłyszeć coś o pełnych spokoju dolinach, miastach, rzekach i innych rzeczach.

– Krew. Leje się tam krew, nie obowiązują żadne prawa, a życie jest tanie jak garść ziemi.

Krew, bezprawie. Brzmiało to nieprzyjemnie znajomo.

– Nie ma tam jakiegoś imperatora czy kogoś podobnego?

– Jest ich wielu, bezustannie toczą między sobą wojny, zawierają sojusze, które trwają tydzień, dzień albo godzinę, nim któryś się zdecyduje dźgnąć drugiego w plecy. Kiedy upada jeden imperator, pojawia się inny, potem jeszcze inny, a tymczasem ludzie pozbawieni nadziei i odarci z wszelkiej własności żywią się padliną i grabią na obrzeżach. Miasta podupadają, wielkie dzieła przeszłości zamieniają się w ruinę, zasiewów nikt nie zbiera i ludzie głodują. Rozlew krwi i zdrada, od setek lat. Waśnie sięgają tak głęboko, są tak splątane, że tylko nieliczni potrafią się zorientować, kto nienawidzi kogo, a nikt nie wie dlaczego. Powody przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Logen podjął ostatnią próbę.

– Nigdy nie wiadomo. Może się tam polepszyło.

– Dlaczego? – wymamrotał uczeń. – Dlaczego?

Logen zastanawiał się nad odpowiedzią, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie. Był to Bayaz, który rozejrzał się ze zmarszczonym czołem po pokoju.

– Gdzie jest Maljinn?

Quai przełknął niepewnie.

– Wyszła.

– Widzę, że wyszła! Mówiłem ci chyba, żebyś ją tu zatrzymał!

– Nie powiedziałaś mi, jak mam to zrobić – mruknął uczeń. Jego mistrz zignorował te słowa.

– Co się stało z tą przekłętą kobietą? Musimy wyruszyć, nim wybije południe! Znam ją ledwie trzy dni, a już przyprawia mnie o rozpacz! – Zacisnął zęby i wziął głęboki oddech. – Znajdź ją, Logenie, dobrze? Znajdź ją i sprowadź tu.

– A jeśli nie będzie chciała wrócić?

– Nie wiem, chwyć ją i przynieś! Możesz ją kopać przez całą drogę, jeśli o mnie chodzi.

Łatwo powiedzieć, ale Logenowi nie podobało się to za bardzo. Jeśli jednak trzeba było to zrobić, nim mogli wyruszyć w drogę, to najlepiej było zabrać się do tego od razu. Westchnął, wstał z krzesła i ruszył do drzwi.

\* \* \*

Logen przycisnął się do ściany skąpanej w mroku, obserwując uważnie. „Do diabła” – wyszeptał. Że też musiało się to stać właśnie teraz, kiedy mieli wyruszyć w drogę. Ferro stała dwadzieścia kroków dalej, wyprostowana, z groźniejszym niż zwykle grymasem na ciemnej twarzy. Otaczali ją trzech ludzie. Zamaskowani, w czarnych szatach. Trzymali kije za plecami, ukrywając je przed wzrokiem, ale Logen nie miał żadnych wątpliwości, co zamierzają zrobić. Słyszał, jak jeden z nich mówi, właściwie syczy przez maskę, że kobieta ma się z nimi gdzieś udać, spokojnie i bez hałasu. Zmarszczył czoło. Wiedział, że Ferro nigdy się na to nie zgodzi.

Zastanawiał się, czy nie powinien umknąć stąd i zawiadomić pozostałych. Trudno było powiedzieć, by lubił zbytnio tę kobietę, w każdym razie nie na tyle, by dać sobie dla niej rozwalić łeb. Ale gdyby ich tu zostawił, trzech przeciwko jednej, to najprawdopodobniej stłukliby ją na miazgę – choć była twarda – nim zdążyłby wrócić, i zawlekli w niewiadome miejsce, on zaś nigdy nie wydostałby się z tego miasta.

Zaczął oceniać odległość, rozmyślając, jak najlepiej ich zaatakować, i wając swoje szanse, ale już od dawna nie zajmował się prawdziwą robotą i jego umysł pracował leniwie. Wciąż się zastanawiał, gdy Ferro rzuciła się nagle na jednego z tamtych, drąc się z całej siły, i przewróciła go na plecy. Udało jej się wymierzyć mu kilka zajadłych ciosów pięścią w twarz, nim dwaj pozostali chwycili ją i odciągnęli na bok.

– Niech to diabli – syknął Logen.

Tamci troje zmagali się ze sobą – zataczali się na ulicy, obijali o ściany domów, stękali i przeklinali, kopali i uderzali pięściami, jedno wielkie kłębowisko wymachujących kończyn. Wydawało się, że nadeszła pora na działanie. Logen zacisnął zęby i ruszył biegiem w stronę walczących.

Ten, który leżał na ziemi, dźwignął się na nogi, otrząsając się z oszołomienia, podczas gdy dwaj

pozostali próbowali za wszelką cenę obezwładnić Ferro. Teraz uniósł wysoko swój kij, odchylając się do tyłu, gotów walnąć ją w głowę. Logen wydał z siebie przerażający ryk. Zamaskowany człowiek obrócił się gwałtownie, na jego twarzy malowało się zaskoczenie.

– He? – zdążył tylko rzucić.

Logen wpakował mu łokieć w żebra, unosząc go w górę i ciskając z powrotem na ziemię. Kątem oka dostrzegł, że ktoś zamierza się na niego kijem, ale wiedział, że jego przeciwnik jest zaskoczony i że cios nie będzie miał w sobie siły. Przyjął uderzenie na ramię, pochylił się błyskawicznie i walnął zamaskowanego mężczyznę pięścią, najpierw jedną, potem drugą, nie żałując siły. Tamten zatoczył się do tyłu, wymachując ramionami. Nim zdążył upaść, Logen chwycił go za czarny płaszcz, uniósł wysoko w górę i rzucił brutalnie na ścianę.

Mężczyzna w czerni osunął się z głuchym charkotem i zwałił bezwładnie na bruk. Logen odwrócił się błyskawicznie z zaciśniętymi pięściami, ale ten trzeci leżał już na brzuchu, przygnieciony przez Ferro, która wpakowała mu kolano w plecy i teraz odciągała jego głowę za włosy i waliła nią o bruk ulicy, wykrzykując niezrozumiałe przekleństwa.

– Coś ty u diabła zrobiła? – krzyknął, chwytając ją za łokieć i odciągając na bok.

Wyrwała się i stanęła zdyszana, przyciskając pięści do boków i brocząc krwią z nosa.

– Nic – warknęła.

Logen cofnął się przezornie.

– Nic? Więc o co poszło?

Wycedziła tym swoim paskudnym akcentem, jakby spluwała na niego słowami:

– Nie... wiem.

Otarła dłonią usta z krwi i nagle znieruchomiała. Logen zerknął przez ramię. Wąską ulicą nadbiegało trzech zamaskowanych mężczyzn.

– Do diabła.

– Uciekaj, różowy!

Ferro odwróciła się i rzuciła przed siebie biegiem. Co innego mógł zrobić? Ruszył za nią. Była to przerażająca ucieczka ściganych – pędzili bez tchu, łapiąc spazmatycznie powietrze, czując mrowienie na plecach w oczekiwaniu na cios, otoczeni zewsząd echem kroków tych, którzy ich gonili.

Po obu stronach migwały wysokie białe budynki, okna, drzwi, posągi, ogrody. Także ludzie, którzy uskakiwali z krzykiem albo przyciskali się do ścian domów. Nie miał pojęcia, gdzie są i dokąd biegną. Z jakiegoś wejścia wynurzył się człowiek z plikiem papierów w ramionach. Zderzyli się i runęli na ziemię, tarzając się w rynsztoku, otoczeni fruującymi kartkami.

Próbował wstać, ale paliły go nogi. Nie widział! Twarz zakrywał mu kawałek papieru. Zerwał go gwałtownym ruchem i poczuł, jak ktoś chwyta go pod ramię i ciągnie.

– Wstawaj, różowy! Szybko!

Nie była nawet zdyszana. Logen miał wrażenie, że za chwilę rozerwie mu płuca, kiedy starał się dotrzymać jej kroku, ale oddalała się nieubłaganie, biegnąc z pochyloną głową i niemal unosząc się w powietrzu.

Wpadła w jakąś bramę i Logen popędził za nią, potem skręcił gwałtownie i o mało się nie przewrócił. Wielka zacieniona przestrzeń, drewniane rusztowanie sięgające niebotycznie wysoko, niczym las kwadratowych belek. Gdzie się u licha znaleźli? Ujrzał przed sobą plamę jasnego światła. Wkroczył w nią, mrugając. Ferro stała tuż obok. Obracała się z wolna i oddychała z wysiłkiem. Znajdowali się pośrodku niewielkiego trawiastego kręgu.

Już wiedział, co to jest. Arena, gdzie siedział pośród tłumów i oglądał tę zabawę z mieczami.

Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się puste ławki. Między nimi kręcili się cieśle, którzy piłowali i stukali młotkami. Już rozebrali na kawałki kilka tylnych rzędów i teraz wsporniki wystrzelały samotnie w niebo, niczym gigantyczne żebra. Oparł dłonie o roztrzęsione kolana i schylił się nisko, łapiąc powietrze i plując na ziemię.

– Co... teraz?

– Tędy.

Logen wyprostował się z wysiłkiem i powlókł za nią, ale nagle zawróciła.

– Nie tędy!

Logen ich zobaczył. Znowu zamaskowane postaci w czerni. Przewodziła im kobieta, wysoka, ze sterczącymi rudymi włosami. Zbliżyła się bezgłośnie do trawiastego kręgu, niemal na palcach, i dała znak dwóm pozostałym, by zajęli miejsca po bokach i otoczyli go. Logen rozejrzał się w poszukiwaniu jakiejś broni, ale nie dostrzegł niczego – tylko puste ławki i wysokie mury w głębi. Ferro cofała się tyłem w jego stronę, w odległości niespełna dziesięciu kroków, a za nią dostrzegł jeszcze dwóch zamaskowanych osobników, którzy obchodzili krąg z kijami w dłoniach. Pięciu. Razem pięciu.

– Do diabła – powiedział.

\* \* \*

– Co u licha ich tak długo zatrzymuje? – warknął Bayaz, chodząc nerwowo tam i z powrotem.

Jezal nigdy wcześniej nie widział, by stary człowiek okazywał irytację, i z jakiegoś powodu czuł głęboki niepokój. Ilekroć się zbliżał, Jezal pragnął się cofnąć.

– Idę wziąć kąpiel, niech się dzieje, co chce. Być może upłyną miesiące, nim będę mógł sobie na to pozwolić. Miesiące!

Bayaz wyszedł zdecydowanym krokiem z sali i zatrzasnął za sobą drzwi łazienki, pozostawiając Jezala sam na sam z uczniem.

Byli zapewne w podobnym wieku, ale poza tym nie mieli ze sobą nic wspólnego, o ile Jezal mógł się zorientować, dlatego też spoglądał na młodego człowieka z nieukrywaną pogardą. Wydawał mu się chorowity, wykrętny, żaloszny, typ moła książkowego. Było to żaloszne, kiedy tak się dąsał i snuł bez celu. I niegrzeczne. Diabelnie niegrzeczne. Jezal wściekał się w milczeniu. Za kogo się ten arogancki szczeniak uważał? Czym się tak zamartwiał? To nie jemu skradziono nagle życie.

Jezal mimo wszystko uważał, że mógł trafić znacznie gorzej, zostając sam na sam z kimś innym. Na przykład z tym prostakiem z Północy, który posługiwał się nieudolną, bełkotliwą mową. Albo z tą wiedźmą z Gurkhulu, która gapiła się diabelskimi żółtymi oczami. Wzdrygnął się. Ludzie wybrani, powiedział Bayaz. Wybuchnąłby śmiechem, gdyby nie był bliski płaczu.

Rzucił się na wyściełane poduszkami krzesło o wysokim oparciu, ale nie znalazł w tym ukojenia. Jego przyjaciele byli w drodze do Anglandu, a on już za nimi tęsknił. Za Westem, Kaspą, Jalenhormem, nawet tym łajdakiem Brintem. Zdążali ku chwale i sławie. Podejrzewał, że kampania dobiegnie końca, nim on zdoła wrócić z jakiejś przeklętej dziury, gdzie zamierzał zabrać go ten stary szaleniec, jeśli w ogóle zdoła wrócić. Kto wie, kiedy zdarzy się następna wojna, następna szansa sławy?

Jak bardzo żałował, że nie jedzie walczyć z Północnymi. Jak bardzo żałował, że nie jest z Ardee. Wydawało mu się, że upłynął wiek od chwili, gdy czuł się szczęśliwy. Jego życie było

okropne. Okropne. Siedział obojętnie na krześle, zastanawiając się, czy mogłoby być jeszcze gorsze.

\* \* \*

– Gha! – zacharczał Logen, gdy kij rąbnął go w rękę, inny w ramię, jeszcze inny w bok. Zataczał się do tyłu, niemal na kolanach, broniąc się w miarę możliwości przed ciosami. Słyszał, jak gdzieś za jego plecami krzyczy Ferro, z wściekłości czy z bólu, nie mógł się zorientować, za bardzo był zajęty własną sytuacją.

Coś walnęło go w głowę, tak mocno, że poleciał na trybuny. Runął na twarz i poczuł na piersi uderzenie ławki pierwszego rzędu; stracił oddech. Po czaszce spływała mu krew, miał ją na dłoniach i w ustach. Oczy łzawiły od uderzenia w nos, kłykcie były zdarte i zakrwawione, niemal tak poszarpane jak jego ubranie. Leżał przez chwilę, zbierając resztki sił. Za ławką dostrzegł gruby i długi kawałek drewna. Chwycił jego koniec. Nie był do niczego przytwierdzony. Przyciągnął drewno do siebie. Dobrze leżało mu w dłoni. I było odpowiednio ciężkie.

Wciągnął przez zęby powietrze, zdobywając się na jeszcze jeden wysiłek. Poruszył nieznacznie rękami i nogami, na wszelki wypadek. Niczego mu nie połamali – z wyjątkiem być może nosa, ale nie byłby to pierwszy raz. Usłyszał za plecami zbliżające się kroki. Powolne, ostrożne.

Dźwignął się niespiesznie, udając oszołomienie. Nagle wydał z piersi dziki ryk i odwrócił się błyskawicznie, biorąc zamach swoją deską. Pękła w połowie na ramieniu zamaskowanego człowieka ze straszliwym trzaskiem, odłupany kawałek poleciał na ziemię. Uderzony wydał stłumiony jęk i osunął się z zaciśniętymi powiekami; jedną ręką trzymał się za szyję, druga zwisała bezwładnie, kij wysunął się z palców. Logen uniósł krótki kawałek drewna i walnął tamtego w twarz. Przeciwnik szarpnął gwałtownie głową i zwałił się na ziemię z rozerwaną maską, spod której trysnęła krew.

Nagle głowa Logena rozbłysła straszliwym światłem. Osunął się na kolana. Ktoś uderzył go w potylicę. Z całej siły. Chwiał się przez chwilę, nie chcąc upaść na twarz, gdy nagle wszystko znów nabrało ostrości. Stała nad nim rudowłosa kobieta, która uniosła wysoko swój kij.

Logen dźwignął się i runął na nią, chwyciwszy ją za ramię, na wpół ciągnąc i na wpół pchając. Dzwoniło mu w uszach, świat wirował szaleńczo. Zataczali się, ciągnąc wściekle za kij niczym dwoje pijaków walczących o butelkę, tam i z powrotem w kręgu trawy. Poczuł, jak kobieta uderza go w bok drugą ręką. Silne ciosy, prosto w żebra.

– Agh! – zaskrzeczał, ale już przejaśniało mu się w głowie, kobieta zaś była znacznie lżejsza od niego.

Wykręcił jej na plecach uzbrojoną w kij rękę. Znow go uderzyła, tym razem w twarz, przez sekundę widział gwiazdy, ale po chwili złapał ją także za drugi nadgarstek, przygwoździł dłoń i przegiął kobietę przez kolano.

Kopała i wykręcała się, jej oczy przypominały wąskie szparki, które miały wściekle błyskawice, ale Logen trzymał ją mocno. Uwolnił prawą rękę z płataniny kończyn, uniósł wysoko pięść i wpakował w jej brzuch. Wydała z siebie bezdźwięczny świst i zwiotczała, wybałuszając oczy. Odepchnął ją od siebie, ona zaś odczołgała się o krok czy dwa, ściągnęła maskę i zaczęła wymiotować na trawę.

Logen zatoczył się i zachwiał, potrząsając głową. Splunął krwią i ziemią na murawę. Prócz rzygającej kobiety w trawiastym kręgu leżały jak długie cztery czarne kształty. Jeden z nich pojękiwał cicho, kopany raz za razem przez Ferro. Miała twarz ubrudzoną krwią, ale się uśmiechała.

– Wciąż żyję – wymamrotał do siebie Logen. – Wciąż...

W zwieńczonej łukiem bramie pojawili się inni. Odwrócił się czym prędzej, niemal tracąc równowagę. Z drugiej strony też nadchodzili, jeszcze czterech. Zrozumiał, że znaleźli się w pułapce.

– Uciekaj, różowy! – wrzasnęła Ferro, minęła go biegiem i wskoczyła na pierwszą ławkę, potem na drugą, na trzecią, pokonując je wielkimi susami.

Szaleństwo. Dokąd zamierzała się dostać? Rudowłosa przestała rzygać i teraz pełzła w stronę swojego kija. Pozostali zbliżali się szybko, było ich więcej niż kiedykolwiek. Ferro pokonała już jedną czwartą wysokości trybun, skacząc z ławki na ławkę. Deski grzechotały i trzeszczały pod jej stopami.

– Do diabła.

Logen ruszył za nią. Pokonawszy kilka rzędów, poczuł, jak nogi palą go żywym ogniem. Zrezygnował z zamiaru, by biec między nimi, i zaczął się na nie w miarę możliwości wspinać. Przeskakując przez oparcia, widział zamaskowanych ludzi na dole – gonili ich, nie spuszczali z oka, wskazywali palcami, krzyczeli, rozbiegali się po trybunach.

Zwolnił teraz. Każda ławka wydawała mu się górą. Najbliższego człowieka w masce dzieliło od niego kilka rzędów. Wspinał się coraz wyżej, czaszka łomotała mu echem jego własnego oddechu, skóra piekła od potu i strachu. Nagle wyrosła przed nim pusta przestrzeń wypełniona powietrzem. Zatrzymał się zdyszany i zamachał rękami, balansując na krawędzi przepaści, która przyprawiała o zawrót głowy.

Znajdował się blisko wysokich dachów, które pokrywały budynki za trybuną, ale większość górnych ławek z tyłu została już usunięta; zostały po nich tylko pojedyncze filary połączone wąskimi belkami, w dole zaś pusta i głęboka przestrzeń. Patrzył, jak Ferro przeskakuje z jednego filara na drugi, a potem biegnie po rozkołysanej desce, jakby nie bacząc na przepaść pod swymi stopami. Wskoczyła na płaski dach po drugiej stronie, wysoko nad jego głową. Wydawało mu się to strasznie daleko.

– Do diabła – rzucił przez zaciśnięte zęby i wszedł na najbliższą deskę, wyciągnawszy szeroko ramiona dla utrzymania równowagi, po czym zaczął posuwać się ostrożnie, szurając stopami niczym starzec. Serce waliło mu jak młot kowala o kowadło, kolana trzęsły się od długiej wspinaczki po trybunach. Starał się nie zwracać uwagi na krzyki i tupot ludzi za plecami i tylko patrzył na pokrytą sękami powierzchnię belki, ale nie mógł spojrzeć w dół, by nie zobaczyć pajęczyny drewnianych rusztowań i maleńkich kamiennych płyt dziedzińca w dole. Przerazająco daleko.

Wydostał się na jakiś taras, którego jeszcze nie zdążyli rozebrać, i pobiegł na jego koniec, tupocząc o deski. Podciągnął się na belkę nad głową, usiadł na niej okrakiem i zaczął się posuwać na tyłku, szepcząc do siebie raz za razem: „Wciąż żyję”. Najbliższy człowiek w masce zdołał już dotrzeć do tarasu i teraz biegł w stronę Logena.

Belka kończyła się na szczycie pionowego słupa; kwadratowa powierzchnia, szeroka na stopę, może dwie. Dalej pustka. Dwa kroki powietrza. Potem znów kwadrat na szczycie niebotycznie wysokiego masztu. Wreszcie deska prowadząca na płaski dach. Z jego krawędzi spoglądała na niego Ferro.

– Skacz! – krzyknęła. – Skacz, ty różowy draniu!

Skoczył. Poczuł wokół siebie pęd wiatru. Jego lewa stopa wylądowała na kwadracie drewna, ale się nie zatrzymał i trafił prawą stopą w deskę. Poczuł, jak skręca mu się kostka, a kolano ugina pod nim. Przyprawiający o zawrót głowy świat zakołysał się gwałtownie. Lewa stopa uderzyła o drewno, ale niecelnie, połową swej powierzchni. Deska zatrzęszczała. Znalazł się w powietrzu, wymachując rękami i nogami. Zdawało mu się, że trwa to wiecznie.



– Uf!

Murek na krawędzi dachu uderzył go w pierś. Logen zaczepił o niego rękami, ale nie miał już tchu w piersiach. Zaczął zsuwać się w dół, straszliwie powoli, kawałeczek po kawałeczku. Najpierw zobaczył dach, potem swoje dłonie, a potem tylko kamienne bloki ściany.

– Pomocy – wyszeptał, ale żadna pomoc nie nadeszła.

W dół prowadziła daleka droga, wiedział o tym. Daleka droga i żadnej wody, w której można by wylądować. Tylko twardy, płaski, śmiertelnie groźny kamień. Usłyszał jakiś grzechot. Ten w masce przechodził po desce w ślad za nim. Usłyszał czyjś krzyk, ale nie miało to już żadnego znaczenia. Zsunął się jeszcze trochę, jego palce drapały bezradnie kruszejącą zaprawę.

– Pomocy – wycharczał, ale nie miał mu kto pomóc. Był tylko ten w masce i Ferro, a żadne z nich nie wydawało się zbyt uczynne.

Usłyszał trzask i rozpaczliwy krzyk. Ferro kopnęła deskę i zamaskowany człowiek runął w dół. Wrzask cichł z wolna, zdawało się bardzo długą chwilę, wreszcie urwał się wraz z przytłumionym odgłosem uderzenia. Ciało człowieka w masce zamieniło się w miazgę, napotykając ziemię na swej drodze, i Logen wiedział, że pójdzie w jego ślady. Trzeba patrzeć trzeźwo na takie rzeczy. Tym razem nie było mowy o wydostaniu się na brzeg rzeki. Jego palce ślizgały się, powoli, zaprawa, która spajała kamienie, zaczęła odpadać. Walka, ucieczka, wspinaczka po trybunach, wszystko to pozbawiło go sił i teraz już nic nie pozostało. Zastanawiał się, jaki dźwięk wyda z siebie, kiedy będzie leciał w powietrzu.

– Pomocy – wymamrotał.

Na jego nadgarstku zamknęły się mocne palce. Ciemne, brudne palce. Usłyszał stęknienie, poczuł, jak ktoś mocno ciągnie go za rękę. Jęknął. Przed jego oczami znów pojawił się murek na krawędzi dachu. Zobaczył teraz Ferro; zaciskała zęby, oczy miała przymknięte z wysiłku, na szyi widać było naprężone żyły, blizna na ciemnej twarzy płonęła niemal czerwienią. Złapał się murku drugą ręką, podciągnął pierś, zdołał przerzucić kolano na drugą stronę.

Wciągnęła go do końca, a wtedy przekręcił się na plecy i znieruchomiał, dysząc jak wyrzucona na brzeg ryba i wpatrując się w białe niebo.

– Wciąż żyję – wymamrotał do siebie po chwili, nie mogąc w to niemal uwierzyć. Nie zdziwiłby się zbyt, gdyby Ferro stanęła mu na dłoniach, kiedy tak wisiał, i pomogła spaść.

Jej twarz ukazała się nad nim, żółte oczy spoglądały w dół, wargi odsłaniały obnażone zęby.

– Ty głupi, ciężki, różowy draniu!

Odwróciła się, potrząsając głową, podeszła do jakiejś ściany i zaczęła się wspinać na niski daszek. Logen zamrugał zdumiony. Czy ona nigdy się nie męczyła? Ręce miał poobijane, posiniaczone, podrapane od góry do dołu. Paliły go nogi, nos znów zaczął krwawić. Wszystko bolało. Odwrócił się i spojrzał w dół. Jeden z zamaskowanych patrzył na niego z krawędzi trybun, dwadzieścia kroków dalej. Kilku innych ruszało się pospiesznie niżej, szukając drogi w górę. Daleko w dole, w żółtym kręgu trawy, widział małą czarną figurkę z rudymi włosami; wskazywała coś wokół siebie, potem na niego, wydając rozkazy.

Wiedział, że prędzej czy później dotrą do niego. Ferro już siedziała na szczycie dachu, obdarty ciemny kształt na tle jasnego nieba.

– Zostań tu, jeśli chcesz – warknęła, potem odwróciła się i zniknęła. Logen jęknął, wstał i dowlóknął się do ściany, po czym westchnął i zaczął szukać oparcia dla dłoni.

– Gdzie są wszyscy? – spytał brat Długostopy. – Gdzie jest mój znakomity pracodawca? Gdzie jest mistrz Dziewięciopalczy? Gdzie jest czarująca dama Maljinn?

Jezał rozejrzał się wkoło. Chorowity uczeń był zbytnio pogrążony w smutku, by odpowiedzieć.

– Nie wiem, co jest z tamtymi, ale Bayaz bierze kąpiel.

– Przysięgam, nigdy nie spotkałem człowieka bardziej nawykłego do kąpieli niż on. Mam nadzieję, że pozostali pojawią się niedługo. Wszystko jest przygotowane! Statek czeka. Zapasy są załadowane. Nie mam w zwyczaju zwlekać. Słowo daję! Musimy wykorzystać wysoką falę, bo inaczej utkniemy tu aż do... – Mały człowieczek urwał i spojrzał na Jezala z nagłą troską. – Wydajesz się przygnębiony, mój przyjacielu. Przybity, w rzeczy samej. Czy ja, brat Długostopy, mogę w czymkolwiek pomóc?

Jezał już miał ochotę odpowiedzieć temu osobnikowi, by pilnował własnego nosa, ale ograniczył się do pełnego irytacji zaprzeczenia.

– Nie, nie.

– Założyłbym się, że w grę wchodzi kobieta. Nie myłę się? – spytał, a Jezał podniósł na niego gwałtownie wzrok, zadając sobie pytanie, jak ten człowiek się tego domyślił. – Twoja żona, być może?

– Nie! Nie jestem żonaty! To nic w tym rodzaju. To... e... – szukał odpowiednich słów, ale na próżno. – To nic w tym rodzaju i koniec!

– Ach! – mruknął nawigator ze znaczącym uśmiechem. – Ach, więc zakazana miłość, sekretna miłość, he?

Jezał stwierdził ku swemu niezadowoleniu, że się rumieni.

– Mam rację, widzę to! Nie ma owocu równie słodkiego jak ten, którego nie wolno skosztować, co, mój młody przyjacielu? – spytał, unosząc brwi w sposób, który wydał się Jezalowi wyjątkowo niesmaczny.

– Ciekawe, co zatrzymało tych dwoje? – Jezał nie dbał o to ani trochę, ale chciał za wszelką cenę zmienić temat.

– Maljinn i Dziewięciopalcego? Ha! – roześmiał się Długostopy, nachylając się ku niemu. – Może zaczęli oddawać się sekretnej miłości, takiej jak twoja? Może ukryli się gdzieś, by zrobić to, co nakazuje im natura! – Trącił Jezala w zębra. – Możesz sobie wyobrazić tych dwoje? To byłby widok, co? Ha!

Jezał skrzywił się. Tego odrażającego człowieka z Północy uważał za zwierzę, a kobieta była chyba jeszcze gorsza, o ile zdążył się zorientować. Jedyne, co nakazywała im natura, to przemoc, jak sobie wyobrażał. Zrobiło mu się niedobrze. Już sama myśl o tych dwojgu sprawiła, że poczuł się brudny.

\* \* \*

Zdawało się, że dachy nie mają końca. Raz się wspinali, potem znów schodzili niżej. Pełzali po szczytach, stawiali stopy na wąskich krawędziach, przesuwali się po gzymsach, przechodzili nad kruszejącymi murami. Logen spoglądał czasem w górę i doznawał zawrotu głowy, patrząc ponad spletaną masę mokrych dachówek, przekrzywionych gontów i ołowianych złączeń na odległy mur Agriontu, a nawet samo miasto w dali. Widok ten byłby nawet kojący, gdyby nie Ferro, która poruszała się szybko i zwinnie, przeklinając go i ciągnąc za sobą; nie miał chwili wytchnienia, by

pomyśleć o tym, co widział, o straszliwej przepaści, wzdłuż której się posuwali, czy o czarnych postaciach, nie ustających bez wątpienia w pościgu.

Jeden z rękawów jej sukni był oddarty do połowy, stało się to zapewne podczas walki, i teraz łopotał jej wokół nadgarstka, przeszkadzając we wspinaczce. Warknęła gniewnie i oderwała go przy ramieniu. Logen uśmiechnął się do siebie, przypomniawszy sobie, z jakim wysiłkiem Bayaz namówił ją do zamiany starych cuchnących szmat na nowe odzienie. Teraz była brudniejsza niż kiedykolwiek, cała przepełniona, umazana krwią i oblepiona tłustym brudem dachów. Zerknęła przez ramię i zauważyła, że się jej przygląda.

– Ruszaj się, różowy – syknęła na niego.

– Nie rozróżniasz kolorów, prawda?

Wspinała się dalej, nie zwracając na niego uwagi; owinęła się zwinnie wokół dymiącego komina, po czym zjechała na brzuchu po brudnych dachówkach, wprost na wąski występ między dwoma budynkami. Logen poszedł z trudem w jej ślady.

– Nie rozróżniasz kolorów.

– I co z tego? – rzuciła przez ramię.

– Więc dlaczego nazywasz mnie różowym?

Spojrzała za siebie.

– Jesteś różowy?

Logen popatrzył na swoje przedramiona. Pomijając cętkowane sińce, czerwone zadrapania, niebieskie żyły – rzeczywiście wydawały się różowe. Zmarszczył czoło.

– Chyba tak.

Pobiegła między dachami, na sam koniec budynku, i spojrzała w dół. Logen ruszył za nią i wychylił się ostrożnie poza krawędź. Gdzieś w dole, na jakiejś ulicy, dostrzegł paru ludzi. Daleko, bez jakiegokolwiek możliwości zejścia. Zrozumiał, że muszą zawrócić. Posłyszał, jak Ferro już rusza przed siebie.

Logen poczuł na twarzy smagnięcie wiatru. Stopy Ferro załomotały o krawędź dachu; nagle znalazła się w powietrzu. Otworzył bezwiednie usta, gdy frunęła z wygiętymi grzbietem, wymachując dziko rękoma i nogami. Wylądowała na płaskim dachu, którego szara ołowiana powierzchnia oznaczona była smugami mchu, przetoczyła się po nim i zwinnie stanęła na nogi.

Logen oblizwał wargi i wskazał swoją pierś. Przytaknęła. Płaski dach znajdował się niżej, ale dzielił go od niego spory dystans. Cofnął się powoli, biorąc rozbieg. Odetchnął kilka razy głęboko i zamknął na chwilę oczy.

Byłoby poniekąd doskonale, gdyby spadł. Żadnych pieśni, żadnych historii. Tylko krwawy ślad gdzieś w dole. Zaczął biec. Jego stopy załomotały o kamienie. Powietrze zaświszczało mu ustach, szarpnęło za jego podarte ubranie. Płaski dach zbliżał się do niego, jakby frunął. Logen wylądował po drugiej stronie ze straszliwym wstrząsem, przetoczył się tylko raz, jak Ferro, i stanął obok niej. Wciąż żył.

– Ha! – zawołał. – I co ty na to?

Nagle rozległ się przeraźliwy dźwięk pęknięcia, potem trzask i dach załamał się pod stopami Logena. Chwycił się rozpaczliwie Ferro, kiedy spadał w dół, ona zaś zsunęła się bezradnie razem z nim. Leciał przez straszliwie długą chwilę, zawodząc, jego dłonie próbowały bezskutecznie przytrzymać się czegośkolwiek. W końcu rąbnął o coś plecami.

Logen zakrzuszył się gryzącym pyłem, potrząsnął głową i drgnął boleśnie. Znajdował się w jakimś pokoju, który wydał się smolście czarny po tej jasności na zewnątrz. W strumieniu światła padającym z postrzępionej dziury w dachu wirował kurz. Poczuł pod sobą coś miękkiego. Łóżko.

Złamało się w połowie i teraz przechylało pod kątem, pościel przykrywały kawałki odłupanego tynku. Miał wrażenie, że coś przygniata mu nogi. Ferro. Parsknął chrapliwym śmiechem. W końcu znów był w łóżku z kobietą, chociaż nie w sytuacji, o jakiej marzył.

– Głupi różowy knur! – warknęła, gramoląc się z niego. Podbiegła do drzwi, z jej pleców zsuwały się kawałki drewna i tynku. Szarpnęła klamkę. – Zamknięte! To...

Logen zerwał się i walnął całym ciężarem ciała w drzwi, wyrywając je z zawiasów i wypadając na korytarz, gdzie runął na podłogę.

Ferro wyskoczyła za nim.

– Na górę, różowy, na górę!

Od framugi odłamał się długi kawał drewna, poręczny na pierwszy rzut oka; z jego końca sterczało kilka gwoździ. Logen chwycił go i oderwał. Dźwignął się czym prędzej, zrobił kilka niepewnych kroków i dotarł do narożnika. W obie strony ciągnął się mroczny korytarz. Niewielkie okna rzucały ostre plamy światła na ciemną podłogę. Nie mógł się w żaden sposób zorientować, dokąd pobiegła Ferro. Skręcił w prawo, w stronę schodów.

Ku niemu, z głębi ciemnego korytarza, posuwała się ostrożnie jakaś postać. Długa i szczupła, niczym czarny pająk, balansowała na placach stóp. Na jasnorudych włosach błysnęła struga światła.

– Znowu ty – powiedział Logen, ważąc w dłoni długi kawałek drewna.

– Zgadza się. Ja.

Rozległ się cichy brzęk, w mroku błysnął metal. Logen poczuł gwałtowne szarpnięcie i po chwili zobaczył, jak jego drewniana pałka przelatuje nad ramieniem kobiety i spada z hukiem w głębi korytarza. Znów był bezbronny, ale nie miał czasu się tym martwić. Kobieta trzymała coś w ręku, przypominało to nóż. Znów w niego rzuciła. Uchylił się, słysząc świst koło ucha; tamta wykonała szybki ruch drugą ręką, on zaś poczuł, jak coś uderzyło go w twarz, tuż pod okiem. Zatoczył się na ścianę, próbując zrozumieć, co to za magia.

Wyglądało to jak metalowy krzyż, ten przedmiot w jej dłoni, trzy wygięte ostrza, jedno z hakiem na końcu. Do kółka przy ręczce przytwierdzony był łańcuch, który zniknął w jej rękawie.

Niby-nóż znów wystrzelił i niemal musnął twarz Logena, który zdążył uskoczyć. Metal syknął iskrami, ocierając się ze zgrzytem o ścianę. Kobieta przyciągnęła go z powrotem do siebie i schwyciła z wprawą w dłoń. Potem wypuściła go z palców – zakołysał się na łańcuchu, stukając o podłogę. Kobieta ruszyła w stronę Logena tanecznym i skocznym krokiem. Poruszyła gwałtownie nadgarstkiem i ów przedmiot znów wystrzelił i ciał pierś Logena, który cofnął się gwałtownie, obryzgując krwią ścianę.

Rzucił się na nią, ale jego wyciągnięte ramiona niczego nie chwyciły. Rozległ się grzechot i Logen poczuł, jak coś ciągnie go za nogę; kostka, szarpnięta łańcuchem, skręciła mu się boleśnie. Runął na twarz, ale po chwili zaczął się podnosić. Łańcuch owinał mu się wokół szyi. Zdążył w ostatniej chwili wsunąć pod niego dłoń, nim się zacisnął. Kobieta rzuciła się na niego, czuł jej kolano wbijające się w plecy, słyszał jej syczący oddech, który dobywał się zza maski, gdy ciągnęła łańcuch, coraz bardziej wrzynający mu się w dłoń.

Logen stęknął, dźwignął się na kolana, wreszcie wstał z wysiłkiem. Kobieta wciąż siedziała mu na plecach, przygniatając go całym swoim ciężarem i ciągnąc z całej siły za łańcuch. Logen wymachiwał drugą ręką, ale nie mógł dosięgnąć swej przeciwniczki, nie mógł jej zrzucić – przywierała do niego niczym rzep. Ledwo mógł oddychać. Zrobił kilka chwiejnych kroków do przodu, a potem runął do tyłu, na plecy.

– Ugh! – sapnęła mu w ucho kobieta, kiedy jego ciężar przygniótł ją do podłogi. Napór łańcucha zelżał na tyle, że Logen zdołał się z niego wyśliznąć. Był wolny. Przekręcił się błyskawicznie,

chwycił kobietę lewą ręką za szyję i zaczął ścisnąć. Napierała na niego kolanami, waliła pięściami, ale leżał na niej całym ciałem i jej ciosy zaczęły słabnąć. Warczeli, stękali, charczeli na siebie, wydając zwierzęce odgłosy; ich twarze stykały się niemal. Z rozcięcia na jego policzku spadło na jej maskę kilka kropel krwi. Uniósł dłoń i wbiła mu ją w twarz, odpychając głowę. Jej palec wdarł się do jego nosa.

„Aaa!”, zawył. Czaszkę rozdarł mu gwałtowny ból. Puścił kobietę i oderwał się od niej, przyciskając jedną dłoń do twarzy. Cofnęła się, kaszląc, po czym wymierzyła mu w zebra kopniaka, który zgiął go w pół, ale on wciąż trzymał łańcuch, który teraz pociągnął z całej siły. Szarpnęło jej rękę; poleciała na niego z krzykiem, a wtedy wpakował jej kolano w bok, pozbawiając ją tchu. Potem chwycił od tyłu za jej suknię, uniósł kobietę z podłogi i zrzucił ze schodów.

Runęła w dół, koziołkując bezwładnie i objając się o stopnie, w końcu znieruchomiła na samym dole. Logena kuśilo, by zejść tam i dokończyć robotę, ale nie miał na to czasu. Tam, skąd nadeszła, mogli być inni. Odwrócił się i powlókł z powrotem, w przeciwną stronę.

Zewsząd atakowały go dźwięki, odbijały się echem w korytarzu, płynąc nie wiadomo skąd. Odległe grzechot i brzęczenie, krzyki i wrzaski. Wpatrywał się w ciemność, zlany potem i wsparty dłonią o ścianę. Czuł, jak nogi się pod nim uginają. Wyjrzał zza rogu, próbując dostrzec, czy nikogo tam nie ma. Poczul na szyi chłodny dotyk. Ostrze.

– Wciąż żyjesz? – wyszeptał mu do ucha jakiś głos. – Nie umierasz łatwo, co, różowy?

Ferro. Odsunął po woli jej rękę.

– Skąd wzięłaś ten nóż? – spytał. Żałował, że nie ma takiego.

– On mi go dał. – W mroku pod ścianą leżał jakiś bezładny kształt, podłoga wokół zroszona była krwią. – Tędy.

Ferro ruszyła korytarzem, pochylona nisko w ciemności. Wciąż słyszał te dźwięki, były pod nimi, obok nich, wokół nich. Zsunęli się szybko jakimiś schodami i weszli do mrocznej sali wyłożonej ciemnym drewnem. Ferro przeskakiwała z cienia do cienia, szybka jak błyskawica. Logen mógł tylko kuśtykać w ślad za nią, powłócząc nogą; tłumił jęk, ilekroć oparł na niej ciężar ciała.

– Tam! To oni!

Postaci w ciemnym korytarzu za ich plecami. Odwrócił się, by uciec, ale Ferro wyciągnęła rękę. Było ich więcej, nadchodzili z drugiej strony. Po lewej ręce zauważył duże drzwi, lekko uchylone.

– Tędy!

Logen wcisnął się do pomieszczenia, a Ferro skoczyła za nim. W środku stał ciężki mebel, wielki kredens z półkami, na których piętrzyły się talerze. Logen chwycił za jego koniec i przeciągnął pod drzwi. Kilka talerzy spadło i roztrzaskało się na podłodze. Przywarł do kredensu plecami. Miał nadzieję, że to ich powstrzyma choć na chwilę.

Wielki pokój z wysokim, łukowato sklepionym sufitem. Dwa ogromne okna zajmowały niemal całą ścianę, naprzeciwko stał duży kamienny kominek. Miejsce pośrodku zajmował długi stół z dziesięcioma krzesłami po obu stronach, nakryty do posiłku. Świeczniki na blacie. Wielki pokój jadalny i tylko jedno wejście. I wyjście.

Logen usłyszał stłumione krzyki po drugiej stronie. Wielki kredens zakołysał się, napierając na jego plecy. Kolejny talerz zleciał z góry, odbił się od jego ramienia i roztrzaskał na kamiennej posadzce, kawałki porcelany rozsypały się wokół.

– Pieprzony, piękny plan – warknęła Ferro.

Stopa Logen zaczęła się ślizgać, kiedy próbował podtrzymać chwiejący się kredens. Ferro podbiegła do najbliższego okna i zaczęła podważać paznokciami metalowe ramy wokół małych szyb, ale na próżno. Nie było ucieczki.

Nagle Logen coś dostrzegł. Stary wielki miecz, zawieszony nad kominkiem dla ozdoby. Broń. Pchnął kredens ku drzwiom, podbiegł do kamiennego paleniska, chwycił rękojeść obiema dłońmi i wyrwał z uchwytów. Miecz był tępy jak pług, ciężkie ostrze poplamione rdzą, ale wciąż solidne. Jego cios nie przeciąłby może człowieka na pół, ale na pewno zwałiłby z nóg. Logen odwrócił się i zobaczył, jak kredens się przewraca, a na kamienną podłogę spada zastawa i roztrzaskuje się z hukiem.

Do pokoju wtargnęły czarne postaci w maskach. Ten na przedzie trzymał groźnie wyglądający topór, drugi – miecz o krótkim ostrzu. Człowiek za jego plecami był ciemnoskóry, w uszach miał złote kolczyki. W obu dłoniach ścisnął długie, zakrzywione noże.

Ta broń nie była przeznaczona do tego, by walić człowieka w głowę, chyba że zamierzali rozplatać mu czaszkę. Wydawało się, że nie zamierzają brać jeńców. Mordercza broń, która miała zabijać. No cóż, tym lepiej, powiedział sobie w duchu Logen. Jeśli można było coś o nim powiedzieć, to właśnie to, że potrafił zabijać. Przyjrzał się z uwagą ludziom w czarnych maskach, którzy przechodzili przez zwalony kredens i zajmowali ostrożnie miejsca wzdłuż przeciwległej ściany. Zerknął na Ferro; obnażała zęby, ściskając nóż w dłoni, jej żółte oczy miały błyski. Objął palcami rękojeść swego miecza – ciężkiego i groźnego. Odpowiednie narzędzie do tej roboty, przynajmniej raz.

Rzucił się na najbliższego człowieka w masce, rycząc co sił w płucach i wymachując nad głową długą stalą. Tamten próbował umknąć, ale czubek ostrza ciął go w ramię i zwałił z nóg. Drugi zaszedł go błyskawicznie od tyłu, waląc toporem. Logen cofnął się gwałtownie i sapnął z bólu, oparłszy ciężar ciała na skręconej kostce.

Wymachiwał wokół siebie mieczem, ale było ich zbyt wielu. Jeden wspiął się na stół, stając między nim a Ferro. Coś uderzyło Logena w plecy. Zatoczył się, obrócił, potknął i ciął mieczem, trafiając coś miękkiego. Ktoś wrzasnął, ale ten z toporem znów na niego ruszył. Pomieszczenie zamieniło się w chaos masek i żelaza, brzęku i zgrzytu broni, przekleństw, krzyków i urywanych oddechów.

Logen wywijał mieczem, ale był zmęczony, ranny, obolały, stal zaś była ciężka i z każdą chwilą robiła się coraz cięższa. Zamaskowany człowiek usunął się przed ciosem i zardzewiałe ostrze uderzyło dźwięcznie o ścianę, wyrwijąc wielki kawał drewna i wgryzając się w tynk. Siła ciosu niemal wytrąciła Logenowi broń z dłoni.

„Uff”, westchnął chrapliwie, kiedy tamten wpakował mu kolano w brzuch. Coś uderzyło go w nogę i prawie upadł. Słyszał, jak ktoś krzyczy za jego plecami, ale wydawało się to odległe. Bolała go pierś, w ustach czuł kwaśny smak. Na odzieniu miał krew. Cały był we krwi. Z trudem oddychał. Człowiek w masce znów ruszył w jego stronę z uśmiechem, wyczuwając zwycięstwo. Logen cofnął się pod kominek, pośliznął i osunął na kolano.

Wszystko się kiedyś kończy.

Nie mógł już podnieść starego miecza. Nie miał już siły. Nicość. Pokój zaczął się rozmywać.

Wszystko się kiedyś kończy, ale pewne rzeczy tylko trwają w bezruchu, zapomniane...

Logen poczuł zimno w żołądku, coś, czego nie doznawał od bardzo dawna.

– Nie – wyszeptał. – Uwolniłem się od ciebie. Ale było za późno...

...miał na odzieniu krew, było to jednak dobre. Krew była zawsze. On jednak klęczał, a to było złe. Krwawy-dziewięć nie klęczał przed nikim. Jego palce odszukały szczeliny między kamieniami kominka, wcisnęły się w nie niczym stare korzenie drzewa, dźwigając go do góry. Poczł ból w nodze i uśmiechnął się. Ból był pożywieniem, dzięki któremu płonął ogień. Coś przesunęło się przed jego oczami. Zamaskowani ludzie. Wrogowie.

A zatem trupy.

– Jesteś ranny! – Oczy najbliższego zabłyśły nad maską, lśniąca ostrze topora zatańczyło w powietrzu. – Nie chcesz się jeszcze poddać?

– Ranny? – Krwawy-dziewięć odrzucił do tyłu głowę i zaniósł się szalonym śmiechem. – Pokażę wam, jaki jestem ranny, do diabła!

Runął do przodu, zanurkował pod toporem, nieuchwytny jak ryby w rzece, zataczając ciężkim ostrzem zamaszysty niski łuk. Uderzył zamaskowanego człowieka w kolano, które przekreśliło się na drugą stronę, ciął go w drugie i pozbawił równowagi. Tamten wydał zduszony krzyk, padając na kamienie i obracając się w powietrzu z pogruchotanymi nogami.

Coś wbiło się w plecy Krwawego-dziewięć, ale nie poczuł bólu. To był znak. Przesłanie w tajemnym języku, który tylko on rozumiał. Mówiło mu, gdzie stoi następny martwy człowiek. Obrócił się błyskawicznym ruchem, jego miecz zaś podążył za nim w pełnym wściekłości, pięknym i niepowstrzymanym łuku, i wbił się z chrzęstem w czyjeś trzewia, przełamał tego kogoś na pół, porwał w górę i rzucił w powietrze. Człowiek ten odbił się od ściany obok kominka, po czym runął na podłogę w fontannie tynku.

Nadleciało ze świstem wirujące ostrze i z głuchym dźwiękiem wbiło się głęboko w ramię Logena. To był ten czarny, z kółkami w uszach. A więc rzucił nożem. Stał uśmiechnięty po drugiej stronie stołu, nie kryjąc zadowolenia ze swego dzieła. Straszliwy błąd. Krwawy-dziewięć ruszył na niego. Śmignął drugi nóż i uderzył z metalicznym brzękiem o ścianę. Logen wskoczył na stół, a jego miecz podążył za nim.

Ciemnoskóry człowiek uchylił się przed pierwszym i drugim ciosem. Był szybki i przebiegły, ale nie dość przebiegły. Trzeci cios ukąsił go w bok. Przelotne ukąszenie. Skubnięcie. Musnęło mu żebra i rzuciło na kolana, wrywając z gardła krzyk. Ostatnie uderzenie było celniejsze – zamaszysty łuk błysku i żelaza, który wdarł mu się w usta i odciął pół głowy, obryzgując czerwoną fontanną ściany. Krwawy-dziewięć wyciągnął nóż z ramienia i cisnął go na podłogę. Z rany trysnęła krew, przesączała się przez koszulę i utworzyła wielką, cudowną, ciepłą plamę.

Runął i zaczął gasnąć, widział liście opadające z drzew i sunące po ziemi. Obok pojawił się nagle jakiś człowiek, tnąc krótkim mieczem powietrze, gdzie przed chwilą stał Logen, ale nim zdążył się odwrócić, Krwawy-dziewięć był już przy nim i zacisnął lewą dłoń na pięściach przeciwnika, który szarpał się i naprężał, ale na próżno. Chwył Krwawego-dziewięć był mocny jak korzenie gór, bezlitosny jak fala.

– Wysyłają takich jak ty, by ze mną walczyli?

Rzucił przeciwnika na ścianę i przygwoździł, potem zacisnął mu dłonie na rękojeści miecza i zaczął z wolna unosić jego ostrze, aż obróciło się ku piersi tamtego.

– Pieprzona obelga! – ryknął, nadziewając go na jego własną broń. Zamaskowany człowiek krzyczał bez końca, a Krwawy-dziewięć śmiał się i przekreślał ostrze. Być może Logen ulitowałby się nad nim, ale był daleko, a Krwawy-dziewięć nie miał w sobie więcej litości niż mroźna zima. Jeszcze mniej. Dźgał i ciął, ciął bez końca, i śmiał się, krzyki przechodziły w chrapliwie bulgotanie i zamierały, wreszcie puścił martwe ciało, które osunęło się na zimne kamienie. Jego palce były śliskie od krwi; otarł je o ubranie, o ręce, o twarz – tak jak trzeba.

Człowiek obok kominka siedział całkowicie bezwładny z odrzuconą głową, oczy miał jak mokre kamienie i wpatrywał się w sufit. Był już częścią ziemi. Krwawy-dziewięć rozplątał mu twarz, by się upewnić. Najlepiej nie pozostawiać żadnych wątpliwości. Ten, który trzymał topór, czołgał się po podłodze w stronę drzwi, ciągnąc za sobą po kamieniach skręcone nogi. Dyszał i pojękiwał bezustannie.

– Milczeć.

Ciężkie ostrze uderzyło w czaszkę i zachlapało kamienie krwią.

– Jeszcze – wyszeptał i zaczął szukać następnej ofiary. Pokój obracał się z wolna wokół niego.

– Jeszcze! – ryknął i roześmiał się, a wraz z nim roześmiały się ściany i trupy. – Gdzie pozostali?

Zobaczył ciemnoskórą kobietę z krwawiącą szramą na twarzy i nożem w rękę. Nie wyglądała jak inni, ale była równie dobra co tamci. Uśmiechnął się i ruszył powoli w jej stronę, unosząc miecz w obu dłoniach. Cofnęła się, obserwując go uważnie, odgradzona od niego stołem. Jej twarde żółte oczy przypominały ślepią wilka. Jakiś cichy głos mówił mu, że jest po jego stronie. Szkoda.

– Ty jesteś z Północy, he? – spytał zwalisty osobnik, który zamajaczył w drzwiach.

– Tak, a kto pyta?

– Rębacz Kamieni.

Był wielki, ogromny, hardy i okrutny. Dostrzegało się to bez trudu, kiedy odsuwał potężnym butem kredens i deptał z chrzęstem stłuczone talerze. Nic to jednak nie znaczyło dla Krwawego-dziewięć; jego przeznaczeniem było zabijać takich ludzi. Tul Duru Grzmot był większy. Rudd Trójdrzewiec był bardziej hardy. Czarny Dow był dwa razy okrutniejszy. Krwawy-dziewięć pokonał ich i wielu innych. Im większy, bardziej hardy i bardziej okrutny był tamten, tym straszliwsza czekała go klęska.

– Pogromca Kamyczków? – wybuchnął śmiechem Krwawy-dziewięć. – I co z tego, kurwa? Jesteś następnym, który umrze, niczym więcej.

Podniósł lewą dłoń splamioną czerwoną krwią, rozsunął szeroko trzy palce i wyszczerzył zęby przez szparę, gdzie kiedyś był środkowy palec, dawno temu.

– Nazywają mnie Krwawym-dziewięć.

– Akurat! – Rębacz Kamieni zerwał maskę i rzucił ją na podłogę. – Kłamiesz! Mnóstwo ludzi na Północy straciło palec! Nie wszyscy tak się nazywają!

– Nie. Tylko ja.

Wielką twarz wykrzywiła wściekłość.

– Pieprzony kłamca! Myślisz, że przerazisz Rębacza Kamieni imieniem, które nie jest twoje? Wytnę ci drugi tyłek, robaku! Wypalę na tobie krwawy krzyż! Poślę cię z powrotem do ziemi, pieprzony kłamco!

– Zabić mnie? – Krwawy-dziewięć ryknął śmiechem. – To ja zabijam, głupcze!

Koniec gadania. Rębacz Kamieni ruszył na niego z toporem w jednym ręku i buzdyganem w drugim, ciężkimi narzędziami, ale poruszał nimi dostatecznie szybko. Buzdygan przeciął powietrze i wytłukł wielką dziurę w szybie jednego z okien. Ostrze topora spadło i przełamało na pół deskę stołu, talerze poleciały do góry, świecznik przewrócił się z łoskotem. Krwawy-dziewięć odsunął się nieznacznie, by zająć chwilę.

Kiedy przetoczył się po stole, buzdygan musnął jego rękę i spadł ze straszliwą siłą na wielką kamienną płytę na podłodze, rozłamując ją pośrodku; w górę poleciały odłamki. Rębacz Kamieni ryknął, wywijając swoimi narzędziami – przełamał krzesło na pół, odłupał z kominka kawał kamienia, wyrwał potężną dziurę w ścianie. Ostrze topora utkwilo w czymś na mgnienie oka i wtedy błysnął miecz Krwawego-dziewięć, zamieniając drewnianą rękojeść w dwa kawałki najeżonego drzazgami drewna, Rębacz Kamieni zaś został ze złamanym kijkiem w dłoni. Odrzucił go i mocniej ujął buzdygan, po czym zaatakował jeszcze zajadlej, wymachując bronią ze wściekłym rykiem.

Straszliwe narzędzie przecięło powietrze i miecz Krwawego-dziewięć trafił je tuż pod głowicą i wyrwał z wielkiej dłoni. Wyleciało w górę i spadło z łoskotem w kącie, ale Rębacz Kamieni nacierał dalej, rozkładając szeroko ramiona. Był za blisko, by dało się użyć długiego ostrza.



Uśmiechnął się, gdy jego długie ręce objęły Krwawego-dziewięć i zacisnęły się na nim z całej siły.

– Jesteś mój! – wrzasnął, miażdżąc swego przeciwnika jak w imadle. Straszliwy błąd. Lepiej obejmować płonący ogień.

Trzask!

Krwawy-dziewięć uderzył go ze straszliwą siłą czołem w usta i poczuł, jak uścisk tamtego słabnie odrobinę, miał teraz więcej miejsca; zaczął się więc niczym kret w dziurze. Odchylił głowę tak daleko, jak tylko zdołał, i rąbnął jak rozwścieczony tryk. Drugi cios zamienił nos Rębacza Kamieni w miazgę. Przeciwnik jęknął, wielkie ramiona straciły siłę. Czwarte uderzenie zmiażdżyło kość w policzku. Ręce opadły bezwładnie. Teraz to Krwawy-dziewięć go trzymał i uśmiechnięty walił czołem w pogruchotaną twarz. Jak dzieckoł stukający w drzewo, stuk, stuk, stuk. Pięć. Sześć. Siedem. Osiem. Kości pękały z rytmicznym dźwiękiem, sprawiającym radość. Uderzył po raz dziewiąty i puścił Rębacza Kamieni, który osunął się bokiem i upadł na podłogę. Z jego zmiażdżonej twarzy lała się krew.

– No i co powiesz? – zaśmiał się Krwawy-dziewięć, ocierając oczy z krwi i wymierzając bezwładnemu ciału kilka kopniaków. Pokój wirował wokół niego, tańczył, śmiał się bez końca. – No i co... do diabła...

Zatoczył się, zamrugał, zmożony sennością, ognisko dopalało się.

– Nie... jeszcze nie...

Osunął się na kolana. Za wcześnie. Było jeszcze więcej do zrobienia, zawsze więcej.

– Za wcześnie – warknął, ale jego czas się skończył...

\* \* \*

Logen krzyczał. Poczul, jak upada. Ból, w każdym miejscu, wszędzie. W nogach, w ramieniu, w głowie. Zawodził, aż krtań zalała mu krew, zakrztusił się, sapnął i zaczął się toczyć po podłodze, drapiąc ją palcami. Świat był jedną wielką rozmazaną plamą. Odchrząknął i splunął krwią, robił to tak długo, aż wreszcie mógł zaszlochać. Poczul na ustach czyjaś dłoń.

– Przestań wrzeszczeć, do diabła! – szepnął mu do ucha niecierpliwy głos. Dziwny i twardy. – Przestań, bo cię zostawię, rozumiesz? Drugiej szansy ci nie dam!

Dłoń się cofnęła. Zza zaciśniętych zębów Logena dobył się oddech wysokim i zawodzącym jękiem, ale niezbyt głośnym.

Na jego nadgarstku zacisnęła się dłoń i podniosła mu ramię. Westchnął boleśnie, czując, jak naciągają mu się mięśnie ręki i jak ktoś ciągnie go po czymś twardym. Tortura.

– Wstawaj, draniu, nie mogę cię nieść! Wstawaj! Jedna szansa, rozumiesz?

Podniesiono go z wolna, próbował oprzeć się na nogach. Z jego gardła dobywał się świszczący, chrapliwy oddech, ale poczuł, że może to zrobić. Lewa stopa, prawa stopa. Spokojnie. Ugięło się pod nim kolano, nogę przeszył ból. Znowu krzyknął i zwałił się na podłogę, zaczął się czołgać. Najlepiej leżeć nieruchomo. Zamknęły mu się oczy.

Coś uderzyło go mocno w twarz, po chwili jeszcze raz. Jęknął. To coś wsunęło mu się pod pachy, zaczęło go podnosić.

– Wstawaj, różowy! Wstawaj albo cię zostawię. Jedna szansa, słyszysz?

Wdech, wydech. Lewa stopa, prawa stopa.

Nawigator zamartwiał się i narzekał; najpierw stukał palcami o poręcz fotela, potem zaczął ich zamięczać, potrząsając głową i jęcząc coś o przyływach. Jezal siedział cicho, czepiając się nadziei, że tych dwoje dzikusów utopiło się być może w fosie i że całe przedsięwzięcie spełźnie na niczym. Miałyby wciąż dużo czasu, by dotrzeć do Anglandu. Być może nie wszystko było stracone...

Usłyszał, jak drzwi się otwierają za jego plecami, a kiedy spojrział w tamtą stronę, poczuł, że jego marzenia pryskają niczym bańka mydlana.

W drzwiach stały dwie obszarpane postaci, całe zakrwawione i pokryte brudem. Przypominały diabły, które wyłoniły się z jakiejś piekielnej bramy. Kobieta z Gurkhulu wkroczyła do pokoju, przeklinając. Dziwięciopalcy obejmował ją jednym ramieniem, drugie kołysało się przy boku, z palców ściekała krew, głowę miał pochyloną.

Zrobili razem krok czy dwa, potem człowiek z Północy zaczepił stopą o nogę krzesła i oboje runęli na podłogę. Kobieta warknęła groźnie, strząsnęła z siebie bezwładne ramię, odepchnęła je i dźwignęła się na nogi. Dziwięciopalcy przewrócił się na plecy z jękiem. Z głębokiej rany na jego rękę spłynęła na dywan krew. Ciało w miejscu rozcięcia było czerwone, niczym świeże mięso w sklepie rzeźnika. Jezal przełknął, przerażony i jednocześnie zafascynowany.

– Na tchnienie Boga!

– Przyszli po nas.

– Co?

– Kto przyszedł?

Za framugi drzwi wyłoniła się ostrożnie jakaś kobieta, była rudowłosa, okryta czernią i zamaskowana. Praktyk, przemknęło Jezalowi przez odrętwiały umysł, ale nie mógł pojąć, dlaczego jest taka posiniaczona albo dlaczego kuleje. W ślad za nią do pokoju przekradł się ktoś jeszcze, mężczyzna z ciężkim mieczem.

– Idziecie z nami – powiedziała kobieta.

– Niedoczekanie! – rzuciła wściekle Maljinn, plując na tamtą. Jezal zobaczył z przerażeniem, że wyciąga gdzieś z zanadru nóż, w dodatku skrwawiony. Nie powinna przecież być uzbrojona! Nie tutaj!

Uświadomił sobie głupio, że ma miecz. Oczywiście, że tak. Ujął rękojeść i dobył broni, zastanawiając się, czy nie walnąć płazem tej diablicy w głowę, nim zdążyłaby narobić kłopotu. Jeśli Inkwizycja chciała ją aresztować, to on nie miał nic przeciwko temu. Los pozostałych też go nie obchodził. Niefortunnie, praktycy źle zrozumieli jego gest.

– Rzuć to – syknęła rudowłosa kobieta, spoglądając na niego gniewnie spod zmrużonych powiek.

– Nie zamierzam! – odparł Jezal, szczerze oburzony, że mogła przypuszczać, iż jest po stronie tych złoczyńców.

– E... – odezwał się Quai.

– Ghaa! – zacharczał Dziwięciopalcy, który chwycił skrwawioną dłonią brzeg dywanu i pociągnął go razem ze stołem.

Do pokoju przekradł się jeszcze jeden praktyk i stanął obok rudowłosej, ściskając w okrytej rękawicą dłoni ciężki buzdygan. Broń sprawiała groźne i nieprzyjemne wrażenie. Jezal nie potrafił sobie wyobrazić, co uczyniłaby z jego czaszką, gdyby ktoś wymierzył mu w gniewie straszliwy cios. Zacisnęła niepewnie palce na rękojeści miecza, pragnąc rozpaczliwie, by ktoś powiedział mu, co ma

robić.

– Idziecie z nami – powtórzyła kobieta, a jej dwaj towarzysze ruszyli powoli w głąb pokoju.

– O Boże – mruknął Długostopy, chowając się za stołem.

Nagle drzwi do łazienki otworzyły się gwałtownie uderzając o ścianę. Stał w nich Bayaz, zupełnie nagi i ociekający mydlaną wodą. Objął powolnym spojrzeniem Ferro, która trzymała nóż z gniewnym grymasem na twarzy, potem Długostopego, który chował się za stołem, Jezala z wyjętym mieczem, Quaię stojącego z otwartymi ustami, Dziewięciopalcego rozciągniętego na podłodze niczym krwawy zwłok, wreszcie trzy zamaskowane postaci, które trzymały w gotowości broń.

Zapadło pełne napięcia milczenie.

– Co to u diabła ma znaczyć? – zagrzmiął, wychodząc zamaszystym krokiem na środek pokoju; z brody ściekała mu woda, wprost na porośniętą białymi włosami pierś i skapywała z obwisłych genitaliów. Był to dziwny widok. Nagi stary człowiek naprzeciwko trzech uzbrojonych praktyków Inkwizycji. Wydawało się to zabawne, nikt się jednak nie roześmiał. Było w nim coś osobliwie przerażającego, nawet jeśli nie miał na sobie odzienia i ociekał wodą. To praktycy zaczęli się cofać zakłopotani, nawet wystraszeni.

– Idziecie z nami – powtórzyła kobieta, choć w jej głosie zabrzmiała nuta powątpiewania.

Jeden z jej towarzyszy ruszył ostrożnie w stronę Bayaza.

Jezal poczuł dziwne mrowienie w brzuchu. Jakby coś go ciągnęło i wysysało – doznawał wrażenia pustki i mdłości. Jakby znów znalazł się na moście w cieniu Domu Stwórcy. Tyle że gorzej. Twarz czarnoksiężnika wydawała się straszliwie bezlitosna.

– Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu.

Niczym butelka zrzucona z dużej wysokości, najbliższy stojący praktyk rozpadł się na kawałki. Nie towarzyszył temu żaden grzmot, jedynie cichy odgłos chlupotania. W jednej chwili posuwał się ku staremu człowiekowi z uniesionym ostrzem, a w sekundę później jego postać zamieniła się w tysiące fragmentów. Jakaś niewiadoma część jego istoty uderzyła z pluskiem w ścianę tuż obok głowy Jezala, a miecz spadł z brzękiem na podłogę.

– Co powiedziałaś? – warknął Pierwszy z Magów, zwracając się do rudej kobiety.

Pod Jezalem ugięły się kolana. Gapił się z otwartymi ustami. Poczł słabość i mdłości, straszliwą pustkę w środku. Na twarzy miał krople krwi, ale brakło mu odwagi, by się wytrzeć. Patrzył na starego nagiego człowieka, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Wydawało się, jakby był świadkiem przemiany dobrodusznego starego błazna w brutalnego zabójcę, i to przemiany, która dokonała się gwałtownie, bez odrobiny wahania.

Rudowłosa kobieta stała przez chwilę nieruchomo, zbryzgana krwią i oblepiona kawałkami ciała i kości, jej szeroko otwarte oczy przypominały dwa talerze. Potem zaczęła się wycofywać tyłem w stronę drzwi. Ten drugi podążył w ślad za nią, niemal potykając się w pośpiechu o stopę Dziewięciopalcego. Pozostali tkwili w miejscu jak wykuci z kamienia. Jezal usłyszał szybkie kroki w korytarzu, kiedy dwoje praktyków uciekało co sił w nogach. Niemal im zazdrościł. Wydawało się, że zdołali umknąć. On zaś był uwięziony w tym koszmarze.

– Musimy bezzwłocznie wyruszyć! – rzucił szczekliwym głosem Bayaz, krzywiąc się jakby z bólu. – Jak tylko wciągnę spodnie. Pomóż mu, Długostopy! – rzucił przez ramię.

Przynajmniej jeden raz nawigatorowi zabrakło słów. Zamrugał, potem wstał z za stołu i pochylił się nad nieprzytomnym człowiekiem z Północy, po czym oderwał kawałek jego podartej koszuli, by zrobić z niego prowizoryczny bandaż. Znieruchomiał ze zmarszczonym czołem, jakby nie wiedząc, od czego zacząć.

Jezal przełknął z najwyższym wysiłkiem. Wciąż trzymał w dłoni miecz, ale miał wrażenie, że

brakuje mu siły, by schować go z powrotem. Po całym pokoju były rozrzucone kawałki nieszczęsnego praktyka, przywierały do ścian, do sufitu, do ludzi. Jezal nigdy wcześniej nie widział, jak umiera człowiek, na dodatek w tak odrażający i nienaturalny sposób. Wydawało mu się, że powinien być przerażony, on jednak doznawał uczucia ogromnej ulgi. Jego wszelkie troski wydawały się teraz drobiazgami bez znaczenia.

Przynajmniej wciąż cieszył się życiem.

# Narzędzia, które mamy

Glokta stał w wąskim holu, opierając się na swojej lasce, i czekał. Słyszał dobiegające zza drzwi podniesione głosy. „Powiedziałem, żadnych wizyt!”.

Westchnął do siebie. Miał lepsze rzeczy do roboty niż wystawać tu na swojej bolącej nodze, ale dał słowo i zamierzał go dotrzymać. Obskurny, niczym niewyróżniający się hol w równie obskurnym i niczym niewyróżniającym się domu pośród setek podobnych. Cała ta dzielnica została zbudowana niedawno i składała się z szeregu domów wzniesionych na nową modłę: w połowie z drewna, trzy kondygnacje, dobre dla jednej rodziny i dwojga służących. Setki domów, jeden przypominający drugi. Domy dla wyższych sfer, nowobogackich. Wywyższonego gminu, jak powiedziałby arcylektor Sult. Bankierzy, kupcy, rzemieślnicy, właściciele sklepów, urzędnicy.

„Osobliwe miejskie rezydencje jakiegoś szlacheckiego farmera, któremu się powiodło, tak jak temu tutaj”.

Głosy ucichły. Glokta dosłyszał jakiś ruch po drugiej stronie, brzęk szkła i po chwili drzwi uchylły się, a na zewnątrz wyrzała służąca. Niezbyt urodziwa dziewczyna o dużych, wodnistych oczach. Wyglądała na przestraszoną i winną.

„W końcu jestem do tego przyzwyczajony. Wszyscy wydają się przestraszeni i winni w obecności Inkwizycji”.

– Zobaczy się z panem – wymamrotała dziewczyna, a Glokta przytaknął i pokuśtykał za nią do środka.

Przypominał sobie mgliście pobyt w domu rodzinnym Westa w Anglandzie, gdzie spędził tydzień czy dwa, być może przed dwunastu laty, choć teraz wydawało się, że upłynął cały wiek. Pamiętał, że fechtował się z Westem na dziedzińcu i że każdego dnia obserwowała go ciemnowłosa dziewczyna o poważnej twarzy. Pamiętał też niedawne spotkanie w parku z młodą kobietą, która spytała go, jak się czuje. Cierpiał wtedy okropny ból, ledwie widział na oczy i teraz jej twarz była w jego pamięci rozmazaną plamą. Tak więc Glokta nie bardzo wiedział, czego ma oczekiwać, ale na pewno nie spodziewał się zobaczyć sińców. Przez krótką chwilę był zszokowany.

„Choć potrafię to dobrze ukryć”.

Ciemne plamy – fioletowe, brązowe i żółte – pod jej lewym okiem, dolna powieka porządnie spuchnięta. Także wokół kącika ust, wargę pęknięta i pokryta strupem. Glokta wiedział dużo o sińcach, niewielu ludzi wiedziało więcej od niego.

„I nie sądzę, by odniosła te obrażenia przypadkiem. Była bita po twarzy, przez kogoś, kto nie żartował”.

Spojrzał na te brzydkie ślady i pomyślał o swoim starym przyjacielu Collemie Westcie, płaczącym w jego pokoju i proszącym o pomoc, i złożył wszystko w jedną całość.

„Interesujące”.

Siedziała, spoglądając na niego z uniesioną brodą i obracając ku niemu posiniaczoną stronę twarzy, jakby prowokowała go, by coś powiedział.

„Nie jest podobna do brata. W ogóle. Nie wydaje mi się, by miała wybuchnąć płaczem w moim pokoju czy gdziekolwiek indziej”.

– Co mogę dla pana zrobić, inkwizytorze? – spytała zimno.

Wychwycił lekkie bełkotanie w jej głosie przy słowie „inkwizytor”. „Piła... choć dobrze to

ukrywa. Piła, ale nie dość, by robić z siebie idiotkę”.

Glokta zacisnął wargi. Czuł z jakichś powodów, że powinien zważać na słowa.

– Nie zjawilem się tutaj w sprawie oficjalnej. Pani brat prosił mnie, żebym...

– Naprawdę? – przerwała mu obcesowo. – Czyżby? Jest pan tutaj, by się upewnić, że nie pieprzę się z niewłaściwym mężczyzną?

Glokta odczekał chwilę, chcąc w pełni uświadomić sobie sens jej słów, potem zaczął śmiać się pod nosem.

„Och, to wspaniałe! Zaczyna mi się podobać!”.

– Coś pana śmieszy? – warknęła.

– Proszę mi wybaczyć – odparł Glokta, ocierając łzawiące oko palcem – ale spędziłem dwa lata w imperatorskim więzieniu. Śmiem twierdzić, że gdybym od samego początku wiedział, iż przyjdzie mi przebywać tam nawet dwa razy krócej, to podjąłbym bardziej skuteczne wysiłki, by się zabić. Siedemset dni w ciemności. Tak blisko piekła, jak tylko może być żywy człowiek. Chodzi mi o to, że... jeśli zamierza pani wprowadzić mnie w zakłopotanie, to radzę użyć bardziej ostrego języka.

Obdarzył ją najbardziej odrażającym, bezzębnym, obłąkańczym uśmiechem. Niewielu ludzi potrafiło znieść długo ten grymas, ale ona nie odwróciła wzroku nawet na moment. Wręcz przeciwnie, też się do niego uśmiechała. Nieco krzywo, po swojemu, i w sposób dziwnie rozbijający.

„Zapewne próbuje innej taktyki”.

– Tak czy inaczej, pani brat poprosił mnie, bym zadbał o pani dobro pod jego nieobecność. Jeśli o mnie chodzi, może się pani pieprzyć z kim chce, choć z mojej ogólnej obserwacji wynika, że w przypadku reputacji młodych kobiet im mniej pieprzenia tym lepiej. Oczywiście, do młodych mężczyzn odnosi się coś wręcz przeciwnego. Trudno to nazwać sprawiedliwością, ale życie jest niesprawiedliwe pod tak wieloma względami, że nie warto tym sobie nawet zawracać głowy.

– Hm. Przyznam panu rację.

– Doskonale – powiedział Glokta. – A więc rozumiemy się doskonale. Widzę, że zraniła się pani w twarz.

Wzruszyła ramionami.

– Upadłam. Niezgrabna idiotka ze mnie.

– Wiem, jak się pani czuje. Sam jestem takim idiotą, że wybiłem sobie połowę zębów i pociąłem nogę na bezużyteczną miazgę. Niech pani tylko spojrzy, jakim jestem kaleką. To doprawdy zdumiewające, dokąd może człowieka zaprowadzić głupota, jeśli się nad nią nie panuje. My, niezgrabiasze, powinniśmy trzymać się razem, nie sądzi pani?

Przyglądała mu się uważnie przez chwilę, muskając sińce na brodzie.

– Tak – odparła. – Chyba tak.

\* \* \*

Praktyk Goyle'a, Vitari, leżała bezwładnie na krześle naprzeciwko Glokty, pod ogromnymi drzwiami gabinetu arcylektora. Przypominała mokrą szmatę, którą rzucono niedbale, długie kończyny zwieszały się ku podłodze, głowa spoczywała na oparciu. Od czasu do czasu wodziła leniwym wzorkiem wkoło, patrząc spod ciężkich, opadających powiek, i zatrzymując spojrzenie na postaci Glokty przez obraźliwie długie chwile. Ani razu jednak nie odwróciła głowy czy choćby poruszyła

mięśniami, jakby każdy wysiłek był zbyt bolesny.

„Co jest zapewne prawdą”.

Najwyraźniej uczestniczyła w jakiejś brutalnej walce wręcz. Szyja ponad czarnym kołnierzem upstrzona była sińcami. Wokół maski widniało ich jeszcze więcej, dużo więcej, a czoło przecinała długa rana. Jedna ze zwisających rąk była grubo zabandażowana, kostki drugiej dłoni nosiły ślady zadrapań i strupów.

„To nie jest rezultat kilku ciosów. Walczyła twardo, i to z kimś, kto nie żartował”.

Maleńki dzwonek uniósł się do góry i zabręczał.

– Inkwizytor Glokta – powiedział sekretarz, wychodząc pospiesznie zza biurka, by otworzyć drzwi gabinetu. – Jego Eminencja chce pana widzieć.

Glokta westchnął, mruknął boleśnie i wspierając się na lasce, wstał z miejsca.

– Powodzenia – rzuciła pod jego adresem kobieta, kiedy minął ją swoim kalekim krokiem.

– Co?

Skinęła ledwie dostrzegalnie głową w stronę gabinetu arcylektora.

– Jest dzisiaj w piekielnym nastroju.

Gdy drzwi się otworzyły, do poczekalni wtargnął głos Sulta, przechodząc ze stłumionego pomruku w ogłuszający krzyk. Sekretarz cofnął się gwałtownie z progu, jakby dostał w twarz.

– Dwudziestu praktyków! – wrzasnął z głębi swego gabinetu arcylektor. – Dwudziestu! Powinniśmy przesłuchiwać w tej chwili tę sukę, zamiast siedzieć tutaj i lizać rany! Ilu praktyków?

– Dwudziestu, arcylek...

– Dwudziestu! Niech to diabli!

Glokta wziął głęboki oddech i wsunął się do gabinetu.

– A ilu nie żyje? – Arcylektor przemierzał tam i z powrotem wykładaną kamiennymi płytami podłogę swego wielkiego i owalnego gabinetu, wymachując ramionami. Był ubrany na białą, jak zawsze nieskazitelnie.

„Choć przypuszczam, że jeden włos nie jest na swoim miejscu, może nawet dwa. Rzeczywiście musi być wściekły”.

– Ilu?

– Siedmiu – wymamrotał superior Goyle, przygarbiony na swoim krześle.

– Jedna trzecia! Jedna trzecia! Ilu rannych?

– Ośmiu.

– Większość pozostałych! Przeciwno jakiej liczbie?

– Razem było ich sześcioro...

– Naprawdę? – Arcylektor wbił pięści w stół i nachylił się nad skulonym superiorem. – Słyszałem o dwóch. O dwóch! – wrzasnął, znów ruszając wokół stołu. – I to dzikusach! Słyszałem, że było ich dwóch! Białą i czarną, a czarna to kobieta! Kobieta! – Kopnął ze złością krzesło obok Goyle'a i mebel zachybotał się na swoich nogach. – I co gorsza, byli niezliczeni świadkowie tej hańby! Czy nie mówiłem, że należy to zrobić dyskretnie? Czego w słowie „dyskretnie” nie rozumiesz, Goyle?

– Ależ arcylektorze, okoliczności nie mogą...

– Nie mogą? – skrzekliwy głos Sulta wzrósł o oktawę. – Nie mogą? Jak śmiesz raczyć mnie jakimś „nie mogą”, Goyle? Prosiłem o dyskrecję, a ty załatwiłeś mi krwawą łaźnię na pół Agriontu i nic nie wskórałeś! Wyszliśmy na głupców! Znacznie gorzej, na słabych głupców! Moi wrogowie w Zamkniętej Radzie nie będą marnować czasu, by obrócić tę farsę na swoją korzyść. Marovia już robi zamieszanie, stary gaduła, marudząc o wolności, o ściślejszej kontroli i całej reszcie. Przekłęci

prawnicy! Postawili na swoim, a myśmy nic nie zrobili! I to przez ciebie, Goyle! Gram na zwłokę, przepraszam kogo trzeba, staram się przedstawić wszystko w najlepszym świetle, ale gównem jest gównem, w każdym świetle! Masz pojęcie o rozmiarach szkody, jaką spowodowałeś? O miesiącach ciężkiej pracy, którą zniweczyłeś?

– Ależ, arcylektorze, czyż nie opuścili teraz...

– Wróć, kretynie! Nie po to zadał sobie tyle trudu, by po prostu wyjechać, głupcze! Tak, wyjechali, idioto, i zabrali ze sobą odpowiedzi! Kim są, czego chcą, kto za nimi stoi! Wyjechali? Wyjechali? Niech cię diabli, Goyle!

– Jestem zdruzgotany, Wasza Eminencjo.

– Gorzej niż zdruzgotany!

– Mogę tylko przeprosić.

– Masz szczęście, że nie przepraszasz przypiekany na wolnym ogniu! – Sult skrzywił się, wyrażając swe obrzydzenie. – A teraz zejdz mi z oczu!

Goyle rzucił Głokcie spojrzenie pełne najgłębszej nienawiści, wymykając się z pokoju.

„Do widzenia, superiorze Goyle, do widzenia. Wściekłość arcylektora nie mogła dotknąć bardziej odpowiedniego człowieka”.

Głokta nie mógł powstrzymać się od nieznacznego uśmiechu, kiedy patrzył w ślad za superiorem.

– Coś cię bawi? – Głos Sulta był lodowaty, gdy arcylektor wyciągnął dłoń w rękawicze, błyskając fioletowym kamieniem na palcu.

Głokta schylił się, by go pocałować.

– Oczywiście, że nie, Eminencjo.

– To dobrze, bo nie masz powodu do rozbawienia, zapewniam cię. Klucze? – spytał szyderczo. – Opowieści? Zwoje? Co mnie opętało, że słuchałem tych twoich bzdur?

– Wiem, arcylektorze, i przepraszam.

Głokta usiadł pokornie na brzegu krzesła, które tak niedawno opuścił Goyle.

– Przepraszasz, tak? Wszyscy przepraszają! Dużo mi to pomoże! Mniej przeprosin, a więcej sukcesów, oto, czego potrzebuję! I pomyśleć, że pokładałem w tobie takie nadzieje! Mimo wszystko musimy pracować narzędziami, które mamy.

„Czyli?”.

Lecz Głokta się nie odezwał.

– Mamy problemy. Bardzo poważne problemy, na Południu.

– Na Południu, arcylektorze?

– Dagoska. Sytuacja jest tam poważna. Gurkhulskie oddziały zmierzają w stronę półwyspu. Już przewyższają liczebnie nasz garnizon dziesięć do jednego, a wszystkie nasze siły skupione są na Północy. Trzy regimenty gwardii królewskiej pozostają w Adule, ale gdy w znacznej części Midderlandu zaczynają się buntować chłopcy, nie można tych żołnierzy nigdzie wysłać. Superior Davoust informował mnie o sytuacji w cotygodniowych listach. Był moimi oczami, Głokta, rozumiesz? Podejrzewał, że w mieście istnieje spisek. Spisek mający na celu przekazanie Dagoski w ręce Gurkhulczyków. Trzy tygodnie temu listy przestały przechodzić, a wczoraj się dowiedziałem, że Davoust zniknął. Zniknął! Superior Inkwizycji! Rozpłynął się w powietrzu! Jestem teraz ślepy, Głokta. Poruszam się w ciemności, i to w tak trudnej chwili! Potrzebuję tam kogoś, komu mogę ufać, rozumiesz?

Głokta poczuł, jak wali mu serce.

– Mnie?



– Och, cóż za domyślność – zauważył ironicznie Sult. – Jesteś nowym superiorem Dagoški.

– Ja?

– Szczere gratulacje, ale wybaczysz mi, jeśli będziemy świętować w bardziej odpowiednim momencie! Ty, Glokta, Ty! – Arcylektor nachylił się ku niemu. – Jedź do Dagoški i zacznij kopać. Ustal, co się stało z Davoustem. Zacznij pielnić tamtejszy ogród. Wyrwij wszystko, co nie jest lojalne. Wszystko i wszystkich. Rozpal pod nimi ogień! Muszę wiedzieć, co się tam dzieje, nawet jeśli będziesz musiał przypiekać lorda gubernatora, aż zacznie ociekać tłuszczem!

Glokta przełknął nerwowo.

– Przypiekać lorda gubernatora?

– Czy w tej sali odbija się echo? – warknął Sult, pochylając się jeszcze bardziej. – Wywączaj zgniliznę i wytnij ją! Wyrwij! Wypal! Do końca, gdziekolwiek jest! Przejmij dowództwo nad obroną miasta, jeśli zajdzie taka konieczność. Byłeś żołnierzem!

Wyciągnął rękę i podsunął rozmówcy kartę pergaminu.

– To jest upoważnienie królewskie, podpisane przez wszystkich dwunastu członków Zamkniętej Rady. Wszystkich dwunastu. Kosztowało mnie dużo krwawego potu, by je uzyskać. W obrębie miasta Dagoški masz wszelkie pełnomocnictwa.

Glokta wpatrywał się w dokument. Zwykła kartka kremowego papieru, czarne pismo, wielka czerwona pieczęć u dołu. „My, niżej podpisani, przekazujemy wiernemu słudze Jego Królewskiej Mości, superiorowi Sandowi dan Glokcie, pełnię naszej władzy i autorytetu...”. Kilka linijek starannego pisma, a poniżej kolumna nazwisk. Nieregularne kleksy, zamaszyste zawijasy, prawie nieczytelne gryzmoły.

„Hoff, Sult, Marovia, Varuz, Halleck, Burr, Torlichorm i pozostali. Znaczące nazwiska”. Glokta poczuł słabość, biorąc dokument drżącymi dłońmi. Wydawał się ciężki.

– Niech ci to nie uderzy do głowy! Nadal musisz stąpać ostrożnie. Nie możemy pozwolić sobie na więcej błędów, ale Gurkhulczyków należy powstrzymać za wszelką cenę, dopóki nie uporamy się z tą historią w Anglandzie. Za wszelką cenę, rozumiesz?

„Rozumiem. Wysłanie do miasta otoczonego przez wroga i rojącego się od zdrajców, gdzie jeden superior zniknął już w tajemniczych okolicznościach. To bardziej cios w plecy niż awans, ale musimy pracować narzędziami, które mamy”.

– Rozumiem, arcylektorze.

– Doskonale. Informuj mnie na bieżąco. Chcę być zasypywany twoimi listami.

– Oczywiście.

– Masz dwóch praktyków, zgadza się?

– Tak, Eminencjo, to Frost i Severard, obaj bardzo...

– Nie dostatecznie! Nie będziesz mógł nikomu tam zaufać, nawet Inkwizycji. – Zdawało się, że Sult zastanawia się nad tym przez chwilę. – Zwłaszcza Inkwizycji. Wybrałem sześciu innych, którzy dowiedli swych umiejętności, włączając praktyka Vitari.

„Ta kobieta? Miałaby mi zaglądać przez ramię?”.

– Ależ arcylektorze...

– Żadnych „ale”, Glokta! – syknął Sult. – Nie śmiej mi tego mówić, nie dzisiaj! Nie jesteś nawet w połowie tak kaleki, jak mogłoby ci się przytrafić! Nawet w połowie, rozumiesz?

Glokta pochylił głowę.

– Przepraszam.

– Myślisz o czymś, co? Widzę, jak obracają się w twoim mózgu koła zębate. Nie chcesz, by stała ci na drodze jedna z osób Goyle'a. No cóż, nim zaczęła pracować dla niego, pracowała dla

mnie. Styrianka, z Sipano. Ten naród jest zimny jak lód, a ona jest najzimniejsza z wszystkich, możesz mi wierzyć. Nie musisz się więc martwić. W każdym razie nie o Goyle'a.

„Nie. Tylko o ciebie, co jest znacznie gorsze”.

– Będę zaszczycony, mając ją przy swoim boku.

„Będę cholernie ostrożny”.

– Bądź sobie zaszczycony do woli, tylko mnie nie zawieź! Jak ci się nie uda, to będziesz potrzebował czegoś więcej niż tego kawałka papieru, żeby się uratować. W dokach czeka statek. Odejdź. Natychmiast.

– Oczywiście, Eminencjo!

Sult odwrócił się i podszedł do okna. Glokta wstał bezgłośnie, wsunął krzesło pod stół, nie robiąc hałasu, i cicho zbliżył się do drzwi. Arcylektor wciąż stał z założonymi na plecach rękami, kiedy Glokta z najwyższą ostrożnością naciskał klamkę. Dopiero gdy drzwi zamknęły się z nieznamym trzaskiem, uświadomił sobie, że cały czas wstrzymywał oddech.

– Jak poszło?

Glokta odwrócił się gwałtownie, czując w szyi bolesny chrzęst.

„Dziwne, że nigdy nie nauczyłem się tego nie robić”.

Praktyk Vitari wciąż leżała bezwładnie na krześle, patrząc na niego zmęczonym wzrokiem. Wyglądało, jakby nie ruszyła się przez cały ten czas, kiedy był w gabinecie.

„Jak poszło?”.

Przesunął językiem po ustach i pustych dziąsłach, zastanawiając się nad odpowiedzią.

„Jeszcze się okaże”.

– Ciekawie – odparł w końcu. – Jadę do Dagoski.

– Tak słyszałam.

Ta kobieta rzeczywiście miała obcy akcent, kiedy teraz o tym pomyślał.

„Nieznacznie brzmiennie, charakterystyczne dla Wolnych Miast”.

– Rozumiem, że jedziesz ze mną.

– Rozumiem, że jadę.

Nie poruszyła się jednak.

– Trochę się spieszymy.

– Wiem. – Wyciągnęła do niego rękę. – Mógłby mi pan pomóc?

Glokta uniósł brwi.

„Zastanawiam się, kiedy ostatnim razem zadano mi to pytanie?”.

Już zamierzał powiedzieć „nie”, ale w końcu wyciągnął do niej dłoń, choćby po to, by poczuć coś nowego i nieznanego. Jej palce zamknęły się na jego rękę i zaczęły ciągnąć ją nieznacznie. Oczy miała zmrużone, słyszał jej świszczący oddech, gdy podnosiła się wolno z krzesła. Bolało go, kiedy tak ciągnęła, bolało w ramieniu, w plecach.

„Ale ją boli bardziej”.

Był pewien, że jej zęby zaciskają się za maską z całej siły. Poruszała kończynami po kolei, ostrożnie, nie wiedząc, co ją zaboli i jak bardzo. Glokta nie mógł powstrzymać uśmiechu.

„Rytuał, który przechodzę każdego ranka. To dziwnie ożywcze – widzieć kogoś innego w takiej sytuacji”.

W końcu stała na nogach, przyciskając zabandażowaną dłoń do żeber.

– Możesz iść? – spytał Glokta.

– Dam radę.

– Co się stało? Psy?

Szczeknęła krótkim śmiechem.

– Nie. Dołożył mi wielki człowiek z Północy.

Głokta parsknął. „No cóż, przynajmniej szczerze”.

– Pójdziemy?

Spojrzała na jego łaskę.

– Nie ma pan drugiej, co?

– Obawiam się, że nie. Mam tylko tę jedną, a nie mogę bez niej chodzić.

– Wiem, jak się pan czuje.

„Niezupełnie”.

Głokta odwrócił się i zaczął się oddalać kulejącym krokiem od gabinetu arcylektora.

„Niezupełnie”.

Słyszał, jak kobieta wlecze się za nim, utykając.

„To dziwnie ożywcze, kiedy ktoś stara się dotrzymać mi kroku”.

Ruszył szybciej i zabolalo go.

„Ale ją bardziej”.

Oblizal bezzębne wargi.

A zatem z powrotem na Południe. Nie jest to miejsce szczęśliwych wspomnień. Walczyć z Gurkhulczykami, po tym, ile mnie to kosztowało ostatnim razem. Wypleniać nielojalność w mieście, gdzie nikomu nie można ufać, zwłaszcza tym, którzy mają mi pomóc. Zmagać się w upale i kurzu z niewdzięcznym zadaniem, które niemal na pewno skończy się niepowodzeniem. A niepowodzenie oznacza śmierć, co jest bardziej niż prawdopodobne”.

Poczuł, jak drga mu policzek, jak porusza mu się powieka.

„Śmierć z rąk Gurkhulczyków? Z rąk spiskujących przeciwko Koronie? Z rąk Eminencji albo jego agentów? Czy po prostu zniknę, jak stało się to z moim poprzednikiem? Czy jakiś człowiek miał kiedykolwiek tak bogaty wybór zgonów?”.

Kącik jego ust uniósł się lekko.

„Nie mogę się już doczekać, kiedy zacznę”.

Jedno pytanie przychodziło mu do głowy, raz za razem, a on wciąż nie znał odpowiedzi.

„Dlaczego to robię? Dlaczego?”.

# Podziękowania

Czterem ludziom, bez których...

Brenowi Abercrombiemu,  
którego bolą oczy od czytania tego tekstu

Nickowi Abercrombiemu,  
którego bolą uszy od słuchania o nim

Rickowi Abercrombiemu,  
którego bolą palce od przewracania kartek

Lou Abercrombiemu,  
którego bolą ramiona od podtrzymywania mojej osoby

A także...

Mathew Amosowi,  
za cenną radę w trudnym czasie

Gillianowi Redfearnowi,  
który przeczytał początek i kazał mi go zmienić

Simonowi Spantonowi,  
który kupił książkę, nim doszedł do końca

# Spis treści

<a href="#">STRONA TYTUŁOWA..</a>	1
<a href="#">Koniec.</a>	6
<a href="#">CZEŚĆ I.</a>	9
<a href="#">Ocaleni</a>	10
<a href="#">Pytania.</a>	13
<a href="#">Żadnego wyboru.</a>	31
<a href="#">Zabawa z ostrzami</a>	37
<a href="#">Zęby i palce.</a>	51
<a href="#">Bezkresna i naga Północ.</a>	55
<a href="#">Trening szermierczy.</a>	63
<a href="#">Poranny rytuał</a>	77
<a href="#">Pierwszy z Magów..</a>	91
<a href="#">Dobryczłek.</a>	103
<a href="#">Na liście.</a>	116
<a href="#">Oferta i dar</a>	126
<a href="#">Król Północnych.</a>	145
<a href="#">Droga między dwoma dentystami</a>	161
<a href="#">Płaskogłowi</a>	172
<a href="#">Przekleństwo prawdziwej miłości</a>	182
<a href="#">Jak szkoli się psy.</a>	191
<a href="#">Herbata i zemsta.</a>	198
<a href="#">CZEŚĆ II.</a>	217
<a href="#">Jak wygląda wolność.</a>	218
<a href="#">Królewska sprawiedliwość.</a>	230
<a href="#">Droga ucieczki</a>	242
<a href="#">Trzy znaki</a>	248
<a href="#">Skład kostiumów teatralnych.</a>	257
<a href="#">Barbarzyńcy u bram..</a>	266
<a href="#">Następne zadanie.</a>	277
<a href="#">Lepsze niż śmierć.</a>	283
<a href="#">W obcym miejscu.</a>	291
<a href="#">Pytania.</a>	302
<a href="#">Szlachectwo.</a>	315
<a href="#">Ciemna robota.</a>	333
<a href="#">Słowa i kurz.</a>	344
<a href="#">Niezwykłe talenty brata Długostopego.</a>	361
<a href="#">Tacy jak ona walczą z każdym..</a>	370
<a href="#">Kocha... nie kocha.</a>	378
<a href="#">Nasienie.</a>	384
<a href="#">Nigdy nie zakładaj się z magiem..</a>	395
<a href="#">Idealna publiczność.</a>	412
<a href="#">Dom Stwórcy.</a>	432

[Niczyj pies. 453](#)

[Każdy człowiek czei samego siebie. 465](#)

[Starzy przyjaciele. 476](#)

[Z powrotem do ziemi 482](#)

[Ból i cierpienie. 493](#)

[Krwawy-dziewięć. 502](#)

[Narzędzia, które mamy. 526](#)

[Podziękowania. 536](#)